

Powieści Williama P. Wooda  
w Wydawnictwie Amber  
Zawiedzione zaufanie  
Zawieszenie.  
w przygotowaniu  
Szal.

William P. Wood  
Zawiedzione zaufanie  
Przekład MAŁGORZATA DORSJAN-KABAT  
AMBER  
Skan i korekta Roman Walisiak

Tytuł oryginału COURTOF HONOR  
Ilustracja na okładce EDGAR WOOD  
Redakcja merytoryczna GRAŻYNA KUNICKA  
Redakcja techniczna ANDRZEJ WITKOWSKI  
Korekta MARIA OLSZEWSKA

12123134

Copyright © 1991 by William Wood

For the Polish edition Copyright © 1996 by Wydawnictwo Amber Sp. z  
o.o.

ISBN 83-7082-501-X

\* \* \*

Dla Jane i Jacka, a także innych, dzięki którym sprawiedliwość wydaje się nieunikniona.

Żadna zbrodnia ujść kary nie może, gdy prawa spisano; Prawa z mozołem uczą, jak zło poznawać w świecie; Gdyby nie prawa owe, winą by nas nie obarczano; Gdyż nie wiedzieć, co grzech, to niewinność przecie.

SIR WEJLIAM DEYANANT.

Rozdział pierwszy.

Evan Soika wszedł do małego sklepu przy stacji benzynowej, rano, w chwilę po jego otwarciu. Sprzedawca stał za ladą i nalewał z dużego dzbanka wodę do ekspresu.

- Za parę minut będzie świeża kawa - powiedział.
- Nie chcę żadnej kawy.

Prentice włączył duży ekspres, który natychmiast zaczął perkotać.

- Rano zawsze najbardziej mi smakuje pierwsza filiżanka.
- Potrzebuję tylko benzyny.
- Przy którym dystrybutorze pan stoi?
- A skąd mam wiedzieć?
- Są ponumerowane.
- Sam pan spojrzysz i mi powiedz.

Prentice zerknął ponad ramieniem Evana Soiki. Obok środkowego

dystrybutora stał zielony samochód klasy kompakt, starszy model.

- Stoi pan przy ósemce. Naprawdę chce pan wysokooktanowej?

- Tam stanąłem?

- Tak. Bezołowiowa wysokooktanowa.

- Właśnie takiej chcę.

Trudno było dalej prowadzić rozmowę, ponieważ Evan Soika oddalił się od lady i wszedł w wąskie przejście między półkami z artykułami spożywczymi. Oglądał puszki z fasolą i ravioli, czekoladowym puddingiem. Dotykał palcami opakowań z suszoną wołowiną i paczek z chipsami ziemniaczanymi - wszystkiego, co może przydać się ludziom w drodze.

Prentice zdjął płaszcz i powiesił obok drzwi prowadzących do toalety, przy ladzie. Nie spuszczał z klienta oka. Soika miał na sobie długi szary płaszcz, gdyż wczesny marcowy ranek był chłodny, a słońce przypominało ledwie zabarwioną czerwienią kulę na szarym niebie nad Santa Maria.

Jeden rękaw był podarty. Soika przyciskał prawą rękę sztywno do boku. Włosy miał nie uczesane i żuł gumę w agresywny, nieprzyjemny sposób. W świetle sklepowych lamp rtęciowych wyglądał na podnieconego.

- Ile? - spytał Prentice, przysuwając stos gazet do kasy. Ekspres perkotał.

Soika przystanął, trzymając w ręku małą puszkę z wieprzowiną i fasolą.

- Ile czego?

- Benzyny. Ile pan chce?

- Nie wiem.

- Do pełna?

- Jasne.

- No to ile pan chce w takim razie? Soika odstawił puszkę na miejsce.
  - Jeszcze nie wlałem ani kropli.
  - Płaci pan u mnie, zanim pan cokolwiek wleje.
  - Daję panu forszę, zanim nabiorę benzyny? Wspaniale.
  - Zarządzenie firmy. Ludzie odjeżdżają bez płacenia.
  - Pieprzona bzdura.
  - Inaczej nie dałoby się utrzymać tego interesu. Soika wyszczerzył w uśmiechu zęby.
  - Nie wiem, ile chcę benzyny. - Zerknął na dział z mrożonymi produktami, gotowymi zestawami obiadowymi, potem na butelki z tanim winem i napojami. - To jedyny otwarty sklep w okolicy. - Podeszedł z powrotem do kasy.
  - Jestem rannym ptaszkiem - wyjaśnił Prentice.
  - O tej godzinie nie trafiają się klienci.
  - Przychodzą. Cały czas.
  - Teraz nikogo nie ma.
  - Ruch zaczyna się wcześnie.
  - Tak?
  - Nie tylko ja wstaję o tej porze. Soika skinął głową.
  - Fakt. Też tu jestem.
- Prentice stał obok kasy. Poniżej, na wąskiej półce leżał pistolet kaliber 0.45, który firma pozwoliła mu trzymać na wypadek kłopotów.
- Ludzie ciągle się tu kręcą, przez cały dzień - zapewnił.
  - Nie spałem całą noc - rzucił Soika, rękę trzymał sztywno, jakby była unieruchomiona na szynie.
  - Pracował pan do późna?

- A wyglądam na takiego, co nie spał?
- Nie. Wygląda pan nieźle.
- Naprawdę?
- Niech pan wleje w siebie trochę kawy. Mnie pomaga zacząć dzień.

10

- Tak? - Soika znowu rozejrzał się po sklepie, a potem zerknął na dystrybutory i samotnie stojący samochód.

- Ożywi pana.

- O.K. Zmieniłem zdanie. Niech mi pan naleje.

Prentice odwrócił się, sztucznym uśmiechem maskując zdenerwowanie.

- Nie jest jeszcze gotowa. To duży ekspres, daje czterdzieści osiem filiżanek, zanim znów trzeba go napełnić.

- O.K. Wezmę trochę chipsów, coś do żucia, kilka piw. - Soika, posługując się jedną ręką, położył produkty na ladzie.

- Wybiera się pan w podróż?

- Co?

- Jedzie pan dokądś?

- Nie.

- Mniejsza z tym. Chodziło mi o to, że takie rzeczy ludzie jadają w drodze - powiedział, podliczając należność.

Była piąta trzydzieści, stacja świeciła pustkami, a pobliskie sklepy przy North Wilmont Avenue jeszcze nie otworzyły swoich podwoi.

- Nie pański interes - warknął Soika, przesuwając się i stając niemal przy boku Prentice'a.

- Tak tylko pytałem. Nie obchodzi mnie to.

- Wiem, że nie. Pytał pan, bo jest pan palantem.

Sprzedawca gwałtownie poderwał głowę, ale powiedział spokojnie:

- Za jedzenie płaci pan osiem dolarów. Ile chce pan benzyny?
- Słyszysz pan, co mówię?
- Pewnie, że tak.
- I nic, żadnej reakcji?
- Klient zawsze ma rację.

Soika znów wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Niech mi pan da kawy. Jest gotowa. Prentice spojrział przez ramię, żeby sprawdzić.
- Jeszcze nie.

Gdy odwrócił głowę, Soika mierzył do niego ze strzelby z odpiłowaną lufą.

- Dawaj pieprzoną forszę! - wrzasnął. Prentice odsunął się od kasy.
- W porządku. To nie moje pieniądze.

Lampy uliczne wyłączyły się automatycznie wraz z nadejściem bladego świtu.

- Oddawaj pieprzoną forszę! - darł się Soika, wbijając lufę obrzyna w szczękę Prentice'a.

Prentice zastukał w elektroniczne klawisze kasy, zanurzył dłoń w banknotach i zaczął pchać je z pośpiechem w stronę Soiki. Ten wolną ręką pakował pieniądze do kieszeni płaszcza.

Prentice posłyszał narastający dźwięk syren. Ich odgłos brzmiał czysto w ciszy poranka.

11

- Lepiej, żeby to nie tu jechali - zagroził Soika, patrząc na ulicę, potem znów na Prentice'a.

- To niemożliwe. Muszą jechać gdzieś indziej.

Dwa radiowozy policyjne z Santa Maria skręciły gwałtownie i zatrzymały się przy dystrybutorach, ze środka wyskoczyli policjanci z bronią w rękach.

Soika przestał żuć gumę. Wepchnął brutalnie lufę strzelby w zaciśnięte szczęki Prentice'a.

Rozdział drugi.

W sierpniu tego samego roku, w gorący, deszczowy dzień, w dużej sali konferencyjnej Departamentu Sprawiedliwości w Waszyngtonie, D.C., toczyli spór dwaj mężczyźni.

- Oczekujesz, że będę dla nich miękki, bo są sędziami - stwierdził wojowniczym tonem Neil Roemer.

- Tego nie powiedziałem - zaprotestował Paul Cleary, zastępca prokuratora generalnego i przełożony Roemera.

- To jedyne wytłumaczenie. Wiązesz mi ręce. - Roemer wyciągnął przed siebie dłonie, jakby chciał, by je skrępowano.

Wzdychając głęboko, Cleary powiedział:

- Podaję jedynie w wątpliwość sposób twojego działania i środki, którymi się posługujesz. - Czuł się znudzony. To chyba ta deszczowa pogoda. Nie zapomnieć o lekarstwie na podwyższenie ciśnienia.

Roemer odchrząknął zagniewany, wstał i zaczął przemierzać salę konferencyjną. Cleary przyglądał mu się badawczo. Miał przed sobą czarnookiego człowieka w średnim wieku o kwadratowej, czerwonawej

twarży i starannie utrzymanych, szarych włosach i wąsach. Szerokie bary, pozostałość po latach bokserkiej kariery, paradoksalnie podkreślały podwójny podbródek. Klasyczne spodnie z kantem, niebieska marynarka i tradycyjne niebieskie szelki dopełniały wizerunku.

Śmialiśmy się z niego, pomyślał Cleary. Wyobrażaliśmy sobie, że jesteśmy od niego o wiele mądrzejsi.

Roemer odwrócił się wyzywająco w stronę Cleary'ego.

Ciekawe, co o mnie sądzi? - zastanawiał się Cleary. Jestem starszy, mam blisko sześćdziesiąt lat, zajmuję trzecie pod względem ważności stanowisko w prawniczej hierarchii kraju.

Zastępca prokuratora generalnego, zagłębiony w skórzanym fotelu z wysokim oparciem, stojącym przy długim stole, ubrany był w bawełniany, 13

bladozielony garnitur i dzianinowy, dyskretny krawat - idealny strój na lato na Południu. Strzecha siwych włosów opadała mu na czoło.

Chyba wciąż wyglądam jak dziekan wydziału prawa, pomyślał.

Co pewien czas, w trakcie tego burzliwego spotkania, Cleary popijał z porcelanowej filiżanki parującą herbatę i żałował, że nie wziął ze sobą parasola. Wciąż padało.

- Paul, pracowaliśmy nad tą operacją, została oceniona, potem znów nad nią pracowaliśmy. Teraz wystarczy tylko zgoda Komisji do Działań Specjalnych, a ty próbujesz załatwić mnie obiekcjami, które wysuwasz za pięć dwunasta. Znam tę taktykę i cholernie mi się ona nie podoba.

Oczywiście, że znasz, przyznał w duchu Cleary. Przeżyłeś trzech prezydentów i pracowałeś z generalnymi prokuratorami od Seattle do Orlando. Jesteś zaprawionym w bojach weteranem, a ja tylko byłym



dziekanem Wydziału Prawa na Uniwersytecie Bostońskim. Wszystko, co robiłem, to nauczanie prawa antymonopolowego na zajęciach dla przyszłych prawników, aż do chwili, gdy administracja w Waszyngtonie zdecydowała, że moje znane nazwisko predestynuje mnie do pracy w Departamencie Sprawiedliwości.

Nie powiedzieli mi, jak cię okiełznać, Neil. Sącył swoją herbatę, zastanawiając się nad odpowiedzią. Wyobraził sobie, że siedzi w sali klubowej swojego wydziału i ogląda w telewizji Roemera, który ogłasza wszczęcie śledztwa w sprawie przekupstwa, zdrady publicznego zaufania. Byłeś taki pompatyczny, taki absurdalny w zwykłej białej koszuli, z podwiniętymi rękawami, w tych niebieskich szelkach. Żartowałem, że wyglądasz jak demagog z Południa. Co za głupiec ze mnie. Cóż za przykład błędnej oceny. Uczyłem prawa antymonopolowego, ale w porównaniu z tobą, Neil, jestem tylko zdziwionym dzieciakiem. Nie potrafię poznać meandrów twojego umysłu, tych wszystkich pokrętnych aspektów każdego śledztwa, jakie prowadzisz.

Ale masz rezultaty. Jesteś tu legendą.

Jesteś nietykalny.

Clearly podniósł się z wysiłkiem, świat nagle zawirował. Zachwiał się, opierając się o ciemny blat drewnianego stołu, biała skóra dłoni na niemal czarnym, lustrzanym lakierze.

- Akceptuję twoje zamiary - przyjął ton wykładowcy, pełen werwy, który w chwilach zagrożenia bywał jego obroną. - To, czego mi brakuje w twojej propozycji, to konkretnej metody, dzięki której osiągniesz zamierzony cel.
- Żartujesz. - Roemer nie wierzył własnym uszom.
- Chcesz dobrać się do nieuczciwych sędziów, ale nie chcesz posłużyć się

standardowymi środkami. Jak zamierzasz inwigilować to środowisko?  
Roemer znowu ruszył wzdłuż ścian sali konferencyjnej, wyłożonych  
ciemną boazerią i ozdobionych olejnymi wizerunkami byłych  
prokuratorów

14

generalnych: patriotów i łajdaków, kilku głupców i przynajmniej jednego  
marzyciela w kamizelce. Za poznaczonymi smugami deszczu szybami  
powoli zmierzchał sierpniowy dzień.

- Mogę ci wyjaśnić - powiedział Roemer. - Jesteś tu stosunkowo nowy.  
- Chcesz mnie udobruchać.  
- W porządku. Podobnie jak bardzo wielu ludzi w departamencie,  
uważasz, że powinniśmy przeprowadzać każdą tajną operację według tego  
samego schematu. Założyć lipną korporację, żeby mieć przykrywkę.  
Wynająć biura. Zaangażować kilku ludzi na pokaz. Wziąć facetów z FBI  
do działań operacyjnych i gości od wręczania łapówek. Podchodzić  
do namierzonych ostrożnie, po cichu. Rodzaj standardowej, tajnej operacji,  
której przygotowanie trwa miesiące i która daje rezultaty też po  
miesiącach.

- Chcesz działać szybciej?  
- Darować sobie to wszystko. Zapomnieć o podchodach. Podążyć prosto  
do celu.

Cleary zmrużył oczy.

- O to mi właśnie chodzi. Jak się do nich zbliżymy?  
- W najprostszy sposób - powiedział Roemer, w jego głosie wyczuwało  
się długie oczekiwanie. - Jak się uda, będziemy mieli po swojej stronie  
któregoś z nich.

- Chcesz skaptować sędziego?

- Właśnie - przytaknął Roemer.

W jednej chwili Cleary pojął tajemnicę sukcesu Roemera, jaki mu towarzyszył od lat. Był człowiekiem idei, prostej i wielkiej, a jego przekonanie o jej słuszności było niezachwiane. Korupcję można znaleźć wszędzie, twierdził Roemer, wystarczy tylko dobrze poszukać.

Wątpliwości Cleary'ego, jeśli chodzi o tajne operacje, dotyczyły metody Roemera, która polegała na bezlitosnym popychaniu ludzi do granic ich moralnej odporności.

Jak daleko bym się posunął, zanim wziąłbym pieniądze? - zastanawiał się Cleary. Albo skłamał przed wielką ławą przysięgłych? Albo zagłosował według życzenia tego, kto mi zapłacił?

To była taktyka Roemera. Któż mógł powiedzieć o sobie: „Jestem nieprzekupny”?

Roemer zajmował oficjalnie stanowisko Public Integrity Officer\*.

\* Public Integrity Officer (ang.) -jeden z prokuratorów federalnych z urzędu zwalczający korupcję w hierarchii wymiaru sprawiedliwości (przyp. red.).

Mylące, jeśli wziąć pod uwagę to, czego zamierza dokonać, myślał Cleary. Teraz wkracza na obszar, gdzie rządzi pokusa.

- To ryzykowna gra - powiedział głośno. - Ci ludzie nie są prawdziwymi przestępcami. - Dopił swoją herbatę.

- Więc chcesz, żebym był miękki - stwierdził Roemer.

15

- Nie. Sądzę tylko, że sędziowie to nie łamiący prawo policjanci, handlarze narkotyków czy sprzedajni politycy.

- Są jeszcze gorsi. Zamierzam załatwić każdego skorumpowanego sędziego, jakiego złapię. Żadnych układów. Wszystko skończy się w sądzie.

- Niech zrezygnują.

- To nie wystarczy. Próbowałem tego - powiedział Roemer. - Ludzie muszą zobaczyć wszystko na własne oczy. Żadnych ulg w zamian za przyznanie się.

Cleary pochylił się do przodu.

- Sędziowie tak samo jak my przysięgali, że będą działać w imię sprawiedliwości. Nie zareagują na naszą taktykę jak zwykli przestępcy.

- Sędziowie to tylko prawnicy, którzy mają znajomości. - Roemer podszedł do Cleary'ego, trzymając dłonie w kieszeniach. - Zachowują się tak samo jak dziwka, gdy wyciągasz pieniądze.

Co znaczy, że i tu możesz sprawić, by każdemu zapalił się grunt pod nogami, pomyślał Cleary. Nikt nie jest bezpieczny. Znowu zastanawiał się nad prawdziwością pogłosek, jakoby Roemer gromadził przez lata nieprzychylnie szczegóły dotyczące zwierzchników ze swojego wydziału, by móc je wykorzystać w trudnej dla siebie sytuacji.

- Nie jestem do końca przekonany, czy uda ci się nakłonić jakiegoś sędziego, żeby pracował dla ciebie, Neil.

- Może to zrobić powodowany sumieniem.

- A jak nie zechce?

- Znajdę coś, co go zmusi do współdziałania.

Roemer wyjął małą szczoteczkę i zaczął usuwać ze swojej marynarki jakieś pyłki. Wyglądasz tak nieskazitelnie, nie mógł się nadziwić Cleary.

Jak udaje ci się zachować czystość? Nie każda akcja przedsięwzięta przez

Roemera zakończyła się sukcesem. Na przykład sprawa Griffina w Cincinnati cztery lata wcześniej; namierzonych ostrzeżono, nerwowe załamanie. Byli to policjanci, którzy sprzedawali skradzione magnetowidy. Potem ta historia w Yonkers, członek rady miejskiej próbował popełnić samobójstwo po tym, jak sfotografowano i nagrano na taśmę moment brania przez niego łapówki. W zamian miał głosować za rozebraniem budynku mieszkalnego.

Roemer uniknął odpowiedzialności. Cleary przypomniał sobie, że widział go w telewizji, zgrabnie wyjaśniającego przyczynę obu niepowodzeń. Przy tego typu prowokacjach zawsze manipuluje się ludzkimi emocjami - nadziejami i obawami. Roemerowi, gdy chciał kogoś przyłapać, umykał właśnie ten ludzki wymiar całej sprawy. Choć był czuły na światła reflektorów, jak twierdzili jego przeciwnicy. „Poszukaj ekipy z kamerą, a znajdziesz Roemera”.

Znów się zastanawiał, jak zdarzało mu się to coraz częściej, czy mądrze zrobił, odchodząc z wydziału prawa i zaczynając pracę w rządzie. Wybory, których teraz dokonywał, były co najmniej dyskusyjne, konsekwencje mogły okazać się niszczące.

16

- Wydaje mi się, że północna Kalifornia nie jest najodpowiedniejszym terenem na grubszą prowokację - powiedział ostro. Wciąż opierał się o stół, czując, jak krew z wolna napływa mu do głowy.

- Okręg Santa Maria jest w sam raz. Leży w centrum. Oczyszczanie takiego miejsca ze skorumpowanych sędziów wywoła dużo hałasu - stwierdził Roemer. - Każdy gada cynicznie o wielkich miastach, Nowym Jorku, Chicago. Nikt nie spodziewa się korupcji na wielkomięjską skalę w

takim miejscu jak Santa Maria. - Odłożył szczoteczkę, poprawił kołnierz i patrzył niecierpliwie na Cleary'ego. Stoisz mi na drodze, zdawał się mówić. Mógłbym cię zmiażdżyć.

- Nie wiem, czy rozgłos jest głównym celem operacji - zauważył Cleary.

- Zmusza ludzi do tego, by przyjrzeni się bacznie swojej społeczności. Uświadamia, że także im coś takiego może się przytrafić.

Cleary wiedział, że Roemer jest zdeterminowany i że zdążył wcześniej zapewnić sobie poparcie wielu ważnych osobistości z departamentu.

- Chcę, żebyś odpowiednio powiadamiał władze każdego okręgu, którym się będziesz zajmował, Neil - starał się utrzymać na swojej pozycji.

- Jasne. Będę sprawdzał także inne miejsca, jak już ustawię sprawę w Santa Maria. Ale żadnych przecieków do FBI, zgoda? Wprowadzę agentów, jakich będę chciał i kiedy będę chciał.

- I regularne raporty do Komisji do Działań Specjalnych. Chcę mieć wszystko na bieżąco, Neil.

- To zrozumiałe.

- To cholernie delikatna operacja. Chodzi o sędziów.

- Wiem, co robię, Paul. Nie będziesz miał żadnych skarg.

Wie, że toczymy ze sobą pojedynek, pomyślał Cleary, ponownie zagłębiając się w skrzypiące objęcia skórzanego fotela. Iluż to innych siedziało na tym miejscu i próbowało go okiełznać?

Roemer stukał palcami po stole.

- Skończyliśmy? Ty też dajesz mi zielone światło?

- Masz moją zgodę. Wygląda na to, że wszystko sobie przemyślałeś.

-Cleary zdobył się na uśmiech pomimo porażki. - Masz już jakiegoś sędziego, który ułatwi ci dostęp do pozostałych?

Roemer obrócił się w stronę drzwi.

- Mam pewne nazwisko.
- Kto to jest?
- Poczekajmy, aż go przyhaczę.
- Ma coś na sumieniu?

Roemer wzruszył ramionami i otworzył drzwi.

- Niewykluczone.

Cleary nie zazdrościł temu anonimowemu sędziemu, nieświadomemu i bezbronnemu, którego miał odwiedzić wielki i nieprzekupny Neil Roemer, a wraz z nim potężny Departament Sprawiedliwości. Poszukał w kieszeni marynarki swoich tabletek na podwyższenie ciśnienia.

17

- Przynieś mi jakieś głowy - rzucił, gdy Roemer oddalał się korytarzem.

Taka ociekająca krwią odżywka nie jest tu niczym niezwykłym, pomyślał Cleary z odrazą. Poczul się jak Attyla. Czyste barbarzyństwo.

TV i ja wyrównamy swoje rachunki, zapewnił w duchu Roemera.

Spojrzał w okno, deszcz przybrał na sile. Pomyślał o szarych i czerwonych ceglach Uniwersytetu Bostońskiego w czasie letniej burzy, o ogrodzie pełnym niebieskich kwiatów za oknami gabinetu dziekana wydziału prawa, i znów zadał sobie pytanie, czy przybycie do Waszyngtonu nie było największym błędem jego życia.

Rozdział trzeci.

Tego samego sierpniowego dnia, w Santa Maria, stan Kalifornia, było

gorąco i bezwietrznie. Niebieskie niebo połyskiwało metalicznie nad miastem, bezchmurne, bezkresne. Ci, którzy mogli, chowali się w klimatyzowanych wieżowcach czy barach albo sadowili obok otwartych lodówek. Ci, którzy nie mogli, pili mnóstwo wody z lodem, zimnej herbaty lub piwa, czekali i pocili się.

Timothy Nash siedział w swoim fotelu, w Czternastym Wydziale Sądu Okręgowego w Santa Maria. W sali rozpraw panował miły chłód. Patrzył z góry na ławę przysięgłych. Było późne popołudnie i wczesny etap sprawy przeciwko Evanowi Soice.

- Dużo ma pan jeszcze pytań, panie Benisek? - spytał Nash oskarżyciela.

- Niewiele, Wysoki Sądzie - odpowiedział Craig Benisek, jeden z młodszych zastępców prokuratora okręgowego, występujący w sprawach kryminalnych. Miał zeza, a jego cera przypominała wyprawioną skórę.

Nash skinął głową. Po jego prawej ręce, na miejscu dla świadków siedział chudy funkcjonariusz policji w zbyt obszernym mundurze.

- W takim razie proszę kontynuować - nakazał Nash i zerknął na ławę przysięgłych.

Zasiadało w niej siedmiu mężczyzn i pięć kobiet, mieszanka ludzka składająca się z emerytowanych elektryków, starych wojskowych, agenta ubezpieczeniowego, dwóch właścicieli sklepów spożywczych, strażaka, farmera. Pani Spirlock poprawiała swoją nową fryzurę. Archie Marleau, którego brzuch wylewał się zza paska spodni, słuchał zeznań z tępym wyrazem twarzy.

Podczas dwóch miesięcy, w czasie których dobierano ławników w tej sprawie, Nash poznał każdego z nich. Pani Anderson z trudem zachowywała przytomność po lunchu. Pan Slipe kaszłał, ilekroć zakładał



nogę na nogę.

Nash widział wielu przysięgłych w swej karierze prokuratora i sędziego.

19

Nie nauczył się jednak wnioskować z ich zachowania. Byli dla niego nieprzewidywalni.

Ale za to nabrał pewności, że przysięgli niewiele dbają o to, co dzieje się w umyśle sędziego, jeśli nie jest to związane ze sprawą. My, sędziowie, jesteśmy jak żywe pomniki, pomyślał.

Poniżej, tak że nie mógł jej widzieć, siedziała jego sekretarka, Violet Yopp, materiały dowodowe ze sprawy leżały obok niej na biurku.

Naprzeciwko siebie widział Evana Soikę i jego dwóch obrońców. W miarę jak zbliżał się termin rozprawy, Nash zauważał poprawę w wyglądzie Soiki. Teraz był starannie ogolony, włosy miał modnie zaczesane, nosił ciemne spodnie i białą koszulę, której długie rękawy kryły wzorzyste tatuaże na ramionach. Za Soiką tkwili dwaj zastępcy szeryfa, gotowi go obezwładnić w każdej chwili.

Gdy Benisek przesłuchiwał policjanta, główny obrońca Soiki, Vincent Escobar, ziewnął i zakrył usta. Nash obserwował Escobara i Soikę z taką samą uwagą. Każdy z osobna mógł zrujnować rozprawę, Soika wybuchem agresji, Escobar dzięki jakiemuś uchybieniu proceduralnemu.

Widział, że musi być skupiony. Escobar byłby zachwycony, gdyby unieważniono rozprawę i wszystko zaczęło się od początku.

Cindy Duryea, asystentka Escobara, poklepała Soikę po ramieniu.

Nash poruszył pod stołem palcami u nóg, by pobudzić krążenie. Benisek, z typowym dla siebie zadowoleniem, okazywanym w czasie tej rozprawy, ustalał z funkcjonariuszem miejsce poszczególnych wydarzeń. Policjant

wskazywał różne punkty na powiększonej fotografii stacji benzynowej, umieszczonej na stojaku, tuż obok ławy przysięgłych.

Czyżby uważał, że w tak wielkiej sprawie nie musi się specjalnie wysilać?

- pomyślał zimno Nash. Może sądzi, że przysięgli przegłosują karę śmierci, jeśli dostatecznie ich znudzi.

- I gdzie się pan znajdował, gdy zjawił się pan po raz pierwszy na stacji benzynowej, panie Ross? - spytał Benisek.

Ross, stojąc bokiem do miejsca dla świadków, wskazał górną część dużego zdjęcia.

- Tutaj. To restauracja Denny'ego. Inni funkcjonariusze, strażacy i kilku ludzi z oddziału specjalnego znajdowali się na parkingu.

- A więc w odległości około pięćdziesięciu stóp od sklepu?

- Może sześćdziesięciu.

- Czy zgadza się pan z tym, panie Escobar? - spytał Nash.

- Oczywiście, Wysoki Sądzie - odpowiedział Escobar z nieznacznym uśmiechem. - Zmierzyłem tę odległość i wyszło mi sześćdziesiąt trzy stopy.

- A więc przyjmujemy sześćdziesiąt trzy stopy - stwierdził Nash. Soika potrząsnął głową i Duryea ponownie poklepała go po ramieniu. Escobar celowo bawił się długopisem. Wpatrywał się w niego, obracał w palcach zawsze wtedy, gdy zapadała cisza, rozpraszając uwagę. Nash wiedział, że

20

przysięgli obserwują Escobara, zamiast słuchać świadka. - Proszę tego nie robić, panie Escobar - powiedział Nash.

- Wysoki Sądzie?

- Słuchamy zeznań.

- Ja także.
- W porządku.
- Czy to zarządzenie formalne?

Nash, rozgniewany, jeszcze mocniej przycisnął stopy do dywanu pod swoim pulpitem.

- Nie, panie Escobar. Proszę tylko skupić swoją uwagę na świadku.
- Robię to, Wysoki Sądzie. - Escobar uśmiechnął się do ławy przysięgłych. - W najwyższym stopniu.

Rozprawa toczyła się przez cały czas tym torem. Nash był już zmęczony pilnowaniem, by żaden z oponentów nie zwracał na siebie zbytnej uwagi - Benisek od czasu do czasu, Escobar bezustannie. Groźba utraty kontroli nad rozprawą wciąż wisiała w powietrzu.

Ross splótł przed sobą dłonie. Spojrzał na Soikę, potem na sędziego.

Benisek, który nawet nie dostrzegł próby Escobara, by odwrócić uwagę przysięgłych, kontynuował beznamiętnie przesłuchanie.

- Czy widział pan oskarżonego albo ofiarę, gdy przybył pan na stację?
- Widziałem obydwu - odpowiedział Ross.
- Świadek może wrócić na swoje miejsce - powiedział Nash. Ross usiadł.

Wyglądał jak weterynarz z małego miasteczka.

- Gdzie się znajdowali? - spytał Benisek.

Ross obrócił się, wskazując dolną część fotografii - wewnątrz sklepu na stacji benzynowej.

- Pan Soika stał przy oknie, o tu. Pan Prentice tuż obok niego.
- Czy widział pan strzelbę?
- Oczywiście. - Ross przygładził włosy. - Oskarżony przystawiał mu broń do głowy.

- I właśnie wtedy zaczął pan negocjacje z oskarżonym w sprawie uwolnienia zakładnika?
- Tak. Rozmawiałem przez telefon, który zainstalowaliśmy na parkingu. Wokół było pusto, żadnych samochodów, żadnych przechodniów, nikogo. Miałem więc dobry widok na stację benzynową.
- Czy był to jakiś specjalny telefon? - Benisek przewrócił stronę swoich notatek.
- Zwykły aparat. Poprosiliśmy firmę telekomunikacyjną, żeby ograniczyła linię do stacji benzynowej, rozumie pan, żeby nikt się nie włączał. Tak więc tylko ja i Soika mogliśmy z niej korzystać.
- Niech pan jeszcze raz powie, ile czasu minęło od pierwszego zgłoszenia do pańskiego przybycia na stację?

Ross szybko zamrugał oczami.

- Może trzydzieści minut.

21

- Proszę jeszcze raz opisać to zgłoszenie? Ross odchrząknął.
- Jak już mówiłem dziś rano, ktoś zadzwonił i poinformował, że jest napad rabunkowy na stację benzynową.
- Że dokonuje się przestępstwo? Ross potrząsnął głową.
- Było to niejasne. Ktoś powiedział, że widział podejrzanego wóz, jakiegoś podejrzanego osobnika, który zjawił się na stacji benzynowej. I że na stacji dokonuje się rabunek.

Escobar podniósł się z miejsca.

- Kto dzwonił?
- Proszę usiąść, panie Escobar. Będzie mógł pan o to zapytać w czasie przesłuchania krzyżowego. - Nash, spięty, wychylił się do przodu.

Wiedział, że Escobar chce znów zakłócić tok rozprawy.

- Powiniennem mieć prawo o to spytać, gdyż nie zostało to jeszcze poruszone - zwrócił się Escobar do ławy przysięgłych.

- Niech pan siada - powtórzył Nash, z trudem hamując irytację. - To wciąż jest przesłuchanie bezpośrednie. Wie pan o tym.

Escobar skinął głową, nie przejmując się zbytnio, i usiadł. Nash oparł się o swój fotel. Trzeba cudu, by przy takim tempie ta sprawa trafiła w końcu pod obrady ławy przysięgłych.

Benisek szybko zakończył przesłuchanie.

- Jak długo rozmawiał pan z oskarżonym?

- Około ośmiu godzin.

- I przestał pan?

Ross westchnął i skrzyżował ręce na piersi.

- Przestałem, gdy padł strzał.

Nastąpiła piętnastominutowa przerwa. Protokolant gawędził ze Scottym Sheą, strażnikiem sądowym. Soika i jego adwokaci pozostali na sali.

Oskarżony miał skute ręce.

Nash wszedł do swojego pokoju i zamknął drzwi. Miał mnóstwo do przemyślenia tego dnia.

Gdy wrócił na salę, przysięgli szybko usadowili się na swoich miejscach.

- Proszę zacząć przesłuchanie krzyżowe, panie Escobar - powiedział Nash.

Patrzył, jak Escobar podchodzi do Rossa, od którego był tęższy i niższy.

Nash zastanawiał się, czemu Escobar właśnie w tej sprawie ryzykuje obrazę sądu, zbyt często zbliżając się do tego niebezpiecznie. Escobar był starym wygą sądowym, z urzędu wyznaczonym do tej sprawy. Zdawało

się, że czerpie z niej szczególną przyjemność.

22

Obrońca stanął obok Rossa, który siedział na miejscu dla świadków.

- Kiedy negocjował pan z panem Soiką, powiedział mu pan, że jest pan detektywem, prawda? - spytał szybko Escobar.

- Tak.

- Czy było to kłamstwo?

- Chciałem, by sądził, że mam wyższą rangę, że jestem kimś więcej niż tylko negocjatorem...

Escobar przerwał mu, nie podnosząc swojego ołowianego głosu.

- Pan kłamał, panie Ross, prawda?

- Owszem, jak już mówiłem... Escobar znów przerwał.

- Sędzia nakaże panu odpowiedzieć na pytanie, które zadałem, a nie na takie, na jakie chce pan odpowiedzieć.

- Sprzeciw - zareagował w końcu Benisek.

- Podtrzymuję. Proszę odpowiedzieć na pytanie, panie Ross, a pan, panie Escobar, niech nie poucza świadka - napomniał Nash.

Escobar potarł palce jednej ręki, jakby były lepkie.

- Powiedział pan panu Soice, że sprowadzi dla niego samochód, tak?

- Poprosił o to.

- I nie miał pan zamiaru go sprowadzać, prawda?

- Nie, sir.

- Więc znów pan skłamał.

- Tak, skłamałem. Escobar opuścił dłoń.

- Powiedział pan także panu Soice, że upewni się, iż ten nie będzie odsiadywał dłuższego wyroku niż pięć lat, jeśli się podda, prawda?

- Sądziłem, że w to uwierzy.
- Więc znów pan go okłamał?
- Tak, okłamałem.
- A gdy mu pan obiecał, że sprowadzi jego dziewczynę na posterunek policji, czy wtedy też pan kłamał?
- Nie wiedziałem, czy się tam znajdzie - głos Rossa był równie chłodny jak głos Escobara. Skrzyżował ramiona.
- Oznajmił pan panu Soice, że burmistrz i szef policji są nieosiągalni, prawda?
- Zdecydowaliśmy, że nie umożliwimy mu kontaktu ani z burmistrzem, ani z szefem policji, czego żądał.
- Więc znów pan skłamał, prawda?
- Tak przypuszczam.
- Żadnego „przypuszczam”. Było to kłamstwo?
- Tak.
- Kiedy powiedział pan panu Soice, że nie będzie żadnych prób wzięcia go siłą, to też było kłamstwo, prawda? - Escobar zerknął na Soikę, potem na Nasha. Miał pogardliwy wyraz twarzy.

23

- To zależało od niego.
- Jednak policja przypuściła atak na stację benzynową- powiedział ostro Escobar - i spowodowała przypadkowy wystrzał strzelby, który zabił pana Prentice'a.

Nash nie czekał nawet na spóźniony sprzeciw Beniska.

- Proszę nie odpowiadać, panie Ross. To niedopuszczalne, i pan o tym wie, panie Escobar.

Escobar obrócił się na swoich drobnych stopach. Uśmiechnął się.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie. Zagalopowałem się.

- Ma pan jeszcze jakieś pytania do świadka?

- Tylko jedno. - Escobar ponownie zwrócił się do policjanta, - Podczas tych ośmiu godzin, kiedy rozmawiał pan z panem Soiką, kłamał pan raz za razem. Chyba się nie mylę, panie Ross?

Ross w milczeniu patrzył na Escobara.

Przysięgli poruszyli się niespokojnie na swoich miejscach, obserwując obydwu mężczyzn. Pani Spirlock znów poprawiła włosy; kilkoro ludzi chrząknęło głośno. Nash spytał Beniska, czy ten ma jakieś pytania.

Zadaj po prostu właściwe, a to paskudne wrażenie zniknie, instruował go w duchu Nash. Miał nadzieję, że Benisek przyjmie bardziej zdecydowaną postawę.

- Panie Ross, zajmuje się pan zwalczaniem handlu narkotykami i negocjowaniem z przestępcami już od lat?

- Tak, zgadza się.

- Czy w tym czasie odniósł pan znaczące sukcesy, dokonując zakupu kontrolowanego nielegalnych narkotyków u dealerów, czy przekonując przestępców, którzy wzięli zakładników, żeby ich puścili, tylko dzięki temu, że powiedział im pan: „Jestem funkcjonariuszem policji z Santa Maria. Chciałbym pana aresztować”?

- Nie. - Ross uśmiechnął się, gdy przysięgli zachichotali wesoło. Nash westchnął. To były właśnie pytania, które sam by zadał, gdyby mógł, gdyby nie siedział na tym fotelu, oddalony od tej bitwy, która toczyła się na sali rozpraw, i jednocześnie wewnętrznie w nią zaangażowany. Zwrócił się do przysięgłych:



- Zamierzam zwolnić państwa do domu na ten dzień, panie i panowie. Być może odczujecie pokusę, by porozmawiać o tym, co dzisiaj się wydarzyło - stwierdził uroczyście - ale nie wolno wam omawiać tej sprawy, dopóki nie udacie się na naradę. To poważna sprawa. Oskarżony i policja tego stanu są obiektem waszej uwagi i sądu. - Gdy mówił, jeden czy dwóch przysięgłych przytaknęło. „Zawsze zatrzymaj ich na chwilę, zanim pozwolisz im odejść, zawsze dawaj przysięgłym do zrozumienia, kto kontroluje sytuację, jak kapitan na okręcie". Była to jedna z wielu rad, jakich mu udzielił ojciec. -Więc życzę państwu miłego popołudnia, panie i panowie. Pamiętajcie, by zjawić się jutro rano w sądzie i nadal uczestniczyć w tej rozprawie - zakończył.

24

Shea otworzył drzwi sali, przez które wyszli przysięgli, dostojnie, niczym wierni po kapłańskim błogosławieństwie.

Nash, patrząc, jak zastępcy szeryfa skuwają i wyprowadzają Soikę do aresztu obok sali rozpraw, myślał o tym, że mowę, którą dopiero co wygłosił, już kiedyś słyszał. Dwadzieścia, trzydzieści lat temu podobne, a może identyczne słowa padły z ust jego ojca w starym budynku sądu, gdzie pod ścianami na niewielkich wspornikach umieszczono wentylatory, gdzie mimo to w lecie panował obezwładniający zaduch, i gdzie wszyscy się pocili.

„Cały czas krążymy wokół najważniejszej sprawy - powiedział mu ojciec, gdy wracali później do domu, popijając wodę sodową z lodami. - Ale cała reszta, ta zabawa z mandatami za złe parkowanie, włamania, defraudacje, to tylko fasada. Liczą się życie i śmierć, a wszystko jest w naszych rękach, fimmy. Nic innego się nie liczy". Jego ojciec skazał w ciągu swego

sędziowania sześciu ludzi na komorę gazową.

Shea, rozluźniony i uwolniony od obecności przysięgłych, przy których musiał sprawiać wrażenie surowego i opanowanego, żartował z protokolantem, gdy ten chował swoją maszynę. Zamknięto już drzwi, za chwilę miały zgasnąć światła.

Nash wziął z pulpitu sędziowskiego kilka teczek. Wszystko, czego potrzebuję, myślał, patrząc na rozrzucone na blacie papiery. Lista biegłych, którzy mogli być wezwani do sądu; wykaz rezerwowych budynków sądowych; sporych rozmiarów księga z sentencjami wyroków, które ostatnio orzeczono: ile się dziś daje za napad z bronią w rękę, posiadanie heroiny, posługiwanie się naładowaną bronią, gwałt na dziecku. Schemat wysokości poszczególnych kaucji na żółtej odbitce; lista adwokatów, takich jak Escobar, którzy bronili z urzędu niezamożnych klientów; notatniki i książki pełne precedensów, z odpowiednimi uzasadnieniami odnośnie do warunków zawieszenia, zaostrzenia rygorów więzienia, prowadzenia przesłuchań w sprawie wysokości kaucji, zniesienia dozoru sądowego, przeprowadzenia badań poczytalności psychicznej, wykluczenia materiału dowodowego. Egzemplarz kodeksu Kalifornii leżał na dziennym wykazie rozpraw i jego własnych notatkach, związanych ze sprawą Soiki. Miał także pod ręką chusteczki higieniczne i karafkę z wodą. Pod pulpitem sędziowskim znajdował się przycisk, uruchamiany w razie nieprzewidzianych wydarzeń, a wtedy w budynku sądowym rozlegały się dzwonki i na pomoc nadbiegali funkcjonariusze.

Nash zwrócił się do Shei:

- Scotty, upewnij się, że wszystkie materiały dowodowe zostały zabezpieczone.

Shea, z dłońmi na biodrach, zasalutował żartobliwie.

- Pewnie. Hej, jak się panu podobała ta historyjka o przypadkowym odpaleniu strzelby?

- Nie wiem, co się tam wydarzyło. - Nash uśmiechnął się. - Ale jeśli Escobar twierdzi, że tak właśnie było, to prawdopodobnie stało się odwrotnie.

25

- Broń tak nie wypala - powiedział Shea.

Nash pomyślał, że Shea stara się zaimponować protokolantowi. Ruszył w stronę swojego pokoju, ponownie rzucając okiem na papiery i notesy leżące na pulpicie.

Mam tu wszystkie potrzebne mi w życiu materiały z wyjątkiem tych, które dotyczą najważniejszej sprawy, pomyślał. Mojego rozwodu. Mojego małżeństwa.

Roemer i niepozorny agent FBI o nazwisku Adams siedzieli w tylnej części samolotu, niedaleko małej kuchenki. Roemer westchnął, wyciągnął nogi i słuchał głuchego dudnienia silników.

- No dobra, niech pan mi to pokaże - zwrócił się do Adamsa.

Agent sięgnął do opasek, czarnej teczki i wręczył Roemerowi gruby, brązowy skoroszyt z zielonymi wstążkami. Roemer wziął go, uśmiechając się złośliwie.

- Wyłącznie nowe materiały?

- Wszystko, co mieliśmy na tego faceta.

- Nie chcę się grzebać w materiałach, które już widziałem - zastrzegł Roemer.

- Nie, są całkiem świeże. Nie było tego przy dokumentach, które pan już

oglądał.

Roemer znów westchnął.

- Waży tonę.

Adams przytaknął. Miejsca z przodu były zajęte, a między nimi posuwał się powoli steward, pchając wózek z drinkami.

- Będę potrzebował kilku drinków, zanim dolecimy do Kalifornii

-stwierdził agent, zagłębiając się w fotelu i patrząc przez okno na przezroczyste chmury, które otaczały samolot.

- Niech pan nie gada. Muszę to przeczytać - powiedział Roemer, otwierając skoroszyt. - Może rzeczywiście macie, chłopaki, coś na Nasha, o czym nie wiem.

Rozdział czwarty.

Dwaj brodacie mężczyźni w ciemnych okularach na oczach, ubrani w stroje gangu motocyklowego, sfatygowane i poplamione, siedzieli przed gabinetem Nasha. Nash pociągnął nosem, mijając ich. Ani śladu smrodu. Żadni z nich szaleni jeźdźcy. Agenci z Wydziału Narkotyków, jak sądził.

- Możesz zrobić mi filiżankę kawy, Vi? - spytał swoją sekretarkę.

Zdjął togę, oddychając z wysiłkiem. Pewność siebie, która mu towarzyszyła, gdy siedział za sędziowskim pulpitem, w obecności ławy przysięgłych, pryskała, gdy był sam. Miał za sobą długi dzień. I wiedział, że czeka go jeszcze dłuższy wieczór. Jeden z najdłuższych w jego życiu. Jezu, myślał z odrazą. Nie mogę nawet przestać uważać się nad sobą z powodu rozstania z żoną.

- Powinien pan wypić jakiegoś bezalkoholowego drinka zamiast kawę
- powiedziała Violet Yopp. - Albo jakiś sok.
- Potrzebuję kawy.
- Nie pomoże panu w taki gorący dzień.
- Vi. Proszę. Pozwól mi się napić.

Wyczuła jego zniecierpliwienie, które nieczęsto okazywał, gdy z nią rozmawiał. Ruszyła energicznie w stronę niewielkiego pomieszczenia gospodarczego, tuż obok jej gabinetu.

Była mierząca tylko pięć stóp wzrostu, sześćdziesięcioletnią, drobną, starannie ubraną Azjatka, którą mu przydzielono, gdy po raz pierwszy otrzymał stanowisko sędziego sądu miejskiego, a potem sama zgodziła się towarzyszyć mu, gdy przeniesiono go do sądu wyższej instancji. Rzadko się odzywała, ale mógł polegać na jej lojalności. Niespotykane nazwisko, Yopp, odziedziczyła po mężu, który zmarł przed trzydziestoma laty.

Pamiętała jeszcze ojca Nasha. Wszyscy go pamiętali, starsi urzędnicy, sekretarki i strażnicy sądowi. Jack Nash był wielkim sędzią. I wielkim ojcem, pomyślał automatycznie Nash.

27

Wszedł do małej, wyłożonej zieloną glazurą łazienki obok swojego pokoju. Jednym z drobnych luksusów sędziowskiego zawodu było to, że nie musiał siusiać, czy myć rąk w ogólnie dostępnej toalecie. Albo to, że gdy przebywał w gmachu sądu, cały sztab pracowników dokładał wszelkich starań, by go ochronić przed milionem drobnych przykrości i nieszczęść codziennego życia. Wszyscy byli grzeczni dla sędziego.

Wszyscy ustępowali drogi, uśmiechali się, ofiarowali pomoc.

Wszyscy chcieli, by sędzia ich lubił.

Nash umył ręce, potem twarz, czując ukłucia zimnej wody na odsłoniętych przedramionach. Posłyszał kroki Vi.

Co jest? - zastanawiał się. Rozwód? Trzydzieści lat i wszystko skończone, a on nie mógł zrozumieć dlaczego. Odejście Kim było strasznym, bezlitosnym ciosem. Żaden przywilej sędziego nie mógł go złagodzić. Po raz pierwszy, w wieku czterdziestu czterech lat, uświadomił sobie niespodziewanie i nieodwołalnie, że się zestarzeje, osłabnie, że straci żonę i dziecko, że umrze. Nie od razu, ale na pewno.

Przywykł do myśli, że jest nietykalny. Wysuszył ręce, uczesał rzednące, jasne włosy, zadowolony, że wciąż udaje mu się zachować smukłą sylwetkę. To inni faceci się rozwodzili i rozpadały im się rodziny. Inni gliniarze i prawnicy siwieli, flaczeli i zwalniali tempo. Ale teraz z nim działo się to samo. Kim udowodniła to rozwodem.

Nie jestem nietykalny, myślał Nash, gasząc światło. Nie ma wyjątków.

Vi stała cierpliwie obok jego wielkiego, dębowego biurka. Zdobądź się dla niej na odrobinę dobrego humoru, pomyślał.

Wskazała na filiżankę z kawą, ustawioną pośród papierów i sprawozdań.

- Co to za jedni? - Nash usiadł, wskazując na drzwi, za którymi czekali dwaj mężczyźni.

- Ludzie z Wydziału Narkotyków z prośbą o wydanie nakazu rewizji.

- Mogą poczekać. Jeszcze coś?

Zacząła przeglądać informacje przekazane telefonicznie i notatki.

- Azjatycko-Amerykańskie Towarzystwo Prawnicze wyznaczyło termin pańskiego wystąpienia na wtorek, za dwa tygodnie.

Napił się jej doskonałej kawy.

- Wystąpienie? Na jaki temat?

- Rola azjatycko-amerykańskich prawników. Co tylko pan zechce, jak przypuszczam. - Uśmiechnęła się konspiracyjnie.
- Zgodziłaś się w moim imieniu?
- Wiedziałam, że zechce pan wziąć w tym udział.
- Dziękuję, Violet. - Odpowiedział jej uśmiechem. - Może poprą mnie w następnych wyborach.
- Nie musi pan kandydować przez najbliższe trzy lata.
- Nigdy nie jest za wcześnie na zabieganie o wsparcie. - Przeglądał magazyny rozrzucone na biurku. Narty w Aspen, nurkowanie na Jamajce, lista cudownych snów, których czepiał się desperacko, gdy odejście Kim było

28

przesądzone. Jedź gdzieś, pobaw się na śniegu czy w słońcu, po prostu ucieknij i udawaj, że nic się nie wydarzyło.

- No i trzy razy dzwonił sędzia Atchley - dodała zmęczonym tonem Vi.
- W sprawie zbierania funduszy w Turf Club?
- Nie powiedział. Bardzo chciał się z panem spotkać. - Vi była wcieleniem dyskrecji.

Atchley startował w każdym wyborach i niezmiennie zajmował ostatnie miejsce w lokalnych rankingach. Od dziewięciu lat tkwił w sądzie rozpatrującym przestępstwa związane z narkotykami. Nash mruknął cicho. Inni sędziowie zewrą szyki, zasada, o której bezustannie mówił jego ojciec. „Trzymamy się razem, bez względu na to, kim ten nowy dupek jest albo jak jest głupi. Nikt nie wysiuda urzędującego sędziego”. Do tej pory Nash unikał błagań Atchleya o poparcie w wyborach. Bardzo go nie lubił.

- Lepiej się tym zajmę. - Ruszył w stronę tylnego wyjścia.

- Dzwonili jeszcze nasi specjaliści od układania terminarza - rzuciła za nim Vi. - Jak długo potrwa ta rozprawa?
  - Prokurator jeszcze nie skończył. Kto wie.
  - Powiem im, że nie mamy pojęcia, więc nie bierzemy w najbliższym czasie żadnej drobnej sprawy o odszkodowanie.
  - Dobrze. Poproś policjantów, żeby poczekali. Zaraz wracam. Będą siedzieć cierpliwie. Wszyscy czekali na sędziego.
- Z wyjątkiem tych, pomyślał, którzy są najważniejsi.

## Rozdział piąty.

Z zewnątrz nowy gmach sądu prezentował ponurą nowoczesność. Biała betonowa bryła z prostokątnymi oknami, wysoka na osiem pięter, jak ambasada w Kuala Lumpur czy w jakimś innym egzotycznym rejonie. Tam gdzie taka budowla ma przekonać tubylców, że postęp jest niezmacony, trwały, duży i niepowstrzymany.

Za każdą salą rozpraw w rozległym białym budynku biegł jasny korytarz z oknami. Nash szedł właśnie takim korytarzem, mijając kolejne sale, i wysokie regały, pełne sprawozdań z rozpraw, które nie znalazły miejsca gdzie indziej. Przez wysokie okna, stanowiące dla świata nieprzeniknioną twarz budynku widział pomarańczowo-białe pudło więzienia okręgowego i tętniące życiem centrum Santa Maria, połyskliwe i rozpalone.

Sędzia Wisot, wsparty o parapet okna, palił papierosa na korytarzu, ponieważ jego sekretarka nie tolerowała palaczy. Nash znał Franka od lat. Był starszym sędzią w okręgu, równie szanowanym, jak ojciec Nasha.



Prowadził kółko biblijne w Kościele Metodystów i grał w czasie przyjęć na fortepianie.

- Spieszysz się, Tim? - spytał jowialnie, zaciągając się głęboko.
- Idę do Harolda. Chce pieniędzy.
- Jezu. Mnie dopadł już dwa razy. Kupiłem cholerny stół na tej jego cholernej zbiórce funduszy.
- Może powiedziec, że dla ciebie zrobiłby to samo, Frank.
- Nie potrzebuję żadnego cholernego stołu. I nie urządzam cholernych zbiórek funduszy - prychnął Wisot. Wydał dokładnie osiem dolarów i czterdzieści dwa centy na swoją ostatnią kampanię, wszystko na znaczki pocztowe.
- Może uda mi się go namówić, żeby wziął ode mnie weksel. - Nash ruszył przed siebie. Wisot parsknął śmiechem i spojrzał zamyślony przez okno.

Sala rozpraw Atchleya znajdowała się tylko dwa piętra niżej, a mimo to obydwaj widywali się jedynie na cotygodniowych spotkaniach sędziów. Ojciec w gruncie rzeczy nie uprzedził go o izolacji i samotności, które 30

więzały się z tym zawodem. Jak kraby w swoich małych skalnych szczelinach, pomyślał Nash. Nie lubimy wychodzić na zewnątrz.

Skręcił do pokoju Atchleya. Dochodziła stamtąd skrzypcowa muzyka Macha. W sekretariacie nie było nikogo. Nawet strażnik sądowy, który na ogół lubił siedzieć i czytać gazetę, czy zajmować się porządkami, wyszedł. Atchley nie wzbudzał w swych pracownikach poczucia lojalności.

Nash wszedł do środka bez pukania.

- O co chodzi, Harold?

Sędzia Atchley tkwił na czworakach obok sofy. Nie miał marynarki, a jego błyszcząca, spocona twarz była czerwona. Na dźwięk głosu Nasha podniósł głowę, zaskoczony. Chrząknął.

- Och, Tim. Moje pióro, moje specjalne wieczne pióro potoczyło się pod sofę. Nie mogę go dosięgnąć. - Poprosił wzrokiem o pomoc.

Nash nie poruszył się.

- O to ci chodziło?

Atchley znów chrząknął i wstał. Wytarł ręce. Miał nieco ponad pięćdziesiątkę, lekką nadwagę i był raczej powolny w ruchach i mowie. Ale nie był głupi. Czytywał hiszpańską literaturę i niemieckich filozofów. Grał na skrzypcach, a w jego biurze wisiała na ścianie, oprawiona w ramę, fotografia z festiwalu Dixieland Jamboree w Santa Maria, sprzed sześciu lat, kiedy to jego zespół zdobył pierwszą nagrodę. Atchley na tym zdjęciu miał na sobie koszulę w biało-czerwone pasy i takie same spodnie; pocił się i grał na puzonie.

- Chodzi, oczywiście, o coś innego. - Ruszył, sapiąc, w stronę biurka.

Obok półki z książkami prawniczymi piętrzył się stos puszek z dietetycznymi drinkami.

- Masz ochotę się napić? Jest gorąco. Nie używam lodu, rozumiesz. Robi mi się od niego niedobrze.

- Nie, dziękuję, Haroldzie. Powiedz mi tylko, o co chodzi. - Nash nie umiał ukryć rozdrażnienia w swym głosie.

Atchley wziął puszkę, otworzył, pił przez dłuższą chwilę. Beknął niespodziewanie, jak dziecko. Był, co wyznał Nashowi przy pierwszym spotkaniu, uczulony na niemal wszystko. Nie używał żadnego dezodorantu ani silnego mydła. W ciepłych pomieszczeniach natychmiast dojrzewał,

niczym południowy owoc.

- Potrzebuję pomocy przy najbliższej zbiórce funduszy, za dwa dni. Mój skarbnik mówi, że sprawy stoją kiepsko. - Atchley znów beknął.
- Nie mogę dać ci dużo - stwierdził zgodnie z prawdą Nash. - Nie jest to sprzyjający czas. - Musiał odliczyć to, co Kim miała wyciągnąć od niego na dziecko i alimenty.
- Nienawidzę tego - powiedział zawzięcie Atchley. - Nienawidzę chodzić po prośbie. Ty też nie, prawda? Jesteśmy sędziami. Nie politykami.
- W końcu to tylko raz na sześć lat, nie częściej.
- Miałem nadzieję - ciągnął powoli Atchley - na poparcie. Może mógłbym nawet opłacić czas antenowy w radio.
- Jestem w samym środku rozprawy, w której może zapaść wyrok

31

śmierci. Nie powinienem tego robić - odpowiedział Nash. Chciał już wyjść. Czek podrzuciłby następnego dnia.

- Chodzi tylko o twoje nazwisko, Tim. Mógłbyś po prostu powiedzieć, że wykonałem dobrą robotę i że, według ciebie, będę dobrze się spisywał podczas następnej kadencji.
- Mogę kupić cegielkę. To najlepsze wyjście jak na razie. Rysy Atchleya stwardniały, i wyrwało mu się ciche beknienie.
- A twój ojciec? Czy mógłbyś go poprosić o poparcie?
- Lepiej, jeśli sam to zrobisz.
- Nie lubi mnie. Według niego nie jestem dobrym sędzią.
- Więc cię nie poprze. Nic na to nie poradzę.

Atchley znów się napił, krzywiąc się gniewnie. Opadł bezwładnie na skórzany fotel, przyglądając się Nashowi z nie ukrywaną goryczą.

- Nie wszyscy mamy takie szczęście jak ty, Tim. Nie mogłem liczyć na swojego ojca przy nominacji. Nie mogłem siedzieć sobie i patrzeć, jak oczyszcza mi drogę do sądu wyższej instancji.
- Nie rób z siebie dupka. - Nash odwrócił się. - Zostawię czek u twojej sekretarki.
- Ale nie przyjdiesz na zbiórkę?
- Nie wiem, czy będę mógł.
- Gdyby to nie była moja zbiórka, tobyś przyszedł. W Turf Club. To naprawdę daje efekty.
- Powiedziałem, że cię wspomogę finansowo. Atchley nagle wybuchnął:
- Muszę pracować, pracować, pracować. Cały czas pracować, żeby się tu utrzymać. - Omiótł dłonią pokój. Potrząsnął puszką. - Muszę błagać o pieniądze na kolanach.
- Nie przysporzysz sobie przyjaciół, narzekając - powiedział Nash, odwracając głowę.
- Nie potrzebowalbym przyjaciół, Tim, gdybym miał za sobą twoją rodzinę. Tylko jedno dobre słowo od wielkich Nashów.

Wściekanie się na Atchleya nic by nie dało. Pewnie każdy sąd miał swego Atchleya. Kiedyś, przypomniał sobie Nash, powiedział jedną mądrą rzecz ze swojego sędziowskiego fotela. Obrońca twierdził, że jego klient jest niewinny. Atchley wrzasnął: „Nie jest niewinny! Może nie popełnił tego przestępstwa, ale nikt nie jest niewinny”.

Muzyka Bacha, którą Nash słyszał za swoimi plecami, nabrała gwałtownie siły.

- Przepraszam, że musieliście czekać, chłopaki. - Nash skinął na dwóch policjantów, żeby weszli za nim do gabinetu. - Co tam macie?

Jeden z brodatych agentów, pewny siebie i szorstki - sposób bycia znany Nashowi z jego prokuratorskich lat - pogrzebał w pliku papierów.

32

- Mamy tu tę starą, zaćpaną dziwkę, sędzio. Nazywa się Maize i od kilku tygodni wciska nam gówno, ale teraz zamierza gadać. Ma coś na tych z obyczajówki, więc powiadam, hej, człowieku, popracujmy z dziewczyną. Drugi policjant, o czarnym szczeciniastym zaroście, wskazał na kwiat paproci obok sofy.

- Co to jest, sędzio?

- Spytajcie moją sekretarkę. Ona to kupiła. - Vi urządziła wewnątrz w przemyślany sposób, ustawiła rośliny o jasnych kwiatach, ułożyła na sofie haftowane poduszki.

- Hej, Rog, musimy zanieść na posterunek coś takiego - powiedział agent o czarnym zaroście. - Moglibyśmy wmawiać palantom, że to jakaś egzotyczna roślina. Podniecaliby się.

Nash uśmiechnął się, odprężony dzięki rutynowej lekturze prośby o zgodę na rewizję i normalnej dla policjantów z Wydziału Narkotyków atmosferze brutalności. Nie znał tych dwóch facetów. Byli nowi, w każdym razie nie spotykał ich, gdy w Biurze Prokuratora Okręgowego nadzorował dochodzenia związane z narkotykami.

- Czy to Maize nadała wam tę sprawę? - spytał.

- Może i ona.

- Bez żartów. Czy to wasza informatorka? Brodaty policjant spytał:

- Zostanie między nami? Załatwione?

- Nie wyjdzie poza ten pokój - obiecał Nash.

- O.K., jest naszą informatorką. Czy to ma znaczenie?

- Ma, jeśli ktoś później zechce podrzeć to na strzępy i powiedzieć, że nie przeczytałem tego uważnie - wyjaśnił Nash. - Wszystko, co tu macie, to to, że informacja o sprzedaży narkotyków w tym domu pochodziła od wiarygodnego informatora.

- To stara Maize. Naprawdę wiarygodna. - Obydwaj parsknęli śmiechem. Nash poczuł nagły przypływ smutku. Policjanci podali imię Maize zbyt łatwo. Było jasne, że niewiele znaczyła w ich planie. Informatorzy zawsze byli na łasce tak protektorów, jak i wrogów. Wyobraził ją sobie, prostytutkę, która oddawała się za kokainę, naćpaną dziwkę. Dostatecznie zdesperowaną, żeby kapować dla glin.

Jeśli Maize pracowała gdzieś w okolicy Sunrise Avenue, przy parkingach samochodowych, to była najprawdopodobniej czarna. Jeśli kręciła się w pobliżu Wschodniej Dziewiątej, to była biała. Chuda, ubrana byle jak, szorty i cienka bluzka w lecie, ta sama bluzka i dżinsy w zimie. Zęby w fatalnym stanie. Włosy zniszczone. Cały czas niespokojna. Prawie analfabetka, nie potrafiła nawet myśleć jasno. Nash spotykał takie osoby i rozmawiał z nimi wielokrotnie, gdy przesłuchiwał informatorów pracujących dla Wydziału Narkotyków. Nie było nic bardziej przykrego, odrażającego czy godnego litości niż zaćpana prostytutka.

33

Nash, czytając prośbę, położył nogi na rogu biurka. Jeden z agentów ziewnął.

- Tęskni pan, sędzio, za tym całym gównem z czasów, gdy pan był prokuratorem okręgowym?

- Na przykład za waszymi wizytami o drugiej nad ranem, żebym podpisał nakaz wyważenia jakichś drzwi? Albo za ciągłym wymuszaniem na was,

żebyście w sądzie mówili jak cywilizowani ludzie?

- Tak. Za całym tym gównem. - Policjant znów uśmiechnął się do Nasha.

- Czasem tęsknię - przyznał Nash. Szczególnie dzisiaj, myślał, kiedy dałbym wszystko, by cofnąć się o sześć lat w czasie.

Pracował z policjantami nad nakazem rewizji przez pół godziny, a im dłużej zwlekał, tym mniej myślał o tym, gdzie będzie o piątej po południu.

Nie chciał borykać się ze świadomością, że być może po raz ostatni przekroczy próg swego domu.

Naniósł poprawki na prośbę o rewizję.

- Mam wrażenie, że wy, chłopaki z Narkotyków, znosicie wszystko do mnie. Czy mam rację?

- Ma pan doświadczenie. - Czarnobrody policjant bawił się swoim zniszczonym portfelem, wiszącym na łańcuszku przypiętym do kieszeni. - Niektórzy sędziowie w ogóle nic nie łapią. Nie wiedzą, co jest grane.

- Myślicie, że podpiszę wszystko, co mi przyniesiecie? - Był poirytowany, że ci nowi z Wydziału Narkotyków uważają go za tak uległego.

- Wiemy, że pan to czyta. Jeśli mówi pan, że jest w porządku, to wiemy, że ten papier nie zamieni się w gówno, jak jakiś palant, obrońca w sądzie, zacznie wrzeszczeć o naruszaniu Czwartej Poprawki.

- Nie oszukujcie się - powiedział Nash. - Nie wszystko tak łatwo przechodzi.

Miał na myśli coś więcej niż tylko nakaz na jego biurku. Vi pisała na maszynie, dzwoniący telefon wciąż jej przerywał. „Wszyscy chcą z tobą rozmawiać - ostrzegał go ojciec. Każdy ma jakąś sprawę albo oczekuje jakiejś przysługi”. Z niechęcią podpisał nakaz. Już nic go nie trzymało w gmachu sądu, a nie chciał wychodzić. Niemal przekonał samego siebie, że

ten końcowy akt nie dokona się, jeśli uda mu się go odwlec, na podobieństwo magicznego zaklęcia, które nie działa z powodu braku jakiegoś ważnego słowa. Jeśli nie wróci do domu, Kim nie będzie mogła odejść. Nie będzie mogła zabrać Bena. Wręczył nakaz jednemu z policjantów i odprowadził ich do drzwi.

- Maize twierdzi - dorzucił brodaty - że zna jeszcze jedno miejsce, mają tam w środku prawdziwą hodowlę. Cały dom, a to jest nowy budynek w Grandview, ma te baterie słoneczne, najlepszą glebę, nawadnianie, okrągłe dziewięć jardów. Idzie się po ulicy i nic się nie widzi, a rośnie tam krasnodrzewu\* za jakieś dwieście tysięcy.

\* Krasnodrzew (przyp. red.) - krzew kokainowy, jego liście zawierają 0,25-1,31% kokainy.

34

- Może założę coś takiego w swoim domu - powiedział Nash. - Wszyscy się dziś z niego wyprowadzają.

Policjanci wybuchnęli śmiechem, biorąc to za żart. Jeden z nich poradził:

- No tak, jak pan rozwali wewnętrzne ściany, to będzie miał pan powierzchnię na kilkaset roślin.

Vi spojrzała na nich z dezaprobatą. Byli zbyt ordynarni i brudni jak na jej sędziego i jego gabinet.

- Pewnie przyda mi się trochę podniety - dodał Nash, gdy wychodzili szurając nogami. Nawet niewierny Tomasz nie podważałby ich przynależności do gangu, gdyby tylko cuchnęli jak należy.

Stał z rękami w kieszeniach, patrząc w głąb gabinetu. Vi znów pisała na maszynie. Prawie czwarta po południu. Czas uciekał. Na ścianie wisiały dyplomy i nominacje na sędziego od gubernatora, zdjęcie przedstawiające



jego zaprzysiężenie, odebrane z rąk ojca. Dwaj Nashowie z uśmiechem na twarzach, chełpiący się w skrytości ducha, że tak daleko zaszli. Były tam też spłowiełe zdjęcia prasowe z rozpraw, w których uczestniczył jako zastępca prokuratora okręgowego. Puchar, trofeum jeszcze ze szkoły średniej za rozgrywki w koszykówce, stał na górnej półce z książkami, między tomem sprawozdań sądowych Kalifornijskiego Sądu Najwyższego a podręcznikami o zielonych i złotych grzbietach, pełnych pozółkłych, martwych stron.

Na przeciwnej ścianie wisiał oprawiony portret trzech sędziów w jego rodzinie: ojca z grzywą siwych włosów, górującego wzrostem nad obydwoma synami, Timem i Richardem. Richard był sędzią federalnym w Filadelfii. Trzej Nashowie, ubrani w czarne togi, na jasnym tle atelier wyglądali uroczyście. Kiedy już rozległo się pstryknięcie aparatu, Jack Nash uściskał mocno każdego z synów. "Jestem bardzo dumny" - wyszeptał wzruszony.

Jasny prostokąt obok portretu był wspomnieniem po niepozowanej totografii, na której Nash uśmiechał się do Kim i Bena. Fotografii sprzed pięciu lat. Kim była na niej w swoim długim, czerwonym płaszczu i trzymała w dłoni małą rączkę Bena. Kiedy powiedziała, że odchodzi, Nash schował zdjęcie do najniższej szuflady biurka. Zostawił tylko fotografię Bena, na której chłopiec, poważny i zakłopotany, przypominał dziesiętnastowieczne studium dziecka na pozbawionym życia monochromatycznym obrazie.

Patrząc na nie teraz, czuł strach przed własną samotnością.

Vi, wciąż stukając na maszynie, powiedziała:

- Już prawie skończyłam, jeśli chodzi o te zmiany w instrukcjach dla ławy

przysięgłych.

Nash przytaknął obojętnie. Stos instrukcji, które przedłożyli Escobar i Benisek, miał grubość pół cala. Słowa i zasady. Trzy lokalne stacje telewizyjne wystąpiły z prośbą o zainstalowanie kamer w sądzie w dniu ogłoszenia werdyktu. Dziennikarze cały czas obserwowali przebieg sprawy, ale Nash w tej chwili był od niej o całe mile.

35

Bezlitosne popołudnie zamierało za murami gmachu.

- Będę w kawiarni.
- Proszę nie zapomnieć, że o siódmej jest pan umówiony na kolację z rodzicami.
- Niczego nie zapominam - powiedział zimno.

Był to ze strony Jacka i Hilary gest wsparcia dla ich znużonego syna. Pomóżmy mu zapomnieć o trzynastu latach małżeństwa i dziecku, i zaprośmy na obiad pocieszenia. Najpierw koktajl, proszę.

Rozdział szósty.

Kawiarnia była przystanią dla ludzi zmuszonych przebywać w gmachu sądu. Nash dostał filiżankę kawy od Lena, niewidomego barmana, który ufał ludziom bardziej niż powinien, i znalazł wolny stolik. W wymiętej koszuli, pochylony nad gorącą kawą, wtopił się w tło tego późnego popołudnia. Duża sala, zalatująca lekko tłuszczem z bekonu, zestarzałym lukrem i środkiem czyszczącym, nie pękała w szwach, ale i nie świeciła pustkami. Rodziny przy stolikach rozmawiające przyciszonymi głosami;

prawnicy opowiadający głośno historyjki; samotni ludzie nie widzącymi oczami wpatrujący się w okna, zatopieni w myślach o tym, co im się przytrafiło i co jeszcze przytrafi.

Nash pomachał odruchowo do dwóch innych sędziów, siedzących w głębi sali, Pedrottiego i Arevoli. Kiedyś uprawiał z nimi jogging w Northside Park, w czasie południowej przerwy. Mógłby znów to robić.

Podszedł do niego wysoki mężczyzna.

- Tryby sprawiedliwości miażdżą w dzisiejszych czasach szybciej, jeśli ma pan wolne popołudnia - powiedział z uśmiechem.

Nash spojrział w górę i przez chwilę przyglądał się mężczyźnie.

- Mój Boże, pan Terhune. Musiał tu pana ściągnąć jakiś poważny kryzys.

- Uścisnął mu serdecznie rękę i wskazał krzesło obok. Spotkanie z Dennisem Terhune znaczyło tyle, co pchnięcie świata na właściwe tory. Bohaterowie z dzieciństwa nie przestają być Supermanami.

- Przyszedłem tu, żeby z panem porozmawiać, panie sędzio. Powiedziano mi, że skończył pan na dzisiaj. - Terhune usiadł ze swobodną elegancją.

- Odesłałem przysięgłych do domu na ten dzień. Wygłosiłem im zwyczajowe pouczenie. Lubię słyszeć te słowa, nawet jeśli już tak bardzo mnie nie ożywiają. - Nash skrzywił się.

- Rutyna zabija każdy ideał.

37

- Ma pan coś mi do przedłożenia? Jakąś prośbę? Sprawę? Coś, co mogę zrobić?

Terhune uniósł nieznacznie rękę. Był człowiekiem, którego Nash podziwiał od dzieciństwa. Tylko o pięć lat młodszy od jego ojca, Terhune obnosił swoją elegancję równie swobodnie, jak swój szyty na miarę

prażkowany garnitur i robione na zamówienie buty. Jego twarz miała ostro rzeźbione rysy asectyka, choć on i jego żona byli częstymi gośćmi na dobroczynnych kolacjach. Cechowały go dowcip i nienaganne maniery, z którymi Nash rzadko miał do czynienia w sądzie i za którymi tęsknił. Co więcej, tęsknił za tymi dawnymi dniami, kiedy to Terhune i jego ojciec byli przyjaciółmi i partnerami, a on odwiedzał ich w znamienitym starym Lexington Building. Ściany wysokiego budynku zdobiły ornamenty przedstawiające rycerzy i aniołów, a sam gmach stał niczym wieczny pomnik na Jackson Avenue, głównym bulwarze Santa Maria. To właśnie Dennis Terhune dawał mu gumę albo miętowego dropsa podczas tych wizyt.

Kiedy spółka rozpadła się, co przebiegało równie nieprzyjemnie jak każdy rozwód, ojciec Nasha przejął ten zwyczaj wręczania drobnych łapówek pod postacią słodyczy w trakcie synowskich wizyt. Nigdy wcześniej tego nie robił.

- Nie przychodzę z niczym oficjalnym - odpowiedział Terhune. - Nie sprowadza mnie żaden interes. Mam akurat wolną chwilę. Jak ty. - Rozejrzał się bez szczególnego zainteresowania po sali, jakby znajdował się w El Dorado Club i mógł kogoś znać.

Nash zauważył, że Terhune, jak zwykle, siedzi ze skrzyżowanymi nogami, w zapiętej marynarce. Zawsze prowadził działalność prawniczą w starym stylu, formalnie i precyzyjnie. Nigdy nie zdejmował marynarki, nawet w letnie dni jak ten, gdy żaden wentylator nie nadażał za zniewalającym upałem.

- Nie widziałem cię na lunchu podczas okręgowej konwencji prawników, w lutym. - Zdawało się, że mówi od niechcenia. - Nie widziałem cię też na

stanowej konwencji, w kwietniu. Pomyślałem sobie, że lepiej umówię się z tobą na nasze coroczne spotkanie.

Nash, pomimo z trudem przez ojca ukrywanej niechęci, kontaktował się z Terhune 'em od lat.

- Byłem zajęty - powiedział. Dwie sprawy, jakie prowadził, zbiegły się w czasie z odejściem Kim i rozpadem jego prywatnego życia.

- No a potem przez miesiące gromadziłeś ławę przysięgłych, jak słyszałem. Ta sprawa Soiki. Zakładnik nie żyje. Nie do uwierzenia, że coś takiego dzieje się w naszym mieście. Naprawdę.

Nash pomyślał, że Terhune, którego lukratywna praktyka obejmowała wyłącznie prawo gospodarcze i nieruchomości, z trudem pojmuje brutalniejsze, elementarne aspekty życia, czyli sens kryminalnej rozprawy sądowej.

- To trudny przypadek, ale prokurator nie wysiła się, bo sądzi, że jest inaczej. Przysięgłym może się bardzo nie spodobać to, że wszyscy okłamywali Soikę, i mogą uwierzyć w ten przypadkowy strzał, który padł, gdy policja ruszyła do szturmu.

38

- Nie. Niemożliwe.

- Czasem wierzą w coś takiego. Nigdy nie wiadomo.

- Nie miałbym żadnych problemów, jeśli chodzi o werdykt - powiedział Terhune, jakby obaj obracali się w tym samym kręgu spraw.

- Dlatego żadna ze stron nie dopuściłaby pana do ławy przysięgłych. Jeśli wydadzą werdykt o morderstwie pierwszego stopnia, to będzie to pierwszy wyrok śmierci w mojej karierze.

- Przygnębiająca myśl.

Nash bardzo się cieszył ze spotkania z Terhune'em, ale czas dzielący go od tego, co nieuniknione, kurczył się coraz bardziej. Miał ponadto dziwne wrażenie, że Terhune, elegancki i odnoszący sukcesy adwokat najbogatszych ludzi w mieście, jest jakiś skrępowany.

O coś mu chodzi, ale nie chce powiedzieć o co, pomyślał Nash.

Terhune wyjął cienkiego papierosa i zapalił.

- Paląc tutaj, nie czuję się jak społeczny wyrzutek. - Uśmiechnął się.  
- Chciał pan ze mną porozmawiać. Jakaś sprawa, którą pańska firma chce u mnie załatwić? - spytał Nash. - Dzieciak jednego z klientów, przytknięty za jazdę po pijanemu?

Terhune potrząsnął głową.

- Nie, nie, Timothy. Jak tam twoja matka?

- Doskonale. Chce otworzyć restaurację.

Terhune przytaknął bez zainteresowania. To zdziwiło Nasha. Zawsze mu się zdawało, sądząc po solidarnym milczeniu ojca i matki, że namiętność Terhune'a do Hilary Nash była jedną z przyczyn gwałtownego rozpadu spółki przed trzydziestu laty.

- A jak tam Jack? W dobrym zdrowiu? Słyszałem, że prowadzi ostatnio prywatną praktykę.

- Daje mu to dużo zadowolenia. Zarabia teraz znacznie więcej niż wtedy, gdy zasiadał w sądzie.

Nash pił swoją kawę. Terhune znów przytaknął bez zainteresowania. Milczenie się przedłużało. Terhune patrzył na swoje błyszczące buty, spoglądał w zamyśleniu na szarawe linoleum na podłodze, na ludzi z tacami jedzenia wolno zmierzających do stolików.

Nie był prawdopodobnie w gmachu sądu od lat, pomyślał Nash.

Nie zamierzał mówić na temat swojego umierającego małżeństwa. Nie wiedział, czy Terhune coś o tym słyszał. Był to zbyt osobisty ból, który otwarcie pokazywał tylko bratu i rodzicom. Skończył kawę. Już czas. Prawie piąta po południu.

- Muszę wracać. - Zaczął się podnosić.
- Jesteś zajęty dziś wieczór, Timothy? - niemal wyrzucił z siebie Terhune.
- Dziś wieczór to niemożliwe... zaczął Nash.
- Bo chciałbym, żebyś się z kimś spotkał. - Terhune nie podniósł głowy, udając obojętność.
- Mam inne plany.

39

- To nie będzie z nimi kolidowało. Może przed kolacją? Kilka drinków?
- Nie dziś wieczór. Nie da rady.
- Później? Jak już wszystko pozałatwiasz? - Tym razem Terhune podniósł wzrok, i Nash, zaskoczony, dostrzegł na starannie wygolonej, pachnącej wodą kolońską i wymasowanej twarzy Terhune'a coś jakby błaganie.
- Kto to jest? - spytał zaciekawiony Nash.
- Nie trzeba na razie wymieniać nazwisk, Timothy. To sprawa poufna i uznasz ją za wartą zachodu.
- Czy to interes? Nie mam teraz gotówki na zbyciu. - Pomyślał o gorzkich oskarżeniach Atchleya. - Absolutnie żadnej.
- Nie chodzi o interes. Obiecuję, że nie będę prosił o dotację nawet na rzecz wartościowej sprawy - zapewnił Terhune drwiąco, gasząc drogiego papierosa w popękanej plastikowej popielniczce. - Chcę po prostu, żebyś z kimś się spotkał.
- To chyba najbardziej niejasne zaproszenie, jakie kiedykolwiek

otrzymałem. - Nash poluzował krawat. - Może moglibyśmy to załatwić przy okazji któregoś ze spotkań w późniejszym terminie. Dziś jest to niemożliwe.

Terhune wstał, kręcąc chudą, pomarszczoną szyją, jakby pragnął uwolnić jakąś ukrytą sprężynę napięcia.

- Chciałbym, żebyś zaufał memu osądowi, Timothy. To jest o wiele ważniejsze niż wszystko, co sobie na dziś zaplanowałeś.

- Będziemy musieli zrobić to kiedy indziej. - Nash podniósł się.

- On nie pozostanie w Santa Maria zbyt długo - zauważył Terhune.

Odprowadził Nasha do bocznego wejścia, obok pojemników z brudnymi talerzami i filiżankami. - Umówię cię na inny termin.

- Kiedy pan zechce. Jeśli uważa pan, że to ważne. - Nash włożył swoją filiżankę do pojemnika.

- To może diametralnie odmienić twoje życie.

A to jest właśnie to, pomyślał Nash, czego w tej chwili absolutnie nie chce.

Zbliżyli się do windy.

- Dobrze było znów pana widzieć - powiedział Nash i uściśnął

Terhune'owi dłoń, a potem patrzył, jak ten wsiada do zatłoczonej windy.

- Wkrótce się z tobą skontaktuję. - Terhune uklonił się z kurtuazją.

W drodze do pokoju sędziowskiego zatrzymało Nasha trzech adwokatów od odszkodowań. Chcieli mu powiedzieć, jak wspaniale udały się ryby na Merriwether Slough. W rzeczywistości chcieli się dowiedzieć, co zamierza w sprawie wniosku, który przedłożyli.

Kiedy już z nimi skończył, poszedł do swojego gabinetu i, jak robił to każdego wieczoru, wyjął z metalowej komody obok biurka sprawozdania kuratorów sądowych, ułożone starannie przez Vi. Był to plik o grubości



sześciu cali. Wszystko dotyczyło ludzi, w których sprawie miał wydać wyrok następnego dnia, przed rozprawą Soiki.

Pożegnał się z Vi. Wcierała balsam w szczupłe, drobne dłonie.

Powiedziała, że Atchley znów dzwonił. Nash zaklął.

40

Kiedy mijał areszt sądowy obok sali rozpraw, ciężkie metalowe drzwi otworzyły się i ze środka wychylił się Scotty Shea, przytrzymując je swoim Muskularnym torsem.

- Masz dziś na coś ochotę, Tim? - Shea zrobił gest, jakby wychylał kieliszek.

Przez ostatnie miesiące Nash i Shea odwiedzali bary w południowej części okręgu, znajdując dziewczyny na jedną noc wśród mieszkanek małych miasteczek, które, pełne nadziei i chęci, weekendowe wieczory spędzały w knajpach.

Nash potrząsnął głową.

- Mam coś innego do roboty, Scotty. Powiesz mi, jak ci poszło, O.K.?

- Ze szczegółami. - Shea cofnął się do środka, zamykając drzwi. Nash, opuszczając gmach sądu, pomyślał, że na tę jedną noc chętnie zamieniłby się miejscami z Terhune'em lub Sheą.

Rozdział siódmy.

Niebo nad Santa Maria miało kolor wypłowiałego błękitu, z wyjątkiem

rdzawej poświaty nad horyzontem, tam gdzie zamierające, żółtawe

promienie słońca przeświecały przez cienkie chmury. Nash jechał drogą, którą przemierzał od pięciu lat. Po prawej ręce miał centrum handlowe miasta, zdominowane od niedawna przez przeszklone biurowce z kamienia skalnego i ogromny nowy hotel o fasadzie z różowego marmuru. Hotel ten, podobnie jak inne w mieście, służył głównie jako siedziba przeróżnych zjazdów, które zdawały się napływać i odpływać jak fale. Nash był dumny z rozwoju swego miasta. Lubił place budów i gwar, który na nich panował. Jechał teraz z opuszczonymi szybami, czując palący żar, który sprawiał, że się pocił mimo lekkiego garnituru.

Letnie powietrze pachniało wysuszoną trawą i kurzem, gorzką mieszanką. Minał przecinającą miasto leniwą rzekę Tuolumne, brązową, i szklistą. Zerknął na inne samochody, tłoczące się na szosie. Wszyscy kierowcy zmierzali do domów, w których znajdowali oparcie.

Nash był szczególnie dumny, gdy razem z Kim kupili piętrowy dom na Avila Avenue, pośród niewzruszenie trwających starych budynków, oplecionych pnącymi kwiatami i starych, grubych drzew, rosnących wzdłuż ulicy. Nadzorował wówczas Narkotyki i spodziewał się podwyżki. Rodzice pomogli spłacać hipotekę.

A teraz nie był w domu prawie od miesiąca i przygotowywał się w duchu na nieuniknione zmiany.

Zaparkował samochód i stwierdził, że drzwi frontowe stoją otworem. Salon wyglądał dziwacznie, została tylko kanapa, którą kupiła Kim, i zapadające się, wyściełane krzesło. Większość mebli została sprzedana albo wywieziona. Nie chciał ich. Nie chciał już niczego z domu przy Avila Avenue. Pokój świecił pustką i nagością, drewniana podłoga połyskiwała, jakby była mokra. Miał wrażenie, że przez ich dom przetoczył się żywioł,

unosząc ze sobą wszystko.

42

Usłyszał jakiś ruch na górze. Gdy wspinał się po wyłożonych dywanem schodach, jeszcze chciał wierzyć, że to zwykły wieczór, że w ogóle nic się nie zmieniło.

Kim była w sypialni albo w tym, co z niej pozostało. Na nagiej podłodze stały dwa wielkie, otwarte pudła, a ona sama wychodziła właśnie z garderoby ze stosem zimowych płaszczy, które rzuciła bezładnie do jednego z kartonów.

- Zabierasz wszystko? - spytał, wiedząc, że to głupie pytanie.

- Daj spokój, Tim. Powiedziałeś, że nic z tego nie chcesz. To moje i nie zamierzam się tego wyzbyć. - Miała na sobie koszulę z drukowanym wzorem i spódniczkę ukazującą nogi, długie i smukłe dzięki wieloletniej jeździe na rowerze. Teraz zamierzała wrócić na studia. Małżeństwo zaczęło się jako żart, u on tego po prostu nie zauważył.

- Nic z tego nie chcę. - Zerknął na zakurzoną toaletkę, gdzie trzymała kosmetyki, na szuflady, które były do połowy wysunięte i przypominały gapowato rozdziawione usta.

- To głupie z twojej strony, że stąd uciekasz. - Zbierała z podłogi pozostałe rzeczy. - Masz cały dom. Nie musisz wynajmować mieszkania.

Nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć, często mówiła do niego, nie spodziewając się odpowiedzi. Była od niego o parę lat starsza i w czasie ich małżeństwa z osoby z nadwagą zmieniła się w osobę zbyt chudą.

Wreszcie osiągnęła równowagę, teraz jej figura była bez zarzutu. Kim swoje kasztanowe włosy związała z tyłu krótką wstążką.

W miejscu, gdzie stało niegdyś ich łóżko, widniał ogromny kwadrat kurzu.

Wyglądało tak, jakby te szare drobiny przenikały ich i opadały, gdy spali albo się kochali, a każde z nich śniło w tamte noce coś zupełnie innego.

- O której odlatujesz? - spytał, stojąc nieruchomo, podczas gdy ona się pakowała. Nienawidził każdej chwili, jaką tu spędzał.

- O ósmej czterdzieści pięć. Przywiozłam ze sobą Bena, żebyśmy mogli pojechać wprost na lotnisko.

Nash był zaskoczony.

- Gdzie on jest?

- Kręci się gdzieś w pobliżu. Chyba jest w swoim pokoju - rzuciła, wskazując niedbale ręką.

- Zamierzam walczyć, Kim. Wiesz, że będę z tobą walczył bezustannie.

Westchnęła, co było objawem rezygnacji i zniecierpliwienia, gdy stykała się z argumentem, który uważała za niegodny czy bezsensowny.

- Nie groź mi. Przestań to robić. Postanowienie sądu jest nieodwołalne.

Alimenty są ustalone. Dogadaliśmy się co do podziału majątku.

Nagle Nash stwierdził, że krzyczy.

- Nie zgodziłem się, byś zabrała mojego syna! Nie zgadzam się, żebyś wyjechała do Los Angeles i tam go trzymała!

- Miałeś szansę o to walczyć. Przegrałeś - przypomniała, przykrywając pudła wiekami. Stawiały twarde opór.

- To była głupia decyzja i zamierzam ją zmienić - powiedział, a potem

43

uderzył w jej najsłabszy punkt. - I tak spotkamy się w sądzie. Nie utrzymasz się z sumy, o której mowa w orzeczeniu. Nigdy nie musiałaś tak żyć, gdy byliśmy małżeństwem.

- No cóż, zamierzam spróbować. Próbuję wielu rzeczy, których, jak mi się

wcześniej zdawało, nie miałam szans zrobić. - Spojrzała mu nieustępliwie w twarz.

Nash, stojąc na tym ogołoconym, zakurzonym pobjowisku, jakie pozostało z ich sypialni, nienawidził Kim jak nigdy dotąd i jednocześnie pragnął się z nią kochać.

- Cała ta historyjka o szukaniu własnej osobowości to gówno - powiedział wulgarnie, chodząc po pokoju. - Za kogo się uważasz? Mamy nasze wspólne życie, naszego syna. Nie możesz się tego wyrzec. Nie możesz tego zrobić.

- Nie przejawiam uwielbienia wobec doskonałych rodzin, jak ty masz to w zwyczaju. - Starła kropelkę potu obok oka. Nie ufała klanowi Nashów od samego początku.

- Uczciwie cię ostrzegłem. To jeszcze nie koniec. Zamierzam walczyć i odzyskać Bena.

- Twój ojciec może poruszyć wszystkie sprężyny, jakie mu się podoba, ale dziś wieczór i tak wyjeżdżamy z Santa Maria. Chcesz się pożegnać z Benem?

Rzucił jej przekleństwo i odwrócił się, bojąc się, że Kim może zauważyć, jak bardzo jest zraniony. Szedł niepewnym krokiem w stronę pokoju Bena, na nagich teraz ścianach kiedyś wisiały kolorowe obrazy.

Jego syn siedział na gołym materacu, który zajmował środek pokoju.

Mały, jak na swój wiek, ale pełen energii. Miał jasne włosy Nasha i wesołe usposobienie, spadek po dziadku. Miał też twardość Kim, jej nieostre rysy.

Nash stał w drzwiach, pełen wahania, nie chcąc synowi przeszkadzać. Ben miał twarz zwróconą w drugą stronę, ku pustej ścianie, którą niegdyś ożywiały plakaty z całego świata. Dzikie zwierzęta, Batman. Garderoba,

zwykle pękająca w szwach od nadmiaru zabawek i ubrań wepchniętych byle jak do środka, była biała i pusta.

Gniew Nasha już się wypalił, został jedynie smutek.

- Trzeba przyznać, że posprzątałeś pokój. Spójrz tylko. Chyba nigdy nie widziałem go w tak idealnym stanie. - Przekroczył próg.

Ben podniósł głowę, potem wstał. Był gotowy do podróży.

- Nie chcę jechać - powiedział.

- A ja nie chcę, żebyś jechał.

- Więc zostanę?

Człowiek zawsze musi targować się z siłą wyższą, pomyślał Nash. Boże, proszę, ulżyj odrobinę mojemu bólowi, a będę się modlił każdego dnia.

Daj mi dość pieniędzy na spłatę samochodu albo na następny mandat za przekroczenie szybkości czy stłuczkę, albo na cokolwiek, albo pozwól mi uratować rodzinę przed rozpadem. Przysięgam, że będę dobry. Ben dowiady-

44

wał się zbyt wcześnie, że te targi były jednostronne, a oferty spotykały się z milczeniem.

Nash otoczył syna ramieniem.

- Nie, musisz jechać, Niedźwiedziu. Lecisz do L.A. Lubisz latać, prawda?

- Nie chcę tam jechać. Nie chcę opuszczać naszego domu.

- Pewne rzeczy nie mogą pozostać niezmienione, Niedźwiedziu. Rzeczy zawsze się zmieniają, i czasem nam się to nie podoba, czasem nienawidzimy tego, ale musimy to akceptować.

- Mógłbym z tobą mieszkać.

Nash spojrzał w pełną niepewności, przestraszoną twarz syna.

- Spotkamy się mniej więcej za miesiąc. Będziemy przez jakiś czas razem, i będę często cię widywał. Może częściej, niż nam się teraz wydaje.

Ben przytaknął i odsunął się od Nasha, kierując się w stronę dużego, pozbawionego zasłon okna, za którym widać było zacienione i opuszczone teraz podwórko.

- Zostawiam tu domek na drzewie, który zrobiliśmy. - Wskazał ręką. Nash spojrział. Ciemny kształt, zakryty splątanymi gałęziami wielkiego dębu, który dominował nad podwórzem, ledwie majaczył. Budując domek, pracowali na cienkim, niepewnym rusztowaniu z desek, ukrytym wśród liści. W domku były zabawki i mała poduszka, a także kredki. Schronienie przed światem, w którym nigdy nie rządzi sprawiedliwość.

Wspaniale, że tak myślę. Nash znów przytulił syna. Sędzia, który przeczy istnieniu sprawiedliwości.

- Nasz domek pozostanie dla dziecka, które tu zamieszka, Niedźwiedziu. To tak jakbyśmy też tu zostali. Coś, co wspólnie zbudowaliśmy.

- Nie chcę jechać. - Ben nie był w stanie przekroczyć tej bariery. Nash usłyszał, jak Kim woła ich z sypialni. Musiała już skończyć z pakowaniem. Nadszedł czas, by odejść; czas, by skończyć.

- Zadzwoń do ciebie wieczorem, jak tylko doleczysz do L.A., O.K.?  
Poprowadził Bena do sypialni, trzymając go za ramię. Stwierdził, że Kim zeszła na dół i po raz ostatni sprawdza kuchnię. Mieli tyle planów co do tego domu, rozbudować kuchnię, gdyby pojawiło się drugie dziecko, przebudować patio, żeby można było na nim siedzieć, nie przejmując się komarami. Cała trójka czuła się nieswojo. Kim zamknęła szafkę.

- Załadowałam już samochód i nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

-Spojrzała na Nasha.

- Pamiętaj, co ci powiedziałem - rzucił opryskliwie, uwalniając z niechęcią Bena. Kim przejęła chłopca, niczym posiadacz.

- Nie próbuj teraz niczego, Tim. Niech wszystko przebiegnie prosto i łatwo. - Spojrzała w dół, na smutną i zmieszaną twarz ich syna.

Nash milczał. Do kuchni wpadało światło słoneczne, ale nie mogło już ożywić tej martwoty. Odgłos ich kroków, gdy zmierzali do drzwi wejściowych, był nieznośny, odbijał się głuchym echem. Kim i Nash przystanęli. Na

45

podjeździe czekało załadowane kombi. Może miała rację. Złość nic by teraz nie dała, zwłaszcza że mieli obok siebie Bena, który słuchałby i czułby się zraniony. Udawaj po prostu, że wyjeżdża tylko na jeden z tych weekendów, które w rzeczywistości były zwiastunem zbliżającego się końca. Tylko kilka dni i wróci.

- Ogłoszenia zaczną pojawiać się jutro - powiedział Nash cicho, pełen napięcia. - Cena domu, jaką ustaliliśmy, dwieście siedemdziesiąt pięć tysięcy, prawdopodobnie pokryje hipotekę. Agent twierdzi, że oferta będzie aktualna tylko przez kilka tygodni. Każdy chce mieć w dzisiejszych czasach taki dom.

Kim błędziła wzrokiem po murach domu, potem spojrzała na Nasha. Trzymała Bena za rękę. Ona też chce to odwlec, zatrzymać, pomyślał. Wcale nie jest pewna, że wszystko jest w porządku, jak mi to mówiła. Zabrzęczał pęk kluczy, które wsunęła mu w rękę.

- To od drzwi wejściowych, dwa komplety od garażu i od furtki na podwórze. Dzwoniłam do służb miejskich, więc powinni odciąć wszystko. Jesteś pewien, że nie chcesz tu mieszkać?



Nash potrząsnął głową.

- Podoba mi się tam, gdzie jestem. - Po chwili dorzucił: - Obiecałem Benowi, że zadzwonię dziś wieczorem, jak dotrzecie na miejsce. - Dotknął włosów syna.

- Będziemy bardzo zmęczeni.

- Na litość boską - warknął.

- Nieważne, że będę zmęczony - szybko wtrącił Ben.

Nash zaczął się zastanawiać, jak Kim mu wyjaśniła niewytłumaczalny i niewybaczalny rozpad ich rodziny. Chciałbym poznać te kłamstwa, pomyślał z furją.

- W porządku - powiedziała. - Zadzwon, jeśli chcesz. Tylko nie za późno.

- Westchnęła ciężko. - Masz jutro rozprawę Soiki. Wiem, że jest trudna.

- Daję sobie radę.

- Chodziło mi tylko o to... - zaczęła, a po chwili dodała cicho: - Do diabła.

Musimy jechać. Masz numer i adres mojej siostry.

- Powiedziałem, że będę dzwonił.

- Słusznie. Słusznie. Pożegnaj się z tatą, Ben - nakazała.

Ben pomachał dłonią w milczeniu, ze spuszczoną głową, zmęczony upałem.

Nash objął go szybko, przytulił, a potem Kim i jego syn odeszli podjazdem, który sam zrobił. Na tle zamierającego słońca ich sylwetki były prawie czarne. Wsiedli do samochodu. Stał w progu domu i patrzył, jak samochód wolno skręca i znika za rogiem.

Nie zamknął drzwi. Znał wszystkich mieszkańców Avila Avenue. W soboty żartowali sobie, ścinając trawniki albo próbując ratować więdnące krzewy, rozmawiali o nowej farbie, która pojawiła się na rynku,

rozgrywkach baseballu w telewizji, niezliczonych, codziennych szczegółach, które umilały życie.

46

Nie mam już tego, uświadomił sobie w końcu. Zamierzał walczyć o zmianę planu wizyt, tak by mógł mieć dłużej Bena dla siebie, może nawet spędzałby w Santa Maria wakacje. Kim prędzej czy później znajdzie się w sądzie, prosząc o wyższe alimenty, a to będzie doskonała okazja, by zażądać prawa do częstszego widywania syna.

Ale świadomość niepowetowanej straty ciążyła mu.

Nash udał się z powrotem do pokoju Bena, wyjrzał przez okno na podwórko. Na kamiennym palenisku ani razu nie zapłonął ogień tego lata. Tekturowe zamki, które jego syn zrobił z chłopcami z sąsiedztwa, zniknęły. Nash i Ben czytali ostatnio Wyspę Skarbów, dochodząc do momentu, kiedy Długi John Silver po raz pierwszy zwiódł Jima swoją serdecznością. Lekcja godna zapamiętania - oszustwo życzliwości i dobroci.

Stał przy oknie bardzo długo, rozmyślając o książce i wieczornych seansach czytania.

Rozdział ósmy.

Żadnej długiej listy interesantów, Ed. Tylko jeden klient, z którym muszę się spotkać - powiedział Vincent Escobar do krępego zastępcy szeryfa, który niedbale przeprowadził go, niosąc jego teczkę, przez wykrywacz metali w holu głównego więzienia. W porze kolacji wysoka sala była

wypełniona ludźmi starającymi się o odwiedziny krewnych, którzy przebywali w areszcie. Nie podobało im się, że Escobar jest traktowany lepiej niż oni.

- Założę się, że chodzi o Soikę. - Policjant wyszczerzył zęby.
- Pewnie. Chce, żebym pottrzymał go za rączkę. Zastępca szeryfa wręczył Escobarowi jego teczkę.
- Szukałem czegoś do wążania.
- Znasz mnie. - Escobar mrugnął. - Nie robię takich numerów.
- Cholera. Znam cię, Vince. Soika nie odleci.
- Dlatego okręg płaci mi te wspaniałe honoraria. - Obydwaj wybuchnęli śmiechem. Jako urzędnicy opłacani przez władze stanowe, nawet jeśli stali po przeciwnych stronach, docenili ironię tego stwierdzenia.
- Hej, słuchaj, masz jeszcze bilety na Dodgersów? Moja żona ma fioła na ich punkcie.
- Załatwię ci kilka na następny mecz - obiecał Escobar.
- Ostatnim razem było świetnie. Mieliśmy ekstra miejsca.
- A co z biletami na playoff\*?

\* Playoff (ang.) - drugi mecz, który ma wyłonić zwycięzcę, jeśli pierwszy tego nie uczynił (przyp. red.).

- Gówno. Dodgersi nie dojdą do tych rozgrywek. Escobar wzruszył ramionami.

- Masz jakieś wieści? - zainteresował się zastępca. - Może zapisz mnie na dwa bilety. Nie. Trzy. Jeden mogę sprzedać.

- Sprzedasz kilka. Załatwię ci z pół tuzina - powiedział Escobar. Niko-

go nie obchodziło, skąd bierze bilety. Znał dostatecznie wielu klientów i

eks-klientów, żeby mieć ich pod dostatkiem. Wystarczyło, by rozdawać do woli urzędnikom, szeryfom i strażnikom w więzieniu i sądzie.

- Dzięki, Vince.

Adwokat ruszył wolno w głąb korytarza. Zdażył zmienić ubranie od czasu rozprawy. Było wciąż gorąco, więc miał na sobie sięgające kolan szorty plażowe i białą, sportową koszulę. Dłoń ślizgała mu się na ręczce teczki, musiał też ocierać pot z szyi.

Escobar nie zatrzymał biletu dla siebie. Nie interesował się wydarzeniami publicznymi, sportowymi ani kulturalnymi. Wolał spędzać wieczory z dwudziestosześcioletnią żoną, czwórką dzieci i wielkim nowofundlandem. Mieszkali w małym jednopoziomowym domu w północnej części Santa Maria, na tyle blisko rzeki, że trzymał w garażu średniej wielkości łódź żaglową.

Jeśli już wybierał rozrywkę poza domem, to, zamiast siedzieć na stadionie albo w teatrze, wolał doznania, które oferowała mu specjalistka od masażu z Korei. Za sto pięćdziesiąt dolarów za godzinę rozkoszował się egzotycznymi i wyczerpującymi przyjemnościami. Zdarzyło mu się nawet reprezentować w sądzie jedną ze swych nocnych partnerek, oskarżoną o prostytutkę. Z trudem powstrzymywał się od śmiechu, widząc jej żałosne próby rozbudzenia jego wigoru w sądzie. Wpatrując się w niego, przesuwiała po wargach niewielkim, ostro zakończonym, czerwonym językiem.

Zszedł po kręconych schodach, których stopnie, jak się zdawało, wycięto z marmuru, na niższą kondygnację, oświetloną przez jarzeniowe, bzyzące świetlówki. Ciężkie drzwi od pomieszczeń zamykały się tu i otwierały ze zgrzytem. Od czasu do czasu do jego uszu docierał podniesiony głos, ale

zdarzało się to rzadko. Na ogół w części więzienia przeznaczonej na spotkania adwokatów z klientami było tak cicho, że niemal przypominała ona bibliotekę.

- Escobar na widzenie z Soiką - powiedział do młodego strażnika, trzymającego posterunek.

- W szóstce. Jest wściekły - odparł strażnik. - Chce pan, żebyśmy go skuli?

- Rzuca się?

- Tak, obją się o ściany. Coś go wnerwia.

- Zawsze coś go wnerwia. - Escobar zaklął. - Nie. Nie skuwajcie go. Czy będzie ktoś w pobliżu, jak zawołam?

- Jeśli pan chce, możemy kogoś panu przydzielić.

- Proszę po prostu przybiec, jeśli zacznę krzyczeć. Chce pan batona? Moja sekretarka wsadziła mi jednego do teczki, a ja jestem na diecie.

- Wezmę.

Escobar sięgnął do środka tak, by nie pokazać innych batonów i papierosów, które przynosił do więzienia. Nie dla klientów, to było zabronione. Ale strażnicy doceniali te drobne prezenty i odpłacali się przysługami. Wyjął dokumenty i zamknął teczkę.

49

- Zabiorę ją, wychodząc.

- Jasne. Popilnuję - obiecał młody strażnik. Wetknął baton w kieszeń koszuli od munduru. Weszło trzech innych adwokatów, spoconych i czerwonych na twarzy, mrużąc coś o klientach, z którymi przyszli się spotkać.

Pogwizdując, Escobar szedł wzdłuż szeregu rozmównic, każda miała małe

okienko w drzwiach. Większość była zajęta, zawsze przez dwóch ludzi zaprzątniętych dyskusją o tym, gdzie i jak jeden z nich prawdopodobnie spędzi kilka kolejnych lat swego życia. Rozmowom tym zazwyczaj towarzyszyły niewielkie emocje - jedynie rezygnacja i niezrozumienie. Pięć centów za każdego faceta, któremu musiałem mówić, co się z nim stanie, gdy w sądzie wskaże na niego sprzedawca ze sklepu, a byłbym bogaty. Bogatszy, poprawił się w myślach Escobar. To, co już posiadał, nie robiło specjalnego wrażenia.

Wszedł do rozmównicy numer sześć. Nie znośił przebywać w towarzystwie Soiki, gdy jego klient miał swobodę ruchów. Ograniczoną, co prawda, ale...

- Cześć, Ev. Jak leci? - spytał.

- Do dupy, Vince. W stu procentach do dupy, i to twoja wina. Escobar usiadł. Soika, roztrzęsiony, krążył po swojej części rozmównicy.

Adwokata i klienta dzieliła gruba szyba z pleksiglasu, mająca niewielką szparę. Przechodziła nią kartka papieru. Nic grubszego

Soika już kiedyś przewędrował z poprawczaka do więzienia stanowego.

Escobar nie dopuścił, by ława przysięgłych dowiedziała się, że Evan odbywał wyrok za inny napad na stację benzynową. Co prawda, skazano go za nieumyślne zabójstwo. Broń, której użył przy tamtym napadzie, też wypaliła przypadkowo, twierdził Soika, gdy przystawiał ją do głowy pracownika stacji.

- Moja wina? - spytał spokojnie Escobar.

- Tak. Twoja. Jak to się stało, że odpuściłeś sobie tego gliniarza, który

mnie okłamywał? Jak to się stało?

- Wykonałem dobrą robotę przed ławą przysięgłych. Sędzia to twardy drań, więc nie jest to wszystko takie proste.

- I co? Pozwolisz, żeby ten sędzia wpieprzył mnie do komory gazowej?

- Nie. Nie pozwolę. Widzisz, jak działałem. Sprawilem, że przysięgli poważnie zaczęli się zastanawiać, czy strzelba faktycznie wypaliła przez przypadek.

- To pewne jak diabli, człowieku. Byłem gotów się poddać, kiedy ci pieprzeni gliniarze mnie zaatakowali.

Escobar uśmiechnął się, przytakując. Było to jak uspokajanie przerażonego zwierzęcia. W takim momencie rozprawy o morderstwo nawet najtwardsi zaczęli słyszeć bicie swego serca.

Soika w końcu usiadł, ale za to stukał palcami o blat. Escobar żałował że nie rozdziela ich coś więcej niż tylko pleksyglas. W sądzie było lepiej. Jego nerwowy klient był przykuty do krzesła. Ciut w lewo, ciut w prawo... cóż 50

każdy ma prawo do odrobiny swobody. Przysięgli patrzyli na idealnie spokojnego, młodego człowieka.

- Posłuchaj, Ev - powiedział - przycisnę jutro tego policjanta, gdy będzie zeznawał. Będę go dusił w sprawie tych kłamstw. Obiecuję. - Escobar otarł pot z szyi. Bardzo chciał wrócić do domu na stek z grilla. Mógłby nawet wykąpać się z dziećmi. Albo zamarudzić nieco w drodze do domu, zatrzymać się w studio masażu na Szesnastej Ulicy i naprawdę się zrelaksować.

- O.K., O.K. - Soika natychmiast zrobił się ugodowy. - Nie mam też dostępu do telefonu.

- Nie?
- Dwa razy przypadły mi rozmowy, kiedy wzięli mnie do sądu.
- Zajmę się tym.
- Gówno. Załatw mi to. Mam do nich prawo.
- Ev, opanuj się. Musimy jakiś czas popracować nad tą rozprawą, a im będziesz spokojniejszy, tym bardziej przysięgli będą przekonani, że zostałeś potraktowany nie w porządku.
- Wpieprzono mnie w to.
- Właśnie staram się to pokazać.
- Więc kiedy będę zeznawał? - Soika wbił w niego wzrok.
- Nie wiem.
- Kurwa. Jesteś moim adwokatem. Masz wiedzieć.
- Nie zdecydowałem jeszcze, czy będziesz zeznawał jako świadek.

Soika znów się zerwał na nogi, i Escobar ostrożnie przesunął się z krzesłem bliżej drzwi. Gdyby był dość szybki i krzyknął dostatecznie głośno, strażnicy byliby tu w ciągu piętnastu sekund. Nie dość prędko. Przez ten czas Soika mógłby dołożyć mu całkiem nieźle, a Escobar nie miał żadnych złudzeń co do swoich możliwości obrony. Znów się zastanawiał, dlaczego przestępcy nigdy nie dobierają się do prokuratorów, strażników sądowych czy sędziego. Dlaczego zawsze walą pięściami albo dźgają nożami swoich obrońców?

- Chcę opowiedzieć własną historię, Vince. Mam zamiar powiedzieć im ze szczegółami, jak policja się do mnie dobrała. To przez nich zginął ten facet. To była ich wina. Kurwa, miałem właśnie wyjść, opuściłem strzelbę, a ten facet ją chwycił, gliniarze zaczęli strzelać, a ta spluwa wypaliła mu w rękach. - Opadł na krzesło.



- Jeśli będziesz zeznawał, wystawisz się na krzyżowy ogień pytań.

Prokurator dobierze się do ciebie. Potem Nash, ten sędzia, zrobi to samo.

Soika parsknął, znów stukając dłońmi o stół.

- Dam sobie radę.

Nadszedł moment, kiedy Escobar musiał zapewnić sobie całkowitą kontrolę nad swoim klientem. Różni ludzie dochodzili do tego punktu w różnym czasie - miękli trawieni przez pobyt w więzieniu lub dopiero słuchając zeznań przeciwko sobie, widząc lodowaty wzrok tych w ławach przysięgłych.

51

- Nie z facetem takim jak Nash - stwierdził sucho. - Możesz uchronić się przed prokuratorem, ale to Nash jest sędzią. Jest Bogiem dla ławy przysięgłych.

- Nie dam się załatwić.

- Wiesz, co się stanie, jeśli zajmiesz miejsce dla świadków, Ev? Mówiłem ci to już pięć razy.

- Myślisz, że nie dawałem sobie rady, zanim się zjawileś?

- Powtarzam po raz ostatni - zirytował się Escobar. - Jeśli będziesz zeznawał, to wtedy wszystko, co tak bardzo starałem się ukryć przed ławą przysięgłych, wyjdzie na jaw.

- To był wypadek.

- Dwa wypadki? Dwa razy zabiłeś człowieka, kiedy z napadu wyszły nicy?

Soika myślał intensywnie. Patrzył na Escobara.

- Tym razem to gliniarze zabili tego faceta.

- Jestem twoim adwokatem. I jestem dobry w swoim fachu.

- Tak?
- Nie siedzę w więzieniu.
- Gównu, Vince. Będziesz mnie pilnował w czasie zeznawania. Escobar potrząsnął głową.
- Nie mogę. Sędzia rozerwie cię na strzępy.
- To po co w ogóle tam jesteś? Co takiego wielkiego w tym, co robisz dla mnie?
- Staram się uratować cię przed komorą gazową.
- Jeżeli nie będę zeznawał, to nie wiem, jak chcesz to zrobić. Escobar spocił się ze zdenerwowania. Jego żona nienawidziła tej pracy i czasu, który poświęcał swemu zajęciu, w weekendy i noce. Na próżno starał się jej udowodnić, że paskudni ludzie i rzeczy, z którymi musiał się stykać zawodowo, zapewnią im kiedyś emeryturę. Emeryturę, która z roku na rok wyglądała coraz atrakcyjniej. Wyświadczał przysługi, zgodnie z prawem albo i nie, różnym ludziom w mieście, a w rewanżu jemu też wyświadczano przysługi. Większość tych przysług przynosiła zysk w postaci procentu w kilku bankach północnej Kalifornii i na kontach na nazwiska czterech siostrzenic jego żony, mieszkających w Pittsburghu. Ale ponad finansowe gratyfikacje Escobar przedkładał przebywanie w sądzie. Uwielbiał wygrywać z ludźmi takimi jak Benisek, manipulować filarem społeczności takim jak sędzia Nash. Dzięki temu życie stawało się dramatyczne, zyskiwało na pikanterii.
- Jak dotychczas przysięgli uważają, że policja powinna dotrzymać ze swej strony umowy - powiedział Escobar.
- Mogę im powiedzieć, jak mnie nabrali.
- Nieważne, co się wydarzyło później. Ława może zdecydować, że cię

oszukano. Nie skazują facetów, którzy, według nich, zostali oszukani, Ev.

- Tak, ale... - Soika chciał dalej narzekać i stawiać żądania. Tak było od 52

chwili, gdy Escobar wziął tę sprawę. Dałby sobie z nią spokój, gdyby nie to, że pokusa utarcia nosa policji i prokuratorowi była wielka.

- Więc to, nad czym teraz pracuję, to współczucie przysięgłych, Ev.

Słuchasz mnie?

- Jestem tutaj.

- Chcę ustawić sprawę tak, żeby ława robiła to, co chce, a nie to, co każe jej robić sędzia.

- Niby jak wzbudzisz w nich to współczucie, kiedy sędzia trzyma na wszystkim łapę?

Escobar wstał. Nogi przykleiły mu się do plastikowego krzesła. Pot nie był spowodowany jedynie upałem. Był również skutkiem strachu przed Soiką. Escobar już dawno temu przyznał przed samym sobą, że lubi strach i podniecenie.

- Oprócz wyciągnięcia korzyści z twoich targów z policją, mam jeszcze pewne plany wobec Nasha.

- Jakie?

- Zamierzam popracować nad nim. Potrzęsnać nim. Zdenerwować go. To typ aroganckiego dupka, który może wybuchnąć na oczach przysięgłych. Soika wpatrywał się w Escobara.

- A co mi to da?

- Sprawa nie trafi pod obrady ławy.

- I co się wtedy dzieje?

- Rozprawa zostaje przerwana. Zaczynamy od nowa. Mogę nawet

przekonać Beniska, że nie osiągnie zadowalających rezultatów, i w ogóle nie będziesz sądzony.

W końcu na twarzy Soiki ukazał się uśmiech.

- To mi się podoba, Vince. Chcę stąd wyjść.
- Więc pozwól mi popracować nad sędzią. O.K.?

Soika podniósł się. Uśmiechnął się szeroko. Miał na sobie więzienny dres z odbitym na spodniach białym numerem i napisem WIEZIENIE OKRĘGOWE na bluzie.

- Hej, Vince. O.K.

Escobar wziął swój notatnik. Nic w nim nie zapisał. Owe sesje z klientami, których prowadziło się za rękę, nie były przedmiotem nauki na wydziałach prawa czy elementem prywatnej praktyki większości adwokatów. Były, jak się przekonał, nieodłączną częścią pracy obrońcy w procesach kryminalnych. Miał pięciu klientów w celach śmierci w San Quentin. Deprymujące uczucie. Ocalił szesnastu innych.

- Więc zobaczymy się jutro. Nie przejmuj się tym, co tutejsi faceci mówią o twoim ubraniu, Ev. Po prostu włóż to, co ci zostawiłem.
- Wyglądam jak palant.
- Wyglądasz jak szczerzy facet.

Soika skinął głową i wzniosł do góry zaciśniętą pięść.

53

- Hej, Vince. Chcesz się dowiedzieć, jak było z tymi facetami w Redding? Chcesz wiedzieć, czy ich zabiłem?

Escobar potrząsnął energicznie głową.

- Nie chcę o tym rozmawiać. Policja cię nie oskarżyła. Tamtejszy prokurator twierdzi, że nie ma sprawy.

- Ale tak między mną a tobą. Tylko my dwaj. Chcesz wiedzieć? - Soika wpatrywał się w Escobara.

Żadnych pytań, jeśli chodzi o to nie wyjaśnione zabójstwo zamiejscowych, którzy spali w jednej z alei Redding.

- Nie, Ev - powiedział z rozmysłem Escobar. - Nie chcę wiedzieć.

Rozdział dziewiąty.

Pierwszym odruchem jest uciec od kataklizmu. Tak daleko, jak tylko się da. Więc Nash zamknął pusty dom przy Avila Avenue, wsiadł do samochodu i ruszył przed siebie.

Jechał po Constellation Boulevard, przecinającym dawne centrum Santa Maria, mijał liczne tu pralnie automatyczne, bary, gdzie serwowano burgery, parkingi z używanymi łodziami i samochodami.

Zatrzymał się, zostawiając za sobą oświetlone wieżowce i neony centrum, przy nabrzeżu leniwej rzeki. Stały tu magazyny, pełne spatynowanego drewna i stali, lodziarnie, spacerowali turyści w T-shirtach. Zdjął marynarkę, by poczuć choć najslabszy oddech bryzy. Spacerował między obcymi ludźmi, mijając miejsca, w których bawił się z bratem i skakał do rzeki. Przypominał sobie, jak daleko musieli iść z Dickiem wąską plażą, by dotrzeć tam, gdzie rzeka kurczyła się tak bardzo, że w końcu ląd i ona zlewały się w jedno.

Jakiś człowiek w wojskowej kurtce chciał mu sprzedać bilet na loterię. Tęsknił za Kim i Benem. Myślał o czekającej go pustce niedzielnych poranków. Kiedyś budził się z przyjemnym uczuciem, jakie wyzwalało

przytulone do jego ciała ciało Kim. Weekendowe poranki spędzali w łóżku, leniwie obserwując zaczynający się dzień, jedli tosty i pili kawę. Nie robili tego już od miesiący i mieli już nigdy nie robić.

Wsiadł z powrotem do samochodu. Było mu gorąco, czuł się zmęczony i samotny. Skierował się w stronę północnego krańca Santa Maria, gdzie mieszkali jego rodzice.

Jack i Hilary Nash posiadali wielki, dwupiętrowy, różowo otynkowany dom-monstrum, który kupili osiem lat temu. Ojciec wyjaśnił, że to najbardziej

55

efektowny, najbardziej krzykliwy dom, jaki miasto mogło zaoferować, i teraz, gdy zamierzał zrobić naprawdę duże pieniądze po latach publicznej służby, chciał przyzwoicie zareklamować swój sukces.

Okolica była ciemna, minęło go z krzykiem kilkoro dzieci na rowerach.

Nash usłyszał muzykę fortepianu, gdy zbliżył się do domu. Wierzchołki wiązków i wysokich palm drżały na leciutkim wietrze. Jego matka ćwiczyła przed czwartkową lekcją. Grała bardzo dobrze, trochę nieśmiało, ale w jej stylu wyczuwało się uroczy smutek.

Wszedł do domu przez boczne drzwi i znalazł się w ciemnej spizarni.

Dobiegł go głos ojca.

- Nie zamierzałem nic mówić - wyjaśniał Jack Nash.
  - Czasem nie słyszysz samego siebie - głos Hilary Nash dochodził nieco z oddali, od strony fortepianu. - Nie chcę go w ogóle w tej sprawie naciskać.
  - Wcale nie zamierzałem go naciskać, do diabła, Hills. Ani denerwować.
- Zawsze uważasz, że gadam za dużo.

- Lubisz słuchać samego siebie.

- Wszystko, co bym powiedział, to tylko tyle, że jest lepiej dla Tima i Bena, i w ogóle dla wszystkich, że Kim odchodzi. Jeśli Tim chce wiedzieć, to tak właśnie uważam.

- Zachowaj to dla siebie - powiedziała Hilary.

Nash wszedł do jadalni. Ojciec stał przy barku i był zajęty przyrządzaniem drinków. W kąciu jego ust tkwił zapalony camel, więc patrzył zmrużonymi oczami, niczym naukowiec, na alkohol w szklanej karafce, którą trzymał. Klimatyzacja pracowała na maksimum, i Nash nagle poczuł, że ma dreszcze.

- Starczy i dla mnie? - spytał, wskazując na karafkę.

Jack Nash podniósł wzrok, jego głowę spowijał dym z papierosa.

- Timmy. Nie słyszałem, jak się wśliznąłeś. Zdejmij marynarkę. Fortepian umilkł. Nash objął matkę, kiedy podeszła i wzięła go za rękę.

- Wszystko w porządku? - Hilary Nash wciąż mówiła z na tyle wyraźnym środkowozachodnim akcentem, by wyróżniać się na tle neutralnej wymowy, typowej dla Santa Maria. Zbliżała się do siedemdziesiątki, ale była zadbana i pełna wdzięku. Od dwudziestu lat, pomyślał Nash, wygląda niemal tak samo.

- Dom jest zamknięty. - Nash przewiesił marynarkę przez poręcz krzesła, potem zdjął krawat. - Kim i Ben są w drodze na lotnisko. Zostałem sam. Matka poprowadziła go do salonu.

- Tak chciałabym odjąć ci choć trochę twojego bólu. Żałuję, że nie znam sposobu, aby ci pomóc.

- Nie ma sposobu - powiedział Nash przez grzeczność. - Przykro mi. Jestem zmęczony i nie bardzo wiem, co mam teraz robić.

Podszedł ojciec, podając mu martini. Hilary piła swoje ulubione piwo

imbirowe. Pokój był bardzo wysoki i, w kontraście do stylu śródziemnomorskiego, został urządzony jak siedziba staroangielska, z surowymi belkami i widocznymi ćwiekami.

- Za lepsze czasy, synu. - Jack Nash podniósł w toaście szklanę.

- Jezu Chryste, ale to mocne, tato. - Zakaszła odrobinę. - Każdego wieczoru pijesz coś takiego?

- Nie muszę zachowywać trzeźwości na następny dzień w sądzie. - Ojciec uśmiechnął się. - To po prostu trochę uprzyjemnia życie.

Nash opadł na jedno z wyściełanych krzeseł. Z kuchni doleciał bogaty aromat żeberk wieprzowych i stygnącej szarlotki. Treściwe jedzenie, które przytępia zmysły.

- Rozmawialiśmy... - Hilary Nash usiadła wyprostowana na sofie... -i postanowiliśmy, że możesz tu pozostać, jeśli chcesz. Dla nas to żaden problem. Jeśli ci to tylko pomoże...

- Wprowadź się już dzisiaj - dodał Jack Nash. - Możesz pozostać tak długo, jak ci się spodoba.

Tim zaciskał dłoń na swojej szklance.

- Nie. Dziękuję wam bardzo. Nie sędzę, by był to dobry pomysł. - Nie chciał z nimi zostać, gdyż widok rodziców przywodziłby mu na myśl bolesne przypomnienie jego małżeńskiej klęski.

- Dick dzwonił wczoraj - powiedziała matka. - Narzekał, że nie może się z tobą skontaktować.

- Nie miałem czasu.

- Myśli o tobie.

- Wkrótce do niego zadzwonię.

- Mówi, że chciałby ci pomóc. Nash napił się szybko.



- Nie potrzebuję niczyjej pomocy.

Hilary zamilkła. Nigdy nie była wylewna w okazywaniu uczuć. Gdy już do tego dochodziło, wycofywała się.

Wkrótce potem zasiedli do kolacji. Jack Nash, jak zwykle, pochłaniał jedzenie niczym wilk. Dwa pełne talerze. Kolacja nieodmiennie stanowiła jeden z ważniejszych punktów porządku dziennego. Punktualnie o szóstej. Gdy były jakiegokolwiek opóźnienia, wpadał w gniew. To naprawdę poświęcenie z jego strony, jeść o tak późnej porze, pomyślał Nash, skubiąc potrawę, która, jak wydawało się matce, miała sprawić mu przyjemność. W czasie rozmowy przyglądał się ojcu. Jack Nash był człowiekiem mierzącym sześć stóp wzrostu, nieco otyłym ostatnio, z białą czupryną kręconych włosów. Nosił okulary w złoconych oprawkach. Miał wyraziste, twarde rysy przywódcy. Surowy i mądry sędzia, budzący respekt przykład do naśladowania. Nash przypomniał sobie, jak siedział w sali rozpraw ojca, w której rozbrzmiewał wibrujący, wyważony głos, dochodzący z fotela sędziego. Oskarżeni i obrońcy słuchali pełni szacunku, gdy jego ojciec orzekał w majestacie prawa.

56

57

Przez pewien okres swego życia uważał ojca za człowieka nieomylnego i mającego zawsze rację. Poczł strach, gdy uświadomił sobie, że niemal wszyscy synowie myślą tak samo.

Nash przypomniał sobie dni, gdy bawił się ze strażnikami sądowymi, oszukując przy zgadywankach. Dzieciństwo spędzone w gmachu sądu. Na przyjęciach i uroczystościach wydawanych na cześć ojca, u którego boku zawsze była Hilary, biegali z bratem pośród elegancko ubranych gości.

Czasem ojciec, w smokingu, ścigał się z nimi.

Ma nawet ulicę nazwaną swoim imieniem, pomyślał Nash. Spontaniczny gest wdzięcznych mieszkańców, w podzięce za podjęcie decyzji o niedopuszczeniu budowy centrum handlowego tuż pod ich nosem. Jacka wybierano na stanowisko przewodniczącego Sądu Najwyższego częściej niż kogokolwiek innego, gdyż pozostali sędziowie uważali, że jest najsprawiedliwszy wśród sprawiedliwych.

Jezu, gdybym miał zacząć dopiero dziś wieczorem, to nigdy bym mu nie dorównał. Nie dorównał jako sędzia, mąż ani ojciec. Odsunął talerz. Nienawidził tej goryczy, która tego dnia zabarwiała wszystkie jego doznania.

- Tim? Myślisz o czymś? - spytała matka, widząc jego rozkojarzenie.
- O jutrzejszej rozprawie. Będzie zeznawał policjant - odparł, starając się podtrzymać rozmowę.
- Kto oskarża? - Jack Nash skończył jeść i zapalił następnego camela.
- Craig Benisek. Znam go jeszcze z Sądu do spraw Wykroczeń. Jest załatwiony. Bierze to wszystko trochę za lekko.
- Kto jest obrońcą?
- Vince Escobar, główny. Cindy Duryea przejmie sprawę, jeśli dojdzie do ustalania winy. Zaapelowałyby do ławy przysięgłych, ostatnia deska ratunku, by oszczędzili Soikę.

Hilary oparła łokcie o stół i splotła dłonie.

- Widzę go co dzień w telewizji. Lubi dużo mówić.
- Powinieneś wydać zakaz kontaktów z mediami - powiedział ojciec, sięgając ponownie po kieliszek z winem. - Ograniczyć całe gadanie do sali sądowej.

- Ostrzegłem Escobara. - Nash czuł się zmuszony do obrony samego siebie.
- Strasz go obrazą sądu. To mu zamknie usta.
- Chcę uniknąć unieważnienia rozprawy.
- No cóż, Timmy, masz rozprawę, która przyciąga uwagę. Nie pozwól, by ci się wyśliznęła z rąk.

Nash dopił swoje wino. Zauważył, że ojciec pił kolejny kieliszek, świadomy zatroskanego wyrazu, jaki widniał na twarzy matki. Zawsze interweniowała w sporach ojca z synami, zwłaszcza podczas posiłków, kiedy to Jack Nash próbował zachowywać się jak sędzia na rozprawie i dawał nie chciany przez audytorium wykład. W ciszy rozbrzmiewało ciężkie tykanie zegara stojącego w holu.

58

- Musiałem zadać zbyt wiele pytań - powiedział Nash. - Prokurator zdaje się nie dostrzegać, że ława może mieć dość zeznających policjantów.
- Lepiej uważaj na Escobara.
- Mam na niego oko.
- Znam go. Znam jego numery. Będzie chciał wykorzystać każdą okazję, by załatwić rozprawę. Bezpodstawne zgłaszanie sprzeciwu. Rozmowy z ławą. Każesz mu przestać, a będzie kłócił się z tobą na oczach przysięgłych. Będzie się kłócił z prokuratorem, jakaś osobista sprawa. Zostaniesz zmuszony postraszyć go obrazą sądu, prędzej czy później.
- Zdecyduję kiedy.
- Wiem, jak pracują ci panowie i panie - ciągnął niepowstrzymanie Jack Nash. - Chcą tak wkurwić sędziego, wybacz mi, Hills, żeby powiedział coś głupiego w trakcie rozprawy.

- Nikomu nie pozwolę sobą manipulować - stwierdził Nash. Hilary była zaskoczona.
- Nie rozumiem, jak takie triki mogą zadziałać. Nie wygląda to na trudną sprawę.

Zanim ojciec zdołał odpowiedzieć, Nash wyjaśnił:

- To nie jest problem prawniczy. Soika użył podczas napadu broni. Ktoś zginął. Jest odpowiedzialny, bez względu na to, jak to się stało.
- Wydawało mi się, że to wszystko jest proste - powiedziała matka.
- Ale Escobar robi z tego sprawę policji, która kłamała, zwodziła Soikę, działała zbyt pośpiesznie i doprowadziła do śmierci ofiary.
- Sądź wszystkich innych, gdy jesteś winny - powiedział sentencjonalnie Jack Nash.
- Muszę z największą skrupulatnością upewnić się, że przysięgli słyszą prawdę, a jednocześnie nie opowiadać się po żadnej stronie.
- Oczywiście, że nie - powiedziała matka z odrobiną ironii.
- Absolutnie - potwierdził Nash. Jack Nash zgasił papierosa.
- Nie pozwól Escobarowi zniszczyć rozprawy, Timmy. Prokuratorowi też nie pozwól.
- Panuję nad swoją salą rozpraw. Chyba nikt w to nie wątpi - stwierdził zimno Nash. Posiłek, choć niewiele zjadł, zalegał mu w żołądku, razem z alkoholem. Był o wiele mniej pewny siebie, niż można było sądzić po jego głosie.
- Myślę, że policjanci są usprawiedliwieni. Kłamali, by ratować zakładnika - powiedziała spokojnie Hilary Nash.
- Jesteśmy hipokrytami, pokazujemy tylko rąbek prawdy - stwierdził Nash. - Przysięgli nie wiedzą bardzo wielu rzeczy.

Jack Nash parsknął.

- Posiedź na fotelu sędziego jeszcze parę lat. A potem mi powiedz, czy zdarzało ci się słyszeć prawdę i tylko prawdę. Kiedykolwiek. Od kogokolwiek.

59

Ojciec zawsze był cyniczny, ale tylko w domu, z dala od publicznych obowiązków. Trudno było dziecku pogodzić te kostyczne uwagi, wypowiedane w domowym zaciszu, z respektem i szacunkiem, które sędzia Jack Nash wzbudzał na bankietach, uroczystościach skautowskich czy w czasie pełnienia innych, niezliczonych funkcji społecznych. „Sąd, zwykł mawiać, jest świątynią prawdy. Sprawiedliwość jest możliwa tylko w amerykańskim gmachu Temidy”.

Może głosił to przez wszystkie te lata, myśląc coś przeciwnego, uświadomił sobie Nash.

. Zmienił temat, gdyż było mu przykro, że on i ojciec znowu się nie zgadzali, jak zdarzało się to zbyt często w przeszłości.

- Po rozprawie zjawił się Dennis Terhune. - Nash uśmiechnął się. -W kawiarni. Wyglądał tam jak ryba wyrzucona z wody.

- Jeśli uściskałeś rękę temu draniowi, to mam nadzieję, że potem policzyłeś sobie palce - warknął ojciec.

- To było towarzyskie spotkanie.

- Czego chciał? - spytała matka.

Być może stare plotki krążące po gmachu sądu, nigdy nie wypowiedane na głos w obecności Nasha, ale stanowiące nieodłączną część folkloru związanego z odchodzącą generacją prawników, były prawdziwe. Dwaj

partnerzy rozstali się, gdyż kochali tę samą kobietę: jego matkę. Była już żoną Jacka Nasha, gdy ten budował jedną z największych i najbardziej skutecznych firm prawniczych w mieście.

- Nie wiem, czego chciał - odpowiedział Nash. - Był tajemniczy. Pragnął, żebym spotkał się z kimś dziś wieczorem.

- Terhune i jego interesy - ojciec roześmiał się pogardliwie. - Zawsze załatwia jakiś interes w okolicy i musi go powiązać z innym interesem gdzie indziej - powiedział, gestykulując zamasyżycie nad stołem. - Nie rozumiem, po co rozmawiałeś z tym fałszywym sukinsynem, Timmy. Jezu, nie rozumiem.

I tak nienawiść przetrwała przez lata, podczas gdy dwaj byli partnerzy prosperowali indywidualnie, a każdy z nich cieszył się reputacją uczciwego, sprawiedliwego i przyzwoitego prawnika. Pominąwszy to, co mówił ojciec, Nash uważał, że Terhune jest dobrym człowiekiem.

Skończyli szybko, gdyż żadne z nich nie chciało przedłużyć kolacji. Przez chwilę siedzieli w salonie. Bliskość znanych sprzętów, niebiesko wyściełanych krzeseł i sofy w kwiaty, na której skakali z bratem, gdy byli dziećmi, sprawiła Nashowi przyjemność.

Kiedy jego matka poszła do kuchni, żeby nalać sobie szklankę piwa imbirowego, podążył za nią.

- Nic, co kiedykolwiek słyszałeś o mnie i Dennisie Terhunie, nie jest prawdą. Nic z tego, co mówią o nim i o ojcu - powiedziała niespodziewanie,

- Nigdy tak nie myślałem.

- Ale znów zaczęłaś się zastanawiać, gdy go dziś zobaczyłeś.

- Przyznaję. Był zdenerwowany, i to było dziwne - Nash czuł się tak, jakby go przyłapano na wyjadaniu konfitur.

- Rozstanie ojca z Dennisem nie miało nic wspólnego ze mną. Dobrze ze sobą żyliśmy. Nigdy nie powinieneś w to wątpić. Niczego nie udawaliśmy. Rzadko widział u matki taką stanowczość. Było to niepokojące, jakby ukazywała się zupełnie inna osoba, co pośrednio potwierdzało zasadność plotek krążących po sądzie.

Nash skrzyżował ramiona, gdy matka napełniła sobie szklankę i stanęła obok zlewu.

- Dlaczego się rozstali? Słyszałem o wszystkich możliwych powodach, od romansu do defraudacji. Tata nigdy nie powiedział mi wprost - bez ogródek poprosił ją o wyjaśnienie.

- Nie wiem z całą pewnością. Słowo daję. To było dawno temu. Twój ojciec wrócił do domu pewnego popołudnia, w samym środku popołudnia - zachichotała, uświadamiając sobie niezgrabność wyrażenia - i był wściekły. - Sączyła powoli piwo. - Mówił bez końca o Dennisie. Głównie osobiste urazy.

- Na przykład?

- Dość nieprzyjemne rzeczy. Już dawno o tym nie myślałam - powiedziała, żeby zakończyć sprawę.

- I to był powód rozstania? To, że tata nie lubił, na przykład, zapachu wody kolońskiej Terhune'a? Przecież prowadzili dobrą praktykę. Zarabiali mnóstwo pieniędzy, jak się mówi.

- Bardzo dobrze nam się powodziło w tamtych latach. Sądzę, że był to jakiś zasadniczy spór o sposób prowadzenia firmy. Ojciec nigdy nie znosił

konieczności podejmowania decyzji razem z Dennisem.

- Spytałaś go o powód? Uśmiechnęła się.
- Znasz swojego ojca. Nie chciał mi powiedzieć. Nie ma o czym mówić.
- Niektórzy faceci w sądzie, ci już bardzo starzy, są bardziej rozmowni, mamó. Mówią, że chodziło o jakąś sprawę. Jakąś sprawę, którą wspólnie prowadzili, a która im nie wyszła. - Nash wiedział, że prowadzi przesłuchanie jak w czasach, gdy był prokuratorem, ale te pytania dotyczyły spraw, które ukształtowały jego życie.
- Mogło tak być. - Postawiła szklankę na blacie szafki, wyłożonym niebieskimi kafelkami. - Najważniejsze, że się pozbieraliśmy i ruszyliśmy dalej. Gdzie poszedł twój ojciec, tam i ja poszłam.
- Wszystko się zmieniło - powiedział Nash, cofając się myślą o kilka godzin wstecz, do chwil spędzonych z Kim.

Matka zrozumiała.

- Nie powinieneś winić Kim za to, co stało się z wami obojgiem - powiedziała ostrożnie. - Nie usprawiedliwiam jej. Chcę tylko, żebyś wiedział, że bardzo trudno być żoną sędziego, Tim. Niektóre kobiety jakoś to ciągną, inne nie mogą wytrzymać.
- Ty i tata jednak daliście sobie radę.

61

- Twój ojciec i ja bardzo ciężko pracowaliśmy nad tym, żeby pozostać razem. Było mnóstwo rzeczy, które mogły nas rozłączyć.

Nash chodził nerwowo po ogromnej, błyszczącej kuchni.

- Pracowałem. Staralem się, i to bardzo. Powiedziałem jej dzisiaj, że nie pozwolę zabrać sobie Bena. To mój syn.

Hilary Nash położyła mu dłoń na ramieniu.



- Idź i walcz. Chcę tylko, żebyś wiedział, że miałam więcej szczęścia niż wiele żon sędziów. Znam takie, które piją, które są obojętne, które się po prostu poddają. Nikt nie rozmawia z żoną sędziego, Tim - powiedziała, dotykając jego torsu. - To sędzia jest zawsze tym, z którym, każdy chce się spotkać, być, któremu chce się przypochlebić. Gdziekolwiek by się poszło. Żona staje się jednym z jego mebli.

- Kim nigdy nie miała nic przeciwko tym pochlebstwom. Uważała, że to zabawne, kiedy w czasie przyjęć czy proszonych obiadów ludzie podchodzili do nas, żeby z nami porozmawiać.

- Z tobą. Nie z nią.

- Ty nie odeszłaś od ojca - rzucił szorstko.

- Miałam szczęście. Kim jest inna. Musisz to zaakceptować. - Pocałowała go delikatnie w policzek. Ten gest zmieszał go i rozbroił.

- Lepiej już pójdę - powiedział.

Gdy wrócił do salonu, ojciec odwrócił wzrok od telewizora. Siedzia w swoim fotelu, opierając nogi o podnózek. Jego zapinany na guziki, pomarańczowy sweter nadawał mu wygląd żwawego komiwojażera.

- Uciekasz? - spytał z wystudiowanym chłodem.

- Czeka mnie jutro długi dzień. Mam rozprawę. A wcześniej masę spotkań.

- Najpierw załatw prośby o dozór sądowy, a na końcu zajmij się tymi którzy przyznali się do winy - doradził ojciec. - Odprowadzę cię.

Wstał z fotela, stękając. Wyszedł razem z Nashem przed próg, na trawnik w nieruchomą, ciepłą noc. Gęsto posadzone kamelie, rosnące wokół domu wyglądały jak dywan, a powietrze przesycił ostry cytrynowy zapach.

- Żadnych pouczeń, tato - poprosił niespodziewanie Nash.

- Nie wiedziałbym, co powiedzieć.

Nash spojrział w mrok, w stronę innych dużych domów po drugiej stronie ulicy. W ich oknach płonęły jasne światła.

- Nie wiem, co zrobiłem nie tak, jak trzeba. Jego ojciec milczał. Po chwili powiedział:

- Może nic nie zrobiłeś.

- Spójrz na siebie i mamę. Wam się udało. Więc zastanawiam się, gdzie popełniłem błąd.

Jack Nash zapalił camela, zaciągnął się. Jego wibrujący głos brzmiał tak jak wówczas, gdy Nash słuchał go jak urzeczony, siedząc gdzieś z tyłu na sali rozpraw.

- Twoja matka jest bardzo inteligentną kobietą. Popełniła tylko jeden  
62

błąd w życiu. Wyszła za mnie. - Jack Nash zaśmiał się cicho. Nash słyszał to samokrytyczne stwierdzenie wiele razy. Teraz pojawiła się w nim wreszcie nuta prawdy. - Nie wybieramy ich, Timmy. To one wybierają nas.

- Nie potrafię dziś wieczór zrozumieć niczego - przyznał Nash, oddychając nocnym powietrzem. - Dzięki za radę. Przepraszam, jeśli za bardzo narzekałem.

- Masz do tego prawo - stwierdził ojciec, wkraczając niezgrabnie w sferę wymuszonej intymności, jaką utrzymywał z synami. - Daj mi znać, jeśli będę mógł coś dla ciebie zrobić.

- Dam ci znać.

- Zadzwoń do mnie. O każdej porze, po prostu dzwoń. Będziesz miał ochotę wybrać się gdzieś na drinka, pójść gdziekolwiek, zadzwoń, Timmy. Nash był wzruszony tą ofertą. Tego wieczoru widział swą matkę i ojca od

strony, którą rzadko ukazywali.

- Wkrótce pogadamy, tato. Miał przed sobą długą noc.
- Ostatnia rada dziś wieczór. Nie przejmuj się rozprawą, trzymaj tych drani twardą ręką. Jeśli ten sukinsyn Terhune będzie się koło ciebie kręcił, powiedz mu, żeby poszedł do diabła. Powiedz mu to ode mnie.

Rozdział dziesiąty.

Nie przejmuję się, gdy muszę robić taką akcję - stwierdził sierżant Jerry Witwer.

- Chryste, a kto się przejmuje? - spytał sierżant Roger Valles, jego partner.
- Po prostu mnie wkurza, kiedy muszę ją robić w swoim pieprzonym wolnym czasie.

Dwaj tajniacy siedzieli w pociętym, czerwonym wozie na zatłoczonym parkingu pod La Cabana Club przy Meredith Avenue. Zbliżała się dziewiąta wieczór i w pobliżu spacerowały pary albo wchodziły do klubu. Nad parkingiem i ruchliwą ulicą unosiły się rytmy Salsy. Neon w kolorach klubowych, różowym, białym i niebieskim, migotał na tle nieba przeświecającego przez wachlarze wysokich palm. Policjanci podawali sobie co chwila butelkę po wódce, wypełnioną wodą. Parkowali przy narożniku budynku, na prawo od ruchliwego wejścia. Widzieli każdego, kto wchodził i wychodził. Obserwowali bardzo uważnie, by nikogo nie przeoczyć.

Od czasu do czasu do okien samochodu zbliżali się niepewnym krokiem pijacy, pojedynczo albo parami, przyciskali twarze do szyby i

wykrzykiwali nieprzyzwoitości. Witwer, dla żartu, zaplótł brodę w warkoczyki. Potrząsał fałszywą butelką wódki, a wtedy pijacy wybuchali śmiechem i oddalali się chwiejnie.

Od chwili gdy dostali nakaz rewizji od sędziego Nasha, zdążyli przeobrazić się na ten wieczór z motocyklistów w robotników budowlanych, wkładając podkoszulki i dzinsy. Rękawy podkoszulków były niestarannie obcięte Vallesowi się odbiło.

- Chodzi mi tylko o to, że pracujemy nad pieprzoną Maize przez ładnych parę dni, żeby coś nam nadała, i jak już coś dziś mamy, to pieprzony Shiffley zabiera nam to i w zamian daje to gównno.

- Musisz się z tym pogodzić, stary. Taka robota.

- Ale Chryste, Jerry. Myślisz, że to O.K. tak sobie przyjść, kiedy już

64

jesteśmy gotowi wykorzystać nakaz Nasha, i po prostu go zabrać? Dać go pieprzonemu Chavezowi i Enfante? Kto nie zna Maize? Kto nie wie nic o tamtym domu?

- Nie zamierzam się o to bić - stwierdził chłodno Witwer. Butelkę trzymał między udami. - Shiffley powiedział, że to duży numer, więc tu jesteśmy.

Valles parsknął. Patrzył na ludzi wchodzących do La Cabany. Klub przyciągał różnorodnych gości. Dobrze ubrane pary, młodych mężczyzn o oczach drapieźników, samotnika, który coś palił, a potem, przed wejściem do środka, wyrzucił to w ciemność.

- Wielki dealer koki w tej zdechłej dziurze? Shiffley jest walnięty.

- O rany, człowieku - jęknął Witwer. - Jestem taki wykończony.

- Jeszcze jedno. Mówię Shiffleyowi, hej, poruczniku, ten nakaz rewizji to moje ostatnie zadanie, O.K.? Pracowałem w weekendy i w nocie, poświęciłem pieprzone dwadzieścia dziewięć nadgodzin na Maize i na załatwienie tego kokainowego domu. Więc mam dwadzieścia dziewięć godzin do odebrania, zaczynając od dzisiaj, a moja żona załatwiła rezerwację na wieczór. Więc nie mów mi, że muszę siedzieć koło jakiejś zdechłej dziury i robić akcję, o której nic nie wiem. Dziś wieczór zaczyna się mój wolny czas.

- Masz dwadzieścia dziewięć nadgodzin? - spytał Witwer z ciekawością. Pociągnął z butelki. Trzej mężczyźni, spleceni ramionami, wytoczyli się z klubu, drąc się na całe gardła.

- Pewnie. Zarobiłem na mój wolny czas. Nie powinienem tu siedzieć, Jerry. Ty też nie. To gównno.

- Ja mam tylko osiemnaście nadgodzin - powiedział Witwer.

- Pracowałem dodatkowo w ten ekstra weekend. Pamiętasz? Byłeś we Fresno?

Witwer skinął ponuro głową.

- Aha. Tak. Może faktycznie odwaliłeś dwadzieścia dziewięć godzin. Valles przeciągnął się. Pod stopami miał czerwoną lampę, którą się zakładało na dach samochodu. W nie oznakowanym wozie była też zainstalowana syrena.

- Więc jestem zmęczony tym gównem. Gdzie ten wielki pieprzony dealer, na którego kazał nam czekać Shiffley?

Witwer obserwował La Cabanę.

- Nie widzę go.

- Zajrzę do środka.

- A może go jeszcze nie ma.
- Shiffley powiedział, że, według informatora, dealer jest w środku
- stwierdził Valles. - Chcesz iść?
- Nie będę tu siedział - powiedział Witwer. Czekali na parkingu od dwóch godzin.

Obydwaj policjanci wyszli z wozu i wkroczyli swobodnym krokiem do La Cabany. Na frontonie budynku wymalowano niewprawną ręką parę

65

złoty paw, palmy, niebieskie niebo i morze. Lampy, zainstalowane na pokrytej krzykliwym obrazem ścianie, nadawały kolorom żółtawy odcień. Valles wszedł pierwszy do pogrążonego w mroku, gwarne klubu. Razem z Witwerem działali jako tajni agenci w ramach Projektu Antynarkotykowego, wspólnego przedsięwzięcia miasta i okręgu. Mieli dobre wyniki i dobrze im się razem pracowało. Witwer był rozsądny i spokojny, Valles zuchowaty i impulsywny.

Valles powiódł wzrokiem wzdłuż baru, którego koniec nikał gdzieś w ciemności. Muzyka ogłuszała przenikliwymi dźwiękami gitary, fortepianu i perkusji. Rozmowy zlewały się w jedno. Parkiet był tak zatłoczony, że pary tylko falowały, nie wykonując żadnych tanecznych kroków. Małe jasne plamki, czerwone, niebieskie, żółte i zielone, wirowały po ciałach tancerzy w strugach światła i cienia.

Witwer przepychał się wzdłuż baru. Śmiech, dłonie wybijające rytm na drewnianym kontuarze, dwóch spoconych barmanów, którzy myli, napełniali i podawali kieliszki. Valles widział kątem oka Witwera osłaniającego go

z boku.

Po chwili dostrzegł małego mężczyznę o oliwkowej cerze. Miał na sobie czarną koszulę i kapelusz z piórkiem na głowie. Stał w połowie długości baru. Gestykulował zamasyście, mówiąc coś do dwóch młodych kobiet, które uśmiechały się złośliwie.

Valles pomachał ręką i ruszył w stronę drzwi. Wyszedł i zaczerpnął odświeżający haust ciepłego, letniego powietrza. Przypominało gęsty syrop. Horyzont płonął liliową, przezroczystą poświatą. Witwer zatrzymał się na chwilę, gdy jakaś kobieta w średnim wieku chwyciła go za brodę, rozbawiona warkoczykami.

- Jest tam. Mały skurwysyn dobrze się bawi. - Valles wślizgnął się za kierownicę wozu.

- Nie będę w środku niczego próbował - stwierdził z naciskiem Witwer.

- Gównu. Wiesz, co myślę? Musimy tu siedzieć, aż ten palant będzie chciał iść do domu - powiedział tonem oburzenia Valles.

- Nie mam nic przeciwko temu - powiedział Witwer. - Pamiętasz Rudy'ego Bustamonte'a? Zadźgali go tutaj nożem. Dwa razy mieliśmy tu strzelaninę. Weźmy go na zewnątrz. - Wcisnął się w swój fotel.

Czekali następne czterdzieści pięć minut. Valles był bardziej niecierpliwy. Ożywił się, gdy mały człowiek wyszedł z klubu, otrzepując jakieś pyłki ze swojego kapelusza.

- Kutas wychodzi. Odjeżdża. - Valles trącił drzemiącego Witwera ostro w bok.

- Co on robi? Valles patrzył.

- Nie wiem, kurwa.

Mały człowiek wszedł na parking. Rozejrzał się wkoło bardzo powoli.

Położył dłonie na biodrach, chyba przeklinał. Zrobił jeszcze kilka kroków.

66

Znów zaklął. Sprawiał wrażenie, jakby szukał czegoś czy kogoś. Podnosił i opuszczał głowę jak wąż. Znów zaklął i wszedł do niskiego, smukłego wozu sportowego.

- Pozwolę mu przejechać kilka przecznic, a to wystarczy, żeby mu powiedzieć, że przekroczył przepisy, jak go już zatrzymam. - Valles uruchomił silnik i skręcił w Meredith Avenue, trzymając się kilka samochodów za sportowym wozem.

- Chcesz, żeby mundurowi capnęli tego faceta?

- Shiffley powiedział, że jest nasz. My go dopadniemy. Tak ma być.

- Wezwę pomoc. - Wiwer wziął do ręki mikrofon. - Tu dziewiątka, jedziemy po Meredith w kierunku zachodnim, przecinamy Lux. Mamy tu stary model, czarny austin-healy, tablice kalifornijskie. QAZ, trzy, pięć, zero. Chcemy go zatrzymać za jazdę po pijanemu, prosimy o wsparcie. - Czekając, aż otrzyma potwierdzenie z drugiej strony, powiedział: - Trochę tęsknię za starymi czasami w drogówce, „tu dwadzieścia jeden pięćdziesiąt do komendy”. Ale taka gadka to nie to samo co jazda w patrolach.

Valles go nie słuchał.

- Kurwa. Teren jest czysty. Shiffley mówił, że ten facet to żaden twardziel. Capnę go tutaj.

Umieścił na dachu koguta i włączył syrenę. Witwer powiedział dyspozytorowi, gdzie się znajdują.

Jadący przed nimi wóz sportowy zwolnił i zjechał do krawężnika. Z boku ciągnął się pagórkowaty, porośnięty chwastami teren, z kilkoma tablicami



reklamowymi. Samochody przejeżdżały obojętnie, gdy Valles zatrzymał się za sportowym wozem. W górze świeciły lampy uliczne.

Wysiadł, przypiął sobie srebrną odznakę Wydziału Policji w Santa Maria i podszedł do sportowego wozu.

Witwer czekał w samochodzie.

- Gorąca noc - powiedział niski człowiek w sportowym wozie.
- Czy mogę obejrzeć pańskie prawo jazdy i kartę wozu, sir? - spytał Valles grzecznie. - Widziałem, że trochę panem zarzucało. Pomyślałem, że ma pan jakieś kłopoty.

Mały człowiek przyglądał się Vallesowi.

- Shiffley?
- Co?
- Pan jest Shiffley?
- Nie. Jestem sierżant Valles. Czy zechciałby pan wysiąść z samochodu? - W głosie Vallesa zadźwięczała nerwowa nuta. Sięgnął po broń. Nie podobało mu się, że ten mały facet, który wiercił się nerwowo, zaciskając dłonie na kierownicy, zna nazwisko jego przełożonego.

- Gdzie Shiffley?
- Z wozu, powiedziałem. Ruszaj się. I to już. - Valles wyciągnął broń i wymierzył w małego człowieka, o twarzy drobnej i wąskiej. Kurdupel miał niewielką, czarną bródkę, która wyrastała tuż pod pełnymi wargami.

67

- O.K. O.K. Jest O.K. - powtarzał facecik, gramoląc się z wozu. - Już wychodzę. O.K. Nie trzeba żadnej broni.

Valles był naprawdę zaniepokojony. Choć mały człowiek cuchnął dymem papierosowym i potem, nie czuło się w ogóle alkoholu. Nie pił w La

Cabanie. Uważnie go obserwował.

- Wszystko idzie świetnie, naprawdę świetnie. Każdy powie, że jest dobrze. Żadnych pytań. Jest świetnie. Powinienem wiedzieć. Dobrze wyszło -zapewniał policjanta, podając mu drżącą dłonią brązowy portfel ze skóry cielecej.

Valles go wziął i otworzył. Louis Vismara, jr, przeczytał dane. Miejscowy adres. Vismara zdjął ostrożnie kapelusz i położył na dachu swojego samochodu.

- No i jak? Jak wyszło moje uciekanie i ten pościg? Łatwo mnie złapaliście, O.K.? Nieźle wyszło?

- Zamknij się, Louis. Poczekał tutaj. Nigdzie się nie ruszaj. Valles odszedł powoli w stronę samochodu stojącego pięć stóp za sportowym wozem. Podał portfel Witwerowi.

- Coś tu jest nie tak, Jeny - powiedział podenerwowany. - Przejrzyj ten portfel. Kiedy przyjadą posiłki?

- Lada moment. - Witwer wziął portfel, spojrział na małego Vismarę, po którym prześlizgiwały się światła przejeżdżających samochodów. - O co chodzi?

- Niech mnie diabli, jeśli wiem.

Wtedy Valles posłyszał, jak Witwer jęknął zrezygnowanym tonem „o, nie”, i gdy odwrócił głowę zobaczył, że Vismara rusza pędem w stronę wjazdu na szosę 1-5, która biegła na lewo od ulicy.

Ruszył w ślad za nim, krzycząc. Za jego plecami zapiszczały opony radiowozu, który wezwali. Co jakiś czas Vismara odwracał małą, wąską głowę, po czym przyspieszał. Jednakże ani przez chwilę nie sprawiał

wrażenia kogoś, kto naprawdę chce uciec. Valles dogonił go i bez trudu przewrócił na ziemię.

- Powiedz Shiffleyowi, że Louis wykonał dobrą robotę. O.K.? -  
wykrztusił, gdy sierżant prowadził go pospiesznie do samochodu,  
trzymając mocno. Miał na rękach kajdanki. Uśmiechał się szeroko. -  
Powiedz mu, że zrobiłem to ekstra, O.K.? Ta ucieczka i w ogóle wszystko.

- Nie mam pojęcia, o czym ty gadasz - przyznał Valles.

- Praca z tobą to przyjemność - stwierdził wesoło Vismara, gdy wpychano  
go na tylne siedzenie radiowozu. Poprosił policjanta, żeby przyniósł mu  
jego kapelusz, zanim odjadą.

Valles i Witwer przeszukali dokładnie sportowy samochód. Podjechał  
jeszcze jeden radiowóz z wirującym światłem na dachu, i pobocze drogi  
zaroiło się umundurowanymi policjantami. Shiffley twierdził, że  
mężczyzna będzie miał przy sobie kokę, i Valles szybko zlokalizował  
czterogramowe torebki w schowku na dokumenty i dwa kolejne pod  
przednim siedzeniem. Witwer otworzył niewielki bagażnik i znalazł  
pięciouncjową paczkę w obręczy zapasowego koła. Był to całkiem niezły  
łup jak na jedną noc.

68

Zabezpieczyli kokę i zabrali na posterunek, żeby ją zaewidencjonować.  
Shiffley zdążył już pójść do domu kilka godzin wcześniej.

- Mam do niego kilka pytań - powiedział Valles, nalewając sobie kawę,  
musieli jeszcze napisać raport z aresztowania Vismary.

- Chcę iść do domu - stwierdził Witwer. Rozpostarł wydruk komputerowy  
z obszernym zapisem kryminalnej przeszłości Vismary.

Chavez i Enfante także pracowali nad swoim raportem. Informacja

przekazana przez Maize była dobra i akcja doprowadziła do przyskrzynienia wytwórców cracku\* i zamknięcia dochodowego domu.

\* Crack (ang.) - wyrażenie slangowe, określające czystą kokainę, wyodrębnioną z liści krzewu kokainowego (przyp. red.).

Valles zaklął pod nosem.

- To była nasza pieprzona sprawa.

- Więc dostaliśmy tę zamiast tamtej - powiedział Witwer. Nie przejmował się kapryśnym chwilami charakterem policyjnej roboty.

- Racja - przyznał Valles, wkręcając papier do maszyny do pisania. Zniżył głos, tak by Chavez i Enfante nie mogli go dosłyszeć. - Nie wiem dlaczego, nie wiem jak, nie wiem przez kogo, ale mówię ci, partnerze, czuję, że właśnie nas wrobiono.

Rozdział jedenasty.

Nash wynajmował duże mieszkanie na Serrano Drive, w ogrodzonym labiryncie budynków o białych kopułach, ze strażnikami, basenami i kortami tenisowymi. Kiedy tam wjeżdżał, całe to miejsce robiło na nim wrażenie burdelu w nocy, rozświetlonego niebieskimi i czerwonymi światłami, pełnego śmiechu i muzyki docierającej z przyjęć, które urządzano dzień w dzień.

Wszedł do mieszkania, ściągając marynarkę, krawat, potem buty. Rzucił na szklany stolik plik dokumentów sądowych i nalał sobie piwa. Zza tylnych drzwi, od strony turkusowego basenu dobiegł kobiecy wrzask, a potem plusk.

Mieszkanie było urządzone po spartańsku: puste półki, dwa krzesła, twarde tapczan. Usiadł, wertował pierwsze sprawozdanie i pił piwo. Ostatecznym zaleceniem był wyrok pięciu lat i ośmiu miesięcy w więzieniu stanowym za włamanie do prywatnego mieszkania. Nash zakreślił to kółkiem. Taki wyrok zamierzał wydać następnego dnia. Nie wnikał w szczegóły przestępstwa albo w to, co powiedzieli obrońca czy poszkodowani. Przerwał. Nie wiedział, jak zdoła wydać rano wyrok. Podniósł słuchawkę i spróbował połączyć się z domem Shei. Bez rezultatu. Potem zadzwonił do koleżanki z klasy, kobiety, która w sądzie reprezentowała osoby pozywające za naruszenie ich nietykalności osobistej. Rozmawiając z nią, uświadomił sobie, że pani mecenas czeka na jego zaproszenie, a gdy się nie pojawiło, zobojętniała. Dzwonił do wielu ludzi, szukając jakiegoś słowa pocieszenia czy nadziei. Każda rozmowa była wymuszona i bezcelowa, niektórzy zdradzali nawet zdziwienie jego telefonem, choć nikt nie śmiał powiedzieć sędziemu, że jest nudziarzem. Chce po prostu posłyszeć ich głosy, myślał, odkładając słuchawkę, gotów wykręcić kolejny numer. Byle nie zostać całą noc z samym sobą. Sprawozdania i wnioski na rano piętrzyły się na tapczanie, zlekceważony stos, który sięgał mu uda. Było już po dziesiątej.

Zadzwonił telefon i Nash odebrał go natychmiast.

- Timothy? Twój numer był zajęty przez ostatnią godzinę.
- Jestem dziś wieczór popularny, panie Terhune.
- Znajdziesz teraz trochę czasu?
- Na co? Terhune zrobił pauzę.
- To spotkanie, o którym ci mówiłem, wciąż jest aktualne.
- Czy teraz mi pan zdradzi, o kogo chodzi?

- Ten człowiek może mówić za siebie. Jest w tym bardzo dobry. - Nash zastanawiał się nad znaczeniem ironicznego śmiechu Terhune'a. - Zabiorę cię, a potem odwiozę do domu.

Nash zmarszczył brwi.

- Będzie pan moim kierowcą? Mam się przebrać na to spotkanie?

- Nie, nie, to absolutnie nieformalne. Możesz być w tym, w czym jesteś - powiedział Terhune ze zbytnim pośpiechem. - Czy dwadzieścia minut ci wystarczy?

- Pewnie. Aż nadto - odparł Nash. Odłożył słuchawkę i dokończył piwo, zastanawiając się, kto chciał się z nim tak bardzo spotkać i dlaczego Terhune, który zawsze wysługiwał się innymi, sam organizuje spotkanie. Nasha nie obchodziło, kto to będzie ani o co chodzi. Najważniejsze, że ucieknie od swoich myśli.

- Dokąd jedziemy? - spytał Nash, gdy tylko Terhune ruszył, włączając się swoim mercedesem w rzednący sznur samochodów, zmierzający w kierunku Santa Maria.

- Do Hiltona. - Terhune prowadził skoncentrowany, ze wzrokiem wbitym w drogę. Wciąż był nienagannie ubrany, nawet o tej godzinie, jakby z zebrania zarządu udawał się od razu na przyjęcie z kolacją.

- Czy powinienem coś wiedzieć? - spytał Nash. - Skąd to spotkanie? Terhune potrząsnął głową.

- Wszystko się wyjaśni, Timothy. Zrobisz na nich wrażenie.

- Liczba mnoga?

- Zakładam, że będzie kilka osób.

Nash wciągnął w płuca klimatyzowane powietrze, łagodnie chłodne i wilgotne. Wnętrze wozu Terhune'a było wyłożone skórą, miękką i drogą.

Patrzył przez okno na połyskliwą, letnią noc, na miasto, którego światła łagodnie migotały.

- Nie interesuje mnie inna praca, jeśli chodzi tu o coś w rodzaju interview. Nie chcę wstępować do jakiejś firmy.

Terhune parsknął krótkim śmiechem. Jego ascetyczne rysy wykrzywiły się.

- Pracowałem zbyt ciężko, żeby posadzić cię na fotelu sędziego, by teraz ściągać cię z niego.

- Więc to nie propozycja pracy? Jakaś oferta, której nie mogę odrzucić,

sześciocyfrowa pensja w pierwszym roku, duży wóz, jakiś wyjątkowo bogaty partner?

- Nie. Nic takiego. - Terhune nie odrywał wzroku od drogi.

Kilka minut później Terhune wjechał na półkolisty podjazd przed Hiltonem. Był to jeden z najnowszych hoteli, bladobłękitna wieża o ostrych krawędziach. Terhune zaczekał, aż Nash wyjdzie z samochodu i obaj skierowali się do holu. Nash włożył marynarkę, ale nie miał krawata, a jego biała koszula z krótkimi rękawami była zmięta i nieświeża po długim dniu.

Dwie wielkie fontanny szemrały i pluskały w tym marmurowym ogromie. Mężczyźni i kobiety, ożywieni po wyjściu z baru czy restauracji, zmierzali kołyszącym się krokiem w stronę wind albo siadali na długich, zielonych kanapach wokół fortepianu. Nash słuchał muzyki rozbrzmiewającej w tej przepastnej sali. Wydawała się tak bardzo pozbawiona życia w porównaniu z grą jego matki.

Stojąc przy windzie znów poczuł przyływ gniewu. Niechętnym

spojrzeniem obrzucił czekającą z nimi parę. Mężczyzna był ubrany w niestosowną do pory roku marynarkę moherową i pocił się obficie.

Kobieta, którą obejmował, miała na sobie obcisłą, czarną sukienkę.

- Niepotrzebnie się pan fatyguje - zwrócił się Nash do Terhune'a. Chciał kogoś zdenerwować. Kim, swojego ojca, Terhune'a.

- Wcale nie.

- Zapomnijmy o tym. Powiedziałem, że nie chcę innej pracy. - Zaczął się odwracać, ale Terhune ujął go za ramię.

- Jesteśmy już na miejscu, Timothy. To nie potrwa długo.

- Co to za sprawa? Z kim mam się spotkać?

Terhune uśmiechnął się, ale nie bez wysiłku, jego swoboda gdzieś się ulotniła.

- Nie mogę powiedzieć.

Nagle Nash rozpoznał tę nerwowość, ten skrywany niepokój. Aż trudno uwierzyć, żeby Terhune...

- Czy ktoś pana naciska? - spytał powoli.

Terhune wyjął jedwabną chusteczkę i otarł górną wargę i brwi.

- Nie rozumiem - powiedział. Mężczyzna i kobieta spojrzeli na niego.

- Pracuje pan dla kogoś. - Nash przeszedł na stary żargon z dawnych czasów w Narkotykach. Pracuje, jak pracowała Maize dla dwóch tajnych agentów. Pracować oznaczało sposób spłaty długu, odpowiedź na groźbę.

Był zdumiony, że używa tego określenia w stosunku do Dennisa Terhune'a.

- Wciąż nie rozumiem - powiedział Terhune, gdy drzwi windy się rozsunęły, a on wszedł do środka. Nash i para weszli za nim.

- Oczywiście, że pan rozumie. Wie pan, o czym mówię.



Winda ruszyła gwałtownie w górę. Kobieta gapiała się zdumiona. Terhune odchrząknął.

- Jedziemy na dwudzieste piętro, Timothy. Robię to absolutnie z własnej  
72

woli i tylko na twoją korzyść. - Wpatrywał się w zielone, rosnące numery  
pięter.

Nash wsunął dłonie w kieszenie spodni. Mężczyzna i kobieta stali blisko  
siebie, unikając swego wzroku.

Gdy znaleźli się na dwudziestym piętrze, ruszyli bez słowa korytarzem  
wyłożonym dywanem. Terhune sprawdzał numery pokoi. Fala gniewu,  
który odczuwał Nash, ustąpiła miejsca zmieszaniu. Zbyt długo był  
prokuratorem korzystającym z informatorów i niezbyt chętnych do  
współpracy świadków, by nie rozumieć pewnych znaków, gdy je  
dostrzegał.

Albo myśleć, że je dostrzega. Tego wieczoru mógł każdego posądzać o to,  
że coś knuje.

Terhune przystanął przy drzwiach na końcu korytarza, zapukał, i drzwi się  
otworzyły. Stanął z boku, by przepuścić Nasha.

Mężczyzna, który otworzył, był młody i miał na sobie workowaty  
niebieski garnitur. Nie wyglądał na młodszego pracownika jakiejś firmy  
prawniczej. Był zbyt skupiony i profesjonalnie uważny, gdy obrzucił ich  
spojrzeniem. Ma kaburę pod pachą, uświadomił sobie Nash, gdy na  
moment dostrzegł skórzane szelki. Jakiś gliniarz, zgadywał.

- Jestem Dennis Terhune - usłyszał Nash. - Spóźniłem się nieco na  
spotkanie o dziesiątej i mam ze sobą gościa.

Mężczyzna skinął głową.

- Proszę tędy, sir.

Nash wszedł pierwszy do dużego apartamentu, Terhune za nim. Odsłonięte okna ukazywały panoramę miasta, nocny obraz rysujących się na tle nieba wieżowców z rubinowymi światłami ostrzegawczymi na dachach i lampy uliczne w dole, tworzące długie, węzowate linie. Szczyt świata, pomyślał. Jakiś mężczyzna w szelkach, który trzymał ogromny biały kubek w ręku i rozmawiał z ożywieniem z dwoma innymi mężczyznami w jasnoszarych garniturach, podniósł wzrok. Młoda kobieta, blondynka, z notatnikiem w ręku, też spojrzała na Nasha.

Mężczyzna z kubkiem natychmiast podszedł do nich i wyciągnął rękę.

- Dennis. Dziękuję za przybycie.

- To jest Timothy Nash - przedstawił Terhune oficjalnie. W jego głosie nie było cienia serdeczności. Mężczyźni w garniturach mierzyli ich wzrokiem. Nash zauważył, że kobieta zapisała coś szybko w notatniku. Poczł energiczny uścisk ręki.

- To wielka przyjemność, panie sędzio. Wielka, naprawdę wielka przyjemność dla mnie. Oczekiwałem z niecierpliwością spotkania z panem. Jestem Neil Roemer.

- Wydawało mi się, że pana poznaję. Dla mnie to też przyjemność - powiedział Nash szczerze. W rzeczywistości twarz Roemera była trochę

73

bardziej rumiana, włosy rzadsze, rysy mniej ostre niż w telewizji. Nash był pod wrażeniem jego reputacji jako twardego prokuratora.

- Panie sędzio, to moja asystentka, Janice Dillon. Jest jednym z jaśniejszych światłał we Wschodnim Biurze Okręgowym Prokuratora

Generalnego. Może spotkaliście się kiedyś?

Nash potrząsnął głową. Czuł się zakłopotany, gdyż kobieta była bardzo atrakcyjna, a Roemer to znakomitość.

- Nie. Nie spotkaliśmy się.

- Znam pańskie osiągnięcia, panie sędzio - powiedziała Janice Dillon.

-Poznać pana to zaszczyt.

- Panie sędzio - stwierdził Roemer - nim zaczniemy, muszę pana uprzedzić, że będziemy omawiać bardzo delikatne, poufne sprawy. Pragnę poznać pańskie zdanie i zapewnić sobie pańską pomoc, gdyż sprawy te dotyczą pańskiego środowiska. Ale jeśli zdecydujemy się je omawiać, jeśli pan tu pozostanie - Roemer uśmiechnął się zakłopotany - to tym samym zobowiąże się pan do zachowania tajemnicy.

- Nie będę mógł powiedzieć nikomu, o czym tu mówiliśmy?

- Nie będzie pan mógł nawet powiedzieć, że się spotkaliśmy. Że był pan tutaj.

- Nie muszę chyba niczego podpisywać? - spytał żartobliwie. Zerknął na Janice Dillon, ale nie uśmiechnęła się.

- Wystarczy pańskie słowo. Znajdą się w razie czego wiarygodni świadkowie. - Roemer wskazał głową na dwóch mężczyzn. Jacyś policjanci, pomyślał Nash, ale nie miejscowi. Lokalny glina wiedziałby, kim jest Jack Nash i okazałby trochę respektu. To nazwisko w Santa Maria kojarzyło się z nagrodą lub karą. Ci policjanci patrzyli na niego zimno, z uwagą i oczywistą podejrzliwością.

- Zostaję - oznajmił Nash. - Chciałbym usłyszeć, o co panu chodzi, panie Roemer. Jestem pańskim wielbicielem.

- Dobrze. Znakomicie. Wspaniale. - Roemer uśmiechnął się szeroko do

Terhune'a. - Dennis, bardzo ci dziękuję za przyjście i twoją pomoc w ułatwieniu naszego spotkania. - Nie wyciągnął ręki.

- Powiedziałem sędziemu, że go odwiozę, kiedy skończycie - powiedział sztywno Terhune.

- Zgadza się. Dopilnuję, żeby dojechał bezpiecznie do domu. Terhune zawahał się, potem rzucił:

- Dobranoc, Timothy. Życzę ci powodzenia.

Nash pomyślał, że godność Terhune'a w jakiś dziwny sposób ucierpiała, choć obaj panowie byli poprawni w każdym calu.

Ruszył za Roemerem i Janice Dillon w głąb apartamentu. Stał tam telewizor z dużym ekranem, obok leżał stos kaset magnetowidowych.

Barek oferował kanapki i drinki.

- Długo pan go zna? Roemer uśmiechnął się.

- Kogo?

- Dennisa Terhune'a.

- Jakiś czas.

- Nie obracacie się w tych samych kręgach.

- Zdziwiłby się pan.

- O.K. - stwierdził Nash. - Proszę mi powiedzieć, o co chodzi.

- Może się pan najpierw czegoś napije? Piwa? Czegoś innego? - Roemer wskazał na barek. - Kawa?

- Kawa będzie doskonała.

Roemer skinął głową, a wówczas jeden z policjantów w cywilu wziął srebrny termos i nalał jeszcze jeden kubek. Podał go Nashowi. Roemer czekał, aż policjanci wejdą do sypialni po drugiej stronie apartamentu i zamkną drzwi.

- Wie pan, co niegdyś lubiłem pić? - Nieco pobrużdżona twarz Roemera zmarszczyła się, gdy sięgał pamięcią do przeszłości. - Zimną lemoniadę z kostkami lodu w wysokiej szklance. Jezu, czyż to nie szczyt przeciętności?

- Spojrzał na Janice.

- Smakoszem nadal nie jesteś - zauważyła. Siedziała na sofie, gotowa do robienia notatek. Nash wyczuł, że między nią a Roemerem jest coś więcej.

- I to cały ja - powiedział Roemer. - Jestem prosty. Lubię proste rzeczy.

Wie pan, skąd pochodzę, panie sędzio?

- Nie.

- Dorastałem w Mission District w San Francisco. Twarda, bardzo twarda okolica. To tam nauczyłem się bić. Wracałem ze szkoły do domu, Jezu, i każdego dnia musiałem stoczyć walkę. Kilka przegrałem. Ale większość wygrałem.

- Walczył pan kiedyś zawodowo?

- Przez jakiś rok. Nie byłem dość dobry. Poszedłem na prawo.

- Jako prokurator osiągnął pan znacznie więcej. Roemer skinął głową.

- Wciąż zdarza mi się przegrywać jakieś walki. Ale wygrywam znacznie więcej.

Nash zerknął na długi stół po lewej stronie. Leżała na nim jakaś kartka.

Dostrzegł nazwiska sędziów sądu miejskiego i najwyższego z Santa Maria.

Zauważył też nazwisko swoje i ojca.

- Mój ojciec jest na emeryturze - powiedział, wskazując na kartkę. - Nie znajduje się już na liście urzędujących sędziów.

- Umieściliśmy go tam nie bez powodu. Pan też tam widnieje.

Nash podszedł do sofy, bliżej Janice. Podobał mu się jej spokój. Stał przy oknie.

- Więc proszę mi powiedzieć, dlaczego Departament Sprawiedliwości chce ze mną rozmawiać?

- Musi pan tęsknić za dawnym życiem. Trochę, czasami - zaczął Roemer.

74

75

- Ma pan na myśli oskarżanie?

- Wnoszenie oskarżenia, nadawanie mu biegu. Sprawianie, by sprawiedliwość nie była pustym słowem.

- Lubiłem funkcję prokuratora - przyznał Nash. - Ale bardziej podoba mi się funkcja sędziego.

- A gdyby miał pan szansę pełnić te obie funkcje jednocześnie?

- Nie mogę. Sędzia nie może wnosić sprawy i jednocześnie sądzić. To jest sprzeczność interesów. - Uśmiechnął się szeroko do Janice. Odpowiedziała mu słabym uśmiechem.

Roemer nie uśmiechnął się.

- Czy wie pan, panie sędzio, na czym polega moja praca?

- Na wykrywaniu korupcji. Nadużyć władzy. Na tropieniu polityków, którzy przyjmują brązowe koperty.

- Nie. - Roemer potrząsnął głową. - Zajmuję się w ścisłym tego słowa znaczeniu uczciwością. Wyszukuję uczciwych ludzi w naszym systemie.

- Z zewnątrz to tak nie wygląda. - Nash znów się uśmiechnął. -Widziałem mnóstwo pańskich konferencji prasowych i wielu facetów, którzy, zasłaniając twarze, szli do więzienia.

- To tylko druga strona tego wszystkiego; ci, którzy się nie sprawdzili. Ale

tak naprawdę to nie ich szukam. Chcę znaleźć uczciwych mężczyzn i kobiety.

- A ja jestem tutaj, bo potrzebuje pan mojej pomocy?

- Wiem, że zechce pan pomóc - powiedział Roemer. Chodził po apartamencie, pociągając za swoje szelki. Janice przerzuciła kartkę.

- W jaki sposób? - Nash usiadł.

- Założmy, że jestem w posiadaniu wiarygodnych informacji, według których pewni ludzie przejawiają skłonności do mijania się z prawem.

-Roemer stał obok stołu z papierami, wśród których leżała kartka z nazwiskami sędziów, wypisanymi czarnym atramentem. - Mógłbym przeprowadzić tajną operację w taki sposób, byśmy mogli wyłowić tych nieuczciwych ludzi.

- Prowokacja?

- Mógłbym ułożyć scenariusz, który dawałby każdej osobie szansę.

Wówczas wiedzielibyśmy, kto jest skażony.

Nash wychylił się do przodu.

- Czy ma pan informacje na temat sędziów w tym okręgu? Czy to właśnie ich pan tropi?

- Mam informacje.

- Skąd? - Nash zerknął na Janice. Nadal zachowywała pasywność. Było tak, jakby wcześniej ustalili kto ma mówić, a kto słuchać.

- Mam pewne źródła - powiedział Roemer.

- Kto to jest?

- Lepiej, żeby pan nie wiedział. Jeśli jakaś sprawa trafi do sądu, to może będziemy chcieli zataić nazwiska albo wnieść o przywilej milczenia.

Gdybym zdradził panu te nazwiska, to być może później musiałby pan je

ujawnić.

76

- Też bym panu nie powiedział - stwierdził Nash. Był zadowolony, że Roemer chroni swoich informatorów. - Uważam, że nikt nie powinien zdradzać informatora, dopóki nie ma przystawionego pistoletu do głowy.

- To brzmi jak stwierdzenie prokuratora.

- Kiedy siedzę na fotelu sędziego, to jednak czasem przystawiam komuś broń do głowy.

- Ma pan rację. Prawda, Janice? Porządni faceci nie zdradzają przyjaciół. Nieznacznie uniosła głowę. Miała doskonale rysy.

- To nie jest godna pochwały praktyka - przytaknęła.

Możliwość, o której mówił Roemer, podnieciła Nasha. To nie przypominało rozprawy, podczas której właściwie był tylko obserwatorem rozsądzającym spory oponentów. Chyba że zachowanie obrońcy było tak oburzające, iż musiał interweniować z własnej woli. Tak się zachowywał Escobar. Cała rozprawa Soiki, prawdę mówiąc, wymagała częstszych ingerencji Nasha niż większość procesów, które dotychczas prowadził. Muszę być obiektywny, myślał, kiedy patrzę, jak prokurator fuszeruje przesłuchanie świadka albo kiepsko przedstawia dowody. Albo, co jest jeszcze gorsze, kiedy obrońca partaczy, a ja muszę wkraczać, żeby go ratować, tak by nie została naruszona zasada sprawiedliwego procesu, który należy się oskarżonemu.

Ale Roemer oferował szansę innego uczestnictwa, czystego i bezpośredniego. Nash sam mógł decydować, co dobre a co złe, bez nakazu zachowania neutralności.

- Tropi pan sędziów, których znam, prawda? - spytał Nash. Ta myśl go



niepokoila.

- Skorumpowany sędzia to wcielenie zła - powiedział twardo Roemer. - Skorumpowany sędzia przyczynia się do upadku całej świątyni sprawiedliwości.

- Tak. To prawda - przyznał Nash. - Czego pan szuka? Tak dokładnie?

- Wstał i wziął sobie kanapkę. Zastanawiał się, czy policjanci w sąsiednim pokoju mają podsłuch. Roemer, o czym czytał, zawsze dbał o środki ostrożności i starannie wszystko planował.

Odpowiedzi udzieliła Janice Dillon.

- Chodzi nam o bardzo specyficzne przestępstwa, panie sędzio. Ustawa 18 Kongresu Stanów Zjednoczonych, podkomisja c. Prowadzenie przedsiębiorstwa metodami oszustwa.

- W przypadku sędziów?

- Korzystaliśmy już z tej ustawy. Jest bardzo szeroka. Sędziów też obejmuje - powiedział Roemer.

- Chodzi nam głównie o przypadki brania łapówek - wyjaśniła Janice.

- Gratyfikacje w zamian za korzystne wyroki czy stronnictwo.

- Co jeszcze?

- Kongres 1951, wymuszenia z wykorzystaniem uprawnień urzędnika. To prowadzi do prostytuowania urzędu sędziowskiego. Kongres 1956, ustawa 77

o praniu pieniędzy, bo dranie zawsze starają się ukryć jakoś pieniądze.

Inwestują w nieruchomości, kupują samochody, domy czy zabawki

elektroniczne. - Uśmiechnęła się smutno. - Miałam już z tym do czynienia.

- Nic nowego - dorzucił Roemer.

- Będziemy też tropić łapówkarstwo w organizacjach finansowanych z

zasobów federalnych. Ława sędziowska w pańskim okręgu może spodziewać się kontroli rządowych. Mogłabym dzięki temu oskarżyć skorumpowanego sędziego.

- Trzeba w to włączyć Urząd Skarbowy - zwrócił się do niej Nash. Prawie zapomniał o przygnębieniu i zmęczeniu, które mu towarzyszyły tego dnia.

- Oczywiście - wtrącił Roemer. - Nie dopadłem jeszcze żadnego z tych dupków, którzy wliczają sobie łapówkę czy gratyfikację w podatek dochodowy. A więc ma pan rację, będziemy mieli po swojej stronie Urząd Skarbowy, skontaktuję się też z lokalnymi władzami podatkowymi.

- Nie mogę uwierzyć, że jest tu aż tylu sędziów, których można oskarżyć - powiedział Nash.

- Nie podam dziś panu nazwisk potencjalnych kandydatów. Z pewnością nie jest pan jednym z nich.

- Znam wszystkich sędziów w tutejszym okręgu. Niektórzy z nich to starzy przyjaciele mojej rodziny. Dorastałem, bawiąc się w ich gabinetach, byli gośćmi w moim domu, jadałem z nimi. Pracowali z moim ojcem - wyliczał ponuro Nash.

- Wiem. - Roemer skrzyżował ramiona na piersi.

- To może ograniczyć moją zdolność działania.

Roemer wpatrywał się w niego i Nash zaczął czuć się nieswojo.

- Pozwoli pan, że spytam, panie sędzio. Co by pan zrobił, gdyby mógł pan powstrzymać nieuczciwego sędziego przed zawaleniem sprawy kryminalnej? Co by pan zrobił, gdyby mógł pan przygwoździć kogoś, kto kupczy swoim urzędem? Czy odszedłby pan bez słowa?

Nash myślał chwilę, potem powiedział:

- Nie wiem, czy potrafiłbym donieść na kogoś, kogo znałem przez dłuższy

czas. Nie wiem, czy potrafiłbym doprowadzić do aresztowania starego przyjaciela.

- A kto to wie? Kiedy już dochodzi do czegoś takiego, nikt nie umie powiedzieć, co by zrobił, dopóki to się nie stanie - stwierdził Roemer. Spojrzał na Janice.

- Czy pan to robił? - spytał go Nash.

- Kiedy musiałem. Tak.

- Czy było to trudne?

- Nie będę kłamał. Tak. Cholernie trudne.

- Nie wiem, czy potrafię - przyznał Nash. Jego sumienie uchylało się od jednoznacznej odpowiedzi.

Roemer widywał już wcześniej takie rozterki. Niejednokrotnie był obrońcą swojej sprawy.

78

- Jeśli to ma panu pomóc, to chcę panu powiedzieć, że nie będzie pan sam. Decyzja o wszczęciu śledztwa należy do mnie. Po konsultacji z prokuratorem generalnym. Nigdy nie poproszę pana o zrobienie czegoś, co uznałby pan za moralnie odrażające, panie sędzio.

Nash przeszedł obok sofy, trzymając nadgryzioną kanapkę w ręku.

Nie będę sam, myślał. Będę robił coś, co w oczach każdego jest przyzwoite i honorowe.

Metoda stosowana przez Roemera była podobna do jego metod, gdy działał w Narkotykach. Policjanci czy informatorzy nigdy nie podejmowali decyzji. One należały do niego. Ponośli pełną odpowiedzialność. Tak jak Roemer w tym przypadku. Czuł na twarzy powiew chłodnego powietrza z otworów wentylacyjnych obok okna. Jego

spojrzenie wędrowało po ciemnym, pełnym migotliwych punkcików mieście, w którym się urodził, wychował, i któremu teraz służył. Podjął decyzję.

- Co mam zrobić? - spytał Roemera i Janice.

- Zamierzamy prowokować pewne sytuacje, w których będziemy sprawdzać tych sędziów. Będzie pan pracował dla Grupy Specjalnej do Walki ze zorganizowaną Korupcją.

Nash westchnął nerwowo. Kiedy był w Narkotykach, nigdy nie zajmował się działaniem bezpośrednim. Mówił policjantom, czego potrzebowali, a oni to dostarczali albo nie. To oni musieli pokonywać opory moralne, by nakłonić jakąś osobę do zdrady innej osoby. Wszystko w imię słusznej sprawy. Jak Ross okłamujący Soikę, by ratować zakładnika.

Odłożył kanapkę i wytarł spocone ręce.

- Moje działania nigdy nie były utajnione. Nie jestem w tym zbyt dobry. Roemer zaśmiał się.

- Nie będzie pan tak działał. Będzie pan sobą, sędzią, który rozmawia z innymi sędziami. Będzie im pan oferował łapówki w zamian za oddalenie sprawy o narkotyki.

- Co to za sprawa?

- Sprawa, którą skonstruujemy jako część tego scenariusza. Na krótko przed pańskim przyjściem otrzymałem informację, że tryby poszły w ruch. Już mamy sprawę z narkotykami w toku. Taką, którą kontrolujemy. Może kiedyś zetknął się pan z dealerem o nazwisku Vismara?

- Nie - odparł Nash.

- Teraz pan o nim usłyszy. Będzie świetnie pracował. Będzie pan też miał zaufanego urzędnika sądowego.

- Żeby skierował sprawę do sądu, o jaki nam chodzi? Roemer przytaknął.

- Żadnych nazwisk, nie pozna pan swoich współkonspiratorów. W przeszłości zawsze się to sprawdzało. Ten urzędnik będzie mógł przesłać naszą sprawę tam, gdzie tylko będziemy chcieli, do każdego sędziego, jakiego weźmiemy na celownik. Będzie pan też miał wtajemniczonego prokuratora.

- A jeśli ten namierzony sędzia zażąda dowodów, nazwisk? - spytał Nash.

79

- Czy kiedykolwiek uczestniczył pan w tajnej operacji mającej na celu ujawnienie korupcji urzędnika państwowego, panie sędzio?

- Nie - przyznał Nash. - Zajmowałem się kradzieżami, narkotykami, tego typu sprawami. Niektóre były bardzo skomplikowane.

Roemer zerknął na Janice.

- No cóż, mogę panu powiedzieć, że przy korupcji to wygląda inaczej. Wymyślona historia, która jest przykrywką, ma znaczenie, ale podstawiony człowiek jest najważniejszy. Namierzeni sędziowie muszą akceptować figuranta. Pan się świetnie nadaje. Poza tym będą to sędziowie, którzy, jak wierzymy, są już skorumpowani.

- Zastanawiam się, co się stanie, jeśli uczciwy sędzia doniesie na mnie, rozumie pan, odrzuci moją ofertę, a potem da znać policji albo przewodniczącemu składowi sędziowskiego.

- Mogłoby się tak stać - przytaknął Roemer. - Ale, jak dotąd, się nie zdarzyło.

- Nigdy?

- Nigdy! Gdyby jednak, to zawsze moglibyśmy wtajemniczyć tego uczciwego sędziego, powiedzieć mu, co się naprawdę dzieje - wyjaśnił

Roemer. - Poza tą bardzo nikłą szansą wybrania niewłaściwego celu, operacja musi być utrzymana w najściślejszej tajemnicy. Nikt nie może być o niej poinformowany. Ani policjanci, ani przyjaciele, ani rodzina.

- Nie wiem, czy aż taka poufność jest konieczna - powiedział Nash, zwracając się głównie do Janice.

Uprzedziła Roemera:

- Naprawdę jest konieczna, panie sędzio. W mieście tej wielkości większa liczba ludzi zaangażowanych w operację oznacza kłopoty.

- Kłopoty? Może kilka koniecznych zmian - powątpiewał Nash.

- Jeśli sprawa się rozniesie, to zamykamy interes - uściślił wypowiedź Janice Roemer. - Ci, których chcemy namierzyć, schodzą do podziemia, my nie możemy wnieść żadnej sprawy, a pan pozostaje w bardzo niezręcznej sytuacji. Publicznie. A także prywatnie.

Nash pomyślał, że chcą go przestraszyć.

- Wielu ludzi już panu nie uwierzy. - Roemer pokiwał głową. - Jeśli nie doprowadzimy całej sprawy do końca, do sądowego finału, to smrodek zostanie na zawsze.

- Jakbym sam był oszustem - przytaknął Nash. - Wiem.

- A więc porozumieliśmy się co do tego. Ściśle tajna operacja. To powinno być zasadą. - Roemer uśmiechnął się. - Nie chcę, żeby ludzie w tym mieście przez resztę pańskiego życia podejrzewali, że też dał się pan skorumpować.

Nash znów pomyślał o Maize i policjantach od narkotyków. Przy okazji tajnych operacji, które kończyły się zbyt szybko, zawsze pozostawało podejrzenie, że główny operator został zmuszony do współpracy przez policję. Cień nieuczciwości miał moc trucizny.

Ci z Departamentu Sprawiedliwości będą mogli powiedzieć, że działałem na własną rękę, dopóki nie stracili cierpliwości, pomyślał Nash. Może się zdarzyć, że będę musiał odejść z sądu. Kto zechce stanąć przed sędzią o takiej reputacji?

Jedynym wyjściem było zachowanie takiej tajemnicy, o jakiej mówił Roemer.

- Czy będę musiał nosić przy sobie magnetofon? - spytał Nash. Roemer roześmiał się. Janice też uśmiechnęła się, ku zakłopotaniu Nasha.

- Czy nosił pan go przy sobie, gdy był pan prokuratorem?

- Nigdy.

- Będziemy się starali tego uniknąć. Posługujecie się prawdopodobnie głównianym sprzętem na tym lokalnym szczeblu? Typ Fargos? Kiepskie magnetofony.

Nash przypomniał sobie szumiące, słabe, niewyraźne nagrania, które policjanci przynosili z kontrolowanych zakupów czy obserwacji.

- Oszalałby pan, próbując słuchać tego śmiecia - powiedział. Roemer podszedł do okna. Janice siedziała kilka stóp dalej, jakby sprawa została już omówiona do końca. Policjanci za drzwiami wstrzymują oddech, pomyślał.

- To, co będziemy robić - Roemer zakreślił dłońmi łuk w powietrzu, to tak sterować akcją, by pan i namierzony osobnik spotkali się w miejscu, które wcześniej przygotujemy. Może w restauracji. Może w pokoju hotelowym. Może w samochodzie. Ale w każdym przypadku chcę mieć możliwość zarejestrowania pańskiej transakcji na wideo albo na taśmie magnetofonowej.

- Nie będę naciskał - zastrzegł Nash. - Jeśli nie wykażą zainteresowania towarem, który chcę sprzedać, odejdę.
- Oczywiście - stwierdził Roemer z naciskiem. - Oczywiście. Nie jestem tu po to, żeby zmuszać kogokolwiek do czegoś, czego nie chce zrobić. Gdy Roemer mówił, Nash podjął ostateczną decyzję. Nie zamierzał narażać przyjaciół. Za to z całym zapalem zapoluje na innych, tych brudnych, którzy, według Roemera, zasiadali w sędziowskich fotelach. Odrazą napawała go myśl, że jakiś sędzia, którego widział na cotygodniowym spotkaniu, na którego natknął się w sądowym korytarzu albo z którym pił na niezliczonych konferencjach, kupczy swoim urzędem. Odzywa się stary prokurator, pomyślał Nash. Perspektywa przygwożdżenia złego faceta sprawiała, że jego soki krążyły żywiej.
- Jaka jest pani opinia, Janice? - spytał. Przerwała pisanie.
- Podjął pan słuszną decyzję. Ja swojej nigdy nie żałowałam. Zastanawiał się, jakich wyborów musiała dokonywać. Chciałby to wiedzieć. Roemer zacisnął pięść.
- Przeprowadzimy jedną z najbardziej udanych tajnych operacji, Tim. Wierz mi.

81

- Nadaliśmy jej także nazwę - dodała Janice.
- Jaką?
- Wszystko odbywa się pod kryptonimem Stracone Zaufanie. Ja to wymyśliłem - pochwalił się Roemer. Nashowi spodobała się nazwa. Poczul przyływ optymizmu.
- Dlaczego ja? Muszą być jeszcze inni sędziowie w tym okręgu, których można by wykorzystać.



Janice zamknęła notatnik i wstała. Podeszła do Nasha. Używała lekkich, wonnych perfum. Jej oczy były szaroczarne.

- Uważam, że jest pan uczciwy. Znam pańską przeszłość.

Przestudiowałam ją.

- Zdecydowały jeszcze inne sprawy - wtrącił Roemer. - Był pan prokuratorem, od pięciu lat piastuje pan urząd sędziego. Zna pan wszystkich w tym mieście i wszyscy znają pana. Uważają, że ma pan kręgosłup moralny. Jezu, pański ojciec jest tu uważany za niemal świętego.

- A więc potrzebujecie mojego nazwiska - stwierdził Nash. - Sądzicie, że historia, którą ja opowiem, będzie wiarygodna? Że sędziowie ją kupią?

- Właśnie.

Nash zmarszczył brwi. Był zaniepokojony tą gładką logiką, chłodną kalkulacją Roemera.

- Dlaczego miałbym pragnąć takich pieniędzy? To znaczy, dlaczego faceci mieliby sądzić, że jestem aż tak chciwy?

Janice skrzyżowała ramiona.

- Nie pomyślą, że jest pan chciwy. Wszyscy wiedzą, że ma pan za sobą ciężki rozwód. To logiczne, że potrzebuje pan pieniędzy, by za niego zapłacić,

Nash, o dziwo, nie czuł się obrażony tym beznamietnym grzebaniem w jego życiu. Może dlatego, że Janice tak łatwo mógł wybaczyć. Rozumiał też, że zainteresowani towarem muszą najpierw uwierzyć, że kupują z pewnego źródła.

Roemer zaciągnął na oknach zasłony, odgradzając apartament od widoku miasta. Izolacja. My przeciwko nim, pomyślał Nash. Podeszedł do stołu i ponownie zerknął na listę z nazwiskami sędziów.

- Macie coś na Terhurie'a? - spytał nagle.

Roemer spojrzał na niego zaskoczony, potem na Janice.

- Absolutnie nic. Jest stroną zainteresowaną. Ma pewne kontakty z departamentem Sprawiedliwości i stanowił najprostszą, najpewniejszą drogę do pana.

- To wszystko?

Janice wzięła kanapkę i zaczęła powoli jeść.

- Zatajenie informacji nie jest najlepszym początkiem współpracy, panie sędzio.

- Musiałem spytać. Zachowywał się dziwnie.

- Jesteśmy jak faceci od podatków - zażartował Roemer. - Wszyscy stają się nerwowi, gdy się pojawiają.

Trudno się nie zgodzić. Roemer miał reputację agresywnego tropiciela

82

finansowych oszustów i skorumpowanych policjantów, ale nie miał w sobie mściwości. Uderzał prosto w cel, a to odpowiadało Nashowi.

- Stawiam jednak pewien warunek - powiedział.

- Słucham.

- Przewodniczę w tej chwili poważnemu procesowi, w którym może zapaść wyrok śmierci. Jestem mniej więcej w połowie. Nie pozwolę, by cokolwiek, co będę dla was robił, kłóciło się z tą rozprawą.

- Oczywiście. Rozprawa nie ma z tym nic wspólnego - obiecał Roemer. - Wiem, jak ciężko sędzi się w Kalifornii.

- Od czego zaczniemy? - Nash spojrzał na nich. Drzwi od sypialni otworzyły się i do środka weszli policjanci w cywilu, jeden z nich trzymał marynarkę w ręku, nie zważając, że jej poły ciągną się po podłodze. Byli

uzbrojeni.

- Jest parę rzeczy do zrobienia w ciągu najbliższych dni. - Roemer podszedł do stołu, zrobił sobie miejsce i zaczął coś skrobać niewyraźnym charakterem pisma. - To, co teraz dam panu, to adres i numer telefonu, jeśli będzie pan miał jakieś pytania albo jeśli wyniknie coś nowego.

- Nie zostaje pan w mieście?

- Wracam do Waszyngtonu, ale będę tu pojutrze. Muszę od czasu do czasu kontrolować także inne operacje. - Wydarł stronę z notatnika i podał Nashowi. - To bezpieczny kontakt. Nie jest w żaden sposób powiązany z Departamentem Sprawiedliwości.

- Nikt nie podniesie słuchawki, mówiąc: „Stracone Zaufanie”?

- Nie, jeśli będziemy mieli szczęście. Na pewno nie zrobi tego nikt, kto pracuje dla mnie - powiedział Roemer, odprowadzając Nasha do drzwi. - Na koniec dodam jeszcze, że to Janice będzie pańskim łącznikiem ze mną. Moja twarz jest odrobinę zbyt dobrze znana. Ze mną będzie się pan spotykał tylko w wyjątkowych sytuacjach.

- Raz organizowałem prowokację - powiedział Nash - której przygotowanie zabrało trzy miesiące. Mieliśmy magazyn, jakieś cztery mile stąd. Policjanci z miasta kupowali kradzione rzeczy, nagrywali i fotografowali każdego, kto je przynosił. Mieliśmy wszystko. Telewizory, stereo, kosiarki do trawy, rowery, ktoś próbował nam sprzedać psa. Opowiedziałem o tym jednemu facetowi z Biura Narkotyków. Zabrało mi kwadrans zrelacjonowanie tego, na co poświęciliśmy prawie rok.

- Tak to jest. Wszystkie interesujące prowokacje to niemal opowieści wojenne.

- Ale ta nie zajmie roku, prawda? Będziecie działać szybko? Roemer

przytaknął.

- Nie zauważą nawet, kiedy ich uderzymy.

Rozdział dwunasty.

Nash został odwieziony z powrotem do swojego mieszkania. Kierowca, jak się okazało, był agentem FBI, który na co dzień pracował w biurze w Brooklynie. Został oddelegowany, by towarzyszyć Roemerowi podczas tej kalifornijskiej podróży. Czekał z niecierpliwością, aż wróci na ciemne, hałaśliwe ulice swego miasta. „Tu nie można uciec od słońca” - powiedział do Nasha. Nie zdradził swego imienia. Nash uświadomił sobie, że Roemer też ani razu nie wymienił swoich agentów z nazwiska. To się nazywa profesjonalizm!

Kierowca z FBI wysadził go przy bramie prowadzącej do osiedla. Nash był zmęczony, ale pełen entuzjazmu, po raz pierwszy od wielu miesięcy. Idąc do swojego mieszkania, mijał baseny, skąd dochodził plusk wody i śmiech miłośników nocnych kąpieli.

Kiedy zapalił światło, poraziła go pustka i cisza. Zażęknął za Kim, podnieconym głosem Bena relacjonującego wydarzenia w szkole.

Rozebrał się do bielizny, usiadł i wykręcił numer, który dała mu Kim.

Bardzo chciał jej opowiedzieć o operacji Stracone Zaufanie, podzielić się z nią wrażeniami z dnia, tak jak w przeszłości. Ale teraz to było niemożliwe.

Głos Kim, nieco zdyszany, był tak bardzo odległy.

- Dopiero co przyjechaliśmy.

- Lot przebiegł bez niespodzianek? Dobrze się czujesz? Sprawiała

wrażenie znudzonej i wypompowanej.

- Lot był okropny, dotąd mnie mdli, Tim. Ben przez całą drogę rozrabiał, a teraz wystawia na próbę cierpliwość mojej siostry.

Nash mocniej ujął słuchawkę.

- Tęsknię za tobą. Cisza.

- Powiedziałem, że tęsknię za tobą - powtórzył. - Mógłbym przyjechać do L.A., jutro po rozprawie. Moglibyśmy zjeść razem kolację czy coś w tym rodzaju. Nie lubię być z dala od ciebie.

84

- Ta sytuacja nie różni się specjalnie od tego, co działo się przez kilka ostatnich miesięcy.

- Dla mnie się różni. Dłuższa chwila ciszy.

- Nie przyjeżdżaj tu - powiedziała Kim powoli.

- Chcę zobaczyć ciebie i Bena. Wciąż jesteście moją rodziną.

- Po co? Czy to coś zmieni? Czy mamy coś do ocalenia, Tim? - spytała opryskliwie.

- Chodzi mi tylko o parę godzin z wami. Mógłbym sprawdzić, czy czegoś wam nie trzeba.

- Nie potrzebujemy niczego.

Jego palce przestały mocno ścisnąć słuchawkę.

- Rzeczywiście. Może nie potrzebujecie.

- Jest tak, jak jest. Obydwoje wiemy, że to koniec.

- Pozwól mi porozmawiać z Benem, Kim. Chcę powiedzieć mu dobranoc.

- Zawołam go. - Po chwili dodała: - Nie mogę niczego zmienić. Nie potrafię odmienić siebie. Nie potrafię odmienić ciebie.

- Nie proszę o to.

Kim nagle się rozzłościła. Z drugiej strony coś walnęło, i Nash pomyślał, że przerwała połączenie. Czekał. W końcu odezwał się Ben.

- Zachowuj się, jak trzeba, Niedźwiedziu - powiedział łagodnie Nash.

-Pamiętaj, że jesteś gościem w czyimś domu, O.K.?

- Pewnie, O.K. - Jego syn był zrezygnowany, przygnębiony i to zaniepokoiło Nasha. Nienawidził myśli, że straci tak wiele z dorastania Bena, że nie podzieli z nim jego codziennych triumfów i porażek. Nie będzie go tam. Po prostu nie będzie.

- Zaopiekuj się matką. Zrobisz to dla mnie, Niedźwiedziu?

- Nie chcę tu być.

- Wiem. Wkrótce się zobaczymy. To nie tak długo. O.K.? Śpij dobrze.

- Tak, O.K. - Ben westchnął głośno, tęsknie i odłożył słuchawkę. Nash nie wypuszczał swojej z dłoni, jakby w obawie, że stuk widełek ostatecznie rozłączy go z synem.

Potem pracował aż do drugiej nad ranem. Rozpatrywał wnioski o dozór sądowy, zakreślając fakty, które chciał zacytować przy wydawaniu orzeczeń, sumując lata, które miał odbierać innym ludziom. Tym wszystkim, którzy za parę godzin mieli stanąć przed obliczem wysokiego sądu. Kiedy doszedł do osiemdziesięciu pięciu lat i siedmiu miesięcy, przestał liczyć.

Roemer zacisnął powieki, ziewnął, przygarbił się i jęknął.

- Na dziś koniec.

- Załatwisz wszystko jutro? - spytała Janice, odsuwając się od stołu. Dwaj agenci FBI, siedzący naprzeciwko, ziewnęli bez skrepowania.

85

- Pewnie. Mam swojego informatora i swojego sędziego - powiedział

Roemer. - Cleary mnie nie powstrzyma.

- Możemy mieć kłopoty z Nashem - stwierdziła, wygładzając spódnice.
- Sztywniak z niego - rzucił jeden z agentów.
- Ale to nasz sztywniak - zareplikował Roemer.
- Obawiam się, że nie będzie zbyt elastyczny. - Wskazała na jedną z przepelnionych popielniczek na stole. - Następne spotkanie ma się odbyć bez palenia.

Agenci coś mruknęli. W pokoju unosiła się niebieskawa mgiełka.

- Był prokuratorem. Korzystał z informatorów. Organizował prowokacje. Wie, jak to wszystko przebiega.
- Chciałam tylko, żeby zanotowano moją opinię. Dla porządku. Roemer przytaknął, patrząc na nią.
- Zapomniałem już, jak wspaniale wyglądasz po północy.
- Daj sobie spokój, Neil - powiedziała bez irytacji. - Nie zobaczysz nic więcej ponad to, co widziałeś.

Drugi agent pochylił się i podniósł kilka długopisów, które spadły.

- Słuchajcie, jestem żonatym człowiekiem, powściągnijcie swoje języki.
- Janice podeszła do szerokoekranowego telewizora. Włączyła go. Zakryte żółtymi kloszami lampy rzucały nieco deliryczne światło. Roemer, nagle znów rześki i energiczny, podłączył magnetowid.
- Ostatnia rzecz, zanim rozejdziemy się w swoje strony - powiedział.
  - Zobaczmy, jak nasz sędzia prezentuje się w telewizji.

Twarz Nasha, utrwalona w czasie spotkania, wypełniła ekran.

Rozdział trzynasty.

Roger Valles nie spał dobrze i o świcie był już przytomny, siedząc na łóżku i trzymając słuchawkę w ręku. Nie starał się zrażać głosu. Jego żona, Arlene, leżała obok, zawinięta w niebieską pościel, którą się przykryli, gdy ciepła noc zrobiła się chłodna, a miasto zasnęła poranna mgiełka.

- Jerry?

Po drugiej stronie odezwał się jego zaspany partner:

- Co ty mi robisz, człowieku?

- Możesz spotkać się ze mną w knajpie przy Czterdziestej Dziewiątej za parę minut?

- Nie.

- Zrób to, dobrze, Jerry? Nie mogę spać. Muszę z tobą o tym pogadać.

- Człowieku. Pogadaj sobie z Arlene. Nie. Z Maggie. Hej, Mag, Rog chce ci coś powiedzieć. - Valles usłyszał, jak Witwer próbuje obudzić żonę.

- Nie żartuj - powiedział ostro Valles. - Mówię poważnie. Spotkajmy się w knajpie o szóstej trzydzieści. Mamy problem. Musimy coś zrobić.

- Musimy spać. - Witwer odłożył słuchawkę.

Arlene przekręciła się na bok. Byli małżeństwem od piętnastu lat.

- Czas wstawać? - spytała. Zajmowała się sprzedażą nieruchomości.

- Wychodzę wcześniej.

- Jest dopiero szósta. Możemy jeszcze godzinę pospać, kochanie.

- Ja nie.

- Co się dzieje? - Przetarła oczy. Valles naciągnął dzinsy i lekką bluzę.

- To samo stare gównno.

- Nie powiesz mi?

- Powiedziałem już, to samo stare gównno. Nie ma o czym gadać.



- Nie irytuj się tak. Nie chcę wiedzieć. - Odwróciła się na drugi bok.

Szybko zawiązał swoje ciężkie buty.

87

- Po prostu robota. Ta sama robota. Nic się nie zmienia. - Pokój był bladoniebieski, przez okno wpadał promień światła słonecznego, wprost na obramowaną rodzinną fotografię.

- Kiedy wyjdiesz z tego podziemia? - spytała Arlene głosem stłumionym przez poduszkę.

- Dlaczego pytasz?

- Ta broda wciąż mnie drapie. Całą noc, kiedy leżysz przy mnie, broda mnie drapie. Jakbym spała z psem.

- No tak, ja też jej nie lubię. To część roboty, chodzi o to, żeby wyglądać jak niechluj. - Wsadził do kieszeni drobne i wyciągnął z garderoby kurtkę harlejowca.

Wymamrotała coś do poduszki.

- Co? - spytał.

- Jeśli zrobisz kawę, to zostaw mi trochę. - Pod przykryciem rysowała się jej pełna figura. Valles wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej pleców.

Myślał przez chwilę o przesunięciu spotkania z Witwerem na później. Ale ostatnio Arlene była w łóżku nieobliczalna, czasem pełna entuzjazmu, innym razem zirytowana, a on nie miał ochoty walczyć z jej opryskliwością. Zbyt wiele dni zaczynało się od tego, że rozstawali się rozgniewani.

- Zostawię - obiecał.

Powiedziała coś miękko do poduszki. Wyszedł z sypialni. Mieszkali w parterowym domu, jednym z wielu identycznych budynków na tym

osiedlu. Ich dom, kupiony trzy lata temu i obłożony sporą hipoteką, różnił się od pozostałych tylko tym, że miał podjazd po prawej stronie, a przy tylnych drzwiach chińskie dzwoneczki, które zawiesiła Arlene. Valles słyszał je, jak podzwaniały w lekkiej, porannej bryzie, która napływała od ujścia rzeki.

W salonie natknął się na syna, Harry'ego. Chłopak chrapał na kanapie, koszula podjechała mu pod brodę, przewrócona butelka po piwie leżała na podłodze. Harry nie był sam, obok spała jakaś dziewczyna. Na oko piętnastolatka, jego rówieśniczka. Miała grube rysy i czarne włosy. Telewizor wciąż był włączony, bez głosu. Nadawano czarno-biały program rolniczy, obraz traktorów i silosów nad śpiącymi dziećmi. Co za jedna, zastanawiał się Valles, przechodząc obok kanapy. Kopnął inną butelkę piwa, która leżała mu na drodze. Harry właściwie przestał uczęszczać do szkoły średniej. Valles nie słyszał, kiedy syn wrócił do domu, ale Harry, jak wielu złodziei i włamywaczy, doprowadził do perfekcji sztukę bezszmerowego wchodzenia do domu.

Valles z trudem powstrzymywał ogarniającą go furję, trząskając szufladami i szybko przygotowywał kawę. Patrzył, jak napój tryska do szklanego pojemnika w ekspresie. Razem z Arlene żartowali w obecności innych policjantów, opowiadając, jak szybko pognali do ołtarza, zanim urodził się Harry. Wyprzedzili go o całe cztery tygodnie, pomyślał Valles. Kto mógł przypuszczać, że tak to będzie wyglądało. Przypomniał sobie, jak całował Arlene po oficjalnych zaślubinach, czując jej ciężki brzuch między nimi. Mieli jeszcze córkę, trzynastoletnią Karen. Uczyła się w szkole w Marin. Szczupła, poważna - chyba jako jedyna w rodzinie zdradzała oznaki rozsądku. Czego z pewnością nie można powiedzieć o mnie, pomyślał

Valles. Wciąż tu tkwię. Tak jak i Arlene. A także ten odlotowy naukowiec, jego syn.

Oparł się o blat szafki. Naczynia z poprzedniego dnia wciąż leżały w zlewie, ale razem z Arlene na ogół dbali o porządek. Ktoś wyjął chleb z pojemnika, a także pieczone mięso i zostawił na kuchennym blacie, więc jedzenie wyschło i stęchło.

Jedynym problemem, związanym z pobytem Karen w szkole z internatem, był jej narastający snobizm. Uważała, że praca ojca jest poniżająca, a przebieranki prostackie. Jej dezaprobata, nie podzielana przez resztę rodziny, wystarczała, by Valles czuł się zawstydzony.

Odwrócił się na dźwięk dochodzący od strony drzwi kuchennych. Stał w nich Harry, przygarbiony, obejmując ramieniem dziewczynę.

- Dzień dobry - mruknął, głaszcząc się po brzuchu.

Valles nie odpowiedział, nalał kawę do filiżanki i zaczął z nią chodzić po kuchni. Harry i dziewczyna otarli się o niego, podtrzymując się nawzajem, niczym ranni weterani. Harry opróżnił dzbanek z kawą.

- Zostaw trochę dla matki - powiedział Valles.

- Jest jeszcze.

- Zostaw trochę dla matki - powtórzył Valles. Sięgnął do najwyższej półki w szafce, za talerze i szklanki, i wyjął swój rewolwer i skórzane szelki.

- Może sama sobie zrobić. - Harry wyciągnął filiżankę w stronę dziewczyny.

Valles zapanował nad sobą.

- Kto to jest? - spytał.

- Melissa - powiedziała prawie nieśmiało dziewczyna, spuszczać ciemno podmalowane rzęsy. Była tylko dwa lata starsza od Karen.

- Wynoś się stąd - warknął Valles. Melissa wpatrywała się w jego broń.
- Wychodzimy - powiedział spokojnie Harry. Nadal pił swoją kawę. Valles odłożył broń i szybkim ruchem ręki wytrącił synowi filiżankę z dłoni. Filiżanka rozprysnęła się na podłodze.

Harry nie zareagował. Westchnął, wziął filiżankę od Melissy i pił dalej.

- Wynoście się stąd obydwójcie - rzucił, idąc do drzwi.

Miał wrażenie, że to nie jego dom, że znalazł się tu przez pomyłkę. Wsiadł do samochodu i z piskiem opon wyjechał na pustą ulicę.

- Zawsze z nadzieją patrzy się na dzieciaki, no nie? - spytał Valles Witwera. Siedzieli w zatłoczonej knajpie, nieco na uboczu. Nie czekając na oczywiste potwierdzenie, ciągnął: - Kiedy się rodzą, patrzysz na nie i myślisz sobie, mój dzieciak pójdzie do Harvardu. Potem idą do szkoły. Patrzysz na nie, na ich stopnie, myślisz sobie, O.K., nie Harvard, więc może Uniwersytet

89

Kalifornijski. Potem są w szkole średniej. Słuchasz ich, patrzysz na nie. Może teraz po raz pierwszy naprawdę na nie patrzysz. Myślisz sobie, O.K., zapomnij o Harvardzie, zapomnij o Uniwersytecie Kalifornijskim. Może by tak państwowy college. Błagam, Boże, tylko nie przysposobienie do zawodu. - Westchnął głośno.

- Twoje dzieciaki nie chodzą do takiej szkoły. - Witwer ziewał raz po raz.
- Nie widziałeś go dziś rano. Tak się dzieje codziennie. Nie potrafię go nakłonić, żeby się uczył. Nie potrafię go nakłonić, by robił cokolwiek.
- Wierz mi, Rog, naprawdę interesuję się twoimi rodzinnymi kłopotami, ale czemu o tej porze?

Valles zmarszczył brwi, przywołując kelnerkę. Knajpa znajdowała się przy

zbiegu północno-południowej międzystanówki i głównej drogi do Santa Maria. Goście - głównie mężczyźni, tylko kilka kobiet - rozmawiali głośno, pijąc kawę i jedząc jajka na bekonie. W powietrzu unosiła się woń smażenia i zbyt wielu ciał stłoczonych w jednym miejscu. Wszystkie kelnerki, ubrane w wypłowiałe różowe uniformy, miały plamy potu pod pachami. Valles zamówił śniadanie, natomiast Witwer potrząsnął przecząco głową. Obok kuchni unosił się obłok pary.

- O.K., zapomnij o tym - powiedział Valles. - To mój kłopot. Ale ty i ja mamy wspólny problem.

- Mówiłeś już.

- Chodzi o to ostatnie aresztowanie, Jeny. Myślałem o tym całą noc.

- Cholera, daj spokój. To tylko głupi handel koką. Nic specjalnego. Jakaś historia, którą kieruje Shiffley. - Witwer oparł się o wysłużony skaj boksu, w którym siedzieli, krzyżując ramiona.

- Wiem, że to sprawa Shiffleya, ale to popieprzone. To my jesteśmy funkcjonariuszami, którzy dokonali aresztowania. - Valles podrapał się w brodę. - Ktoś nawarzy piwa, a my je będziemy musieli wypić.

- Jesteśmy tylko robotami. Nic nie znaczymy.

- Dlatego muszę spytać Shiffleya.

- Spytać? O co? - Witwer spojrzał na jedzenie Vallesa, które właśnie przyniesiono.

- Co się dzieje? Co to za numer? Kim jest Vismara? Jakim cudem zna nazwisko Shiffleya i dlaczego zachowuje się tak dziwnie? - Valles posolił i popieprzył wszystko, co miał na talerzu i zaczął łykać ogromne kęsy.

- Shiffley nic nie powie. To dla niego jakaś ważna sprawa.

- Więc nie chcesz wiedzieć?
- Nie za bardzo. Za to chciałem pospać sobie dłużej dziś rano.
- A co powiesz na to, żebyśmy poszli we dwóch do Shiffleya. - Valles przestał jeść, trzymając w ręku widelec, z którego zwieszał się kawałek smażonego jajka.
- Myślałem, że to będziesz ty. Że ty pójdziesz.
- Jesteśmy partnerami, Jeny. Razem dokonaliśmy aresztowania.
- Kilku innych facetów też w tym brało udział.

90

Valles napił się kawy, omiatając spojrzeniem dużą, zadymioną salę, spieszące się kelnerki i ludzi gramolących się z boksów albo wstających od baru.

- Podpisałem oświadczenie o znalezieniu koki, Jeny. Moje nazwisko jest na wykazie dowodów. Twoje nazwisko widnieje na raporcie z aresztowania.
- Moje nazwisko jest na milionie takich raportów i w ogóle się tym nie przejmuję. - Witwer wyprostował się i poirytowany postukał w blat stołu. - Wykonałem swoją robotę. Potem pojechałem do domu.
- Wypinasz się na mnie? - spytał poważnie Valles. Wytarł usta i przejechał dłonią po brodzie. Z doświadczenia wiedział, że jedzenie często zostaje na włosach.
- Nie ma co sobie tym dupy zawracać. To nie nasza sprawa. Więc nie musimy się tym martwić.

Valles odsunął swój talerz. Wepchnął kilka serwetek do kieszeni na wypadek, gdyby zaczął później kichać. Wilgotne, letnie powietrze często wywoływało u niego kichanie.

- Myślę, że za bardzo przejmujesz się czymś, czym nie musisz się przejmować. Nie chcę pokazywać się Shiffleyowi.

Valles wziął wykałaczkę z małego plastikowego pudełka na stole, a następnie powoli wsunął sobie między zęby.

- Muszę zrobić to, co jest dla nas obu najlepsze - powiedział. - Idę do Shiffleya.

Rozdział czternasty.

Nash wbiegał po kamiennych schodach prowadzących do nowego gmachu sądu. Już był spóźniony na cotygodniowe spotkanie sędziów. Ciężka teczka boleśnie obijała się o jego nogę.

Na kamiennym placu przed sądem roiło się od ludzi. Nash odkrył już dawno, że rzadko dostrzega jednostkę. Nawet publiczność zgromadzona na sali rozpraw zlewała się ostatnio w jedną masę, jakby stanowiła część jej wyposażenia.

Zerknął na kamień węgielny nowego Sądu Okręgowego w Santa Maria.

Szary marmur, wspomnienie dawnego budynku. Nash pamiętał ten kamień od zawsze. Czarne, gotyckie litery układały się w napis:

„Moim mieczem jest prawda 1924”

Wykonanie jak i sama sentencja nie różniły się zbytnio od napisów na pomnikach i grobowcach najstarszego cmentarza komunalnego, ale Nash daleki był od cynizmu. Kiedy został prokuratorem, jego opiekun wziął go na bok. „Nasza praca jest prosta, powiedział. Wszystko, co musimy robić, co ty masz robić, to upewnić się pod koniec dnia, że sprawiedliwości stało

się zadość".

Nash mruczał pospieszne przeprosiny, przepychając się obok gorączkowo dyskutującej rodziny, która blokowała wejście. „Uczynić zadość sprawiedliwości". Gestem ręki pozdrowił strażników sądowych, obsługujących wykrywacz metali. Był pełen niepewności, ale także optymizmu, jeśli chodzi o ten dzień. Wszystko się zmieni i w końcu okaże się, że odejście Kim nie było takie złe. Pragnął jak najszybciej zająć się sprawą, znów porozmawiać

92

z Janice. Gdy jechał windą do Wydziału 14., zastanawiał się nad pretekstem, który pozwoliłby mu do niej zadzwonić. Wyszedł na pusty korytarz i zostawił teczkę w ciemnej sali. Na stojaku nadal wisiały ogromne fotografie poznaczonej kulami stacji benzynowej, jak milczące oskarżenie.

Trzeba działać, pomyślał. Nie mógł się doczekać, kiedy cała rzecz ruszy z miejsca.

Dwunastu sędziów Sądu Okręgowego w Santa Maria spotykało się w rozległym gabinecie sędziego przewodniczącego na ósmym piętrze budynku.

Nash wziął ze stołu konferencyjnego słodką bułkę, kubek soku pomarańczowego i usiadł. Gabinet przewodniczącego znajdował się niedaleko restauracji i sali sprawozdawców sądowych, skąd dobiegał stukot maszyn. Wyczuwało się też woń przypalanej kawy i frytek.

Funkcję przewodniczącego pełnił tego roku Terry Kalbacher, niski mężczyzna o siwiejących włosach i wiecznej opaleniznie. Stał za swoim biurkiem, jak zawsze, żeby kierować zebraniem.



Pozostali sędziowie stali albo siedzieli, rozproszeni po całym pokoju, plotkując i szepecząc do siebie. Harold Atchley, zatopiony w rozmowie ze starym Fredem Mivazumi, tylko kiwnął głową Nashowi. Cotygodniowe spotkania były nieformalne, jakby wszyscy się obawiali, że jakkolwiek oficjalność może zagrozić czyimś przywilejom. Tu wszyscy byli równi. Nash czuł się wśród nich swobodnie. Dla niego był to najbardziej ekskluzywny klub w okręgu; klub, w którym się wychował.

Nie mógł jednak powstrzymać się od spoglądania na zegarek, chcąc sprawdzić, kiedy będzie mógł się wymknąć i zadzwonić do Janice. Zamierzał zaprosić ją na zbiórkę funduszy Atchleya, dzięki czemu mogłaby zobaczyć jego kolegów. Nie wzbudziłoby żadnych podejrzeń, gdyby Nash przyprowadził ją jako gościa. Podobał mu się ten pomysł. Siedząca obok Susanna Jardine z rozbawieniem opowiadała coś Dwightowi Peatlingowi, świeżo upieczonemu sędziemu. Byłemu specjalście od podatków, młodemu i uznawanemu za genialnego. Jego koszula sprawiała wrażenie przesadnie wykrochmalonej. Co jakiś czas kaszlał nerwowo.

Nash podniósł wzrok. Kalbacher odczytywał coś z małego kawałka papieru.

- Rozmawiałem wczoraj z Mikiem Sinclairem. Wspomniał, że lubi dostawać liściki.

- W jakim szpitalu i w którym pokoju leży? - spytał Frank Wisot. Siedział ze skrzyżowanymi nogami i spuszczoną głową.

- W Szpitalu Miejskim, pokój numer czterdzieści sześć. Mikę twierdzi, że czuje się o sto procent lepiej. Konowały zapewniają, że wycięli całego raka, więc wszystko wygląda dobrze.

- Nie wróci już - wyszeptała do Nasha Ruth Frenkel. Była tęga. Tego dnia spięła włosy jasnoczerwoną kokardą.

93

- Jak sobie radzi ten gość, który Mike'a zastępuje? - również szeptem spytał Nash. Sala Ruth sąsiadowała z Wydziałem 8., gdzie zazwyczaj zasiadał

Sinclair.

- Ma szklane oko - powiedziała. - Przynosi lunch w teczce na dokumenty.

- Współczuję ci.

- Dał gwałcicielowi dziesięć miesięcy w więzieniu okręgowym i dziesięć miesięcy prac na rzecz miasta.

- Nikt nie pozwoli mu na takie idiotyzmy. Ruth Frenkel westchnęła.

- Skierowali sprawę do ponownego rozpatrzenia, przenieśli ją do mojego wydziału, a ja dałam draniowi osiemnaście miesięcy więzienia.

Nash słuchał i przyglądał się Ruth z nowym zainteresowaniem. Czy była na liście Roemera? A Kalbacher? Kto z obecnych w pokoju trafił na tę listę? A może któryś z sądu miejskiego?

Nash doznawał ambiwalentnych odczuć, coś w rodzaju „obcy wśród swoich”. Być może było to ostatnie spotkanie z tymi ludźmi, zanim sprawy rozstrzygną się ostatecznie. Sędziowska ława okręgu zmieni skład, bez względu na to, co się stanie z operacją Stracone Zaufanie. A on był jedynym, który o tym wiedział.

- Czy będziesz mówił o opóźnieniach w wypadku mniej ważnych spraw?!

- zawołał do Kalbachera Fred Mivazumi, przerywając rozmowę z Atchleyem.

- Wciąż jakieś kłopoty? - spytał Kalbacher. Zauważył potakujące głowy w różnych miejscach pokoju.

- Ilekroć mam sprawę, która toczy się po południu, to kończę po szóstej - narzekał Mivazumi.

Nash lubił małego Freda, twardego, starego sędziego, który czasem nosił broń poza murami sądu. Potrafił doprowadzić strony i ławę przysięgłych do szału swoim monotonnym głosem i obsesyjną skrupulatnością.

Fred chełpił się, że Sąd Apelacyjny unieważnił mu wyrok tylko dwa razy w ciągu szesnastu lat. I to jedynie dlatego, że, jak twierdził Fred, w obu przypadkach był chory. Jego specjalnością stały się długie sprawy, w których było wielu poszkodowanych.

- Moje też się włoką - podchwycił Allen Burgess, oblizując palce po słodkiej bułce. - Musisz szybciej przesyłać nam akta.

Nash przysłuchiwał się rozmowie. Kalbacher obiecał, że dopilnuje, by akta sprawy przesyłano do właściwej sali na piętnaście minut przed wyznaczonym terminem rozprawy. Dalsze kwestie dotyczyły spraw emerytalnych. Z kolei Paul Henshaw argumentował z zapalem swoim piskliwym głosem za większą kontrolą nad przepytывaniem kandydatów do ławy przysięgłych.

- Nie chcę siedzieć przez dwa tygodnie w swoim fotelu, słuchając przemądrzałych prawników, którzy w kółko zadają przysięgłym te same pytania.

- Mówisz do sali pełnej prawników - przypomniał z uśmiechem Wisot.

- Mam tego dość - oświadczył z mocą nie zrażony Henshaw.

Nash podszedł do stołu konferencyjnego, tym razem wziął kawę. Słuchał, jak Kalbacher odczytuje nazwiska kandydatów na nowego sędziego,

orzekającego w sprawach administracyjnych. Przewodniczący wezwał zebranych do głosowania przez podniesienie ręki. Nikt nie miał oporów przed jawnym głosowaniem.

Jesteśmy wśród przyjaciół, występujemy razem, pomyślał Nash. Oprócz mnie. Jestem inny. Rozglądam się wkoło i zastanawiam, kto pójdzie do więzienia i komu w tym pomogę. Usiadł z filiżanką kawy. Była to niepokojąca świadomość.

- A teraz... - Kalbacher zawiesił głos - chwila, na którą wszyscy czekaliście.
- Nie zamierzasz ponownie kandydować na stanowisko przewodniczącego - stwierdził Burgess.
- Zgadza się. Nie zamierzam.
- Żartowałem, Terry - powiedział Burgess, stojący w pobliżu okien podobnych do tych w hotelowym apartamencie.
- Nie kandyduję. Koniec. Dwie kadencje to dla mnie dosyć. - Kalbacher wydawał się zadowolony. Uśmiechnął się. - Ruth wspominała, że chciałaby się ubiegać o to stanowisko.

Siedząca u boku Nasha Ruth przytaknęła.

- Chcę. Uważam, że będę dobra.
- Ktoś jeszcze?

Susanna Jardine trąciła Nasha.

- Ty mógłbyś pełnić tę funkcję, Tim - zasugerowała zniżonym głosem. Pokręcił głową.
- Jeden przewodniczący w rodzinie wystarczy. Kalbacher powiódł wzrokiem po sali.
- Nikt więcej? No cóż, będziemy głosować na następnym zebraniu.

Uważam, że masz to już w kieszeni, Ruth - powiedział.

Uśmiechnęła się łaskawie, z odrobiną autoironii. Ruth Frenkel była niezamężna, prostolinijna, ze skłonnością do przesadnego makijażu.

Opowiadała nieprzyzwoite historyjki podczas lunchu i spotkań towarzyskich, które co roku organizował okręg.

Nash nie sądził, by mógł być przewodniczącym i jednocześnie działać potajemnie, nawet gdyby pragnął tej funkcji. Oznaczała ona ciągłe kłopoty organizacyjne, dylematy biurokratyczne, spotkania z organami kontrolnymi i Bóg wie co jeszcze. Często zastanawiał się, dlaczego jego ojciec pełnił tę funkcję tak długo.

- Potrzebuję rady - powiedziała Susanna Jardine, nachylając się w jego stronę.

Peatling przez całe spotkanie trzymał się razem z innym młodym sędzią, Douglasem Croncotą.

95

- Jeśli tylko będę jej w stanie udzielić - odparł Nash.

Susanna miała niewymuszony, miły sposób bycia. Początkowo pracowała jako radca prawny konsorcjum szpitali - Santa Maria Community, Our Lady of Mercy, Cameron-Pacific General i kilku mniejszych. Jej mąż był zatrudniony w wydziale planowania przestrzennego, który zajmował się badaniem rozwoju Santa Maria. Miasto rozrastało się niestrudzenie w kierunku północnym, ku terenom rolniczym. Dorobili się trójki dzieci.

- Chodzi o prawa do gruntów nadbrzeżnych - wyjaśniła. - Absolutnie nie pamiętam, komu przynależy jaka część obszaru wodnego w korycie rzeki.

- Nie pytaj mnie - powiedział, śmiejąc się cicho.

- Dwaj farmerzy roszczą sobie prawa do lewej strony kanału, a to w

związku z przywilejem wydobywania mułu rzecznego.

- Przyjrę się temu.
- Muszę zdecydować dziś po południu.
- Myślałem, że to pilne - zażartował. - Będiesz wiedziała do tego czasu.

Uświadomił sobie, że słyszy Harolda Atchleya.

- Chcę podziękować każdemu za wsparcie. Nawet biedny Mikę Sinclair wniósł wkład do mojej kampani. Mam nadzieję, że wszyscy będziecie mogli przyjść jutro na tor wyścigowy, do Turf Club. Będzie wesoło - powiedział z wymuszonym entuzjazmem.

- Czy przyznano już numery startowe, Harold? - spytał Mivazumi.

- Udało mi się zdobyć wyniki rankingu, który republikanie przeprowadzali dla swoich kandydatów - odpowiedział, krzywiąc się na ten dowcip. - Powinienem już coś wiedzieć po Labour Day\*.

\* Labour Day (ang.) - dzień pracy - oficjalne święto ku czci robotników, obchodzone w USA w pierwszy poniedziałek września (przyp. red.).

- Masz tu kilku republikanów - powiedział Wisot, trzymając w górze nie zapalonego papierosa.

- I paru demokratów - dodał Dwight Peatling, odzywając się po raz pierwszy.

- No cóż, przynależność partyjna nie ma tu żadnego znaczenia - powiedział Kalbacher, zsypując na dłoń kilka okruchów słodkiej bułki z protokołu. - Wszyscy jesteśmy po twojej stronie, Haroldzie. Mam nadzieję, że będziesz miał dobrą frekwencję. Postaram się przyjść.

Potakujące kiwnięcia, pomruki zgody. Polityka tak naprawdę nie miała znaczenia wśród tych ludzi. Nominacje, dokonywane przez gubernatorów

wywodzących się z demokratów i tych wywodzących się z republikanów, sprawiały, że osobiste sentymenty nie miały ani w sądzie miejskim, ani okręgowym większego znaczenia. Liczyło się utrzymanie na fotelu sędziego. Bycie sędzią znaczyło dla obecnych więcej niż cokolwiek innego. Było ważniejsze od polityki, różnic poglądów, osobistych animozji.

Zebranie dobiegło końca. Nash startował rano, jak większość pozostałych.

96

Patrząc na czerwoną twarz Harolda Atchleya i myśląc o jego skażonych niekompetencją latach na fotelu sędziego, miał nadzieję, że to nazwisko widnieje na liście Roemera. Chciał przyczynić się do wykluczenia Atchleya z sądu. Byłaby to przysługa wyświadczona okręgowi.

Kilku sędziów gawędziło z Atchleyem, inni śmiali się i wychodzili, wrzucając serwetki i kubki do kosza na śmieci. Kalbacher poszedł do swojej łazienki.

Nash zwrócił się do Atchleya:

- Kupię dwa bilety, Haroldzie. Czy będę mógł dostać je przed wejściem do klubu?

Atchley przerwał rozmowę z Wisotem i Burgessem.

- Pewnie, Tim. Dziękuję. Myślałem, że nie możesz przyjść.

- Będę tam.

- Dwa bilety. Czy przyjdiesz z Kim? Pojednanie? Nash potrząsnął głową.

- Nie znasz tej osoby. Jest z Biura Prokuratora Generalnego. Wisot mrugnął, a Burgess zaśmiał się.

- Zawsze odbija się od dna - stwierdził Wisot, kuksając dobrotliwie Nasha.

- Czy dla ciebie coś jest w ogóle trudne? - spytał Burgess półżartem.
- Kilka rzeczy. Niezbyt wiele - odpowiedział poważnie Nash.

Rozdział piętnasty.

Valles wiedział, że o tak wczesnej porze szefa nie będzie jeszcze przy biurku. Jechał w kierunku wschodnim, ku rzece. Na długiej ulicy, przy której kiedyś stały fabryki i dwie przetwornie ryb, przypomniał sobie panujący tu w lecie odór.

Zaparkował na rozległym, świeżo wyasfaltowanym parkingu, obok starej przetworni Mivazumi, wzniesionej z cegieł, tak teraz wypolerowanych, że niemal się skrzyły. W powietrzu nie było nawet wspomnienia po dawnym zapachu. Mężczyźni i kobiety w modnych sportowych strojach, niektórzy z rakietami tenisowymi albo wymyślnym obuwiem do ćwiczeń, wychodzili lub znikali w jasno oświetlonym wejściu. Teraz był to fitness club pod nazwą Przetwornia.

Valles czuł się zagubiony. Miał wrażenie, że wszystko wymyka mu się spod kontroli. Życie. Cały jego świat. W twarzy syna rozpoznawał jeszcze rysy żony i swoje, ale sam Harry był już obcy.

Szedł przez jasno oświetlone, gwarne wnętrze klubu. Mężczyźni i kobiety pedałowali na rowerach do ćwiczeń albo pocili się na taśmach do chodzenia, albo wykrzywiali ciała w metalowych objęciach atlasów.

Zobaczył porucznika Shiffleya posapującego z wysiłku na urządzeniu, które imitowało schody, choć ćwiczący nie musiał unosić stóp wyżej niż kilka cali nad ziemią.



- Jest tu chyba z setka ludzi. - Valles nie mógł się nadziwić pełnemu determinacji i wewnętrznej siły tłumowi, który go otaczał. Nie pachniało nawet salą gimnastyczną. Boisko do koszykówki i sala gimnastyczna w Akademii Policyjnej były rzeczywiste, złane potem i ciemne. Tutaj rządzi marzenie. Ludzie goniący za marzeniami.

- No to co? - odpowiedział z wysiłkiem Shiffley.

- Robi wrażenie.

- No to co?

- Idzie pan po tym w górę i w dół - Valles obserwował mękę szefa, jego białe nogi, poznaczone węzłami mięśni, żyłaste i niebieskawe - a mimo to nigdzie pan nie dochodzi. - Jestem o krok od ataku serca. - Więc niech pan przestanie. Shiffley był starszy od Vallesa o całą dekadę. Miał na czole głębokie bruzdy, czarne, ostrzyżone na jeża włosy i prawie żadne bary. Mógł tak chodzić godzinami. Ciemny pot znaczył jego cienki podkoszulek.

- Ile ważysz, Valles?

- Zależy. Może sto siedemdziesiąt pięć albo siedem. Coś koło tego.

- Masz niezły brzuch. Musisz zrzucić ze dwadzieścia funtów.

- Utrzymuję go w takim stanie, żeby mnie chronił, jak coś mnie rąbnie - powiedział Valles.

Mężczyźni i kobiety zerkali na niego ciekawie. Valles, w swoim niechlujnym stroju, z czarną brodą i brzuchem wylewającym się zza paska spodni, wyglądał w tym imperium tężyzny fizycznej jak przybysz z krainy pasibrzuchów.

Shiffley wydał z siebie przeciągłe, żałobne westchnienie, i Valles się przestraszył, że coś mu się stało. Ale jego szef tylko zszedł z urzędu,

wytarł ociekającą potem twarz i szyję ręcznikiem, owinął go wokół karku i objął ramieniem Vallesa.

- Ty i Witwer to dwaj najwięksi, pieprzeni specje w całym Projekcie.

Wszystkim to mówię.

- Dzięki, szefie. - Praca w charakterze tajniaka była wyróżnieniem.

- Więc o co chodzi, Valles? Co cię do mnie sprowadza?

- To aresztowanie zeszłej nocy.

Shiffley przestał obejmować Vallesa i znów zaczął się wycierać z potu.

Stali przy małym barku i Shiffley sięgnął po butelkę zimnego soku jabłkowego.

- Widziałem twój raport. Dobrze wygląda. Naprawdę dobrze.

- Tak właśnie powiedział mi ten facet. Powtarzał: „Wygląda dobrze, wygląda naprawdę dobrze”, to po pierwsze. Poza tym zna pańskie nazwisko. -Valles oparł się o jeden ze stołków. Brzęk sztang, jazgot radioodbiorników i telewizorów, postękiwania ludzi, wszystko to działało mu na nerwy.

- No więc co?

- Chciałbym wiedzieć, kim jest Louis Vismara. Dlaczego jest taki ważny, że trzeba było angażować mnie i Jerry'ego, żeby go złapać?

- Zostaliście zaangażowani, bo tak kazałem. - Shiffley popijał bezustannie sok i poruszał ustami jak koń po długim kłusie.

- To prowokacja, prawda, szefie? Tyle to ja rozumiem.

- Oczywiście, że to prowokacja.

- Więc kim on jest?

- To dealer. - Shiffley znów westchnął i odwrócił się od Vallesa, kierując się w stronę szatni i pryszniców. Mijali po drodze różnych ludzi, niektórzy

98

99

byli młodszy od Vallesa i wyglądali gorzej od niego. Odczuł zniecierpliwienie, z jakim zaczynał go traktować Shiffley.

- Czy musimy tracić czas? - spytał Valles.

- Ja nie tracę czasu. Napiję się i wracam do komendy. - Shiffley zdjął mokry podkoszulek i szorty, a następnie owinał szyję świeżym ręcznikiem.

Valles usiadł na wypolerowanej drewnianej ławce. Mgiełka pary, wywołanej przez lecącą z pryszniców wodę, wpełzała do wyłożonej dywanem i pachnącej cytryną szatni.

- Ten facet mnie niepokoi, szefie. Powiedziałem o tym Jerry'emu. Chcę się upewnić, że później cała ta sprawa nie obróci się przeciwko mnie.

Shiffley znów wydał wargi. Trzymał w dłoniach końce ręcznika.

- Nie wykiwałbym ciebie ani Jerry'ego. Nie was, chłopaki.

- O.K. - powiedział niechętnie Valles. Inni mężczyźni, ubierając się albo rozbierając, kręcili się po szatni. Kilku żartowało.

- Zdradzę ci coś. Ale to tylko do twojej wiadomości. Nie rozpowiadaj tego. - Shiffley nachylił się nieco w stronę Vallesa. - Ten facet to mój informator. Nada nam kilka większych spraw.

- Zeszłej nocy nie wyglądał na informatora. Sprawiał wrażenie, jakby znał pana już od dawna.

- Specjalnie użył mojego nazwiska. Słuchaj, to ma wyglądać prawdziwie.

- Shiffley mówił głosem tak niższym, że trudno go było usłyszeć. -Jego kumple muszą myśleć, że go potrzebujemy.

- A to było coś w rodzaju wyróżnienia, że to ja i Jerry dokonaliśmy aresztowania? - podpowiedział Valles.

- Powiedziałem już, jesteście, chłopaki, moimi gwiazdami. Lubię was. -i Shiffley skinął głową. - Muszę wziąć prysznic.

- Nikt nie nadał Vismary? To było dęte?

- Pewno, że ktoś go nadał. Więc musieliśmy go przygwoździć.

- Kto go nadał? Shiffley pokręcił głową.

- Pytaj mnie o żonę, pytaj mnie o najstarszego dzieciaka, pytaj mnie o moją łódź. Ale nie pytaj mnie o moich informatorów, Valles.

Sierżant skinął głową i wstał. Widział wokół siebie mechaniczne szczotki do butów, butelki z wodą po goleniu, grzebienie, brzytwy, które porozkładano dla członków klubu na wyłożonych kafelkami półkach nad umywalkami.

- O.K. Po prostu trochę się martwiłem.

- Widzisz, za to właśnie cię lubię. Zwracasz na wszystko uwagę. -I Shiffley uderzył go żartobliwie w ramię. - Słuchaj, dowiadywałem się gdzie trzeba. Mają tej jesieni miejsce dla twojego chłopaka, wiesz, staż dla studentów Akademii Policyjnej. Rozpytałem się kilka dni temu. Valles zaczął odczuwać lepkość w powietrzu tej szatni, i to nie tylko z powodu pary.

- Dzięki, szefie. Chyba dam sobie z tym spokój.

- Mówiłeś, że chłopak powinien pokręcić się po komendzie.

100

- To nieaktualne - powiedział Valles, myśląc o porannym spotkaniu i innych, wcześniejszych.

Shiffley wzruszył ramionami. Zdjął z szyi ręcznik, ukazując blady tors.

Nadzorował od dwóch lat Projekt i dokonał kilku spektakularnych aresztowań, związanych z narkotykami. Widomym znakiem sukcesu była

fotografia wisząca na drzwiach jego gabinetu - z rozpostartymi ramionami i uśmiechem na twarzy siedział na brezentowych workach z marihuaną.

- Urządzamy małe barbecue\* w niedzielę. Około czwartej trzydzieści.

Powiedz Arlene i Witwerowi.

\* Barbecue (ang.) - przyjęcie w ogrodzie, którego główną atrakcją kulinarną jest mięso z rusztu (przyp. red.).

- Pewnie, O.K. Możemy przyjść. - Valles czuł się niepewnie po tej rozmowie i chciał szybko opuścić duszne wnętrza klubu.

- Zaproś też paru innych, jeśli przychodzi ci do głowy ktoś, kto nie pali i nie pije.

- Nie znam nikogo takiego - odpowiedział Valles.

- Ja nie palę i nie piję - stwierdził Shiffley, trochę urażony.

Rozumiało się samo przez się, że operacje związane z narkotykami wymagały czasem tajności i wyłączności, co nie miało miejsca w innych dziedzinach pracy policyjnej. Valles akceptował fakt, że jego przełożony nie chce mu powiedzieć zbyt wiele o Louisie Vismarze. Gdyby Valles był na miejscu Shiffleya, to może nie powiedziałby nawet tego, co zdradził mu szef. Źródła były chronione jak złoto, nawet przed innymi gliniarzami.

Valles jechał do centrum, rozmyślając. Musi jeszcze sprawdzić jeden szczegół, zanim przestanie zajmować się całą sprawą, jak doradzali mu Jerry i Shiffley.

Pragnął panować nad swoim życiem, choćby w niewielkim stopniu.

Przekroczył dopiero trzydziestkę, a tyle już mu umknęło.

Zaparkował przed długim, niskim, jasnobrązowym budynkiem, stojącym przy pagórkowatej ulicy, wysadzonej dębami i wiązami. Betonowy koszmar. Wyglądał jak brzydka plama w porównaniu do ładnego gmachu

elektrowni Santa Maria, zbudowanego z zielonego piaskowca w 1909, ozdobionego frywolnie wijącym się bluszczem i pseudokolumnami. Na drugim końcu ulicy, na szczycie wzniesienia, znajdowała się komenda policji, oddalona nieco od najruchliwszej i najbardziej zatłoczonej części śródmieścia.

Valles wszedł przez boczne wejście, zarezerwowane dla upoważnionych pracowników i znalazł się w zimno oświetlonym i zalatującym kurzem pokoju, przedzielonym balustradą, za którą siedział nucący pod nosem policjant. Główny hol, w którym celowo ustawiono niewygodne krzesła, znajdował się za rogiem.

- Oskar - powitał go przyjaźnie Valles.

101

- Dzień dobry, dzień dobry - odpowiedział pękaty policjant.

- Muszę sprawdzić pewne dowody rzeczowe, które tu wczoraj zdeponowałem.

- Mamy je.

- Wiem, że je macie.

Oskar nucił cały czas. Nadzorował policyjny depozyt - dowody zabezpieczone podczas aresztowań i z nakazu sądowego, niektóre do wykorzystania w czasie rozpraw, inne czekające na swą kolej lub zapomniane. Wśród rzędów stalowych półek i rzeczy z przymocowanymi do nich kartkami nie panował żaden sensowny ład. Valles widział telewizory obok strzelb, ogromne brązowe torby, wypchane skrwawionymi ubraniami obok starych krzesel, skrzynki pełne broni ręcznej i noży. Były też kije baseballowe i radia, koń na biegunach i mały kandelabr, który wyglądał, jakby usychał na półce.

- Narkotyki czy pieniądze? - spytał Oskar, nucąc.
- Towar. Koka, chyba.
- Dużo?
- Niech mnie diabli, jeśli wiem. Ja jej nie zażywam. - Valles się roześmiał, a Oskar mu zawtórował.
- Chyba poszło to do sejfu, tak sędzę - stwierdził Oskar - jeśli to tylko drobny łup.
- Tym razem to nie kilogramy.
- O.K., włącz do środka. Lepiej sam zobacz. - Wpuścił Vallesa przez elektronicznie otwierane drzwi.

Sierżant ruszył za ledwo kolebiącym się Oskarem, wzdłuż prostego korytarza z półkami po obu stronach, od sufitu do podłogi.

- Kiedy to przywiozłeś? - spytał Oskar przez ramię.
- Około północy. Najpierw była kupa gównianej biurokracji.
- Czy był tu dzieciak? Salazar?
- Tak. Miał dyżur.

Oskar pokiwał ze smutkiem swoją wielką głową.

- Jest taki tępy. Mam nadzieję, że nie zaksiegował tego niewłaściwie.
- Nie. Byłem tu. Zrobił to jak trzeba.
- Jest taki tępy - powtórzył Oskar.

Zatrzymali się przy wnęce z drucianymi drzwiami, które Oskar otworzył kluczem przymocowanym do paska. Wszystkie dowody zdobyte przez funkcjonariuszy pracujących przy Projekcie były gromadzone w tym specjalnie do tego przeznaczonym miejscu. Przy ścianie znajdował się wielki sejf w kolorze mchu. Oskar zaczął go otwierać.

- To od Moralesów. Jeszcze nie poszło na rozprawę. - Valles dotkną

skórzanej kurtki z futrzanym kołnierzem. Razem z Witwerem aresztowali bliźniaczych braci Morales osiem miesięcy wcześniej za sprzedaż kilograma zanieczyszczonej heroiny.

- Jest draństwo. - Oskar pchnął na oścież ciężkie drzwi sejfu. - Prawie tego nie ubywa. Cały czas dochodzi coś nowego; są zwalniani, przyznają się,

Idą do więzienia, umierają, a całe to ich gówno zostaje tutaj. Powiniennem sprzedawać to gdzieś na pieprzonym boku.

- Sprzedawaj po trochu co jakiś czas. Nikt nie zauważy. - Valles odczytał Oskarowi z kartki numer sprawy Vismary. Grubas przykląkł na jedno kolano, oddychając ciężko i grzebiąc wśród narkotyków w sejfie. Brązowe koperty z nadrukiem KOMENDA POLICJI W SANTA MARIA piętrzyły się w stertach. Koperty były na tyle duże, by można było zaznaczać na nich adnotacje, ilekroć dowody wędrowały do sądu i z powrotem. Miały też miejsce na opis analizy chemicznej, dokonywanej w okręgowym laboratorium kryminalistycznym.

- To twoje. - Oskar podał Vallesowi kopertę, dziwiąc się jej cienkości.  
-Niewiele zgarnąłeś, to pewne.

Valles wziął kopertę. Był na niej jego podpis, potwierdzający przejęcie czterogramowych i dwugramowych torebek oraz pięcioletniej paczki kokainy, a także numer służbowy i dokładna godzina złożenia w depozyt. Widniał tam też podpis Salazara, magazyniera na służbie. Serce mu waliło, gdy otwierał kopertę.

- O Jezu - stwierdził, grzebiąc w środku.

- Mówiłem ci, że Salazar popieprzył wszystko. To nic nowego. W zeszłym tygodniu niewłaściwie zaksiegował w pięciu przypadkach.



Sprawdźmy, czy mam zapisany numer sprawy.

Valles potrząsnął głową, zamykając kopertę. Miał wrażenie, że ściany zamykają się wokół niego.

- Nie, to właściwa koperta. Salazar zrobił wszystko jak trzeba.
- No to w czym problem?
- Nie ma towaru. Narkotyki zniknęły.

102

Rozdział szesnasty.

Roemer i Cleary stali w milczeniu, osłaniając się parasolami przed ciągłym, rzadkim letnim deszczem. Zresztą słowa i tak by zagłuszył helikopter, który właśnie siadał na chronionym parkingu centrum wyborczego.

Gdy tylko drzwi maszyny się otworzyły, z wnętrza, nisko schylając głowy, wyskoczyli dwaj agenci Secret Service. Zaraz za nimi pojawił się prokurator generalny z dwoma asystentami przy boku. Jeden z nich otworzył nad nim parasol.

- Nie musieliście stać na deszczu - zwrócił się prokurator do Roemera i Cleary'ego. Na jego dużej twarzy gościł uśmiech, który wyglądał, jak wykuty młotem.

Po ograniczonym do niezbędnego minimum powitaniu ruszyli przed siebie, Roemer obok prokuratora. Cleary został nieco z tyłu, z trudem dotrzymując im kroku.

- Dziękuję za tak szybkie przybycie - powiedział Roemer. Agent Secret

Service otworzył drzwi, weszli do kuchni, w której kucharze kręcili się wokół wielkich stalowych garnków i patelni na gazowych piecykach.

Prokurator pociągnął nosem.

- Znosi się na niezły lunch. Zostajesz? - spytał Cleary'ego.

- Nie, nie mogę, Wayne.

- Szkoda. Będę miał niezłe wystąpienie. To zaostrza apetyt - powiedział wesoło prokurator. - W czym problem? - spytał, gdy Roemer ujął go za ramię.

- Wejdzmy tutaj. - Roemer skierował prokuratora do wielkiego magazynu z drewnianymi drzwiami. Otaczały ich ze wszystkich stron ogromne puszki groszku i ziemniaków, fasoli, sałatki i masła.

Prokurator strząsnął krople deszczu z płaszcza.

- Musimy tu rozmawiać?

- Wayne, dowiedziałem się... - zaczął Cleary.

Roemer mu przerwał:

- Zablokował udział agentów FBI w akcji i dostęp do sprzętu, którego potrzebuję. Wstrzymał operację Stracone Zaufanie.

- Którą?

- Sędziowie. Skorumpowani sędziowie w Kalifornii - wyjaśnił Roemer. - Nagle nie mogę działać.

- Jasne. Dobra. Już wiem. - Prokurator spojrział na zegarek. - Za pięć minut mam wystąpienie.

- Wayne... - Cleary zwracał się do prokuratora po imieniu, wykorzystując stare kontakty z czasów, gdy obydwaj działali aktywnie we wstępnych wyborach prezydenckich - przeanalizowałem jeszcze raz całą sprawę i doszedłem do wniosku, że jest dalece nie dopracowana. Może

spowodować masę kłopotów. I zamieszania.

- Naprawdę? Roemer znów się wtrącił.

- Bzdura. Mam sędziego chętnego do współpracy i jednego tajnego współpracownika. Posiadam informację o nieuczciwych sędziach.

Potrzebuję agentów i sprzętu, by ruszyć z miejsca. Cleary mówi, że nie załatwi pieniędzy. A Komisja do Działań Specjalnych już dała zielone światło.

- Zanim wyraziłem swoją opinię - stwierdził Cleary. - Możemy skrzywdzić niewinnych ludzi.

- Tak to zaplanowałem, że nic się nie stanie. Nikt nie oberwie z wyjątkiem tych, którzy są brudni - warknął Roemer.

Prokurator zerknął na pięćdziesięciogalonowy pojemnik z zieloną fasolką.

Do magazynu docierały odgłosy kuchni, słyhać też było brawa rozlegające się w sali bankietowej. Zastanawiał się bezradnie, jak pozbyć się tych dwóch ludzi. Jeśli chodzi o Paula, to wystarczyłoby skinąć przyjacielsko głową, powiedzieć kilka miłych słów, ale ten Roemer poszedłby za nim do samej sali, aż na podium, może nawet stanąłby obok niego, gdy przygotowywałby się do wygłoszenia mowy. Tak, niezłe przemówienie. Nawet sam napisał dwa paragrafy, w czasie gdy helikopter leciał nad rzeką, w stronę Alexandrii.

- Sprzeciwiał się tej operacji od samego początku - powiedział Roemer.

- Nigdy nie byłem jej przeciwny - zaprotestował Cleary.

- Nigdy nie był jej przeciwny - przyznał prokurator.

- Potrzebuję agentów i potrzebuję sprzętu. Nie można rozwalić tajnej operacji w samym środku. Mam informatora, któremu grozi ujawnienie. Białe włosy Cleary'ego były wilgotne od deszczu, i teraz je przygładził.

- Nie chcę, by departament miał kłopoty z powodu nie przemyślanych działań.

Roemer zaklął i wlepił wzrok w prokuratora.

- Decyzja należy do pana.

Prokurator wyczuł w jego głosie ton groźby. Roemer przybrał pozę rozluźnionego boksera, ręce wzdłuż boków, twarz napięta i nieprzenikniona.

104

105

Prokurator bał się przez chwilę, że Roemer może go uderzyć, jeśli powie „nie”. Już dawno uwrażliwił się na takie rzeczy. Był zastępcą gubernatora Idaho, gdy jego zwierzchnik padł trupem w czasie wyścigu z workami podczas pikniku wyborczego. Nagle stał się gubernatorem i stracił przyjaciół. Zdołał jednak przeżyć i wiodło mu się nieźle. Nieważne, że za plecami tytułowano go złośliwie Wasza Akcydencja\*.

\* Accidens (łac. od accidere - zdarzać się) - okoliczność, przypadek (przyp. red.).

Ci dwaj toczyli spór, a prokurator nie chciał być jego uczestnikiem, biorąc pod uwagę reputację Roemera. Nie chciał także ucierać nosa Paulowi.

Najlepiej poczekać, aż sprawy nabiorą tempa i wkroczyć dopiero wtedy.

- Uważam, że powinieneś pozwolić mu działać, Paul - powiedział i zwrócił się do Roemera: - Sądzi pan, że istnieją szansę na wyroki skazujące?

- Oczywiście.

- No cóż. Załatwione. Działajcie. - Uśmiechnął się do Cleary'ego. -Dzięki za wyjaśnienie sprawy. - Znów się uśmiechnął. - Naprawdę nie możecie

zostać chociażby na przemówieniu?

- Przykro mi, sir. Mam mnóstwo roboty i wracam dziś wieczór do Kalifornii - usprawiedliwił się Roemer.

- No cóż. Dobrze było znów was widzieć. - Prokurator wyszedł z magazynu.

Roemer włożył plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy.

- Myślisz, że możesz robić takie numery i mnie zatrzymać? Posłałem do więzienia Joe Averbaka, choć z każdym oddechem zarabiał milion dolarów. Posłałem do więzienia Rusty'ego Majorsa, chociaż chodziłem z nim do szkoły. Skazywałem facetów z departamentu, facetów, którzy bywali u mnie w domu na kolacji. Lubiłem ich. A ciebie nie lubię.

- Myślę, że odnosisz wrażenie, iż możesz mi grozić - powiedział Cleary. - Robię tylko to, co dyktuje mi sumienie.

- Jestem zbyt twardy dla ciebie, prawda? Nie jestem taki jak ty, jak twoi przyjaciele, jak twój wydział prawa, jak wszyscy, których kiedykolwiek znałeś - powiedział spokojnie Roemer. - Słyszałem już to przedtem, Cleary.

Brawa dochodzące z sali nasiliły się nagle, jak fala gnanego wiatrem deszczu. Mleczne żarówki w magazynie pełnym ogromnych pojemników spowijały Roemera cieniem, od stóp do głowy.

- To nie jest dla mnie osobista sprawa - powiedział Cleary, próbując wyjść, lecz stwierdził, że Roemer blokuje drogę.

- Nigdy nie jest osobista. Spotkałem kiedyś pewnego faceta, którego byś prawdopodobnie zrozumiał, jeszcze w Los Angeles, dawno temu, kiedy byłem jeszcze świeży.

- Nie interesują mnie twoje wojenne opowieści. Obydwaj mamy dużo

roboty.

- Spodoba ci się. - Oczywiście Roemera były zimne. - Robiliśmy rewizję u jednej dziwki i znaleźliśmy tam zdjęcia sędziego o nazwisku Alcala. Na tych zdjęciach robili wszystko, palili wszystko, wachali wszystko. Broni go duża firma prawnicza, ci wielcy faceci z Partii Demokratycznej, którzy gromadzą ogromne fundusze. Biorą mnie za jakiegoś rządowego nudziarza, więc wchodzę w to i udaję tępego biurokrate. Siedzimy w ich biurze, w centrum L.A., ściany wyłożone drewnem, dziewczyny z tacami z mineralną wodą, herbatą i ciastkami krążą między gabinetami. Znasz ten rodzaj biura, wielkie firmy prawnicze z wielkimi nagłówkami na firmowym papierze?

- Widziałem kilka w swoim czasie.

- Pewnie, że widziałeś. To twój świat. Nie wierzyłem, że istnieje. A ci dwaj faceci mnie czarują. Traktują tak, jakbym zjawił się tam po to, żeby się naprzykrzać. Mówią o tym, co się stanie z sędzią Alcala. Mówią o udzieleniu nagany przez Radę Sądową. Może jakiś urlop bezpłatny dla sędziego? Częstują mnie herbatą ziołową i kanapkami. Chcą, żeby sprawa przestała istnieć. Więc drapię się w głowę i wyciągam swoje materiały. Zaczynam wysypywać zdjęcia na ten ich pieprzony stół mahoniowy, wprost na ciastka. -Roemer wykonał kilka krótkich gestów, jakby coś rzucał. - „Macie to chłopaki? A to?” - pytam spokojnie, udając tępego, odkrywając po kolei każde zdjęcie. Tu sędzia liże dziewczkę, tu dziewczka liże sędziego, sędzia z koką na szklanym blacie, wszystko tam mieliśmy. A ci faceci, ci dwaj wielcy obrońcy po prostu ciągną dalej, jakby tych zdjęć w ogóle tam nie było, jakby mnie nie słuchali.

Cleary pomyślał, że ten pokaz obojętności musiał wypalić swoje piętno na

Roemerze. Oparł się mocniej na parasolu, używając go jak laski. Roemer ciągnął chaotycznie:

- Zaczynają gadać, jakbym był głupi, jakbym był tak tępy, że nie łapię całej sprawy. „Czy nie rozumiesz? - powiadają. Ty ośle. Jesteśmy potężnymi ludźmi. Stoi za nami cały establishment partyjny, a my stoimy za sędzią Alcalą. I gównu nas obchodzi, czy się pieprzy, wacha, sprzedaje czy kompromituje cały sąd. No dobra, naprawdę myślisz, ty głupi rządowy gnoju, że coś mu zrobisz? Wszystko możemy oddalić" - Roemer zdmuchnął wyimaginowany pyłek kurzu. Brawa znów się nasiliły, jakby na zawołanie. Roemer uśmiechnął się. - Tam siedzą tacy sami faceci. Uwielbiają przemówienia. Uwielbiają słuchać o tym, jak wspaniale rządzą światem.

- Muszę iść - powiedział twardo Cleary. Był poirytowany i zmęczony pełnymi urazy wspomnieniami Roemera.

Roemer go nie zatrzymywał. Wyszli przez kuchnię, gdzie kucharze wciąż niezmordowanie gromadzili talerze z jedzeniem. Roemer wsadził w jeden z nich palec, gdy przechodzili obok, i oblizał.

- Niezłe - stwierdził.

Wciąż padało. Obok helikoptera stali mężczyźni w ciemnych garniturach. Cleary spytał:

- Straciłeś Alcalę? Tamci faceci ci go odebrali? - Byłoby to zgrabne wyjaśnienie uczuć Roemera.

- Nie. Nie straciłem. Kiedy ci faceci skończyli, kiedy już przerobili

106

107

wszystkie warianty, no wiesz, nagana z Rady Sędziowskiej, obietnica

poprawy ze strony sędziego, może nawet jakieś przeniesienie w bezpieczne miejsce, jak sąd rodzinny, gdzie zajmowałby się rozwodami i prawami własności aż do emerytury, jak już to przerobili, to ja też skończyłem.

Cleary przystanął. Letni deszcz uderzał w jego parasol, w asfalt, w zielone drzewa rosnące za parkingiem.

- „Panowie, mówię - Roemer stanął blisko Cleary'ego - nie słuchacie mnie. Chcę mieć w ręku rezygnację sędziego przed końcem godzin urzędowania. Chcę mieć podpisaną przez niego deklarację, że nie będzie się więcej ubiegał o urząd. Chcę mieć pełne oświadczenie na temat wszelkich kontaktów w związku z prowadzonymi przez niego sprawami. I chcę mieć nazwiska wszystkich znanych mu prostytutek i dealerów”.

- Załatwiłeś ich?

- Jeden z tych dżentelmenów roześmiał się. Nie. Raczej parsknął pogardliwie. Nigdy przedtem nie słyszałem czegoś takiego. Natychmiast wrócili do starych, sprawdzonych metod. Po cichu, zanim rzecz trafi do sądu, kilka telefonów do dawnych kumpli i polityków. Więc zabrałem swoje zdjęcia i materiały. Wstałem. Uśmiechali się. Powiedziałem:

„Panowie, początkowo nie zamierzałem prezentować wam planu krzyżowego przesłuchania sędziego Alcala, gdy stanie przed sądem. Ale zrobię to teraz”. - Roemer był ożywiony, patrzył wprost na Cleary'ego.

Było to niepokojące. - „W porządku, panie sędzio - ciągnął - kiedy kupował pan kokę, to jaki układ zawarł pan z dealerem? Więcej niż jeden? Jak długo zażywa pan kokę? Heroinę? Jakie jeszcze nielegalne narkotyki pan zażywa? Czy zażywa je pan, gdy zasiada na fotelu sędziego? Czy kiedykolwiek obiecywał pan korzystny wyrok w zamian za narkotyki? A



prostyutki, które pan zna, czy obiecywał im pan łagodne wyroki w razie aresztowania? Czy kiedykolwiek był pan szantażowany przez prostytutkę albo dealera? Jak często zażywał pan nielegalne narkotyki z prostytutkami? Gdzie trzyma pan swoje narkotyki? Pod togą sędziowską? Pod fotelem? W swoim gabinecie? - Roemer uśmiechnął się bezlitośnie. - Niech pan mi powie, panie sędzio, czy zażywa pan kokainę w swoim biurze przed rozprawą?"

- Rozumiem, w czym rzecz - stwierdził Cleary, a miał na myśli niejedno.

- Oni też w końcu zrozumieli. Zaczęli dukać: „Nie gra pan uczciwie. Nie jesteśmy przygotowani, trzeba będzie to omówić. Porozmawiajmy.

Potrzebujemy więcej czasu". - Parsknął. - Miałem jego rezygnację w ręku przed czwartą trzydzieści tego samego dnia.

- Neil, nie jestem twoim wrogiem. Chcę z tobą pracować - powiedział Cleary, świadom tego, że mówi jak tamci pokonani przez Roemera adwokaci.

- Nic mnie nie obchodzi, kim jesteś. - Roemer zacisnął poły płaszcza, opuszczając parasol. Krople deszczu padały na jego rozognioną twarz.

- Polowałem już na złych sędziów. Przygwoździłem ich. I tym razem też to zrobię.

- Pamiętaj, że wciąż należysz do mojego personelu - powiedział Cleary. - Pracujesz dla mnie.

Roemer uśmiechnął się do niego, potrząsając głową, jakby chciał pozbyć się złych wspomnień.

- Nie rozumiesz, co się właśnie stało? Zaprowadziłeś mnie do wielkiego faceta i przegrałeś, Cleary. On nie jest po twojej stronie.

- Jestem pewien, że poparłby mnie w sprawach mojego personelu.

- Ty się nie liczysz. To w każdym szczególe moja operacja. - Roemer odwrócił się na pięcie i odszedł w kierunku mężczyzn obok helikoptera. Cleary pomyślał, że być może są starymi przyjaciółmi.

Miał okropne uczucie, że właśnie utracił kontrolę nad operacją Stracone Zaufanie. Posłyszał szyderczy śmiech. Jeden z mężczyzn podsunął Roemerowi osłoniętą zapalną, by ten mógł przypalić papierosa.

108

Rozdział siedemnasty.

Nie posłali tego gówna do laboratorium kryminalistycznego? - Jerry Witwer spytał Vallesa.

- Nie.

- Jezu.

Valles przytaknął.

- Nie uwierzyłybyś, dokąd to poszło.

Stali w rogu trawiastego podwórza, w północnej części Santa Maria, otoczonej polami kukurydzy i rozległymi pustymi terenami, wokół których biegła szosa i ogrodzenie z siatki drucianej. Po trawie walały się zardzewiałe osie i stare, łyse opony, tuż obok leżał cały silnik, porośnięty pokrzywami. Na betonowym patio wylegiwało się czworo ludzi. Młoda dziewczyna w obciętych dżinsach i fioletowych okularach przeciwsłonecznych spojrzała w stronę Witwera.

- Przyjdiesz tu, Elvis?

Przekręciła się nieznacznie na bok, przewracając plastikowy pojemnik z

czerwonawym płynem. Pozostała trójka z piskiem cofała się przed strumyczkiem cieczy.

- Powiedziałeś jej, że masz na imię Elvis? - zdziwił się Valles. Witwer wzruszył ramionami.

- To pomaga - odparł cicho, a po chwili głośniejszym rzucił: - Mam tu interes, Erin. Nie zwracaj mi dupy. - Jego opryskliwość doprowadziła ją do jęku. Przed domem, od strony ulicy, słychać było warkot motocykli.

- Wierzysz, że ona się nazywa Erin? Dlaczego, u licha, te walnięte dziewczuchy mają takie słodkie imiona? - spytał zdumiony Valles.

- Teraz to mnie naprawdę zmartwiłeś - powiedział znowu przyciszonym głosem Witwer.

- Pewne jak cholera, Elvis.

- Gdzie ten towar się podział? Co Shiffley wyprawia?

Valles pokręcił głową i podrapał się w brodę.

- Nie wiem, co on kręci, ale kręci na pewno. Wcisnął mi największy kit, jaki w życiu słyszałem.

- Jezu. I to szef.

- Nie mówi nam, o co chodzi.

- Więc co z tym towarem?

Valles odwrócił się. Stał teraz plecami do wysokiego, rozwalającego się płotu. Patrzył na towarzystwo gnuśniejące na małym patio.

- Sprawdziłem kopertę. Została przekazana facetowi z Biura Szeryfa.

Według adnotacji miał ją zabrać do laboratorium. Do analizy.

- Ci od szeryfa nie zajmują się transportem towaru. Daj spokój. - Witwer zagryzł wargi.

- Poza tym ten facet nie bierze udziału w Projekcie. To jakiś nowy gość od

narkotyków, nawet nie wiem, jak się nazywa.

- No to co robi z naszym towarem?

- Dzwonię do Gusa i pytam: „Gus, czy doszły już tam prochy z naszego aresztowania Vismary?”

- Nie mówiąc już o tym, że nigdy tak cholernie szybko nie przeprowadzali analizy. - Witwer zmarszczył brwi. Pomachał do Erin, kiedy zaczęła kołysać biodrami w takt starej piosenki Beatlesów, skrzeczącej w radioodbiorniku stojącym na patio. - Ile to razy wrzeszczał na mnie prokurator, gdzie jest analiza towaru albo ile tego jest, jakbym sam mógł tym wszystkim się zająć.

- Idzie twoja panienka - powiedział ostrzegawczo Valles.

Witwer mruknął niezadowolony, gdy Erin zmierzała niepewnym krokiem w jego stronę.

- Chcesz tańczyć? Nikt z tamtych nie chce tańczyć, wszyscy zalani.

- Lata sześćdziesiąte wiecznie żywe - stwierdził zgryźliwie Valles. Witwer zdjął dłonie dziewczyny ze swoich ramion. Odepchnął ją.

- Mam interes do załatwienia, wracaj tam i czekaj.

- Zaśpiewasz nam piosenkę, Elvis?

- Dobra, przyjdę do was i zaśpiewam. Pomyśl, co chciałabyś usłyszeć, a ja to zaśpiewam.

- Nieważne, co śpiewasz, byle było ładne. - Oblizła wargę, starając się zachowywać prowokująco, ale raczej jej to nie wyszło.

- Odejdź. Odejdź, kochanie. Usiądź tam. - Witwer pchnął ją mocno, kierując z powrotem w stronę patio. Poirytowany, na chwilę zamknął oczy.

- Nie zamierzam zgłupieć przez tych palantów.

- Elvis będzie śpiewał - obwieściła Erin, ciężko opadając obok przyjaciół.

Rozległ się chóralny pomruk aprobaty.

- Słuchasz mnie? - warknął Valles.

- Oprócz ciebie nie słyszę nikogo, przysięgam na Boga, Rog.

- No więc, Gus najpierw opowiada mi dowcipy, a potem mówi: „Cholera, nie, nie ma tu towaru Vismary”. Pomyślałem, że nie pamięta, więc mu

110

111

przypominam: „No, jakiś szeryf to podrzucił. Sprawdzisz, żeby się upewnić?” Jakby go piorun strzelił, zaczął wrzeszczeć, że sprawdził. Nie ma towaru. Żaden szeryf nie zjawił się z czymś takim, żaden gliniarz, nigdy nic takiego się nie pojawiło, więc co ja kombinuję? Czy chcę wpakować go w kłopoty?

- Jezu. Jezu - jęknął Witwer.

- Więc znów powtórzyłem mu numer sprawy i poprosiłem bardzo grzecznie, żeby dał znać, jeśli się towar pojawi. Może źle został zarejestrowany czy coś w tym rodzaju.

- Idę o zakład, że mu się to nie spodobało.

- Obrzucił mnie błotem.

- Musimy pogadać z tym szeryfem, Rog. I to natychmiast. Nie możemy pozwolić, żeby nasz towar pływał sobie nie wiadomo gdzie.

- To właśnie powiedziałem ci dziś rano, no nie? Czy nie mówiłem, że dostaniemy w dupę, jak coś pójdzie nie tak?

- O.K. Mówiłeś.

Valles kopnął przerdzewiały łańcuch, przypominający kręgosłup, zakopany do połowy w niekoszonej, martwej trawie.

- Już się tym zająłem.

- Co powiedział ten facet?
  - Nie rozmawiałem z nim. Był gdzieś w terenie. Więc zwróciłem się do Neda Rose'a: „Słuchaj, Ned, twój facet wziął nasz towar, ale nie ma go w laboratorium”.
  - O.K. Jak na razie wszystko w porządku. Ned to porządny gość.
  - „No tak, powiada, to kiepsko”. Więc przeglądamy ich rejestry. Potem idziemy sprawdzić ich magazyn. I wiesz, cośmy znaleźli?
  - Nasz pieprzony towar? Valles skinął głową.
  - Ned ma pokrycie na całą kokę i amfetaminę, jaką zgarnęli w ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu dni. Faceci z jego wydziału, którzy pracują w Projekcie, znoszą tam zdobyty towar. Więc wszystko tam jest. Niczego nie brakuje.
  - Czegoś nie rozumiem. Co nasz towar robi w ich magazynie?
  - To nie był nasz towar - powiedział cicho Valles.
  - Ich?
  - Ten nowy facet, a Rose twierdzi, że to prawdziwy chart, wyrejestrował kokę, którą znaleźliśmy. Musiał sam ją popakować do tych małych torebek i tej jednej dużej. Pochodziła z ich wielkiej akcji w styczniu, pamiętasz, aresztowanie Fontany na Osiemdziesiątej Ósmej Ulicy?
  - To wtedy Shiffley mnie opieprzył, bo mu nie powiedziałem, że szykuje się duże przejęcie towaru przez inną agencję.
- Valles znowu kopnął łańcuch i wpatrzył się zmrużonymi oczami w błękitne niebo.
- Więc ostatniej nocy, Jerry, ni mniej ni więcej, tylko ci z biura szeryfa pozwolili nam pożyczyć towar od Vismary, a potem go odebrali.

- Jak pieprzoną książkę w bibliotece.
- Rose nic o tym nie wiedział. Zarzeka się, że wydusi z tego nowego chłopaka, kto kazał mu wyjąć z magazynu kokę.

Witwer parsknął pogardliwie.

- Rose tylko oberwie. Shiffley w tym siedzi, a Vismara to lipa. Ktoś coś robi w mieście, a nam, szeregowym, nic nie mówią.

- Kto to może być?

- Federalni.

- To znaczy każdy. Każda agencja - stwierdził Valles. Irytującym elementem tajnych działań było to, że służby policyjne często nie informowały się nawzajem o swoich operacjach, zazdrośnie ich strzegąc. Najbardziej chciwe, najbardziej tajemnicze były agencje federalne, od FBI poczynając a kończąc na tych z Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej. Zawsze dochodziło do wzajemnych oskarżeń, gdy lokalni agenci natrafiali na prowokację przygotowaną przez federalnych. Valles osobiście znał dwóch policjantów, których przeniesiono do wydziału zajmującego się włamaniami do samochodów, kiedy wdepnęli w taką operację z marihuaną. Valles nie chciał skończyć w jakimś wydziale bez przyszłości. Ani też nie chciał być obwiniany za błędy Shiffleya czy federalnych. Nie obchodziło go, czy narazi na ryzyko ich operację. Potraktowali go jak śmiecia, a jemu się to bardzo nie podobało.

Witwer potrząsnął smutno głową.

- To mnie naprawdę wnerwia, że Shiffley łąze w żywe oczy.
- Nie przejmuję się tym - stwierdził Valles. Witwer westchnął tęsknie.
- Co możemy zrobić? Valles przysunął się do niego.
- Nie ma mowy, żebyśmy dali się wystawić na odstrzał, jeśli się coś

stanie. Musimy chronić swoje tyłki, Jerry.

- Racja. Tak mi się wydaje.

- Musisz być przekonany.

- Jasne, jasne, masz rację. Nie mam ochoty dać się załatwić za Shiffleya albo któregoś z tych dupków.

- Więc działamy jak partnerzy? Do końca?

- Tak, Rog. Do końca. Valles odetchnął głęboko.

- Po pierwsze, musimy znaleźć tego lipnego dealera, tego Vismarę. On musi wiedzieć, co jest grane. Może to wystarczy.

- Jeśli zaczniemy szukać go zwykłymi kanałami, to ktoś może się dowiedzieć, że wężymy.

- Zaczniemy od własnych źródeł. Wykorzystamy własnych informatorów. Jak na przykład Maize - powiedział Valles. - To jasne.

- O.K. - zgodził się Witwer już z większym entuzjazmem. - Chcesz się zabawić z tymi dupkami? - spojrzał w stronę patio. Kolejny mężczyzna przyłączył się do kręgu ludzi podających sobie skręta.

113

- Pewnie. Po to tu jesteśmy - stwierdził Valles i uśmiechając się dodał: |  
Poza tym, chcę usłyszeć, jak śpiewasz.

Nash siedział w rozpiętej todze, naprzeciw siebie, po drugiej stronie biurka, miał Beniska i Escobara.

- Na korytarzu czeka ława przysięgłych - zwrócił się do adwokata. - Nie pozwolę, by oskarżony manipulował tym sądem.

- To podstęp, Wysoki Sądzie - wtrącił Benisek.

- To nie podstęp, panie sędzio - ponownie zapewnił Escobar. - Nie chce włożyć ubrania, które mu przyniosłem.



- Więc niech siedzi przy stole w ubraniu więziennym - skwitował Nash. - Nie zamierzam dłużej trzymać przysięgłych na korytarzu.

Obrócił się, by zawołać Sheę.

- No cóż, panie sędzio. Będę musiał zgłosić do protokołu, że za pańską sprawą mój klient naraża się na uprzedzenie ze strony przysięgłych.

- To jego wybór, Vince. Mógł się przebrać.

- Twierdzi, że w więzieniu zatrzymano jego ubranie, gdyż się pobrudziło.

- O, Boże - jęknął Benisek. Nash wstał.

- Widział pan to ubranie osobiście?

- Wczoraj zaniósłem panu Soice czystą parę ciemnych spodni, białą koszulę i czyste skarpety. Wydaje mi się, że w więzieniu ubranie wypadło na ziemię. Teraz jest brudne.

- Więc go nie włoży?

- Zgadza się, panie sędzio.

W drzwiach gabinetu pojawił się Shea. Rzucił Beniskowi i Escobarowi możliwie najkrótsze i najbardziej pogardliwe spojrzenie.

- Przyrowadź tu Soikę, a przysięgłych potrzyмай jeszcze na korytarzu - powiedział Nash. - Poproś ich o chwilę cierpliwości.

- On sprawia nam kłopoty, panie sędzio - rzucił Shea.

- Przyrowadź go - powtórzył Nash i zwrócił się do Escobara: - Zapiszę to w protokole, Vince. Wiem, że to nie twoja wina. Nie jesteś w stanie kontrolować Soiki.

- Robię tylko to, co mówi mi mój klient. - Escobar, podobnie jak Nash, uśmiechnął się nieznacznie.

Nash zaprowadził ich do pustej sali rozpraw. Kazał zasłonić szyby wysokich drzwi kawałkami kartonu, tak by kamerzyści nie mogli

filmować procesu bez jego zezwolenia. Dzięki temu nie zaglądali także do środka gapie, drobna rzecz, która irytowała przysięgłych, a sędziego złościła.

Nash usiadł w swoim fotelu, napił się wody i czekał. Nie zamierzał dopuścić do tego, by Escobar sprowokował go do pochopnego czy głupiego działania. Nie zamierzał również pozwolić Soice i Escobarowi na kierowanie sądem.

Ponury mrok spowijał tylne rzędy ławek sali, chociaż zapalono wszystkie światła. Ich blask skupiał się tam, gdzie miała jaśnieć sprawiedliwość, wydobywał z cienia podwyższenie sędziego, stoły obrony i oskarżenia, ławę przysięgłych.

Shea i jeszcze jeden strażnik wprowadzili skutego Soikę, głośno dającego wyraz swemu niezadowoleniu, dopóki nie opadł na krzesło obok Escobara, przy stole obrony. Vince wygląda na wypoczętego, pomyślał Nash.

Absolutnie rozluźniony, gładka, spokojna twarz.

Shea i strażnik stanęli za Soiką.

Nash rozejrzał się wkoło. Protokolant zajmował swoje miejsce, zapisując każde słowo, a Vi siedziała niżej, na wypadek, gdyby czegoś potrzebował.

- W porządku - stwierdził. - Jest dziesiąta dwadzieścia. Zaczynamy bez obecności przysięgłych. Oskarżony, jego obrona i reprezentanci stanu są obecni.

- Chcę mieć czyste ubranie - powiedział głośno Soika.

- Proszę o spokój - upomniał go Nash.

- Wysoki Sądzie - Escobar natychmiast wstał - mój klient jest zdenerwowany tym, że z jego ubraniem niestarannie się obchodzono w więzieniu stanowym.

- Proszę przynieść ubranie oskarżonego - polecił Nash Shei.
- Jestem osobą czystą i nie podoba mi się, rozumie pan, że siedzę zakuty w łańcuchy na oczach tych ludzi. Moje rzeczy są brudne! - Soika potrząsnął kajdankami, spoglądając ze złością na Nasha.
- Spokojnie, panie Soika. Za chwilę.

Shea postawił pudło z ubraniami na podłodze obok stanowiska Vi. Nash zszedł ze swego miejsca i wziął do ręki spodnie i koszulę. Sytuacja była idiotyczna.

Jeszcze jako prokurator dwukrotnie sobie uświadomił, że jego kariera szybko się skończy, że przerwie ją w pewnym momencie poczucie godności czy obrzydzenia. Za pierwszym razem pędził korytarzem sądowym. Był od tygodnia prokuratorem okręgowym. Właśnie prowadził swoją pierwszą sprawę, oskarżał za jazdę po pijanemu. Od oskarżonego pobrano próbkę moczu, a Nash spóźnił się z butelką. Gdy tak biegł korytarzem, wiedząc, że sędzia będzie zły z powodu tego spóźnienia, zauważył, że z nieszczelnej butelki kapie uryna. Plamiła jego lśniące buty i zostawiała ślad na podłodze korytarza. Spędziłem cztery lata w college'u, pomyślał wtedy Nash, trzy na wydziale prawa, a teraz biegam po korytarzu z butelką sików w ręku. Nawet sztuka zawierania kompromisów, której uczono na wydziale prawa, nie uwzględniała tego ludzkiego aspektu, zwykłej słabości człowieka, który znalazł się w opałach. Sprawiedliwość była mierzona ludzką miarą, i choć Nash akceptował ten fakt, nie mógł przystosować się do jej nieformalnej i nieupiękzonej strony, mimo że bardzo się starał.

Po raz drugi doświadczył podobnego upokorzenia, gdy zajmował się próbą ucieczki z więzienia w Folsom. Było to najbliższe, większe więzienie

stanowe, więc wszystkie sprawy z nim związane kierowano do Biura Prokuratora Okręgowego w Santa Maria. Oskarżony, odsiadujący dożywotni wyrok, nawet jeszcze nie miał prawa ubiegać się o przedterminowe zwolnienie.

114

115

Wyglądał na nieokrzesanego i twardego. Mówił, że prześladują go strażnicy więzienni. Podrzucili mu nóż, który u niego znaleziono.

Twierdził, że nie miał zamiaru uciec.

Nash pokazał przysięgłym dowód zdobyty przez strażników, zabrudzone odchodami spodnie oskarżonego. Owinięty plastikiem nóż, wykonany domowym sposobem, o trzycalowym, tępym ostrzu, więzień ukrył w kieszce stolcowej. Nash pokazał ławie ten plastik. Na jego żądanie ekspert kryminalistyczny zeznawał na temat związku między nożem, plastikiem i zabrudzonymi spodniami. Lecz oskarżony spodobał się przysięgłym.

Sprawiał wrażenie wolnego ducha, którego prześladują strażnicy, a Nash nie był w stanie poinformować przysięgłych o jego wcześniejszych przestępstwach. Mogłoby to wywołać uprzedzenie do niego, stwierdził sędzia. Ława uniewinniła oskarżonego, władze więzienne nałożyły na niego karę administracyjną, nie różniącą się zbytnio od tego, co mógłby postanowić w tej sprawie sąd, a jedna z kobiet zasiadających w ławie przysięgłych zaczęła pisać do niego listy miłosne. Zarząd więzienia w Folsom uważał, że taki rozwój wypadków jest dość humorystyczny, więc przesłał Nashowi kopie tych listów.

Zrobiłem wszystko, co miałem zrobić, myślał Nash, przeglądając ubranie Soiki, by sprawdzić, czy rzeczywiście jest brudne. Tamta historia z

więźniem zmieniała się w żart. Żart ze sprawiedliwości.

Wkrótce potem powiedział ojcu, do czego ten namawiał go od lat, że w końcu zgadza się zostać sędzią. Richard zasiadał już wówczas w sądzie federalnym. Przy poparciu Jacka Nasha jego nominacja na sędziego Sądu Miejskiego w Santa Maria była przesądzona, i w rok później ją otrzymał. Pilnowanie, by powiedziano prawdę, uświadomił sobie Nash, nie wystarczało. Niekiedy wysłuchanie jej nie było nawet dostatecznym warunkiem, by funkcjonował system sprawiedliwości. Czasem trzeba samemu wymierzać sprawiedliwość, myślał. To była owa złota obietnica Roemera.

Wrzucił ubranie z powrotem do pudła.

- Mnie wydaje się w porządku, panie Soika. Niczego tu nie mogę znaleźć.
- Niech pan posłucha, oni robią wszystko, żebym się pobrudził - Soika potrząsnął łańcuchami jak duch Marleya\*.

\* Marley - postać z powieści Karola Dickensa pt. Opowieść wigilijna (przyp. red.).

- Każą mi siedzieć godzinami, zanim mnie tu przywożą, obok facetów, którzy się nie golą i nie biorą prysznic. Śmierdzą. A ja jestem czystym człowiekiem.

Escobar wstał.

- Wysoki Sądzie, uważam, że istnieje poważne podejrzenie, iż władze więzienia stanowego naruszają prawa mojego klienta.

Nash potrząsnął głową, a Vi westchnęła bezgłośnie. Obydwoje słyszeli tę frazę już zbyt wiele razy, powtarzała się w sali rozpraw niczym zacięta płyta.

- Co za krzywda dzieje się panu Soice? - spytał Nash Shei.

- Nic szczególnego, panie sędzio. - Na jego twarzy widniał wyraz oficjalnej nudy, stał w lekkim rozkroku. - Jest przygotowywany do transportu, potem skuwany z innymi, których tu przywożą.

- Oni śmierzą - warknął Soika, próbując wstać ze swego miejsca. Niewiele osiągnął, gdyż był przykuty do oparcia krzesła. - To prześladowanie. To celowa gra, bo wiedzą, że lubię brać prysznic, że zachowuję czystość.

- Wysoki Sąd widzi, jak to traktowanie, to niewłaściwe traktowanie, wpływa na mojego klienta. - Escobar wyciągnął dłonie w geście oburzenia.

- Robi z igły widły - stwierdził Nash, znów zajmując swe miejsce i patrząc z góry na nich wszystkich. - Jest traktowany jak każdy więzień.

- I to właśnie jest problem. To pogwałcenie praw konstytucyjnych każdego przebywającego w więzieniu...

Nash zorientował się, że Escobar szykuje się do dłuższej oracji. obrońca zdążył już w czasie tego procesu powołać się na Deklarację Niepodległości, kilka ksiąg biblijnych i Makbeta. I wystarczy.

- Czy zamierza pan zaangażować wszystkich więźniów w charakterze swoich klientów? - przerwał mu Nash.

- Mówię tylko o naruszeniu konstytucji, Wysoki Sądzie. Mam do tego prawo.

Nash wycelował trzymanym w dłoni długopisem w Escobara.

- Już to omawialiśmy i dobrze się bawiliśmy. Sąd stwierdza, że przywożenie tutaj pana Soiki skutego z innymi więźniami nie jest naruszeniem jego praw. To dla bezpieczeństwa, prawda, szeryfie? - zwrócił się oficjalnie do Shei.

- Tak jest, panie sędzio.
- Sąd nie wziął pod uwagę fundamentalnego zagadnienia sprawiedliwości, narażając mojego klienta na kontakt z tego pokroju ludźmi - stwierdził Escobar, szykując się do kolejnej przemowy.
- Oni cuchną. Przez nich moje ubranie śmierdzi - odszczeknął się Soika sędziemu i szeryfowi.
- Pańskie ubranie jest idealnie czyste. Osobiście to sprawdziłem.
- Pan kłamie - warknął Soika.
- Panie Escobar?!
- Nie apróbuję tego, co mówi mój klient, Wysoki Sądzie. Mogę tylko powiedzieć, że chodzi tu o szersze zagadnienie.
- Jest pan kłamcą - powtórzył Soika.

Nash słuchał i patrzył. Vi spuściła głowę. Była wściekła, wiedział o tym. Nienawidziła każdego, kto atakował go w sądzie. Shea oparł się o pojemnik z napojem. Miał w sobie fałszywą nonszalancję barowego zabijaki, gotowego do ataku.

Nash wiedział, że jeśli się wścieknie, to zostanie to zapisane w protokole, a Escobar i Soika odniosą zwycięstwo. Escobar mógł się wyklócać, mógł nawet podnosić głos, bo nie jemu, tylko sędziemu zarzucono by nieopanowanie.

- Nieważne, jak pan mnie nazywa - zwrócił się do Soiki, patrząc we wlepione w niego oczy. Łańcuchy pobrzękiwały cicho, jakby przebiegało

116

117

przez nie, niczym prąd elektryczny, intensywne, wewnętrzne napięcie oskarżonego. - Lecz nie pozwolę, by okazywał pan brak szacunku Sądowi.

Benisek siedział biernie. Wszystko, czego pragnął, to dalej przesłuchiwać swoich świadków. Skazą prokuratorów, myślał Nash, było ich ograniczone pole widzenia. Ale Benisek i tak niewiele mógł pomóc. Tu chodzi o mój honor.

Soika zaczął mówić, ale Nash podniósł głos o ton wyżej.

- Ma pan teraz wybór. Albo nałoży pan ubranie, albo zostanie pan w tym, co ma na sobie.
  - Wysoki Sąd zmusza pana Soikę do rezygnacji z jego praw. - Escobar był już podgrzany.
  - Co pan postanowił? - spytał Nash. - Proszę decydować.
  - Chcę moje czyste ubranie - stwierdził Soika. - Nie chcę tych śmierdzących ciuchów.
  - Proszę wprowadzić przysięgłych - zwrócił się Nash do Shei.
  - Wysoki Sądzie - powiedział pospiesznie Escobar, poklepując Soikę. | Proszę o trochę czasu na rozwiązanie tego problemu.
  - Straciliśmy już dostatecznie dużo czasu. Za chwilę wejdą przysięgli. Escobar nachylił się szybko do Soiki, a potem zwrócił się do Nasha:
    - Proszę dać nam minutę na zmianę ubrania.
    - Zatrzymaj przysięgłych jeszcze przez chwilę, Scotty - powiedział Nash.
- Nim Shea ponownie zamknął wysokie drzwi sali rozpraw, przez chwilę widać było kręcących się po korytarzu przysięgłych, którzy z zaciekawieniem wyciągali szyję, by zobaczyć, co tym razem spowodowało opóźnienie.
- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Zamierzam wrócić do tego zagadnienia w dalszej części procesu - zapowiedział Escobar. Strażnik stojący za Soiką odpinał łańcuch od krzesła.
  - Proszę wyprowadzić pana Soikę na korytarz za salą sądową. Tam może



się przebrać - polecił Nash.

- Ale to miejsce nie zapewnia prywatności - zaprotestował Escobar. Nash uśmiechnął się do Soiki, który rzucał przekleństwa na Escobara i Sheę, ponaglającego go do wyjścia.

- Nie ma tam również śmierdzących ludzi, panie Escobar. Pański klient nie będzie narażony na przykre doznania estetyczne. Ma pan dwie minuty.. Usiadł w swoim gabinecie, przedtem starannie zamykając drzwi. Wykręcił numer Janice.

- Właśnie miałam do pana dzwonić - powiedziała.

- Telepatia. Chcę zaprosić panią jutro na kolację. Powinna pani spotkać kilku sędziów. Mógłbym, oczywiście, opowiedzieć pani o nich; może też pani o nich poczytać, ale to nie to samo, co bezpośrednie spotkanie. - Zdał sobie sprawę, że to kiepskie wytłumaczenie, ale miał nadzieję, że je kupi. Chciał się z nią spotkać. Po prostu.

- Do moich obowiązków należy między innymi doradzanie Neilowi, jeśli chodzi o potencjalnych podejrzanych - powiedziała. - Gromadzę dla niego informacje.

- To znakomita okazja.

- Nie wydaje mi się. Poza tym nie będzie pan jutro wolny.

- Dlaczego nie?

- Neil dzwonił z Waszyngtonu. Zamierza wprowadzić pana w sprawę. Trzeba, by wkrótce zbliżył się pan do podejrzanych.

- Mam zatem poznać moją historyjkę? - Nash zastanawiał się nad jakąś przynętą, która pozwoliłaby mu ściągnąć Janice na zbiórkę funduszy, organizowaną przez Atchleya, albo na kolację we dwoje.

- Chcę również przedstawić pana pańskiemu partnerowi.

- Temu Vismarze? Czy on będzie uczestniczył w każdym spotkaniu?
  - Uważamy, że to konieczne. Wasze działania muszą być skoordynowane.
  - A więc kiedy i gdzie? W Hiltonie? Janice się roześmiała.
  - To był apartament tylko na jeden wieczór, dzięki uprzejmości Związku Hodowców Bawełny. Mamy nowy, stały lokal w Cypress Hotel. Jutro. O piątej.
  - Doskonale. A co pani powie na to: przyjdę na spotkanie, jeśli pani umówi się ze mną na kolację?
  - Czy musimy zawierać takie umowy?
  - Skończyłem poranne spotkania. Za chwilę wracam na salę rozpraw. Cały ranek nie robiłem niczego innego, jak tylko zawierałem umowy.
- Janice znów się roześmiała, i Nash poczuł zadowolenie.
- Czy będziemy mogli zjeść kolację nieco później? - spytała.
  - Żaden problem.
  - Możemy pójść wprost z hotelu.
  - Dobrze - zgodził się Nash. Zachował do tej pory całkowity chłód, profesjonalną doskonałość. Po chwili dodał: - Chciałbym spotkać się z panią, nawet gdybyśmy nie mieli żadnych spraw do omówienia.
- Poczuł się jak nastolatek i już żałował szczerości, szykując się na jakąś żartobliwą reprimendę z jej strony. Ale Janice powiedziała:
- No cóż, ja też czekam na to z niecierpliwością.
- Zakończyli rozmowę banalami i Nash odłożył słuchawkę. Przez chwilę czuł się winny, jakby zdradzał Kim. Przygody trwające jedną noc były wynikiem rozpacz i zagubienia. Ale teraz planował na zimno, z rozmysłem. Zastanawiał się, jak wyglądałaby Janice, gdyby się kochali, jak patrzyłaby na niego.

Znów posłyszał brzęk łańcuchów Soiki, którego wprowadzano na salę rozpraw. Kiedy wstał, zapinając togę, wszedł uśmiechnięty Frank Wisot. Palił papierosa.

- Muszę wracać na salę - powiedział Nash. - Mam oskarżonego pod nadzorem, Frank.

Wisot, tylko w koszuli, podrapał się w głowę.

- A u mnie pełno adwokatów i krzykaczy. Potrzebuję trochę spokoju.

- Zostań tu, jeśli chcesz - uśmiechnął się Nash.

118

119

- Właśnie zamówiłem sobie nową togę. - Wisot zerknął na fotografię ojca Nasha.

- Stara wygląda rzeczywiście nie najlepiej. - Nash wziął notatnik i wykaz dowodów rzeczowych i świadków, którzy już pojawili się w sprawie Soiki.

- Za nową togę trzeba dać ze czterysta dolców - westchnął Wisot, niechętny odejściu Nasha. - Zapłaciłem pięćdziesiąt, kiedy kupowałem sobie pierwszą, a wtedy nie można było mieć takiej z zamkiem błyskawicznym czy na rzepy. Tylko jeden rozmiar. Zawsze się w niej pociłem.

Nash pokiwał z uśmiechem głową.

- Wszystko idzie w górę.

Posłyszał Sheę, który wzywał sąd na rozprawę. Dobiegające szuranie i szelesty były znajome i uspokajające. Wisot poklepał go po ramieniu.

- Nic mi nie zostało na koncie. Przekroczyłem limit wydatków.

-Zmarszczył brwi i zgasił papierosa. - Co byś powiedział na małą pożyczkę, póki nie dostanę tych cholernych czeków w piątek?

- Ile potrzebujesz?

- Kilka setek.

Nash przetrząsnął portfel.

- Może sto, Frank. Nie mam zbyt dużo gotówki w tej chwili.

- Wezmę stówę. Pomęcę naszego nowego chłopca, Peatlinga. Nie odmówi starszemu koledze.

- A co z tym stołem, który kupiłeś na aukcji Harolda? - Nash myślał, że Wisot żartuje, co było dla niego czymś zwykłym.

- Czek był całkowicie bez pokrycia. Za jakiś czas uzupełnię forszę na koncie.

- Jezu, Harold się wścieknie.

- Co on może zrobić? Donieść na starego przyjaciela? Najstarszego sędziego w okręgu?

- Nie zdawałem sobie sprawy, że prowadzisz tak ryzykowne życie.

- Każdy ma jakieś sekrety, Tim. - Wisot mrugnął. - Dzięki za pożyczkę.

Podniecenie, z którym Nash oczekiwał spotkania z Janice, zgasło, gdy rozmawiał z Wisotem. Po raz pierwszy dotarło do niego z całą brutalnością, że być może będzie musiał zranić kogoś, kogo lubił.

Niekoniecznie akurat Wisota, ale pozostawali jeszcze inni: Frenkel, Croncota, Kalbacher i stary Fred Mivazumi. Nash uświadomił sobie, że operacja Stracone Zaufanie przyniesie mu ból.

Tak mu się wydawało, gdy poprzedniej nocy Roemer przekonywał go do swego pomysłu. Teraz już wiedział.

Rozdział osiemnasty.

Następnego dnia Nash skończył rozprawę wcześniej, mówiąc przysięgłym, że ma spotkanie. Przebrał się szybko i opuścił gmach sądu dręczony dziwną mieszanką emocji: strachu, niepokoju i przyjemnego oczekiwania. W ciągu minionych kilku miesięcy jego życie zmieniło się radykalnie, i czuł, że znów się zmieni.

Nie pojechał bezpośrednio do Cypress Hotel. Zatrzymał się przy sklepie z zabawkami w centrum. Na dworze wciąż było gorąco, a Nash, chcąc wyglądać na spotkaniu oficjalnie, włożył ciemny trzyczęściowy garnitur i koszulę o barwie kości słoniowej, zbyt dokładnie wykrochmaloną. Sztywny kołnierzyk wciąż ocierał mu szyję. Wysiadł z samochodu i natychmiast się spocił. Miał wrażenie, że ciepło emanujące z nagrzanym murów chłonał jego ciemny garnitur. Nagle wszystkie odczucia zdominowała irytacja.

Szybko przemierzał sklep z zabawkami. Nie sposób było się tu martwić czy smucić. Dzieci, jak zahipnotyzowane, ciągnęły matki wzdłuż jasnych półek wypełnionych lalkami, modelami, wielkimi pluszowymi zwierzakami, a także platform z kolejkami elektrycznymi różnej wielkości. Po raz pierwszy od wielu miesięcy Nash nie poczuł ukłucia bólu, widząc kobietę z małym chłopcem.

Szybko wybrał model odrzutowca, przedstawionego na pudle z wielką wstęgą spalin. Był niezadowolony, gdy się dowiedział, że prezent dotrze do Los Angeles dopiero za dziesięć dni, ale dawało mu to kolejny powód, by zadzwonić do Bena i powiedzieć, że czeka go niespodzianka.

Wyszedł ze sklepu z zabawkami, zamyślony, znieruchomiał na chwilę pośrodku szaleństwa godziny szczytu. Dlaczego kupił ten model synowi?

Czy miało to uciszyć jego sumienie?

Cypress Hotel dzieliło od sklepu z zabawkami dziesięć minut jazdy w powolnym, gęstym ruchu. Santa Maria w tej części miała na sobie patynę minionych lat. Nash mijał zbudowane z cegły remizy strażackie z przełomu

121

wieków, otoczone gęstym szpalerem wiązów i dębów, dziewiętnastowieczne domy o wysokich dachach, ozdobione drewnianymi kratami, po których pięły się bluszcze i powoje, łukami i kolistymi daszkami nad przestronnymi gankami. Resztki dawnej świetności.

Niegdyś tę okolicę zamieszkiwali zamożni obywatele miasta, może nie najbogatsi, ale rodziny, które posiadały sklepy i fabryki, młyny mączne i ryżowe. Teraz powoli wkładał się tu smutek zapomnienia - deski w wybitych oknach, popękane chodniki, zapadnięte drewniane schody domów.

Cypress Hotel znajdował się w lepszej części miasta i liczył mniej więcej tyle lat co gmach sądu. W czasach swej młodości uchodził za drapacz chmur, rzucając cień na sklepy stłoczone wokół jego szklanej i granitowej fasady, mosiężnych drzwi i brązowych daszków. Nash zaparkował samochód w hotelowym garażu, a następnie podążył do holu za grupą roześmianych mężczyzn we frakach i kobiet w długich szeleszczących sukniach.

W tym hotelu odbył się bal na zakończenie szkoły średniej. Nash poszedł z Francine Mayhew, która była wodzirejem, i był to bardzo udany wieczór. Hol w Cypress, w przeciwieństwie do Hiltona, miał niski sufit, ciemną boazerię, ciężkie niebiesko-czerwone dywany i zainstalowane na stałe sofy

i krzesła, poustawiane między wielkimi wazami świeżych kwiatów. Znów ogarnęły go wspomnienia i ta nieokreślona mieszanka uczuć. Nash wszedł do męskiej toalety obok holu, jak zrobił to w tamten wieczór, by uczesać się dla Francine, sprawdzić pas smokingowy i upewnić się jeszcze raz, że schował do portfela kilka prezerwatyw razem z pięćdziesięcioma dolarami, które pozwoliłyby mu przeżyć wieczór. Teraz przyczesał włosy i uświadomił sobie, że jest gotowy na wszystko, co może się wydarzyć. Janice Dillon siedziała na jednym z krzeseł. W rękę trzymała starannie złożoną gazetę.

- Jestem zaskoczony, że wybrała pani hotel stary i niezbyt znany  
-powiedział Nash, siadając obok.

- No cóż, jest luksusowy.

- Dlaczego to takie ważne?

Janice uśmiechnęła się. Lubił jej uśmiech, szczery i otwarty.

- Wygląda na hotel, który się wybiera do załatwiania interesów.

- Co ma oznaczać, że albo jestem snobem, albo mam dobry gust?

- Och, dobry gust z pewnością. - Położyła gazetę na inkrustowanym, marmurowym stoliku. - Poza tym Neil chciał, by agenci FBI mieli wygodne miejsce do spania.

- Zatrzymają się tutaj? Skinęła głową i wstała.

- Wyznam pani, że z tym miejscem wiążą się moje wspomnienia.

- Dobrze?

- Przeważnie. Może drinka? - Wskazał na bar po lewej. Zerknęła na zegarek.

122

- Mamy około piętnastu minut. Wpierw chciałam z panem porozmawiać.

Neil też się do nas przyłączy.

Przeszli do sali edwardiańskiej, zwanej salą świętego Jerzego, oświetlonej przez imitację lamp gazowych. Za kontuarem na wysoki połysk stał mężczyzna z sumiastym wąsem. Nash zamówił dla nich drinki. Usiedli przy stoliku w prawie pustym barze. Podobało mu się to, że po prostu z nią tu siedzi.

- Jakie są pani związki z Roemerem? - spytał Nash, kiedy przyniesiono im drinki.

- Cóż, pracuję z nim. W Waszyngtonie, w Miami, tam, gdzie trzeba.

- Zawsze pani za nim podąża?

- Przeważnie - powiedziała i napiła się drinka. - W Santa Maria musi być mnóstwo miejsc, które są dla pana pełne wspomnień.

Nash zauważył, że unika odpowiedzi na jego pytania jak wytrawny prawnik.

- Odnoszę wrażenie, że w pani przypadku takich miejsc jest niewiele. Przytaknęła.

- Mój ojciec pracował dla Coca-Coli. Wciąż się przeprowadzaliśmy.

Montgomery, Dallas, Houston, aż do Nowego Jorku. Nie miałam czasu zapuścić korzeni.

- Mieszkanie przez całe życie w jednym miejscu ma swoje minusy.

- Chodzi panu o to, że nie widzi się innych miast, tego, jak żyją inni ludzie?

Nash pokręcił głową i odstawił swojego drinka.

- Nie, prawdziwa zmora to to, że wszyscy cię znają. I ty znasz wszystkich.

- To nie jest takie małe miasto.

- Owszem, ale odkąd pamiętam, widzę wokół siebie te same twarze, te



same oczy, które wciąż mnie obserwują. Czuję się na cenzurowanym. Janice uśmiechnęła się.

- Ja czuję coś całkiem przeciwnego. Tyle wędrowaliśmy, że wszędzie jestem tylko przybyszem, któremu nie poświęca się zbyt wiele uwagi.

- No cóż, i tu się spotkaliśmy. - Podniósł swoją szklanę, po czym stuknęli się. - Roemer wrócił z Waszyngtonu?

Przytaknęła i znów spojrzała na zegarek. Nash odnosił wrażenie, że rzadko robiła cokolwiek bez przemyślenia całej sprawy, a potem bez dokładnej realizacji planu.

- Pracujemy bez przerwy od dwudziestu czterech godzin. - Janice dokończyła drinka. - Za parę minut spotkamy się z Vismarą. To nie jest taki całkiem zwyczajny informator.

- A jaki?

- Sam pan zobaczy. Jest rozgorączkowany. Bardzo chce dla nas pracować.

- To nic nowego. Prowadziłem mnóstwo spraw z informatorami, którzy chcieli się wykazać. Na ogół byli podekscytowani.

123

- On jest inny. To prawie ochotnik.

- Nie płaci za jakieś przestępstwo?

- Tak. Zgadza się. Ale sądzę, że i tak by dla nas pracował.

- Przynajmniej będzie pełen entuzjazmu. Wstała.

- W tym problem. Będzie musiał mieć pan na niego oko. Vismara może przesadzić z tym entuzjazmem.

- Rozbije całą operację. Mówi pani o takiej swoistej pułapce, prawda? Vismara może przekroczyć linię?

Podeszli do wind.

- Musisz go obserwować, Tim. Upewnij się, że pozostaje po naszej stronie linii.

Gdy znaleźli się na dwudziestym piętrze, w apartamencie 537, Nash został przedstawiony kilku ludziom. Roemer dokonywał prezentacji z serdeczną wylewnością, jakby wszyscy byli przyjaciółmi, a nie ludźmi, którzy dla niego pracowali.

- Panie sędzio, to jest Lany Jacobs i Ed Sanchez. Będą towarzyszyć panu przez większość czasu.

Nash wymienił uścisk dłoni z obydwoma mężczyznami. Jacobs i Sanchez byli po trzydziestce, pierwszy bardzo wysoki, drugi krępy.

- Obydwaj jesteście z FBI? - spytał. Jacobs skinął głową i mrugnął.

- To robota na całe życie, panie sędzio. Lubimy to.

- On to lubi. Ja to kocham - stwierdził Sanchez.

- Będziemy się ciągnąć za panem - wyjaśnił Jacobs - dla pewności, że wszystko jest O.K. Jesteśmy pańskim cieniem. Podwójnym.

- Wspaniałe chłopaki. Wykonaliśmy razem mnóstwo dobrej roboty

- powiedział Roemer. Podszedł do trzeciego mężczyzny. - Tom Testa to nasz technik. - Poklepał niskiego, ponurego młodzieńca.

- Obsługuję sprzęt - wyjaśnił Testa.

- Będzie dbał o to, by wszystko, co zostanie powiedziane w tym apartamencie albo tam, gdzie pan będzie, zostało nagrane.

- Będę również nagrywał na wideo.

- Miło mi pana poznać - skłonił się Nash.

- Mogę nagrywać wszystko z marszu, ale lubię pracować w ustalonych z góry miejscach. Otrzymuje się lepszy dźwięk i ostrzejszy obraz.

- Nie widzę żadnych kamer. - Nash rozejrzał się wkoło. Prezentacja

zakończona, a gdzie tajemniczy Vismara?

- Nikt ich nie zobaczy. - Roemer uśmiechnął się. Dwaj agenci FBI też się uśmiechnęli.

Janice gdzieś zniknęła. Cicho i niespostrzeżenie.

- Do czego ma służyć ten apartament? - spytał Nash.

- To pańskie lokum. Wszyscy powinni wiedzieć, że teraz pan tu mieszka. Tu właśnie będzie pan odbywał swoje spotkania. Potrzebowaliśmy więcej miejsca na sprzęt, niż jest w pańskim mieszkaniu.

- Było o wiele za małe. O wiele, wiele - stwierdził Testa.

- Sprawdziliście moje mieszkanie? Kiedy?!

- Tylko na planie - powiedział Roemer. - Tom wie, ile mu potrzeba miejsca. Poza tym, musi mieć pan gdzie się przespać. Odseparować od operacji.

- To dobra myśl - przyznał Nash, kolejny raz podziwiając sumienność Roemera. - Nie lubię mieszkać w zbytnim luksusie. - Znów rozejrzył się po apartamencie.

Roemer zmarszczył brwi.

- Nie jest zbyt skromny? Nieodpowiedni?

- Nie. W sam raz. Mógłbym pozwolić sobie na coś takiego. Roemer się odprężył.

- Dobrze. Zanim dokonaliśmy wyboru, odbyliśmy kilka dyskusji na temat miejsc, w których mógłby pan mieszkać, o tym, w jakich warunkach przekazywałby pan łapówki, o atmosferze.

Nash chodził po wielkim pokoju.

- Jaka jest właściwie rola Janice w tej całej operacji? - spytał.

- Zbiera raporty, wszystko, z czym przyjdą Lany i Ed. Dokonuje wstępnej

oceny, jak zachowa się potencjalny podejrzany. Jest moimi uszami i oczami - wyjaśnił Roemer.

- Obserwuje mnie?
- Ona pilnuje wszystkiego, panie sędzio.

Nash uznał za rozsądne, że Janice uprzedzała Roemera o wszystkich wypadkach.

- No dobrze, a gdzie ona jest? Gdzie jest informator? Roemer zawołał ją po imieniu.
- Ed i ja będziemy na dole, wypijemy parę drinków - zgrabnie wycofał się Jacobs.
- On żartuje - rzucił od drzwi Sanchez.

Wyszli, a za nimi mruczący Testa. W drzwiach sypialni ukazała się Janice i niski mężczyzna o oliwkowej skórze, ubrany z krzykliwą elegancją. W kieszonce zbyt ciemnej i zbyt błyszczącej marynarki tkwiła zielona chusteczka.

- Uważałem, że będzie lepiej bez agentów, tylko my - szepnął Roemer do Nasha.
- Panie sędzio - odezwała się Janice - to jest Louis Vismara.
- Junior. - Vismara podniósł do góry mały palec. Miał oczy jak guziczki i błyszczące włosy. Podszedł do Nasha i wyciągnął dłoń, która wydawała się zbyt duża. - Jestem zaszczycony, mogąc pana poznać - powiedział. Kiedy Nash uścisnął mu dłoń, zauważył, że jest spocona.
- Jak się pan ma, panie Vismara?
- O.K., dziękuję panu, panie sędzio. Mam się dziś znakomicie. -

Uśmiechnął się nerwowo, z determinacją, trochę bezsensownie. - Nigdy nie spotkałem sędziego, chyba że w sądzie.

- Chodźcie tutaj - przerwał Roemer. - Chcę, żebyście obejrzelі sobie pokój kontrolny. - Skierował ich ruchem ręki do sypialni.

Nash i Janice szli obok siebie, Vismara za nimi. Nash odniósł niepokojące wrażenie, że ten mały człowiek zachowuje kontrolowany dystans.

Wydawał się przesadnie zaniepokojony. Nash, przekraczając próg sypialni, pomyślał, że Louis nie odegra wiarygodnie przestępcy, który mógłby wykupić się łapówką.

- Mamy tu sprzęt umożliwiający całkowitą inwigilację tego, co będzie się działo w apartamencie - Roemer zatoczył dłonią krąg.

Łóżka zostały zsunięte pod ścianę. Resztę pokoju zajmowały magnetowidy i monitory, z których cztery pokazywały wejście główne, krótki przedpokój, salon, dwa stoły i w końcu cały apartament z niskiej perspektywy, jakby kamerę umieszczono w mysiej dziurze.

Vismara wpatrywał się w migoczące, kolorowe ekrany telewizorów, w cyfry, które widniały w ich rogach, bezlitośnie odmierzając czas w sekundach i pokazując datę.

- Oglądałem już to wcześniej. Widać każdego, słyszeć wszystko. Miałem wrażenie, że to mój talk show. - Wyszczrzył się do Nasha, ukazując nierówne uzębienie z licznymi brakami. - Jak jakiś sławny człowiek, na tyłu ekranach.

Roemer uśmiechnął się, a Janice uważnie obserwowała Nasha. Wydawało się, że z dumą pokazują kolejkę elektryczną, ustawioną w piwnicy, a nie sprzęt mający służyć do polowania na ludzi.

- Proszę. - Roemer wręczył Nashowi parę słuchawek.

Nash nałożył je i posłyszał cichy szum wentylatora w sąsiednim pokoju, odbijający się słabym echem. Małe kółka na dużym magnetofonie szpulowym obracały się w prawo, nawijając taśmę, która wychwytywała każdy dźwięk.

- Jakość znacznie przewyższa to, z czym kiedyś pracowałem. - Nash zdjął słuchawki. - Nie ma zniekształceń. Jestem pewien, że wychwycicie wszystko.

- W apartamencie zainstalowano cztery kamery i pięć mikrofonów o dużym zasięgu. Testa zarejestruje każdy odgłos. Przysięgli będą mogli zobaczyć i usłyszeć to lepiej niż ty, Tim.

Janice przytaknęła.

- Nikt i nigdy nie wykręcił się w sądzie w obliczu takich dowodów.

- DeLoreanowi się udało - przypomniał jej Nash.

- To co innego - powiedział Roemer, zabierając ich z powrotem do salonu.

- DeLorean trafił na bardzo dobrego adwokata, bardzo głupich przysięgłych i bardzo leniwego prokuratora. Wiem, że w tej sprawie prokurator nie będzie leniwy. - Znów się uśmiechnął.

Nash zauważył, że nie było żadnej propozycji jedzenia czy picia. Zaczęła się akcja. Był zadowolony, widząc, ile włożono w nią wysiłku.

Vismara tylko potakiwał i rozglądał się po pokoju, wciąż poprawiając klapy marynarki lub chusteczkę, zatroskany o swój elegancki wygląd.

126

- Co panu obiecano, panie Vismara? - spytał Nash.

- Mogę opowiedzieć panu o naszym układzie - wtrącił się Roemer.

- Chciałbym, żeby on to zrobił - stwierdził bez ogródek Nash. Vismara odchrząknął i uśmiechnął się nerwowo.

- Raz siedziałem w więzieniu.
- Gdzie?
- W Soledad. Nie podobało mi się tam. Nie chcę tam wracać.
- Co to za układ? - znów spytał Nash.

Roemer i Janice siedzieli przy stole, obserwując i oceniając. Sprawdzają nas obydwo, pomyślał Nash. Mnie i informatora.

- Czy ma pan coś przeciwko temu, żeby mówić do mnie Louis? Jakby mnie pan znał? - zaproponował z wahaniem Vismara.
- O.K. Mów mi Tim.

Najwyraźniej sprawiło to Vismarze przyjemność. Na jego twarzy pojawił się szczery, bezmyślny uśmiech.

- Dziękuję. Tak właśnie będę cię nazywał.
- Powiedz mu, co ustaliliśmy - ponaglił Roemer. Opierał głowę o dłoń i co pewien czas zerkał na Janice.
- Jak mnie oskarżyli w Almeda, to powiedzieli, że to przez heroinę.
- Sprzedaż? Vismara przytaknął.
- Tak. Powiedzieli: „Sprzedaje towar, handluje heroiną”. Więc ci goście -tu wskazał na Roemera - dali mi federalny wyrok za handel, rozumiesz.
- To kawał czasu, Louis. I wszystko ci darują, jeśli pomożesz w tej sprawie? - spytał Nash. Stał blisko Vismary, obserwując go. Było to dziwne uczucie, uświadomić sobie, że życie ludzi, z którymi pracował i których znał od lat, zależy od tego skorumpowanego człowieczka. Moje życie też jest teraz związane z informatorem, pomyślał.
- Chcę pomóc. To znaczy, tamto też jest ważne - Vismara znów wyszczerzył krzywe zęby - ale chcę to zrobić.
- Dlaczego?

- To jak druga szansa - wyjaśnił poważnie Vismara. - Może następnym razem pójdzie lepiej, muszę spróbować. Może uda mi się wszystko wyprostować.

Nash przyglądał mu się sceptycznie. Słyszał już przedtem słowa skruchy. I jako prokurator, i każdego dnia jako sędziego. Poprawię się, panie sędzio, jeśli da mi pan szansę. Zaczę pracować i zapłacę ofiarom. Pomogę im zapłacić rachunki ze szpitala. Będę wspomagał swoje dzieci. Wyraz jego twarzy musiał zdradzać to, co czuł.

Vismara przygasał.

- Nie wierzysz mi. ,

- Nie ma żadnego innego układu? Uwalniasz się od wszystkich stanowych i federalnych oskarżeń w zamian za udział w tej prowokacji?

- Klnę się na Boga, że tak jest. - Vismara podniósł dłoń. Kręcił głową z powodu zbyt ściśle zawiązanego, połyskliwego czarnego krawata.

127

- Co jeszcze ma na sumieniu? - Nash zwrócił się do Roemera.

- Lista jest długa. Wystarczy. Zrobi wszystko, byle nie wrócić z powrotem do więzienia.

- Czy masz coś przeciwko temu, żebym zerknął w twoją kartotekę, Louis?

- Żaden problem, jeśli o mnie chodzi. Nie jestem z tego dumny.

- Prześlę ci kopię, Tim. - Roemer sporządził notatkę, ale wyglądał na poirytowanego.

- Będziesz trzymał się twardo przez cały czas? - Nash nadal indagował Vismarę. - Zeznawał przed wielką ławą przysięgłych, potem na rozprawie? Bez względu na to, jak ciężko będzie?

Vismara uśmiechnął się, kiwając głową. Odpowiedzi kierował również do



Roemera i Janice.

- Klnę się na Boga. To moja druga szansa. To dla mnie wielki honor, robić to z takim gościem, z takim sędzią jak ty.

- Nie musisz mnie czarować - powiedział Nash.

- Mam nadzieję, że jak już będzie po wszystkim, to będziesz miał do mnie trochę szacunku, takiego szacunku, jaki ja mam dla ciebie - powiedział

Vismara, wskazując na Nasha, potem na siebie. Usiadł i wyciągnął chusteczkę, ocierając policzki. - Łatwo się pocę. Jak moja matka.

Nash korzystał już przedtem z usług informatorów i zawierał układy.

Siedział w sądzie, słuchając o najgorszych uczynkach, do jakich byli zdolni ludzie. Strumień przemocy i okrucieństwa płynął i płynął bez końca. Żaden wyrok nie okazał się na tyle przerażający, by go powstrzymać.

Nie wiem, myślał, czy wciąż jestem zdolny wysłuchać głosu skruchy. Miał nadzieję, że mimo wszystko nie potrafi zignorować dłoni wyciągającej się z odmetów po pomoc.

- Będę zmieniał agentów - powiedział Roemer, wstając, by włączyć klimatyzację. - Ale Jacobs i Sanchez będą przez cały czas. Będą twoimi aniołami stróżami.

- Ludzie, z którymi mam rozmawiać, nie są niebezpieczni - odparł Nash.

- Ludzie robią zabawne rzeczy, kiedy mają wiele do stracenia. Vismara przytaknął.

- Nawet mały facet, bez mięśni, bez niczego, nosi broń albo nóż.

Możesz oberwać.

- Wątpię.

- Neil, idziemy z Timem na zbiórkę funduszy - przypomniała Janice,

zerkając na Nasha.

Roemer trzymał ręce w kieszeniach.

- Przepraszam, zapomniałem. W porządku. Jesteś gotowy do próby generalnej, Tim?

- Pewnie. Co mam mówić?

- Wszystko przećwiczymy na gorąco. Louis, usiądź tam, na sofie. Tim, ty siadaj przy stole. Sędziego posadzimy przed kamerą, naprzeciwko ciebie. -

Roemer zajął swoje miejsce. - Będę dziś wieczór skorumpowanym sędzią dobrze?

Nash spojrział na Janice, która stanęła za Vismarą. Podniecało go jej zimne, uważne spojrzenie. Czekał z niecierpliwością na wspólny wieczór, nawet jeśli miało to zranić Roemera.

- Będę sobą - powiedział.

- Bądź sobą. - Roemer mrugnął do Janice. Skrzyżowała ramiona na piersiach. Vismara położył dłonie na kolanach i poruszył się nieznacznie na sofie. Uśmiechał się i zerkał na boki, starając się dostrzec ukryte kamery i mikrofony.

- Strzelaj - powiedział Nash.

- A więc, Tim, mój stary towarzysz, mój dobry kumplu, cóż to za wspaniałą ofertę masz dla najlepszego w świecie przyjaciela? - Roemer uśmiechnął się, lecz jego głos był zimny jak stal.

128

Rozdział dziewiętnasty.

Jakałem się - stwierdził z niedowierzaniem Nash. - Jak dzieciak. Janice opierała głowę o fotel samochodu.

- Powtórzmy to. Będziesz doskonale swobodny, gdy dojdzie do prawdziwego działania.

Nash potrząsnął głową, obserwując drogę.

- Nie byłem taki zdenerwowany od czasu szkoły podstawowej. Czułem się jak kompletny głupiec. I tak wyglądałem.

- Kiedyś zeznawałam podczas rozprawy o fałszerstwo. Miałam już za sobą karierę prokuratora. Obrona twierdziła, że poszłam na jakiś tajny układ z naszym głównym świadkiem. - Janice wyprostowała się. - Myślałam, że zemdleję. Byłam przesłuchiwana krzyżowo przez tego samego dupka, którego rozwalalam kiedyś w drobny mak podczas innych procesów. Ale teraz to on mnie przesłuchiwał i było to coś zupełnie innego.

- Jak się skończyło?

- Jakoś przebrnęłam. Miałam wykazy rozmów telefonicznych dowodzące, że nie mogłam rozmawiać z naszym świadkiem w czasie, o którym mówiła obrona.

- Obydwoje spisujemy się lepiej, gdy zadajemy pytania, niż gdy na nie odpowiadamy - powiedział Nash z uśmiechem.

- Jest wtedy zazwyczaj o wiele mniej do stracenia - stwierdziła. Wybrał trasę między stanową, która biegła na północ od hotelu, wzdłuż ciągnących się milami osiedli. Słońce zniżało się, ale powietrze nadal dyszało żarem. Drzewa i trawa, nawet krawędź horyzontu wyglądały jak zabarwione na żółto. Nash jechał z włączoną na maksimum klimatyzacją. Nie był zadowolony z tej próby w hotelu. Nie potrafił się rozluźnić. Poza

tym nie podobało mu się to, że Janice widziała jego niezgrabność i złe przygotowanie. W porównaniu z nim Vismara, który wyglądał wcześniej na

zdenerwowanego, grał jak stary wyga. Arogancki, cwany, całkowicie przekonujący.

- Vismara kłamie jak z nut. Nieraz przysłuchuję się w sądzie strażnikom więziennym i zawsze sprawiają wrażenie kłamców, za to przestępcy na ogół robią wrażenie prawdziwych.

- Kłamstwo to nie jest zajęcie dla strażników - odpowiedziała Janice.

-Większość z nich wciąż ma sumienie.

- Uważam, że popełniacie błąd, płacąc Vismarze.

- A ty nigdy nie płaciłeś informatorowi?

Nash zerknął na wysuszoną okolicę. Drzewa eukaliptusowe, bladozielone i stare, pochylały się nad murami z cegieł, strzegącymi nowych domów.

Wokół niego, na trasie, tłoczyły się załadowane po brzegi ciężarówki i samochody osobowe.

- Nie tyle.

- Koszty utrzymania. Możesz go spytać. Po prostu dbamy o jego potrzeby i płacimy za mieszkanie.

Pomyślał, że przed spotkaniem z Roemerem i Vismarą była o wiele bardziej przyjacielska. Nie chciał się zastanawiać nad tym, co ją łączyło z Roemerem w przeszłości.

- Ale to wciąż wygląda tak, jakbyście płacili mu za zeznania.

- Tobie nikt nie płaci. A przecież będziemy mieć taśmy.

Nash nie podjął tego wątku, ale potencjalne szkody i w jego przypadku były duże.

- Jeśli jest uczciwy, to po co mu w ogóle płacić? Janice spojrzała na niego zdumiona.

- Musiał mieć nowy adres, nowy samochód, nowy kredyt. Będziemy go pilnować. Roemer ma wprawę w utrzymywaniu informatorów w ryzach. A Vismara musi gdzieś mieszkać podczas trwania operacji.

- Zawsze miałem kłopoty, gdy tylko informator dostawał pieniądze od prokuratora albo policji.

- A czy kiedykolwiek straciłeś informatora tylko dlatego, że nie mógł zapłacić rachunków albo nie czuł się bezpiecznie, bo przepadało wszystko, co zdobył, zanim przyszedł do ciebie?

Nash skinął głową.

- Kilku. Kilku też zmieniło zdanie w czasie rozprawy, już po tym, jak im zapłacono i zawarto z nimi umowę.

- Przeprowadziliśmy analizę kosztów i strat - powiedziała Janice, otwierając torebkę i sprawdzając uczesanie w małym lusterku. -

Wyszliśmy na swoje. Mamy całkiem niezły wynik.

- Ty i Roemer? Uśmiechnęła się do niego.

- My. Rząd.

Nash zjechał z szosy przy Palisadę Avenue, biegnącej stromo ulicy, pełnej świateł i długich sznurów aut i ciężarówek. Niepowstrzymany rozwój

Santa

130

131

Maria był najbardziej widoczny właśnie tutaj, jak promień światła skupiony w soczewce. Wszędzie wokół widać było fastfoody\*, stacje benzynowe, motele, małe sklepy oferujące wyłącznie papierosy, alkohol i

słodycze.

\* Fastfood (ang.) - szybkie jedzenie (przyp. red.).

Nic nie tkwiło w miejscu. Ludzie żyją teraz w ciągłym wirze zmiennych interesów, pomyślał Nash z niechęcią. Solidność i stabilność stały się tylko wspomnieniem z dzieciństwa.

Jakieś cztery mile dalej Palisadę Avenue skręcała w lewo łagodnym łukiem, a dalej ciągnęła się Tyler Way, która przechodziła w rozległy, płaski teren, z długimi parkingami i starannie utrzymanymi centrami handlowymi, gdzie wznosiły się szklane budynki, które płonęły w zamierającym blasku słońca.

- Widzisz coś ciekawego? - spytał Nash Janice, gdy już przez dobrą chwilę wpatrywała się w krajobraz za szybą samochodu.

- Wygląda na miłe miasto.

Przed nimi wznosiły się trybuny Toru Wyścigowego w Santa Maria.

Pomarańczowe płytki zadaszenia świeciły żarem, a białe, nie zajęte przez widzów krzesła, tysiące w rzędach, wyglądały upiornie. Nash skręcił w stronę parkingu.

- Latem organizowano tu wyścigi zdezelowanych wozów - powiedział, wskazując na długą, eliptyczną wstęgę toru.

- Przychodziłeś tu?

- Uwielbiałem. Może to głupie, ale lubiłem patrzeć na te stare gruchoty, pędzące w kółko i wpadające na siebie.

- Nie organizują już tych wyścigów?

- Ludzie mieszkający w pobliżu narzekali. Powinnaś widzieć tę chmurę pyłu. Wzbijała się w górę i zakrywała wszystko. Przychodziłem do domu cały zakurzony, ale było wspaniale.

Mężczyzna w białej koszuli z krótkimi rękawami, białych spodniach i ciemnych okularach skinął na nich ręką, wskazując miejsce na parkingu. Nash podjechał tam i zauważył, że kierujących ruchem jest kilku.

- Nie wyglądasz na naiwnego, Tim - powiedziała nagle Janice, jakby nurtowało ją to od dawna.

Zaparkował między cadillakiem a mercedesem.

- Byłem prokuratorem okręgowym przez dziesięć lat. Przez pięć sędzią. Myślę, że widziałem już wszystko. - Jej słowa go zastanowiły, podobnie jak jej szczerość.

- Ale jesteś naiwny. Czy pomyślałeś o tym, co się stanie, gdy zostaniesz świadkiem władz?

Trzymał dłoń na klamce drzwi. Przy wyłączonym silniku w samochodzie szybko rosła temperatura. Ubrany na biało mężczyzna wciąż machał, kierując nadjeżdżającymi samochodami. Atchley będzie miał niezłą frekwencję, pomyślał Nash.

- Będę po prostu świadkiem. To wszystko. Wsiądźmy z samochodu.

-Zaczął otwierać drzwi. Janice nie poruszyła się. Patrzyła na niego z tym samym ukrytym błaganiem, jakie kilka dni wcześniej widział u Terhune'a.

- Kiedy będzie już po wszystkim, Neil i ja zajmiemy się czymś innym. Ty zostaniesz tutaj. To twoje miasto.

- Dlatego zgodziłem się to zrobić.

- Czy naprawdę uważasz, że ktoś ci będzie jeszcze ufał? Nawet twoi przyjaciele? Czy sądzisz, że nadal będziesz mógł pracować jako sędzia?

- A dlaczego nie? Funkcja sędziego to zupełnie co innego. Roemer zgadza się z tym. Wciąż prowadzę sprawę.

Janice odetchnęła głęboko. Unoszący się nad asfaltem połyskujący żar

sprawiał, że miejsca na trybunach toru falowały i wyginały się, jak we śnie.

- Chcę, żebyś pomyślał o tym, co się z tobą stanie. Możesz się jeszcze zatrzymać. Nie muszę spotkać się z tymi sędziami, którzy tu przyjdą. Nie musimy posuwać się dalej.

- Nie rozumiem. - Czuł gorącą kławkę w dłoni. - Wydawało mi się, że jesteś gotowa zaczynać.

- Bo jestem.

- Skąd w takim razie te pytania?

- Daję ci szansę ponownego przemyślenia sprawy. To już druga szansa.

- Dlaczego? Czy Roemer coś ukrywa? Jeśli tak, to wycofuję się z miejsca- obiecał Nash, otwierając drzwi. Do środka samochodu wtargnęło gorące powietrze.

- Nie. Powiedział, co było do powiedzenia. Chcę się upewnić, że wszystko przemyślałeś.

- Przemyślałem. Wiem, co robię. Dzięki za troskę. - Wysiadł z samochodu.

Ona też wysiadła i zatrzasnęła drzwi.

- Spełniałam tylko obietnicę, którą sama sobie dałam.

- Co to za obietnica?

Ruszyli po nie kończącym się asfalcie ku słabym dźwiękom muzyki, dochodzącym z Turf Club, który znajdował się na drugim, ekskluzywnym poziomie widowni.

- Obiecałam sobie, że dam następnemu świadkowi drugą szansę. Mnie nie dano nawet jednej.

Inni mężczyźni, również ubrani na białą i w ciemnych okularach,



skierowali ich do Turf Club. Nash widział ze szklanej windy cały tor wyścigowy i miejsca dla publiczności. Przy wejściu do klubu natknęli się na czerwony transparent z napisem WYBIERZCIE PONOWNIE SĘDZIEGO HAROLDA ATCHLEYA DO SĄDU OKRĘGOWEGO.

Mniejsze, czerwono-białe znaczki z nazwiskiem Atchleya, niby dzieci transparentu, umieszczono na ścianach klubu, między zdjęciami koni wyścigowych. Na wszystkich znaczkach

132

133

widniał napis ON WYKONUJE ROBOTĘ, powtarzany bez końca i chyba bez sensu.

Nash ujął Janice za ramię i wszedł z nią do klubu. Jej bliskość sprawiała mu przyjemność i wydawała się czymś naturalnym.

- Chodzi ci o tych facetów na zewnątrz, tych w okularach? To policjanci po służbie - powiedział, widząc, że się rozgląda.

- Czy im się płaci? Wzruszył ramionami.

- Niekiedy robią to za darmo. Czasem wystarczy powiedzieć kapitanowi albo szeryfowi, że potrzebuje się paru gliniarzy na uroczystość związaną z wyborami.

Przytaknęła.

- To nielegalne.

- Każdy o tym wie.

- Zapamiętam to sobie.

Opierała się jego próbom wyjaśnienia, co miała na myśli, wypowiadając tę ostatnią, tajemniczą uwagę w samochodzie. Jest dość czasu, stwierdziła, później mu powie. On podjął już decyzję.

- Głodna? - spytał.

- Prawdę mówiąc, tak. Poszukajmy jedzenia.

Przeciskali się przez tłum ludzi, którzy rozmawiali, śmiali się, trzymali plastikowe kubki z czerwonym albo białym winem czy czymś mocniejszym. Barek, obsługiwany przez dwóch pulchnych mężczyzn w białych wykrochmalonych fartuchach, miał niezłe obroty.

Po drugiej stronie klubu, pod największym transparentem, zespół gitarowy, złożony z czterech kobiet i dwóch mężczyzn, rozgrzewał atmosferę. Napis na bębnie informował, że to Los Gorriones Amarillos. Wszyscy mieli na sobie żółte kostiumy. Ciemnowłose kobiety śpiewały bez zapału, a mężczyźni kołysali się lekko i próbowali uśmiechać.

- Czy jesteś zła z jakiegoś powodu? - spytał Nash, gdy stali w kolejce do stołów z jedzeniem.

- Nie - odparła Janice, trzymając w ręku talerz. - Po prostu teraz pracuję. Tak jak i ty.

- Myślałem, że jesteśmy na randce - próbował ją rozbawić.

- To biznes.

Przesuwali się powoli. Obsługujący, także w białych koszulach, nakładali na talerze sterty ryżu i duże kawałki wieprzowiny. Nie mówili po angielsku.

- O.K. - stwierdził Nash. Irytował ją w jakiś sposób, ale i tak był zadowolony, bo miał ją blisko siebie. Perfumy Janice przytłumiły na chwilę zapach mocno przyprawionego jedzenia.

- Naliczyłem piętnastu sędziów sądu miejskiego i okręgowego. Wszyscy popierają Harolda.

- Który to?

- Ten, który zaraz cię uściska.

Odwróciła się nieznacznie i zobaczyła Atchleya, ubranego we wzorzystą koszulę. Nie uściskał Janice. Chwycił Nasha za ramię.

- Podoba ci się? - dopytywał się z szerokim uśmiechem. - Wielki tłum ludzi. Właśnie w takich sytuacjach dowiadujesz się, kto jest twoim przyjacielem. - Spojrzał na Janice.

- To Janice Dillon. Z Biura Prokuratora Generalnego w Sacramento. Uścisnęli sobie dłonie.

- Mam nadzieję, że pańska kampania przebiega jak należy.

- Och, niewątpliwie. Wszyscy przyszli. Wszyscy, którzy nie musieli być akurat gdzie indziej. Wszyscy kupili bilety. - Atchley promieniał.

Podeszło do niego kilka uśmiechniętych par i zagadywało go, gdy tylko się odwracał, by podziwiać ludzi, muzykę czy jedzenie, które wyczarowano na jego rzecz. Szli wzdłuż stołów, nakładając przekąski na talerze. Atchley nalegał, by Janice wzięła więcej.

- Mam układ ze swoim dostawcą. Mogę tak długo zwlekać ze spłatą, jak tylko mi się podoba.

- To ułatwia kampanię.

- O, tak. Rozmawialiśmy o tym z Timem parę dni temu. To grzech, zmuszać sędziów do ubiegania się o urząd, do przechodzenia przez to wszystko.

Janice wskazała gdzieś swoim kubkiem z winem.

- Tam jest wolne miejsce - rzuciła i poprowadziła Nasha.

Miał nadzieję, że Atchley, a także asysta przy jego boku zagubią się po drodze.

Niestety, pociągnęli za nimi, ku przeciwległemu końcowi sali, tam gdzie

było mniej ludzi. Hiszpańskie pienia utrudniały konwersację.

Im bardziej Atchley przysuwał się do niego, chełpiąc się nieruchomością przy North C Street, którą właśnie nabył, sumą pieniędzy jaką zebrał i poparciem związków zawodowych, tym bardziej Nash pragnął utrwalić go na wszystkich taśmach Roemera. Atchley był prymitywny i skorumpowany. Nash nienawidził go za chęć odcinania kuponów z ich kruchej znajomości.

Kiedy Atchleya odwołała na bok żona, Nash dostrzegł szansę. Znów ujął Janice za ramię.

- Nie mogę znieść tego faceta. Można tu znaleźć porządnych ludzi.
- Zamierzam sprawdzić jego oświadczenie majątkowe z ostatniej kampani wyborczej - powiedziała, gdy zmierzali w stronę małej grupki sędziów. - Zobaczyc, ile bierze dla siebie.
- Potrzebuje pieniędzy. Zawsze się zarabia na kampanii.
- Ja nie zarabiam. - Frank Wisot usłyszał, o czym mówią. Stał z Peatlingiem, Kalbacherem i Susanną Jardine. - Nie zarabiał też ojciec Tima. Albo Tim. Gdyby Tim kiedykolwiek zdecydował się ubiegać o jakieś lepsze stanowisko, to zdobyłby fundusze, jakie by tylko zechciał. - Wisot był trochę zalany. - Co byś powiedział na senatora Nasha?
- Pieprzyć to, Frank - stwierdził lekko Nash, a Jardine zachichotała.

134

135

- Jak długo trzeba być na tej stypie? - spytał Peatling.
- Harold zamierza wygłosić mowę. Wyjdź wtedy - doradziła Susanna. - Ja tak zrobię.

Rozmawiali o upale i o tym, czy Janice podoba się praca w Biurze

Prokuratora Generalnego. Nash słuchał i przyglądał się jej. Musiał odwracać uwagę od tego, co mówiła, ilekroć podchodzili do niego znajomi. Poświęcano mu niemal tyle uwagi, co Atchleyowi. „Jak się czuje tata, Tim?” było najczęstszym pytaniem. Prawnicy i ludzie z władz miejskich uważali za swój obowiązek zamienić z nim parę słów. Croncota z córką niemal dorównującą mu wzrostem, Henshaw i Mivazumi ze swoją żoną zatrzymali się obok. Wszyscy pili i kiwali poważnie głowami na wieść, że Mike'owi Sinclairowi wzrosła gorączka i teraz lekarze nie mówili już, kiedy wyjdzie ze szpitala.

Po godzinie Nash rozluźnił się i częściej obejmował Janice. Zauważył, że Susanna i Kalbacher obserwują ich znad swoich kubków.

- Escobar łapie się każdego idiotyzmu. Powiedział dziś przysięgłym, że nie było morderstwa - stwierdził ze złością.

- Nie było morderstwa? - zdziwiła się Janice. - Śledziłam trochę tę rozprawę.

- Tim nie opowiada o niej wieczorami? - Ruth Frenkel przyłączyła się do nich, trzymając dwa kubki i pijąc na zmianę z obu. Zgubiła jeden z kolczyków.

- Nie widzimy się co dzień - odpowiedziała Janice.

- Natomiast twierdzi - ciągnął Nash - że ofiara była kimś tak złym, że trudno się w niej doszukać ludzkich cech. Więc nie było morderstwa.

Muszę pilnować tego gościa przez cały czas, żeby nie wciskał przysięgłym kitu. Benisek nic nie robi.

- Czy kiedykolwiek spotkałaś się z sytuacją, w której schodzi się dwóch prawników i nie zaczyna mówić o swojej pracy? - spytał Wisot Janice.

- Dziś zachowujemy się bardzo grzecznie - wtrąciła Susanna.

- Cholerny Escobar - westchnął Nash. Chciał wyjść, ale Janice najwyraźniej pragnęła zostać. Zbiera materiały na nas wszystkich, pomyślał. Na mnie również. Rozejrzał się po sali, potworzyły się trwałe grupy, a Los Gorriones Amarillos robili wszystko, by zagłuszyć coraz głośniejsze rozmowy i śmiech. Ze ścian spoglądali smutno dżokeje i zwycięzcy biegów, którzy od dawna już byli martwi.
- Posłuchajcie historyjki o Escobarze - powiedział Wisot. - Znam ją od K.O.
- To miejscowy obrońca z urzędu - wyjaśnił Nash Janice.
- Wszyscy znają historyjki o Escobarze, Frank. - Kalbacher rozglądał się za żoną. Nash nigdy nie zastanawiał się zbytnio nad tym, jak bardzo sędziowie i ich żony separują się od siebie na takich uroczystościach. Przypomniawszy sobie, co powiedziała mu matka i pomyślał, że dla Kim musiało to być strasznie nudne albo jeszcze gorsze.
- Wiecie, Escobar dostaje sprawę napaści chłopaka na swoją dziewczynę. Coś strasznego. Dziewczyna wzywa gliniarzy, a oni znajdują taśmę z jej krzykami i wrzaskami chłopaka, którym towarzyszą odgłosy bicia. Nash zauważył, że po drugiej stronie sali Atchley wchodzi powoli na niską scenę.
- Lepiej się pospiesz - doradził. - Harold idzie do mikrofonu. Wisot przygarbił się, jakby okazywał przerażenie.
- To naprawdę dobra sprawa, myślimy wszyscy. Policjanci widzieli obrażenia, a w szpitalu zrobili tej kobiecie obdukcję. Ale Escobar wie, że ona wciąż kocha tego faceta. Więc czeka na dzień z dłuższą przerwą na lunch. Musiałem taką zarządzić. Bolał mnie jeden z tylnych trzonowców, więc musiałem iść do dentysty. - Wisot pokiwał głową.

- Myślałem, że tę historię opowiedział ci K.O. Wisot, zniecierpliwiony, machnął ręką.
- To ja prowadziłem tę sprawę. Później czułem się idiotycznie.
- Chyba już to słyszałem - mruknął Henshaw.
- No dobra, w czasie tej długiej przerwy Escobar pozenił ofiarę z oskarżonym.
- Naprawdę?
- Vince jest jakimś pastorem w Kościele Boskiej Doskonałości - wyjaśnił Nash Janice. - Wysyłasz im pięćdziesiąt dolarów i jesteś pastorem. Myślę, że za sto można zostać biskupem.
- Ale ona wciąż mogła zeznawać przeciwko niemu - powiedziała Janice. - Nie sądzę, by tego rodzaju ślub mógł wykluczyć zeznawanie żony przeciwko mężowi.
- Nie, prawdopodobnie nie. Choć nie wiadomo. - Wisot poklepał się po marynarce w poszukiwaniu papierosów. - To, co w gruncie rzeczy Escobar robił, to pokazanie przysięgłym, jak gówniana jest ta sprawa. Chryste, on im daje do zrozumienia, że ona tak bardzo kocha tego faceta, że nawet po tym, co jej zrobił, wychodzi za niego. Ława po godzinie i dwudziestu minutach obrad orzeka, że facet jest niewinny.
- Akurat tyle trzeba, żeby wybrać przewodniczącego i podpisać orzeczenia wyroków - powiedział Kalbacher. Pokręcił nosem. - Chyba kichnę. -Zrobił to w papierową chusteczkę.
- Zwolnili go, mając takie dowody? - Janice spojrzała na Nasha. Przyzwyczajona do spraw przygotowanych przez agentów FBI, kiedy to dowody były zarówno przygniatające, jak i szczegółowe, dziwiła się, że w sądzie okręgowym obowiązują znacznie luźniejsze standardy.

- Każdy sędzia ma w zanadrzu historyjki o ławie przysięgłych, która wraca z obrad z werdyktem pozbawionym prawnego sensu, ale brzmiącym z pozoru rozsądnie. - Nash wzruszył ramionami.

- To nie zdarza się zbyt często na szczeblu federalnym - stwierdziła Janice.

- Uwaga! - ostrzegła ich Frenkel. - Harold ucisza muzyków.

136

137

Na scenie stał Atchley z żoną u boku. Uśmiechał się i machał do lidera grupy, który podawał ton kolejnej piosenki.

- Wiecie, jak Scotty Shea, mój strażnik, wybiera przewodniczącego ławy?

- spytał ich Nash.

Peatling, nowy sędzia, pokręcił przecząco głową.

- Decyduje, kto byłby najlepszym przewodniczącym, najmądrzejszym albo najbardziej skłonny do orzeczenia winy - wyjaśnił Nash. - Kiedy wysyłam ławę na obrady, Scotty zabiera długopisy i formularze, zanoszą je przysięgłym i daje temu, którego sobie upatrzył, upewniając się, że pozostali widzą, kogo wybrał człowiek noszący broń przy pasie. Ta osoba ma teraz w swym ręku wszelkie formularze i poniekąd działa oficjalnie.

Przysięgli niemal zawsze wybierają tego, którego wytypował Shea.

- Nie słyszałam o tym. Prowadziłam sprawy przez lata i zawsze myślałam, że przewodniczącego wybierają przez głosowanie - przyznała Janice.

- Jakiś rok temu wpędziłam się w kłopoty - stwierdziła Susanna Jardine. - Prowadziłam wtedy jedną z pierwszych spraw. Wysyłam przysięgłych do pokoju obrad i kazałam im wybrać przewodniczącego lub przewodniczącą.

- Uśmiechnęła się nieśmiało.



- Bardzo postępowe. - Wisot znalazł papierosy, zapalił i zaciągnął się z przyjemnością. Nash obserwował wysiłki Atchleya, by uciszyć śpiewaków w pół taktu. Pomyślał, że wybór takich wykonawców jest dość dziwny w przypadku hałaśliwej zbiórki pieniędzy. Ich śpiew był słodki, tęskny i smutny. Atchley zaangażował ich prawdopodobnie za zniżką.

- Wydawało mi się, że nikt mnie dzięki temu nie posądzi o uprzedzenia co do płci - powiedziała Susanna. - Przysięgli wrócili z werdyktem podpisanym przez dwoje ludzi, kobietę i mężczyznę. Musiałam ich odesłać z powrotem do pokoju obrad, żeby wybrali jedną osobę, która podpisze werdykt.

Właśnie wtedy okropny, elektroniczny zgrzyt stłumił tęskne śpiewy, śmiech i rozmowy. Atchley zacisnął powieki, potrząsnął głową, uśmiechnął się i chwycił za mikrofon.

- Dziękuję wam wszystkim za przybycie, moi przyjaciele. Było to wspaniałe, naprawdę wspaniałe wydarzenie dla mnie i mojej żony Lilian. Okazaliście wielką, naprawdę wielką pomoc w mojej kampanii. Chcę pozostać na fotelu sędziowskim wśród moich przyjaciół, kolegów, towarzyszy - wyliczał.

- Moich braci, znajomych, kumpli, bliźnich - dokończyła niezbyt cicho Frenkel. Rozejrzała się wkoło, by się przekonać, kto jeszcze uznał to za zabawne.

Nash obserwował słuchających ludzi nowym okiem, niemal jak drapieżnik. Nie wiedział, o kim Roemer miał informacje, ale sam mógłby coś zasugerować. Tego typu tajne operacje rozchodziły się jak fale, rzadko ograniczając się jedynie do namierzonych osobników. Zgodnie z wolą Janice, zastanawiał się, co się stanie, kiedy już operacja się zakończy. Czy

rzeczywiście mógł oczekiwać, że ktoś jeszcze mu zaufa? Jestem inny niż Vismara czy

informatorzy, myślał. Wszyscy oni za coś płacą. Ja nie. Każdy zrozumie, że próbowałem jedynie naprawić pewne rzeczy w Santa Maria.

Dwie kobiety stojące w pobliżu szeptały do siebie w trakcie przemowy Atchleya.

- Nigdy nie trzymałam retrieverów. Czy są trudne?

- Nie, nie. Są wspaniałe. Zabrałam moje dwa na wystawę.

- Ja wzięłam moje collie na show w San Diego. Nie wiem jeszcze, czy naprawdę chcę zmienić rasę.

Nash zastanawiał się, jak ci ludzie, żyjący poza troskami, skupieni niezmiennie na takich rozrywkach jak przygotowywanie psów na wystawę, przyjmą to, co miał zrobić.

Odczuwał buntowniczą satysfakcję na myśl, że wstrząśnie tym zasklepionym w sobie światkiem.

- Mówi o tobie - szepnęła do niego Janice.

- Kto?

- Twój przyjaciel na podium. - Wskazała ruchem głowy. Nash spojrzał na Atchleya.

- Więc kiedy go poprosiłem, Tim Nash łaskawie zgodził się przyjść, i teraz chcę ci podziękować, Tim. Twoje wsparcie i wszelkie środki będą stanowiły wielką pomoc.

- Nie wspomagam tego sukinsyna - warknął Nash do innych sędziów.

- Tim, czy zechcesz przyjść tutaj? - Atchley pomachał mu, i wszystkie głowy zaczęły obracać się w jego kierunku.

Nash też pomachał i pokręcił głową.

- Nie zechcę - mruknął.
- Rozumiem. Zatrzymują go jakieś obowiązki. Ale dziękuję, jeszcze raz dziękuję. - Atchley, stojący pod ogromnym transparentem, w chwili gdy muzycy zagrali głośno kilka akordów, podniósł do góry dłoń żony w geście zwycięstwa.

Nash i Janice wkrótce wyszli. Inni sędziowie i ich żony kręcili się jeszcze po klubie. Większość policjantów też się ulotniła. Nad uroczystością Atchleya zapanował radosny duch odwrotu.

- To drań - warknął Nash. - Wykorzystuje mnie.
- Widziałam już gorszych. - Janice patrzyła na niego uważnie.
- Masz coś na Atchleya? Czy jest na waszej liście?
- Nic pewnego. Wciąż chętnie zerknęłabym na jego rozliczenia z kampanii.

To stwierdzenie nie usatysfakcjonowało Nasha.

- A co byś powiedziała, gdybym zrobił mu propozycję?

Janice nie wahała się. Zatrzymała się przy stole obok wejścia do klubu, gdzie walały się porzucone plakietki, broszury i rozsypane, pogięte znaczki z napisem ON WYKONUJE ROBOTĘ.

138

139

- Może umówiłbyś się z nim na jutro? Przyrowadź go do hotelu.
- Poczekaj tu chwilę. - Zaczął przepychać się z powrotem do klubu. Zobaczył Atchleya i jego żonę na scenie pośród kilku sędziów sądu miejskiego.
- Czy możesz mi poświęcić minutę, Harold? - spytał Nash spokojnym tonem, choć czuł się równie niepewnie jak na pierwszej randce.

- Oczywiście, Tim. Jasne, jasne.

Atchley zszedł ze sceny, mijając na żółto ubrany zespół, który powoli pakował swoje instrumenty, prowadząc przyciszoną rozmowę po hiszpańsku.

- Potrzebuję pomocy finansowej - powiedział Nash, kiedy stanęli na boku. Uśmiech Atchleya przygasł.

- Sądziłem, że chcesz mi powiedzieć, że to ty mnie wesprzesz.

- Możesz mi pomóc, a ja potrzebuję tego właśnie teraz.

Atchley zagryzł wargę i z dezaprobatą obserwował muzyków, którzy zamykali pudła z instrumentami i zakrywali rozłożystą płachtą wzmacniacze.

- Zapłaciłem im za trzy godziny, a oni grali tylko dwie godziny i dwadzieścia minut. Przez resztę czasu się przygotowywali. Takie, sprawy nie wychodzą mi najlepiej.

- Mamy obydwaj okazję zarobić trochę pieniędzy - naciskał Nash.

- Mogę udzielić ci osobistej pożyczki. - Atchley znów się rozpromienił, gdy Nash podsunął mu tę myśl. - Będę musiał doliczyć procent, ale oczywiście załatwimy to po przyjacielsku.

- Potrzebuję więcej niż możesz dać, Harold.

- Więc jak mogę ci pomóc?

- Będziesz miał sprawę w swoim sądzie. Chcę żebyś wyświadczył mi przysługę i pogadał z facetem. On może pomóc mnie i może pomóc tobie. Rzecz została powiedziana. Nash zobaczył, jak wyraz troski na twarzy Atchleya pogłębia się, nie pojmował, o co chodzi. Jego żona, stojąca kilka stóp dalej, roześmiała się hałaśliwie i zakryła usta. Los Gorriones Amarillos gęsiego opuszczali klub.

- Chcesz ze mną pomówić o sprawie? O oskarżonym?
- Wszystko, czego od ciebie oczekuję, to żebyś wysłuchał go i podjął decyzję, Haroldzie.
- Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi. - Atchley zamrugał i rozejrzał się po pustoszejącej sali. - Nie podoba mi się cała ta sprawa.
- Wyświadczysz mi wielką przysługę, Haroldzie - drażył Nash - jeśli zechcesz jutro spotkać się ze mną w Cypress Hotel, pokój pięćset trzydzieści siedem. Mieszkam tam teraz.
- Jeśli to przysługa, to przyjdę. - Atchley poklepał Nasha po ramieniu.
- Może wspólnie rozwiążemy twoje problemy.

Ta oferta ogłuszyła na moment Nasha. Czyżby Atchley rzeczywiście chciał tylko pomóc?

- Dzięki. A więc do zobaczenia o siódmej?
- Od tego są przyjaciele - powiedział Atchley.

Janice nie pytała go, dokąd ją zabiera. Jego podenerwowanie było oczywiste. Widywała już taką reakcję wcześniej, sama jej doświadczała. Ludzie nieprzywykli do wykalkulowanego oszukiwania, zwłaszcza znajomych, później cierpieli niemal fizycznie.

Nash jechał przez jasno oświetloną dzielnicę domków jednorodzinnych, pełną ciemnych brył wierzb i wiązów, wyłaniających się z zapadającej nocy. Zaparkował i wyciągnął z brzękiem klucze z kieszeni.

- Bez względu na to, co słyszałaś dziś o Escobarze, nawet nie myśl o tym, by mu cokolwiek zrobić.
- Nie myślałam o tym - powiedziała. Podeszła do niego, ale nie poruszył się ani nie spojrzał na nią.
- Jest nietykalny. Choć prawdopodobnie skorumpowany. Mogłabyś

pewnie przygwoździć go na całego - uśmiechnęła się, słysząc jak przechodzi na policyjny żargon - ale on bierze udział w moim procesie. Zepsułabyś sprawę.

- Nie będziemy go ruszać. - Rozejrzała się wkoło.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział. - Nie czuję się najlepiej.

Poprowadził ją w prawo, obok promieniujących blaskiem basenów. Ich powierzchnię marszczyła łagodna bryza, która nadciągnęła wraz ze zmierzchem. W powietrzu unosił się zapach podpałki i mięsa z rusztu. Z tarasów dobiegały rozmowy. Ta noc ma w sobie coś z leniwej niewinności, pomyślała Janice.

Nash wprowadził ją do mieszkania.

- Mieszkam tu od czasu rozstania z żoną. - Poszukał po ciemku włącznika klimatyzacji i świateł, potem zdjął marynarkę i otworzył drzwi prowadzące na patio, by wpuścić trochę bryzy, zanim powietrze się oziębi. Turkusowe zasłony falowały lekko. - Dostałem to mieszkanie z całym wyposażeniem. Chcesz coś do picia?

- Może coś lekkiego z wodą sodową.

- Coś lekkiego z wodą sodową - powtórzył niepewnie i zaczął tłuc się po kuchni, która stanowiła część jadalni. Niewielki żyrandol rzucał perłowe światło na niemal pusty pokój.

Janice oddychała głęboko, świerszcze śpiewały głośno, bryza niosła odległy śmiech i dźwięki muzyki. Uświadomiła sobie, że jest lekko zawiana, ale mimo to spięta, niemal tak samo jak on. Może właśnie dlatego. Kiedy przygotowywał drinki, grzechocząc lodem i rozlewając trunki, opowiedział jej, na co zgodził się Atchley.

- Upewnię się, że jesteśmy gotowi - obiecała, biorąc od niego szklanekę. -

Neil może wziąć Vismarę na smycz i też go przyprowadzić.

- To śmieszne. Czuję się bardzo dziwnie, robiąc coś takiego - przyznał się.

140

141

- To naturalne. Siedzieć przy biurku i mówić policjantom, co mają robić to jedno, ale robić to samemu, to zupełnie coś innego.

- Poradzę sobie z tym.

Nagle stwierdził, że nie chce rozmawiać o swoim samopoczuciu, ale ona poznała po jego nie widzącym spojrzeniu, jakim wodził po pokoju, że dręczy go świadomość tego pierwszego aktu zdrady.

- To Ben? - spytała, biorąc do ręki fotografię prezentującą się dumnie, niemal jak kapliczka, na prawie pustej półce na książki.

- Kiedy miał osiem lat. Widzisz tę dziurę po zębie? Tracił je w tempie jeden na tydzień. - Nash się roześmiał. - Mówiłem mu, że wygląda, jak głowa zrobiona z dyni na Halloween\*.

\* Halloween - wigilia Wszystkich Świętych, przypadająca 31 października, obchodzona w USA w nastroju radosnej zabawy, której nieodłącznym elementem są przebierańce (przyp. red.).

- Mam trzech starszych braci. Stracili większość zębów, grając w hokeja w college'u.

- Nie jesteś zamężna? - Nash patrzył, jak odkłada fotografię i upewnia się, że umieściła ją dokładnie tam, gdzie była.

- Nie - odpowiedziała. - Następne pytanie brzmi zazwyczaj „dlaczego nie”?

- Nie zamierzałem zadawać tego pytania.

- Byłam zaręczona z pewnym pediatrą. - Roześmiała się, odstawiła drinka

i usiadła na twardym tapczanie. - Mieszkaliśmy razem prawie rok. Kłębili się wokół niego dzieci, niektóre bardzo chore.

- Nie mów, że nie lubisz dzieci.

- Nie. To jego przestałam lubić po jakimś czasie. - Przeciągnęła się powoli. - Odbyłam już część rozrywkową na dzisiaj. Lepiej pójdę do domu.

Nash patrzył, jak zbiera się do wyjścia. Milczał. I nagle, jakby zrobiła coś, co go do tego skłoniło, zaczął mówić o swoim synu. Nie o żonie. Wylewał się z niego strumień wspomnień i wrażeń, dotyczący tylko syna. Gniazdo gąsienic, którym tak starannie się opiekował; ich klatką było plastikowe pudełko, do którego wrzucił listki i gałązki, mając nadzieję, że któregoś dnia się zbudzi i zobaczy ich kokony, a potem magiczne motyle.

- Ben miał siedem lat i kręcił się bez przerwy koło tej klatki. Nic się nie wydarzyło. Za późna pora roku, niewłaściwa temperatura czy coś takiego. Opowiadając, usiadł obok niej na tapczanie. Pierwsza wyprawa z namiotem, pierwsza wywiadówka w szkole podstawowej. Janice słuchała z zainteresowaniem. Było to coś więcej niż uprzejmość. Podobało jej się ożywienie Nasha, szczery wyraz jego twarzy, wreszcie rozluźniony. Z opisu uznała go za doskonałego, potencjalnego świadka. Kiedy go spotkała, wydał jej się oschły i trochę nieprzyjemny w swoim pełnym wyższości chłodzie.

Ale na takiego właśnie wyrósł w tym mieście, mając takich rodziców. Wszystko, co robił, już od czasów dzieciństwa, miało rzutować nie tylko na

142

jego sławnego i szanowanego ojca, ale też i na jego, Tima, przyszłość.



Każdy ma czasem ochotę przewrócić kopniakiem tablicę z napisem WSTĘP WZBRONIONY albo KĄPIEL WZBRONIONA, przejść się na bosaka przez środek miasta, albo wejść przez okno do sypialni dziewczyny ze szkoły średniej. Janice pomyślała, że Nash za czymś takim tęsknił. Zastanawiała się, czy Neil dostrzegł w Nashu ową tęsknotę i wybrał go, ponieważ dzięki temu Nash w końcu mógł zdobyć się na samodzielność. - Ostatnio zaczął grać w piłkę nożną - ciągnął Nash, siedząc blisko niej i dotykając jej nóg swoimi. - Dla mnie to też oznaczało sporo biegania. Podwieźć go, potem zabrać z boiska w Valley Vista. Dobrze mu idzie. Jego drużyna pokonała Markhama, Hawthorne'a, South Claremont, a on gra w ataku, więc ma swój udział w zwycięstwach. Nash objął ją ramieniem, a ona przytuliła się do niego. Rozległo się wściekłe walenie do drzwi. Przyciągnął ją mocniej do siebie. Janice się przestraszyła, serce jej nagle podskoczyło. Pomyślała, że on wstanie i pójdzie otworzyć drzwi albo powiedzieć coś osobie, która tak bezceremonialnie dobijała się do mieszkania. Nic takiego nie zrobił, po prostu trzymał ją w objęciach. Pukanie ustało i jakaś kobieta wyszeptała kilka razy, co kontrastowało z wcześniejszym hałasem: „Tim? Tim? Tim?“. Po chwili odgłos gołych stóp, które klapały irytująco po betonowej ścieżce, przycichł. Janice miała właśnie zrobić jakąś złośliwą uwagę, gdy Nash przyciągnął ją do siebie i pocałował. Nic mu się nie stanie, pomyślała. Przetrwa to, co nadchodzi. Była to w takim samym stopniu modlitwa, co trzeźwa kalkulacja. Znowu ją pocałował, nakrywając oboje kocem. Była zwrócona twarzą do okna, przez zasłony przebijał słaby blask basenu. Bryza była teraz

chłodniejsza i Janice drżała lekko.

- Zimno ci? - spytał cicho. Leżał wtulony w jej nagie plecy.
- Trochę. Nie sądziłam, że w taki upał może robić się zimno.
- Jeśli człowiek jest goły i jeszcze przedtem porządnie się wypoci.
- Zaśmiała się w jej nagi kark.
- To łaskocze - zachichotała.
- Miałbym ochotę na jeszcze trochę.

Przekręciła się na bok, przytrzymując koc, jego miękkość działała kojąco, jakby dzielili razem jaskinię, bezpieczne schronienie przed wszystkim, co czaiło się w nocy panującej na zewnątrz.

Sznurek od zasłon, poruszany wiatrem, uderzał o ścianę.

- Lepiej zamknę okna. Jest chłodno. - Zaczął wstawać z łóżka.
- Nie. Zostaw. Podoba mi się ten chłód. Możemy przecież przytulić się do siebie i ogrzać. - Przysunęła się do niego bliżej.

W ciszy zmęczonej nocy słyszała tylko metaliczny, cienki brzęk kurantów  
143

i odległe, żałobne zawodzenie kota. Rozległ się gwizd pociągu, jak śpiew rozbrzmiewający tysiące mil dalej.

Jej rzeczy leżały starannie poukładane na krześle w sypialni, bluzka wisiała na wieszaku. Zawsze jestem schludna, pomyślała. On i ja jesteśmy właśnie tacy. Nie ogarnia nas nagła pasja, nie zrzucamy z siebie ubrań, panujemy nad emocjami. Forma i rutyna, przyzwyczajenia. On i ja podążamy za ich głosem, aż w końcu się zadusimy.

- Co się stało? - głos Nasha był zatroskany, miękki.
- Nic. Myślałam.
- Muisz marznąć. Zadrzałaś.

Jego oddech był ciepły, jego bliskość przynosiła ukojenie.

- Lepiej odwieź mnie do hotelu - powiedziała.
- Jeszcze nie. Jest dopiero czwarta.
- Mam mnóstwo roboty. Nie chcę wyglądać, jakbym spędziła noc poza domem.
- Bo nie spędziłaś. Byłaś tutaj - powiedział Nash, ale wyczuła w jego głosie ustępstwo. Ludzie, którzy przestrzegają form, nie obalają ich tak łatwo. - Nic złego się nie dzieje.
- Oprócz tego, że przed nami pracowity dzień. To twoja pierwsza rozmowa. - Potarła jego przedramię, wyczuwając krótkie włoski.
- Wiesz, w tej chwili mam niemal nadzieję, że Atchley nie jest taki skorumpowany, jak się wydaje. Facet zawsze opowiada, jakie to interesy robi na różnych rzeczach, jak potrafi oszczędzać i jaki jest cwany w rozliczeniach z ludźmi. Zawsze ktoś płaci za jego drinki.
- Och, to prawdziwa zbrodnia.
- Mam niejaką nadzieję, że nic nam z nim dziś nie wyjdzie.
- Jeśli jest nieuczciwy, pójdzie do więzienia. Jeśli nie, będzie wolny.
- Co było z tą szansą, której ci nigdy nie dano? - spytał Nash, siadając na łóżku. - Co miałaś na myśli?

Janice leżała na plecach, wpatrzona w sufit, na którym drżał w mroku odbłask wody w basenie. Dlaczego mu nie powiedzieć? Nie było nic szczególnego w nagich faktach. Liczyły się konsekwencje, to wewnętrzne uczucie, a o tym nie była jeszcze gotowa mu mówić. Sam przekona się bardzo szybko.

- Pracowałam w Orlando - zaczęła. - Właśnie ukończyłam wydział prawa. Zajmowałam się sprawami z powództwa cywilnego i odkryłam, że jeden z

moich szefów, przewodniczący mojego zespołu, kradnie pieniądze.

- Jak?

- Sprawa miała być załatwiona ugodowo. Porozumienie podpisane, a on miał dostać pieniądze. Ludzie, których skarżyliśmy, firmy wywożące śmieci, przedsiębiorcy budowlani, ci od ciężarówek, zapłacili mu, żeby zaniżył ugode i dodatkowo zapłacili mu honorarium.

- To zwykła łapówka. Nie ma w tym nic wyrafinowanego.

- Nie o to chodzi. Chodzi o chciwość. - Sprawiał, że jej odkrycie wydało się nagle nieważne, a przecież odmieniło jej życie. Napięła się nieznacznie pod jego ramieniem. - Poszłam z tym do Biura Prokuratora Generalnego, gdyż to wszystko wydało mi się dziwne. Oni już zajmowali się moim szefem od jakiegoś czasu. Umieścili w jego biurze kamery, w przewodzie wentylacyjnym, a mnie wysłali, żebym go wykurzyła.

- I zrobiłaś to - stwierdził chłodno Nash. On też tak postąpi jutro.

Właściwie dzisiaj. Wieczorem.

- Wszystko znalazło się na taśmie, a ja byłam głównym świadkiem. Nie był sądzony. Złożył rezygnację i zwrócił pieniądze.

- Wygląda to na szczęśliwe zakończenie.

- Nie dla mnie. Nie mogłam pozostać po tym wszystkim w Orlando.

Ludzie zaczynają traktować cię inaczej, Tim. Zamykają szuflady, kiedy wchodzisz do pokoju. Przerywają rozmowy. - Głaskała go po ramieniu.

-Przenosiłam się z biura do biura, aż znalazł mnie Neil i zabrał do siebie.

Public Integrity. Tym będę się zajmowała aż do emerytury.

- Nie zostaniesz w Sacramento - nie był w stanie ukryć rozczarowania w swym głosie.

- Może przez jakiś rok. Może krócej. To zależy od tego, jak długo Neil

zechce pracować w tym rejonie. Pójdę tam, gdzie on.

Poczuła, że Nash wsuwa powoli swoją nogę między jej nogi. Musnął ich kolejny nocny powiew. Odległy i samotny koci płacz urwał się nagle, zapadła dzwoniąca cisza. Nash całował ją, obejmując coraz mocniej.

- To, czego się nauczyłam - wyszeptała - to to, że nikt nie lubi, by mu przypominano, jak jest słaby. Nie wybaczą ci tego, Tim.

- Nic mi nie będzie - powiedział. - Wiem, co robię. Chcę to zrobić.

Odsunęła się nagle od niego i usiadła. Jej ramiona i piersi były zimne i pokryte gęsią skórką.

- Ile pieniędzy byś wziął za załatwienie sprawy?

- Co? - Uśmiechnął się. Wziął to za żart. Znów ją próbował pocałować.

- Po prostu odpowiedz. Ile byś wziął za wydanie wyroku korzystnego dla jednej ze stron?

- Nie wiem. Cholernie dużo. - Wciąż się śmiał.

- To nie jest zabawne.

- Teraz takie się wydaje. - Położył się na plecach, patrząc w sufit.

- Co byś powiedział na dziesięć tysięcy dolarów? Albo dwadzieścia?

Masz zaoferować Atchleyowi dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za przychylnie załatwienie sprawy w jego sądzie. Zrobiłbyś to za taką sumę? - jej głos był twardy.

- Nie. Nie zrobiłbym.

- A za ile?

- Nie zrobiłbym tego.

- Kłamiesz, Tim. Po prostu nie wiesz, ile byś chciał wziąć. Gdybym weszła do twojej sali sądowej dzisiaj i powiedziała, że mam przy sobie sto tysięcy dolarów wolnych od podatku, które chcę ci dać za kilka

przychylnych dla mojego klienta decyzji, to co byś powiedział? Tak szczerze?

144

145

- Nie wiem.

- To prawidłowa odpowiedź. Nikt nie wie, dopóki sam tego nie doświadczy.

- Mam nadzieję, że zachowałbym się odpowiednio i posłał cię do diabła. - Wydał z siebie długie, pełne namysłu westchnienie. Łagodnie pchnął ją z powrotem na poduszkę i przykrył kocem. - Zgodziłem się pracować dla Roemera i ciebie, ponieważ jest to słuszne. Nie odwiedzisz mnie od tego.

- Nie próbowałam. Opowiedziałam ci tylko moją historię. - Poczwała jego dłonie, które odpędzały od niej napierający chłód nocy.

Znów się kochali pod drgającymi, świetlistymi odbiciami fal na suficie.

- Sędzia ukołyszany do snu? - spytał Roemer.

Razem z Janice spacerowali wolno wzdłuż doku, mijając niebieskie, metalowe magazyny i statki, które właśnie rozładowywano. Operatorzy wózka widłowego i dźwigu krzyczeli do siebie, ustawiając drewniane skrzynie jedna na drugiej. Niebo wciąż miało barwę atramentu, liliowa poświata dopiero zaczynała pokazywać się na horyzoncie, a gwiazdy nad ich głowami blakły jak przygasające lampy.

- Śpi jak niemowlę, Neil.

- No więc, robi postępy? - Ziewnął. - Przepraszam. Nie lubię wstawać przed szóstą.

- Pamiętam. - Przystanąła. - Zorganizował spotkanie z Atchleyem na dzisiaj wieczór, w Cypress Hotel. Na siódmą.

- Z Atchleyem. Tym od kampanii? - Zauważył, że Janice drży i kuli się w sobie. Miała na sobie ciężki płaszcz zimowy, niebieski, z paskiem. Nie spała w nocy.

- Powiedziała, że wszystko przygotowane. - Zauważyła, że się nie ogolił i że przygląda jej się z uwagą.

Kilka jardów dalej o beton stuknęła ciężka platforma. Oparli się o stalową poręcz, wsłuchani w plusk zielonoczarnej wody, uderzającej w pale nabrzeża.

- Myślałem, że najpierw dobierzemy się do jednego z większych drani. Frenkel, Wisota albo Burgessa.

- To był jego pomysł. Możesz wszystko przygotować?

- Jest gotowe. Ściągnę Louisa. W tym przypadku nie będę wam przeszkadzał. - Uśmiechnął się szeroko. - Nie chcę robić z siebie świadka. Gwiazdy na horyzoncie, jedna za drugą, zgasły, a niebo przybrało barwę wyblakłego błękitu. Syreny statków wyły ochryple.

- Jak długo zostaniesz? - spytała.

- Około tygodnia. Myślę, że usunąłem z pola działania tę mamkę Cleary'ego, ale on wciąż tam jest, więc muszę wracać, żeby nadzorować operacje w Bakersfield i San Diego.

Nachylił się do niej, by ją pocałować. Zamarła jak posąg.

- Zapomnijmy o tym. - Cofnął się, wzdychając.

- Koniec z tą bzdurą - stwierdziła.

- Jezu, ale tu zimno. - Potarł się po ramieniu. - Jeszcze coś? Potrząsnęła głową.

- Napijmy się kawy czy czegoś gorącego.

- Tobie też zimno? Skinęła głową.

- Moglibyśmy spróbować rozpałcić ogień przez pocieranie.
- Próbuj beze mnie. - Ruszyła z powrotem wzdłuż doku w stronę samochodów.

Zadzwońiła do Roemera, jak tylko wróciła do hotelu. Zatrzymał się w innym, pod zmienionym nazwiskiem.

- Carla zostawiła mi wiadomość, że dzieciaki chcą mnie widzieć - powiedział, gdy się z nią zrównał.
- Jedź do domu. Zajmę się tu wszystkim.
- Nie, dzięki.

Pchnęli zardzewiałą stalową bramę, która zatrzasnęła się tuż za nimi. Teraz kroczyli po zgrzytliwym żwirze parkingu, pełnego starych samochodów i pikapów. W stronę nabrzeża zmierzali mężczyźni z pudełkami na lunch. Roemer spotkał się z nią w dokach, ponieważ był pewien, że nikt nie będzie ich podsłuchiwał i że nie ma tu miejsca na zainstalowanie odpowiedniej aparatury. Wolał omawiać sprawy na świeżym powietrzu, z dala od zamkniętych pomieszczeń i samochodów, gdyż w czterech ścianach można było wychwycić zbyt wiele.

- Sędzia jest gotów? - upewnił się jeszcze raz.
- Gotów.
- Może, gdy złapie Atchleya, dalej pójdzie jak po łańcuszku, i będziemy mogli powiązać ich w snopki. - Rozejrzał się wkoło. - Widziałem knajpę jakąś milę stąd, wyglądała przyzwoicie. - Otworzył drzwi swojego samochodu.
- Pojadę za tobą - powiedziała.



Rozdział dwudziesty.

Zamierzasz trenować sprint? - zainteresował się Scotty Shea, ciężko dysząc. Biegł obok Nasha po ścieżce okalającej park. Shea miał rękawiczki i dwa dresy chroniące go przed porannym chłodem. Nash włożył tylko T-shirt, rozciągnięty i przepocony.

- Nie - wydusił z siebie.
- To dlaczego narzucasz takie tempo?
- Nie nadążasz?

Shea wyszczerzył zęby. Choć był potężny, poruszał się lekko. Mijały ich grupki innych biegaczy, niektórzy mieli słuchawki walkmanów na uszach.

- Hej, Tim, to ja biegam od pół roku codziennie. Nie ty.
- Chcę wyćwiczyć sobie dobry start - powiedział Nash i zatrzymał się nagle. Oddychał ze świstem, zgięty w pół, opierając dłonie o uda. Shea przez chwilę truchtał w miejscu.

- Skończyliśmy?
- Ja tak. - Nash spojrzał w górę. Niebo było bezchmurne i nieskazitelnie niebieskie, niedługo zrobi się gorąco. Nocny chłód to złudzenie; prawdziwy jest tylko upał, dzień za dniem.

Trzej mężczyźni, wszyscy w ciemnych okularach, minęli ich, biegnąc równiutko w jednej linii, niczym zgrani baletmistrze.

- Przestań się popisywać - warknął Nash, widząc, jak Shea bez wysiłku przebiera nogami.
- Człowieku, masz kondycję. Żadnej akcji ostatniej nocy?

- Aż za dużo. Cały jestem w nerwach. - Nash ruszył przed siebie.

Powietrze wokół nich miało ostrą woń olejku eukaliptusowego, którą roztaczały gałęzie wysokich drzew, zwieszające się nad ścieżką.

- Kto to jest? Ktoś kogo znam? Nash potrząsnął głową.

- Nie. Dopiero co ją poznałem.

- Cholera. Współczułem ci przez kilka ostatnich dni. Nie najlepiej wyglądasz na rozprawie. - Shea przystanął i otarł spocone czoło. Był prostoliniorny, ale znał nastroje Nasha i wiedział, że za tym szaleńczym biegiem kryje się coś więcej niż nadmiar energii wywołanej uprawianiem seksu. - Coś nie tak. Coś z Kim? Z dzieciakiem?

Nash znów się pochylił. Wyszedł rano z domu, pragnąc za wszelką cenę poruszać się... Może uciec?

- Mam cholerną tremę - powiedział w końcu.

Parkując swój wóz w podziemiach sądu, Nash miał nadzieję, że przy windzie nie spotka nikogo znajomego. Daremnie. Stali tam już Henshaw, który narzekał na atak alergii, i Susanna Jardine. Nie chciał rozmawiać ani odpowiadać na pytania. Susanna, nucąca pod nosem, zerknęła na niego ciekawie.

- Słuchaj, Tim, zapłaciłeś już rachunki za obrońców z urzędu w tym miesiącu?

- Jeszcze nie.

Henshaw zakaszlał i wytarł nos.

- Trzymaj te rachunki przez dwa miesiące. Potem podziel na pół. Ci dranie z Rady i tak je zapłacą.

- Nie wszyscy - powiedział Nash.

- Ale większość płaci.

Nash bał się, że jego małomówność zamieni się w gniew, co byłoby czymś gorszym. Jakiś czarny mężczyzna w workowatym trzyczęściowym garniturze, o siwiejących włosach, które sterczały na jego głowie w różne strony, kroczył niezgrabnie do windy od strony biblioteki sądowej, która znajdowała się na końcu korytarza. Kieszenie jego starego garnituru były wypchane podartymi papierami. W ręku trzymał zniszczoną teczkę. Wyglądał jak rozwścieczony prawnik, który wciąż nie może nad sobą zapanować.

- Znalazłem właściwe rozwiązanie mojej sprawy - obwieścił, patrząc po kolei na każdego z nich.

- To dobrze - odpowiedziała Susanna. Henshaw chrząknął i zakaszłał.

- Było w rejestrze Kalifornijskiego Sądu Apelacyjnego, strona dwieście sześćdziesiąt sześć, przypis - wyjaśnił niechlujny mężczyzna. Nie był prawnikiem. Spędzał całe dni w bibliotece, pisząc i czytając, a następnie wyjaśniał bez końca swe ustalenia każdemu, kto znalazł się w pobliżu. W sądzie zwano go Petentem. Nikt dokładnie nie wiedział, o co miał żal, i czy była to tylko jedna rzecz, czy więcej. Jego argumentacja była pozbawiona sensu i skomplikowana. Wydawał się zadowolony tego ranka, że stoi z trzema sędziami.

Nash powiedział:

- Niektórzy obrońcy robią przekręty z rachunkami, ale nie zamierzam ich opieprzać.

148

149

- Będą cię wykorzystywać - ostrzegł Henshaw. - Potraktuj ich twardo.

- O.K. Czy ktoś chce dziś iść na lunch? - spytała Susanna.

Nim Nash zdążył odpowiedzieć, przyjechała winda. Petent stał przy jego boku, na tyle blisko, by rozsiewać wokół zapach cebuli i zwietrzałego piwa.

- Oszukiwali mnie - marudził. - Wyczuli, że jestem wielkim człowiekiem i od początku mnie oszukiwali.

- Niech się pan zamknie - zwrócił się do niego Nash. - To polecenie sądu. Susanna i Henshaw stali już w windzie. Niechlujny mężczyzna zamilkł, zaskoczony. Zachichotali.

- Niech pan jedzie inną windą - rozkazał Nash, zamykając drzwi.

- Myślę, że jest nieszkodliwy, ale boję się go - wyznała Susanna. Nash pragnął, by ten gniew, który w nim wzbierał, przygasł. Mocniej ścisnął swoją teczkę. Nic już nie będzie takie jak dawniej po dzisiejszym wieczorze. Teraz to wiedział. Coś się stanie, myślał.

- A wszyscy uważają mnie za odpornego - żalił się Henshaw, kichając, kiedy dojeżdżali do trzeciego piętra.

Nash uważał, że idzie mu całkiem nieźle przez resztę dnia. Vi obserwowała go w czasie przerw w rozprawie, ale nic nie mówiła.

Po południu przysięgli byli senni, ocieźali po spożyciu lunchu, rozleniwieni upałem. Głowa pani Sparling opadła kilka razy. Pani Lamar Kelso miała czkawkę i płonila się z zakłopotania.

Nash siedział na swoim fotelu, stukając długopisem, poruszając palcami pod stołem, nawet zsunął buty i wciskał stopy w dywan, mając nadzieję skupić się na tym, co działo się na sali sądowej. Chciał porozmawiać z Janice. Myślał o niej, o tym, jak wyglądała, gdy kochali się po raz pierwszy poprzedniej nocy; myślał o jej jasnych włosach, rozsypanych na poduszce. Właściwie nie chciał jej widzieć wieczorem podczas spotkania z

Atchleyem.

Soika w czasie przerw grzechotał swoimi łańcuchami, gdy przysięgli wychodzili z sali, a zjawiali się strażnicy, by go przykuć. Nash żałował, że Soika nie próbuje uciekać. Byłoby to coś, co mogłoby zapobiec nadchodzącemu spotkaniu, jakaś wymówka, której mógłby użyć, by je odwołać.

Na miejscu dla świadków stał specjalista od daktyloskopii z policji w Santa Maria. Po obu jego stronach leżały powiększenia odcisków palców o spiralnym kształcie.

- Na dowodzie numer czterdzieści osiem, przedstawionym przez oskarżenie, znalazłem jedenaście punktów zbieżnych z odciskami palców oskarżonego. - Mężczyzna trzymał w ręku notatki, jego kanciasta twarz była pozbawiona wyrazu, przed nim leżała otwarta teczka.

- Sprzeciw. Sprzeciw. Sprzeciw - powiedział Escobar. Nash potrzebował chwili, by zareagować.

- Kto zgłaszał sprzeciw?

- Ja, Wysoki Sądzie - powiedział Escobar. Benisek podnosił się leniwie z miejsca.

- Dlaczego? Świadek przedstawia opinię. Może pan poddać go krzyżowemu przesłuchaniu, jeśli uważa pan, że się myli - stwierdził Nash. Escobar wyszedł zza swojego stolika. Cindy Duryea, jego asystentka, poklepała Soikę po plecach. Soika miał na sobie swoje najlepsze ubranie, które zawsze wkładał od czasu dyskusji na temat jego ubioru. Nash uważał, że to wszystko zostało zaplanowane.

- Nie stwierdziłem, by istniały jakiegokolwiek znane odciski palców Evana -

zauważył Escobar.

- Więc w czym rzecz? Świadek powiedział, że dowód jest potrzebny jedynie do celów identyfikacyjnych. - Benisek wskazał swoim długopisem na Nasha.

- Nie powiedział.

- Nie słyszałem, by tak mówił - przyznał Nash.

- Wnoszę o unieważnienie zeznań świadka w związku z tym punktem, Wysoki Sądzie. Świadek zasugerował przysięgłym, że istnieje jakiś związek między Evanem Soiką a bronią - upierał się Escobar.

- Och. To niewiarygodne. Każdy, kto zjawia się na tym procesie, by zeznawać, twierdzi, że oskarżony miał broń - rzucił rozzłoszczony Benisek.

- Więc nie potrzebuje pan tego świadka. Wnoszę o unieważnienie tych zeznań jako zbędnych - zripostował Escobar.

Dureya przestała poklepywać Soikę, który przygarbił się i pochylił do przodu. Biegły zastygł w pół słowa, jakby przekreślono mu włącznik.

Wszyscy patrzyli na Nasha, czekając, by zdecydował w sprawie wniosku.

Tymczasem on myślami był daleko, planując wszystko, co mogło wydarzyć się tego wieczoru.

- Nie słyszałem pytania. Proszę je odczytać - zwrócił się do protokolanta.

Przysięgli poruszyli się niespokojnie. Jedna z nich, młoda dziewczyna z college'u, uśmiechnęła się do niego.

Protokolant przesuwając palcami po długiej wstędze papieru ze swojej maszyny, znalazł odpowiedni fragment i odczytał go bezbarwnym tonem.

Nash pragnął, by coś zatrzymało wir jego myśli.

- W porządku - powiedział, wsuwając pod stołem buty na nogi. Rękaw

togi owinał mu się wokół dłoni, więc go podciągnął. - Świadek wyjaśnił, że pobrano odciski palców jedynie do celów identyfikacyjnych. Czy tak? - zwrócił się do biegłego.

- Tak, Wysoki Sądzie. Tak właśnie zeznawałem, gdyż odciski nie zostały jeszcze włączone do materiału dowodowego.

- A ja nigdy nie przyznałem, że te pozostałe rzeczy, te na tych kartkach - Escobar machnął lekceważąco - mają cokolwiek wspólnego z Evanem Soiką.

- Sądziłem, że pan przyznał. Sądziłem, że przyznał pan, iż to są odciski palców.

150

151

- Nie przyznałem.

- Czy może pan udowodnić, że te znane odciski palców należą do oskarżonego, tak by świadek mógł kontynuować przedstawianie rezultatów badań porównawczych? - spytał Nash Beniska.

- Wszystko, co mam w tej sprawie na piśmie, znajduje się w moim gabinecie. Podobnie jak Sąd, uważałem, że sprawa jest ustalona.

- Nie zamierzam pomagać prokuratorowi w prowadzeniu sprawy.

-Escobar skrzyżował ramiona na piersiach, łysiejącą głowę odrzucił do tyłu. -Ta rozprawa od samego początku idzie jak po grudzie.

- Zgadza się, panie Escobar - powiedział Nash. - To już wszystko, co chcieliśmy od pana usłyszeć.

- Czy Sąd nakazuje mi milczenie?

- A czy ja to powiedziałem?

Escobar spojrział na Cindy Duryeę, Evana Soikę, potem przysięgłych.

- Jednakże Sąd nakazuje mi milczenie, jeśli nie jestem w stanie bronić mojego klienta tak skutecznie, jak pozwalają mi na to moje możliwości. Nash wyczuł, że kroi się kolejne wystąpienie, nadające się do protokołu i mogące wpłynąć na ławę. Był poirytowany tym, że jego własna nieuwaga pomogła Escobarowi wykorzystać, choć w niewielkim stopniu, sytuację. Nie mógł jednakże złać Escobara, czy naprawdę go uciszyć. Gdyby tak zrobił, skazanie Soiki za morderstwo na jakiegokolwiek podstawie byłoby jednomyślnie odrzucone przez Sąd Najwyższy.

- Przedstawił pan swoje racje, panie Escobar. Wszyscy tu obecni starają się wykonywać swoje obowiązki, pan, pan Benisek, ja. Nie trzeba nam tego przypominać.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Więc oddali pan zeznanie tego świadka? Nash potrząsnął głową. Pisał w wielkiej, zszywanej księdze, w swoim protokole z rozprawy. Przerwał wtedy, gdy jego myśli powędrowały ku operacji. Teraz jego pióro przesunęło się gładko po kartkach, niebieski atrament, czarna toga, biały papier.

- Sądzę, że ten człowiek ma do przedstawienia ławie bardzo ważny materiał dowodowy, panie Escobar. Nie. Nie unieważnię jego zeznań ani też nie określę ich jako zbędnych. Nie przyzna pan, że biegły znał odciski palców Evana Soiki?

- Nie sądzę, by znał. Nie wiem tego. - Escobar wysunął dolną szczękę. Usiadł na swoim miejscu.

- Czy może pan pobrać odciski teraz? Ma pan swoje karty i atrament?  
-zwrócił się Nash do biegłego.

- Tak, mam, Wysoki Sądzie.

- Doskonale. Zrobimy piętnastominutową przerwę. Strażnik, proszę



wyprowadzić pana Soikę do sekretariatu. Chcę, by pobrano mu odciski palców natychmiast, a wtedy będziemy mogli wrócić na salę i po prostu ruszyć ze sprawą dalej.

- Zgłaszam sprzeciw wobec takiej praktyki. - Escobar podniósł się pospiesznie ze swego miejsca. - Zmusza go pan do dostarczenia dowodów przeciwko sobie.

- Wie pan, że tego nie robię. Jeśli jeszcze coś pan powie, panie Escobar, niezwłocznie poinstruuje ławę o dowodach niezeznaniowych i o tym, jakie próbki każdy oskarżony jest zmuszony dostarczyć.

Escobar przyjął to spokojnie, przytaknął, usiadł i teraz z kolei on poklepał Soikę. Vi wstała. Nash mógł powiedzieć przysięgłym, że krew, włosy albo odciski palców nie były objęte prawem chroniącym przed obciążaniem samego siebie, nawet jeśli własne ciało człowieka świadczyło przeciwko niemu. Soika musiał się zgodzić na pobranie odcisków palców.

- Przykro mi - wyszeptał Nash do Vi.

Zmarszczyła brwi, na jej drobnej twarzy pojawił się wyraz strapienia. Najwyraźniej nie podobał jej się pomysł z umieszczeniem Soiki w jej sekretariacie.

Soice też się to nie podobało. Gdy Shea wyprowadzał przysięgłych, Soika wiercił się na swoim miejscu, mówiąc coraz bardziej podniesionym tonem. Nash wstał z fotela, toga krępowała mu ruchy. Spojrzał na to trio, Escobara, Duryeę, Soikę, potem na strażników, biegłego z gotową gąbką i kartkami do pobierania odcisków palców. Naprawdę miał nadzieję, że Soika zerwie się ze swojego miejsca, ciągnąc za sobą wczepionych w niego strażników, a w budynku rozlegnie się alarm.

Mógłby powiedzieć Roemerowi i Janice, że na rozprawie doszło do próby

ucieczki. Że nie może zrobić tego dziś wieczór.

Jednak, pomyślał, sam tego chciał. Wybrał Atchleya. Postępował właściwie.

Gdy wychodził z sali, Soika wciąż narzekał.

Nie zdjął togi. Przemierzał pokój, drzwi były zamknięte. Chciał zadzwonić do Janice, ale nie miał nic do powiedzenia. Tak jak nie miał nic do powiedzenia ojcu. „Hej, tato. Mam zamiar dziś wieczór działać jako tajny agent”. Coś takiego zdarzy się w rodzinie po raz pierwszy, podobnie jak wybór Dicka do sądu federalnego, ale wiedział, że to, co on ma zrobić, nie spodobałoby się ojcu. Sprawiało wrażenie czegoś podstępnego, skrytego. Zajmując się przez trzy lata narkotykami, Nash jednak wiedział, że nie ma innego sposobu, by zdobyć dowody przeciwko niektórym podejrzanym. Rozpiął togę. Soika klął po drugiej stronie drzwi, gdy pobierano od niego odciski palców. Nash usiadł i wykręcił numer siostry Kim w Los Angeles. Kiedy się odezwała, zawahał się, potem powiedział:

- To ja. Jest tam ktoś z moich w pobliżu?
- Och. Cześć - powiedziała zdawkowo Nel. - Tak. Wszyscy są tutaj.
- Pozwól mi porozmawiać z Benem.
- Nie powinnam tego dla ciebie robić, Tim. - Zniżyła głos. - Kim mnie znienawidzi.

152

153

- To mój syn, Nel. Znasz Kim. Posłuż się nim. Nie pozwoli mi z nim porozmawiać.
- Cholera. Cholera. Wiem. Czasem szaleję ze strachu, że Ben jej wypaple. Przypadkowo. A wtedy ona zrobi z ciebie i ze mnie karmę dla

psów.

- Ben nic nie powie. Pogadam z nim o tym. Daj go do telefonu. Nel westchnęła.

- Powiem, że dzwoni pedagog szkolny, jeśli Kim spyta. Ona nie lubi z nim rozmawiać.

- Czy Ben ma jakieś kłopoty?

- Ma problemy z dyscypliną, jak to się określa. Szkoła trwa dopiero tydzień, a już twierdzą, że to rozrabiaka.

Nash zaklął. Już wcześniej obawiał się, że ich rozstanie źle wpłynie na Bena.

- Muszę się z nim zobaczyć. Nie mogę czekać do października. Sąd postanowił, że właśnie w tym miesiącu nastąpi pierwsze spotkanie.

- Znasz mnie, Tim. Pomogę, jeśli będę mogła. Kocham Bena. Kim nie postępuje w stosunku do was tak rozsądnie, jak powinna. To jedyny powód, dla którego mogę ją oszukiwać, tak jak teraz.

- Jeśli przyjadę do Los Angeles, to czy uda nam się wyciągnąć go z domu na parę godzin? Zabierzesz go i przywieziesz do mnie?

Czekał w napięciu na odpowiedź. Niemal słyszał, jak siostra Kim myśli o tej nowej tajemnicy, której trzeba będzie dochować.

- Może za bardzo stoję pośrodku - powiedziała Nel. - Nie wiem.

- Muszę go zobaczyć. On musi zobaczyć mnie. Dzieje się coś złego.

- Dobra. Zgoda. Zadzwoń do mnie ponownie, a ja wszystko ustawię.

Teraz dam ci go do telefonu.

- Jesteś księżniczką, Nel.

Obawiał się, że przekonanie Nel do tych potajemnych rozmów nie będzie łatwe. Jego życie schodziło do podziemia szybciej, niż mógł nad tym

zapanować.

Serce Nasha podskoczyło, gdy kilka chwil później posłyszał Bena. Syn był uradowany. Nie mówił o swoich trudnościach w nowej szkole w L.A.

Podobały mu się zajęcia z biologii i czekał z niecierpliwością na piątkową lekcję poświęconą sekcji żaby. Bardzo narzekał na matematykę. Gdy to relacjonował, Nash pomyślał, że zeszłej nocy opowiedział o nim wszystko obcej kobiecie, uczynił go częścią ich związku. Jakby Bena można było w niego wszczepić, niczym młodą roślinkę.

- Niedźwiedziu - powiedział Nash - zamierzam cię wkrótce odwiedzić.

Wtedy będzie nam łatwiej pogadać niż teraz, dobra?

- Ty, ja i mama?

- Nie, tylko ty i ja. Nie mów nic mamie, Ciocia Nel nam pomoże, ale to musi być nasz sekret. Spędzimy razem trochę czasu. Będzie fajnie.

- O.K., jeśli spotkamy się w czasie szkoły. Nash zaśmiał się cicho.

- Chcesz powiedzieć, że nie masz ochoty spotkać się ze mną w czasie weekendu?

- Nie, wtedy też byłoby dobrze, ale lepiej, jeśli ominie mnie szkoła.

- Zrobimy to w normalny dzień. Tęsknisz?

Posłyszał westchnienie. Wydawało mu się, że gdzieś w tle rozmawia Nel, w jakiejś kuchni, której nie umiał sobie wyobrazić; w domu, którego nigdy nie widział; na ulicy znajdującej się w mieście tak odległym jak inna planeta.

- Wciąż chcę wrócić do domu.

- Niedługo przyjadę do ciebie, Niedźwiedziu. Ale pamiętaj, że to sekret.

Tylko ciocia Nel o tym wie.

Przez zamknięte drzwi usłyszał głos Shei: „Jesteśmy gotowi, panie sędzio”.

Kiedy miał już odłożyć słuchawkę, Ben powiedział:

- Nie zapomnij mnie.

Nash z trudem zapiął toczę. Czas wracać na rozprawę, do świata okrutnych kłamstw, śmierci i sprawiedliwości. Nagle tajemnice operacyjne Roemera wydały mu się błahe. Wabienie i łapanie na haczyk Atchleya było bezbolesne wobec prywatnej, tajnej akcji Nasha.

„Nie zapomnij mnie” - powiedział jego syn.

154

Rozdział dwudziesty pierwszy.

W apartamencie w Cypress panowało pełne napięcia oczekiwanie. -

Spóźnia się - powiedział podenerwowany Nash. - Od kiedy pracuję w sądzie, nigdy nie przyszedł punktualnie na zebranie sędziów.

- W takim razie nie ma co panikować - zauważył beznamiętnie Roemer, patrząc, jak Vismara je kolejnego hamburgera. - Wszystko idzie jak trzeba.

Nash był zdumiony, gdy zastał go w apartamencie, ponieważ Janice wcześniej mu mówiła, że Neil nie chce uczestniczyć w tej pierwszej rozmowie. „Zmieniłem zdanie” - wyjaśnił krótko. Siedział na kanapie i gapił się w telewizor. Testa i Sanchez robili generalną próbę magnetofonów i magnetowidów. Vismara jadł bez przerwy. Na stole stały dwa puste talerze, które opróżnił. Inni w tym czasie zdołali napić się wody sodowej.

Nash znów spojrział na zegarek. Janice siedziała obok Roemera, rozmawiając z nim po cichu. Czuł zazdrość, widząc ich razem. Z

pewnością mieli przed nim jakieś sekrety, a on już nie chciał, by cokolwiek przed nim skrywała. Tego wieczoru ledwie go dostrzegła. Stał się, jak mu się wydawało, częścią operacji.

Nash nie potrafił zatrzymać się na dłużej w jednym miejscu. Siadał przy barku, uśmiechał się bezsensownie do Jacobsa, który sobie nucił, siadał na krześle, oglądał przez chwilę telewizję, pił wodę sodową, odsuwał ciężkie zasłony i wpatrywał się w kolorowe miasto. Zatrzymywał wzrok na rubinowym świetle ostrzegawczym dla samolotów, zainstalowanym na Alhambra Towers; na długich, płaskich dachach domu towarowego Macy i innych dużych sklepów w centrum handlowym; chodnikach jak białe, połyskujące wstążki. Rzeka ciągnęła się na zachód, mroczna i migocząca odbitym światłem trzech mostów, które spinały jej brzegi, a potem, gdy miasto zbliżało się do krawędzi jej delty, uwalniała się i podążała do morza.

Nash miał kłopoty ze skoncentrowaniem się na spotkaniu z Atchleyem. Myślał o tym, jak uda mu się odwiedzić Bena. Sprawdził godzinę. Dziewiętnasta czterdzieści pięć.

- Jest w drodze. Zadzwońliby, gdyby nie miał przyjechać - powiedział głośno.

- Może byś zatelefonował do niego za parę minut i sprawdził, czy już wyjechał - zaproponował Roemer. Janice przytaknęła.

- O.K. Za parę minut, jasne.

Jacobs, wciąż nucąc, wszedł do sypialni. Nash wiedział, że widnieje teraz na ekranach monitorów, a jego głos wychwytyują ukryte mikrofony. To właśnie starał się robić każdego dnia na sali sądowej. Podczas każdej rozprawy Nash, jako sędzia, starał się za wszelką cenę zatrzymać jakiś

moment z przeszłości, i chwilę, w której wystrzelono kulę, wylamano zamek, usłyszano czyjś krzyk, widziano uciekającego człowieka. Tyle że zazwyczaj dysponował świadkami i milczącymi dowodami, nie obrazem przestępstwa.

Po raz pierwszy od początku operacji Nash poczuł, jak to jest, gdy się wie, że ma dokonać się przestępstwo. Teraz jego zadaniem nie było już gromadzenie jego elementów. Miał być w samym centrum tego przestępstwa, podczas jego dokonywania się. Sam miał się do niego przyczynić.

Czekanie nie było łatwe. Nash usiadł obok Vismary. Mały człowieczek wytarł usta, uśmiechnął się nerwowo, sięgnął po miskę z owocami i zaczął przeżuwać gruszkę.

- Pocę się i jem. Lubię, jak dzieje się to jednocześnie.
- Uczestniczyłeś już przedtem w takich akcjach?
- I też zawsze byłem zdenerwowany.

Nash nie żywił żadnych przyjacielskich uczuć wobec Vismary. Czytał jego akta: dwa włamania z bronią w rękę w San Francisco, napad, posiadanie heroiny, sprzedaż kokainy w Santa Maria. Vismara już nie wyglądał groźnie. Jego gładkie włosy połyskiwały. Jedząc gruszkę, cały czas wycierał usta.

Janice i Roemer wciąż rozmawiali. Gdzie był Atchley? Nash klął go w duchu. Czuł się niezręcznie, zanim cokolwiek się zaczęło.

Vismara zerkał na niego, najwyraźniej zbyt nieśmiały, by rozmawiać.

Poważa mnie, myślał Nash. Razem mamy przygwoździć sędziego Sądu Okręgowego.

- Jesteś żonaty, Louis?

- Nie tak zupełnie.

- Rozwiedziony?

Vismara uśmiechnął się swoim nerwowym uśmiechem, dotykając cienkich wąsików nad grubymi wargami.

- Jeszcze nie do końca.

- Ja się właśnie rozwiodłem - powiedział Nash, zdziwiony swoją wylewnością w ogóle, a względem tego człowieka w szczególności. - To niespecjalnie zabawne.

- Widziałem, jak to się odbywa, więc niespieszno mi do tego - zgodził się Vismara. - Jej też za bardzo nie zależy. Po prostu nie chce mnie widzieć.

- To niedobrze.

- Dlaczego? Nie lubię jej.

156

157

Nash uśmiechnął się, Vismara również.

- Mam syna. Jest z matką w L.A.

- Tak? Mam dzieciaki, dwie dziewczynki. Ciągłe się przeprowadzają, więc też rzadko je widuję. One też nie chcą mnie widzieć.

Zostało to powiedziane z niejakim smutkiem, ale nie tak wielkim, jak spodziewał się tego Nash. Uświadomił sobie, że to nagłe braterstwo z Vismarą było przypadkowe. Po prostu potrzebował słuchacza.

- Bardzo za nim tęsknię. Muszę wymyślić jakiś sposób, żeby zobaczyć się z nim w Los Angeles.

- Tak? - Vismara wyglądał na zaintrygowanego. Rzucił na talerz ogryzek gruszki, ponownie wytarł palce i usta. - Czy mogę ci pomóc? Czy jest w L.A. coś, co mogę ci załatwić?



- Nie sędzę.
- Nie, nie. Posłuchaj, mam tam przyjaciół. Są mi winni przysługę.

Wskazał na tors obleczony w zieloną koszulę. - Mogę tak to załatwić, że zrobią przysługę tobie.

- Sam coś wymyślę.
- O.K. Ale jak tylko będę mógł coś dla ciebie zrobić, to mi powiedz. W każdej chwili.

Nash wstał. Roemer i Janice podeszli do niego.

- Powinniśmy się dowiedzieć, czy mamy to spotkanie, czy nie - powiedział Roemer.

Nash był trochę zakłopotany, udając obojętność wobec Janice, jej przychodziło to zadziwiająco łatwo.

- Zadzwoń do jego biura wyborczego. Może będą wiedzieli, gdzie on jest. - Wykręcił numer małego biura na północnym krańcu okręgu, które Atchley wynajął na swoją kwaterę główną. - Nie zameldował się tam dzisiaj. Nie wiedzieli nawet, że ma spotkanie ze mną - poinformował Nash, odkładając słuchawkę. - Harold nie jest zbyt dobrym organizatorem.
- Chcesz mu dać trochę czasu? Nash skinął głową.
- Poczekam.

Minęło następne nerwowe dziesięć minut, nim zadzwonił telefon, przeznaczony wyłącznie na użytek Nasha. Wszystkie pozostałe rozmowy były łączone przez specjalne linie w sypialni do cichych aparatów, które zamiast dzwonek miały zainstalowane światełka.

Nash podniósł słuchawkę.

- Jest w holu - powiedział głośno.

Roemer przewrócił oczami, a Janice pokręciła głową. Nie obwieszczaj

tego wszem i wobec, idioto, upomniał się w duchu Nash. Vismara był już na nogach.

- Wejdz na górę, Haroldzie - zaprosił Nash. Z początku słowa Atchleya do niego nie docierały. Po chwili zrozumiał. - Możemy zjeść później. - Teraz chcę porozmawiać - nalegał.

158

Roemer zaklął po cichu i ruszył pospiesznie do sypialni. Janice stała obok Nasha. Vismara patrzył z niepokojem, dotykając nerwowo wąsików.

- Wiem, że jesteś głodny. Wiem, że nie jadłeś. - Nash starał się nie być opryskliwy. - Pójdziemy do restauracji za parę minut. A teraz przyjdź na górę, żebyśmy mogli omówić nasz interes? - Spojrzał bezradnie na Janice. Wykonała gest podrzynania gardła. Nash zrozumiał. „Zakończ rozmowę. Czas na nowy plan”. Słyszał o takich nagłych zmianach od policjantów zaangażowanych w prowokacje, które aranżował, gdy pracował w Narkotykach. Teraz sam tego doświadczał, a uczucie, które go ogarnęło, podniecało i jednocześnie przyprawiało o mdłości.

- Dobra, Haroldzie - ustąpił. - Porozmawiamy przy kolacji. Spotkamy się w holu za parę minut.

Odłożył słuchawkę.

Roemer, Jacobs i Sanchez wybiegli z sypialni.

- Co? Co? - dopytywał się Vismara, ale nikt mu nie odpowiedział.

- Nie przyjdzie na górę. Mówi, że spacerował sobie po okolicy i jest teraz głodny. Chce coś zjeść.

- O.K. Pójdiesz z nim zjeść - zdecydował Roemer. - Powinieneś dokładnie ustalić miejsce spotkania.

- Mogę go znaleźć przez chłopca hotelowego. Atchley jest po prostu na

dole.

- Hej, Tommy. Chodź tutaj - rozkazał Roemer.

Po chwili pojawił się Testa z parą słuchawek w ręku. Miał ponurą minę.

- Nagrywanie na gorąco. Domyśliłem się. Wszystko ładnie przygotowałem, a teraz mam nagrywać w ruchu, tak? - spytał kwaśno.

- Czy możesz coś wyszykować, jeśli sędzia da nam trochę czasu i zatrzyma Atchleya? Nic wielkiego, jeden mikrofon przy stole - łagodził Roemer. Szelki zsunął z ramion, zwieszały mu się przy spodniach.

- Pewnie, że mogę. Ale nie będzie żadnego wideo. I nie gwarantuję idealnego dźwięku. Sprowadzę furgonetkę, możemy użyć sprzętu, ale komuś trzeba dać mikrofon.

- Sędziemu? Chcesz mieć urządzenie podsłuchowe?

Nash spojrzał na Janice. Stykał się co chwila z nie przewidzianą sytuacją.

- Mówiłem już, że nigdy czegoś takiego nie nosiłem. Nie wiem, czy czegoś nie zepsuję.

- Nie ma w tym nic skomplikowanego - zapewnił Roemer. - Ale nie chcę, byś czuł się niewygodnie. Po prostu bądź sobą, O.K.?

- Ja to zrobię. - Vismara już rozpiął koszulę, ukazując bezwłosy, brązowy tors i wypinając go jak dziecko w gabinecie lekarza. - Zrobię to za sędziego.

Testa poszedł do sypialni i wrócił z małym mikrofonem wielkości dziesięciocentówki, wąską baterijką i wzmacniaczem przypominającym damską puderniczkę. Przymocował to wszystko do torsu chichocącego Vismary.

- Pojadę z Atchleyem do Strawna. To smażalnia steków, którą lubi. Na East Riverview Drive, jakieś piętnaście minut drogi stąd. - Nash znów

sięgnął po słuchawkę.

159

- Lepiej, jeśli wyjdziemy pierwsi - zwrócił się Jacobs do Sancheza. Może nam pan powiedzieć, jakim samochodem on jeździ?

- Nie da się go nie zauważyć. Jest cały oblepiony plakietkami wyborczymi, to chrysler lebaron. Czterodrzwiowy, szary.

Vismara zapiął koszulę i włożył lśniąca, czarną marynarkę. Testa ocenił jego wygląd. Nic nie odznaczało się pod ubraniem.

- Ktoś chce ze mną jechać w furgonetce?

- O.K., ja pojedę - zgłosił się na ochotnika Sanchez.

- Zabierzcie po drodze Montgomery'ego i Stupaka - polecił Roemer. - Weź swoją teczkę, Tommy. Może uda ci się zrobić parę zdjęć, jeśli będziesz siedział dostatecznie blisko.

- Tak, pewnie, pewnie. Nie znoszę takiego zasranego działania w ostatniej minucie - narzekał Testa, idąc po wideokamerę ukrytą w teczce.

Nash poprosił do telefonu Atchleya i oznajmił mu, że załatwia rezerwację u Strawna.

- Nie spiesz się. Piję drinka - powiedział Atchley.

- Teraz chce poczekać - poinformował Nash, odkładając słuchawkę.

Jacobs i Sanchez pomogli Tommy'emu wynieść kilka pakunków.

- Kiedyś pokażę ci tę furgonetkę - obiecał Roemer. - Wypożyczyliśmy ją z Urzędu Skarbowego do tej operacji. Jest jak pojazd z kosmosu.

- Ci goście - zaśmiał się Jacobs.

- Pospiesz się, mam ciężki pakunek - warknął idący za nim Sanchez.

- Nie miej takiej zmartwionej miny - uspokajała Nasha Janice. Poklepała go z matczyną troską po ramieniu. Nie jak ostatniej nocy, gdy ich ciała

dotykały się, zbliżały do siebie, odrywały jedno od drugiego. - Zawsze trzeba się spodziewać nagłych zmian.

- Sędzia powinien liczyć się z niespodziankami - dorzucił Roemer, dostrzegając intymną więź między Nashem a Janice.

- Dam chłopakom czas na dojazd do restauracji. Napijemy się na dole - postanowił Nash. - Chodźmy, Louis - zwrócił się do Vismary.

Szli po posadzce z zielonego marmuru, pokrytej grubym dywanem, mijając zadowolonych mężczyzn i kobiety, którzy spacerowali po holu. Nash był bardzo zdenerwowany, po części dlatego, że udzielało mu się napięcie Vismary. Mały człowieczek szedł blisko niego, kołysząc się lekko, zatrzymując wzrok na każdym, kogo napotkali.

- Czy zawsze jesteś taki zdenerwowany? - spytał cicho Nash.

- Nie aż tak bardzo - uspokoił go Vismara. - Zdarzyło się, że faceci w Oakland wycelowali we mnie swoje spluwy, wrzeszcząc, dlaczego nie dostarczam towaru na czas. Wtedy to byłem zdenerwowany. - Vismara pokiwał głową.

Nash pierwszy dostrzegł Atchleya. Stał obok fortepianu, z marynarką przewieszoną przez ramię, czerwony na twarzy. Koszula kleiła się do jego grubych pleców.

160

- Mam bardzo niski poziom cukru we krwi - powiedział, zarzucając marynarkę na ramiona, kiedy Nash i Vismara podeszli do niego. -

Chodźmy. Zaparkowałem w garażu, więc licznik wybija co kwadrans dwa dolary.

- Myślałem, że chcesz się napić.

- Już się napiłem. Pobudziłem soki - odparł Atchley. Patrzył na Vismarę. -

Poprowadzę.

- To Louis Vismara, jr - przedstawił Nash. Vismara przeszedł transformację w czasie wędrówki do baru. Twarz miał skupioną, poważną, niczym oblicze szefa dealerów narkotykowych. Był swobodny, gdy się witał. Tylko spocone policzki go zdradzały.

Ruszyli do podziemnego garażu. Nash zastanawiał się, co z tej bezużytecznej gadaniny słyszeli w furgonetce Testa i agenci.

- Louis ma sprawę, która trafi do twojego sądu, Haroldzie. Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać podczas kolacji.

Vismara skinął z powagą.

Dłoń Atchleya zastygła na klamce drzwi od samochodu, a jego poirytowany głos odbił się echem w betonowym garażu, na tle pisku parkujących wozów.

- O, nie! O, nie! On nie jedzie. Spadaj stąd. - Odepchnął Vismarę.

- Nie obrażaj go, Haroldzie. On zamierza nam pomóc - powiedział pośpiesznie Nash.

Atchley wsiadł do samochodu, którego szyby przyozdobiono nalepkami z hasłem wyborczym ON WYKONUJE ROBOTĘ, a przedni i tylny zderzak nalepkami z napisem WYBIERZCIE PONOWNIE SĘDZIEGO ATCHLEYA.

- Nie jadę z oskarżonym. Koniec, kropka. A teraz pospiesz się, jestem głodny. - Zbiórka funduszy podbudowała ego Harolda.

- Wracaj na górę. Sam z nim pojedę - szepnął Nash do Vismary.

- Ja też powinienem pojechać.

- Nie tym razem. To nic nie da. Zorganizujemy jeszcze jedno spotkanie.

- Wsiadaj, Tim - ponaglał niecierpliwie Atchley. - Nie chcę go w swoim

samochodzie.

- Musisz liczyć na samego siebie. Nic nie uzyskasz - wysyczał Vismara ze złością.

- W porządku - powiedział Nash, udając, że żegna się z przyjacielem.

Wsiadł do samochodu. Vismara odwrócił się i odszedł w stronę windy.

- On może wyświadczyć nam dużo dobrego, Haroldzie. Zdenerwowałeś go. - Irytacja i podniecenie Nasha nie były udawane.

Atchley uruchomił silnik i ruszył gwałtownie do tyłu.

- O mało, a byś wpakował nas obu w duże kłopoty. - Zerknął na Nasha. - Sądzę, że to będzie bardzo interesująca kolacja.

Rozdział dwudziesty drugi.

Po drodze do lokalu Strawna Nash rozglądał się dyskretnie, żeby zorientować się, czy furgonetka jedzie gdzieś w pobliżu. Ale nie dostrzegł jej. Albo agenci FBI byli tacy dobrzy, albo on nie potrafił ich wypatrzeć. Jednak myśl ta nie uspokoiła go ani trochę.

Kiedy już Atchley skomentował dziwną prośbę Nasha, który chciał, żeby zabrali ze sobą oskarżonego, zaczął opowiadać o swoich spotkaniach wyborczych z minionego dnia i o planach na przyszły tydzień. Był pełen entuzjazmu. Jego kampania rozwijała się pomyślnie, a przeciwnik nie mógł już zmienić jej przebiegu.

Bez trudu znaleźli wolny stolik. Największy ruch u Strawna panował w południe. Przychodzili wówczas bankierzy i prawnicy z pobliskich biur, którzy chcieli zjeść lunch w dyskretnym, staromodnym lokalu.

Nash i Atchley usiedli w niszy w tyle sali. Wystrój wnętrza był utrzymany w tonacji czerwono-czarnej. Przyćmione światła stwarzały atmosferę prywatności. W powietrzu unosił się dym papierosowy i dźwięki cichej, nieco piskliwej muzyki. Nash rozejrzał się wokół. Sąsiednie stoliki były puste. Cudownie, panowie z FBI.

Kelner przyjął zamówienie, a Atchley rozsiadł się wygodnie i powiódł wzrokiem po sali, wypatrując ewentualnych wyborców. Nash zaczął się martwić, że może powinien odwołać spotkanie. Mógłby przecież zorganizować wszystko w innym terminie. Potem przyszło mu do głowy, że jednak złoży Atchleyowi propozycję, a przy następnym spotkaniu utrwali się na taśmie fakt przyjęcia przez niego pieniędzy. Wtedy byłby przy tym także Vismara.

Ale zaraz znów zmienił zdanie. Bo może powinien poczekać jeszcze na agentów?

- Muszę pójść do toalety - powiedział, wstając.
- W ciągu paru minut wypilem dwie szklanki wody.

Nash uśmiechnął się wesoło. A Atchley wzruszył ramionami i zaczął żuć skórkę od chleba.

Nash ruszył w kierunku niewidocznych z sali automatów telefonicznych, mijając po drodze pełną krzątających się ludzi kuchnię oraz spieszących do niej i wychodzących stamtąd kelnerów w czerwonych kamizelkach i z ogromnymi aluminiowymi tacami. Wykręcił numer hotelu Cypress.

- Gdzie oni są? - spytał Janice.
- Jacobs dzwonił do mnie. Zgubili się. Ale zaraz tam będą.
- A więc nic tu nie zostało przygotowane? Zupełnie nic?
- Nic. Postaraj się ciągnąć gadkę-szmatkę jeszcze przez jakiś czas.



- A może po prostu umówię się z nim na inny termin. Nie chciał, żebyśmy zabrali ze sobą Vismarę. Dzisiaj postaram się tylko uzyskać jego zgodę.

- Tim, Neil uważa, że powinniśmy mieć na taśmie to pierwsze spotkanie - odparła rozsądnie Janice. - Ja zresztą też. Sam wiesz, co się dzieje, kiedy obrona zaczyna mówić o takich czy innych obietnicach, a my nie mamy nagrania, które udowodniłoby, iż nikt niczego nie obiecywał.

- Przegrałem kilka takich spraw - przyznał Nash. - Ale teraz to był mój własny pomysł. I dziwnie się czuję w tej roli.

Do rozmowy wtrącił się Roemer, który przysłuchiwał się jej cały czas.

- To tak samo jak pływanie. Nauczysz się. Wszystko jest pod kontrolą.

- Gówno prawda - odparł cicho Nash.

- Musiałem to powiedzieć - odrzekł rozbawionym głosem Roemer. - Życzę ci smacznego. Tylko nie zamawiaj za dużo. W końcu płacisz z pieniędzy podatników.

- Pozwolę Haroldowi coś wybrać.

- Nie, jeśli jest taki pospolity, jak mówisz. Połączenie zostało przerwane.

Kiedy Nash wrócił do stolika, sałatki już na nim stały i Atchley jadł swoją.

Usiadł, wycierając wilgotne dłonie lnianą serwetką. Zaczęli wymieniać

między sobą krążące w sądzie plotki o tym, kto i skąd odchodził, z kogo

się wyśmiewano i czy Frenkel wygra wybory na głównego sędziego. Nash

opowiedział kilka zasłyszanych od ojca historyjek, z których jasno

wynikało, że bycie sędzią głównym to ciężka harówka. Jadł powoli, nie

zwracając uwagi na smak potrawy, za to rozglądając się cały czas po sali.

Ludzie wchodzili i wychodzili, kelnerzy przynosili pełne tace, zabierali

talerze, a agentów FBI wciąż nie było widać. Nash miał coraz bardziej

napięte nerwy.

- Opowiedzieć ci coś niesamowitego? - zapytał Atchley. Jadł i pił, coraz to wzdychając i skarżąc się, że w związku z kampanią wiecznie musi gdzieś chodzić i ma już obolałe nogi i plecy.

- Pewnie.

- Mam na myśli czek Wisota na mój fundusz wyborczy. Był bez pokrycia. Dwukrotnie próbowałem go zrealizować. Ale nic z tego.

Zabrał się do sernika. Przesycone zapachem dymu i jedzenia powietrze wokół nich było aż gęste.

162

163

- Pewnie Frank zapomniał po prostu wpłacić pieniądze na rachunek.

- Jasne. Jest taki pochłonięty sprawą szpitala dziecięcego St Andrews i rozgardiaszem wokół tej szkoły w dzielnicy Northgate. A wiesz, jaka jest prawda?

- Nie. Nie wiem.

Nashowi nie podobał się urażony ton Atchleya i rzucane słodkim głosem insynuacje.

- Frank jest splukany. Ot co.

- Żartujesz.

- Wcale nie. Jego fundusz emerytalny w firmie kredytowej świeci pustkami. I nie ma żadnych oszczędności.

- Jak się o tym dowiedziałeś?

- Kiedy się traci tyle pieniędzy, Tim, to bada się sprawę. Mam swoje sposoby, żeby sprawdzać takie rzeczy - odrzekł Atchley. - Tak więc biedny stary Frank jest całkiem goły. Ma nowy dom, który kosztuje go jakieś dwa tysiące więcej, niż wynosi jego miesięczna pensja. No i jego żona wydaje

ogromne sumy. Ale tego rodzaju zmartwienie nie grozi ani tobie, ani mnie.

- Dlaczego nie grozi mnie to wiem - stwierdził Nash. - Ale czemu tobie nie?

- Bo Lilian nie wydaje dużo - odparł zwyczajnie Atchley.

- Co zamierzasz zrobić z tym czekiem?

- Nic. Wyrzuciłem go. Frank najwyraźniej się tym nie przejął. Powiedział, że mu przykro.,

Nash poczuł ogarniającą go ulgę. Oczyma wyobraźni widział już, jak Atchley ujawnia oszustwo Wisota na forum publicznym, co byłoby prawdziwą groteską. W końcu Franka lubili wszyscy, a Atchleya mało kto, przynajmniej w sądzie.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że on tak cienko przedzie. Atchley odsunął od siebie talerz.

- Tego właśnie było mi potrzeba. Raz na dzień porządny posiłek. Te ciągłe zmiany w moim harmonogramie rozpraw i starania, żeby Kalbacher odciążył mnie nieco, abym mógł zająć się kampanią... - pokręcił głową - wszystko to ma fatalny wpływ na mój sposób odżywiania się. -

Uśmiechnął się smutno. - Znów zaczynam tyć.

Nash skinął głową, nie przerywając jedzenia. Zauważył, że do restauracji wszedł Jacobs i jeszcze jakiś facet z walizeczką, w którą wmontowana była kamera. Obaj mężczyźni - zajęci rozmową i nie zwracający uwagi na otoczenie - zajęli stolik dwa jardy dalej. Nasha ciekawiło, ile zdoła zarejestrować ukryty w walizce obiektyw i jak czuły jest mikrofon. Teraz nie mógł zmarnować ani minuty. Skończył jeść, zwinął serwetkę i położył ją na stole. Atchley miał na twarzy wyraz sytego zadowolenia.

- Nie tylko Franka dopadły kłopoty finansowe, Haroldzie - zaczął Nash,

kłamiąc jak z nut. - Mnie również.

- Spłukałeś się przez sprawę rozwodową? Nask przytaknął skinieniem.

- I zanosi się na to, że będzie gorzej.

- Mogę ci jakoś pomóc? - spytał Atchley obojętnie.

Nash pomyślał, że w sądzie słyszał już i prawdę, i kłamstwa. Oddał sprawę, choć czuł, że policjant zeznający, iż zastrzelił uciekającego podejrzanego, kłamie. Akceptował kłamstwa, które Ross opowiadał Soice. Z początku doświadczał pewnego dyskomfortu, ale to minęło, gdy zrozumiał, że celem, któremu służy nie jest odkrycie prawdy, ale wymierzenie sprawiedliwości. Prawda była tylko drogą, a sprawiedliwość punktem, do którego się zmierzało.

Tym, z czego wszyscy jesteśmy najbardziej dumni, myślał Nash, przysłuchując się kłamstwom, które sam opowiadał Atchleyowi, jest umiejętność poznania, gdy ktoś mówi nieprawdę. Sędziowie stawiają to sobie za punkt honoru. Żaden nie chciałby mieć świadomości, że oto siedzi na sali w czarnej todze, patrzy na wszystkich z góry i pozwala robić z siebie głupka.

Nash bał się, że Atchley zorientuje się, iż jest oszukiwany.

Ale jego rozmówca niczego nie wyczuł. Może dlatego, że zupełnie się tego nie spodziewał.

- Natknąłem się na Vismarę, kiedy zajmowałem się sprawą narkotyków -ciągnął Nash. - Zatrzymaliśmy go za posiadanie narkotyków w celu ich rozprowadzania. Miał kokainę. Ale wykręcił się z tego, bo chodziło o sprzedaż z ręki do ręki, a mój kapuś zniknął. Oskarżyłem go o posiadanie, tak tylko, żeby coś zrobić.

- Wybronił się z tego.

- Pewnie. Ale nie na długo - kontynuował powoli Nash. - Wytoczono mu kolejną sprawę, a ja mu pomogłem.

Atchley skinął głową, zupełnie jakby to, co Nash powiedział, nie było niczym szczególnym. Obojętnym ruchem wygładzał obrus na stole.

- Jakiego rodzaju to była pomoc?

- Oddaliłem sprawę o posiadanie narkotyków. Vismara miał przy sobie około dziesięciu gramów koki, a ja w interesie sprawiedliwości wyrzuciłem je na śmietnik. Powiedziałem, że w wyniku rewizji niczego nie znaleziono.

- Założę się, że gliniarze na to nie poszli.

Nash wzruszył ramionami. Niemalże sam uwierzył w tę historię.

Umorzenie sprawy to dziecinnie prosta rzecz - wystarczy w odpowiednim miejscu postawić ptaszek na formularzu, zniszczyć narkotyki, zadzwonić do Wydziału Narkotyków i pomarudzić im o przeszkodach formalnych, i obiecać, że następnym razem przestępca wpadnie w sidła.

- Poszli na to.

Podpierając głowę swymi krótkimi rękoma, Atchley pochylił się do

164

165

przodu, aż jego przesycony potem zapach wydał się Nashowi równie intensywny, co woń smażonych na ruszcie steków.

- Tim, chcesz powiedzieć, że wzięłeś łapówkę? Czy to właśnie próbujesz mi dać do zrozumienia?

Jacobs i towarzyszący mu mężczyzna rozmawiali i śmiali się. A kamera i bardzo czuły mikrofon, dostarczone przez Testę, nieubłaganie wszystko rejestrowały. Nash poczuł, że serce bije mu tak, jakby naprawdę

przyznawał się do popełnienia przestępstwa.

- Dostałem od Vismary dwadzieścia tysięcy, Haroldzie. I to za nic. Po prostu wydałem wyrok przeciwny do tego, który należało.

- Mój Boże - powiedział spokojnie Atchley. - To najbardziej niewiarygodna rzecz, jaką słyszałem. O mój Boże.

Nie wyglądał jednak na człowieka wzburzonego.

- Vismarę aresztowano kilka dni temu pod zarzutem jazdy pod wpływem alkoholu. Nie był wprawdzie pijany, ale miał w samochodzie znaczną ilość koki. Ma być postawiony w stan oskarżenia przed sądem miejskim.

- O nie - Atchley pokręcił głową. - Nie chcę słyszeć ani słowa więcej. Nie wstał jednak z krzesła.

- Tę kwestię już sam rozwiązałem, Haroldzie - powiedział Nash. -W Biurze Prokuratora Okręgowego pracuje mój stary przyjaciel. To oskarżenie upadnie. Brak wystarczających dowodów. Sprawa Vismary trafi do twojego sądu.

- Mojego? A to niby w jaki sposób?

- Wydział zwolnień warunkowych ma zamiar oskarżyć go o wejście w konflikt z prawem w okresie zawieszenia kary za tamtą sprawę ze sprzedażą narkotyków. Jeśli uznasz, że rzeczywiście naruszył prawo, to mogą wysłać go za kratki.

Atchley uważnie przyglądał się Nashowi.

- Ale ja dostanę tylko do przeczytania raporty policyjne i wysłucham zeznania oskarżonego. - W dłoniach zaciskał mocno zgniecioną serwetkę.

-Chcesz, żebym oddalił oskarżenie?

- Decyzja należy wyłącznie do ciebie - odparł Nash. - To to samo, co oddalenie sprawy w Biurze Prokuratora Okręgowego. Możesz przecież

uznać, że ci faceci z wydziału zwolnień nie zebrali wystarczających dowodów.

- Za ile?

- Vismara to nieźle nadziany gość, Haroldzie. Nie chce trafić z powrotem do paki. Jest gotów zapłacić sześćdziesiąt tysięcy dolarów za wycofanie oskarżenia i oddalenie sprawy o naruszenie prawa w czasie zawieszenia. Z tego piętnaście dla mnie, dwadzieścia dla ciebie, a reszta dla Prokuratury Okręgowej.

- Kim jest ten twój przyjaciel w biurze prokuratora? - spytał Atchley, marszcząc brwi.

- Dobrze wiesz, że ci tego nie powiem. Atchley skinął głową.

- Właśnie dlatego wszyscy ci ufają. Jesteś lojalny.

Nash ochłonął już nieco. Wyczuwał, że Atchley chwycił przynętę, słyszał zainteresowanie w jego głosie i stawianych pytaniach.

- Nie wydaję przyjaciół - odrzekł Nash.

- Dwadzieścia tysięcy dolarów? - powtórzył Atchley. Nagle bardzo ściszył głos. - Domyślam się, że w gotówce?

- Tak. Możesz je wykorzystać na kampanię.

- I odbyłoby się to tylko między nami? Nie musiałbym rozmawiać z nikim więcej?

- Jeśli tak sobie życzysz.

Atchley oparł się na krzesło i, oddychając ciężko, wpatrywał się w Nasha. Czyżby wyczuł kłamstwo? Czy nie wierzył, że Tim Nash mógłby brać łapówki i sam je dawać? Nash odsunął od siebie talerzyk z ciastem malinowym. Powiódł wzrokiem za jakąś starszą parą, która akurat przeszła obok - mężczyzna obejmował ramieniem swoją żonę. A niski kelner z

zastawioną deserami tacą pochylił się właśnie nad jednym ze stolików, usiłując namówić wpatrujące się w nią dwie korpulentne panie, by coś sobie wybrały.

- No więc jak będzie, Haroldzie? Nie ma zbyt wiele czasu. Nowa rozprawa będzie pewnie przygotowana w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Zarzut o pogwałcenie zasad zawieszenia zostanie wysunięty jutro i sprawa trafi do twojego rozkładu zajęć - przynaglał Nash.

Jednak Atchley odsunął krzesło.

- Muszę już iść, Tim. Podwieźć cię gdzieś?

- Tylko tyle?

- Tak.

- Wezmę taksówkę.

Nash nie potrafił ukryć szczerzej goryczy w głosie. Przynajmniej to było prawdziwe. Atchleyowi się udało.

Stanął przy stoliku i pochylił się nad nim - oddech miał przesycony zapachem wina i sernika, oczy ciemne, twarz zaczerwienioną.

- To było prawdziwe objawienie. Odkryłeś przede mną sprawy, o których istnieniu nie miałem pojęcia.

- Przecież kręcisz się po sądzie i po mieście - odciął się Nash, odwracając twarz.

- Wiem, że inni są w to zamieszani. Ale myślę o tobie. Zaskakują mnie ludzie, których znam. Kto wie, może proponując mi wstąpienie do tego klubu skorumpowanych chciałeś, mnie mile połechtać. Ale wcale nie czuję się mile połechtany. Twoja oferta przyprawia mnie o mdłości.

Nash dostrzegł, że na twarzy Atchleya malowała się szczerza pogarda i bardzo go to zdziwiło.



- Po prostu chciałem trochę pomóc nam obu, to wszystko.
- Naprawdę? - Atchley się wyprostował.
- Nic nie możesz zrobić, Haroldzie. Nigdzie nie znajdziesz dowodów.

Atchley powiódł wzrokiem dokoła.

166

167

- Świetny temat do wykorzystania w kampanii. Sędzia przeprowadza czystkę w sądzie.
- A wiesz, co by zrobili ci, którzy cię popierają? Inni sędziowie? Zostałbyś całkiem sam.

W przypadku Atchleya ta pogróżka była rzeczywiście uzasadniona. Nash czuł się sfrustrowany i żałował, że nie może przywołać Jacobsa i sprawić, żeby z twarzy Atchleya zniknęła ta obłuda. To była prowokacja, Haroldzie, chciał mu powiedzieć, a ty niemal połknąłeś haczyk.

- Może i tak - odparł Atchley, kręcąc lekko głową. - Mam pewną propozycję, Tim. Biorąc pod uwagę to, co dzisiaj zaszło, pomyśl poważnie o poparciu mojej kandydatury. Rozwiązałyby to mnóstwo ewentualnych problemów.

Dotknął ręką luźno zawiązanego krawata, przeciągnął obojętnie dłonią po czole i odszedł. Nash został przy stoliku i zamyślił się. Zauważył, że tuż obok leży rachunek. Wstał, zapłacił za kolację i opuścił restaurację. Zatrzymał się przed wejściem. Przygotowany był na wszystko oprócz porażki. Jacobs i jego towarzysze wyszli wkrótce za nim, nie odzywając się do siebie ani słowem. Na zewnątrz, w cieniu między dwiema ulicznymi lampami stała zaparkowana jasnoniebieska furgonetka. O tej porze ruch na szosie prowadzącej w kierunku miasta był niewielki.

- A potem ten sukinsyn jeszcze się odwrócił i próbował mnie szantażować  
- z wściekłością w głosie opowiadał Nash Roemerowi i Janice w apartamencie hotelu Cypress.

- Przesłuchaliśmy taśmy - odrzekł Roemer.

- A może wykorzystać ten szantaż? Na początek to całkiem niezłe. Janice pokręciła przecząco głową.

- Nie, Tim, on wyraził się dość niejasno. Poprosił cię po prostu o poparcie w wyborach. Wyraźnie odmówił przyjęcia pieniędzy.

- Nie zamierzam popierać jego pieprzonej kandydatury.

Nash wstał z krzesła. Agenci FBI poszli do furgonetki po przenośny sprzęt. Roemer czuł się mocno zażenowany tym, co się stało.

- To już twoja sprawa. Ja niczego się nie obawiam z jego strony -oznajmił Roemer. - To typ faceta, który ucieka.

- Byłbym gotów przysiąc, że Atchley weźmie łapówkę - ciągnął Nash.

- Człowiek uczy się całe życie - skomentowała Janice.

- Chcę od razu zająć się kimś innym - obwieścił Nash. Rozejrzał się po nie zamieszkanym, choć wynajętym apartamencie. - W przeciwnym razie cała ta sprawa to tylko strata czasu.

Roemer trzymał w dłoni szklankę wody gazowanej. Nash nigdy przedtem nie widział go pijącego. Nawet kiedy kilka minut temu siedzieli wszyscy w ciasnej sypialni, oglądając niewyraźne zdjęcia z restauracji, filmowane ukrytą w walizeczce kamerą na podczerwień, Roemer był całkiem na luzie. Nieco

inaczej niż Nash odbierał udział w tajnej operacji. Chciał czuć, jak nabiera ona rozmachu, a Atchley nie dopuścił, by osiągnęła punkt kulminacyjny.

Nash ze zdumieniem patrzył na widziany okiem kamery stół w

restauracji Strawna. Zegar w prawym rogu obrazu wskazywał mijające sekundy, i głos Atchleya i jego własny wydawały mu się trochę przytłumione i ściszone. Miał wrażenie, że obserwuje swego brata bliźniaka. Przypomniało mu się wydarzenie z czasów, kiedy miał osiemnaście lat i poszedł do szpitala Santa Maria, żeby poddać się testom wykrywającym wrzody. Lekarz ustawił go w kabinie rentgenowskiej, kazał wypić roztwór baru, a potem na jaskrawym zielonym ekranie obserwował, jak mętny płyn spływa w dół szarej przezroczystej rurki, otoczonej przez szarawe żebra. Widok własnych wnętrzności wydał się Nashowi odrażający, a zarazem fascynujący.

Uświadomił sobie wówczas, że widzi coś, co normalnie jest ukryte i chronione tajemnicą przez jego własną skórę. I podobnie dzisiejsze spotkanie, sfilmowane ukrytą kamerą, było tylko czymś, co minęło nie dostrzeżone. W końcu, pomyślał, to nie są widoki przeznaczone dla ludzkich oczu.

- Tak, uważam, że czas podjąć kolejne kroki - oświadczył Roemer.

Rozłożył na stole listę sędziów, którą Nash kiedyś oglądał. - Chyba nieźle znasz Ruth Frenkel?

- Na gruncie towarzyskim niezbyt dobrze. Ale jesteśmy zaprzyjaźnieni.

- Dostaliśmy istotną informację, z której wynika, że dała się kupić. Ciężko mu było tego słuchać. Zaczęło się. Atchleya wybrał sobie sam - miała to być generalna próba uwieńczona zwycięstwem. A teraz inni wybrali mu kogoś, kogo lubił.

- W jakiej sytuacji? Co zrobiła? Roemer popatrzył na Janice.

- Obiecała pewnemu oskarżonemu łagodniejszy wyrok za pięć tysięcy dolarów. Ten osobnik winny był napadu z bronią w rękę.

- Zranił kogoś?

Janice potrząsnęła przecząco głową.

- Właściwie nie. Złamał tylko rękę. Ot, marynarz na urlopie odwiedza rodzinę. Oskarżony mógł tyle zapłacić.

- Czy twoje źródło to ktoś z więzienia? - spytał Nash, nie dowierzając.

- Nie bardzo można im ufać.

- Chwalił się, że zna nieuczciwego sędziego w Santa Maria.

Doszukaliśmy się jeszcze dwóch wyroków, które można by zakwestionować, a świadek gotów jest zeznawać.

- W porządku - powiedział Nash. - Zobaczę, jak zachowa się Ruth. Ale nie sądzę, żeby na to poszła.

- Wówczas będziemy mieć kolejnego uczciwego sędziego do pomocy

- odrzekł Roemer, starannie składając kartkę z nazwiskami. - Właściwie to będę musiał trzymać się nieco na uboczu. Nie chcę, żeby - kiedy ta sprawa trafi na wokandę - jakiś pieprzony obrońca wzywał mnie na świadka na procesie, który sam poprowadzę. - Roześmiał się.

168

169

Nash czuł się ogromnie zmęczony. Dochodziła północ, a on miał wrażenie, że przebiegł wiele mil i nigdzie nie dotarł.

- Jutro pomówię z Ruth. Z samego rana. Zorganizuję coś najszybciej jak się da.

- Trzeba wykorzystać wreszcie ten pokój, a nie tylko w nim spać - zgodził się Roemer.

Nash rzucił tęskne spojrzenie Janice.

- Czy Vismara czuje się zawiedziony?

- Louis ma przed sobą długą drogę. Jest realistą. Wie, że będzie jeszcze wiele akcji - odparła. Popatrzyła w stronę drzwi.
- Podrzucić cię do domu? - Dotknął delikatnie jej ramienia. Dziewczyna uśmiechnęła się i skinęła głową.
- Pojadę z Timem - powiedziała do Roemera.
- O.K. - odparł Roemer, rzucając na sofę kartkę z nazwiskami i byle jak zwinięty płaszcz. - Rób, jak uważasz.

Rozdział dwudziesty trzeci.

Roger Valles nie lubił szpitali, a zwłaszcza pogotowia ratunkowego. Przedpołudnie było chłodniejsze wprawdzie niż kilka ostatnich dni, ale upstrzony chmurkami błękit nieba wciąż był czysty i bez skazy niczym porcelana. On i Witwer mieli na sobie farbowane T-shirty i ludzie trzymali się od nich raczej z daleka. „Przypominamy szurniętych hipisów” - stwierdził z zadowoleniem Witwer, gdy nie spiesząc się wchodzili do szpitala.

Valles nienawidził tego miejsca, ponieważ to właśnie tu przywożono wszystkich szaleńców zgarniętych z ulicy. Na pierwszej służbie zlecono mu odbyć patrol po ulicach miasta, więc jeździł wielkim czarno-białym furgonem, którego dodatkowo wzmocniona kabina mogła pomieścić osiem osób, i rozglądał się po uliczkach wokół podmiejskich parków, po ciemnych alejkach i okolicach starych hoteli w poszukiwaniu pijaków, którzy tam właśnie zwykle leżeli albo się awanturowali. Zawsze nosił rękawiczki. Prał je często, tak jak i całe ubranie, ale odór, który na nich

pozostawał po kontaktach z pijakami, był nie do usunięcia. Kiedyś w alejce za hotelem Clarion, obitym dyktą i wynajmowanym na dni schronisku przy stacji autobusu Greyhound na Marklee Avenue, znalazł strasznie zarośniętego mężczyznę. Chłodny październikowy wieczór, godzina siódma. Zarówno Valles, jak i jego kolega myśleli, że zwinięte na chodniku cuchnące ciało jest martwe. Pochylił się więc nad nim i obleczonymi w rękawiczki dłońmi obrócił. Pijak jęknął, zaczął mamrotać jakieś przekleństwa i zsiakał się. Wtedy Valles zauważył, że z ubrania tego człowieka spadają robaki wprost na jego buty i za mankiety spodni. Krzyknął, puścił pijaka i jak szalony zaczął strząsać białe larwy. Czuł je na sobie przez kilka następnych dni, chociaż Arlene wszystko dokładnie wyprała.

Tamten pijak trafił właśnie do pogotowia ratunkowego. Podobnie jak inni, wrzeszczący i hałasujący włóczędzy, których Valles zgarniał z ulic miasta do swej czarno-białej furgonetki.

171

Oprócz nich byli jeszcze ci z ranami od kul czy noża, ofiary gwałtów i wszyscy ci pokiereszowani, poturbowani i posiniaczeni ludzie, którzy są niejako codziennym produktem życia miejskiego. Valles musiał przyjeżdżać do pogotowia i spisywać zeznania tych osób. Pewnego razu przesłuchiwał mężczyznę, którego ktoś uderzył w głowę maczetą i choć ostrze wciąż tkwiło w jego czaszce, mówił całkiem przytomnie, ale zaraz potem umarł. Ale tym zdecydowanie najważniejszym powodem, dla którego nie rzucająca się w oczy kupa cegieł z białymi framugami okien, czyli pogotowie, stała się miejscem odrażającym, były dzieci. Siedziały tam poparzone, pokaleczone, pobite, obandażowane, a on starał się wkraść

w ich łaski, by wyciągnąć z nich zeznania. Miał wrażenie, że zawsze odbywa się to w tym samym, pokrytym linoleum pokoju, w którym charczało i płakało kilkanaścioro dzieciaków, lekarze i pielęgniarki chodzili od jednego do drugiego, a wszystko pachniało chemikaliami i strachem. Pamiętał dziewczynkę o imieniu Tina. Miała sześć lat, pokazywała mu jak gra na pianinie, opowiadała, jak ją skrzywdzono - jej biała skóra klatki piersiowej naznaczona była czarno-czerwonym śladem po żelazku, którym przypalał ją ojczym.

- Z kim jeszcze rozmawiałeś? - spytał Valles Witwera a propos poszukiwania Vismary. Nie chciał w tym szpitalu wspominać przeszłości. Zbyt była żywa, zbyt wyraziście jawiła mu się przed oczami.

- Z Lazarusem, Hokeyem i dwoma ponurakami mieszkającymi tam, gdzie kiedyś Ratman.

Pchnął drzwi prowadzące do oddziału dla zatrzymanych przez policję. Kolory ścian były tu bledsze, wszystkie matowozielone, za to zapachy bardziej intensywne, jakby dla zachowania równowagi.

- A w jego mieszkaniu na South Manzanita?

- Nie. Ale byłem w domu na Starling. To ten z rozwaloną lodówką na trawniku.

Valles pokazał przepustkę strażnikowi w okratowanej stróżówce tuż za drzwiami. Witwer także mignął mu przed oczami swoją odznaką. Dostali wtedy niewielkie, przypinane do ubrania identyfikatory, ale musieli zdeponować broń.

- Myślałem, że na Starling nocował tylko czasami. A mieszkał na Manzanita - przyznał Valles.

- Nie ma go tam. Na Starling także. Szukałem go przez CII, rozmawiałem

z tymi ponurakami. Wpadł jak śliwka w kompot.

- Może nie żyje.

- Może, przynajmniej dopóki nie muszę zawracać sobie nim głowy. Zaraz jednak zapomnieli o tym niezbyt wyraźnym tropie prowadzącym do Vismary. Kobięca część oddziału dla zatrzymanych przez policję mieściła się w jasno oświetlonej sali o nieco staroświeckim wyglądzie, który nadawały jej staromodne lampy, wysokie, podzielone na małe szybki okna i kilka kwiatków zdobiących stoliki. Stało tu dziesięć łóżek, a niektóre z nich osłonięto kotarami w kolorze limonki. Z dziesięciu kobiet, które znajdowały

się w pokoju, kilka czytało, jedna siedziała na brzegu łóżka i kaszłała.

Prawie wszystkie były chude, a w powietrzu unosił się nikły zapach talku.

Valles i Witwer podeszli do czwartego, licząc od drzwi, łóżka.

- Cześć, Maize. Niełatwo było cię znaleźć - powiedział Valles wesoło.

Leżąca w pościeli drobna czarna kobieta zwróciła głowę w jego stronę.

Miała zapadniętą twarz i mocno skręcone włosy. Jej prawa noga przywiązana była do stalowego stelażu łóżka. Vallesowi przemknął przez myśl obraz schwytanego w sidła lisa.

- Jak się masz? - spytał Witwer z uśmiechem, zerkając na pozostałe kobiety, które przypatrywały się im i słuchały.

Kobieta na łóżku znów się poruszyła. Miała przekrwione ogromne oczy.

- Co macie dla mnie? - spytała.

- Nic - odparł Valles.

- Nie prosiłaś o nic - dodał Witwer.

- Idźcie do sklepu, przynieście mi trochę trawki, ciutkę koki, mają tam niezłe świństwa, przynieście mi co nieco.



- Zaraz sobie zapiszę - powiedział Valles.

Stali z Witwerem na tyle blisko jej łóżka, że mogli mówić cicho. Dla kogoś obserwującego sprawiali wrażenie przyjaciół albo handlarzy.

- Oskarżyli cię z paragrafu jedenaście trzy pięćdziesiąt? Tak właśnie słyszałem - rzekł Valles. Oparł się o łóżko. Koścista noga kobiety wystawała spod kołdry.

- Zostało mi tylko troszkę, tak w sam raz, żeby jeszcze raz być na haju, a ten pieprzony drań mówi, że potrzebuje co nieco, no to mu pomogłam, a on mnie zaskarżył.

- Tajniacy od narkotyków to najgorsi skurwiele, Maize. Musisz uważać na tych drani - poradził Witwer.

- Możecie mnie jakoś stąd wydostać? - spytała powoli. Język miała obłożony, a twarz pokrywała gruba, przypominająca galaretę warstwa mocno nieświeżego potu.

- Już ci pomogliśmy, Maize. Uczciwi z nas faceci - odparł Valles.

- Gówno prawda. Gówno dla mnie zrobiliście.

- No cóż, chcielibyśmy coś od ciebie. Chodzi o faceta nazwiskiem Louis Vismara, mniej więcej tego wzrostu - Valles uniósł dłoń nad popekaną podłogą na wysokość około pięciu stóp - ubiera się przyzwoicie, nosi mały wąsik i zwykle płaszczy się przed ludźmi. Ma do czynienia głównie z koką.

- Wiesz, że dałam cynk o tamtym ścierwie, przydało wam się jak cholera - powiedziała Maize, podciągając się nieco na łóżku. Wpadające przez wysoko umieszczone okna słońce zaświeciło jej teraz prosto w twarz, aż zmrużyła oczy. - Gorąco mi.

- Widziałaś tego sukinsyna? Słyszałaś o nim? - nalegał Valles.

- Pomożecie mi w sądzie?

- Pewnie. Wiesz co, pójdę do sądu, stanę i przysięgnę, że jesteś najle-

172

173

psza - powiedział Valles, przekrzywiając głowę i drapiąc się w brodę. Musiał jakoś poprawić jej humor. Najwyraźniej męczył ją głód narkotykowy i była pod wpływem środków przeciwbólowych.

- Myślę, że powinniście coś dla mnie zrobić, ja wam pomogłam, a jak wyjdę, to jeszcze wam pomogę. Jak tylko się stąd wydostanę, będę dla was pracować - obiecała.

Pielęgniarz, wysoki chudy mężczyzna, wjechał z wózkiem pełnym małych białych filiżanek i z plastikowym dzbankiem wody. Niektóre kobiety rzucały pod jego adresem sprośne żarty, lecz on je całkowicie ignorował. Znajdował się teraz na samym końcu sali, a Valles chciał zakończyć rozmowę z Maize, zanim pielęgniarz zbliży się na tyle, by móc ich słyszeć. Etykiетка szpitalowego kapusia naprawdę nie była Maize potrzebna. Dziewczyna bardzo mu pomogła. Valles siedział przy niej przez wiele nocy, karmiąc ją pączkami, pojąc słodką kawę, a nawet, kiedy było to potrzebne, wskazując jej pewne dobre strony sytuacji, w której się znalazła. Maize miała dwadzieścia dwa lata i zanosilo się na to, że nie dożyje trzydziestki. Najlepsze, co Valles mógł dla niej zrobić, to doprowadzić do tego, by pod zarzutem posiadania narkotyków stanęła przed sądem i trafiła do więzienia, gdzie mogłaby przynajmniej pożyć przez jakiś czas w czystości i nie głodując. Teraz jednak Valles jej potrzebował, a z osobą pokroju Maize nigdy nic nie było wiadomo. Kto wie, pomyślał, może pewnego dnia, zanim jeszcze stuknie jej trzydziestka,

jej brat Monroe pośle ją na cmentarz. O ile w ogóle się odnajdzie.

- O.K., Maize. Ty mi powiesz o Vismarze, a ja ci załatwię zwolnienie.

Witwer aż wstrzymał oddech, nie spuszczając wzroku z pielęgniarza, który powłócząc nogami, pchał turkoczący wózek w ich kierunku. Kobiety leżące w łózkach obok spały z otwartymi ustami, głośno chrapiąc.

- Nie znam go - powiedziała Maize, osuwając się znów na poduszki, tak że promień słońca padał teraz na jej brzuch. - Ale może o nim słyszałam.

- Szybciej, Maize. Nie chrzań teraz. Czas ucieka.

- Nie chrzanię - upierała się przy swoim, a na jej wynędzniałej twarzy malowała się nieustępliwość. - Słyszałam nieraz o jakimś kurdupłowatym lalusiu, podobnym z opisu do tego waszego; przychodził i odchodził, gdzieś niedaleko Riverrun Avenue, to na południu miasta, wiesz gdzie?

- Mieszkał tam?

- Idź do Morrisa, tam gdzie mieszkałam, on ci powie. Zna tych wszystkich facetów.

Osunęła się jeszcze niżej. Witwer skinął głową.

- Pogadamy z nim.

Valles już chciał powiedzieć coś miłego na pożegnanie. Od hałasującego pielęgniarza z wózkiem dzieliły ich zaledwie dwa łózka, ale mężczyzna wdał się akurat w sprzeczkę z jakąś kobietą, która chciała dostać pigułkę innego koloru. Maize przesunęła językiem po suchych wargach.

- Muszę dostać choć odrobinę. Bo wykorkuję tutaj.

- Powiedz swojemu doktorkowi.

Valles uśmiechnął się szeroko i zbierał się już do odejścia razem z Witwerem.

- Mógłbyś mi coś przynieść, troszkę jakiegoś świństewka, żebym jakoś tu

przetrwała? Jak wyjdę, będę dla was pracować, ale muszę tu wytrzymać, co?

Valles zawahał się.

- Tylko ten jeden raz?

- Tylko jeden, złotko.

Witwer pokręcił głową, ale on nie był w tak bliskich układach z Maize.

- No dobrze, wieczorem przyniosę ci troszkę - obiecał Valles. Maize leżała na plecach z przymkniętymi oczami.

- Naprawdę będę dla was pracować. Cały czas, jak tylko wyjdę.

Pielęgniarz przeszedł obok nich z obrażoną, pogardliwą miną. Witwer nie odzywał się, dopóki nie odebrali od strażników broni i nie ruszyli w stronę wyjścia z pogotowia. Gdy zaczął mówić, przed szpital zajechała akurat karetka na sygnale, a jacyś mężczyźni i sanitariusze zaczęli się wokół niej krzątać, jakby to samochód był ranny.

- Rog, chyba nie zamierzasz dać Maize czegoś, czego dawać jej nie powinienes, co? To by było cholernie głupie.

Valles z powagą na twarzy minął recepcję i tłum niespokojnych, zapłakanych i lamentujących krewnych.

- Zasłużyła sobie. Zdobędę dla niej trochę trawki, trochę czegokolwiek.

Kupię małą dawkę od jednego z naszych narkomanów.

- Nie chcę o tym słyszeć - powiedział Witwer w samochodzie, kiedy stali pod porcelanowo błękitnym niebem i patrzyli na ciągnący się przed szpitalem wąski, zielony trawnik, z którym sąsiadowały jeszcze trzy kościoły, kwaciarnia i dwa domy pogrzebowe, czyhające tu niczym zachłanni spadkobiercy przy łóżku umierającego.

- A coś mówiłem? - zdziwił się Valles.

Louis Vismara siedział w samochodzie - białym, nisko zawieszonym sportowym wozie o opływowych niczym wyścigowe auto kształtach - czekając, aż jakiś wewnętrzny głos podpowie mu, kiedy powinien wysiąść. Pocił się w swoim ciemnym garniturze. Promienie słońca padały na jedwabisty materiał i paliły jak ogień. Jak ogień piekielny czekający na grzeszników, pomyślał Vismara, ponownie zerkając na zdobiony sztukaterią kościół po drugiej stronie ulicy i widniejący na nim, pomalowany na złoto krzyż. Żywopłoty wokół niego były równo przystrzyżone, klomby mieniły się różnymi barwami kwiatów, kamienny Jezus płakał na trawniku. Vismara wrócił myślami do tamtych lat, gdy w nowych, ciasnych butach szedł tą samą ścieżką z czerwonej cegły, tymi właśnie kamiennymi schodkami, a w drzwiach czekał szukający go wszędzie ksiądz Salazar, który marszczył czoło i zacierał dłonie, bo jego ministrant znów się spóźniał na poranną mszę.

- Usmażę się tutaj - odezwała się młoda kobieta, siedząca obok Vismary.

174

175

Miała oszałamiające oczy i usta, ale zbyt mocno umalowane. - Idziemy gdzieś?

- Wejdę tam.

Louis otworzył drzwi i wysiadł. Ta żalosna skarga dziewczyny była tym znakiem, na który czekał. Popatrzył na nią - miała na sobie sprane dżinsy tak ciasne, że opinały ją jak druga skóra i bluzkę, która nie pozostawiała pola wyobraźni.

- Idziesz do kościoła w czwartek?

- Poczekaj tu na mnie. Niedługo wrócę. - Odwrócił się od niej.

- Ale ja się usmażę - zaprotestowała: - Nie chcę tu siedzieć. Vismara wszedł przez dębowe drzwi do kościoła świętej Filomeny, gdzie na podłogę z czerwonej terakoty padało połyskliwe niebieskozielone światło, sączące się przez niewielki, umieszczony w drzwiach witraż. Tak było tu ciemno i chłodno. Louis dopełnił rytuału, przeżegnał się i ruszył w głąb kościoła, krocząc jakby we śnie.

Opadły go wspomnienia minionych lat. W tych dębowych ławkach, ciemnych i wypolerowanych, siadali, klękali i szeptali modlitwy jego rodzice, siostry i wszyscy sąsiedzi. W niszach wisiały namalowane pastelami stacje drogi krzyżowej, ale główny ołtarz stał teraz nieco inaczej niż kiedyś, przodem do zgromadzonych wiernych.

Vismara rozejrzył się dokoła. Przy niewielkim bocznym ołtarzu krzątał się wychudzony siwiuteńki mężczyzna w czarnej sutannie z białym koszem pełnym kwiatów pomarańczy.

Louis poczuł, że odżyła w nim dawna nienawiść i zakłopotanie. Ale musiał to powiedzieć. Ten człowiek powinien wiedzieć.

- Ksiądz Salazar? - spytał, obawiając się, że mimo wszystko staruszek okaże się kimś innym niż ten, którego chciał spotkać.

Kiedy jednak duchowny, nie wypuszczając z rąk koszyka, odwrócił się w jego stronę, Vismara zobaczył, że to on. Twarz przypominała usiany czerwonymi plamkami pergamin. Włosy jak dawniej miał starannie uczesane, i Louis pomyślał przez chwilę, że to może peruka. Szkła w okularach księdza pogrubiały, a spojrzenie stało się mniej wnikliwe.

- Słucham? Ale jestem zajęty, więc jeśli to sprawa na dłużej...

- Pamięta mnie ksiądz?

Duchowny odstawił koszyk i cofnął się nieco. W pustym, oczekującym na

wiernych kościele jego kroki rozległy się echem.

- Nie - odrzekł.

- Jestem Louis. No wie ksiądz, syn Louie'ego Vismary. Służyłem księdzu do mszy. - Poczł się trochę niezręcznie po takim wstępie. Zupełnie jakby kiedyś, dawno temu, ten ksiądz przed tym właśnie ołtarzem nigdy na niego nie krzyczał i go nie ganił. Ruszył w ślad za nim.

- Odwiedziłeś stare kąty?

- Przyszedłem zobaczyć się z księdzem.

- To bardzo miło z twojej strony. No tak. Jak tam twój ojciec?

- Umarł kilka lat temu.

Salazar zatrzymał się, a twarz skrzywiła mu się w ten dobrze znany sposób, który oznaczał albo skupienie, albo nadchodzący gniew, a Vismarze wydało się, że czas cofnął się wiele, wiele lat.

- Tak sobie pomyślałem. Już od dawna tu nie przychodzi. Lubilem go. Ale miał też córki.

- Moje trzy siostry. Frances, Maria i Aleks. To zdrobnienie od Aleksandry.

- Śliczne dziewczyny. I śliczne mają imiona.

Doszli do małych, prowadzących do zakrystii drzwi. Salazar cały czas szedł przodem. Wciąż musiał schylać się nieco, przechodząc pod niską framugą. W pokoju nic się nie zmieniło poza tym, że teraz stała tam maszyna wielkości szafki na dokumenty. Ksiądz coś przy niej pomajstrował i po chwili dało się słyszeć dochodzące z niej buczenie.

Duchowny spojrział na zegarek i coś policzył.

- A więc pamięta mnie ksiądz? - spytał ponownie Vismara.

- Minuta - odliczył Salazar. Potem jeszcze coś poprawił w maszynie.

-Muszę skorygować czas; to nasz automat uruchamiający dzwony. Którejś

nocy zepsuł się programator i dzwony zaczęły dzwonić o trzeciej nad ranem.

Vismara skinął głową i dotknął ręką zroszonego czoła. Nawet teraz, chociaż ksiądz był stary i wielu rzeczy już nie pamiętał, a czasy, w których Vismara żywił do niego niechęć, dawno minęły, nie mógł się pozbyć okropnego wrażenia, że ten człowiek go osądza i znajduje w nim braki.

- Pamiętam, że miał tu ksiądz kiedyś takiego faceta. Johnny'ego? A może Franka? Był chyba opóźniony w rozwoju? Przychodził tu i zajmował się dzwonami. A teraz ma ksiądz maszynę - wspominał Vismara, starając się podtrzymać rozmowę. Pot lał się po nim strumieniem.

- Nazywał się John Guerro - poprawił Salazar kwaśno. - Dobry był z niego człowiek i wszyscy go lubili.

- Tak. Pewnie. Nigdy o nim nie myślałem, dopiero dziś mi się przypomniał. Vismara zrobił kilka kroków. Salazar stanął przy wysokiej, dębowej

szafce, w której leżały wykrochmalone, lekko pachnące kamforą ornaty.

Louis pomyślał o spędzonych tu wczesnych rankach, o tym, jak przygotowywał kielich i inne rzeczy; jak ksiądz Salazar się denerwował, a w na wpół pustym kościele mamrotali pacierze wierni zebrani na poranną mszę. Louis robił wszystko ze strachem i niechęcią, bez cienia wiary w siebie. Kiedyś ojciec go zbił, bo Salazar naskarżył, że w niedzielę spóźnił się na ranną mszę.

- Przykro mi. Mam dziś po południu cztery śluby, jeden po drugim i muszę się pospieszyć. - Duchowny westchnął i zamknął szafkę z ornatami.

- Co ja miałem teraz zrobić?

- Zabrałem się do pewnej roboty, proszę księdza.



- Nie mam teraz czasu.

- Ale musi ksiądz. To ważne, żeby właśnie ksiądz to wiedział. Salazar przyjrzał się Vismarze uważniej. Louis poczuł się tym zakło-

176

177

potany. Nagle uświadomił sobie, że aż do tej chwili ksiądz zupełnie go nie pamiętał. Pozostałych członków rodziny, owszem tak, ale jego osoba zniknęła z pamięci duchownego tak zupełnie, jak kreda wytarta gąbką z tablicy.

- Jesteś Louis. Byłeś ministrantem.

- Dwadzieścia lat temu - dodał Vismara, zalewając się potem. - To było bardzo dawno. Od tamtej pory miałem trochę kłopotów.

- Wtedy też miałeś kłopoty. - Kłótność Salazara dała o sobie znać.

Utkwił wzrok w Vismarze. - Byłeś złodziejem. Czy znowu zająłeś się kradzieżą?

- Postanowiłem się zmienić, proszę księdza. Zabrałem się do czegoś, czym wszystko naprawię.

Ksiądz ruszył w kierunku furtki prowadzącej do niewielkiego ogródka po wschodniej stronie kościoła.

- Miło mi to słyszeć. Zawsze się cieszę, kiedy ktoś chce zmienić swoje życie na lepsze.

Szli teraz jeden obok drugiego po wyłożonej granitem ścieżce, wzdłuż której ciągnęły się malutkie grządki ziół i kwiatów pielęgnowanych przez dzieci ze szkółki niedzielnej oraz przez pracującego tu ochotniczo ogrodnika. Vismara miał przemożną chęć krzyknąć na księdza. Staram się, pragnął zawołać, co jeszcze mam zrobić?! Próbuję na powrót stać się tym,

kim ksiądz powiedział, że mam być.

- A więc wszystko w porządku, proszę księdza? Mogę wymazać moje złe uczynki? To znaczy czy można zastąpić zło dobrem?

Salazar ponownie zmarszczył brwi, a w popołudniowym upale jego cieniutka jak pergamin skóra zaczerwieniła się lekko. Przy samym końcu ogrodu, w pobliżu plebanii, zatrzymały się dwie długie białe limuzyny. Zaczęli się z nich wysypywać uczestnicy pierwszej ze ślubnych ceremonii, jacyś ludzie w bieli i czerni, z kwiatami i aparatami fotograficznymi.

- Tego nie wiem - odrzekł ksiądz. - Nie wiem, co takiego zrobiłeś.

- Ale przecież zawsze ksiądz to powtarzał. Że można wymazać złe uczynki - ze złością w głosie bronił swego Vismara.

- Sam nie wiem. Może i jest to możliwe. Nie wiem, co Bóg akceptuje, a co odrzuca. Musisz po prostu postępować dobrze. To wszystko czego jestem pewien.

- Ale to mi nie wystarczy.

- Nic więcej nie usłyszysz. Przynajmniej ode mnie.

Doszli tak do drzwi plebanii. W budynku rozdzwonił się telefon. Vismara poczuł, że ogarnia go rozpacz: Co właściwie miał jeszcze zrobić? I co powinien powiedzieć?

- A wie ksiądz, pamiętam tamte msze. Te o szóstej rano. Przychodził ksiądz nie ogolony. Nieraz widziałem, że ksiądz sobie wypił. Byłem wtedy dzieckiem, ale potrafiłem to poznać - wygadał się Vismara.

Z przeszłości nieubłaganie wypłynęło wspomnienie młodego Salazara

178

o przekrwionych oczach i niezgrabnych ruchach, z trudem wciągającego na siebie liturgiczne szaty. Czasami ksiądz musiał nawet opierać się na

jego ramieniu, kiedy wchodzili do kościoła.

Duchowny spojrzał na Vismarę. W jego wzroku nie było niechęci, a raczej ciekawość, zupełnie jakby Louis opowiadał o ekscentryzmie kogoś z członków rodziny.

- Potrzebowałem czegoś na rozbudzenie. Byłem zmęczony.

- Założę się, że teraz nie jest ksiądz zmęczony.

- Już nie.

- A widzi ksiądz? Ksiądz też się zmienił. - Vismara pomyślał o tym, że życie duchownego opanowała rutyna - toczyło się ono według sztywnego schematu, a ludzie tylko się przez nie przewijali, dzień po dniu odbywały się śluby, pogrzeby, chrzty, kolacje i obiady. Mijające lata wywarły na Salazarze swoje piętno. Vismarze przyszło do głowy, że teraz ksiądz już by nie krzyczał, gdyby spóźnił się na mszę. Nie zrobiłoby mu to żadnej różnicy. - Życie się zmienia, trzeba się w nim sprawdzić - dodał.

Telefon za delikatną białą firanką w oknie przestał dzwonić. Patrząc na ustawiających się przed kościołem ludzi, którzy wysiedli z wynajętych limuzyn, Salazar skinał głową.

- To bardzo cenna rada, Louis. Dziękuję ci - powiedział. - I dziękuję, że tu przyszedłeś. Wpadnij jeszcze kiedyś.

- Nie sądzę, żebym to zrobił.

- Przyszedłeś tylko do mnie? Żeby się ze mną zobaczyć? Vismara przytaknął skinieniem.

- Musiałem wyraźnie zapisać się w twojej pamięci, kiedy byłeś chłopcem.

- Nigdy księdza nie zapomniałem.

Ale nie powiedział tego tonem zadowolenia. Salazar spojrzał na zegarek.

- Wówczas byłem w znacznie większym stopniu nietolerancyjny. Ale

teraz muszę się już szykować.

Otworzył drzwi. Jeszcze przez chwilę popatrzył na Vismarę, a potem zamknął je za sobą.

Louis odszedł, mijając weselnym gości, którzy roześmiani ustawiali się przed szerokim wejściem do kościoła, pozując do zdjęć. Gdzieś z daleka od ujścia rzeki powiał wiatr, niosąc ze sobą zapach stęchlizny i chłód.

Vismara wsiadł do swego sportowego wozu, opadając na miękki skórzany fotel. Dziewczyna nawet na niego nie spojrzała. Ale po chwili rzuciła rozdrażnionym głosem:

- Będzie ślub. A ja musiałam tu siedzieć i się gapić. Louis uruchomił samochód i silnik od razu zaskoczył.

- Byłem kiedyś żonaty. To wcale nie jest takie wspaniałe.

- Zabieramy się stąd?

Vismara wcisnął pedał gazu i chmura czarnych spalin buchnęła w stronę stojących przed kościołem ludzi.

179

- Poszedłem do tego faceta, bo chciałem od niego usłyszeć, że postępuję teraz właściwie. I co? To on usłyszał ode mnie, że jest teraz w porządku.

Nie miał mi nic do powiedzenia.

- Znowu zgłodniałam - odezwała się dziewczyna. Nie miała zwyczaju słuchać, co się do niej mówi.

Nieco za kościołem świętej Filomeny, po przeciwnej stronie ulicy Witwer uruchomił wóz marki Fairlane, a Valles aparatem swojej żony pstryknął ostatnie zdjęcie.

- Trzymaj się tuż za nim, Jerry, ale nie za blisko - pouczał Valles,

przewijając film.

- Już kiedyś śledziłem samochody - odparł Witwer, nie spuszczać oczu z jadącego Centrall Avenue sportowego wozu, od którego dzieliły go cztery auta. - Sfotografowałeś Louisa, gdy wychodził z kościoła?
- Mam dziewięć ujęć, odkąd tylko się pojawił - odrzekł Valles, ostrożnie wkładając bardzo cenny dla Arlene aparat do schowka na rękawiczki. - Zrobiłem mu zdjęcie, gdy wychodził z tego swojego nowego domu, gdy wsiadał do samochodu z dziewczyną, gdy się przytulali i gdy tu jechali.
- A jak długo chcesz go śledzić?
- Muszę zobaczyć, gdzie się teraz zatrzyma.
- I co zamierzasz zrobić?
- Porozmawiać z nim - wyjaśnił Valles, obserwując sportowy wóz, który zmienił pas, potem znowu zjechał na poprzedni. - Usiądziemy sobie razem i zapytamy go, co za świnię nam podkłada.

Rozdział dwudziesty czwarty.

Tego popołudnia inwigilacja Vismary ciągnęła się aż do piątej. Valles i Witwer mieli zacząć służbę o wpół do siódmej, kiedy to umówieni byli z dwoma innymi agentami z wydziału szeryfa w Yuba County w barze na American Point Boulevard, niedaleko wschodniej części portu.

- Tam można otrzeć się o wszystko to, co nielegalne - powiedział Witwer.
- Zapowiada się wesoła noc.
- Najpierw pogadamy z Louisem - przypomniał Valles.
- Tak. Najpierw załatwimy sprawę z nim. A na to nie mieli zbyt wiele

czasu.

Vismara spod kościoła pojechał do sklepu sportowego. Valles i Witwer obserwowali, jak kupuje naramienną kaburę na rewolwer. Upłynęło trochę czasu, zanim sprzedawca zdołał dopasować odpowiedni rozmiar na niewielką klatkę piersiową Vismary. Jego towarzysza nabyła rękawiczki do strzelania z łuku. Widząc to, Witwer rzucił Vallesowi zdumione spojrzenie.

Następnie Vismara i jego dziewczyna udali się do restauracji wegetariańskiej. On wybrał dla siebie dużą porcję sałatki, a ona pochłonęła coś, co leżało w wydrążonym wnętrzu ananasa, po czym dokończyła sałatkę Louisa. Potem oboje pojechali do Banku Amerykańskiego przy Hudalگو Way, gdzie chłopak w niebieskim uniformie strażnika gapił się najpierw na sportowy wóz i siedzącą w nim dziewczynę, po czym, zażenowany, szybko ściągnął czapkę. Witwer wprawdzie wszedł do banku, lecz trzymał się raczej z tyłu, za paprociami, bo ubrany w trykotową koszulkę i nie ogolony nie wyglądał odpowiednio, by prowadzić inwigilację w banku. Młodziutki strażnik przyglądał mu się podejrzliwie, a i dwaj kasjerzy także. Jednakże Vismara i jego towarzysza nie widzieli go. Żartując i poszturchując się łokciami, wypełnili jakieś blankiety i weszli do działu ze skrzynkami depozytowymi.

Witwer wrócił do samochodu.

181

- Są przy skrzynkach depozytowych.
- Założę się, że ten skurwysyn ma tam spluwę.
- Powierzył broń instytucji rządu federalnego - rzekł Witwer.
- Cwany z niego facecik, więc nie trzyma broni tam, gdzie mógłby ją

znaleźć jakiś kurator.

Valles wyjął aparat z nowym filmem i zaczął fotografować bank.

- Mam nadzieję, że zostawi gdzieś tę małą. - Witwer z niepokojem popatrzył na zegarek zapięty na jego owłosionym przegubie. - Już za chwilę będą zamykać.

- Zdamy.

- Idzie Myszka Miki, Rog - ostrzegł Witwer, trącąc łokciem Vallesa.

Strażnik, który zajmował się właściwie tylko parkowaniem samochodów, miał dwadzieścia dwa lata, mieszkał z rodzicami i zbierał komiksy, podszedł do ich auta od strony kierowcy.

- Hej, panowie - zagadnął.

- Cześć, cześć - odparł wesoło Witwer.

- Załatwiacie panowie jakieś sprawy w naszym banku?

- Właśnie dlatego tu jesteśmy.

- A po co robicie panowie zdjęcia?

- Testujemy nowy film w aparacie - odparł cierpko Valles.

- No to pojedźcie testować go gdzie indziej - poradził chłopak.

- A kto mnie do tego zmusi? - stawiał się Valles, opuszczając aparat.

- Jeśli natychmiast się stąd nie wyniesiecie, to się doigracie - ostrzegł strażnik. Przy pasku miał zawieszoną pałkę i właśnie po nią sięgnął.

- A kto mnie zmusi? - powtarzał Valles.

Witwer zauważył, że w głosie kolegi słychać coraz większą agresję. Valles z powodzeniem odgrywał rolę opryszka, bo kiedyś rzeczywiście nim był.

Młody strażnik najwyraźniej zbyt tępy, by pojąć, do czego prowadzi, wymachując tak pałką, mógł sprowokować Vallesa, który uskarżał się, że życie robi się zastałe i nudne.

- Nie powierzymy waszemu bankowi ani grosza. I powiemy wszystkim znajomym, żeby też tu nie przychodzili. - Witwer uruchomił samochód.
- Spiszę wasz numer rejestracyjny. - Chłopak sięgnął po kartkę i długopis, po czym, krzywiąc się, spojrzął na przednią tablicę.

Valles szybko wyskoczył z samochodu, wyrwał strażnikowi kartkę i odepchnął go.

- Hej! - krzyknął chłopak, przewracając się. Valles wsiadł z powrotem do auta.

- Nie chciałem, żeby nas spisał - powiedział. - Jedźmy stąd.

- Szykują nam się jakieś kłopoty? - spytał Witwer, ruszając przed siebie ulicą Hudalgo Way, podczas gdy strażnik podnosił się już z ziemi, coś wykrzykując. - Nie chcę żadnych problemów, Rog. Wolałbym, żeby do Shiffleya nie trafiła skarga na nas w związku z inwigilacją, której nawet nie powinniśmy prowadzić. A ty?

- Sądziś, że chciałem, żeby nas spisał? Twoim zdaniem, mam dostać za to po głowie?

- Musisz się uspokoić.

Witwer zjechał na pobocze i zaparkował pod wysoką palmą w pobliżu maleńkich domów, przed którymi rozciągały się nieduże trawniki spryskiwane wodą rozpylaną przez zraszacze.

- Owszem - przyznał Valles, niezbyt jednak przekonany. Aparat fotograficzny wsunął pomiędzy kolana.

- Czuję się, jakby to Harry mnie znowu ochrzaniał. Każdy cholerny dzień jest taki sam.

- Ten szczeniak nie był twoim dzieciakiem, Rog. I nie wyładowuj wszystkiego na mnie, dobrze? Wcale mi to niepotrzebne.



- Postaram się nie przejmować - odparł Valles.

Popatrzył prosto przed siebie. Przez szpary w ogrodzeniu okalającym dwa stojące przy tej ulicy niewielkie domki widać było bank. Valles przyznał przed samym sobą, że Vismara stanowi rzeczywisty, a nie tylko wyimaginowany, pozostały z dawnych czasów problem. A to potwierdzało konieczność potraktowania sprawy Vismary poważnie; w końcu to nie to samo, co problemy z Harrym i Arlene i pełnymi zadumy wieczorami, jakie wspólnie spędzali, kiedy byli w domu, kiedy w ogóle byli jeszcze razem. Przykręcił do aparatu teleobiektyw.

- To na użytek kartoteki, kiedy z powrotem trafi do pudła - powiedział, ustawiając obiektyw na wejście do banku. - Pstrykniemy Louisa, jego samochód, tę cholerną dziwkę i rewolwer. O jest. Obejmuje ją ramieniem. Bardzo ładnie. No, uśmiechnij się, Louis.

Valles i Witwer ukryli się w niszy drzwiowej budynku na wprost hotelu Cypress. Widzieli stąd portiera w zielonej liberii ze złotymi wypustkami, który stał pod okalającą wejście brązową markizą, kołysząc się na piętach.

- Niezły ma gust - osądził Witwer. - Jadłem tam kiedyś kolację. Na dole jest ogromna restauracja, mają w niej szwedzki stół. Po prostu nakładasz sobie na talerz, co chcesz, steki, kurczak na różne sposoby, polewasz to wszystko sosem. Zabrałem tam Maggie w ósmą rocznicę naszego ślubu. Wspaniały lokal.

- Cholera. Już szósta. Mam nadzieję, że ten sukinsyn nie zamierza jeść kolacji.

Wcześniej Vismara odwiózł dziewczynę do swego nowego domu przy Magnolia Drive, o którym Valles dowiedział się od przyjaciela Maize, Morrisa, skłaniając go do mówienia przez przyciśnięcie do ściany i

nastąpienie mu na palce u nóg. Jego ciężkie buty odcisnęły mocny ślad na stopach Morrisa, lecz Valles nie przewidywał ponownego wykorzystania go w charakterze kapusia. Potraktował go jako jednorazowe źródło informacji dla potrzeb sprawy osobistej.

182

183

- Chciałbym móc wejść do środka - odezwał się Witwer. - Założę się, że jeszcze długo nie będziemy mieli okazji czegoś przekąsić.

- Nie możemy tam iść.

- Powiedziałem tylko, że chciałbym.

- Co ten skurwysyn robi w tym hotelu? Przecież w nim nie mieszka.

Portier gada z nim, jak ze starym kumplem. Może dostarcza tam jakieś świństwo?

- Może handluje gdzieś w pobliżu?

- Nieźle sobie radzi.

- To jakie są jego powiązania z Shiffleyem? Szeryf jest bardzo pewny siebie. - Krzywiąc się, Witwer podrapał się w plecy. Już od pół godziny stali w głębokiej niszy, w której mieściły się zabite deskami i zamknięte drzwi do Salonu Piękności dla Zwierząt Domowych firmy Apricot Afghan.

- A jeśli zajmuje się tym pieprzonym handlem? Jeśli kupił paru facetów? - zastanawiał się Valles.

- Facetów od nas?

- Mając tyle pieprzonego szmalu, mógłbyś kupić każdego - stwierdził Valles, trzymając aparat w pogotowiu, by sfotografować Vismarę, gdy tylko wyjdzie z hotelu. - Może Shiffley wykonuje dla niego jakąś robotę, wtedy my musimy go przyskrzynić.

- Nie wydaje mi się.
- To wcale nie byłby pierwszy tego typu przypadek, Jerry. Takie rzeczy się zdarzają. Niektórzy na to idą.
- O rany - jęknął nieszczęśliwym głosem Witwer. Valles szturchnął go mocno łokciem.

- Zobacz!

Portier, ten sam co poprzednio, kłaniał się właśnie jasnowłosemu mężczyźnie, ubranemu tak, by nie rzucić się w oczy.

Valles zrobił kilka zdjęć, klnąc przy każdym. Stojący obok niego Witwer mamrotał coś pod nosem i również rzucał przekleństwami. Gdy portier zamknął już za mężczyzną szklane drzwi, Valles przestał pstrykać.

Trzymał aparat tak, jakby wmontowana była weń bomba.

- Mam go - powiedział do Witwera. - Nie będzie mógł zaprzeczyć, jak pokażę to pieprzone zdjęcie.

- Założę się, że to tylko zbieg okoliczności - oświadczył Witwer. Sam jednak w to nie wierzył. - Nash jest O.K. To dobry sędzia. Porządny facet, no nie?

- Jest w tym samym hotelu co Vismara.

- Jest w nim chyba z kilkaset osób.

- Ale to sędzia Nash - ciągnął Valles. - Ten sam, którym chwali się ciągle Shiffley, że jest za pan brat z jego starym.

- Myślę, że powinniśmy stąd odejść - powiedział powoli Witwer. - Za dwadzieścia minut mamy spotkanie w porcie. Chodźmy już, a nad tym pomyślimy później.

Valles pokręcił głową.

- Ja czekam na Louisa.

- Chodź, Rog. Wrócimy do tego później, dobrze? Dzisiaj już nic się nie dzieje. Zrobiliśmy, co było do zrobienia.
- To idź. Ja poczekam, aż Vismara wyjdzie.
- Nie pójdę sam.

Valles uśmiechnął się głupio.

- Nie wybieramy się na jakąś pierdoloną potańcówkę, Jerry. Możesz swobodnie iść sam.
- Poczekam, skoro ty zostajesz - odparł Witwer z uporem.
- Właśnie to zamierzam zrobić. Postoję tu, dopóki ten sukinsyn nie wyjdzie i nie wsiądzie do samochodu. Dam mu posiedzieć chwilę bezpiecznie i w spokoju, a potem go przyskrzynię.
- I gdzie chcesz go zabrać?

Witwer patrzył, jak blask przygasającego słońca rozlewa się po łososiowo różowej ścianie starego hotelu. To na pewno tutaj się odbywa. A on lubił Cypress. Wolałby, żeby wszelkie nieprzyjemne sprawy rozgrywały się w miejscach, do których nie pałał sympatią. Stary, luksusowy hotel jakoś nie kojarzył mu się z popełnianiem zdrady.

- Wszystko jedno. Może na cypel Millera? Cicha i przyjemna okolica. Kiedyś zajmowałem się tam sprawą morderstwa. Dużo drzew, tuż nad rzeką i ani żywej duszy w pobliżu.
- Dobra.

Witwer zawsze zaczynał czuć się lepiej, gdy miał plan działania.

Wprawdzie nieczęsto występował z jakimiś sugestiami, a dziś wieczorem był szczególnie zagubiony.

- Zamelduję się, powiem chłopakom z Yuby, że coś nam wypadło i nie damy rady dzisiaj przyjść - powiedział.

- Tylko się nie ociągaj. Nie mam zamiaru siedzieć tu bez ruchu, kiedy Vismara wyjdzie z hotelu - ostrzegł go Valles. Mówiąc to, nie spuszczał wzroku z hotelowego budynku.

Witwer wyszedł z niszy. Samochód z zamontowanym w nim radiem stał zaledwie kilka jardów dalej. Policjant odpychał od siebie myśl o skulonym w opuszczonej niszy koledze, tylko czekającym, by wyładować własną wściekłość na tym małym wąsatym człowieczku, z którego przecież był równy gość. I nie chciał zastanawiać się, jakie to zawłóści losu spadły na nich zniecka tylko dlatego, że wykonywali rozkazy szefa.

Ale, wsiadając do samochodu z uczuciem nieuzasadnionego, ściskającego mu żołądek strachu, najbardziej jednak pragnął odsunąć od siebie myśl o tym, że taki cieszący się szacunkiem sędzia jak Nash czepia się zwykłego handlarza narkotyków, jakim był Vismara.

184

185

Rozdział dwudziesty piąty.

Opróżnij kieszenie - poleciała Janice Nashowi. Stała obok niego w hotelowym apartamencie. Vismara rozmawiał przyciszonym głosem z Jacobsem i Sanchezem oraz innym jeszcze agentem FBI, którego Roemer sprowadził z Albany.

Nash wyłożył na stół wszystko, co miał w kieszeniach spodni i marynarki - portfel, grzebień, klucze i książeczkę czekową. Janice spisała każdy przedmiot na formularzu sprawozdania. A Testa obsługujący umieszczony

w sypialni sprzęt sfilmował je na taśmie wideo.

- Nic więcej nie mam - powiedział Nash, obrzucając wzrokiem mały stosik. Poddawanie się temu zabiegowi, choć rutynowemu, było dla niego dość żenujące. Wziął do ręki portfel, otworzył go na użytek kamery i podał Janice. Dziewczyna wyjęła z niego pieniądze.

- Powinno być dwadzieścia osiem dolarów - powiedział do niej. Vismara obserwował tę scenę kątem oka. Jacobs opowiadał właśnie jakiś wulgarny dowcip o czterech grubych paniusiach w cyrku, starając się mówić jak najciszej, żeby go nie podsłuchano.

- Hej, Louie, obudź się. Słuchasz?

- Pewnie. Już gdzieś słyszałem ten żart - odparł Vismara. Nie spodziewał się, że będą go przeszukiwać. Poczul pod pachą dodający mu pewności siebie ucisk rewolweru tkwiącego w dopasowanej specjalnie dla niego kaburze.

Nash pozbierał swoje rzeczy. Janice zawsze sprawiała wrażenie chłodnej - czy to wobec innych ludzi, czy rozmawiając z Roemerem, a nawet kładąc się u boku Tima po tym, jak się kochali. Przypominała kogoś, kto spogląda na wszystko spoza grubej tafli szkła. Była najbardziej opanowaną osobą, jaką Nash kiedykolwiek spotkał.

Podszedł do niego Jacobs.

- Podnieś ręce do góry, dobrze?

186

Nash uniósł ramiona gotów na rewizję, a Jacobs obmacał go szybko od góry do dołu. Vismara dotknął swych wilgotnych policzków. Miał nadzieję, że może jego nie będą przeszukiwać, może dotyczyło to wyłącznie sędziego.

Wysprzątany pokój, w którym się znajdowali, pachniał cytryną, wypolerowane meble aż lśniły, a dywany były grube. Tu i ówdzie leżały stare czasopisma, mające wywołać wrażenie, że Nash siedział tu i czytał. Tim popatrzył na Janice i mrugnął do niej. Dziewczyna odpowiedziała nieznacznym uśmiechem.

- Zróbmy próbę głosu i obrazu - zwróciła się do niego. - Powiedz coś.
- W czasie suszy szosa sucha.
- Louis?
- Nazywam się Louis Vismara, junior. Przez chwilę nikt się nie odzywał.
- W porządku, myślę, że Tommy zarejestrował już wszystko. Louis, mógłbyś opróżnić kieszenie?

Vismara obawiał się, że zaraz zacznie się trząść. Zabranie ze sobą rewolweru, który wyciągnął ze skrytki depozytowej, było idiotycznym posunięciem. Jednak dzięki niemu czuł się bezpieczny, chociaż naruszał w ten sposób zasady zwolnienia warunkowego. Mindy, dziewczynie, z którą ostatnio się spotykał, nie mógł powiedzieć, czym się zajmuje; nie mógł zrobić na niej wrażenia, zdradzając, że jest tajnym agentem, lecz kiedy pokazał jej swój rewolwer, zdołał urosnąć w jej oczach. Teraz jednak żałował, że go zabrał. Wiedział, że jeśli znajdą przy nim broń, zrezygnują z niego, a wiele miał do odpokutowania, co zresztą próbował powiedzieć księdzu Salazarowi. Spojrzał na sędziego. Nash zawsze był spokojny, nawet wtedy gdy twierdził, że jest podenerwowany. Teraz stał z rękoma w kieszeniach i patrzył w okno.

Podczas gdy Vismara wykladał na stół pieniądze, portfel i małe religijne medaliki tak, by zamontowany w żyrandolu obiektyw kamery mógł wszystko wyraźnie zarejestrować, Janice wyjęła ciemną kopertę.

- Daję ci dziesięć tysięcy dolarów w znakowanych banknotach - zwróciła się do Nasha.

Sędzia wziął od niej kopertę i wsunął ją do kieszeni marynarki. Tym razem nie mógł się doczekać, kiedy Ruth Frenkel zasiądzie przy tym stole i weźmie udział w scence, którą miał odegrać razem z Vismarą. Bardzo chciał wiedzieć, czy ta kobieta przyjmie łapówkę. Poczuł się, jakby bawił się w tę dziecianną grę, kiedy to trzeba zgadywać, w której ręce ukryta jest niespodzianka. Pragnął się już przekonać, co wybierze Ruth. Kto wie, może najbliższe spotkanie udowodni, że zarzuty stawiane przez informatora Roemera są bezpodstawne i Ruth dołączy do grona szacownych i uczciwych.

Janice miała na sobie jasnoniebieski kostium, a włosy rozpuszczone i zaczesane tak, że przywodziła na myśl raczej sterylne czystą pielęgniarkę niż prokuratora czy kochankę Nasha.

187

Jacobs oddał Vismarze rozłożone na stole przedmioty.

- O.K. Jeszcze tylko szybko cię obszukam i będziemy to mieć z głowy, Louie.

Vismara czuł, że oblewa się potem.

- Dobrze. Dobrze. Tylko najpierw muszę, że tak powiem, do czegoś ci się przyznać, to znaczy dlaczego się na to zdecydowałem, i tu wcale nie chodzi o was, chłopaki, a wyłącznie o mnie - wyrzucił z siebie szybko.

Jacobs popatrzył na niego, nic nie rozumiejąc, a Nash zrobił kilka kroków w jego stronę. Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

- Nash, otwieraj w imieniu prawa - poleciała ostro sędzina Frenkel.

Wszyscy aż podskoczyli, a Jacobs wraz z pozostałymi agentami oraz



Janice wycofał się pospiesznie do sypialni. Vismara ponownie oblizał swe drżące usta. Zamykając za sobą drzwi, Janice pokazała Nashowi pięść z wyprostowanym kciukiem. Odpowiedział podobnym gestem i ruszył w kierunku wejścia do apartamentu.

Najwyraźniej Ruth piła trochę, zanim tu przyszła. Teraz, sącząc powoli drugą szklaneczkę martini z wódką, kołysała się lekko na sofie. Vismara siedział przy stole z nogami założonymi jedna na drugą i wpatrywał się w nią chłodnym wzrokiem. Nash najpierw stał, ale potem i on usiadł. Drugi raz było już znacznie łatwiej.

- Jestem zaskoczona - oświadczyła Ruth. Jej oczy patrzyły przed siebie spokojnie, lecz były jakby przymglone.

- Czym?

- Tym, że jesteśmy tutaj, ty, ja i pan Vismara. Jeszcze wczoraj nie przyszłoby mi to nawet do głowy.

Dokończyła drinka i ostrożnie odstawiła szklaneczkę na wykładany marmurem stolik.

- Sądziłem, że zrozumiesz to, Ruthie.

Nash pochylił się nieco do przodu. Przypomniały mu się początki kariery Ruth w sądzie, dokąd dzięki poparciu swego brata z Sacramento trafiła z kancelarii adwokackiej gdzieś na przedmieściach. Każdego dnia po skończonej pracy wracała do domu, w którym czekały na nią dwa psy.

Kiedy zaczynał prowadzić sprawy, kilkakrotnie zdarzyło jej się przynieść do pracy pekińczyka o imieniu Ambrose i wtedy, siedząc w sali rozpraw, trzymała go na kolanach i głaskała. Nash zasugerował jej wówczas delikatnie, by zostawiała go w domu. Włosy zawsze nosiła ciasno ściągnięte do tyłu tak, że aż. prześwitywała przez nie biała skóra jej głowy.

Zwykle zajmowała się też zbieraniem datków na chorych sędziów, ich współmałżonków albo urzędników i mniej więcej raz w tygodniu, a przynajmniej tak mu się wydawało, przynosiła do gabinetu Nasha koperty z brzęczącą zawartością. Za każdym razem, gdy podejmowała akcję charytatywną, czy robiła inny dobry uczynek, rzucała jakieś niewybredne komentarze. Trzy lata temu próbowała zaadopto-

188

wać dziecko, zwerbowała Nasha do pomocy w załatwianiu spraw urzędowych, ale przegrała. Na przyjęcie z okazji czterdziestych urodzin Nasha, na które przyszli wszyscy sędziowie z żonami, przyjaciele i sporo znajomych, z którymi pił i jadał w Century Club, Ruth wynajęła tancerkę, która miała też śpiewać i wręczyć jubilatowi pęk balonów oraz owinać go długą papierową szarfą. Wszyscy przyjęli to oklaskami.

- Jesteś pewien, że cię na to stać? - zwróciła się Ruth do Vismary.

Wymowa tego pytania była tak jasna, że Nash aż skulił się ze strachu.

Wiedział już, co Ruth wybrała.

- Mam wystarczająco dużo pieniędzy. Dla przyjaciół.

Uśmiechnął się. Naprawdę udało mu się dobrze odegrać swoją rolę; wszelkie wahanie i obawy gdzieś się ulotniły.

- Jedno jest pewne w tej pracy, nigdy nie wiadomo, na kogo się człowiek natknie. - Roześmiała się. - Gdzie jest teraz ta cholerna sprawa?

- Za kilka dni trafi do ciebie; chodzi o postawienie w stan oskarżenia z powodu naruszenia zasad zwolnienia warunkowego.

- Kto tak twierdzi?

- Przyjaciół w biurze rozdzielającym sprawy na wokandę - odparł Nash.

- No dobrze, powiem ci, jak zamierzam się z tym uporać. - Położyła obie

dłonie na kolanach. - Wszelkimi sprawami organizacyjnymi zajmuje się dla mnie Cheryl.

- Twoja asystentka - dodał Nash na użytek kamery i mikrofonów.
- Tak więc będę musiała pomówić z nią i znaleźć sposób poradzenia sobie z tym. W porządku? - spytała Vismarę.
- Jeśli tylko sprawa nie ujrzy światła dziennego.
- Nikt już nigdy o niej nie usłyszy - zapewniła Ruth. Podniosła szklaneczkę. - Czy bar jeszcze czynny?
- Pewnie. Dla dobrych klientów zawsze.

Nash wstał i wziął od niej szklanę, myśląc o tym, że przecież mógłby ją teraz odstawić, powiedzieć Ruth, że ta rozmowa była sfingowana i pozwolić jej odejść. Zamiast tego przystanął tylko na chwilę.

- Mam dziesięć tysięcy - oznajmił, wyjmując kopertę.

Sędzina rzuciła mu przymilne spojrzenie, a Vismara zakaszła. Dlaczego to ja mam taką treść, zastanawiał się Nash.

- Zupełnie jak w telewizji - stwierdziła Ruth, sięgając po kopertę.
- Chociaż nie. Lepiej nie. Nie chcę po nocy kręcić się po podmiejskich uliczkach z takimi pieniędzmi.
- W porządku - odparł Nash spokojnie, podchodząc do barku i przygotowując drinka.
- Na ulicach jest niebezpiecznie. Niedobrze, kiedy nie można nawet samotnie pospacerować, bo zaraz ktoś może zająć cię od tyłu - zauważył Vismara.

- Tak? - odparła znudzona. A do Nasha, który podszedł akurat z drinkami dla niej i Louisa, powiedziała: - Będiesz na mnie głosował, Tim, prawda?

Obiecuję, że nie będą do ciebie trafiać żadne sprawy rozwodowe ani o pogryzienie przez psa.

- Oczywiście, że zagłosuję na ciebie - potwierdził.

- Dobrze. To by było na tyle. - Popatrzyła na Vismarę. - W końcu to sprawy służbowe.

Vismara poważnie skinął głową.

Jeszcze przez jakieś dwadzieścia minut Nash i Frenkel prowadzili uprzejmą pogawędkę o jej psach i o tym, jak Nashowi dobrze się mieszka w hotelu Cypress. On jednak czuł się jakoś sztucznie. W końcu właśnie zniszczył Ruth Frenkel.

Wreszcie Ruth podniosła się, chwiejąc się trochę na nogach.

- We wtorek jem lunch z Garym Lewisem z firmy Lewis, McCann i Hitchcock. Chcesz nam potowarzyszyć?

- Nie znam go.

- Zamierzam się dowiedzieć, czy potrzebuje u siebie dobrego doświadczonego prawnika.

- Zamierzasz odejść? To dlaczego kandydujesz na głównego sędziego, skoro u nas nie zostajesz?

Frenkel potrząsnęła głową i uśmiechnęła się. Była to potężna kobieta, konserwatywnie ubrana, ale pod maską dobrych manier i przechwałek kryła się osoba niepewna siebie i nieświadoma realnego świata.

- Może nikt nie będzie chciał mnie wynająć. Narobiłam sobie trochę wrogów. Jeśli nie uda mi się nic zdziałać poza sądem, to przynajmniej zaklepię sobie miejsce w kancelarii Kalbachera.

Doszli już do drzwi.

- Naprawdę mówisz poważnie?

- Cholera, jasne że tak. Czy ty czasami nie czujesz się zmęczony tym wszystkim? - Chuchnęła na niego cuchnącym oddechem. Jej ciemne włosy potargały się nieco i z opadającym na czoło kosmykiem wyglądała teatralnie. - Sterta spraw otwieranych i zamykanych. Zasypiam już, kiedy muszę wysłuchiwać tych wszystkich świadków. Nic nowego. Wszystko to kiedyś słyszałam. A ty nie? Każdego glineę. Słuchałam ich. Ciągłe ten sam głos. Te same sprawozdania. I te wszystkie ofiary. Wciąż te same bzdury. Coś innego dzieje się tylko wtedy, gdy jakiś świadek zaczyna wrzeszczeć. Muszę wtedy odroczyć sprawę albo powiedzieć coś naprawdę przejętym głosem, na przykład: „Czy podać panu szklanek wody albo chusteczkę?” Głos Ruth był bardzo szorstki, ale Nash wiedział, że napięcie towarzyszące słuchaniu o cierpieniach psychicznych i fizycznych przytłacza człowieka kamiennym ciężarem. W każdej przepojonej bólem sprawie tkwiła gdzieś prawda, a sędzia musiał ją wydobyć i powierzyć karzącej ręce sprawiedliwości. Każda parszywa poszlaka musiała być zbadana na wylot.

Ruth miała rację. Wszyscy wiedzieli ponad wszelką wątpliwość, czym kończyło się badanie śladów. Pomyślał, że najciężej jest tym samotnym, jak Ruth Frenkel, którzy przychodząc do pustego domu czuli, jak otrzymane

190

w ciągu dnia ciosy odbijają się od martwych ścian i powracają do nich. Nash miał przynajmniej rodzinę, przy której choć trochę odsuwał od siebie wydarzenia dnia, i chwilowe zapomnienie w nocy, zanim wracał znów do pracy.

- Zajmowałam się ostatnio sprawą kradzieży samochodu - podjęła znów

Ruth, mrużąc oczy. - A ten pasożyt na ławie dla świadków twierdził, że naprawdę nie znał człowieka, który zapukał do jego drzwi i zaoferował mu kupno złotego cadillaca coupe de ville za osiemset dolarów.

- Oni wszyscy opowiadają jakieś bajeczki - odparł Nash, uśmiechając się.

- Owszem. Zapytałam więc tego człowieka: „Czy chce pan powiedzieć, że ma pan zwyczaj kupować samochody od domokrażców?” Opinie wśród ławy przysięgłych były po tym podzielone, ale nic nie mogłam na to poradzić. No, Tim, zrozum. Ileż jeszcze musimy wysłuchać?

Nash obejrzał się. Vismara nie zmienił pozycji, wciąż siedział poważny i spokojny ze skrzyżowanymi nogami i dłońmi na kolanach. Sędzia pomyślał, że Louis boi się pewnie, iż najmniejszy ruch mógłby zburzyć wrażenie, jakie zdołał stworzyć.

- Proces Cattery z zeszłego roku był jeszcze gorszy, Ruthie - odrzekł Nash. - Na pierwszej rozprawie Cattera powiedział, że nie jest gwałcicielem, tylko włamywaczem. I że właśnie dlatego jego odciski palców znajdowały się na oknie w łazience ofiary. Przysięgli kupili to. Na następnej rozprawie trzy dni później z nowym składem ławy przysięgłych Cattera zeznał, że wcale nie jest włamywaczem tylko podglądaczem. I że to wyjaśnia, dlaczego znaleziono jego odciski palców na oknie. I w to też przysięgli uwierzyli. A ja musiałem tam siedzieć i słuchać, jak ten facet okłamuje obydwie ławy przysięgłych, i nie mogłem nawet palcem kiwnąć. Nie wolno mi było wtrącić ani słowa.

- Pamiętam. Chodziłeś i użalałeś się wtedy nad tą sprawą. A udało się w końcu przyskrzynić tego gościa?

- Owszem, jakieś pół roku później. Za handel marihuaną. Mivazumi skazał go na trzy lata odsiadki.

- Sprawiedliwość zatriumfowała - skomentowała to Ruth. - To do zobaczenia jutro w tym naszym przybytku. Cieszę się, że mamy wspólny sekrecik, tylko my dwoje.

Nash dotknął delikatnie jej policzka. Był zaczerwieniony jak dojrzewające na słońcu jabłko.

- Uważaj na siebie, Ruthie. Zadzwońisz do mnie, jak załatwisz wszystko z Cheryl?

- Jak tylko zrobi papierkową robotę i wszystko zręcznie zachomikuje, możesz dać mi - zniżyła głos - te zasrane pieniądze.

Uśmiechnęła się zadumana, a Nash zamknął za nią drzwi. Vismara natychmiast opuścił głowę i głęboko odetchnął, po czym zerwał się na nogi. Nash zobaczył wychodzących z sypialni Janice i Jacobsa oraz tego drugiego agenta FBI. Zaczęli zasypywać go pochwałami, a on czuł się jakoś nieswojo.

191

- Świetnie ci poszło - powiedział Jacobs, poklepując Nasha po plecach. Vismara niespokojnie przestępował z nogi na nogę.

- W porządku? Dobrze się spisałem? Uwierzyła? Podobało wam się, jak to odegrałem?

- Odwaliłeś kawał wspaniałej roboty, Louis. I ty też, Tim - zapewniła Janice, uważnie obserwując zaniepokojonego Nasha.

- Nie wzięła pieniędzy.

- Złapała się, jak ryba na haczyk, ładnie, ładnie - cieszył się Jacobs, a drugi agent przytaknął skinieniem.

Stłoczeni wokół siedzącego przy konsolce Testy, wpatrywali się w umieszczone w sypialni monitory. Na czterech ekranach Nash widział siebie, Vismarę i Frenkel, na każdym w innym ujęciu. Oglądanie tego nie robiło na nim wielkiego wrażenia. Mnogość obrazów sprawiła, że obserwowane na nich wydarzenia wydawało mu się odległe w czasie, zupełnie jakby patrzył na jakiś bardzo stary film. Jego własny głos miał blaszane, nieprawdziwe brzmienie. Na twarzach obserwujących monitory osób odbijało się światło ekranów. Testa mówił coś do samego siebie.

- W tym momencie bardzo ściszyła głos, więc musiałem trochę pomanewrować przy poziomie głośności - powiedział i na tle jakichś szumów i świstów rozległ się gardłowy śmiech Ruth i głos Nasha. Sędzina zgodziła się wziąć łapówkę. Dźwięk jej zarejestrowanego na taśmie głosu był teraz wyraźnie wzmocniony.

Agenci FBI ponownie pochwalili Nasha, a Vismara promieniał. Testa przewinał taśmę i jeszcze raz odtworzył kluczowy fragment. Vismara narzekał, że sprawia wrażenie bardzo sztywnego i niskiego. Zapowiedział, że następnym razem chce dostać wyższe krzesło. Pozostali skupieni wokół monitorów roześmieli się, ale Louis przyjął to życzliwie.

- Sam zajmę się zaaranżowaniem spotkania w celu przekazania pieniędzy - oznajmił Nash.

Sędzia został ponownie przeszukany i koperta z pieniędzmi znów weszła w skład środków, którymi dysponowali agenci FBI. Vismara ani na chwilę nie zbliżał się do Nasha czy do Ruth, więc tylko przyglądał się wszystkiemu z szelmowskim uśmiechem na twarzy.

- Sprawdźmy, czy nie uda nam się zorganizować spotkania z kimś z personelu Ruth, kto bierze w łapę - zaproponowała Janice, tymczasem



Testa przewinał taśmę, wsunął ją do pudełka oznaczonego kartką z datą i listą obecnych przy jej nakręceniu osób. Odbierając od niego kasetę, dodała: - Możemy rozszerzyć zasięg operacji na cały sąd.

- Albo i dalej, jeśli będą jakieś ślady - dorzucił Nash.

Wziął kasetę od Janice i przez chwilę ważył ją w dłoni, myśląc o tym, czemu posłuży i co uczyni ludziom, którzy niczego się jeszcze nie spodziewali.

Oddał ją z powrotem Janice. Agenci FBI i Testa sprzeczali się z Vismarą o wynik zakładów, które wcześniej poczynili, próbując zgadnąć, jak szybko podejrzany zgodzi się na przyjęcie łapówki. Jacobs i Sanchez nie chcieli zapłacić Vismarze.

- Wygrałeś tylko o włos - argumentował Sanchez. - Bo przecież ty panujesz nad sytuacją.

Nash ich nie słuchał. Został z Janice sam. Ona odłożyła kasetę na metalową półkę, na którą miały trafić również filmy wideo nakręcone podczas innych spotkań.

- To nasz pierworodny - szepnął jej do ucha.

192

193

Rozdział dwudziesty szósty.

Na niebie świecił księżyc podobny do nadgryzionej białej pastylki. Trzej

mężczyźni zeszli z wąskiej drogi, ślepo kończącej się przy cyplu Millera, i po krótko przystrzyżonej sztywnej trawie opuścili się w dół stromego nabrzeża, które opadało na głębokość ośmiu stóp ku brzegowi rzeki Tuolumne. Wprawdzie o tej porze roku jej wody toczyły się dość wolno, ale niewidoczne prądy były niebezpieczne, więc na trawie tu i ówdzie rozstawiono znaki zakazu pływania. Dwa porzucone stoły do pikników stały wywrócone do góry nogami.

Przodem szedł Vismara, któremu usta się nie zamykały. Następny był Valles popychający co chwila Louisa. Witwer zamykał pochód. Tuż za cyplem płynęła rzeka, a wzdłuż jej brzegów stały restauracje i domy. Ale najbliższe odległe były o jakąś milę. Natomiast wokół miejsca, gdzie zatrzymali się trzej mężczyźni, rosły ogromne drzewa, wyglądające w świetle księżyca czarno, niewyraźnie i smutno. Powietrze wciąż było jeszcze ciepłe.

Vismara w myślach przebiegł wzrokiem listę różnych nazwisk. Najpierw znanych mu handlarzy. Potem tych, którzy gotowi byli za niego poręczyć. Jedną potężną dłonią Valles chwycił go za kark, a drugą wykręcił mu rękę do tyłu.

- Kiedyś człowiek przychodził tu popieścić się z dziewczyną - powiedział Witwer, którego oczy nawykły do widzenia w ciemności w zwodniczym świetle odległych lamp. - Władze miasta wciąż utrzymują ten trawnik w najlepszym porządku.

- W ciągu ostatnich paru miesięcy znaleziono w tym miejscu zwłoki czterech narkomanów i nikt już tu nie przychodzi, żeby się pieprzyć - zauważył Valles. Potrząsnął Vismarą. - Przyjeżdżałeś tu kiedy z dziewczyną?

- Macie niewłaściwego faceta, chłopaki. Nie znam was. Ani nikogo z waszych znajomych.

- Jesteś tego pewien? - spytał Witwer cicho.

194

- Jasne. Znam mnóstwo gości z różnych części miasta. Ale wy nie znacie żadnego z nich.

- Nie przypominasz nas sobie, Louis? - spytał ostro Valles. Vismara pokręcił przecząco głową.

- Dwóch lalusiów z brodami?

- Przyskrzyniliśmy cię jakiś tydzień temu - powiedział Witwer. Stał blisko Louisa i z zadumą spoglądał na rzekę. - Jesteśmy glinami.

- Glinami?

- Od Shiffleya.

Vismara skinął. Zaczął ocierać twarz rękawem płaszcza, który był lekko rozdarty po tym, jak przed hotelem Cypress Valles wyciągnął go z jego własnego samochodu, wpakował do swojego i, przygniatając swymi ciężkimi butami, zmusił do skulenia się i przycupnięcia na podłodze.

- A więc gliny. Jesteście tymi facetami z klubu, zgadza się?

Głos miał spokojny, ale ręce mu się trzęsły i cieszył się, że po ciemku nie widać, jaki jest spocony. Nie tylko wewnętrzna potrzeba zerwania z przeszłością, lecz właśnie strach przed tego rodzaju sytuacją - ciemna noc, okolica, gdzie nie ma żywego ducha, silni i niebezpieczni faceci gotowi rozerwać go na strzępy - skłonił go do zaprzestania handlu narkotykami. Wiedział, jak rodzi się ten strach - ze zwykłej obawy przed zranieniem lub śmiercią. Ale skąd wzięła się w nim potrzeba zmiany życia, czy też, używając wzniosłego sformułowania księdza Salazara, chęć udoskonalenia

samego siebie? Tego Vismara nie rozumiał.

Mimo wszystko jednak był teraz właśnie tu, na odludziu.

- Popierdoliłeś nam różne sprawy, Louis - odezwał się Valles. Głos aż trzął mu się z wściekłości. - Zabawiałeś się naszym kosztem, zostawiłeś nas z tym bajzlem, którego sam narobiłeś.

- Nie podoba nam się to - dodał Witwer cicho.

- Chcę wiedzieć, co robisz. I z kim masz układy. Opłacasz Shiffleya? Albo jakiegoś dupka w Biurze Szeryfa? - warczał Valles. Słowa rozpląwały się w powietrzu bezwietrznej ciepłej nocy. Vismara czuł ostry zapach trawy i rzecznego mułu.

- Spytaj Shiffleya. To jego sprawa, człowieku. Wy dwaj, chłopcy, i ja wykonujemy tylko rozkazy. I nic poza tym. Nie robię nic na własną rękę.

- Gówno prawda. Opłacasz paru facetów.

- Na rany Chrystusa, ludzie. Nic z tych rzeczy. Nikogo nie opłacam.

- To co niby robicie z Shiffleyem? - spytał Witwer, szturchając go delikatnie.

- Chłopaki, nie mogę o tym mówić. To ścisła tajemnica.

Valles kopniakiem podciął Vismarze nogę i Louis upadł na trawę, a przez głowę przebiegła mu myśl, że pewnie zaraz go uderzą. Postanowił, że im nie odda. Jeszcze w latach chłopięcych odkrył, że jest bardzo nieodporny na ból fizyczny i że jego nieudolne próby odparowywania ciosów tylko rozjuszają przeciwnika, który zaczyna bić coraz to mocniej. Jeśli natomiast leżał cichy

195

i skulony, napastnicy szybko się nudzili. Usiadł na trawie, patrząc na

niewyraźne w świetle księżyca cienie drzew i stojących nad nim dwóch mężczyzn.

- Słyszałeś o tych czterech ćpunach, których tu porzucono? Słyszałeś, Louis? - spytał Valles. Pięści miał zaciśnięte. Wyglądał jak prawdziwy oprych.

- Jasne.

- Zastanawiałeś się kiedyś, skąd się tu wzięli?

- Nie.

- My ich tu zostawiliśmy. - Valles pokazał palcem na Witwera. - Ja i on. Mielśmy już cholernie dosyć tych ćpunów, bo tylko miesza nam szyki, sprawiali same kłopoty. Brali się do handlu ledwie wyszli za kaucją, zanim jeszcze doszło do procesu, więc wymyśliliśmy, że czas najwyższy wymierzyć im sprawiedliwość na własną rękę. Rozumiesz, o czym mówię, Louis?

- Zatruliście bez powodu czterech facetów?

- Czterech bezużytecznych sukinsynów. I czterech następnych też zatłukę. I ciebie dzisiaj też.

Valles wyjął pistolet i wymierzył go w Vismarę.

Vismara czuł, że za chwilę się rozplacze. Nie wiedział, czy Valles naprawdę go zastrzeli, ale, sądząc po głosie, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jest wściekły. Wprawdzie od lat już nie odmawiał żadnych modlitw i częściowo nie pamiętał słów, ale na widok wycelowanej w jego głowę krótkiej lufy nagle przypomniał sobie ich rytmiczne brzmienie. Jeśli im powiem, myślał, to i tak wszystko na nic. Poznał tych dwóch od razu. Żałował, i to bardzo, że tamtej nocy, gdy go aresztowali, pochwalił się przed nimi wiedzą o tajnej operacji; niestety, głupio postąpił. Sądził, że

są o wszystkim poinformowani. A poza tym wtedy nie zdawał sobie jeszcze w pełni sprawy z tego, jak poważnie ci z federalnej traktują tajne operacje. Od tamtego czasu Roemer wywarł na nim ogromne wrażenie tym swoim bezwzględnym dążeniem do utrzymania tajemnicy. Nieraz już Vismara przeklinał w duchu swoje chełpienie się przed policjantami. Taką miał słabostkę i zdawał sobie z tego sprawę. Zawsze przechwalał się, żeby pokazać, jak bardzo jest ważny. Nie potrafił zapanować nad własną próżnością.

Gdyby teraz opowiedział o operacji tym gliniarzom, którzy najwyraźniej wiedzieli o niej bardzo niewiele, o ile w ogóle mieli jakieś pojęcie, wtedy władze federalne postawiłyby go w stan oskarżenia i wysłały z powrotem do więzienia. A cała operacja zakończyłaby się już dzisiaj tylko dlatego, że on okazał się tak idiotycznie słaby. A co gorsza, już na zawsze przylgnęłaby do niego etykieta kapusia i w ten sposób utraciłby wszelką szansę na odpokutowanie za dotychczasowe życie. Pomyślał o sędzi Nashu, takim opanowanym i sprytnym. Nash na pewno by się nie poddał. On by zaryzykował. Podczas gdy przez głowę przelatywały mu chaotyczne myśli, cały czas się modlił.

- On to robi - zapewnił Witwer, chociaż z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Bo przecież Rog z pistoletem w ręku stał nad małym człowie-  
196

czkiem, handlarzem narkotyków, który kulił się ze strachu i cała ta scena przypominała studencki żart. Dlaczego więc nie miał wziąć w nim udziału. Może Vismara zacznie w końcu mówić.

- Zrobię to. Zastrzele cię, jeśli nie powiesz, kto nas wodzi za nos. - Głos Vallesa był coraz bardziej rozwścieczony, a lufa pistoletu dotykała już

czoła Vismary.

Upór Louisa i bardzo agresywne zachowanie Vallesa nagle przestraszyły Witwera. W jednej chwili uświadomił sobie, że Rog nie blefuje.

- Poczekaj, będzie mówił. Wiem, że będzie. To sprytny facet. Valles nawet nie drgnął.

- Chryste Panie, Rog, nie możesz go zastrzelić - powiedział poważnie Witwer.

Valles spojrzał w stronę kolegi, ale pistolet nawet nie drgnął.

- A dlaczegoż by nie? Dlaczego nie, Jeny, do jasnej cholery? Jeśli nawet ktoś nas widział, tu czy w mieście, pomyślał, że dwóch ćpunów dobrało się do handlarza. Jak ktoś później sprawdzi to miejsce, dojdzie do wniosku, że dwóch ćpunów załatwiło swego dostawcę. Nie będzie wcale na nas - powiedział szorstko Valles. - Nie zwałą tego na gliny.

Vismara słuchał ich sprzeczki. Czuł pod palcami suchą trawę, odwrócił nieco głowę w kierunku światła połyskujących i migoczących na błyszczącej, ciemnej powierzchni wody, i pomyślał, że ta rzeka i tak popłynie dalej do morza bez względu na to, co stanie się z nim w ciągu najbliższych paru sekund.

- Najtrudniejsze jest to, że cały czas muszę grać - stwierdził Nash. - Muszę myśleć o najmniejszym geście, o tym, jakie brzmienie ma mój głos. To ogromnie wyczerpujące.

Zanim przeszli z Janice z sypialni do kuchni, Tim włożył bieliznę. Była trzecia w nocy, ciemność za oknem mieszczącego się na czternastym piętrze mieszkania Janice była nieprzenikniona, wszystkie odgłosy miejskiego życia już ucichły i tylko dźwięk ich własnych przyciszonych słów wprowadzał wokół nich jakieś ożywienie.

Janice wciągnęła na siebie bawełnianą koszulkę bez rękawów, nie kryjąca specjalnie jej dojrzałych, zaokrąglonych kształtów i poruszała się w tym skąpym odzieniu bez najmniejszej żenady.

- Tajna operacja jest jak sauna, w której temperatura przekracza normę - powiedziała, podnosząc butelkę brandy. Nash pokręcił przecząco głową. - A ta w szczególności. Angażuje nas na spory kawał czasu.

- Jest strasznie trudna.

- Właśnie dlatego trzeba choć na chwilę o niej zapomnieć. I przestać udawać.

Nash dotknął delikatnie jej ramienia; Janice odwróciła się, uśmiechnęła i naląła małą brandy.

- Na pewno nie chcesz?

197

- Na pewno. Zaraz bym zasnął.

- To bardzo dobry pomysł.

- Jeszcze nie teraz. Mam parę spraw do przemyślenia. Uśmiechnęli się do siebie, a Janice zaczęła sączyć alkohol. Dzisiejszy wspólny wieczór wydawał im się jakiś uroczysty, bycie razem sprawiało im więcej przyjemności niż kiedykolwiek dotąd. Nash czuł się, jakby dostał nagrodę.

- Czy można założyć podsłuch na telefonach w sądzie?

- Które masz na myśli?

- W moim gabinecie. I aparat Ruth. I paru innych sędziów. Najczęściej rozmawiamy ze sobą właśnie przez telefon.

- Sądzę, że po wydarzeniach dzisiejszego wieczoru mogłabym dostać pozwolenie na zainstalowanie kilku pluskiew - stwierdziła Janice. -



Wygląda na to, że będziesz bardzo osamotniony.

- Możliwe. Jeśli chce się być sędzią... - zaczął.

- Ja nie chcę.

- Chciałem powiedzieć - ciągnął Nash łagodnym głosem - że można zapomnieć o normalnych kontaktach z ludźmi. Na to po prostu nie ma miejsca. Ojciec niezupełnie uzmysłowił mi ten problem.

- To trochę tak jak w mojej pracy. Traktujemy ludzi inaczej niż wszyscy. Tim otoczył ją ramieniem.

- Nie. - Nachylił się ku niej i szepnął z naciskiem w głosie: - Pozwól mi dokończyć myśl.

Janice podniosła kieliszek brandy. Tim obejmował ją jeszcze przez chwilę, po czym puścił. Popatrzył jej w twarz.

- Co tak badawczo mi się przyglądasz?

- Przepraszam. Wiem, że to zabrzmiało okropnie. Myślałem o mojej żonie.

- O mój Boże.

- Ale nie - zaprzeczył pośpiesznie. - Wyobrażałem sobie, jak wyglądała.

Uprawia kolarstwo. W każdym razie czasami. I nieraz traciła dużo na wadze, robiła się naprawdę wychudzona.

- Nie bardzo podoba mi się ta rozmowa.

- Ale to dla ciebie komplement. Ty jesteś doskonała. - Dotknął jej piersi, osłoniętych cienką koszulką. - I nie mamy między sobą sekretów.

Janice dopiła brandy i zsunęła jego dłoń ze swojej piersi.

- Ja jednak mam tajemnice.

- Przecież wiesz, co mam na myśli. Możemy ze sobą rozmawiać. Nie mam nikogo innego, z kim mógłbym pogadać. W sądzie mogę akurat trafić na kogoś, kogo namierzamy. Większość moich znajomych to

prawnicy, więc też nie wchodzi w grę. A co do mojej rodziny to, Chryste Panie, rozjechała się na wszystkie strony.

W pierwszej chwili Nash sam się dziwił, że zdobył się na taką szczerość w stosunku do Janice. Mówił zupełnie otwarcie.

- Twoi rodzice wciąż tu mieszkają - zauważyła Janice.

Położyli się z powrotem do łóżka i tuląc się do siebie, poczuli się bezpiecznie. Janice wsunęła swoją ciepłą, gładką nogę pomiędzy nogi Tima.

- Masz blisko siebie więcej rodziny niż ja - powiedziała.

- Ale o takich sprawach nie mógłbym rozmawiać z ojcem. Ani z matką - odrzekł Nash. - Naruszylibym zasady tajności, prawda?

- Neil rzeczywiście byłby tego zdania.

- A nawet gdyby było to możliwe, to moi rodzice znają wiele z tych osób, które namierzamy. Nie potrafiliby potraktować tej sprawy beznamiętnie.

- Ty też nie potrafisz.

Nash czuł, jak ciepło jej ciała zaczyna rozgrzewać jego ciało.

- Staram się. Poznałaś mojego ojca?

Janice pokręciła przecząco głową, powoli go pocałowała, a on czuł jej oddech na swojej twarzy.

- Nie - powiedziała.

- Przedstawię cię, gdy tylko uporamy się z tą sprawą. - Przysunął się do niej bliżej. - Może gdy to wszystko się skończy, znów staniemy się zwyczajnymi ludźmi.

Janice zadrżała. Od czasu do czasu do mieszkania dochodził słaby odgłos dzwonka windy, który przerywał ciszę i sprawiał, że Tim w napięciu oczekiwał na kolejny jego dźwięk.

- Kiedy już założymy te pluskwy w telefonach, będziesz miała okazję posłuchać bardzo zabawnych rozmów - zaczął Nash. - Kiedy pracowałem w Narkotykach, mogliśmy w więzieniu okręgowym podsłuchiwać kogo tylko chcieliśmy. Nie tak jak dzisiaj. I było to naprawdę proste - zwykła deska rozdzielcza, podobna do konsolki telefonicznej. Robiliśmy to w pokoju służbowym. Wystarczyło tylko wcisnąć przycisk, gdy na sali odwiedzin był więzień, którego chciało się podsłuchać, i uruchomić magnetofon. Żebyś wiedziała, jakie historyjki mieliśmy na taśmie.

- Na przykład?

- No wiesz. Gadki-szmatki zakochanych. Synek z mamuszką. Albo goście siedzący za poważne przestępstwa, którzy sprzeczekali się, kto będzie karmił psa albo spłacał raty za samochód.

- Ludzie są niesamowici.

Janice ponownie go pocałowała, ale Tim chciał jeszcze coś powiedzieć.

- Czasami trafiali się faceci, którzy mieli na tyle oleju w głowie, by wiedzieć, że każde ich słowo, każda rozmowa z odwiedzającymi jest nagrywana. Pewnie byli to ci, którzy już wcześniej siedzieli.

- Czy choć raz ktoś się z czymś wygadał? - spytała szeptem Janice.

- Jacyś idioci zdradzili kiedyś kilka obciążających dowodów. Ale przez te wszystkie lata naliczyłem ich tylko paru.

- Czasem mam wrażenie, że oni chcą, żeby ktoś ich słuchał. I wszystko im jedno, kto to jest - powiedziała Janice.

Gdzieś na ulicy w chłodnym nocnym powietrzu rozległ się słaby pisk opon samochodowych.

- Lubiłem faceta o imieniu Hill. Siedział za handel heroiną na niewielką skalę. Bardzo często miał odwiedziny. A w piątki i soboty nagrywaliśmy te rozmowy na taśmę. Właśnie w te dni przychodzi najwięcej gości. Zwykle w poniedziałek przesłuchiwałem nagrania. - Nash obrócił się na plecy i zachichotał. - I za każdym razem słyszałem głos Hilla: „Cześć, panie Nash, coś panu opowiem”, a dalej był jakiś dowcip. Potem już rozmawiał ze swoim gościem. I tym sposobem w każdy poniedziałek przez cztery miesiące rozpoczynałem tydzień od wysłuchania żartu.

- A były chociaż śmieszne?

- Przeważnie świńskie, chociaż niektóre całkiem w porządku.

Opowiadałem je potem chłopakom przy lunchu - odparł Tim. - Najlepsze było to, że on wiedział, że go podsłuchuję. Nie mogłem rozmawiać z Hillem w sądzie. Ani wysłać go na osiem lat do pudła, do San Louis Obispo. Ale obydwaj mieliśmy świadomość, o co chodzi i co mamy robić. Janice znów pocałowała Tima, a on poczuł w ustach słodki smak wypitej przez nią brandy. W czasie spędzonych wspólnie nocy, kiedy czuli się bardziej niż kiedykolwiek bezpieczni i bliscy sobie, Tim niewiele zdołał się o niej dowiedzieć. Tylko tyle, że była wspaniałą studentką wydziału prawa Wesleyan w Villanova w stanie Connecticut. W swoim mieszkaniu miała przenośne radio, kilka doniczkowych kwiatków oraz zdjęcia przyjaciół i krewnych. Jeśli chodzi o jajka, to lubiła jajecznicę, kawa musiała być słaba, a w chwilach silnego podniecenia zamykała oczy. Ale rzadko kiedy Nash myślał o tym, że właściwie niewiele wie o poglądach Janice; jednak nie chciał wcale wiedzieć więcej. Wystarczało mu, że są razem, łamiąc tym pewne zasady i że obojgu nie jest obca ta wewnętrzna gra, w której przeciwnikiem jest świat zewnętrzny.

Tim nigdy nie zapytał Janice, czy była kochanką Roemera albo czy nadal nią jest. Wiedział, że siła, która sterowała postępowaniem Janice i Roemera, sprowadzała się do pragnienia poznania wszystkiego i osądzenia. Nash był sędzią i o ludzkiej naturze nauczył się aż za dużo. Nie chciał dowiadywać się ani trochę więcej.

Jakiś czas później wyszedł z łóżka, zobaczył, że jeszcze nie świta i zaczął spacerować po pograżonym w ciemności mieszkaniu. Janice spała.

Pomyślał o życiu, które wiodła - o przeprowadzaniu się z miasta do miasta, o wiecznym nasłuchiowaniu i obserwowaniu innych, o formułowaniu oskarżeń, o kontaktach z sądem. Jak mogła to znieść?

Tego wieczoru, zanim zaczęli się kochać, Nash znów niespodziewanie zaczął się jej zwierzać. Janice słuchała w skupieniu, tylko od czasu do czasu wtrącając jakiś komentarz, a Nash miał wrażenie, że go rozumie.

- Pytałaś o mojego ojca - powiedział. - Bardzo go podziwiam. Tak jak wszyscy. A wiesz, dlaczego zaangażowałem się w tę tajną operację? Bo on o niej nie wie i od nikogo się nie dowie.

- Nie bardzo rozumiem. Wydawało mi się, że łączą was bliskie układy

- O, tak - potwierdził Nash. - Ale zająłem się tą sprawą, bo chciałem znaleźć odpowiedź na pytanie.

- Jakie pytanie? - spytała miękko, podpierając głowę ręką wspartą na poduszce.

- Kim jestem? W jakim stopniu jestem sobą, a nie tym, kim zrobił mnie ojciec, nie synem swego rodzica. Dorastaliśmy w tym mieście, ja i mój brat, i zawsze byliśmy dzieciakami Jacka Nasha, a nie Dickiem i Timem. Dlatego ciągle patrzyliśmy na wszystko z jego punktu widzenia, poprzez pryzmat jego osoby.

- W mojej rodzinie - wtrąciła Janice - każdy miał tyle swobody, ile chciał. Ja jestem prawnikiem. Mój brat, Nick, jest lekarzem. A mój drugi brat, Ralph, mechanikiem. A mój najmłodszy brat mieszka w jakiejś chatynce w Peru.

Roześmieli się obydwój. Po chwili Nash kontynuował:

- Ojciec załatwił mi nawet nominację na sędziego.

- Mogłeś ją odrzucić.

- Nie. Nie mogłem. Bo tak się składa, że podoba mi się bycie sędzią.

- Pamiętaj, Tim, że nieograniczona niemal możliwość wyboru nie zawsze jest błogosławieństwem - zauważyła Janice.

- W każdym razie uczestnictwo w tej operacji, bez względu na to jak potoczą się jej losy, to wyłącznie moja zasługa. Ja tu działałam.

Teraz nagi i zmęczony, ale odprężony, przechadzał się po ciemnym salonie. Pomyślał, że już niedługo weźmie prysznic, ubierze się, pójdzie wcześniej do sądu i przejrzy raporty na temat zwolnionych warunkowo oraz akta czekających go spraw. Może nawet zje w kafeterii szybkie śniadanie. A potem zacznie się proces i tak jak każdego dnia wzrośnie znowu nerwowość Soiki, bo gromadziło się coraz więcej dowodów przeciwko niemu. Później pewnie spotka się z Kalbacherem albo z Peatlingiem w hotelu lub w samochodzie. Bo w aucie też zainstalowano magnetofon uruchamiany przyciskiem włączającym wycieraczki. Nash sam zaproponował takie rozwiązanie, żeby nie dopuścić do powtórzenia sytuacji z Atchleyem.

Operacja nie miała wyznaczonych żadnych granic w sensie czasu czy liczby objętych nią osób. Każdy mógł stać się badanym obiektem.

W zamyśleniu Nash zaczął przewracać leżące na biurku Janice papiery, a

w sączącym się przez odsłonięte okno światło księżyca wyglądał jak duch. Wśród dokumentów dostrzegł jakieś notatki od Roemera na firmowym papierze Departamentu Sprawiedliwości. Były też zdjęcia jego i Vismary. I sędziów na chodniku przed gmachem sądu - Wisot z Jardine, Croncota u czyścibuta po przeciwnej stronie ulicy i nachmurzony Mivazumi, wpatrzony w sklepową wystawę. Ktoś napisał na tym zdjęciu „uzbrojony” i podkreślił to słowo.

Nash usiadł, czując na gołej skórze dotyk tkaniny, którą obite było krzesło. Z dokumentów unosiła się leciutka woń perfum Janice. W pokoju było zbyt ciemno, by czytać notatki. Ale zdjęcia mógł oglądać. Czuł się zupełnie tak samo jak w czasach dzieciństwa, kiedy to zakradał się do kuchni, gdy już wszyscy poszli spać, by podjeść trochę upieczonego przez matkę waniliowego ciasta.

200

201

W leżącym oddzielnie pakiecie zdjęć Tim natknął się na fotkę przedstawiającą jego ojca w towarzystwie Roemera i następną, na której Jack Nash, Roemer i Janice stoją pod wierzbą w parku Garfielda, zaledwie dwa budynki dalej od wstrętnego nowego domu sędziego. Była też cała seria zdjęć pokazujących Jacka Nasha siedzącego na parkowej ławeczce, u jego stóp przycupnęło stadko kaczek. Mówił coś do Janice. Wprost do niej, to nie uszło uwagi Tima. Na kolejnej fotografii tuż obok Jacka Nasha siedział Roemer z wyciągniętymi przed siebie nogami, zupełnie jakby sobie beztrosko gawędzili. Tima uderzyła postawa ojca. Jack Nash trzymał splecione dłonie między kolanami, głowę miał opuszczoną, a Janice stała z

boku i spoglądała na niego ze współczuciem na twarzy.

Patrząc na tę uwiecznioną na fotce sytuację, Tim nie miał żadnych wątpliwości. Widywał już w sądzie wyglądających w ten sposób oskarżonych. W chwilach, kiedy ujawniano obciążające dowody, taką pozycję przyjmował siedzący pomiędzy Escobarem a Duryeą Soika. Do ostatniej fotografii przypięto kawałek papieru. Nawet w bladej poświacie wstającego dopiero dnia Nash rozpoznał na nim pismo swego ojca. Był to jego domowy numer telefonu.

Zabrał zdjęcie i karteczkę do sypialni. Próbował się uspokoić. Przez chwilę stał, spoglądając na śpiącą Janice. Ręce miała wyciągnięte wzdłuż ciała, a oddech powolny. Przykryta była tylko prześcieradłem. Kołdra, którą musiała z siebie ściągnąć, leżała skłębiona w nogach łóżka.

Nash usiadł na brzegu łóżka plecami do niej. Ciszę kończącej się nocy rozdarła wyjąca syrena jakiegoś mknącego ulicą samochodu, a Tim siedział ze zdjęciem ojca i Janice w dłoni i zastanawiał się, co ma zrobić. W końcu potrząsnął lekko śpiącą kobietą, aż otworzyła oczy. Szybkim ruchem wcisnął przełącznik nocnej lampki o barwie złota. Położył fotkę na brzuchu Janice.

- Co to jest? - spytał. Ziewnęła i zerknęła na zdjęcie.

- Przecież wiesz.

- Powiedziałaś, że nie znasz mojego ojca. A masz zdjęcia robione przez kogoś, kto go obserwował. I masz jego domowy telefon. O co tu chodzi? Janice położyła fotkę na podłodze po swojej stronie łóżka. Sama ułożyła się na poduszce.

- Zapomniałam o tym, Tim. Taka byłam zajęta przez ostatnich parę tygodni.



- Kiedy z nim rozmawiałaś?
- Nie pamiętam. Jakies trzy, cztery tygodnie temu. Złożyliśmy mu z Neilem zwykłą towarzyską wizytę.
- Nigdy mi o tym nie wspominał. I ty też nie. Ani Roemer. - Tim poczuł się przygnębiony i miał już dość zadawania pytań. - Okłamałaś mnie dzisiaj.
- Nie. Po prostu zapomniałam. Najzwyczajniej w świecie wyleciało mi z głowy.

202

- Niczego nie zapomniałaś. Janice westchnęła.
- Nie będę tego dłużej powtarzać, Tim.
- Powiedz, o czym wtedy rozmawialiście.
- O niczym. Taka gadka-szmatka. Przedstawiliśmy się sobie nawzajem. Wspomnieliśmy, co robimy w Santa Maria.
- Czy mój ojciec wie o naszej operacji? Janice skinęła głową.
- Bardzo pobieżnie. Nie zna żadnych szczegółów. Ani nazwisk.
- Czy wie, że się ze mną widzisz?

Janice znowu westchnęła, a Tim wyczuł, że nie jest jej wcale przykro, a tylko wyrzuca sobie w duchu własne bałaganiarstwo, bo zostawiła dokumenty na widoku.

- Chyba nie rozmawialiśmy o żadnych szczególnych sprawach. To była zwyczajna, towarzyska wizyta.
- Ojciec nie wie, że pracuję dla Roemera? Tak?
- Raczej nie.

Nash popatrzył na nią. Janice nie byłaby dobra w sądzie. Nie umiała nadać swej twarzy odpowiedniego wyrazu. Niepomyślne wieści wytrącały ją z

równowagi aż nadto wyraźnie i przysięgli od razu by to dostrzegli. Obrońca również. Raz zauważywszy słaby punkt w jej zeznaniach, zaczęły ją gnębić pytaniami.

- Chcę znać prawdę, Janice. Musisz mi powiedzieć, o czym rozmawialiście. Na tych zdjęciach ojciec jest przygnębiony.

- Widziałeś pozostałe? Tim skinął głową.

- Powinnam je schować. Neil nie cierpi niedbalstwa. Nie spodoba mu się to - stwierdziła. - Wyrzucił sekretarkę z Departamentu Sprawiedliwości tylko za to, że nie zniszczyła menu z lunchu, które oddał jej agent FBI. Neil nie życzy sobie nawet tego, żeby ktokolwiek wiedział, gdzie jadają pracujący dla niego agenci. A urzędnika państwowego, takiego jak na przykład sekretarka, bardzo trudno jest wyrzucić z pracy. - Na jej twarzy pojawił się smutny uśmiech.

- Pomówię z ojcem - powiedział Nash. Wstał i zaczął się ubierać.

- Nie wygłupiaj się. Nie ma ku temu powodu. Wyleciało mi z głowy, ale to nic takiego.

- Zapytam go. - Schylił się, by zawiązać buty. Za oknami dniało i Nash widział już smutne wnętrza pokoju. - On mi powie.

- Chciałabym, żebyś mi ufał - powiedziała cicho.

- W tej chwili przychodzi mi to z dużym trudem. - Poszukał wzrokiem płaszcza. - Masz jakieś taśmy? Założyłaś mu podsłuch?

- Nie. Są tylko zdjęcia. W czasie trwania operacji Neil lubi wszystko uwieczniać, nawet przypadkowe kontakty. Ale tym razem zdjęcia wystarczyły.

- Tak, owszem.

Tim stał nad nią w kręgu zimnego światła rzucanego przez lampę,

spoglądał na delikatną, wystającą spod prześcieradła stopę Janice i zastanawiał się, czy jest ktoś na tym świecie, komu dzisiejszy świt nie pomieszał w życiu.

Przez dłuższy czas po powrocie do domu Louis nie przestawał jęczeć.

Mindy uważała, że przez cały dzień zachowywał się dziwnie, bo i był w kościele, i kupił kaburę, i zaczął nosić broń, i ciągle się chwalił. A kiedy w końcu zjawił się w domu, był brudny, koszulę miał rozerwaną, a twarz spuchniętą, czerwoną i poranioną w okolicach ust.

Nie chciał w ogóle rozmawiać z Mindy. Jęcząc z bólu, zdjął z siebie płaszcz. Zawsze bardzo się o niego troszczył, wieszal na wieszaku i wygładzał. Teraz okrycie było w kilku miejscach porwane i brudne, jakby ktoś go ciągnął po ziemi. Louis nie miał już ani broni, ani kabury, a prawe oko było tak przekrwione, że ledwie na nie widział.

Mindy namówiła go na kąpiel w wannie. Aż przykro było patrzeć, jak woda zrobiła się najpierw szara, a potem zabarwiła się na czerwono, gdy Louis zaczął się myć. Strasznie jęczał, ale nie chciał iść do szpitala. Mindy siedziała obok i umyła go tam, gdzie nie sięgał, nie mogąc się wykręcić i przy tej okazji zobaczyła formujący się na jego ciele niebieskozielony siniak, który niewątpliwie był pozostałością po potężnym ciosie. Myjąc go, Mindy przemawiała do Louisa łagodnym głosem, a on zwiesił głowę i skrzyżował ręce, obejmując swe drobne ramiona, jakby chciał się ukryć przed bezlitosnymi spojrzeniami.

Mindy знаła Louisa od trzech miesięcy. Spotkali się w barze California, niedaleko ulicy Rio Consumnes. Tańczyli, a on miał ze sobą trochę dobrej koki i zachowywał się jak ktoś bardzo ważny. Jakiś czas później Mindy

wprowadziła się do niego. Dom przy Magnolia Drive zaskoczył ją nieco. Wszystkie znajdujące się w nim meble były wypożyczone, wnętrza tak nowiutkie, że trudno było znaleźć jakiegokolwiek ślady użytkowania, a sąsiedztwo sprawiało wrażenie zamkniętego środowiska, bo mieszkali tu sami porządni ludzie, którzy przed swymi porządnie wyglądającymi domami podlewali trawniki albo naprawiali łodzie. Nie było to miejsce, do którego Louis pasował i zresztą on sam to przyznał. Napomknął jej kiedyś mimochodem, że wszystko to jest wynajęte - dom, samochód, meble, a nawet, jak zażartował, „moje życie”. Jediną naprawdę dziwną rzeczą w postępowaniu Louisa było to, że co niedziela chodził do kościoła. Mindy poszła tam z nim raz, lecz potem zostawała już w domu, bo bardzo ją nudziły te śpiewy przy wtórze gitary i teatralne uściski, którymi wszyscy ją obdarzali bez żadnego widocznego powodu. Louis twierdził, że musi jakoś zapełniać sobie czas. Ale dzisiaj po raz pierwszy poszedł do kościoła w środku tygodnia.

Mindy wytarła go ręcznikiem, dała trochę leku przeciwbólowego, którego używała kiedyś po wyrwaniu zęba i zapakowała do łóżka. Louis nigdy nie pił i nie zwierzał się jej, gdzie z kim i kiedy handluje. Lubił jednak napomykać czasem, że zna ważne osobistości. Nieraz przy śniadaniu przeglądał

204

gazetę i wskazując palcem na zdjęcie jakiegoś sławnego faceta, mówił: „Kiedy się z nim rozmawia, zawsze obgryza sobie paznokcie” albo „Jego żona ciągle chodzi po domu w czerwonych kapciach” - zupełnie jakby wiedział o tych ludziach wszystko. Nigdy jednak Louis i Mindy nie przyjmowali gości. Przeważnie szli gdzieś potańczyć, ona piła drinka i

jedli kolację. Któregoś dnia Mindy próbowała nawiązać rozmowę z panią Rehammer, sąsiadką z domku w dole ulicy. Ta jednak była tak zarozumiała, że natychmiast odeszła do domu, zamykając za sobą drzwi i nawet zapomniała schować narzędzia ogrodnicze.

Mniej więcej godzinę po tym, jak Louis znalazł się w pościeli, Mindy wstała, zawinęła w ręcznik trochę lodu i przyłożyła mu go do twarzy. Następnie napełniła termofor zimną wodą z kostkami lodu i położyła go na łóżku, by Louis mógł oprzeć na nim posiniaczony bok. Cały czas jęczał, ale nie chciał jej powiedzieć, co się stało. Samochód był w porządku, więc wypadek nie wchodził w grę. Dziewczyna przypuszczała, że coś poszło nie tak przy sprzedaży i w rezultacie Louisa pobili. Próbowała uzmysłwić mu, że to przecież nic takiego i nie ma się czego wstydzić. Ale Louis tylko jęknął.

- Zabrali mi pistolet. Powiedzieli, że wyślą mnie z powrotem do pudła.

-Znow rozległ się jęk.

- Kto tak powiedział?

- A jak myślisz? Kto wysyła ludzi do pudła, kto pieprzy im życie, plany i wszystko, czego się tkną?

Mindy pokiwała głową ze współczuciem.

- Masz na myśli gliny?

Louis jęknął, oczy miał zamknięte.

- Nie mogą tego zrobić.

Słyszając to, Louis spróbował się uśmiechnąć, ale okazało się to zbyt bolesne, więc tylko krzyknął. Znowu przestał się odzywać, leżał skulony i spokojnie oddychał. W końcu Mindy miała dosyć siedzenia w lśniącej czystości salonie przy włączonej, ale ledwie słyszalnej, by nie

przeszkadzać Louisowi, telewizji i przeszła do sypialni. Nasłuchiwała przez chwilę. Spał. I pojękiwał. Ostrożnie wsunęła się do łóżka.

Biedactwo, pomyślała. Bidulek.

W końcu chyba sama zasnęła. Kiedy ponownie otworzyła oczy, była jeszcze noc - trzecia, może czwarta godzina. Louis, nagi, siedział na skraju łóżka. Brodę miał opartą na kolanach, a jego ciałem wstrząsały drgawki.

Płakał.

Mindy była ogromnie zażenowana. Louis na swój własny sposób pojmował zachowanie poczucia własnej godności. Nie cierpiał, kiedy z niego żartowano i traktowano jak głupka. Właśnie dlatego Mindy nie chciała go pocieszać ani pytać, co się stało. Sądziła, że w ten sposób zraniłaby go jeszcze bardziej. Nie ruszała się więc, udając, że śpi i patrząc w świetle księżyca na rząd drobnych guzków na plecach, który był jego kręgosłupem; słuchała, jak, siedząc w ciemnym pokoju na skraju łóżka, łąka cichutko.

Po jakimś czasie Mindy zdrzemnęła się i obudziła się dopiero, gdy

205

usłyszała, że Louis rozmawia przez telefon w salonie. Mówił wprawdzie cicho, ale w grobowej ciszy, jaka panuje tuż przed świtem i to w pograżonym we śnie domu w eleganckiej spokojnej dzielnicy, trudno było nie usłyszeć jego słów.

- Wiem, która godzina - mówił Louis. - Proszę mi wybaczyć, panie Roemer. Przepraszam tak gorąco, jak tylko można - ciągnął, choć w jego głosie nie słychać było wcale skruchy, a jedynie sarkazm. - Niech pan posłucha, panie Roemer - powiedział z naciskiem. - Wie pan, że ciągle mam oczy i uszy otwarte w czasie pracy - rozglądam się i przysłuchuję, co

ludzie mówią. A dzisiaj, jak już skończyliśmy z tą sędziną, natknąłem się na coś, o czym chciałby pan wiedzieć.

Tu urwał, bo najwyraźniej głos zabrał jego rozmówca. Mindy aż wstrzymała oddech, żeby nie stracić ani słowa z tego, co mówił Louis.

- Dobrze. Dobrze - podjął Vismara. - A więc tak, panie Roemer.

Spotkałem, jak to pan mówi, parę obiektów, którymi trzeba się zająć. Mam na myśli dwóch pieprzonych, zgniłych gliniarzy, którzy biorą w łapę...

Pewnie. To miejscowe gliny, Valles i Witwer... Tak. Mógłbym się nimi zająć dla pana.

Mindy miała nieodparte pragnienie zapytania Louisa, co się właściwie dzieje. Wiedziała jednak, że on jej tego nie powie.

Rozdział dwudziesty siódmy.

Po porannej przerwie Nash ogłosił: - W protokole zostanie odnotowana obecność oskarżonego, stron i sędziów przysięgłych. Może pan wznowić przesłuchanie, panie Benisek.

Benisek zaszeleścił jakimiś papierami i lekko chrząknął. No, zaczynaj, popędzał go w myślach Nash. Tymczasem siedzący na krześle dla świadków miejscowy policjant, który przestrzeliwał dubeltówkę, również chrząknął. Przysięgli pochłonięci byli sprawą, a niektórzy z nich tak swobodnie już czuli się w sądzie, że przychodzili na rozprawy w zwyczajnych, codziennych ubraniach.

Nash dwukrotnie próbował skontaktować się z ojcem jeszcze przed rozpoczęciem posiedzenia. Na razie nie chciał wciągać w to matki.

Przecież tamta rozmowa mogła być jedynie zwykłą pogawędką, jak twierdziła Janice.

Ale te zdjęcia. Nash nie mógł o nich zapomnieć. Roemer zadał sobie trud upamiętnienia tego spotkania na fotografiach. Tim nie wierzył, że nie ma żadnych taśm, bez względu na to co twierdziła Janice.

- Sierżancie Larkin, czy po strzale z dubeltówki - dowód rzeczowy oskarżenia numer pięć, podniósł pan łuskę?

Policjant, młody, potężnie zbudowany mężczyzna w garniturze, skinął głową, wpatrując się przy tym w Beniska. Nash pomyślał, że pewnie nigdy wcześniej nie był w sądzie.

- Zabrałem ją z sali ćwiczebnej. Zachowałem też opakowanie po nabojach. Do obu przyczepiłem karteczkę z moim nazwiskiem i numerem identyfikacyjnym.

Escobar westchnął, zerknął na sufit, potem na przysięgłych i na Nasha. Stoika, ubrany w starannie wyprasowaną białą koszulę, obrzucał policjanta ponurym spojrzeniem. Jego obrońca powoli podniósł rękę do góry.

- Zażądam wyjaśnień tej kwestii. Uprzedzałem o tym. Uzgodniliśmy przecież, że to właśnie kula z dubeltówki - wskazał palcem na leżącą na biurku Vi broń - zabiła pana Prentice'a. Prawda?

207

- Pan Benisek ma prawo przedstawić sprawę z własnego punktu widzenia, panie Escobar - stwierdził Nash.

- Chciałbym po prostu zaoszczędzić nam wszystkim czasu. Żebyśmy mogli wreszcie przejść do naprawdę istotnej dla przysięgłych kwestii.

- Wysoki Sądzie - zaczął Benisek. - Nie życzę sobie, żeby pan Escobar zwracał się do sędziów przysięgłych.



- Właśnie sam pan to robi - odparł Nash. Ławnicy zachichotali. - Proszę kontynuować przesłuchanie - polecił Beniskowi.

Trudno było pilnować przebiegu rozprawy i jednocześnie myśleć o innych sprawach,

Escobar ponownie westchnął. Próbowałem, zdawał się mówić ze smutkiem do przysięgłych. Soika odtrącił dłoń Cindy Duryei, która chciała podnieść go na duchu. Niezależnie od obecności Shei i stale pilnującego Soiki zastępcy szeryfa, Nash ustawił na końcu sali jeszcze dwóch strażników. Czuł, że w powietrzu wiszą jakieś kłopoty. Soika nie słuchał Escobara i bez przerwy gderał, mówiąc czasem na tyle głośno, by mogli go słyszeć przysięgli. W końcu Nash polecił mu zachować milczenie.

Ostrzegł Escobara, że jeśli Soika znów będzie się głośno zachowywał, to zostanie usunięty z sali, i w rezultacie zapanowała cisza. Ale spokojny nie był nikt.

Wreszcie Benisek skończył przesłuchiwanie świadka. Łuski i opakowanie zostały włączone do materiału dowodowego.

Escobar wstał, zapinając guziki marynarki.

- Proszę mi powiedzieć, czy kiedy naciskał pan spust, przyszło to panu z trudem?

- Słucham?

- Czy trudno było wystrzelić z tej dubeltówki? Młody policjant pokręcił przecząco głową.

- Nie zauważyłem.

- Czy w raporcie - kontynuował Escobar, chwytając w palce rozek jednostronicowego dokumentu i podnosząc go do góry - zwróciłby pan uwagę na jakiegokolwiek odbiegające od normy cechy broni, jak na przykład

opornie poddający się naciskowi spust?

- Chyba tak.

Nash ciekaw był, do czego zmierza Escobar i dlaczego Benisek pozwala mu na takie prowadzenie przesłuchania. Po chwili uznał jednak, że ma swoje własne problemy. Na przykład dzisiaj czekało go spotkanie z asystentką Ruth Frenkel, a potem z jakimś szalonym jegomościami; świeżo wybranym członkiem rady nadzorczej hrabstwa. Pomyślał, że nic tylko prowadzi różne akcje w ramach tajnej operacji, a nie wie nawet, co się dzieje z jego własną rodziną.

- A gdyby spust naciskał się bardzo lekko? Czy zanotowałby pan, że w takiej to a takiej broni spust nie stawia oporu? - pytał Escobar policjanta.

- Jeślibym to zauważył.

- Czy mogę podejść do świadka, Wysoki Sądzie?

Nash skinął głową.

- Proszę bardzo.

Escobar wyszedł zza stołu i wziął do ręki dubeltówkę z odciętą lufą. Vi odnotowała to na formularzu i rzuciła Escobarowi niechętnie spojrzenie. Shea oraz strażnicy z tyłu czekali w napięciu. Gotowi rzucić się na Soikę, gdyby broń znalazła się w jego zasięgu.

Jednakże obrońca, pełen swobody i pewności siebie, podszedł lekkim krokiem do świadka i podał mu broń.

- Proszę sprawdzić spust.

Policjant wziął od niego dubeltówkę, spojrzął na Beniska, jakby prosząc go o radę, po czym wzruszył ramionami i nacisnął spust. Uszu Nasha dobiegł zwyczajny, niezbyt głośny i bezużyteczny suchy trzask. Przysięgli siedzieli nieruchomo i wpatrywali się w broń, którą uśmiercono człowieka.

- Ciężko było nacisnąć? - spytał Escobar, odbierając policjantowi dubeltówkę.
- Niespecjalnie.
- A więc łatwo?
- Nie zauważyłem niczego, co odbiegałoby od normy.
- Czy to prawda, sierżancie, że z tej dubeltówki jest znacznie łatwiej strzelić niż z innej tego typu broni?

Benisek wstał.

- Sprzeciw. Świadek nie występuje tu w charakterze eksperta do spraw broni.
- To świadek oskarżenia, Wysoki Sądzie. Doświadczony policjant, który opowiada o przestrzeliwaniu broni - powiedział Escobar, wciąż trzymając w ręku dubeltówkę.
- Sprzeciw odrzucony. Pytanie dotyczy spraw, w których świadek ma doświadczenie - zawyrokował Nash, chociaż młody policjant nie wyglądał na kogoś, kto ma doświadczenie chociażby w znalezieniu miejsca do parkowania przed sądem.

Escobar uśmiechnął się.

- Spust tej broni bardzo łatwo jest nacisnąć, prawda?
- Nie.
- Czy sprawdzał pan, jak duży nacisk trzeba wywrzeć, aby nacisnąć ten spust?
- Nie. Poproszono mnie jedynie o oddanie kilku próbnych strzałów do badań balistycznych.
- A więc policja była w posiadaniu tej broni - kontynuował Escobar, podnosząc dubeltówkę do góry, i nikt się nie zainteresował, czy może ona

wystrzelić przypadkowo?

- To stwierdzenie nie na miejscu, panie Escobar - pouczył go Nash.

- Evan Soika zeznał, że ofiara zginęła z własnej ręki, bo broń wystrzeliła samoistnie - ciągnął Escobar.

- Proszę wykreślić te komentarze - polecił Nash protokolantowi. - Panie

208

209

Escobar, ma pan przesłuchiwać świadka, a nie wygłaszać mowę. Niech pan zachowa tego typu uwagi na użytek swojej mowy końcowej.

Soika uniósł się nieco, a pilnujący go zastępca szeryfa natychmiast posadził go z powrotem. Oskarżony krzyknął jednak na całą salę:

- Tak właśnie było! Strzelba wypaliła! Ja nic nie zrobiłem! Nawet jej nie dotykałem. Po prostu wystrzeliła.

- Niech pan usiądzie, panie Soika. Panie Escobar, proszę pilnować swego klienta. Nie życzę sobie więcej żadnych zakłóceń. Proszę pamiętać, że pana ostrzegałem.

- Przepraszam Wysoki Sąd w imieniu pana Soiki. - Escobar usiadł, uśmiechając się z zaciśniętymi ustami. Skierował wzrok na Nasha. -

Wysoki Sądzie, wypadki chodzą po ludziach. A ta dubeltówka wypaliła przypadkowo.

- Sprzeciw! - krzyknął Benisek, wstając i gwałtownie chwytając broń do ręki. - Ta broń nie mogła wystrzelić sama z siebie.

Zanim jeszcze Nash zdążył polecić mu, by usiadł czy wciąż

niespokojnemu Soice, by zachował ciszę, z broni w ręku Beniska znów rozległ się suchy, dobrze słyszalny trzask, taki sam jak chwilę wcześniej, gdy Escobar prosił świadka, by nacisnął spust. Soika wykrzywił wargi w

uśmiechu, z powrotem siadając na swym miejscu, a Benisek pospiesznie odłożył broń na biurko Vi i wrócił do swego stolika.

Nash wiedział, że sędziowie przysięgli myśleli teraz wyłącznie o dubeltówce. Pewnie będą się świetnie bawić w sali obrad, robiąc z nią doświadczenia i sprawdzając czy rozlegnie się odgłos takiego właśnie samoistnego uderzenia iglicy w pustą lufę.

Możliwe nawet, że Benisek przegrał już sprawę. A to fart. Co za arogancja, pomyślał Nash, patrząc na Escobara, na którego twarzy malował się wyraz triumfu.

Vi popatrzyła na leżącą tuż obok jej lewej ręki broń tak, jakby miała przed sobą węża.

Nash słyszał, że Benisek zaczyna zadawać świadkowi obrony nerwowe pytania.

Pomyślał, że to zupełnie jak z tymi zdjęciami, które znalazł w nocy, albo z ojcem, który w coś się wplątał - przypadki chodzą po ludziach. I są brzemienne w skutki.

Rozdział dwudziesty ósmy.

Tydzień dobiegał już końca, ni stąd ni zowąd zrobiło się chłodniej i niebo pokryło się chmurami, a Nash jakoś nie zdołał jeszcze pomówić z ojcem. Z Janice widział się tylko dwukrotnie i za każdym razem było to po spotkaniu z obiektem operacji. Na półce w tajnym studio Testy rosła kolekcja taśm, zarówno wideo, jak i magnetofonowych. Najnowszym jej uzupełnieniem było nagranie Dela Howarda, najmłodszego członka rady

nadzorczej. Nash spotkał się z nim w swoim samochodzie, zaparkowanym przed zajazdem Wayfarer Motor Inn, obok stacji benzynowej. Stali pod lampami rtęciowymi, w świetle których czerń asfaltu błyszczała. Howard miał zaledwie czterdzieści lat, pracował w rodzinnej firmie budowlanej, stawiając brzydkie parterowe domki na południowych krańcach Santa Maria.

Po drugiej stronie parkingu stał wóz Jacobsa i Sancheza. Agenci mieli kamery wyposażone w szeroki obiektyw, teleobiektyw i szybko przewijający się film, a nawet film na podczerwień na wypadek, gdyby Nash i jego obiekt weszli na teren nie oświetlony.

Howard znał ze słyszenia ojca Nasha. Teraz przyjął od Tima kopertę z pierwszą ratą.

- Z tego co wiem, zawsze robi się to w taki właśnie sposób. Późną nocą, gdzieś na parkingu.

Vismara ulokował się na tylnym siedzeniu i prawie się nie odzywał. Rany miał zabandażowane. Ani Nashowi, ani Janice nie chciał powiedzieć, co się stało; zapewnił ich jedynie, że nie miało to nic wspólnego z operacją.

- Kim jest ten twój przyjaciel w Biurze Prokuratora Okręgowego? - spytał Nash.

- Joe Perpich. Znasz go?

- Kiedyś znałem. Teraz pełni chyba jakąś funkcję kierowniczą.

- O tak. Prowadzi śledztwa w sprawach specjalnych. Dopilnuje, żeby twój problem został rozwiązany.

211

Howard obejrzał się na Vismarę.

- Może spotkalibyśmy się wkrótce we czwórkę? - badał sprawę Nash.  
- Żeby nie było żadnych nieporozumień. Jest parę kwestii, w których moglibyśmy współpracować, jak przekazywanie spraw z biura prokuratora, wypadki naruszenia zwolnienia warunkowego, tego typu rzeczy.

- Joe chce raczej działać na zapleczu. Tylko on i ja.

- Wpadliście już w rutynę?

Howard uśmiechnął się głupio. Nash pomyślał, że na pewno poszedł na studia, mając zapewnione pokrycie wszelkich kosztów i wydatków, co roku dostawał od rodziców nowy samochód, a wreszcie, nie musząc nawet kiwnąć w tym celu palcem, zaczął pracę w rodzinnej firmie, gdzie wystarczyło mu nazwisko, by dostać posadę. Całkiem tak jak w moim przypadku. Mógłbym zająć jego miejsce. Przypomniało mu się, co powiedziała Janice pierwszego, wspólnie spędzonego wieczoru. „Nigdy nie wiadomo, czy ktoś weźmie łapówkę, dopóki mu się tego nie zaproponuje”.

- Sądzę, że moglibyśmy znaleźć nowy teren działania - stwierdził Howard. - Przez ten sąd musi się przewijać mnóstwo ludzi, którym przydałaby się pomoc.

Popatrzył na Vismarę, by zobaczyć, czy się z nim zgadza.

- I to każdego dnia - poparł Howarda Nash. - Albo nie są w stanie zapłacić kaucji, albo mają inne problemy.

- Widzisz? Otwierają się przed tobą wielkie możliwości. Najpierw wyznaczasz kaucję tak wysoką, by nie mogli jej zapłacić, a potem my wkraczamy do akcji, oferując pomoc. Za opłatą oczywiście.

Uścisnęli sobie ręce. Nash i Vismara poczekali, aż Howard wsiądzie do

swego auta, jedyne zresztą na parkingu, nie licząc dyskretnie zaparkowanego wozu FBI. Odjeżdżając, zatrafił jeszcze niczym uczniak wybierający się na niedozwolonego drinka.

Nash wyprostował się na siedzeniu, zdenerwowany. Podjechał do niego samochód FBI.

- Pierdolony śmieć - powiedział Vismara, przechylając się przez fotel w stronę Nasha. - Niech tylko uda mu się wcisnąć w jakiś inny interes, a z miejsca będzie się im sprzedawał. Mogę się o to założyć.

- On nie zna Joego Perpicha. Niemożliwe, żeby Joe dla niego pracował. On nigdy by na to nie poszedł. Znam go - powiedział głośno Nash.

A przynajmniej taką miał nadzieję. Vismara zaklął.

- I co z tego? Panie sędzio, niech pan będzie realistą. Możemy go przyskrzynić, jeśli tylko przyjdzie nam na to ochota.

Nash zerknął w górę przez okno, bo Jacobs wychylił się z samochodu.

- Na dzisiaj to już koniec, chłopaki - rzucił agent. - Macie ochotę na drinka, zanim ruszymy do bazy?

Nash nie wiedział, w którym momencie kamery i magnetofony przestają pracować. Nie wiedział, czy gdyby po każdorazowym wykonaniu zadania nie robił tylko tego, co było konieczne, to czy nie zostałyby to jakoś odnotowane i później wykorzystane przeciwko niemu. Potrzęsnał więc tylko głową.

- Ja mam już dosyć.

- Ja też - odparł zwięźle Vismara. - Muszę wypocząć, bo jutro czekają mnie te gliny.

Tylko jedno rzucone mimochodem nazwisko, wzmianka o człowieku, który był starym znajomym Nasha z Biura Prokuratora Generalnego, i



trzeba będzie podjąć w związku z tym jakieś działania. Perpicha należy zbadać, sprawdzić na wszystkie strony, a nawet spotkać się z nim i nagrać całą rozmowę, byle tylko mieć pewność, że rzeczywiście jest kupiony. Nash miał nadzieję, że ci dwaj tajni policjanci, którzy - jak twierdził Vismara - chcieli go szantażować, są czyści. Mieli się z nimi spotkać jutro wieczorem, a Nashowi coraz trudniej przychodziło ufać komukolwiek. Wrócili do hotelu osobno i tego wieczoru Nash nie widział się już z Janice. Frank Wisot stał na przygotowanym w sali gimnastycznej Johnson High School podium i przemawiał. Nash lubił naturalny u Franka odruch popychania okularów na nosie. Robił to zawsze, gdy z chłopięcym uśmiechem na twarzy przemawiał publicznie. Tuż obok niego siedziała Lenore, jego żona, która dopiero co skończyła swoją mowę. Nash stał na samym końcu sali. Na rozkładanych metalowych krzeselkach siedzieli ludzie, którzy byli czyimiś rodzicami i czyimiś sąsiadami, tacy zwyczajni, jakich Nash spotykał na co dzień na ławie przysięgłych. Uprzejmie bili mówcom brawo. Sprawiali wrażenie, że każde padające z podium słowo jest bardzo ważne, a nawet gdyby nie było, to zwykła grzeczność wymagała, by robić minę uważnego słuchacza.

Wisot miał na sobie tweedową marynarkę, bo pogoda zrobiła się już jesienna. Było wczesne popołudnie; Benisek nie miał wielu świadków, więc szybko skończył i Nash mógł zobaczyć się z Wisotem.

- Wprawdzie Lenore i ja nie wnieśliśmy wielkiego wkładu - mówił Wisot, popychając okulary na nosie. - Ale nazwanie nowego ośrodka naukowego naszym nazwiskiem sprawi, że nasze wnuki, bo moje córki wyrosły z wieku szkolnego, będą się tym bardzo cieszyć.

Rozległy się brawa. Lenore uśmiechnęła się. Za zatłoczonym podium, przy

którym siedzieli Wisotowie i personel szkoły, wisiał transparent z napisem „Fundusz na rozwój Johnson High School” oraz wielkimi cyframi \$200000, po których następowало kilka wykrzykników.

Kiedy kilka minut później uroczystość otwarcia centrum zakończyła się, Nash ruszył w stronę Franka i jego żony. Wśród tłumu krążyły papierowe tacki pełne domowych herbatników i owocowej sałatki.

- Mamy niespodziankę - powiedział Wisot, gdy Nash do niego podszedł.

- Cześć, Tim - przywitała go Lenore, częstując czekoladowymi ciasteczkami. - Pójdziemy teraz na koktajl?

212

213

- Właściwie to chciałem was zaprosić na piknik w Mason Park w sobotę.

- Uwielbiam pikniki - oznajmił Wisot. Obejmował ramieniem Lenore.

Żona była od niego odrobinę wyższa i miała podłużną twarz bez śladu zmarszczek. - O której? Tylko nie każ nam niczego przynosić.

- Myślałem, żeby spotkać się w południe. Przy Dębie Założyciela.

- Przyrowadzisz kogoś ze sobą? - zainteresował się Wisot.

- Tę samą dziewczynę, którą poznaliście u Harolda.

- Bardzo miła osóbka. - Wisot przeżuwał kleiste ciasteczko. Niektórzy

ludzie podchodzili do niego i dziękowali za czas, który poświęcił na

telefony i spotkania, za to, że zarywał noce po to tylko, by zebrać

pieniądze na nową siedzibę dla szkoły. - Powinieneś tutaj kończyć szkołę

średnią - dodał Wisot.

- Frank i ja poznaliśmy się na potańcówce dla pierwszoklasistów - wtrąciła

Lenore. - Od tamtego dnia upłynęło już czterdzieści pięć lat, a my wciąż

jesteśmy w tej samej szkole.

- Podobał mi się wyjazd do prywatnej szkoły. I Santa Maria też lubiłem znacznie bardziej - odparł Nash.

- Boże, popatrz tylko. Muszę chodzić na każdą kolację z okazji pożegnania absolwentów. Pomagam wnieść nowy budynek. Można by pomyśleć, że pobyt w tej instytucji był dla mnie przyjemnością.

Nash i Lenore roześmiali się. Wypełniające salę głosy i śmiech innych ludzi brzmiały zupełnie beztrosko. Czas dłużył się Nashowi, aż do momentu, kiedy Wisot spytał:

- Byli wczoraj u ciebie faceci z telekomunikacji?

- Nie.

- Przychodzili do wszystkich gabinetów na czwartym piętrze. Grzebali coś w moim telefonie. Potem zeszli na dół i dłubali u Henshawa, Susanny i Freda. Przez parę godzin nie mogłem dzwonić na miasto. Jedyne plus tej operacji polegał na tym, że nikt nie mógł dodzwonić się do mnie.

- Coś się zepsuło?

- Nie mam pojęcia - odrzekł Wisot. - Może Gremlinsy zaatakowały kable. Albo ulepszyli sądową instalację. Miej się na baczności. Zapowiedzieli, że wkrótce zjawia się także u pozostałych.

- Do mojego piętra jeszcze nie doszli - stwierdził Nash.

Nie chciał zbyt pośpiesznie opuszczać Franka i Lenore, jakby oboje nagle zaczęli rozsiewać jakieś zarazki.

- Poskarżyłem się Terry'emu. Ale wiesz, jak to jest, powiedział: „Odpieprz się, Frank. Nie będę już sędzią głównym, więc pomęcz Ruth”.

Nash wyobraził sobie szpule magnetofonów zaczynające się obracać, gdy tylko jakiś sędzia podnosił słuchawkę telefonu i tak cały czas, godzina po godzinie. Technicy Testy zamontowali też pewnie mikrofony w

korytarzach. Nie mogli uronić ani słowa.

- To do zobaczenia w sobotę - pożegnał się Nash.

- Pewnie przyniesiemy ze sobą trochę fasolowej sałatki - obiecała Lenore.

Zaproszenie na piknik zostało uzgodnione przez Nasha i Janice w rozmowie telefonicznej z Roemerem trzy dni temu w hotelu Cypress.

„Czas zająć się staruszką, zobaczyć, jak sobie poradzi z falami, powiedział wtedy Roemer. Ale jeśli wpadnie i pójdzie na dno, to plusk będzie bardzo głośny”.

Tę noc Nash spędził we własnym mieszkaniu i zdecydował się zadzwonić do ojca. Siedział w sypialni na podłodze, a obok niego stał telefon. Gdy skończył wykręcać numer, zgasił światło i mocno przycisnął słuchawkę do ucha.

Ojciec odezwał się bardzo zaspanym głosem. Tim wyobraził go sobie, jak trzyma aparat w ręku, żeby nie obudzić Hilary. Telefon stał po tej stronie łóżka, którą zajmował Jack.

- Tim? Czy coś się stało? - spytał Jack łagodnym, przyciszonym głosem.

- Nie, tato. Nic.

- Na miłość boską, wiesz, która godzina? Już po trzeciej.

- Przepraszam. Chciałem tylko powiedzieć ci cześć.

- Więc jednak coś się stało.

- Nie - zaprzeczył Tim może nieco zbyt pośpiesznie. - Nie mogę spać.

Zastanawiał się, co właściwie ma powiedzieć i czuł, że chyba za chwilę oszaleje. Bo jak właściwie miał go spytać o te zdjęcia i o to dlaczego miał na nich taką minę? Jak miał się od niego dowiedzieć, co ukrywa?

- Nie możesz spać? - powtórzył Jack zmęczonym głosem. - O Boże,

Timmy, nie możesz tak się przejmować tym, co dzieje się w sądzie.

- Tak, wiem, że masz rację - odparł Tim, ciesząc się w duchu, że ojciec tak łatwo dał się zwieść. - Ale, tato, to pierwsza ważna sprawa, podczas której nie ma przy mnie Kim. W grę wchodzi kara śmierci.

- Tak, tak - odezwał się łagodnie ojciec. - Rozumiem.

- Może masz dla mnie jakąś mądrą radę?

- Wypij piwo albo szklankę mleka i kładź się z powrotem do łóżka. Tim mocniej ścisnął słuchawkę.

- Pamiętam, że tobie też parę spraw nie dawało zmrużyć oka.

- Może jedna albo dwie. I stawką nie było w nich życie. - Jack zachichotał. - A spałem potem jak kłoda. Wyobrażasz to sobie?

Tim wiedział, że nie może rzucić mu w twarz pozbawionego dowodów oskarżenia ani nawet zadać bezpodstawnego pytania. Na pewno nie teraz, w nocy. Byłoby to tchórzliwe, a i sam był zbyt wystraszony, żeby postawić tego rodzaju pytanie. Chciał odsunąć od siebie to, co wiedział.

- Może spróbuję zasnąć - westchnął.

- Obaj powinniśmy to zrobić.

- Odezwę się wkrótce. Przepraszam, że cię obudziłem. Jack Nash kaszlnął cicho.

- To ty jesteś sędzią, Timmy. Ty dowodzisz. Ta świadomość pomoże ci zasnąć. Tim odłożył słuchawkę i bez ruchu siedział na podłodze w ciemności.

214

215

Rozdział dwudziesty dziewiąty.

Louis? Przynieś nam jeszcze trochę popcornu, co? Valles wyciągnął przed siebie mały wiklinowy koszyczek. Vismara odepchnął go.

- Sam sobie przynieś.

- No, rusz się, Louis. Po prostu zrób, co mówię - polecił poirytowany Valles.

Nash i Vismara zajmowali miejsca po jednej stronie wykładanej boazerią niszy w barze Marina, a Valles i Witwer po drugiej. Dochodziła dziesiąta, przy stolikach na niewielkiej sali siedzieli stali klienci, nad barem połyskiwał kolorowy obraz na ekranie telewizora z mocno wyciszonym głosem, z głośników sączyła się muzyka Beatlesów, a na maleńkiej scenie stała drobna kobieta, rytmicznie poruszająca biodrami.

- We wtorki mają tu wspaniałe pokazy bielizny damskiej. Takich modeli, które dopiero mają trafić do sklepów - powiedział Witwer, zauważywszy, że Nash z udawaną obojętnością obserwuje kobietę na scenie.

Nad barem znajdowała się neonowa reklama piwa, w którą wbudowano zegar. A z zewnątrz dobiegał odgłos wody chlupiącej między zbutwiałymi palami, na których wspierał się budynek.

- Ja pójdę - zaofiarował się Witwer, ruszając z koszykiem do barku, gdzie nabrał kilka garści popcornu z wielkich toreb.

Nash zauważył, że kobieta na scenie ociera sobie nos, gdy tylko muzyka nieco zwalnia. Bardzo niezgrabnie machała wtedy ręką.

- Czego chcesz? - spytał ostro Nash Vallesa. - Louis mówi, że wysuwasz jakieś żądania.

- Wiedziałem, że przyjdiesz. Muzyka stała się nagle głośniejsza.

- Co?

- Powiedziałem, że byłem pierońsko pewny, że zjawisz się tu pewnego wieczoru - odparł Valles, a Witwer tymczasem usiadł obok niego, podając mu popcorn.

- Oni chcą ubić interes.

Nash zauważył, że Vismara nie jest ani trochę zdenerwowany; robił wrażenie zimnego i twardego.

- Dziwię się, że to o was chodzi, chłopaki.

- Ej - Witwer przeżuwał porcję popcornu - niech pan pomyśli, jak ja się czułem, panie sędzio. Niemal zważyło mnie z nóg, kiedy dowiedziałem się, że pan i Louis macie jakieś wspólne sprawy.

- Co? - spytał Nash, potrząsając głową, bo nie mógł dosłyszeć jego słów. Pochylił się trochę do przodu.

- Mówię, że Louis ma dzięki panu fory w sądzie, no nie? - powtórzył Witwer. Brodę miał zadbaną, a włosy zaczesane do tyłu i związane gumką w kucyk.

Nash miał na sobie niebieską koszulę i sportową marynarkę, Vismara jak zwykle wyglądał schludnie, a niedawno odniesione rany przykrywały czyste opatrunki.

- Pomyślałem, że będzie pan miał ochotę wyjść gdzieś na drinka; rozmawialiśmy o tym tamtego dnia, kiedy przyszliśmy z nakazem rewizji, pamięta pan? - włączył się Valles. - No, ale dość tego.

- Czego chcesz? - spytał Nash;

Na zewnątrz przy grobli stała zaparkowana niebieska furgonetka, w której siedzieli Jacobs, agent FBI i Testa wraz z całym skomplikowanym sprzętem elektronicznym. W klapę marynarki Vismary wszyte były dwa bardzo czułe mikrofony. To po to, żeby nie musieli mówić do guzika na

brzuchu, żartował sobie Testa, przygotowując na tę okazję ubranie Vismary. W mdłym świetle czerwonej żarówki agencji FBI jedli palcami specjalność baru, gotowane krewetki.

- Chcemy dostać pięć tysięcy dolarów - powiedział Valles, kreśląc w powietrzu symbol dolara - a ty i Louis będziecie mogli spokojnie prowadzić swoje interesy. Nic nas to nie obchodzi.

- Pięć tysięcy? Dla was obu? To wszystko?

- To wszystko. I nie będziemy się do was więcej odzywać - zapewnił Valles.

Zjadł jeszcze trochę popcornu. Kobieta przestała poruszać biodrami, ukloniła się lekko i zeszła ze sceny. Zaraz pokazała się na niej inna, ubrana w obszerną beżową bluzkę, zaczęła na szybszą muzykę i zaczęła iść po scenie w jej rytm. Siedzący przy barku dwaj mężczyźni w czapkach gapili się na nią, bijąc brawo.

- Jestem za tym, żeby im zapłacić - powiedział do Nasha Vismara.

- Moim zdaniem to zły pomysł. - Nash chciał nakłonić Vallesa i Witwera do mówienia. Im bardziej gmatwać się będą w wyjaśnieniach, tym lepszy będzie z tego materiał dowodowy na procesie. - To nie miałyby końca.

216

217

- Ej, panie sędzio, przecież mamy tę samą robotę. Obaj robimy podobne rzeczy. Stoimy na straży - przypomniał Valles. Na jego twarzy malowała się zawziętość i zadowolenie, i cały czas drażnił Vismarę, traktując go jak chłopca na posyłki. - Louis powiedział panu pewnie, że zabraliśmy mu wtedy tą trzydziestkę ósemkę. Mam ją jeszcze. I w każdej chwili mogę Louisa przycisnąć.



- Nic mi o tym nie wspominał. Nash spojrzął na Vismarę.
- To, co robię, to moja sprawa, tylko moja i niczyja inna - odrzekł Louis. Od czasu tamtej bójki zrobił się znacznie mniej gadatliwy, a bardziej szorstki w obejściu.
- Pobiliście go - stwierdził Nash, patrząc na Vallesa.
- Louis, czy my cię pobiliśmy? Czy ja cię kiedykolwiek uderzyłem? No może jakiś lekki klaps... - Valles dotknął spoczywającego na podrapanym stoliku ramienia Vismary - ale nigdy bym go nie uderzył.
- To nie przystoi - poparł kolegę Witwer. Co chwila spoglądał na zegarek. W końcu poklepał Vallesa po plecach. - Czas na nas.
- Musimy już iść, panie sędzio. Pichcimy interes z kilkoma innymi gliniarzami. Ale może zjawimy się w sądzie jeszcze w tym tygodniu, może znowu trafi się jakiś nakaz rewizji. No więc, co zamierza pan zrobić? Nash czuł niemal, jak od Vismary emanuje nienawiść. Z jakichś powodów Louis nie powiedział prawdy i Nash bardzo się tym przejął. Budziło to w nim niepokój równie silny, co towarzystwo tych dwóch policjantów, z którymi kiedyś pracował, a którzy teraz go szantażowali. Ciekaw był, co myślą sobie słuchający tej rozmowy agenci FBI.
- Ale macie się już więcej ze mną nie kontaktować - powiedział. - To ma być pierwsza i ostatnia transakcja.
- Pożyjemy, zobaczymy, panie sędzio - odparł Valles. - Powinien pan wiedzieć, że mamy zdjęcia, na których widać, jak pan i Louis wchodzić do hotelu Cypress. Tak więc w każdej chwili możemy dowieść, że macie jakieś powiązania.
- Czas ucieka, Rog. Musimy się zbierać - przynaglał kolegę Witwer. Kiwał głową w takt muzyki. Mogłoby się zacząć walić i palić, pomyślał

Nash, a tajniak i w takiej chwili byłby tajniakiem. Tak przywykł do stwarzania pozorów, że potrafił okazywać tylko to, co chciał pokazać.

- Chciałbym, żeby te zdjęcia również stały się przedmiotem naszej umowy - oznajmił Nash. Zastanawiał się, co ci gliniarze robili pod hotelem. Janice i Roemer nic o nich nie wiedzieli.

- Dobra. Nie potrzebuję ich - zgodził się Valles. - Mam pistolet i całkowicie mi on wystarczy. Możesz mieć te zdjęcia za dziesięć tysięcy, co ty na to? To uczciwa cena.

Vismara skinął głową. Od początku spotkania wpatrywał się w Vallesa.

- Może być płatne z dołu?

Valles wzruszył ramionami. Zdawał się tym mówić, że sprawa zaczyna go nudzić. Zerknął w stronę tancerki. Dziewczyna kręciła głową, a ktoś przełączył telewizję na serial komediowy. Nash wyjął kopertę.

- Mam przy sobie dwa tysiące dolarów. Resztę dostaniecie za kilka dni.

- Może w poniedziałek w tym samym miejscu o tej samej porze?

-zaproponował Witwer. - To całkiem przyzwoity lokal.

- W porządku. A więc wszystko jasne. Przy wypłacie pozostałej sumy przekażecie nam zdjęcia i negatywy, na których jesteśmy ja i Vismara. I zobowiązecie się, że nie złożycie żadnego raportu ani zeznania na temat naszej ewentualnej działalności przestępczej.

Valles wykrzywił się.

- Jezu Chryste, panie sędzio. Używa pan takiego prawniczego języka.

- Zgadzasz się na takie warunki umowy? Valles lekko uderzył w stół kopertą.

- Jasne. Pewnie, że tak.

Vismara oparł się na krześle, a na jego twarzy pojawił się uśmiech

zadowolenia.

- I nie życzę sobie, chłopcy, żebyście mnie więcej niepokoiili.

- Do zobaczenia, panie sędzio. Cześć, Louis - pożegnał się Valles. On i Witwer wyszli z niszy wołając coś po drodze do tancerki. Dziewczyna pomachała im ręką.

Przez chwilę Nash i Vismara siedzieli w milczeniu.

- Ech, te gliny. Nie cierpię patrzeć, jak gliniarze robią coś takiego

-powiedział Nash, ze wstrętem kręcąc głową.

- To złe gliny, panie sędzio. Nie postępują zgodnie z prawem. Trzeba ich przyskrzynić - odrzekł Vismara, poprawiając krawat. Poklepał wystającą z kieszonki chusteczkę.

Valles przejechał połowę drogi nad groblą i zatrzymał się. Witwer narzekał, krzywił się, w końcu podciągnął koszulę na piersi.

Przymocowany do jego owłosionego torsu mikrofon i magnetofon typu Fargo sprawiały, że przypominał nieco urządzenie mechaniczne.

- Pierdolę to, Rog, ta cholerna taśma przykleiła mi się do włosów. Tak strasznie chciałem się podrapać, że już myślałem, że zwariuję. Właśnie dlatego poszedłem po ten pieprzony popcorn. Drapałem się wtedy jak szalony.

Valles ostrożnie wyjął taśmę z naganiem, a Witwer delikatnie odkleił matowy metalowy magnetofon, wyrywając sobie przy tym włosy z torsu.

W wysokiej trawie, porastającej brzeg rzeki wzdłuż drogi, głośno śpiewały świerszcze. A w tyle wesoło jaśniał perliście połyskujący neon baru Marina „Dancing, drinki, dania obiadowe”.

- Mamy go. Przyłapaliśmy sędziego, jak daje łapówki - powiedział Valles, trzymając w ręku kasetę.

- Chcesz ją zaksięgować jeszcze dzisiaj?

218

219

- Zostawię ją sobie. Nie dopuszczę, żeby Shiffley ani ktokolwiek inny dobrał się znowu do naszych materiałów dowodowych - zarzekał się Valles. Ponownie zapuścił silnik, a Witwer wpuszczał już koszulę w spodnie. -Zadzwoń jutro do kumpla w Stanowym Biurze Prokuratora Generalnego. Powiem, że przyłapałem skorumpowanego sędziego i mam na taśmie, jak ten śmieć wciska mi łapówkę.

- Może ja mógłbym tym razem wziąć te pieniądze - powiedział Witwer. - Chciałbym móc poudawać przed Maggie, że zabiorę ją na wakacje do Mazatlan i zapłacę parę rachunków.

Rozdział trzydziesty.

Nash wstąpił po Janice i razem pojechali do parku Masona. Ta sobota była już jednym z ostatnich letnich dni, a żółknące na drzewach liście jakoś nie pasowały do zalewającego je słonecznego blasku.

Dotarli na miejsce przed Wisotem i Lenore, i zajęli stolik oraz rożen na wzgórzu, przy usytuowanym w środku parku stawie.

Rozpakowali przygotowanego przez Janice kurczaka, sałatkę, którą Tim kupił w sklepie, oraz piwo i kawę i ustawili wszystko na zniszczonym deszczem i wiatrem piknikowym stoliku. Dzieciaki bawiły się, rzucając plastikowymi dyskami, jakieś pary przechadzały się, a kaczki kwakały gniewnie, jakby się o coś kłóciły.

Cienka wełniana marynarka z wytartymi mankietami, które przypominały Nashowi, że ma to okrycie jeszcze z czasów studiów, skrywała mały mikrofon. Nash uważał, że powinien dać Wisotowi szansę odmowy przyjęcia łapówki, kiedy nie będzie przy tym Vismary. Chciał, żeby rozegrało się to tylko między nimi. Nawet jeśli mieli tego słuchać agenci FBI.

- Dzwoniłem którejś nocy do ojca - powiedział Tim, wykładając talerze.

- Podjąłeś jakieś decyzje? - spytała Janice. W jesiennym słońcu jej szare oczy wydawały się ciemniejsze.

Nash pomyślał, że Janice na pewno nie powie niczego kompromitującego. Agenci już pewnie słuchali.

- Nie - odparł. - Nie potrafiłem go o to zapytać.

- Dlaczego?

- Po prostu nie mogłem - powtórzył. - Może wymyślę jakiś sposób, żeby się dowiedzieć.

- Przecież sama ci to wyjaśniłam. Nic więcej się za tym nie kryje. Nash nie odpowiedział. Nie mógł tego zrobić; obydwoje doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że są podsłuchiwani. Miał ochotę powiedzieć coś na temat ostatniej wspólnie spędzonej nocy.

221

Spojrzał w stronę stawu i wskazał palcem mały cypel o nieregularnych brzegach opadający stromo ku trawie ścielącej się w dole aż do krańca parku. Czuł, że musi rozmawiać z Janice, musi zbliżyć ją do siebie, nawet jeśli nie może mówić swobodnie.

- Tam kończy się Arkansas Avenue. Kiedy miałem czternaście lat, mój brat, Dick, miał osiem. Chciałem się przed nim popisać. Skoczyłem więc z

tego cypelka, wyobrażając sobie, że wyląduję na trawie.

- Żartujesz - powiedziała Janice, oceniając wzrokiem wysokość wzgórza.
- Złamałem prawą rękę. A sińce nosiłem przez parę miesięcy.
- Mam nadzieję, że nauczyło cię to co nieco na temat popisywania się.
- Powstrzymałabyś mnie?

Popatrzył na nią poważnie. Wzięła jego dłonie w swoje ręce. Z tej odległości agenci nie mogli ich zobaczyć, a zresztą nastawieni byli wyłącznie na nagrywanie rozmów.

- To zależy, ile by to dla ciebie znaczyło.

Tim zauważył, że Frank Wisot i Lenore już przyjechali i machali do nich, wyciągając ze swego starego samochodu kosz piknikowy. Frank mruzczał coś pod nosem, a gdy podszedł już do stolika, zamachnął się lekko i postawił na nim kosz. Miał na sobie czerwoną, ocieplaną kurtkę, a Lenore podobną, tyle że niebieską. Tim nakazał sobie w myślach, że będzie udawał, iż to zwyczajny piknik i postara się, żeby wszyscy czuli się swobodnie.

Przywitali się zwyczajnym, ale serdecznym „cześć, cześć” i od razu każdy dostał butelkę piwa, a na przyniesionym przez Franka węglu drzewnym rozpalono ognisko. Zrobiło się tak ciepło, że można było zdjąć kurtki.

Mięso się smażyło, wydzielając intensywny, pobudzający apetyt zapach, a cała czwórka śmiała się i żartowała. Tim siedział obok Janice.

Frank Wisot podniósł rękę.

- Wczoraj pewien lekarz wysunął na rozprawie wniosek. Spodoba ci się to, Janice. W sądzie federalnym nieczęsto słyszy się tego rodzaju wnioski.
- Co za szczęściarze. Frank opowiada mi o wszystkim każdego wieczoru - wtrąciła Lenore, uśmiechając się.

- Ale zawsze dowcipnie, soczyście i wnikliwie - dodał Wisot.
- No i co z tym lekarzem? - ponaglił Tim.
- A tak, był to wniosek z rodzaju tych o nieujawnianie informacji.

Mieliśmy dwóch opryszków z więzienia Folsom i władze zwąchały, że ci dwaj planują ucieczkę i ukryli noże. Polecono więc, by opryszków prześwietlono, żeby sprawdzić, czy schowali noże w organach.

Frank dopił piwo.

- No a co z tym lekarzem, Frank? - dociekał Tim.
- Poczekaj. Ten jego wniosek opierał się na stwierdzeniu, że, prześwietlając tych facetów i fotografując wnętrza ich ciał, władze pogwałciły Czwartą Poprawkę do Konstytucji.

Janice zachichotała.

222

- Oryginalne stwierdzenie.
- Idiotyczne. Musiałem wysłuchiwać wywodów rozmaitych ekspertów od promieniowania takiego i owego, którzy twierdzili, że istnieją inne, mniej szkodliwe metody wykrywania ukrytej w jamach ciała broni. - Frank wciągnął nosem aromat pieczonego kurczaka. - Cudownie pachnie. W domu żywię się tylko niskokalorycznymi, pozbawionymi smaku potrawami. No więc ten lekarz wstał i zaczął opowiadać, w jaki sposób można za pomocą wziernika znaleźć schowane w odbycie przedmioty. I to bez żadnych nieprzyjemnych doznań. Potem dodał, że można też wykorzystać w tym celu sigmoidoskop, chociaż to już byłoby trochę niemile. Pochyliłem się w jego stronę i zapytałem: „Panie doktorze, czy może chciał pan powiedzieć, że to by bolało?” Popatrzył na mnie i odparł: „Spowodowałoby to pewne przykre doznania, ale chyba nie nazwałbym

ich bólem". To mnie wkurzyło. „Panie doktorze, zapytałem, może chciał pan raczej powiedzieć, że bolałoby jak diabli?" W końcu do niego dotarło. „Najwyraźniej ma pan w tej kwestii doświadczenie" - zauważył. A ja na to: „Ma pan cholerną rację. Wolałbym raczej codziennie się prześwietlać. Wniosek oddalony".

Czasami wymierzanie sprawiedliwości było aż tak proste.

Wszyscy czworo najedli się do syta, a potem Tim i Janice wypłukali naczynia pod kranem z bieżącą wodą. Tymczasem Frank i Lenore, trzymając się za ręce, ruszyli spacerkiem w stronę stawu.

- Nie będę podpuszczał Franka - powiedział Nash.
- Ale informacje pochodzą z pewnego źródła, Tim. Musisz to zrobić.
- Ale nie dzisiaj.
- Tylko mu zaproponuj. Samą transakcję możemy przeprowadzić przy innej okazji.

Janice otrząsnęła z wody sztucę, a ręce wytarła o dzinsy.

- Przypatrz mu się. To niemożliwe, żeby miał brudne ręce. Znam go od dawna.
- Dwaj prawnicy donieśli nam, że Frank sugerował przyjęcie łapówki w zamian za niższe wyroki dla ich klientów. Przecież czytasz raporty.
- Nie wiem, kto go oskarżył. Nie mam zamiaru wierzyć anonimowym informatorom.

Janice ruszyła w stronę stołu.

- Masz go tylko wypróbować - nalegała.

Timowi przyszło do głowy, że mówiąc to miała też na myśli ich związek. Chciała, by i on pozwolił się sprawdzić.

- Bardzo miła dziewczyna, Tim. Naprawdę sympatyczna. - Frank patrzył,



jak Janice i jego żona, pochylone nad stawem, karmią kaczki i rozmawiają ze stojącymi nad brzegiem dzieciakami. - Jak ją poznałeś?

- Na zeszłorocznej konferencji sędziów w Monterey. Sprawdziłem jej numer telefonu i zadzwoniłem.

223

Frank pokiwał głową. Pił kolejne piwo, a na jego pomarszczonej twarzy zaczynało malować się odprężenie. Przechodzili właśnie obok boiska do baseballu, na którym toczyła się gra. W powietrzu unosiła się chmurka kurzu i rozlegały się krzyki i pogwizdywania dopingujących. Chłopcy i dziewczęta, poubierani tylko w szorty i podkoszulki, chcieli w tej ostatniej rozgrywce czuć jeszcze lato.

- Przykro mi z powodu tego, co zaszło między tobą a Kim - powiedział Frank.

- W przyszłym tygodniu jadę do Los Angeles zobaczyć się z Benem.

Spotkanie będzie ściśle tajne. - Tim też popijał piwo, czując, że puszka jest ciepła, a ręka mu się poci. - Kim nie ma o tym pojęcia.

- A niech to, cholerne życie.

- Nie mam wyboru.

- Wybierasz się na konferencję w tym miesiącu? Kalbacher pozwala ci pojechać na wycieczkę? - pytał Wisot, szczerząc zęby w uśmiechu.

Doroczna konferencja sędziów odbywała się w tym samym miejscu i czasie co Stanowy Zjazd Adwokatów, przez co sądy pustoszały, dlatego sędzia główny zgadzał się, aczkolwiek niechętnie, na wysłanie tylko niezbędnego minimum uczestników. Ale i tak ci, którzy zostawali w Santa Maria, mieli pełne ręce roboty. Wiele spraw przekładano, ciągle zdarzały się opóźnienia i wszyscy przeklinali na czym świat stoi.

- Jadę. Masz ochotę zabrać się ze mną?
- Nie. Wybieramy się z Lenore o dzień wcześniej. Chcemy trochę pojeździć, pozwiedzać, oderwać się od codzienności.

Przystanęli, żeby popatrzeć na rzut piłką - stojący na boisku mężczyzna o tłustych udach balansował na nogach, posapując, a otaczający boisko ludzie pokrzykiwali.

- Janice i ja też jedziemy razem - stwierdził Nash.
- Zróbcie sobie z tego wakacje. Nie będzie tam specjalnie czemu się przysłuchiwać.

Roześmiali się obaj. Na ogół z tych konferencji każdy sędzia wynosił wskazówki na temat prowadzenia obrony i wydawania wyroków wynikające ze zmian w prawie, które zaszły od ostatniego spotkania, a poza tym straszego kaca i niezbyt jasne wspomnienie jednej, a może dwóch wyczerpujących nocy w jakimś nieznanym hotelu z obcą kobietą.

- Atchley może nam napsuć sporo krwi - stwierdził Nash. - Zwycięstwo w wyborach ma jak w banku. Chciałbym, żeby Terry albo Ruth posłali go z powrotem do zajmowania się sprawami wykroczeń drogowych.

Wisot skinął głową i dopił piwo.

- Lenore i Janice dogadują się. To dobrze. Tak się składa, że obecnie większość naszych przyjaciół to ci, z którymi zasiadamy razem w jakichś komitetach. O Boże.

Janice i żona Wisota rzeczywiście pochłonięte były rozmową, rzucając kawałki chleba do zielonkawej wody.

Po chwili Frank odezwał się do Tima:

- A skoro mowa o Haroldzie. Opowiadał mi ostatnio jakąś dziwną bajeczkę. O tobie.

- O mnie?

Nash dobrze wiedział, o co chodziło. Próbował zachować niewzruszony spokój, żeby być w stanie zaprzeczyć temu, co powie Frank, cokolwiek by to było, ale piwo, posiłek i fakt, że Janice była mu tak bliska, a zarazem tak daleka, rozstroiły go trochę.

- O tak. Dziwna sprawa. Może wpadłbyś do mnie na chwilę, gdy już będziemy wracać?

- W porządku. Ale trzymasz mnie teraz w niepewności. Co też ten sukinsyn mógł na mnie nagadać? - powiedział niefrasobliwym tonem. Czuł w głowie zamęt, bo nie wiedział, co usłyszy od Wisota. Nadszedł odpowiedni moment, żeby wypróbować Franka, ale Nash miał nadzieję, że Wisot pokaże, iż prowadzenie takiej akcji przeciw niemu jest wielką pomyłką. Pomyślał, że może Frank próbuje go ostrzec. Może chce mu pomóc.

Podnieśli zagubiony w trawie plastikowy dysk i we czwórkę zaczęli nim rzucać; wiał ciepły wiaterek, a sentymentalny nastrój tego popołudnia już przemijał. Przy każdym ruchu Tim czuł łaskoczący go mikrofon.

Pomyślał, że prawdziwy z niego oszust, bo tak gra sobie bez troski ze starymi przyjaciółmi. W Bogu pokładał nadzieję, że sam Frank zwolni go z tego zadania.

Wisotowie odjechali pierwsi, a Tim i Janice zabrali się do pakowania rzeczy do samochodu.

- Frank chce ze mną pogadać. Muszę pojechać do niego sam - powiedział.

- Niczego nie zakładaj z góry, Tim. Przedstaw swoją propozycję, posłuchaj, co powie i zobacz, co z tego wyniknie.

- Niczego już nie zakładam z góry.

Janice położyła dłoń na jego ręce, cieplej od słońca w miejscu, gdzie podwinął rękaw.

- Nie da się tak po prostu związać wszystkich przysięgą. Możesz nie być w stanie zgadnąć, czy ktoś kłamie, czy nie. Nawet gdy w grę wchodzi ludzie, których szanujesz.

A nawet, ci których kochasz, mówiły jej oczy. Łagodne słońce i jesienne kolory budziły uczucie łagodnej nostalgii, jaką odczuwa się na myśl o nieuchronności przemijania. Coś jeszcze trwa, by za chwilę stać się wspomnieniem. Tim dotknął lekko jej ust.

- Do zobaczenia wieczorem.

- Opowiesz mi potem wszystko dokładnie - stwierdziła Janice. Widział, że boi się powiedzieć cokolwiek więcej.

- O, trochę się dzisiaj opaliłeś - powiedział Frank, prostując się na krześle i zapalając papierosa.

Tim zerknął na zaczerwienioną skórę ręki.

224

225

- Tyle co i nic.

Lenore wyszła się przebrać i Tim miał nadzieję, że nie wróci, dopóki on i Frank nie omówią swoich spraw. Siedzieli w gabinecie Wisota - na ścianie wisiał naklejony na karton szkielet ryby, wygięty tak, jakby ryba wciąż jeszcze szarpała się na haczyku, były też zdjęcia Franka z różnych okresów jego życia i dyplomy porozwieszane tu i ówdzie na wszystkich ścianach. W swoim gabinecie w sądzie Frank nie trzymał tego typu pamiątek ani trofeów. Zgromadził je właśnie tutaj, żeby się nimi cieszyć, a nie licytować z innymi sędziami. Natomiast Allen Burgess nie odznaczał

się taką subtelnością uczuć, dowody uznania kłuły w oczy wchodzących do jego pokoju.

Domowy gabinet Franka był skromnie urządzone, dominowały w nim książki, a mrok rozświetlało kilka osłoniętych białymi abażurami lamp. Za oknem rozciągał się widok na dziedziniec i kamienną miskę do kąpieli dla ptaszków, ustawioną przez Lenore. Wisotowie mieli dwie córki; były już dorosłe i mieszkały na Wschodnim Wybrzeżu.

Nieduży, pozłacany zegar odmierzał cichutko czas tego późnego, szarawego już popołudnia.

Frank siedział w dużym, obitym śliskim materiałem fotelu z podkurczonymi nogami i splecionymi ramionami.

- Lenore pewnie przyniesie nam coś do picia. Chyba że nie chcesz  
-powiedział Frank.

- Ależ chętnie. Cokolwiek to będzie. Wisot skinął głową.

- Atchley opowiadał ciekawe rzeczy, Tim. Przyszedł z tym do mnie, bo  
-jak stwierdził - jestem najstarszym facetem w całym budynku i nikt się specjalnie nie przejmuje tym, co robię.

- To nieprawda, Frank.

- W każdym razie nie stanowią zagrożenia. O nic się nie ubiegam. I wkrótce odejdę, najwyżej za parę lat

- Ruth też wspominała, że myśli o przejściu na emeryturę. Czuje się już zmęczona.

Frank spojrział na swego papierosa, wstał z fotela i podszedł do Nasha. Cienie rzucone przez żaluzje wiszące w prowadzących na dziedziniec drzwiach kładły się teraz ukośnie na jego twarzy.

- I ja także, Tim. Jestem strasznie zmęczony.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i do pokoju weszła Lenore, ubrana w gruby szlafrok. Znali się z Nashem już od tak dawna, że ta bezceremonialność była czymś całkowicie naturalnym. Tim wstał, wziął od niej kieliszek schłodzonego białego wina, a drugi podał Wisotowi. Frank skrzywił się.

- I to ma być wszystko?

- To ma tylko pobudzić wasz apetyt, a nie odebrać go - odparła Lenore.

Usiadła na krześle na prawo od fotela męża. Frank wrócił na swoje miejsce. Tima ogarnęło przerażenie. Wyglądało na to, że nie będzie mógł swobodnie mówić o rozpuszczanych przez Atchleya plotkach.

226

Upił łyk zimnego jak lód wina.

- Plotkowaliśmy trochę o biurowych sprawach - wyjaśnił Lenore. Ona też sączyła wino.

- Sądziłam, że doszłście już do tej historyjki Harolda.

Tim milczał przez chwilę. Ta kobieta nie zmieniła się ani trochę od czasów, kiedy znał ją jako chłopiec.

- Frank właśnie do tego zmierzał. A więc co mówił Atchley, Franku?

Wisot przygryzł papierosa. Wyglądał na tak ożywionego, jak podczas przedpołudniowej wokandy.

- Zapropnowałeś mu łapówkę. I to dużą.

- Dlaczego ci o tym powiedział?

- Pewnie się przechwalał. Chciał pokazać, jaki jest ważny. Kto go tam wie.

- Naprawdę zrobiłeś to, Tim? - spytała Lenore. - Chciałeś zapłacić mu za załatwienie sprawy?

- To nieistotne. To dotyczy wyłącznie mnie i Atchleya - uciał krótko. Zauważył, że tych dwoje ludzi na wprost niego ogarniają jakieś emocje, że coś się w nich łamie. Nagle zrobiło mu się duszno.
  - Jeśli chodzi o to, żeby sprawę odpowiednio potraktować - zaczął Frank - no wiesz, wprowadzić do niej jakieś poprawki - uśmiechnął się szeroko - to przecież możemy załatwić przeniesienie jej do mnie, no nie? Chcę powiedzieć, że chętnie ci pomogę, skoro Harold nie chce.
  - Po prostu przekaz tę sprawę Frankowi - poparła męża Lenore, szczerzej otulając stopy szlafrokiem. - I niech wszystko zostanie między nami.
  - Ale dlaczego? Dlaczego mielibyście mi pomagać? - Nash starał się zachować spokój. Miał teraz przed sobą innych ludzi.
- Zegar wybił piątą, po czym ucichł smutny i nie zauważony. Oczy Wisota emanowały surowością, a na jego pomarszczonej twarzy malowało się napięcie.
- Jestem bez grosza. Pracuję od lat i niczego się nie dorobiłem; wkrótce będę musiał odejść, a nie chce mi się już więcej pracować. Proste jak drut.
  - To byłby fundusz emerytalny - dodała z uśmiechem Lenore.
  - W porządku, Frank. - Nash dopił wino i odstawił kieliszek na czasopismo „Field and Stream” z oślimi uszami. W gabinecie Wisota stała cedrowa szafka z zamkniętymi w niej dwoma karabinami i rewolwerami. Każdej zimy jeździł w góry na polowania i przywoził z nich dziczyznę, którą częstował wszystkich przyjaciół. - Zadzwoń do ciebie w poniedziałek - powiedział, wstając - i dogadamy sprawę do końca.
  - Harold mówił o dwudziestu tysiącach, które miał wyłożyć ten, jak mu tam... - Frank zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć nazwisko.
  - Vismara. Jest gotów zapłacić dwadzieścia tysięcy, byle tylko oddalono

oskarżenie o naruszenie zasad zwolnienia warunkowego.

- I sprawa jest załatwiana w sądzie miejskim? Czy w Biurze Prokuratora Okręgowego?

- W biurze prokuratora.

227

- A ty się zabezpieczyłeś? Nic ci nie grozi?

Nash skinął twierdząco głową. Przywołał w myślach wspomnienie córeczek Wisota, bawiących się na podwórku w letnie popołudnie i Franka, jak razem z Lenore tańczył w liceum wolne tańce, jak wspólnie planowali i marzyli, by skończyć na dzisiejszej rozmowie.

- Vismara ma mnóstwo brudnych pieniędzy. Lenore podniosła się z krzesła.

- No cóż, mamy za sobą bardzo owocne popołudnie.

- Ciągłe tylko narkotyki. Sześćdziesiąt procent spraw, którymi się zajmuję, dotyczy narkotyków - powiedział Frank, zapalając kolejnego papierosa i wpatrując się w Nasha. - Tu właśnie tkwi problem, Tim. W tym biznesie obraca się ogromnymi pieniędzmi, a spraw sądowych jest tyle, że w nich toniemy.

- Idziesz już na emeryturę. Wisot uśmiechnął się.

- Nad naszym własnym jeziorkiem na Florydzie Len i ja każdego ranka będziemy myśleć o tobie i o handlarzach, i o tych draniach, ich prawnikach.

- Przyjedź kiedyś do nas. To piękne małe miasteczko. Żadnych kryminalistów. Ani śladu narkotyków. Ludzie rozmawiają tylko o przyjemnych sprawach i są bardzo mili - zachęcała Lenore. - Będziemy mieszkać nad samym jeziorem. Wschody słońca są tam bardzo piękne.



- Brzmi naprawdę kusząco. - Tim nie wiedział, co innego mógłby powiedzieć. Czuł w głowie zupełną pustkę, bo usilnie odpychał od siebie wszelkie myśli, związane z tymi ludźmi.

- Muszę ci coś wyznać, Tim.

Frank otworzył prowadzące na podwórze drzwi i milczał przez chwilę, a dobiegający z zewnątrz śpiew ptaków, pomieszany z odgłosami kosiarek strzygących gdzieś w pobliżu trawę, przypominał Nashowi ten dzień, kiedy on i Dick przyszli do tego gabinetu po raz pierwszy. Całe lata temu Frank Wisot i Jack Nash siedzieli na tej samej starej sofie, opowiadając sobie różne historyjki, a dwaj synowie Jacka to się bili, to znów przeglądali pożółkłe stronic American Heritage.

- Co chcesz mi wyznać? - spytał Nash.

- Że Atchley wcale mnie nie zaskoczył. - Frank odwrócił się już od drzwi.

- W końcu jesteś synem Jacka.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Frank? - spytał Nash nieswoim głosem.

Miał ochotę uderzyć starego Wisota.

Lenore powoli opuściła pokój.

- Ptaki nie mają już nic w karmniku - stwierdziła, idąc w stronę kamiennej miski.

- Sami z siebie nigdy niczego nie robimy - westchnął refleksyjnie Wisot. - Dawno temu twój ojciec podjął taką samą decyzję. Jestem pewien, że nie pisnął ci o niej słówka.

- Nie. Nic mi nie mówił. Ale ty mogłeś.

- Nie chciałem cię denerwować, Tim. - Twarz Franka wyrażała żal. - Tak tylko palnąłem bezmyślnie. Jestem zmęczony, zrobiło się już późno, a nie jadłem jeszcze obiadu.

- Powiedz mi, Frank. Wisot wykrzywił usta.
- Jack skorzystał z okazji, kiedy się nadarzyła. Ale źle się to dla niego skończyło. Właśnie dlatego musiał odejść z Terhune & Nash.

Nash przypomniał sobie potajemnie robione zdjęcia i to, że siedzący między Janice a Roemerem ojciec wyglądał na przygnębionego.

- Ale co on zrobił? Frank, o czym ty mówisz?
- Boże Wszechmogący, Tim, nie znam szczegółów. Wiem, że chodziło o grubą forszę, a twój ojciec myślał, że się dzięki niej urządzi, ale stracił dużo pieniędzy. Zapytaj Dennisa Terhune'a. On zna całą tę sprawę.

Nash chodził w tę i z powrotem po półmrocznym gabinecie, pełnym wspomnień i napięcia, a zarazem tak teraz obcym.

- Ale o co mam go zapytać? Co mam powiedzieć?
  - Chociaż nie. Myślę, że nie powinieneś iść z tym wprost do Terhune'a
- odrzekł Wisot. - Boże, strasznie mi przykro, że tak mi się wymknęło.

Lenore Wisot stała w swym zielonym szlafroku na podwórku tyłem do domu, zupełnie jakby nie brała udziału w spisku, który zawiązali wspólnie kilka minut temu. Tima owładnęły jakieś dziwne myśli o obcych, którzy przybierają postać osób bliskich, noszą ich ubrania, pojawiają się w dobrze znanych domach, a potem nagle się demaskują.

- Kto zna tę sprawę? Ale nie chodzi mi o jakieś świństwa, które krążą po sądzie. Frank, chcę poznać szczegóły.
- Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy twój ojciec odszedł z firmy zwolniono kierowniczkę do spraw administracyjnych. Może ona będzie umiała poskładać wszystko do kupy.
- Nie ma co składać - odciął się Nash. Dobrze wiedział, że od Roemera nie dowie się więcej niż od Janice. Będzie musiał sam rozwikłać tę

sprawę. -Mój ojciec był sędzią, osobą publiczną przez wiele lat. Nie powinieneś teraz mówić takich rzeczy, Frank.

- Wiem, wiem, wiem. Łapówki to dla mnie coś nowego, dopiero raczkuję
- odparł Wisot.

Lenore wróciła do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Mam za długi język - dodał Frank, poirytowany.

Lenore spojrzała na męża i wyczuła, że sytuacja między nimi jest napięta.

- Może zjesz z nami kolację - zaproponowała Timowi.
- Dziękuję, ale może innym razem - odrzekł ze smutkiem Nash.
- Nie przygotowałam niczego szczególnego, więc nic nie tracisz
- powiedziała. - Miło było znów cię spotkać.

Pochyliła się w jego stronę, by mógł jak zawsze cmoknąć ją w policzek, co mieli w zwyczaju od trzydziestu lat. Jej skóra była chłodna i pachniała talkiem.

228

229

- Pamiętasz może, jak nazywała się kierowniczką administracji w biurze mego ojca, ta, którą zwolniono mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ojciec odszedł z firmy? - spytał Nash, odsuwając się od Lenore.

Żona Wisota zmarszczyła brwi. Po chwili twarz jej się rozjaśniła i powiedziała:

- Lynn Holiday. Albo Halliday. A może Holloway. Jakoś tak. Frank uśmiechnął się i pokręcił głową.

W ciągu ponad dwudziestu pięciu lat nie zdarzyło się, żeby zapomniała jakieś nazwisko czy kogokolwiek, kto mieszkał w tym mieście.

Tim i Janice zjedli wczesną kolację na małym balkoniku w jej mieszkaniu.

I znów mieli przed sobą papierowe tacki, kurczaka, listki sałaty, ziemniaki i wino w papierowych kubkach. Zrobione z metalowych rurek i materiału krzeselka były twarde.

- Miałaś rację co do Wisota - powiedział Tim. Przysunął się bliżej Janice.
- Ustaliliście datę spotkania?
- Na poniedziałek. Zorganizuję to tak, żeby kamera mogła wszystko wyraźnie zarejestrować.
- Trzeba to zrobić, Tim. Od początku wiedziałeś, że takie rzeczy będą się zdarzać.
- Świadomość tego wcale nie umniejsza bólu.
- Przykro mi.

Sprzątnęli ze stolika, a resztki wyrzucili do kosza. Upłynęła długa chwila, zanim zdobyli się na to, by wyciągnąć do siebie ramiona. Ale kiedy już się przytulili do siebie, trwali tak bardzo długo, jakby nie mogli rozluźnić uścisku. „Gdybym nie odeszła po zakończeniu operacji...” - zaczęła Janice, lecz zdanie pozostało nie dokończone, a kwestia nie wyjaśniona. Wcześniej położyli się do łóżka i więcej już nie wracali do tematu poruszonego przez Janice, ale Tim wiedział, co chciałaby usłyszeć. Czy zostaną wtedy razem? Czy ta zawierucha, która rozpęta się po aresztowaniach i procesie tylu ludzi, których Tim znał, którzy znali jego i ufali mu, czy ta zawierucha nie zmieni niczego między nimi?

Głowa ciążyła mu na poduszce. Janice szeptała mu do ucha. Nie zamierzał pytać ją więcej o tamte zdjęcia, na których widział swego ojca. Nie chodziło mu o słowa, o wyjaśnienia. Janice mogła mu powiedzieć cokolwiek, mogło to być coś dobrego lub złego, kłamstwo lub prawda, a Tim chciał mieć wszystko czarno na białym, chciał zobaczyć jakiś dowód

albo usłyszeć czyjeś wyznanie. Zupełnie jak na procesie, pomyślał. My sędziowie wszystko traktujemy jak proces sądowy. Chcemy czynić sprawiedliwość.

Dlatego właśnie pragniemy prawdy.

Rozdział trzydziesty pierwszy.

Valles i Witwer uprzedzili Shiffleya, swego szefa, że przez większość dnia będą nieosiągalni, bo zamierzają ubić interes z pewnymi opryszkami. „Rozprowadzają tyle towaru, ile tylko wlezie z tego domu przy Mesa Boulevard wyjaśnił Witwer. To pod autostradą. Musimy jakoś wkłęcić się między tych facetów”.

Następnie wyruszyli w półtoragodzinną drogę do Sacramento, gdzie na przedmieściach odnaleźli ulicę K, a przy niej sześciopiętrowy budynek w kolorze musztardy, w którym mieściły się niektóre biura prokuratora generalnego stanu Kalifornia. Witwer miał tam kłopot ze znalezieniem miejsca do parkowania. A byli spóźnieni już dwadzieścia minut na spotkanie z zastępcą prokuratora.

Kiedy wreszcie dotarli do budynku, przeszli przez kontrolę bezpieczeństwa, wjechali na górę i pod eskortą strażnika przeszli przez pusty, wyłożony czerwonym chodnikiem hol, zastępca prokuratora spokojnie wysłuchał, co mieli do powiedzenia. Był to wysoki, starannie ubrany mężczyzna. Siedział w schludnym gabinecie, urządzonym w tonacji szaroniebieskiej. Biurko miał czyste, a na ścianach wisały paprotki. Przesłuchał taśmę, którą Valles ze sobą przyniósł, krzywiąc się

przy tym z powodu szumów, bo nagranie nie było najlepszej jakości.

- Słyszałem - oznajmił w końcu. - Słyszałem, jak to powiedział.
- Mamy się zgłosić po drugą ratę - wyjaśnił Valles, kręcąc się niespokojnie na krześle. - Za dwa dni.
- Chciałbym, żebyście to spotkanie też nagrali.
- Nie ma sprawy.
- Może udałoby mi się zrobić parę zdjęć - wtrącił Witwer. - Gdzieś na zewnątrz.

Zastępca prokuratora, mężczyzna w średnim wieku, był człowiekiem rozważnym. Położył na chwilę palec na ustach.

230

231

- Tak. Chciałbym dostać zdjęcia. I kolorowe, jeśli to możliwe.
- Pewnie. Mogę to załatwić.
- Ale nie włączyliście do tej sprawy kolegów z wydziału? Valles pokręcił przecząco głową.
- Tak jak panu powiedziałem, sir, podejrzewam, że mój przełożony macza w tym palce. A może nawet Biuro Szeryfa.
- Kto wie. Czy możecie dostarczyć mi sprawozdanie z aresztowania i w ogóle całą dokumentację na temat tego sukinsyna Vismary?

Valles i Witwer przytaknęli. Przypadł im do gustu ten zastępca prokuratora. Nie lubił tracić czasu. I nie karmił ich żadnymi frazesami ani się nie przechwalał.

- Biuro Prokuratora Generalnego zajmie się tą sprawą, panowie - oznajmił zastępca prokuratora. - A od teraz aż do końca śledztwa ja będę waszym

bezpośrednim przełożonym.

- W porządku. - Valles spojrzał na Witwera. - Chcemy wyjaśnić tę sprawę, sir. Jerry i ja od dawna pracujemy w policji, odwaliliśmy już kawał dobrej roboty i nie chcemy, żeby jacyś sprzedawczycy zrobili z nas takich samych jak oni.

- Znam wasze akta - odparł ich rozmówca. - Wiem, że jesteście dobrymi policjantami.

- Dziękujemy, sir.

Witwer miał na sobie garnitur, ale w zestawieniu z zarośniętą twarzą, małymi oczkami i długimi włosami wyglądał, jakby pochodził z innej epoki i wybierał się do kościoła.

- A skoro jesteście dobrymi policjantami, to pewnie nie macie już nic więcej do dodania, prawda?

- A na jaki temat? - spytał Valles.

- Nie chciałbym dowiedzieć się o tej sprawie z innego źródła czegoś, co moglibyście powiedzieć mi wy. Nie lubię niespodzianek ze strony ludzi, którzy dla mnie pracują.

- Powiedzieliśmy uczciwie wszystko, co wiemy na ten temat. Zastępca prokuratora skinął głową.

- To dobrze. Słusznie postąpiliście, przychodząc z tym do mnie. Gdzieś zadzwonił.

Zarówno Valles, jak i Witwer pomyśleli wówczas o nocy na cyplu Millera, ale doszli do wniosku, że w porównaniu z wielką aferą korupcyjną, o jakiej donieśli właśnie bardzo wysokiej instancji, bo przecież Prokuraturze Generalnej, to, co tam zaszło, nie miało najmniejszego znaczenia.

W końcu zastępca prokuratora wstał.

- Chodźcie ze mną. Chciałbym przedstawić wam naszego głównego oficera śledczego. Może będzie mógł zaopatrzyć was w jakiś lepszy sprzęt. Chcę też, żebyście poznali specjalistę od spraw sędziowskich - powiedział uśmiechając się.

Ruszyli korytarzem, w którym unosiła się woń popcornu i frytek smażonych w barze dwa piętra niżej.

- Czym się zajmuje ten specjalista, sir? Bo nie bardzo zrozumiałem - przyznał Valles.

- Wytacza sprawy sądowe przeciwko sędziom - wyjaśnił prowadzący ich mężczyzna.

232

## Rozdział trzydziesty drugi.

Kiedy tydzień się skończył, Nash zauważył, że jego nowym życiem zaczęła rządzić rutyna. Janice spędziła weekend w jego mieszkaniu, a kiedy wyszła, jej ubrania i szczoteczka do zębów zostały jak widomy znak jej uczucia.

Zgodziła się pojechać z Timem na konferencję sędziów. „Obydwojgu dobrze nam zrobi wyrwanie się stąd na jakiś czas” - powiedziała. Byle dalej od tej gorączkowej bieganiny, jaka panowała w Santa Maria.

Nash regularnie kontaktował się telefonicznie z Vismarą. Umówili się na obydwie transakcje - z Wisotem o szóstej w hotelu Cypress, a z policjantami o siódmej. Wprawdzie Valles wolał spotkać się z Nashem w barze Claremont Grill, ale i Tim, i Janice chcieli, by w miarę możliwości



wszystkie rozmowy odbywały się w hotelu, gdzie łatwiej było kontrolować pracę sprzętu elektronicznego. W końcu Valles zgodził się, aczkolwiek niechętnie, przyjść do apartamentu Nasha.

Siedząc w swoim gabinecie przed rozprawą Soiki, Nash przewertował książkę telefoniczną Santa Maria. Doszukał się dwudziestu pięciu osób o nazwiskach wymienionych przez Lenore Wisot, czyli Holiday, Halliday i Holloway, i nie miał przy tym żadnej gwarancji, że kobieta, o którą mu chodzi, jest wśród nich. Czuł się jak ślepiec, który idąc po gładkim trotuarze, nerwowo stuka laską, badając teren, bo wciąż jest niepewny, czy nagle nie otworzy się przed nim przepaść. Przed którą nikt go nie ostrzeże, pomyślał Tim. .

- Sędziowie przysięgli już czekają - oznajmiła Vi, podając mu kolejną filiżankę kawy.

- A strony?

- Też. Tylko oskarżonego jeszcze nie ma.

- A gdzie jest?

- Brakuje im dzisiaj ludzi - wtrącił Scotty.

Vi rozłożyła ręce, dając do zrozumienia, że ona nie ma z tym nic wspólnego.

- Zjawi się za kilka minut.

- W porządku. Powiedz przysięgłym - mruknął Nash.

Vi była zaskoczona jego reakcją, bo należał do sędziów, którzy pilnują, by rozprawy zaczynały się punktualnie.

- Przepraszam - rzuciła odruchowo.

Uświadomiła sobie, że stare zwyczaje uległy zmianie, ale co miało je zastąpić, tego jeszcze nie wiedziała.

Nash popatrzył na listę nazwisk. Nie mógł przecież zapytać wprost Terhune'a albo ojca. Jeżeli ojciec był czysty, to nie chciał, by wiedzieli, że miał jakiegokolwiek podejrzenia. Zadzwoił więc do starego znajomego ze studiów, obecnie współwłaściciela dużej firmy, i zaczął go wypytywać o kierowników administracyjnych. Wyjaśnił, że w sądzie potrzebują akurat kogoś takiego na kilka miesięcy. Wymienił też nazwiska, które usłyszał od Lenore Wisot. Chwilę później po odbyciu jeszcze dwóch rozmów z prawnikami w innych kancelariach dowiedział się, że kierownikiem administracyjnym w firmie Terhune & Nash była Lynn Holloway. Próbował przypomnieć ją sobie, ale bez skutku. Należała pewnie do tych ludzi, którzy przewijali się wokół jego ojca, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu.

W książce telefonicznej nie było adresu Lynn Holloway. Tim zadzwonił więc do informacji. A potem do detektywa w Biurze Szeryfa Santa Maria.

- Czy mógłbyś coś dla mnie sprawdzić? - spytał.
- Masz zamiar zatrudnić tę kobietę?
- Jej nazwisko obito mi się o uszy - odparł.
- Sprawdzanie kartoteki pracowników - to nie uchodzi nawet w takim małym zespole jak nasz - powiedział detektyw chichocząc.
- Po prostu chcę uniknąć sytuacji, że ktoś notowany kręci się po sądzie - tłumaczył Nash. - Wrzucić jej nazwisko do komputera, a potem zapomnij o wszystkim, O.K.?
- Nie ma sprawy. Możesz wpaść po to w porze lunchu. Do gabinetu wszedł Scotty Shea.
- Soika siedzi już na swoim miejscu, Tim. Przepraszam, że to tak długo trwało, ale i na dole, i w więzieniu mamy prawdziwe urwanie głowy.

Szeryfowie i ich pomocnicy planowali ogłosić strajk, by wymusić na władzach okręgowych Santa Maria zwiększenie wydatków na ochronę zdrowia do wysokości ustalonej przez władze miasta. Dlatego też tego dnia bardzo opóźniało się przeprowadzanie więźniów z miejsca na miejsce, przenoszenie dokumentów, a nawet kulała ochrona w gmachu sądu.

Nash niecierpliwie spoglądał na wiszący na ścianie na wprost biurka zegar. Sędziowie przysięgli oczekiwali czterdzieści pięć minut, w czasie których on poszukiwał Lynn Holloway, a szeryfowie przemierzali sądowe korytarze.

234

235

- W porządku - powiedział do Scotty'ego. - Wprowadź przysięgłych. Zaraz przyjdę.

Włożył na siebie togę. Telefon wciąż milczał. Pomyślał, że wysłanie teleksu do DMV z prośbą o udostępnienie akt zajmie kilka minut, a odnalezienie ich i przekazanie danych potrwa następną chwilę.

Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu wszedł Escobar prezentujący się nieco dziwacznie w trzyczęściowym garniturze koloru kremowego z żółtą chusteczką w kieszonce, z opaloną na czerwono twarzą i uśmiechem na ustach.

- Zaraz wychodzę, Vince. Już idę na salę - powiedział Nash.

- Doszły mnie słuchy o starym znajomym - zaczął Escobar. - Był kiedyś moim klientem.

- Porozmawiamy w przerwie.

Nash ruszył w stronę bocznych drzwi prowadzących na salę, skąd dochodził odgłos przygotowań do rozpoczęcia rozprawy - przysięgli, szurając nogami, potykając się i rozmawiając między sobą, zajmowali swoje miejsca.

- Kilka lat temu reprezentowałem Lou Vismarę oskarżonego wówczas o posiadanie narkotyków - powiedział Escobar.

Nash odwrócił się i na twarzy Escobara zobaczył uśmiech - uśmiech pokerzysty trzymającego asa w zanadrzu.

- A teraz dowiedziałem się, że się z nim przyjaźnisz.

Tego ranka Benisek zakończył przesłuchiwanie swoich świadków tuż po jedenastej. Z braku zajęcia oraz chęci odsunięcia od siebie krążących mu po głowie myśli, Nash zaczął liczyć świadków, których nazwiska zanotował. Było ich dwudziestu trzech. Do tego przedstawiono czterdzieści siedem przedmiotów, które zostały włączone do materiału dowodowego, a zaliczały się do nich wszelkie odciski palców, dubeltówka, zdjęcia i ubrania -wszystko to związane z niedwuznaczną przecież strzelaniną na stacji benzynowej.

Zgodnie ze swoim prawem, Escobar zaczekał z wygłoszeniem mowy, aż oskarżenie przedstawi argumenty. Wstał więc, a Soika utkwiał wzrok w tym jasno ubranym, pewnym siebie człowieku. Oskarżony już się nie przejmował tym, że przysięgli widzą, iż jest w kajdankach. Oparł ręce na stoliku tuż obok sterty teczek i dokumentów. Nash kazał zakuwać go w sądzie po tym, jak kiedyś Soika popchnął jednego ze strażników, wychodząc z sali. A teraz, kiedy tempo wykonywania wszelkich prac w gmachu znacznie się zwolniło i ochrona liczyła o jednego człowieka mniej, kajdanki były całkiem rozsądnym środkiem zapobiegawczym.

Escobar protestował przeciwko jego wprowadzeniu. „Każ mu trzymać ręce pod stołem” - powiedział wtedy Nash.

- Wysoki Sądzie - zaczął Escobar pełnym uszanowania tonem, który przybierał na sali rozpraw, w odróżnieniu od gróźb rzuconych w rozmowie prywatnej - w imieniu Evana Soiki składam wniosek o wycofanie wysuniętego przeciw niemu oskarżenia z racji tego, że oskarżenie nie przedstawiło tu wystarczających dowodów, które można by zaprezentować ławie przysięgłych.

Wniosek był czysto formalny. Nash udzielił natychmiastowej odpowiedzi:

- Wniosek oddalony. Może pan rozpocząć mowę wstępną, panie Escobar.

Nash zauważył, że palce Escobara zacisnęły się nerwowo wokół wiecznego pióra, którym coś notował. Przysięgli nie mogli tego dostrzec; Vi i Soika także. Ale ja wiem, pomyślał Nash. I jestem jedynym, który musi wiedzieć.

Escobar ostrożnie wyszedł zza stolika, poklepując Soikę przyjacielskim gestem po ramieniu. Oskarżony był trudnym klientem i Nash sądził, że ławnicy nie żywią do niego ani odrobiny sympatii.

Ale Escobar nie zamierzał wpłynąć na werdykt, jaki wyda ława przysięgłych.

Nash czuł, że obrońca chce wpłynąć na niego. To od Tima zależało, jaki będzie koniec.

- Panie i panowie - zaczął łagodnym głosem Escobar, rozkładając ręce - nie będę miał wiele okazji, by przemawiać do państwa bezpośrednio. Taką szansę daną przez nasz system prawny ma przede wszystkim prokurator, ponieważ to on właśnie musi udowodnić słuszność oskarżenia. Ja nie muszę niczego udowadniać. Evan Soika będzie tu siedział i czekał,

siedział i czekał, tak jak teraz.

- Miał pan wygłosić mowę, a nie wmawiać cokolwiek ławie przysięgłych  
- przerwał mu Nash.

- Zrobiłem tylko zwykłą uwagę na temat domniemanej niewinności  
oskarżonego, Wysoki Sądzie.

- Sam pouczę przysięgłych w kwestii obowiązującego prawa - odrzekł  
Nash. Przynajmniej tutaj mogę kierować Escobarem, pomyślał.

W sekretariacie Vi zadzwonił telefon. Zwykle Vi wychodziła z sali dopiero  
po czwartym lub piątym dzwonku.

- Proszę, niech pani odbierze - polecił jej Nash.

Chciał wiedzieć, co było w teleksie z DMV. Bo na pewno właśnie w tej  
sprawie dzwoniło, ale w tej samej chwili telefon umilkł. Escobar  
kontynuował swoją mowę, a Nash, położywszy dłonie płasko na leżących  
przed nim dokumentach, wyprostował się na krześle.

- Fakty, które zostaną państwu przedstawione - ciągnął stanowczym  
głosem Escobar - są bardzo proste. Owszem, Evan Soika napadł na stację  
benzynową Best Buy. Fakt, że miał ze sobą dubeltówkę. I że groził ofierze,  
panu Prentice'owi. To wszystko prawda. Oskarżony winny jest popełnienia  
tych czynów. Ale - tu Escobar spojrział na Soikę, który siedział pochylony  
nieco do przodu, z przygnębioną miną na twarzy i wsłuchiwał się w słowa  
swego obrońcy, jakby to była jakaś nieznana mu, fascynująca bajka - kiedy  
policja otoczyła stację benzynową, sytuacja zupełnie się zmieniła. Evan  
chciał się poddać. Chciał się wycofać. Godzinami prowadził rozmowy z  
policją, a konkretnie z sierżantem Rossem. A kiedy w końcu Evan Soika

236

237

przystał na warunki i zamierzał oddać się w ręce policji, pan Prentice sięgnął po broń - tu Escobar zrobił nagły ruch, jakby chciał coś komuś wyszarpnąć -a policja złamała dane słowo, otwierając ogień w kierunku sklepu przy stacji; wtedy to dubeltówka wystrzeliła i kula trafiła pana Prentice'a, raniąc go śmiertelnie.

Soika pokiwał głową.

- Gdyby nie zachowanie policjantów, gdyby nie ich kłamstwa i chęć oszukania pana Soiki, ofiara żyłaby do tej pory, Evan Soika zostałby osądzony za napad z bronią w ręku, a mieszkańcy Santa Maria byłiby zupełnie spokojni. A tak mamy tu człowieka, którego czeka może komora gazowa, a całe miasto wzburzone jest postępowaniem policji. Kogo niby ochrania taka policja? Ludzi takich jak pan Prentice? Albo was? Czy może mnie?

- Proszę powstrzymać się od perswazji - uciął Nash. - Niech pan zakończy mowę i wezwie swego świadka.

Nash nie miał zamiaru zmieniać czegokolwiek w sposobie prowadzenia rozprawy tylko dlatego, że Escobar mu groził.

Jeszcze przed rozprawą Escobar wspomniał, że dwa dni temu w areszcie przesłuchiwał człowieka zatrzymanego za włamanie do mieszkania i kradzież samochodu. „Powiedziałem mu, że prowadzę już jedną sprawę.

Wie pan, jacy oni wszyscy są, panie sędzio, relacjonował, wzdychając przy tym. Chcą, żeby czas poświęcać wyłącznie im. Tak jakby cały świat kręcił się wokół nich. Napomknąłem, że ta sprawa,, którą się zajmuję, jest na pańskiej wokandzie. I wtedy twarz tego faceta rozpromieniła się. Słyszał już wcześniej o panu. Od kolegi, z którym razem pił”.

Tym kolegą był Louis Vismara. Spotkali się w Joe's Table i przy kieliszku

wspominali stare czasy, kiedy mieszkali w dzielnicy, którą już wyburzono i gdzie teraz znajdowały się ulice handlowe - Sand Creek Shopping Mali i Shadow Point Shopping Mali. A potem Vismara zaczął się przechwalać. Twierdził, że przyjaźni się z pewnym sędzią, i to bardzo znanym w Santa Maria, bo z Timem Nashem. Przyglądając swymi drobnymi dłońmi wąsy, opowiadał, że on i sędzia Nash zajmują się razem bardzo ważnymi sprawami. I że z racji przyjaźni Nash wyświadczył mu ogromną przysługę.

- Czy to prawda? - spytał uprzejmie Escobar Nasha. - Czy ty i Lou jesteście przyjaciółmi?

- Spotkałem się z nim. Ale przyjaciółmi nie jesteśmy. Chodźmy już. Tim wiedział, co za chwilę powie Escobar.

- No cóż, mam swoje kontakty w więzieniu i wiem, że nad głową Vismary wisi kolejne oskarżenie. Oczywiście znalazł sobie pewnie innego prawnika. Rozstaliśmy się w nie najlepszych stosunkach, bo Louis uważał, że mogłem załatwić mu lepsze warunki. Myślę, że Louis na wiele by się zdobył, byle tylko nie trafić znowu do ciupy. Pomógłbyś mu w tym?

- Nie znam go.

238

Escobar wciągnął brzuch, ale jego wysiłek był raczej daremny. Stwierdził, że myszkowanie na własną rękę przynosi rezultaty, więc dowie się, co łączy Nasha z Vismarą.

- Może będę musiał się zastanowić, czy wywarłoby to jakiś wpływ na obecny proces - oznajmił Escobar.

Nash zauważył, że Escobar i Vismara mają taki sam zwyczaj dotykania chusteczki w kieszonce. Zastanawiał się, czy to Louis przejął ten nawyk



od swego byłego obrońcy.

- Nie sądzę, żebyś chciał się narażać dla Soiki - odrzekł Nash. -Mógłbym niewłaściwie zinterpretować twoje uwagi.

- Dla Soiki nie - zgodził się Escobar. - Chodzi o moją reputację. A ona będzie wyglądać dobrze, jeśli Soika wyjdzie z tego obronną ręką. Ja niczego nie powiedziałem, sędzio. Rozumiesz.

Ale obydwaj wiemy, co chciałeś powiedzieć, myślał Nash, kiedy na rozprawie Escobar wzywał swego pierwszego świadka, drobną kobietę o zaczesanych do tyłu czarnych włosach, z brązową torebką w ręku. Był świadom, że obrońca chce posłużyć się Vismarą, żeby odpowiednio pokierować procesem - o to właśnie chodziło. Nash wiedział, że jeśli Escobar przeprowadzi swoje śledztwo, to doszuka się powiązań między nim a Vismarą i zobaczy, że sytuacja wygląda właśnie tak, jak miała wyglądać. Czyli, że sędzia Nash bierze łapówki.

Vi zaprzysięgła świadka. Siedzący na ławie przysięgłych Archie Marleau zakaszłał. Przeziębł się i ciągle kichał. Nash spróbował skupić się na przesłuchaniu. Było jeszcze za wcześnie, żeby zarządzić przerwę.

Jednakże nie mógł już znieść siedzenia na sali, widoku zawziętości w oczach Soiki i malującego się na twarzy Escobara triumfu i chęci walki. Muszę dokonać wyboru, myślał, albo tajna operacja, albo ten proces. Coś trzeba będzie poświęcić. Tylko która z tych spraw jest więcej warta?

- Pani LaSalle - zwrócił się Escobar do świadka - jest pani właścicielką salonu piękności mieszczącego się w pobliżu stacji benzynowej Best Buy?

- Tak. Mam ten salon od ośmiu lat. A pracuję tam od dwunastu. Kiedyś znajdował się tam sklep z meblami ratanowymi. Ale przebudowałam go na salon piękności.

- Czy znała pani pana Prentice'a?
- Tak. Spotykaliśmy się czasem.
- Był człowiekiem porywczym, zapalczywym, prawda?

Benisek podniósł rękę, chcąc zwrócić na siebie uwagę niezbyt skupionego Nasha.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. To nieistotne dla sprawy. Nie zajmujemy się tu osobą ofiary.

Telefon w sekretariacie znów się rozdzwonił, kiedy Vi wróciła na salę, miała dla Nasha wiadomość na karteczce. Wynikało z niej, że poszukiwana przez niego Lynn Holloway zamieszkiwała ostatnio przy ulicy Skylark Way

239

w południowej części miasta. Nash zwinął karteluszek i przykrył go prawą dłonią. Wieloletnia praktyka w ukrywaniu własnych uczuć okazała się teraz bardzo pomocna.

- Protest podtrzymany. Pytanie nieistotne dla sprawy - powiedział po prostu.
- Mogę wykazać, że jest uzasadnione, Wysoki Sądzie.
- Nie zamierzam instruować pana, panie Escobar, jak ma pan badać sprawę.

Soika zatrzęsł się ze złości, aż zabrzęczały mu kajdanki. Nash miał wrażenie, że karteczka ukryta pod jego dłonią żyje. Skrywała przed nim tajemnice, nieubłaganie łączyła w sobie przeszłość z teraźniejszością, przy czym to, co minione, nie odeszło spokojnie, ale wdzierało się pazurami w każdą chwilę jego obecnego życia.

Frank Wisot zjawił się w hotelu Cypress dokładnie o szóstej. Miał ze sobą

bukiet białych róż owiniętych w cieniutki zielony papier, który szeleścił, kiedy przekładał kwiaty do lewej ręki, chcąc wziąć od Nasha kopertę.

- Przeglądałem dzisiaj teczkę Vismary, Tim. Poprosiłem Charliego z kancelarii, żeby dał mi tę sprawę jak najszybciej. Skoro i tak ma do mnie trafić, to po co to odkładać.

- Ciągłe prosimy o jakieś te czki. Nikt nie zwraca na to uwagi.

- Nie przewiduję żadnego problemu. Oddalałem już sprawy o naruszenie zasad zwolnienia warunkowego, gdzie dowody były znacznie poważniejsze.

- I nie tylko ty, Frank. Dlatego właśnie wszystko jest O.K.

- Jedno mnie martwi, Tim. - Wisot wciągnął gwałtownie powietrze, a Nash słuchał w napięciu. - Chodzi mi o tego faceta.

- Vismara jest całkiem w porządku. Możesz mi wierzyć. Chce po prostu wygrzebać się z tej sprawy i bez troski żyć dalej.

Wisot wzruszył ramionami, a Nash przestraszył się, że jego wyjaśnienia nie są zbyt przekonujące.

- Obawiam się, że jeszcze da o sobie znać. A nie chciałbym zamartwiać się z jego powodu.

- Na Florydzie? - Na uśmiechniętej twarzy Nasha malowała się pewność siebie. - Nic nie będzie się za tobą wlokło. Po prostu oddaliłeś oskarżenie z powodu braku dostatecznych dowodów. Zwyczajna sędziowska decyzja.

Wisot westchnął i skinął głową.

- Chyba chciałeś właśnie coś takiego usłyszeć.

- Drugą ratę - Nash wskazał na kopertę w dłoni Franka - dostaniesz po umorzeniu sprawy.

- Jasne. Umieściłem ją w planie zajęć na przyszłą środę. Zaraz potem

wszyscy wyjedziemy na konferencję i będziemy się byczyć w Monterey. - Frank spojrzał na Nasha, który, trzymając drinka w rękę, wyglądał na zamyślonego. - Mogę coś dla ciebie zrobić, Tim? Nash zaprzeczył ruchem głowy.

- U mnie wszystko gra. A dla kogo te róże? Wisot powąchał białe kwiaty.

- Dla Len. Za miesiąc wypada rocznica naszego ślubu, więc już zaczynam ją rozpieszczać. No wiesz, róże, kolacje.

- Ładnie z twojej strony.

- Małżeństwo to ciężka praca - odrzekł Wisot. Kwiaty ocierające się o tweedowy garnitur Wisota zaszeleściły. - Uważaj na siebie.

Nash szybko pozbył się Vallesa, który przyszedł o siódmej, tym razem bez swego kolegi. Miał wrażenie, że kiedy rozmawiali policjant starał się stać blisko niego, ale nie miał co do tego pewności. Podczas wizyty Wisota Vismara czekał w sypialni. Potem wyszedł z niej i siedział na sofie, coś czytając, gdy Nash i Valles załatwiali sprawę. Policjant odezwał się nawet do niego, ale Vismara nie odpowiedział. Gdy pieniądze przeszły z ręki do ręki, Louis wstał i splunął na wyczyszczony dywan. Janice i trzech agentów FBI od razu odtworzyli taśmę. Była to zwykła, rutynowa czynność. Przysłuchując się rozmowie, wszyscy wpatrywali się w połyskujący ekran. Kiedy, tak jak w większości wypadków, na filmie pojawiała się scena najistotniejsza z prawnego punktu widzenia, Janice albo Nash mówili: „O.K. Wypowiedział te magiczne słowa”. Oznaczało to, że ktoś przyjął łapówkę, dopuszczając się w ten sposób przestępstwa i fakt ten został zarejestrowany.

- O co chodzi, Louis? - spytał Nash, kiedy opisana i opatrzona numerem kaseta wideo trafiła na półkę, Testa wyłączył sprzęt i wygasił światła, a

agenci, żartując i pogryzając kanapki, przenieśli się do salonu. Mijał kolejny pracowity wieczór.

- Nienawidzę tego sukinsyna - odrzekł Vismara. Janice rozsunęła kotary.

- Co masz przeciwko niemu?

- Po prostu jest sukinsynem i mam ochotę pójść do sądu i przyłożyć mu.

Agenci, a szczególnie Sanchez, przyglądali się Vismarze uważnie.

Sanchez, kiedy tylko mógł, starał się dokuczyć niepozornemu Louisowi. -

Wystraszysz pewnie paru facetów - powiedział. Vismara odwrócił się w jego stronę.

- Pilnuj swego nosa. Może i ty się wystraszysz.

Agent zachichotał i wraz z Jacobsem zaczął zbierać raporty i inne dokumenty, które Janice chciała zabrać ze sobą. Tim pomyślał, że będzie musiał powiedzieć jej o groźbach Escobara. Miał już za sobą okres, kiedy poświęcał mnóstwo czasu na roztrząsanie problemów jednostkowych, jak na przykład nienawiść Vismary do Vallesa czy korupcja samego Vallesa.

240

241

Przyszło mu do głowy, że zrobił się gruboskórny. Teraz najważniejsza była sprawa Escobara. No i, dla niego osobiście, tajemnicza przeszłość ojca.

Wszyscy pili drinki; agenci raczyli się piwem wprost z butelek. Janice mówiła coś do Jacobsa, a on robił z tego notatki.

- Janice, ten obrońca w procesie, który obecnie prowadzę, dopatrył się powiązania pomiędzy mną a Louisem - oznajmił Nash.

Popatrzyła w jego stronę. Vismara skoczył na równe nogi, jak oparzony.

- Ile wie? - spytała. Ale wtrącił się Vismara:

- Nie rozmawiam o tej akcji z żadnymi prawnikami. Niczego nie

powiedziałem, tylko ten pieprzony gliniarz mówi, że prowadzę z sędzią jakieś brudne interesy, ale nic mu nie powiedziałem. Chciał to ze mnie wydusić - oddech Vismary aż charczał, a słowa padały szybko jedno za drugim - wie pan, panie sędzio, ale nie puściłem pary z gęby.

Nash skinął głową. Teraz rozumiał, dlaczego spotkanie z Vallesem zostało sfilmowane - można go było zwolnić z policji i trafiłby do więzienia.

- Sam go szukałeś - zwrócił się do Vismary.

- W tym właśnie problem - odezwał się Jacobs zza baru. Zdążył już zdjąć krawat i trzymał go w jednej ręce, a w drugiej ścisnął butelkę z piwem.

- To mało istotne - przerwała im Janice. - Co z tym prawnikiem, Tim? Czego dopatrywał się między tobą a Vismarą?

Nash zrelacjonował jej to, co usłyszał od Escobara, a Vismara w tym czasie przemierzała pokój wzdłuż szerokiego okna, w którym na tle ciemności i rozsianych gdzieś daleko świateł miasta odbijała się jego postać, niewyraźna i jakby przezroczysta. Właściwie to wszystkie znajdujące się w wygodnym, kosztownie urządzonej pokoju osoby wydały mu się zawieszony w nocnym mroku niczym duchy pogrążone w myślach o życiu mieszkańców Santa Maria.

- Nie możemy przygotować żadnej akcji prowokacyjnej na Escobara - oznajmił Nash.

- Dlaczego nie? - spytała Janice, siadając.

W oczach Tima wciąż miała dwa oblicza - osoby chłodnej i pełnej rezerwy przy ludziach, i otwartej, wręcz pokornej w sytuacjach intymnych.

Uosabiała dwa światy, które istniały jeden obok drugiego, niezależne od siebie, a jednak nawzajem się przenikały, czyniąc zamęt w jego życiu.

- Jeśli przyłapiemy Escobara, jak bierze pieniądze albo mi grozi, to

będziemy musieli wnieść przeciwko niemu oskarżenie - wyjaśnił Nash.  
Wsunął ręce do kieszeni. - A wtedy sprawa Soiki jest dla niego wygrana.

- Od razu, automatycznie?

- Jak tylko zostanie aresztowany razem z innymi. Wkrótce po zakończeniu naszej operacji.

- Moglibyśmy wstrzymać się z aresztowaniem go do czasu zamknięcia procesu Soiki.

Nash zerknął na Vismarę, który, mruczając pod nosem, wciąż chodził po pokoju.

242

- Wtedy Escobar powie, że proces prowadzony był stronnictwo, bo to ja mu przewodniczyłem. Będzie apelacja i wyrok skazujący zostanie odrzucony. Nie chciałbym, żeby Soika wyszedł wkrótce na wolność.

Vismara odwrócił się do niego.

- Nikomu z was nie zrobiłem nic złego - powiedział.

- Przecież nikt cię nie oskarża - odparła spokojnie Janice.

- Na razie - stwierdził Vismara.

Nashowi przyszło do głowy, że przyczyna udreki Louisa jest dwojaka i składa się na nią strach, że jednak przyjdzie mu odpowiadać za dawne przestępstwa, związane z handlem narkotykami oraz znacznie głębsza obawa, iż operacja, której oddał się całą duszą i ciałem, mogłaby zakończyć się fiaskiem. I to z powodu jego pijackich przechwałek, z potrzeby poczucia się kimś ważnym.

- To ten prawnik jest dla nas kłopotliwy, Louis. Nie ty.

- Ty jesteś księciem - dodał Sanchez, a Vismara posłał mu mordercze spojrzenie.

Pozostali agenci stanęli pomiędzy nimi, a Nash poczuł, że atmosfera zaczyna robić się wroga. No pięknie, pomyślał, teraz powalczmy trochę między sobą.

- Vince Escobar to typ faceta, który najpierw powęszy, żeby mieć pewność, co się dzieje. Dobrze nam szło do tej pory. Escobar dowie się, że biorę w łapę - powiedział Nash, starając się, by wszyscy przypomnieli sobie o właściwym temacie rozmowy.

- Będę musiała pomówić z Neilem - Janice popatrzyła na agentów - i zapytać go o zgodę, ale być może trzeba będzie włączyć Escobara do tej operacji.

- Zaaresztować go? Przecież wyjaśniłem ci, że w ten sposób sprawa Soiki byłaby przegrana.

- Nie. Myślałam, żeby go wtajemniczyć. Nash prychnął.

- Wtedy wykorzysta operację, żeby i ciebie szantażować.

- Ale to przestępstwo - odparła Janice.

- I co z tego? Będzie z nami igrał, ciekaw, czy ważniejsza jest dla nas operacja, czy proces Soiki.

- Myślisz, że zaryzykowałby, ujawniając sprawy takiej wagi?

Nash skinął głową. Vismara usiadł już, ogryzając sobie paznokcie. Wciąż coś mamrotał do samego siebie.

- On nie widziałby w tym żadnego ryzyka - odrzekł Nash. - I sędzę, że miałby rację. Roemer na pewno poświęciłby proces, byle tylko nie zaprzepaścić operacji.

Agenci FBI, którzy przyglądali się tej scenie z drwiną w oku, wzięli do rąk walizeczki i segregatory. Aż trudno uwierzyć, ile opasłych teczek powstaje w wyniku jednej akcji prowokacyjnej i ile zapełnią one półek w Biurze



- Będziemy ci jeszcze potrzebni, Janice? - spytał Jacobs, żując przy tym gumę. - Chyba sami się dogadacie, no nie?

- Musimy podjąć jakieś decyzje - odrzekła Janice. - Wy możecie już iść.

- W porządku. Do zobaczenia jutro - pożegnał się Jacobs i cała trójka wyszła. Tylko Sanchez odwrócił się jeszcze i popatrzył na Vismarę.

- Może sam chcesz zapytać Neila? - zaproponowała Janice, gdy drzwi apartamentu zamknęły się z hukiem.

- Po co? Są sprawy, o których ze mną nie rozmawialiście. Ani ty, ani on. Nie wiem nawet, czy mógłbym być z nim szczerzy.

Ni stąd, ni zowąd Vismara rozłożył się na sofie i nakrył ręką oczy.

Zajmował na niej niewiele miejsca.

- Nie dojdzie do tego. Wszystko jest w porządku - powiedział. Zdjął rękę z oczu. - Wszystko naprawię, panie sędzio. Niech mi pan zaufa. Załatwię to.

- Nie chodzi teraz o ciebie, Louis - odrzekł Nash. - Myślę o organizacji całej tej operacji.

Janice dokończyła notatki i zamknęła teczkę. Tim był ciekaw, gdzie chowa te swoje raporty. Odkąd znalazł tamte zdjęcia, niczego nie trzymała w domu.

- Masz jakąś propozycję, Tim? Bo rozumiem, że nie chcesz dobierać mu się do skóry. Ani powiedzieć mu o wszystkim.

Nash usiadł obok Vismary, który wyglądał na zmęczonego i zawstydzonego.

- Lou i ja będziemy musieli być teraz bardzo przekonujący. Sądzę, że uda nam się podsycić ciekawość Escobara, o ile tylko uwierzy w naszą chciwość.

Vismara popatrzył na Nasha wzrokiem małego dziecka niemal z uwielbieniem w oczach.

- Ale o co chodzi? - spytała Janice. - I tak Neil podejmie ostateczną decyzję.

Nash pokręcił przecząco głową.

- Nie. Decyzja już została podjęta. Wspólnie z Lou poprowadzimy operację jeszcze przez jakiś czas. Mamy już dwóch sędziów, sprawdzimy więc jeszcze jednego, paru gliniarzy, kilku wyższych rangą policjantów i to wszystko.

- Nie możesz zamykać operacji wtedy, kiedy sam uznasz to za stosowne - sprzeciwiła się Janice. - Jest jeszcze wiele spraw do zbadania. I sporo osób, które trzeba poddać próbie.

- W tym wypadku Escobar wyznaczył nam termin. Sprawy, które są już zaczęte, sfinalizuję razem z Lou. Jeszcze przed końcem tygodnia wykonamy pierwsze podejście do Peatlinga. Ale cała operacja musi zostać zamknięta, zanim skończy się proces Soiki. A to prawdopodobnie kwestia paru tygodni. Po zakończeniu operacji Escobar nie będzie miał na mnie żadnego haka. Będę mógł swobodnie doprowadzić sprawę do końca. - Nash mówił tak, jakby on i Janice byli w pokoju sami. - Uprzedzałem, że nie chcę, aby cokolwiek

kolidowało z moją pracą sędziego. I ta operacja nie może wyrzucić najmniejszego wpływu na przebieg procesu Soiki. Nie dopuszczę do tego.

- To groźba?

- Po prostu tak wygląda sytuacja.

Vismara usiadł na kanapie i zaczął rozcierać oczy dłońmi, jakby właśnie przebudził się ze snu. Cały czas jednak słuchał, przetrawiał wszystko w myślach i doszedł do własnych wniosków, na które duży wpływ miały przerażenie i frustracja w głosach Janice i Tima. Bo był pełen podziwu i dla niej, i dla niego.

- No to jak, Lou? - zwrócił się do niego Nash. - Zabierzemy się do tych ostatnich paru osób?

- Naprawdę bardzo mi przykro. Ale ja wszystko naprawię - obiecał Louis.

- Proponowane przez ciebie rozwiązanie, Tim, jest nie do przyjęcia - oświadczyła Janice. - Chcesz przyspieszyć operację i szybciej ją zakończyć.

- Chcę uratować operację. I postaram się przeciągnąć nieco proces. Tim wiedział, że Janice nie podoba się ten pomysł, że Roemer będzie mu mocno przeciwny, ale alternatywą było zmarnowanie materiału dowodowego, który już zdobyli.

- Poprę cię u Roemera - powiedziała Janice beznamiętnie. - Twój znajomy Perpich w Biurze Prokuratora Okręgowego płaci uczciwie podatki, na nic nie wydawał jakichś horrendalnych sum ani nie fundował sobie kosztownych wycieczek. W niczym nie odbiega od normy. Neil sądzi, że jest czysty.

Vismara słuchał, co powie Nash.

- Pewnie, że jest czysty - odezwał się Tim. - Jakiś drań podszeptał nam jego nazwisko. Równie dobrze mógłby nam podsunąć kogokolwiek innego.

- Zdaniem Neila podejście do Perpicha nic by nie dało. A sądząc po tym,

co dzisiaj powiedziałaś, nie zostało nam zbyt wiele czasu.

Tim widział, że Janice jest rozczarowana. Ona naprawdę miała ochotę sprawdzić Perpicha i przekonać się, czy wzięłby łapówkę.

- Byłem przy tym, jak go oskarżano i wiem, skąd się wziął ten donos - tłumaczył Nash. - Perpich jest w porządku.

- Tym razem go pominiemy - zgodziła się Janice.

Nash wstał, czując, że powinien zapytać Janice o źródła oskarżenia przeciwko Frenkel i Wisotowi, i przeciw Peatlingowi, który był następny w kolejce do sprawdzenia. Kto na nich doniósł? Czyja to sprawa, że stali się przedmiotem ataku? Nash widział właśnie, jak łatwo unieść miecz zemsty, który równie łatwo mógłby spaść.

Ale prawda jest taka, pomyślał, że nie chce wiedzieć.

244

Rozdział trzydziesty trzeci.

Kiedy o dziewiątej Nash opuszczał hotel Cypress, nie zostały podjęte jeszcze żadne ostateczne decyzje, a groźba Escobara wciąż nad nim wisiała. Zdawał sobie sprawę z tego, że Janice omówi wszystko z Roemerem. A Vismara pójdzie lizać rany po tym, jak nawarzył piwa i naraził całą operację na ryzyko.

Nash nie spodziewał się uzyskać istotnych informacji w domu numer 1176 przy ulicy Skylark Way stojącym tuż obok Meadowline Avenue w najbardziej na południe wysuniętej dzielnicy miasta, skąd już tylko kilka mil ulic dzieliło go od wciąż jeszcze żywnych pól kukurydzianych i

równiutkich rzędków pomidorowych krzaczków. Pola te przecinały jedynie biegnące z północy na południe stanowe autostrady. Na myśl o tym, że miasto kończy się niedaleko od tej długiej i brudnej alei, oświetlonej rzadko rozmieszczonymi latarniami, Nashowi zrobiło się zimno. W śródmieściu czy wokół sądu miało się przynajmniej wrażenie, że stróże porządku rzeczywiście go pilnują.

Ulica Skylark była ponurym miejscem; na bezdrzewnych placach stały małe domki, a na podjazdach przed nimi poobijane samochody i rzucone niedbale motocykle. W mroku chłodnego wieczoru rozlegało się szczekanie psów, a z otwartych okien dochodziły mieszające się w jedno żałosne zawodzenie odgłosy telewizji. Obok Nasha przebiegło kilkoro dzieciaków, wykrzykujących jakieś wulgarne przekleństwa. Powoli, niemal delikatnie przejechał ulicą samochód brygady SMPD, kierując się tam, gdzie rząd latarni się urywał.

W oknach domu numer 1176 paliło się światło: sam budynek był mały, pomalowany na biało-zielono, a prowadziła do niego ścieżka wzdłuż której ustawiono rząd dekoracyjnych, białych kamieni. Nash nacisnął dzwonek. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich kobieta, z głębi domu słychać było włączony telewizor i ujadającego w pokoju psa. Miała siwe

246

włosy i okulary na nosie, ale na widok elegancko ubranego Nasha najwyraźniej się uspokoiła.

- Czy to dom państwa Hollowayów? - spytał Tim.
- Nie. Bonafiglio - padła odpowiedź. - A o co chodzi?
- Szukam Hollowayów. A właściwie Lynn Holloway. Kobieta odwróciła się i krzyknęła:

- Erneście! Czy gdzieś w pobliżu mieszkają Hollowayowie?

Dość niski mężczyzna w fartuchu stolarza podszedł powoli do drzwi.

- Kim pan jest?

- Sędzią. Szukam państwa Hollowayów.

Starsi państwo popatrzeni na siebie i pokręcili przecząco głowami.

- Mieszkamy tu od sześciu lat. A kupiliśmy ten dom od państwa Leslie.

Następnych kilka minut zabrało Nashowi dowiedzenie się, że

Bonafigliowie nie znają adresu poprzednich właścicieli. Potem ruszył dalej ulicą i spróbował zasięgnąć informacji w dwóch innych domach, bez rezultatu jednak, więc przeszedł na drugą stronę Skylark Way. Zapukał do czwartego już z kolei domu. Gospodyni przyjaźniła się z panią Holloway i miała adres, pod który Lynn przeprowadziła się osiem lat temu. „Niestety, nie wiem, czy jeszcze jest aktualny” - usprawiedliwiała się.

Nash podziękował jej i pojechał trzy mile dalej w kierunku północnym, błądząc po drodze w labiryncie krętych uliczek, nim trafił na ulicę Castaic, małą i ciemną, która kończyła się ślepo. Pod wskazanym adresem w jednym oknie paliło się światło. Zaparkował samochód. Kiedyś dawno temu jeździł nieraz nocą na miejsca zbrodni i teraz miał to samo co wtedy wrażenie, że powietrze wokół niego się zagęszcza i pachnie złowieszczo, tak jakby cała nocna ciemność miała przytłoczyć go swym ciężarem.

W przydomowym ogródku pachniały kwiaty kapryfolium i gardenii. Nash zapukał. Nie wiedział jeszcze, co ma powiedzieć tej kobiecie. Może zapytać, czy ojciec popełnił jakieś czyny niezgodne z prawem w czasie, gdy ona pracowała w jego firmie? Albo dlaczego wyrzucono ją z pracy?

Drzwi otworzyła trzydziestoletnia kobieta o gęstych kasztanowatych włosach i mocno umalowanych oczach. Nash przedstawił się. Pomyślał, że

jest zbyt młoda, by być tą, której szukał. Ale ona oznajmiła oschłym głosem:

- Czekałam na pana.

Dwadzieścia minut później jechali jej samochodem, a ona jedną ręką gestykulując, cały czas mówiła.

- Jak tylko zachorowała i nie mogła sobie poradzić, przestaliście jej pomagać.

- Nie zrobiłem nic złego pani matce. Nie miałem nawet pojęcia o jej istnieniu.

Nash opierał się ręką o deskę rozdzielczą. Jechali bardzo szybko ulicą, na której roilo się od samochodów, i Patty co chwila wciskała klakson.

247

- Mam na myśli pańskiego ojca. To przez niego straciła pracę, a on nawet palcem nie kiwnął, żeby jej pomóc. A potem zaczął opłacać jej czynsz za mieszkanie - ciągnęła rozgoryczona Patty Holloway. - Płacił całymi latami. Dopóki nie zachorowała. Pokazywałam panu wyciągi z konta mojej matki. Co miesiąc wpływało tysiąc dolarów. Rok po roku. Przez ponad dwadzieścia lat.

- Ja nie wysyłałem tych pieniędzy. Ani mój ojciec.

Nashowi niełatwo było rozeznaczyć w stosiku bankowych wyciągów i to pochodzących z różnych banków, ale na wszystkich odnotowano regularną wpłatę, wnoszoną pierwszego dnia każdego miesiąca. Nie znalazł żadnych druczków czy korespondencji; mógł tylko stwierdzić, że na rachunek Lynn Holloway, wszystko jedno w którym banku go miała, wpływała kwota tysiąca dolarów.

- Nie znam pani matki - wyjaśniał Nash. Rozległ się kolejny ryk klaksonu

mający utorować im drogę. - Nie mam pojęcia, co się w ogóle zdarzyło.

Właśnie o to chciałbym zapytać panią Holloway.

- Zrobię wszystko, byle pieniądze znów zaczęły wpływać na konto.

- A co jest pani matce? Na co choruje? Dziewczyna machnęła ręką i znów wcisnęła klakson.

- Jest umierająca.

Nash rozpoznał szpital. Tym samym, wykładanym białymi kafelkami korytarzem szedł, kiedy zaczynał pracę w Biurze Prokuratora

Okręgowego. Wymagano wtedy od każdego nowego zastępcy, by

prowadził w szpitalu przesłuchania psychicznie chorych, którzy nie

wyrażali zgody na leczenie, a bez niej nie mogli być zatrzymywani w

szpitalu. Czasami kiedy pacjent, czysty, ubrany i uśmiechnięty, siadał przed sędzią, zastępcą prokuratora i adwokatem, lekarz szeptał mu do

ucha: „Niech pan zapyta go o mięso”. Nash wysłuchiwał wtedy

monotonnych odpowiedzi. „Tak, znajdę sobie mieszkanie. Będę sobie

gotował posiłki. Poszukam sobie pracy. Będę prał sobie ubrania. Będę

robił zakupy, ale nigdy nie kupię mięsa. Tak, będę brał lekarstwa”.

Wówczas takiemu człowiekowi Nash zadawał podpowiedziane przez

lekarza pytanie: „Dlaczego nie będziesz kupował mięsa?” Na twarzy

pytanego pojawiała się przerażenie. „Bo zjadałbym własną matkę”. I

wtedy na mocy decyzji sądu pacjent zostawał.

Na oddziale, na którym leżała Lynn Holloway, nie było ściśle określonych

godzin dla odwiedzających. Czas stawał się tu szczególnie cenny i

sztuczne dzielenie go dla wygody szpitala na pory odpowiednie dla takich

czy innych czynności nie miało najmniejszego sensu.

Nash stanął nieco z tyłu, a Patty Holloway pochyliła się nad



przypominającą patyk kobietą w białym, szpitalnym szlafroku, przykrytą jedynie prześcieradłem, szepnęła jej coś do ucha i pogłaskała. Tim nie wiedział, |

248

co ze sobą zrobić. Nie chciał niepokoić chorej. Zauważył, że na osłoniętych kotarami łózkach tego oddziału leżało dwanaście kobiet, a przy nich siedzieli ich bliscy. Piskliwy dźwięk, jaki wydawała aparatura medyczna, i kroki pielęgniarki chodzącej po posadzce w butach na gumowej podeszwie powodowały, że czuł się tu jak w napelnionym helem balonie, który zaraz wybuchnie, bo coś się w nim zepsuło.

Chora kobieta miała jakieś sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt lat. Jej siwe włosy były krótko ostrzyżone. Na szafce obok metalowego łóżka stał plastikowy kubek i mały karton pełnotłustego mleka. Patty Holloway wzięła kubek do ręki i podała go matce. Staruszka objęła go drżącą ręką. Pielęgniarka przystanęła na chwilę, zapytała, czy wszystko w porządku i poszła dalej. Na sali rozległ się czyjś głośny płacz.

Patty odstawiła kubek z mlekiem.

- No dobrze. Teraz ty - powiedziała.

Nash podszedł do łóżka. Chora popatrzyła na niego uważnie swymi jasnymi, niebieskimi oczyma. Tima zszokował widok jej nosa. Ani grama ciała, tylko stercząca, pokryta skórą kość. Kobieta drżała cały czas.

- Nazywam się Timothy Nash, pani Holloway. Jestem sędzią. Kiedyś pracowała pani w firmie prawniczej mojego ojca.

Lynn Holloway uśmiechnęła się.

- Spodziewałam się, że pan przyjdzie.

- Wiem, że to było dawno i może pani tego nie pamiętać... - zaczął Nash,

a staruszka uśmiechając się powiedziała:

- Nie musi pan przepraszać. To nieważne. Niech pan popatrzy na mnie. To nie ma znaczenia.

Nash zawahał się. Pochylił się nad staruszką. Patty stała obok z założonymi rękami. Rozlegający się na sali płacz stawał się denerwujący.

- Pani Holloway, dlaczego zwolniono panią z firmy Terhune & Nash? Co było tego przyczyną?

- To ty mnie wyrzuciłeś. Wszystko odkryłam i ty mnie zwolniłeś. Przez trzy lata nie mogłam znaleźć żadnej pracy, ale nie musiałam się tym martwić, bo ktoś się o mnie troszczył.

- Ma pani na myśli te pieniądze?

- Tak. Dopilnowałam tego. Żeby wpływały na moje konto. Wyrzuciłeś mnie i nie mogłam znaleźć innej pracy, więc tak było sprawiedliwie.

-Zaczęła kaszleć, ale córka nie pochyliła się, by jej pomóc. Drobną ręką staruszki, zaciśniętą w piąstki niczym u małego dziecka, podniosły się do wąskiej szczeliny, jaką tworzyły jej cienkie wargi.

Nash przypomniał sobie człowieka, który kiedyś był u niego świadkiem w sprawie o morderstwo i cierpiał na nieuleczalny nowotwór mózgu. Tamten mężczyzna miał tak samo ostre rysy i pamięć jak szpilka. Lynn Holloway patrzyła na Tima i widziała Jacka Nasha z jego młodych lat.

- Lynn - zwrócił się do niej Tim. - Co o mnie odkryłaś?

- Dowiedziałam się, ile wzięłaś pieniędzy - odparła, uśmiechając się do  
249

zmarłej córki. - Czteryście dwadzieścia sześć tysięcy dolarów z funduszu powierniczego i było to na krótko przed moim przyjściem do firmy. Odkryłam to i wściekłam się. Byłeś przecież współwłaścicielem

firmy. Do kogo miałam z tym iść? Komu miałam zaufać? To było mnóstwo pieniędzy, a mój poprzednik był tak niedbały, że ci się to upiekło. Tyle pieniędzy, pomyślał Tim. Drobne, blade dłonie starej kobiety spoczywały na metalowych poręczach łóżka. Tim widział biegnące pod skórą cieniutkie, niebieskawozielone żyłki.

- I pewnie się bardzo zdenerwowałem, kiedy przyznałaś się, że wszystko odkryłaś? - spytał cicho Nash.

- O niczym ci nie powiedziałam.

Znow się zakasłała. Patty pochyliła się i otarła chusteczką ślinę, która wypłynęła z ust chorej. Przy łóżku wisiały karty chorobowe. Jakaś inna pielęgniarka też zatrzymała się na chwilę, po czym poszła dalej. Nie było sensu dłużej tu stać. Wszystko toczyło się własnym trybem.

Nash także położył dłonie na poręczach łóżka. Ona mi, to znaczy ojcu, niczego nie wyjawiała, przypominał sobie.

- Dlaczego nie przyszedłaś z tym do mnie, Lynn?

- Spędziłam w firmie dwa dni, paliłam papierosy i przeglądałam księgi.

Nie wiedziałam, co zrobić. Co z tym zrobić. Chodziło o współwłaściciela firmy, a ja dopiero zaczęłam pracę. Mogłeś iść do więzienia.

- Ale nie poszedłem - powiedział Nash.

- Powiedziałam o wszystkim panu Terhune'owi. Zrozumiał to. Obiecał, że sam się tym zajmie.

- I zajął się?

- Nie. Zwolniłeś mnie. Pan Terhune nic nie zrobił, żeby cię powstrzymać.

Ale skopiowałam wykazy z tamtych ksiąg. - Zaczęła wyliczać nazwiska obcych ludzi, które nic Nashowi nie mówiły, nazwy firm, które korzystały z usług Terhune & Nash. Takie mnóstwo pieniędzy. - Miałam te papiery,

więc zgodziłeś się mi płacić. Co miesiąc, przez te wszystkie lata. -

Uśmiechnęła się do córki. - Ciągle mam te dokumenty.

- Gdzie one są, mamó? - spytała po chwili Patty szorstkim głosem. Nash usiadł i czekał.

Staruszka poruszyła się.

- Mam te papiery.

Patty Holloway spojrzała na Nasha i wzruszyła ramionami.

- Ciągle mówi to samo. Pewnie je gdzieś ukryła. Nigdy nie udało mi się ich odnaleźć. Sama zapomniała, gdzie je ma. Przepadły - powiedziała gorzko, tonem pełnym rezygnacji.

Ale Nash jej nie wierzył.

- Gdzie są te dokumenty, pani Holloway? - zwrócił się do leżącej na łóżku kobiety. - One nie należą do pani.

- Owszem, należą.

- Ale gdzie są?

250

Na jej twarzy pojawił się drżący uśmiech. - Powiem ci później.

Nash pochylił się nad pełnym popiołu, nie używanym od lat kominkiem.

Patty Holloway skuliła się na sofie i wodziła wzrokiem po małym pokoju, w którym panował coraz większy nieporządek i rozgardiasz.

- Przykro mi, że pani matka jest chora - powiedział Nash, pocierając głowę. W tylnej jej części czuł tępy ból. - Ale takie jest życie.

- Jasne. Dlatego, że nie mam tych cholernych dokumentów. Przez całe życie wspominała o nich i drażniła się ze mną. To twoje studia. To twój ślubny prezent, mawiała o nich. Aż w końcu miała atak i papiery przepadły.

Patty dopiła swoje piwo.

- Nie mam pojęcia, co się właściwie stało - powiedział Nash. - To nie mój ojciec płacił pani matce. I nigdy nie miał aż takich długów, żeby potrzebować tyle pieniędzy.

- Może chciał je mieć na coś innego. - Patty zgmiotła puszkę i rzuciła ją w stronę kominka; puszka przeleciała jakieś dziesięć cali od Tima. - Żeby coś kupić. Sama nie wiem.

Nash znów rozejrzał się po pokoju, który, odkąd Lynn Holloway zachorowała, popadł w zaniedbanie i teraz wszędzie poniewierały się papiery, talerze, ubrania. Patty przyjechała tu z Los Angeles, chciała zająć się chorą matką i przejąć dziedzictwo, dzięki któremu przez tyle lat ich życie było łatwiejsze. Ale, pomyślał Nash, spotkało ją rozczarowanie i widać to było w każdym niedbale rzuconym papierku i brudnym talerzu.

- Nigdy nie mieliśmy niczego, co kosztowałyby aż tyle pieniędzy -mówił dalej Nash.

- Ja na pewno nie miałam.

- Pani matka się pomyliła.

- To pańska rodzina była winna - warknęła Patty Holloway.

- Nawet jeśli tak, to płaciliśmy wystarczająco długo. Popatrzyli w przeciwnych kierunkach. Patty splotła ręce.

- Nie wiem, co zrobić, żeby źródółko znów trysnęło. Myślałam, że kiedy ją pan zobaczy, to może obudzi się w panu poczucie obowiązku.

Nash roześmiał się.

- I miałbym płacić? Pozwalać, żeby dalej nas pani szantażowała?

- Widział pan, że z nią jest bardzo źle. Moja sytuacja jeszcze się pogorszy.

- Nic nie mogę na to poradzić - odparł.

Kiedy znalazł się znów na ulicy, oparł głowę o samochód. Światła w domu pani Holloway wygasły jedno po drugim i już tylko dochodzące z małego pokoju, migoczące szarobiałe światelko telewizora połyskiwało w ciemności na niskim żywopłocie. Nash poczuł się bardzo osamotniony,

. 251

zupełnie jakby przeżył trzęsienie ziemi i wielka góra oddzieliła go od tych, których kochał.

Uruchomił samochód i ujął kierownicę. Jako prokurator, a potem sędzia nauczył się jednej niezmiennej i niepodważalnej zasady. Ilekroć dostawał do ręki czyjeś akta czy raport policji, miał pewność, że ta osoba popełniła jakieś wykroczenie, choćby nawet na pierwszy rzut oka jej życie wyglądało całkiem niewinnie. Wiedział, że trzeba je dokładniej sprawdzić. Że należy zbadać tego kogoś bardziej wszechstronnie, a na pewno wyjdą na jaw jakieś przewinienia, może mandat albo dawno zapomniana odsiadka czy pobyt w areszcie. Akta tych, którzy dopuścili się jakiegokolwiek przestępstwa, przechowywane były czterdzieści, a nawet pięćdziesiąt lat, więc często po ich przejrzeniu czysty, zdawałoby się, życiorys robił się nieco zszargany, bo okazywało się, że jednak była w nim jakaś oddalona skarga o gwałt popełniony w którymś z południowo-zachodnich stanów albo puszczony dawno w niepamięć wyrok za rabunek z czasów tuż po drugiej wojnie. I nagle okazywało się, że w gruzach leży czyjaś reputacja, nadzieja i układy rodzinne. Niby nazwisko już inne i adresy często zmieniane. Ale stare sprawy nie przestawały istnieć. Zawsze ktoś mógł je wydobyć na światło dzienne.

I w tej kwestii dla nikogo nie było wyjątków. Nikt nie był nietykalny.

Zawsze coś się dało znaleźć.

Rozdział trzydziesty czwarty.

Następnego dnia po cotygodniowym spotkaniu sędziów Nash poszedł z Susanną Jardine do jej gabinetu. Mieli właśnie za sobą tajne głosowanie i Ruth Frenkel jednogłośnie została wybrana sędzią głównym. Wynik przyjęto oklaskami. Kalbacher z sardonicznym uśmiechem na twarzy skłonił się przed nią i wręczył jej swój młoteczek. „Oby pomagał ci działać sprawnie i szybko” - powiedział. Ruth zaprosiła wszystkich do klubu Pioneer na przyszły tydzień, by uczcić swój sukces.

Nash pomyślał, że za tydzień jej może już nie być wśród nich. Powiódł wzrokiem po obecnych. I Peatlinga także. I Franka Wisota, na którym dłużej zatrzymał spojrzenie - palił sobie spokojnie i mrugał do niego.

- Cieszę się, że jadę na tę konferencję - powiedział Nash do Jardine.  
-Muszę się stąd wyrwać.

Jardine podpisywała pozostawione jej przez sekretarkę zarządzenia sądowe. Popijała przy tym herbatę. Rozmawiali o tym, kto pozwala, by prawnikom uchodziło na sucho takie przebieranie w sędziach - woleli zawsze tych łagodniejszych niż surowych - i o tym, z kim spotyka się sekretarka. Podzielili się jeszcze innymi sądowymi plotkami. W końcu Jardine skończyła podpisywanie zarządzeń i, biorąc do ręki tokę, wstała z krzesła, gotowa do rozprawy.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczęła, wkładając tokę, Nash pospieszył z pomocą. - Ludzie plotkują na twój temat, Tim.

Nash nie mrugnął nawet okiem, kiedy na nią spojrział.

- A co mówią?
- Nic konkretnego. Tylko rzucają aluzje i żartują. Ale to wygląda poważnie. Prowadzisz jakieś nielegalne interesy.
- Ja? Chyba nie mówisz tego serio?
- Powtarzam ci tylko to, co słyszałam.
- Od kogo? Ten gmach to chyba wylęgarnia plotek. To wszystko jedna wielka bzdura.

253

Jardine skinęła głową.

- Też tak pomyślałam. Ale chciałam, żebyś o tym wiedział. Te plotki rozpuszczają policjanci i niektóre osoby z tego budynku.

Zatoczyła ręką krąg, wskazując sąsiednie gabinety.

- Ale były jakieś konkretne zarzuty? Chciałbym wiedzieć jakie. Poza tobą nikt mi o tym nie wspominał.
- Och, ci, co mówią, wyrażają się bardzo niejasno. W każdym razie chodzi o to, że podobno w czasie rozprawy skłaniasz się na jedną albo drugą stronę. No wiesz. Że załatwiasz sprawy na boku.

Młodzieńcza, wciąż jeszcze opalona twarz Jardine była bardzo poważna.

- Bzdura, Susie. Czy wyglądam na kogoś, kto ma dodatkowe dochody?
- Jasne, że nie. Myślę, że główną przyczyną tych plotek było to, że Ruth i Harold ubiegali się o jedno stanowisko. Takie gadanie tylko dodało życiu pikanterii. W czasie kampanii plotki rodzą się jak grzyby po deszczu.
- A potem przycichają. Marzenie Ruthie spełniło się. A Harold zostaje z nami. I dzięki Bogu.

Oboje roześmieli się.

- Tyle musimy tu znosić. Mam teraz na głowie tych obserwatorów



-skarżyła się Jardine. - Chyba prawnicy? Bardzo się nimi denerwuję.  
- Zaproś ich do swego gabinetu - doradził Nash. - Oni uwielbiają porozmawiać. Ilekroć widzę jakiegoś u siebie na rozprawie, zabieram go do siebie i ucinamy sobie pogawędkę. Jeszcze nigdy mnie nie obsmarowali.

- Świetny pomysł. Tak właśnie zrobię. Nash popatrzył na zegarek.

- Czas już sprowadzić tych osłów, o ile szeryfowie pracują.

- Spróbuj pochlebić trochę strażnikom - powiedziała, śmiejąc się. - Moi oskarżeni zawsze zjawiają się na czas, nawet jeśli mają grypę.

- Dla ciebie są uprzejmi - odrzekł Nash.

Nie miał ochoty wracać na rozprawę. Wiedział, że widok Escobara tylko mu przypomni, że do końca operacji pozostało niewiele czasu. A wraz z nią miała przestać istnieć tajemnica, którą odkryła Lynn Holloway; to tak jakby rozsadzić starą, wielką skałę.

- I nie słuchaj, co ludzie gadają - powiedział Nash. - Bo nie ma w tym słowa prawdy. No, chyba że mówią coś dobrego.

- Wszyscy lubimy komplementy - odparła Jardine, śmiejąc się.

Ten ranek ciągnął się Nashowi okropnie. Nie mógł się dodzwonić ani do Janice, ani do Roemera, a to czego się dowiedział przytłoczyło go.

Zachowanie Escobara w sądzie nic się nie zmieniło - był jak zwykle bystry i niegodziwy. Przysięgli nawet uważnie słuchali zeznań jego świadków.

Escobar przyjął dość niebezpieczną taktykę i powołał szkolnych psychologów, siostrzenicę i dwóch sąsiadów Evana Soiki, by opowiedzieli o jego

254

niełatwym dzieciństwie. Benisek natomiast mógł potem pokazać

przysięgłym, jakim to draniem był oskarżony.

Nash śmiał się w duchu, kiedy Benisek stanął przed pulchną, niebieskooką siostrzenicą Soiki.

- Czy oskarżony nigdy pani nie okłamał? - zapytał.
- Nigdy.
- Zawsze mówił prawdę?
- O ile pamiętam, tak. To miły człowiek.

Escobar spod w półprzymkniętych powiek zerknął na ławników, a potem na Nasha. On także wiedział, do czego zmierza Benisek.

- A czy zdziwiłaby się pani, słysząc, że pani wujek, Evan Soika, wpisał nieprawdziwe dane na formularzu podaniowym o wypożyczenie samochodu?

Kobieta popatrzyła na Soikę.

- Nie wiedziałam o tym.
- No cóż, a czy zmieniłaby pani zdanie na temat wujka, dowiedziawszy się, że skłamał za pieniądze?

Nash zastanawiał się, jak będą wyglądały procesy sędziów, przeciwko którym miał dowody w postaci kaset wideo. Przecież na takie pytania, jakie padają teraz, będzie odpowiadać mnóstwo ludzi - prawnicy, biznesmeni, duchowni - którzy ufali tym sędziom. Będą zszokowani i zagubieni, poczują się zdradzeni. Zwłaszcza przez Franka Wisota. To oskarżenie wielu zrani najbardziej.

Siostrzenica Soiki uparcie potrząsała głową.

- Wobec mnie zawsze był uczciwy. Escobar powoli skinął głową. Benisek przełożył jakąś kartkę.
- A czy wiedziała pani, że Evan Soika siedział jakiś czas w więzieniu za

strzelanie do człowieka?

- To nie była jego wina. Pistolet wystrzelił przypadkowo.
- Czy to oskarżony tak pani powiedział? Skinęła głową.
- Tak. I taka jest prawda.
- Czy dlatego, że ze wszystkich ludzi na świecie jest pani jedyną osobą, której Evan Soika nie okłamał?

Escobar podniósł rękę i warknął:

- Sprzeciw. To karygodne kłamstwo.

Soika burknął coś ze złością na Escobara, a potem na Beniska, ale prokurator zachował niewzruszony spokój.

- Wycofuję stwierdzenie, Wysoki Sądzie - rzekł Benisek.
- Stwierdzenie zostało wycofane, panie Escobar - powiedział Nash.

Pomyślał, że powinien uważnie śledzić poczynania Escobara i Soiki, bo zamknięcie operacji i zakończenie procesu mogą nastąpić bardzo szybko, jedno po drugim.

Przyszło mu do głowy, że wiele jest spraw, których nie można wycofać

255

tak po prostu, jak pytania w sądzie. Kiedy już raz się je wywlecze na światło dzienne, zostają w nim na zawsze.

W ciągu kilku następnych dni Nash spędzał wszystkie swoje przerwy na lunch w bibliotece prawniczej w podziemiach sądu. Przesiadywał tam często także do późna w nocy, a kiedy już zebrał dostatecznie dużo materiałów, udał się do Okręgowego Biura Rejestrów i skorzystał z opasłej księgi, odnotowującej każdą dokonaną w Santa Maria transakcję od roku 1867. Pracujący tu urzędnicy kręcili się bez przerwy między półkami i, popychając przed sobą plastikowe pojemniki, przeglądali sterty starych

papierów i ksiąg.

Poza procesem tylko jedna rzecz zakłóciła Nashowi wędrówkę po kartach wiekowych rejestrów.

Mianowicie Janice zgodziła się, żeby prowokację wobec Dwighta Peatlinga przeprowadzić w sądzie, w gabinecie Nasha. On sam uważał, że Peatling, który sędzią był od niedawna, w miejscu urzędowym okaże się bardziej podatny na propozycje.

- Nie znamy się na gruncie towarzyskim - tłumaczył Janice Nash.

-Gdybym ni stąd, ni zowąd zaproponował mu spotkanie gdzieś na mieście, mogłoby mu się to wydać dziwne.

- Właśnie w tego typu kwestiach ty musisz decydować, Tim - powiedziała Janice.

Tym razem Nash działał szybciej. I teraz także Vismara nie brał udziału w spotkaniu. Jego obecność w gabinecie sędziego nie wyglądałaby naturalnie. A Tim chciał jak najprędzej uporać się z zadaniem i powrócić do swoich rejestrów bez względu na to, co miał w nich znaleźć.

Nigdy nie ma tak, żeby ślad po czymś zupełnie zaginął, pomyślał, to niemożliwe. Papiery mogą się gdzieś zapodziać, ale nie przestają istnieć. No i przecież jest jeszcze pamięć.

Rano Testa sprawdził funkcjonowanie sprzętu w gabinecie Nasha, a w południe, gdy w sądzie robiło się cicho i spokojnie, Tim wprowadził Peatlinga do swego gabinetu i demonstracyjnie zamknął za sobą drzwi. Patrząc teraz z bliska na swego gościa, Nash zdziwił się, jak młodo on wygląda; przypominał bardziej stażystę niż sędziego. Szybko przeszedł do rzeczy, nie przejmując się tym, jaka będzie odpowiedź Peatlinga.

- Ile? - spytał Peatling z kamienną twarzą.

- Dwadzieścia tysięcy za umorzenie sprawy o naruszenie zasad zwolnienia warunkowego.
- A jest szansa, żeby dał dwadzieścia pięć?
- Sądzę, że tak. Ten facet bardzo nie chce trafić do pudła. Sędzia skinął głową, uśmiechnął się. W ustach trzymał miętówkę.
- Dobra, niech będzie za dwadzieścia pięć.

Nash nie potrafił się powstrzymać od zadania dość ryzykownego pytania.

256

- Nie męczy cię ciekawość, Dwight? Nie dziwisz się, dlaczego ci to zaproponowałem?

Peatling zaprzeczył ruchem głowy.

- Przypuszczam, że właśnie tak załatwia się różne sprawy. Przecież ty znacznie lepiej orientujesz się w tutejszych zwyczajach niż ja.

- Może nie.

- Posłuchaj, Tim. Kiedy zajmowałem się prawem podatkowym, braliśmy różne prowizje. I to także traktuję jako swego rodzaju prowizję. Nie jesteśmy wystarczająco dobrze opłacani, więc w pewien sposób sobie to wynagradzamy. Nie ma w tym żadnego wielkiego przestępstwa. To tylko sprawa o narkotyki. Nie chodzi o zabójstwo.

- Wszyscy będą zadowoleni - stwierdził Nash.

- Właśnie tak na to patrzę - odparł Peatling. - Nie zrobiłbym tego, gdybym mógł w ten sposób kogoś skrzywdzić.

Nash pomyślał, że ten chłopak nie zdaży nawet przejrzeć dokumentów sprawy, bo operacja niedługo się skończy. Twoja kariera już się skończyła, dumiał Tim wciąż z pogodną miną na twarzy, pójdiesz do więzienia, tylko jeszcze o tym nie wiesz. Ale nic go to już nie obchodziło.

Peatling umówił się z nim, że odbierze pieniądze w garażu w podziemiach sądu. Nash pomyślał, że Testa na pewno umieści tam swoją furgonetkę, żeby wszystko sfilmować. Ta rozmowa była znacznie łatwiejsza niż z Ruth Frenkel albo z Frankiem Wisotem; była niemal bezosobowa. Tim zapomniał o Peatlingu zaraz po jego wyjściu. Musiał zejść na dół do biblioteki prawniczej i odgrzebać przeszłość, która czaiła się gdzieś w ciemności. Peatling był dla niego jedynie częścią stosunkowo nieistotnej terażniejszości.

Po rozprawie Nash znalazł w bibliotece stary przewodnik po firmach prawniczych Martindale-Hubbella, a w nim wzmiankę o Terhune & Nash i listę pracowników. Pamiętał, w którym roku ojciec odszedł, zaczynając prywatną praktykę i przypomniał sobie, że była wtedy jesień, bo on i Dick spędzali całe popołudnia, grając w piłkę na boisku szkoły średniej El Camino. Wspomnienie tamtych trudnych dni rysowało się niejasno, ale pamiętał, że w domu wtedy wrzało, bo ojciec wciąż był wściekły, a matka starała się zachowywać jak gdyby nigdy nic. Razem z bratem doszli więc do wniosku, że lepiej będzie bawić się poza domem i wracać do niego jak najpóźniej. A teraz przeszukiwał stare papiery i księgi i coraz to składał zamówienia u kręcących się po sali pracowników, by przynosili mu pożółkłe dokumenty z tamtego okresu, z jesieni owego roku. Wiedział, jakiego rodzaju klientów obsługiwała firma Terhune & Nash - rekrutowali się ze sfer biznesu i handlu nieruchomościami - i zdawał sobie też sprawę z tego, że jeśli Lynn Holloway odkryła defraudację na taką skalę, to transakcja z klientem musiała opiewać na niebotyczną sumę.

Kiedy schodził do sądowych podziemi, często napotykał Petenta, który

przeegrany, lecz pełen godności, z walizeczką w rękę, szedł do biblioteki, by znaleźć tam sposób odwetu za krzywdy, które, jak sądził, zostały mu wyrządzone.

Nash zastanawiał się, czy zło, które sam próbuje wyśledzić, jest prawdziwe, czy istnieje tylko w jego wyobraźni.

W nocy starał się spać. Myślał czasem o Benie. Zarezerwował miejsce w samolocie i ustalił już z siostrą Kim miejsce i czas spotkania. Zamierzał zobaczyć się wkrótce ze swoim synem i miał rozpaczliwą nadzieję, że nic tego nie udaremni.

Przeglądając księgi w Biurze Rejestrów, z dala od przeznaczonego dla czytelników stołu, przy którym aż się roilo, zagubiony w labiryncie pełnych dokumentów pólek, Nash wiedział więcej niż Lynn Holloway.

Wiadomo było mu na przykład, że Jack Nash nigdy nie był bogaty. Nie zdarzyło mu się kupić czegoś bardzo drogiego dla siebie, żony czy synów.

Przez te wszystkie lata, kiedy był sędzią, mieszkał w skromnym domu. Nie uprawiał hazardu. Nie robił żadnych ryzykownych inwestycji. I sam zdołał zapracować na to, by zapewnić wykształcenie swoim dwóm synom.

Wyglądało więc, rozmyślał Nash, że nie miał worka pełnego skradzionych pieniędzy. Ale nigdy nic nie wiadomo. Przypomniał sobie tamto zdjęcie, na którym ojciec siedział zgarbiony. I już wiedział.

A po kilku dniach grzebania w papierach, tak jak tylko może syn z właściwym sobie sposobem widzenia i wiedzą o ojcu, Nash znalazł to, czego szukał.

I oto trzymał w rękę czarne, stare i szeleszczące - podobne do prześwietleń rentgenowskich - fotostatyczne odbitki aktów prawnych. Wszystko było odnotowane i zarejestrowane i czuł, że sprawa jest całkiem jasna.

Przez blisko sześć lat Terhune, Marks, Heifitz i Nash reprezentowali firmę budowlaną McKay & McKay, prowadzoną przez dwóch braci, Lanny'ego i Nevina. Połowa śródmieścia była dziełem McKayów - sklepy, mieszkania, wielkie betonowe parkingi i ulice handlowe. Trzy najwyższe w mieście budynki liczące sobie po czterdzieści pięter też wybudowali McKayowie. Lanny już nie żył, ale Nevin nadal był ich współwłaścicielem, choć przeniósł się do Palm Desert.

Siedząc na tyłach ogromnej sali Biura Rejestrów, Nash rozłożył dokumenty na szarym stoliku, jakby przygotowywał się do sądowej rozprawy. Zastanawiał się, jak też przedstawiłby tę sprawę sędziom przysięgłym, wymazując z pamięci konkretne nazwiska i emocje, jakie budziły. Odczuł niemalże atmosferę, która panuje na sali rozpraw. W czasie procesu bada się zdarzenia, które trwały zaledwie kilka sekund, na okrągło poddaje się je drobiazgowej analizie, i tak mijają dni i tygodnie. Przebieg rabunku, który zajął sprawcy dziesięć sekund, świadkowie odtwarzają przez ponad dwa tygodnie. A trzysekundową strzelaninę opisywano i osądzano dłużej niż miesiąc.

Pomyślał, że on sam próbuje sprowadzić wydarzenia całych lat do paru zaledwie chwil. Odwraca porządek, którego przestrzegał przez całe swoje życie.

Zatrzymała się obok niego jakaś pracownica biblioteki i, spoglądając na jego biurko, spytała uprzejmie:

- Czy ma pan wszystko, czego pan potrzebuje, panie sędzio?
- Tak, znalazłem to, czego szukałem - odrzekł, nie podnosząc wzroku znad papierów.

Kobieta ruszyła dalej.



Największa we współczesnej historii Santa Maria sprzedaż nieruchomości miała miejsce pod koniec roku 1961, kiedy to Lenny i Nevin przedstawili wielki plan przebudowy północnych obszarów miasta, zwanych Sektorem C i obejmujących główną część obecnego śródmieścia. Teraz mieściło się tu serce Santa Maria z bardzo dużą liczbą mieszkańców. Ale w 1961 roku znajdowało się tylko kilka starych wysypisk śmieci, rzadko wykorzystywana bocznica kolejowa i opuszczona oczyszczalnia wody. McKayowie, którzy na starych zdjęciach stali na tym pustkowiu uśmiechnięci, potężni, ubrani w ciasne czarne garnitury, mieli tu postawić eleganckie hotele, świetnie funkcjonujące banki i wytyczyć wysadzanymi drzewami ulice.

Do realizacji tego projektu niezbędne były ogromne pieniądze, a McKayowie nie mieli wiele gotówki. Sprzedaż i rozbudowę finansowali z transakcji na giełdzie i tworząc rozmaite spółki o ograniczonej odpowiedzialności. Bracia sprzedawali pewną ilość udziałów w rozbudowie Sektora C, zwanego Centrum Koronnym, potem je odkupowali, zyskując w ten sposób coraz więcej pieniędzy i gromadząc gotówkę, której wymagały banki.

Nash przejrzał stosik fotostatycznych odbitek. Przy każdej transakcji widniały nazwiska Terhune'a i Nasha. Najważniejsza jednak spółka, która zakupiła trzy procent udziałów w Centrum Koronnym, powstała tuż przed tym, jak McKayowie sprzedali jeden ze swoich śródmiejskich drapaczy chmur. Po tej sprzedaży wartość udziałów gwałtownie podskoczyła, niemal się podwajając.

To tutaj jest pies pogrzebany, pomyślał Nash, odsuwając dokumenty. Ktoś dobrze poinformowany wiedział, kiedy bracia zamierzają sprzedać

budynek i wykupił udziały tuż przed tą sprzedażą. A trudno o kogoś lepiej poinformowanego niż reprezentująca McKayów firma prawnicza, a w niej ktoś lepiej by się do tego nadawał, jak nie zawsze gotów do ataku Jack Nash, żądny wyrobić markę sobie i swojej firmie.

Jednakże nim upłynął tydzień od tego brzemiennego w skutki zakupu, rzeczona spółka odsprzedała swoje udziały Centrum Koronnemu i to po starej cenie. Nie zarobiła więc na tym ani centa.

Takiego obrotu sprawy można by się spodziewać, gdyby wyszło na jaw, że zakupu udziałów dokonał ktoś dobrze poinformowany i zdefraudował w tym celu czterysta tysięcy dolarów. Jeśliby potem oddał całą sumę, nie zostawiając sobie żadnego zysku, nikogo by to specjalnie nie obchodziło. Nikt by tej transakcji nie sprawdzał.

I

258

259

Wszyscy pewnie by o niej zapomnieli, ale nie kierownik administracji, który dopiero co rozpoczął pracę i od razu odkrył, że główny udziałowiec firmy, pan Nash, był członkiem funduszu powierniczego. I chociaż pieniądze na fundusz zostały zwrócone, to przestępstwo było tu ewidentne. Nash zamknął księgi, odłożył dokumenty i wstał zza biurka. Kark miał sztywny, a w ustach mu zaschło. Na zegarze dochodziła druga, więc czas było wrócić na górę i wznowić proces Soiki.

Wsiadł do pierwszej windy. Zupełnie nie wiedział, co ma zrobić i ledwie odzywał się do ludzi, którzy zagadywali go po drodze do gabinetu. Raz się jednak uśmiechnął. Wtedy mianowicie, gdy uświadomił sobie, że wszystkie te dokumenty, dowody winy ojca, leżały cały czas pod jego

stopami. Właśnie tutaj, w sądzie.

Rozdział trzydziesty piąty.

Czy pan mnie słucha, panie sędzio? - powtórzył pytanie Escobar. Nash spojrział na niego.

- Ależ oczywiście.

- Miałem inne wrażenie. - obrońca szybko przetarł oczy dłońmi. - Nie będę przedstawiał zasadniczych tez mojej obrony przed pańskim wyjazdem na konferencję sędziów.

- Dlaczego nie?

- Bo pan nie słucha.

Zamykając za sobą drzwi do gabinetu, Nash widział, jak na telefonie połyskują światelka. Beniskowi kazał zaczekać w korytarzu, bo obrońca miał dla sędziego jakieś prywatne informacje, których ujawnienie przed prokuratorem mogłoby zakłócić przebieg procesu Soiki.

Nash popatrzył na uprzejmą, pewną siebie twarz Escobara. No, zaczynaj, popędził go w myślach. Powiedz to wszystko na głos, Vince. Odkąd Testa zainstalował tu mikrofony, każde słowo będzie świetnie słychać. I cokolwiek powiesz, zostanie nagrane przez ukryty w moim biurku magnetofon. A potem oddam kasetę Teście. I skreślą cię z listy adwokatów. Uśmiechnął się na tę myśl.

- Powołam tylko kilku mniej ważnych świadków - zaczął Escobar. -A kiedy wrócisz, no cóż, wtedy urządzimy to tak, że zatwierdzisz mój wniosek o unieważnienie procesu z przyczyn proceduralnych. Może być

niewłaściwe przedstawienie sprawy przez prokuratora. - Zachichotał.

- Uważasz, że zatwierdzę?

- Możemy naturalnie pomówić o tobie i Vismarze. Sądzę, że tę sprawę już wyświebliłem. Rozmawiałem z mnóstwem ludzi.

Zafałszowane przestępstwo, pomyślał Nash. Postępek ojca był jak najbardziej namacalny i tak mocno pachniał oszustwem, że dało się je wyczuć nawet po latach.

261

- Czy mam rozumieć, Vince, że grozisz wszczęciem przeciwko mnie postępowania sądowego, o ile nie spełnię twoich żądań?

Nash pochylił się nad biurkiem w jego stronę. A Escobar uśmiechnął się, stukając cienkim pozłacanym ołówkiem w obcas swego buta.

- Nazwijmy to raczej ugodą.

Nash chciał, żeby Escobar powiedział to wszystko na użytek magnetofonu. A potem zadzwonił do Terhune'a.

Obława nie była duża. Valles, Witwer, Chavez, Enfante i dwóch nowych agentów z Wydziału Narkotyków przeprowadziło akcję, w czasie której przeszukali niewielki dom na przedmieściach miasta, znajdując w sypialni małe laboratorium do wyrobu metamfetaminy i zaarrestowali przebywających w nim ludzi.

- Oszukałeś nas, Elvis - powiedziała do Witwera zakuta w kajdanki i prowadzona przez Chaveza Erin.

- Taką mam już kłamliwą naturę - odparł Witwer.

Wszyscy policjanci mieli na sobie jasnozielone kamizelki z napisem „Policja”. Laboranci w ochronnych rękawiczkach zabrali się od razu do

pakowania zlewek, próbek i chemikaliów znalezionych w brudnej sypialni.

Shiffley z bronią w ręku chodził po domu i zaglądał do każdego pomieszczenia. Valles przyglądał mu się. Tymczasem zaaresztowanych - trzech mężczyzn i dwie kobiety - umieszczono w sześciu czekających na dole radiowozach. Wzdłuż drewnianych płotków, którymi nie wiedzący co się dzieje funkcjonariusze ogrodzili dom, zebrał się tłum gapiów.

- Niezła zdobycz - stwierdził optymistycznie Shiffley, patrząc na małe paczuszki narkotyków, które miały służyć jako dowody rzeczowe.
- Chciał pan wziąć udział w prawdziwej obławie - odezwał się Valles. Nie podobało mu się, że Shiffley tak wymachuje rewolwerem.
- Czasami trzeba ruszyć się zza biurka. Żeby nie stracić wprawy - odparł Shiffley.

Zadaniem Witwera było dopilnowanie, by Enfante i inni nie wchodzili do głównej sypialni na tyłach domu, dopóki Valles nie pokaże jej Shiffleyowi. W kuchni, w której ci dwaj akurat się zatrzymali, zadzwonił telefon.

- Niech raczej pan odbierze - zasugerował Valles.

Przełożony wzruszył ramionami i, nie wypuszczając z rąk rewolweru, podniósł słuchawkę.

- Tak? Nie. Harry i Erin wyszli do sklepu. A czego chcesz? Pewnie, że mamy towar. - Na jego twarzy pojawił się głupi uśmiech. Zasłonił dłonią słuchawkę i powiedział do Vallesa: - Jakiś facet imieniem Albert chce natychmiast kupić trochę tego towaru. Ile oni biorą?
- Niech mu pan powie, że dwadzieścia dolców za uncję.

Shiffley znów się uśmiechnął i podał cenę swemu rozmówcy. A po chwili szepnął do Vallesa:

- Ale on mówi, że ma tylko osiemnaście dolców.

Valles chciał jak najszybciej doprowadzić szefa do głównej sypialni.

Wiedział, że Witwer na pewno czeka już, żeby dać sygnał.

- Dobra, niech pan powie, że opuści mu pan te dwa dolary. Zaraz tu będzie.

Przechodzący obok Chavez zatrzymał się i podpowiedział Shiffleyowi:

- Hej, szefie, niech mu pan powie, że towar sprzeda mu Tiffany. To przyjaciółka Erin.

Shiffley natychmiast przekazał wiadomość i szybko zakrył słuchawkę, bo zaczął się śmiać.

- On pyta - chichotał - on pyta, jak to możliwe, żeby w Santa Maria było tylu Tiffanych.

- Szefie i ty, Rog, chodźcie tutaj - rozległo się wołanie Witwera z sypialni.

- Ja pójdę - zaofiarował się Chavez.

Shiffley odłożył słuchawkę, a Valles ręką odprawił Chaveza.

- Mamy ich. - Wchodząc do sypialni, Shiffley schował broń do kabury i zaczął radośnie zacierać ręce. - Przyprowdzi ze sobą paru kumpli - cieszył się. - Wprawdzie to tylko detaliczni klienci, ale ziarnko do ziarnka, no nie, chłopaki? - Poleciał policjantom, żeby na razie usunęli płotki sprzed domu, kazali gapiom rozejść się i sami też się pochowali. - Nie chcemy przecież spłoszyć naszych ptaszków.

On się naprawdę dobrze bawi, pomyślał z kwaśną miną Valles.

Nieświadomie dotknął ręką swojej niebieskiej czapki baseballowej, w której ukryty miał mikrofon; magnetofon natomiast znajdował się w samochodzie, którym przyjechał razem z Witwerem. Sprzęt dostali z

Departamentu Sprawiedliwości. Był o wiele lepszy niż ten, którego używali w akcji Projekt.

- O co chodzi? - zwrócił się Shiffley do Witwera.

Valles zamknął za sobą drzwi sypialni. Na podłodze leżały trzy materace, a na nich brudne i pogniecione prześcieradła, puste butelki po alkoholu, resztki jedzenia i ubrania.

- Znalazłem trochę gotówki, szefie - powiedział Witwer, zerkając na Vallesa.

Zastępca prokuratora generalnego życzył sobie, by podążali tym właśnie tropem. Chciał, by sprawdzili, ile osób powiązanych jest z Vismarą.

„Skoro nakryliście skorumpowanego sędziego, powiedział, to upewnijcie się, czy znajdzie się jakiś przekupny policjant". Był tak podekscytowany tą sprawą jak Shiffley, kiedy rozmawiał przez telefon z narkomanem.

- Gotówka? Pewnie z utargu - stwierdził, rozglądając się dokoła. Valles stał na tyle blisko niego, by mikrofon mógł wychwycić każde słowo.

Witwer ściągnął nieco prześcieradła i wyjął kilka zwitków banknotów, obwiązanych białym sznurkiem.

- Same setki. Jest tego ze cztery koła.

263

- Nieźle. Wpisz to na listę dowodów.

Shiffley odwrócił się, a Valles stanął mu na drodze.

- A musimy, szefie? - spytał.

- Jasne, że tak.

- Co do centa?

Shiffley popatrzył na niego, marszcząc brwi.

- Owszem, co do centa, Valles. A co myślałeś? Witwer trzymał rolki banknotów, ważąc je w dłoniach.

- A gdybyśmy tak zaksięgowali tylko tysiąc, a pozostałe trzy podzielili między siebie?

Przez chwilę Shiffley milczał. W pokoju było ciemno, bo okna zasłonięte były kocami, a w wilgotnym powietrzu unosił się ciężki odór brudnych ludzkich ciał. Policjant oparł ręce na biodrach.

- Zaksięgujcie wszystko - powiedział powoli. - Nie chcę nawet pamiętać, że chodziło wam po głowie takie paskudztwo.

- To tylko między nami, szefie. Tysiączek na łebka. Te dranie nic nie będą gadać - naciskał Valles. Bardzo chciał, żeby Shiffley wziął te pieniądze.

- Macie zgłosić się w moim gabinecie po zakończeniu akcji - warknął i, wyciągając rękę, dodał: - Daj mi te pieniądze. Sam je zaksięguję.

- Zapomnijmy o tym, szefie, dobrze? Tak tylko pieprzyliśmy - powiedział Witwer, podając banknoty.

Valles nie odezwał się ani słowem, kiedy szef wychodził z sypialni. A potem wybuchnął:

- Cholera! Nie poszedł na to.

- Ale weźmie się za nas.

- Nic przecież nie zrobiliśmy. Tylko go drażniliśmy, bo dawno już nie był w akcji - powiedział Valles, kopiąc ze złości materac. - A niech to jasna cholera, tak go chciałem przyskrzynić. Ale dobra. Spróbujemy kiedyś jeszcze raz.

- Mam już tego piekielnie dosyć, Rog - westchnął Witwer.

- Musimy znowu pogadać z Vismarą. Może rzuci jakimś nazwiskiem.



- Wstrzymaj się, faceci z Prokuratury Generalnej są zadowoleni. Mamy sędziego. Nie musimy im już niczego udowadniać.

Ale ja chcę coś udowodnić, pomyślał Valles. Nie obchodziło go, czy prokurator generalny stanu był usatysfakcjonowany przyłapaniem nieuczciwego sędziego. On sam chciał znaleźć dowody obciążające człowieka, który po pierwsze naraził go na niebezpieczeństwo, a po drugie, poprzez swoje kontakty z Vismarą i Nashem, sam na pewno był skorumpowany.

Wychodząc z pokoju, kopnął kolejny materac.

- Coś ci powiem, Jerry. Przeliczę te pieniądze i upewnię się, że ten sukinsyn zaksięgował całe cztery tysiące.

Rozdział trzydziesty szósty.

Zamachnąwszy się szeroko, Terhune uderzył piłeczkę, posyłając ją w kierunku Nasha, który jęknąwszy z wysiłku odbił ją z backhandu. Terhune próbował jej dosięgnąć, ale mu się nie udało i piłeczka z głuchym odgłosem spadła na czerwony gliniany kort.

- Świetny mecz, Timothy. Masz ochotę na jeszcze jeden gem? Nash potrząsnął przecząco głową i opuścił raketę.

- Nie. Napiłbym się czegoś.

- Miły koniec przyjemnego dnia.

Ruszyli kamienną ścieżką w stronę baru w Klubie Sportowym Mount Castellano; po drodze napotkali wiele kobiet i mężczyzn w białych strojach do tenisa. Zewsząd dobiegały wesołe pogawędki, bo dzień pracy

już się skończył, nadeszła pora relaksu. Terhune, który wcale się nie spocił, zaczął skubać taśmę osłaniającą uchwyt rakiety.

- Mógłbym ci pomóc w przystąpieniu do Klubu - powiedział. - Kolejka na liście oczekujących wyciągnęła się już do dwóch lat.

- Nie mogę sobie pozwolić na opłacenie składek członkowskich.

- Nie są specjalnie wysokie. I w dużym stopniu można je sobie odliczyć.

Po drugiej stronie wyłożonego kamieniem barowego tarasu, zastawionego różnokolorowymi parasolami, które osłaniały stoliki, rozciągało się wspaniałe pole golfowe, po którym powoli przemieszczały się małe postacie. Nash i Terhune zajęli stolik przy kamiennym ogrodzeniu, a kelner przyjął od nich zamówienie. Tim położył raketę na niskim murku. A Terhune wypuścił powietrze z płuc powoli, jakby wykonywał właśnie ćwiczenia oddechowe. Pomachały do niego jakieś dwie przechodzące pary, a on odpowiedział im tym samym.

- Widziałem się z Lynn Holloway - zaczął Tim, splatając ręce. - I przejrzałem wszystkie stare dokumenty. Płacił jej pan mnóstwo pieniędzy i to przez długi czas.

264

265

Terhune podrapał się po udzie i rozłożył lnianą serwetkę na skrzyżowanych kolanach.

- Pieniądze - powtórzył tylko.

- Chciałem najpierw poznać wszystkie fakty, a potem z panem pogadać.

Nigdy bym się o tym nie dowiedział, gdyby nie pański przyjaciel, Roemer.

- Pracujesz dla niego? Nash przytaknął skinieniem.

- Domyślam się, że nie rozmawiałeś o tym z ojcem.

- Nie. Właściwie nie.
- A z matką?
- Ona uważa, że w tej sprawie chodzi wyłącznie o was dwóch - odrzekł Nash.

Czuł lekki powiew wiatru na wilgotnej od potu skórze. Wewnątrz baru nieduża orkiestra zaczęła grać sentymentalne melodie, a jej powolne dźwięki mieszały się w jedno z wesołą paplaniną gości siedzących na tarasie.

Kiedy kelner przyniósł drinki, Terhune podpisał rachunek. Potem, niby w milczącym toaście, podniósł swoją szklaneczkę.

- Nie chodziło wcale o Jacka - powiedział łagodnym głosem. - Głównie o firmę, o jej reputację. Bardzo ceniłem sobie dobre imię firmy, Timothy. Ale w dużej mierze taką właśnie, a nie inną decyzję podjąłem ze względu na twoją matkę.

Nash nie dotknął nawet szklanki - nie mógł.

- Dowiedziałem się wielu rzeczy, których w ogóle nie chciałem słyszeć. O ludziach w Santa Maria. O przyjaciółach. O rodzinie. Czy muszę wiedzieć jeszcze więcej? - spytał szorstkim głosem.

- To zależy tylko od ciebie. Jeśli chodzi o mnie, to ta decyzja nie była specjalnie trudna. Owszem kosztowna, lecz nie kłopotliwa.

- Kochał ją pan. Ale powiedziała mi, że nic między wami nie było.

Terhune dopił swego drinka i odłożył serwetkę na stół, gdzie wiaterek unosił ją lekko.

- Nie, nie w tym sensie. Za nic nie zamierzam przeproszać i niczego w swoim życiu nie żałuję. Miałem dużo szczęścia. I zaliczam do niego znajomość z Hilary.

Nasha ogarnęło uczucie złości pomieszanej z ulgą, bo wszelkie wątpliwości i plotki zostały wyjaśnione. Tylko czy prawda doda mu ducha? Sam już nie wiedział, czy zdoła żyć z prawdą.

- Płacił pan, żeby chronić firmę i moją matkę. A czy coś z tego pan miał?
- Bardzo wiele.
- Co konkretnie?
- Czerpałem ogromną przyjemność z tego, że Hilary była szczęśliwa. I że mogłem patrzeć, jak ty i twój brat dorastacie. Gdybym miał dzieci, a właściwie gdybyśmy mogli je mieć - przerwał na chwilę; był mocno spięty
- chciałbym mieć właśnie takich synów jak wy dwaj.

266

- Ale my jesteśmy synami Jacka Nasha - uciał krótko Tim. - I to dzięki niemu jesteśmy tacy, a nie inni.
- Jedną z najbardziej niepojętych rzeczy na świecie jest dla mnie fakt, że taki sukinsyn jak Jack ma taką porządną rodzinę - stwierdził Terhune szczerze zdziwiony.

Ni stąd, ni zowąd pojawił się przy nich kelner, więc złożyli kolejne zamówienie i siedzieli w milczeniu. Było już późne popołudnie i na niebie błądy błękit mieszał się z żółcią.

- To prawdziwi zapaleńcy - przerwał ciszę Nash, spoglądając na mężczyzn, którzy mimo ograniczonej widoczności wciąż ochoczo grali w golfa.
- Mnóstwo rzeczy wchodzi ludziom w nawyk.
- Mnóstwo rzeczy okazało się nieprawdą. A o wielu nikt mi nie powiedział.
- A co niby mielibyśmy ci powiedzieć? - spytał Terhune zdziwiony. - Czy

Jack miał się przyznać, że ukradł pieniądze? Albo czy ja powinienem ci się zwierzyć, że kocham twoją matkę?

- Pozwolił, żeby pan płacił za niego przez tyle lat - ciągnął Nash coraz bardziej rozgoryczony. - Mógł nam coś powiedzieć.

- To był szantaż. Holloway szantażowała go, a poprzez niego i firmę. Nie mogłem na to pozwolić. I nie mogłem się zgodzić, żeby dalej pracowała w firmie. W pewnym sensie i Jack szantażował mnie, wykorzystując moje uczucia, bo wiedział, co czuję i co spotkałoby Hilary, gdyby ta defraudacja wyszła na jaw.

- Mam teraz problem i polega on na tym - stwierdził powoli Nash - że nie mogę już wierzyć w nic, co kiedykolwiek myślałem o matce czy ojcu. Na szklanym blacie stolika pojawiły się drinki. Wiatr przybrał nieco na sile i osłaniający stolik parasol zaczął trzepotać, a kilka par, wciąż śmiejąc się i rozmawiając, wstało i skierowało się do baru. Muzyka stała się jeszcze delikatniejsza i powoli ucichła.

- Jack był dobrym sędzią; co do tego nie ma dwóch zdań - oznajmił Terhune. - Ale po prostu nie jest doskonały jako człowiek. Może nawet trudno nazwać go bardzo dobrym. Ale kimkolwiek był dla ciebie, twego brata i dla Hilary, a także dla mieszkańców Santa Maria, tym na pewno rzeczywiście jest.

- Zastanawiam się, czy zrobił coś podobnego, kiedy był sędzią. Terhune pokręcił głową.

- Nie. Popęłnił tylko jeden błąd.

Nash uśmiechnął się, choć wcale nie było mu do śmiechu.

- Zdziwiłby się pan, wiedząc, ile ludzie robią błędów. I każdy z nich zostaje w pamięci.

Terhune zdołał już odzyskać równowagę i Nash miał wrażenie, że ani trochę się nie zmienił przez te wszystkie lata. Zawsze był uczciwy.

Odchrząknął i zwrócił się do Nasha z pytaniem:

- Słyszałem, że wybierasz się na konferencję sędziów? I jedziesz z tą młodą kobietą z Biura Prokuratora Generalnego?

267

- Nic się przed panem nie ukryje.

- Gdybym w moim wieku, mając takie kontakty, coś przeoczył, to byłaby to dla mnie prawdziwa ujma.

Nash nie miał zamiaru pozwalać mu, by tak łatwo zmienił temat.

- Kiedy grzebałem w papierach, przypomniał mi się tamten pierwszy wieczór, kiedy przedstawił mnie pan Roemerowi. Pochlebiali mi, że chcą mi dać tę pracę. I mile mnie wówczas połączali.

- Powinieneś być zadowolony.

- Nie byłem ich pierwszym kandydatem. Panie Terhune, widziałem zdjęcia Roemera z moim ojcem. Były robione z ukrycia.

Terhune skinął głową, wzdychając.

- Robi się chłodno.

- Chce pan wejść do środka?

- Nie.

- Najpierw wybór padł na ojca, prawda? Roemer chciał, żeby to on prowadził wobec sędziów akcję prowokacyjną?

Terhune potwierdził skinieniem.

- Tak sędzę. Nigdy nie pytałem o to Roemera. Myślę, że nastawił się na przeprowadzenie tej operacji w Santa Maria. Wydawało mu się, że to

odpowiednie miasto do tego rodzaju akcji. A papiery Jacka wydawały się nieskazitelne.

- Ale dowiedzieli się o sprawie McKayów.

- Kiedy go sprawdzali. Widzisz twój brat i tak miał opasłą teczkę z mnóstwem informacji o rodzinie z czasów, kiedy sprawdzali jego samego, zanim objął stanowisko w sądzie federalnym - wyjaśniał spokojnie Terhune, bawiąc się szklaneczką z drinkiem. Po szkle spływały powolutku kropelki wody. - Co się robi, żeby dostać nominację na stanowisko sędziego okręgowego? Ile stron liczyło podanie?

- Chyba trzydzieści, nie pamiętam. Musiałem przedstawić listę stu prawników gotowych mnie poprzeć i udzielić fantastycznych rekomendacji.

- Tak samo jest w Waszyngtonie. Brat na pewno ci opowiadał.

- FBI rozmawiało nawet z jego nauczycielem z trzeciej klasy. Terhune roześmiał się.

- Zawsze takie samo podejście do sprawy - skomentował. Sącył swego drinka, nadstawiając uszu, bo orkiestra znów zaczęła grać. Jego szczupła, starzejąca się twarz spoważniała. - Gdyby ktoś chciał doszukać się dowodów tamtej sprawy z McKayami, to papiery zawsze były dostępne. Ale szkoda było czasu. To znaczy nikomu jakoś nie przyszło do głowy, żeby dokładnie sprawdzić Jacka. Bo jeśli chodzi o jego nominację... - Terhune ponownie się roześmiał - to jego nazwisko znajdowało się po prostu na liście gubernatora. W tamtych czasach tak się właśnie te sprawy załatwiano.

- Nic mi nie mówił. Widziałem się z nim tamtego wieczoru.

- Zadzwoił do mnie chyba dzień wcześniej. Prawdopodobnie właśnie

tamtego dnia zrobiono te zdjęcia. Nie sądzę, żeby Roemer groził mu wprost;

268

chyba dał mu tylko do zrozumienia, że przeszłość Jacka nie jest mu obca. Nie można podjąć przeciw niemu żadnych kroków prawnych. Upłynęło zbyt dużo czasu. To już tylko kwestia zachowania dobrego imienia.

- Ojciec zadzwonił do pana? Ależ on pana nienawidzi - zdziwił się Nash.

- Wiem. Ale mamy wspólny sekret, Timothy. Byliśmy kiedyś przyjaciółmi i wspólnikami. Przeżyliśmy razem szmat czasu.

- Dlaczego nie powiedział mi pan, że Roemer widział się z ojcem? - chciał wiedzieć Nash przypomniawszy sobie, że tamtego wieczoru w Hiltonie Terhune był bardzo niespokojny, a on sam miał nieodparte wrażenie, że, przyprawdzając go na spotkanie z Roemerem, dawny wspólnik ojca spłaca jakiś dług.

No i jeszcze Janice, pomyślał Nash, o niej też nie mogę zapomnieć. Jest na zdjęciu, zwierzałem się jej i dzielę z nią łóżko.

- Rozmawiałem z Roemerem - odrzekł Terhune, poruszając nieświadomie głową w rytm skocznej melodii, dobiegającej z baru. Gości siedzących na kamiennym tarasie oblewały różowo-pomarańczowe promienie zachodzącego po prawej stronie słońca. - Wyjaśnił mi, jaka jest sytuacja.

Ty wydawałeś się najrozsądniejszym kandydatem. W pewnym sensie masz nawet lepsze kwalifikacje do tej roboty niż Jack.

- Byłem prokuratorem okręgowym.

- Właśnie. Byłeś członkiem zespołu, tak przynajmniej wyraził się Roemer

- stwierdził Terhune, krzywiąc się. - Zamierzał sam cię zapytać.

- Pan powinien to zrobić.



- Chodziło o to, żebyś podjął decyzję całkowicie dobrowolnie, Timothy - odparł szorstko Terhune. - Nie chciałem, żebyś brał udział w tajnej operacji tylko po to, żeby bronić reputacji swego ojca.

- Syn winien jest ojcu chociaż tyle.

- Ale musieliśmy wiedzieć, że, dokonując wyboru, kierujesz się znaczeniem tej operacji. I własnym poczuciem obowiązku.

Nash wstał. Nie czuł do Terhune'a wdzięczności, natomiast uświadomił sobie, że dla nich wszystkich dobro publiczne sprowadzało się do zwalczania występku jednostki. A decyzja, którą podjął, i tak nie była w pełni dobrowolna. Znał wówczas tylko część faktów, a w dodatku z powodu Kim nie był tamtego wieczoru w zbyt dobrej kondycji. Ale zaraz upomniał się w myślach, że nie jest przecież ofiarą. Nie mógł obarczać innych winą za skutki podjętych przez siebie decyzji.

A poza tym uznał, że zdziałał wiele dobrego. Korupcja w mieście miała zostać wykorzeniona. Lecz na tę pompatyczną myśl aż sam się skrzywił.

- Dziękuję, że spotkał się pan ze mną - powiedział do Terhune'a. Obrzucił wzrokiem stoliki, przy których zajęci rozmową goście sączyli drinki. Zauważył wśród nich tych, których twarze pojawiały się w gazetach, których widywał na przyjęciach, albo znał osobiście jak państwo Zorichowie, Pollard, Cristobal, Bailey, Raymond Smith - nie wolno było go mylić z Rogerem Smithem - a także Heldt, pani Adele Vickers siedząca przy

269

własnym stoliku, Dahl i Barber, który przechadzał się wzdłuż murku w towarzystwie swojej obecnej sympatii. Wszyscy ci ludzie mieli pewnie pojawić się tu również jutro i pojutrze. Nash nie wiedział, czy ból, który

właśnie odczuwał albo ten, którego doświadczą inni, gdy operacja Stracone Zaufanie zostanie ujawniona, wyrze na nich jakiegokolwiek wrażenie.

- Posiedzę tu jeszcze trochę - oznajmił Terhune i uśmiechnął się. -Idziemy dziś z żoną na następną kolację, tym razem do Kidney Foundation. Tylko tutaj mam ciszę i spokój.

Nash pokiwał głową.

- Panie Terhune, zanim pojedę do Monterey, zamierzam zobaczyć się z moim synem.

- Mam nadzieję, że będziesz zadowolony z tego spotkania.

- Spróbuję potraktować go uczciwiej, niż sam tego doświadczyłem. Wziął swoją rakietę i odwrócił się plecami do zachodzącego słońca, które zgaszonymi barwami zalewało nieruchomą, pogrążoną w zadumie postać Terhune'a.

Rozdział trzydziesty siódmy.

Valles i Witwer usadowili się w tyle zatłoczonej sali rozpraw. Strażnik, chudy mężczyzna, który zdawał się nie mieć bioder, co chwila musiał głośno prosić o zachowanie ciszy.

Siedzący za stołem sędziowskim Frank Wisot cmoknął ustami i spojrzał na zegar.

- Sprawa numer 65833, Maize Shirelle Collins.

Strażnik wprowadził oskarżoną. Kiedy pojawiła się na sali, blada i wychudzona, przebiegła wzrokiem po obojętnych twarzach wiercących się

na swych miejscach ludzi, wśród których byli inni pozwani i ich krewni.

- Kiepsko wygląda - szepnął Witwer chrapliwym głosem.

- I tak lepiej, niż zanim trafiła do szpitala.

- Człowieku, kiedy jesteś chory, szpital nie wyjdzie ci na dobre.

Zauważywszy dwóch szepczących do siebie oberwańców, strażnik znów krzyknął:

- Cisza na sali!

Wisot zamknął oczy. W ciągu niecałych dwudziestu minut zdążył załatwić trzy czwarte wyznaczonych na przedpołudnie spraw. Siedzący za pulpitem prawnicy co chwila podchodzili do jego stołu i wracali na miejsce, przenosząc dokumenty, zgłaszając wnioski i ustalając daty rozpraw. Dzięki długoletniej praktyce Wisot potrafił szybko załatwiać poszczególne sprawy i postanawiać tak, jak pewnie stałoby się, gdyby odbył się proces. I w dodatku mógł poświęcić na to tylko część swojej uwagi, nie przestając cieszyć się myślą o pobycie w Monterey czy nie kończącym się ciepłe letnich dni, gdy już przejdzie na emeryturę.

- A więc sprawa numer 65833. Co postanawiamy? Oskarżonej zarzuca się sprzedaż nielegalnego towaru.

Głos zabrał obrońca z urzędu, dobrze ubrana młoda kobieta o ziemistej cerze, która trzymała w ręku kilka teczek.

271

- Tę sprawę omawialiśmy w gabinecie, Wysoki Sądzie. Wnoszę o zwolnienie oskarżonej na podstawie poczynionych przez nią zobowiązań.

Valles wstrzymał na chwilę oddech. Nie chciał, żeby na otwartym posiedzeniu sądu padła wzmianka o tym, że Maize pracuje dla Wydziału Narkotyków.

Zastępca prokuratora okręgowego, mężczyzna równie dobrze ubrany i starannie uczesany, szybko poparł wniosek.

- Nie zgłaszam sprzeciwu, Wysoki Sądzie.

Wisot zmarszczył brwi. Zwolnienie na podstawie zobowiązania dla oskarżonej o handel narkotykami? Po charakterystycznych kartkach w teczce, którą miał przed sobą, poznał, że ta kobieta miała już sądową kartotekę. Przyjrzał się jej. Młoda, ale wycieńczona już i zmęczona narkomanka, pomyślał.

- Oskarżenie nie sprzeciwia się, by pozwana była wolna? - spytał.

- Rozmawialiśmy o tym przed posiedzeniem - przypomniała pani adwokat.

Valles skulił się na siedzeniu, a Witwer gwizdnął przez zaciśnięte zęby. Nagle Wisot skinął głową.

- A tak. Zapomniałem. Myślałem o czymś innym. Dobrze. Panno Collins, zostaje pani zwolniona na podstawie poczynionych zobowiązań. Ma się pani stawić w sądzie... - przerwał, oddając głos sekretarzowi.

- Trzynastego października, Wysoki Sądzie.

- Trzynastego. Musi pani zgłosić się tutaj w celu przeprowadzenia dalszego postępowania. Czy pani zrozumiała?

Wisot mówił bardzo szybko. Chciał jeszcze sobie zapalić, zanim rozpocznie rozprawę. Proces zapowiadał się raczej na nudny, bo była to jakaś skarga dotycząca ubezpieczenia. Miał już przygotowaną grubą powieść Michenera i jeszcze jedną Dickensa, żeby mieć co robić w czasie, gdy będą wybierani sędziowie przysięgli.

Maize skinęła głową, przez chwilę wpatrywała się w Wisota, potem rozejrzała się po sali w poszukiwaniu jakiejś znajomej twarzy i w końcu

powiedziała:

- Tak, przyjdę.

- Niech pani pamięta, żeby nie wejść w konflikt z prawem.

- Nie wejdę - obiecała Maize, potrząsając głową, a strażnik dał jej przepustkę, by wartownicy wypuścili ją z gmachu sądu.

- Numer 55346 - ogłosił Wisot. - To stara sprawa. Anthony George Larkin.

Miejsce dla oskarżonych, gdzie stała Maize, zajmował już kolejny człowiek w szarym, przepoconym ubraniu. Valles stuknął Witwera łokciem.

- Wyjdźmy jej na spotkanie.

Zaczekali przed wejściem od strony południowej, a kiedy Maize załatwiła już formalności i przebrała się we własne rzeczy, wyszła z gmachu, ziewając i mrużąc oczy przed słońcem.

- W porządku, Maize, jesteśmy kwita, prawda? Będziemy pracować tak jak dawniej, no nie? - zaczął Valles niezbyt delikatnie. Witwer posłał jej uśmiech.

- Tak jak dawniej. Sami wiecie, że przez was tu trafiłam, bo robiłam robotę dla was - powiedziała, oblizując suche usta.

- Nie daj się znowu zapudłować. Drugi raz nie dam już rady załatwić ci zwolnienia u prokuratora okręgowego.

- Powiedziałam, że będę się dobrze sprawować. Dotrzymaliście słowa.

-Uśmiechnęła się do Vallesa i pochyliła niżej głowę. - Potrzebowałam tego towaru, który mi przynieśliście, bo już mnie wiązali do łóżka. - Pokiwała głową. - Bardzo tego potrzebowałam.

- Nie ma sprawy. Ale to był tylko ten jeden raz. Nie licz na więcej

-ostrzegł Valles, grożąc jej palcem.

- Nie zapomnę wam tego. Byłam w potrzebie, a wy mi pomogliście.
  - Może spotkamy się jutro, Maize. Zobaczymy, czy już coś masz
  - zaproponował Witwer.
  - Człowieku - jęknęła oburzona. - Jeden dzień to za mało.
  - Nie przejmuj się - pocieszył ją Valles. - Tylko nie wpakuj się w kłopoty.
- Maize pomachała im i odeszła powoli, mrużąc coś pod nosem i uśmiechając się do mijających ją ludzi, którzy odwracali od niej wzrok. Natomiast Valles i Witwer ruszyli w kierunku znajdującego się trzy

budynki dalej wydziału policji.

- Jak nią odpowiednio pokierujemy, to dostarczy nam cennych informacji
- powiedział Valles. - I tym razem zachowamy je dla siebie.

Witwer podrapał się w brodę.

- Wolałbym, żebyśmy nie dawali jej już więcej narkotyków, Rog.

Zaszkodzimy tym sobie.

- Jeśli masz ochotę się z tego wycofać, to przyjmuję na siebie pełną odpowiedzialność - odrzekł Valles poirytowany.

- Nie, skąd - zaprzeczył Witwer. Zauważył, że Valles zrobił się ostatnio mocno przewrażliwiony; może to z powodu spotkań z tym psychologiem, o którym wspominał. - Zajmiemy się Maize razem. Zostaję.

Maize zmierzała South Grand Avenue w stronę bardzo ruchliwego skrzyżowania ulic Montclare i Jasper, gdzie spodziewała się znaleźć jakiś środek transportu. Zaparkowana przy krawężniku niebieska furgonetka ruszyła z miejsca i zaczęła za nią powoli jechać. Samochód miał w dachu odsuwaną szybkę, przez którą za pomocą zamontowanej na obrotowej osi kamery agencji FBI fotografowali rozmawiających z Maize przed sądem Vallesa i Witwera.

W pewnym momencie furgonetka zwolniła jeszcze bardziej i jadące za  
272

273

nią auta zaczęły trąbić. Wsiadł z niej Sanchez, a wtedy kierowca przyspieszył i wyprzedził Maize. Następnie wysiadł Jacobs, który zaczął zaraz zapinać płaszcz i uśmiechać się do samego siebie, jakby wybierał się na spacer. Tymczasem furgonetka dojechała do końca Grand Avenue i zatrzymała się obok innego auta. A Maize, nucąc coś pod nosem i oglądając się na mijających ją ludzi, szła chodnikiem, szurając nogami i nieświadomie kierując się wprost na Jacobsa. Sanchez natomiast podążał jej śladem.

Rozdział trzydziesty ósmy.

Po popołudniowym posiedzeniu, które zakończyło się przesłuchaniem przez Escobara dwóch policjantów, Nash odroczył proces Soiki.

Wprawdzie świadkowie niewiele widzieli, ale ich zeznania wprowadziły wystarczająco dużo zamieszania, by podać w wątpliwość to, co opowiadali o strzelaninie na stacji benzynowej policjanci bardziej w nią zaangażowani, a powołani do świadczenia przez Beniska.

Tak, tak, mąc jeszcze bardziej, myślał Nash, zwalnając sędziów przysięgłych.

Vi zamknęła biurko na klucz.

- Będę mogła podgonić trochę robotę, kiedy cię nie będzie.
- Będiesz za mną tęskniła - powiedział Nash.

- Wcale nie.

Roześmieli się. Obserwując zawsze chętnych do pomocy i przyjaźnie do niego nastawionych Vi i strażnika, Nash zastanawiał się, czy plotki, o których mówiła mu Susanna Jardine, dotarły i do nich. A może Scotty i Vi o niczym nie słyszeli, myślał, wygaszając światła w gabinecie. Może koledzy nie chcieli im mówić, że pracują dla przekupnego sędziego. Jednak nie sądził, aby tak było. Obydwoje wykonywali różne zadania dla niego. Musieli słyszeć te plotki.

Od rozmowy z Terhune'em ciągle się wahał, czy zadzwonić do ojca. Po rozprawie podjechał nawet pod brzydki różowy dom, zaparkował i patrzył na niego, nie wysiadając z samochodu. Zauważył matkę i uderzyło go to, że w chwili, gdy sądziła, iż nikt jej nie widzi, wyglądała bardzo staro. Nash nie potrafił jeszcze zdobyć się na odwagę, by pomówić z Jackiem, zresztą jakoś nie wyobrażał sobie tej rozmowy, więc skupił się na operacji. Janice przekazała mu zgodę Roemera, by doprowadził do końca transakcje już rozpoczęte i jak najszybciej przeprowadził rozmowy z tymi, których mieli jeszcze sprawdzić.

275

Ostatniego wieczoru przed odlotem do Los Angeles, wspólnie z Vismarą spotkali się z Heleną Curtis, sekretarką, która pomogła im dojść do porozumienia z Peatlingiem, i przekazał jej dziesięć tysięcy dolarów w znaczonych banknotach.

Nash, znecierpliwiony już samą operacją, nie zawracał sobie głowy zabawianiem jej rozmową, gdy wsiadła do jego samochodu na parkingu Pacific Bell. Było po szóstej, a ulice wokół świeciły pustką.

- Mieszkam tuż za rogiem - powiedziała Helena. Była to kobieta w



średnim wieku z charakterystycznymi małymi ustami i bransoletkami na rękach. - Musiałam pożyczyć samochód najstarszej córce.

- Proszę, tu są pieniądze - powiedział Nash, energicznym ruchem podając jej kopertę.

Wzięła ją od niego. Wprawdzie zainstalowany w samochodzie magnetofon nagrywał każde słowo, lecz Nash żałował, że nie będzie żadnych zdjęć.

„W jej przypadku nie potrzebujemy fotografii, stwierdziła wcześniej Janice. Nie będzie sądzona. Zawrzemy z nią umowę i będzie świadczyć na procesie”.

Ani chwili wahania czy odrobiny wątpliwości. Janice, pomniejsza przecież postać w operacji tak dużego kalibru, wiedziała, co będzie dalej.

- O ho ho. Nie spodziewałam się tak dużej sumy.

Helena Curtis wyjęła pieniądze z koperty. Vismara siedział obok niej na tylnym siedzeniu. Na bulwarze tuż przed nimi, który wyglądał jak rzeka światła, przemknęły jaskrawe reflektory jakiegoś samochodu.

- Dziesięć tysięcy - wtrącił Vismara. - Chce pani przeliczyć?

- Nie wiem. A powinnam?

- Zgadza się co do centa.

W dłoniach trzymała grube zwitki banknotów.

- No cóż, muszę je gdzieś schować. - Westchnęła nerwowo. - Bardzo mi się przydadzą. Gdyby sędzina Frenkel nie poradziła, żebym porozmawiała z wami... - Zaczęła upychać banknoty w ciasnych kieszeniach spodni.

-Sporo mam wydatków w tym roku - i sztuczną szczękę muszę sobie zrobić, i raty za dom wzrosły. - Uśmiechnęła się.

Spodnie miała wypchane pieniędzmi.

- A może schowałyby je pani do płaszcza? - zasugerował Vismara. Nash

patrzył, jak pani Curtis wyjmując zwitki i obmacuje swój beżowy płaszcz, starając się upchnąć banknoty w wewnętrznych kieszonkach.

- Proponuję, żeby schowała pani trochę w płaszczu, a resztę w innych kieszeniach - odezwał się Nash.

Vismara uśmiechnął się do niego.

Pani Curtis, mocno podekscytowana, skinęła głową i posłała Vismarze uśmiech, opowiadając cały czas o swych córkach, podczas gdy on odwzajemniał się wzmiankami o swoich. W końcu upchnęła pieniądze w kieszeniach płaszcza i spodni i wygładziła wybrzuszenia.

- Powinnam włożyć kurtkę sportową - stwierdziła. - Ma mnóstwo rozmaitych kieszonek.

276

- Będzie pani pamiętać następnym razem - odrzekł Vismara.

- Panie sędzio - zaczęła nerwowo - czy mógłby pan podrzucić mnie do domu? Naprawdę wolałabym nie chodzić po ulicach z taką ilością pieniędzy przy sobie.

Nash podwiózł ją i wysadził za rogiem. Na odchodnym życzyła mu udanego pobytu w Monterey.

Zaraz potem Vismara przesiadł się na przednie siedzenie i ruszyli na miejsce kolejnego spotkania.

- Robi się z tego normalna etatowa praca, panie sędzio, nie uważa pan? Mamy wyznaczone godziny pracy i w ogóle.

- Wygląda na to, że jesteś dzisiaj w lepszym nastroju, Lou.

- Bo czuję się dużo lepiej. Parę spraw mam już z głowy, zająłem się nimi jak należy.

- To dobrze. Zrobiłeś kawał dobrej roboty. Nie spotkałem wielu takich,

którzy poradziliby sobie lepiej niż ty.

Załamanie, w które popadł po pobiciu, minęło już i Vismara zdążył odzyskać swoją zwykłą próżność.

Jacobs i Sanchez zapewnili Nasha i Janice, że Louis nie handluje narkotykami. Kilkakrotnie go sprawdzali i przekonali się, że pod tym względem jest czysty i prowadzi spokojne życie z jedną kobietą.

- Mój dawny ksiądz, bo spotkałem się z nim, kiedy zaczęliśmy tę robotę, to samo mi powiedział. Że się poprawiłem. Wie pan, nie jestem jak te inne skurwysyny, co to przyjdą do sądu, popieprzą trochę i nic się nie zmieniają. - Pokiwał głową. - Cieszy się pan, że już prawie skończyliśmy?

Nash zjechał na inny pas.

- Tak. Było znacznie trudniej, niż to sobie wyobrażałem.

- A dla mnie łatwiej.

- Robimy to z nieco odmiennych powodów.

Nash nie potrafił, nawet kiedy chciał, zachowywać się wobec Vismary bardziej po przyjacielsku.

- Ale, widzi pan, obaj mamy jeden cel - chcemy poczuć się dzięki temu lepiej.

- O ile nam się uda. - A po chwili dodał: - Jeśli będziesz potrzebował pomocy, Lou, w dogadaniu się z Roemerem czy z kimś innym, to przychodź z tym do mnie. Ty jesteś inny.

- Pan może służyć za przykład do naśladowania, panie sędzio. Czasami, kiedy popadam w tarapaty, zaczynam się zamartwiać, pocę się, nie mogę jeść. A to bardzo niedobrze, sam pan wie. Albo jem dużo, a nie przybieram na wadze. No i wtedy pytam siebie, no wie pan, jak szykuje się jakaś ciężka sprawa z jakimś sędzią albo jakieś domowe problemy, to pytam

siebie, co zrobiliby w takiej sytuacji sędzia Nash? No i załatwione. Jakoś od razu wiem, co trzeba zrobić.

Nash zatrzymał się przed małym drewnianym domem. Zamyślił się; na pogrążającym się w mroku horyzoncie dostrzegł nadciągające chyłkiem deszczowe chmury, zapowiadające pierwszą tej jesieni prawdziwą burzę.

277

- Ty jesteś dobrym przykładem - powiedział, dwukrotnie wciskając klakson. - Większość informatorów, z którymi pracowałem, wcześniej czy później schodziła na złą drogę. Chcieli tylko ubić dobry interes. Uchronić się od aresztu. I od pudła. To wszystko.

- Ja nie jestem informatorem - sprzeciwił się Vismara, urażony.

- Nie chciałem cię obrazić.

Patrzyli na mężczyznę, który pojawił się w drzwiach domu i z rękami w szortach podszedł do samochodu Nasha. Był bez butów.

- A jeśli jestem informatorem, to na pewno nie jedynym - powiedział Vismara do Nasha.

Te słowa zapadły Nashowi w pamięć, ale mężczyzna przy oknie już pochylił się ku niemu.

- Cześć, chłopaki. Cześć, Wysoki Sądzie. Płacą dzisiaj?

Nash skinął głową, a Vismara sięgnął do schowka na rękawiczki i wyjął drugą tego wieczoru kopertę.

- Daję ci dwa tysiące dolarów, Ed - powiedział Nash.

- Dla mnie wystarczy. - Poklepał ręką leżącą na drugiej dłoni kopertę.

-Znam paru facetów w Wydziale Narkotyków - zwrócił się do Vismary. -

Jak będziesz coś wiedział, chłopie, to szepnij mi słówko. Dam im cynk i może ubijemy razem jakiś interes.

- Jasne - odrzekł Vismara z udanym zainteresowaniem.
- Pozdrów ode mnie Sheę - powiedział mężczyzna do Nasha. - Winien mi jest parę piw.

Nash skinął głową. Człowiek, z którym rozmawiał, był strażnikiem przydzielonym Croncocie, ale nie zamierzał mówić o nim Shei albo Vi ani nikomu, kogo chciał ochronić. Miał nadzieję, że operacja skończy się, zanim nadejdzie dzień, w którym Shea albo Vi przyjdą do jego gabinetu, zamkną za sobą drzwi i dadzą mu delikatnie do zrozumienia, że mogliby razem dojść do porozumienia. Nigdy nic nie wiadomo, pomyślał, dopóki nie zaoferuje się pieniędzy.

- Uważam - zaczął Vismara - że to miło z pana strony, no wie pan, że zadaje się pan z facetem takim jak ja. Całkiem poza sądem. - Uśmiechnął się. - Pan prowadzi eleganckie życie, a teraz może się co nieco nauczyć.
- Bardzo wiele się nauczyłem, Lou.

W apartamencie hotelu Cypress Nash i Vismara zdali Janice sprawozdanie i oddali kasety, które jako ostatnie miały trafić na przeładowaną już półkę. Jacobs, Sanchez i jeszcze jeden agent zajęci byli grą w karty.

Padający ze zmęczenia Nash dostał drinka. Vismara podszedł do grających i, zaglądając każdemu przez ramię, żartował z nimi. Odpowiedzieli tym samym i poczęstowali go preclami. Zdążyli się już ze sobą zaprzyjaźnić.

Dziwna była ta operacja, pomyślał Nash. Całkiem inna od tych organizowanych przez Wydział Narkotyków, w których pracował wspólnie z policjantami. Zaczynało się wtedy na samym dole od drobnych handlarzy, by wspinać się stopniowo w górę po szczeblach hierarchicznej drabiny, odkrywając, jak jedno ogniwo łączy się z drugim, tworząc cały łańcuch współdzia-

łających ze sobą postaci. A prowadzący operację Stracone Zaufanie zajęli się najpierw sędziami, a potem krok po kroku schodzili niżej, obierając za cel urzędników takich jak Curtis czy ten dzisiejszy strażnik. W pewnym jednak sensie ta akcja przypominała wszystkie inne, bo ci pośledni winowajcy niewątpliwie zwrócą się przeciwko sędziom. By otrzymać niższy wyrok, złożą obciążające zeznania i pošlą sędziów za kratki.

Nash pomyślał, że największą wagę przykładają się zawsze do wykrycia korupcji na najwyższym szczeblu, zupełnie jakby postępowanie Heleny Curtis czy strażnika nie było równie złe. Roemer, Janice i on sam byli jak zachłanne dzieci w sklepie z zabawkami. Chcieli dostać największego misia.

Z sypialni wyszedł Testa, trzymając w rękach jeden z magnetofonów, już spakowany. Powoli zaczynał rozmontowywać swój sprzęt.

Nash usiadł na sofie obok Janice. Nie miała nic przeciwko, kiedy się o nią lekko oparł.

- Neil się tu zjawi, jak tylko wrócisz z konferencji - powiedziała.
- Przecież oboje jedziemy.
- Nie to miałam na myśli. Jestem zmęczona.
- Ale chcesz ze mną jechać?
- Oczywiście. Tak mi się tylko powiedziało bezmyślnie.
- Ty nigdy nie przestajesz myśleć - odparł Nash, trącając ją łokciem. - A po co Roemer chce przyjść?
- Żeby przejrzeć papiery, przesłuchać nagrania.
- Sądzę, że czas najwyższy skierować do sądu te najpewniejsze sprawy - zasugerował Nash. - Już prawie skończyliśmy. Gotów jesteś zeznawać,

Lou?

Vismara, który wpatrywał się w karty Jacobsa i cały czas ruszał ustami, żując gumę, odwrócił się do Nasha.

- W każdej chwili. Każecie mi stawić się w sądzie, a ja będę działał tak, jak się umówiliśmy. Opowiem całą historię.

Sanchez i Jacobs zachichotali rozbawieni entuzjazmem Louisa.

- A ty jesteś gotów, Tim? - spytała Janice. - Prawdopodobnie zaczniemy od Wisota i Frenkel.

- Tak, jestem gotowy.

- Cieszę się, że niedługo kończymy - oznajmiła z troską w głosie.

-Wyglądałeś ostatnio na wykończonego. Ta operacja to silny stres, a ty jesteś na niego wystawiony od ładnych paru tygodni.

Nash, wzdychając, rozwiązał sobie buty. Przy stole rozległ się ryk graczy, bo Sanchez wygrał właśnie partyjkę.

- Jestem zmęczony. Dobrze, że wyjeżdżamy. Będę mógł z tobą porozmawiać.

Vismara zerwał się z krzesła, klaszcząc w dłonie.

- Co się stało, że ostatnio jest taki wesoły? - zwrócił się Nash do Janice.

- Co cię tak cieszy, Louis? - spytała go Janice.

Jacobs, marszcząc brwi, popatrzył na swego nowego współpracownika, po czym jej odpowiedział:

279

- Lou tryska radością, bo Sanchez i ja zdobyliśmy dziś niezłego haka na tych dwóch gliniarzy.

- Nie wymkną się - dodał Vismara.

- Macie na nich jeszcze coś poza łapówką? - zainteresował się Nash.

- Jasne - odrzekł Jacobs, kładąc na stole kartę, którą siedzący na wprost niego Sanchez chwycił natychmiast. - Mamy tę dziewczynę, która im kablowała. Wydała ich bez żadnych ceregieli. Przynosili jej kokę. I to do szpitala - wyjaśnił cedząc słowa.

- Co za mistrzostwo! - cieszył się Vismara, wyrzucając ramiona w górę. Nash uśmiechnął się, widząc tę jego wylewność. W Vismarze ta operacja nie budziła żadnych ambiwalentnych uczuć. A dla niego zaczynała właśnie zmieniać swój bieg, bo kolidowała z procesem Soiki, a wszystko razem prowadziło nieuchronnie do podjęcia werdyktu i jego zeznań jako świadka postawionego w obliczu przysięgłych sądu federalnego.

- Zobaczymy się za dwa dni - powiedział do Janice, kładąc rękę na jej dłoni. Miał ochotę ją pocałować, ale tutaj nie mógł tego zrobić.

- Powodzenia w Los Angeles - odrzekła. - Miłego spotkania z Benem. Nash wyszedł z apartamentu, zostawiając w nim hałaśliwych graczy, niepotrzebny już niemal sprzęt do nagrywania, i kobietę, którą pokochał i o której coraz więcej myślał. Nie chciał, by spotkała go w życiu ponowna strata, ale nie miał pojęcia, czy koniec operacji nie będzie oznaczać przypadkiem także końca ich związku.

Rozdział trzydziesty dziewiąty.

Nash poleciał do Los Angeles porannym rejssem. Na lotnisku wynajął samochód i wjechał na krętą ulicę Sepulveda Boulevard, z mapą na siedzeniu obok, skierował się w stronę Culver City.

W mieście ciemnym od smogu i powietrzu przesyconym wilgocią Tim



co chwila pokasływał, bo jego płuca nie były przyzwyczajone do takiej wilgotności. Odsunął od siebie wszystkie myśli z wyjątkiem tej o spotkaniu z Benem, czyli kimś, kogo nigdy nie straci i kto go nie oszuka. Ben jest mój, powtarzał sobie. W tej kwestii mogę być pewien przyszłości. Jadąc przez Culver City, małą część Los Angeles, Tim kierował się wskazówkami Nel, siostry Kim, które podała mu przez telefon. Kiedy odnalazł nieduży park, usiadł na ławce pod dębami i czekał. Nie było jeszcze południa.

Znajdował się daleko od Escobara, Roemera i Soiki. I nie groził mu tutaj ból z powodu wypowiedzianych czy też przemilczanych kłamstw. Siedząc tak pod drzewami, Tim zdołał wreszcie zapomnieć o swoim małżeństwie, a Kim stała się tylko częścią tej grupy ludzi, którym już nie ufał i którzy go nie obchodzili.

Ulicą przejeżdżały samochody, parkowały w pobliżu, a on czekał. Jeden z nich zatrzymał się bardzo blisko ławeczki. Wsiadła z niego Nel, a zaraz za nią Ben, ubrany w strój do gry w piłkę. Nel coś do niego mówiła. Tim wstał i nagle zakręciło mu się w głowie.

Ben dostrzegł go i patrzył przez chwilę zaskoczony. Potem ruszył biegiem w stronę ojca i rzucił się na niego jak kiedyś, gdy był mniejszy i lżejszy.

Tim aż zatoczył się nieco do tyłu, ściskając mocno syna.

Nel podeszła do nich z założonymi rękoma.

- Nie widziałam cię już całe wieki - powiedziała, uśmiechając się lekko.

Potem nerwowo rozejrzała się dokoła.

Nash nic nie odpowiedział, tylko odsunawszy syna na odległość ramion, przyglądał mu się uważnie.

- Co u ciebie, Niedźwiedziu? - spytał wesoło. - Świetnie wyglądasz.
  - Nie bardzo mi się tutaj podoba.
  - Chyba nie zamierzasz go porwać albo coś w tym rodzaju, Tim, prawda?
  - zapytała niespokojnie Nel.
  - Nie - odparł.
  - Powiedziałam Kim, że Ben ma wizytę u dentysty. W ten sposób mogłam go zabrać ze szkoły - wyjaśniła.
  - Myślałem, że naprawdę idę do dentysty - oświadczył Ben.
- Nash pomyślał, że chłopiec bardzo się zmienił przez ostatnie tygodnie. Twarz zrobiła się pełniejsza, skóra bardziej napięta, jakby jej dziecięca niewinność zaczęła stopniowo ustępować miejsca ostrym rysom dorosłego.
- Ile mamy czasu? - spytał krótko Nash.
  - Muszę odwieźć go z powrotem w ciągu godziny - odpowiedziała. Tim zauważył, że przytyła trochę od czasu, kiedy ostatnio ją widział. - Czuję się winna, że to robię - dodała, wzruszając z rezygnacją ramionami.
  - Przejdziemy się trochę, dobrze? Nie odejdziemy daleko - zapewnił ją Tim.
  - Chcesz, żebym ci o wszystkim opowiedział? - zapytał chłopiec.
  - Pewnie, że chcę.

Otoczył dziecko ramieniem i zaczęli oddalać się od zaparkowanych samochodów, a Nel to opierała się o maskę swego auta, to krążyła wokół niego niespokojnie.

Nash pomyślał, że dręczy ją to, że oszukuje własną siostrę, a na dodatek boi się, że on porwie Bena. Przyszło mu do głowy, że nawet spotkanie z

synem łączyło się z kłamstwem i zdradą.

Park był nieduży, więc doszli do jego środka i usiedli na trawie. Przebiegło obok nich kilka osób ćwiczących jogging, niektórzy z psami na smyczy.

Na kocu siedział samotnie jakiś człowiek i czytał książkę.

Nash pozwolił, by syn się wygadał. Ben bawił się żdźbłami trawy, gmerał ręką przy swych wysokich po kostki trampkach i opowiadał o nowej szkole i nowym domu, gdzie wszyscy wokół są mu zupełnie obcy, a nawet dobrze znana twarz matki zmieniona jest zmartwieniami i niepewnością.

Chłopiec wyznał, że Kim codziennie kłóci się z siostrą.

- One się nie lubią - powiedział.

Kim wciąż jeszcze szukała pracy. Kiedy więc chłopiec wracał o czwartej ze szkoły, matka była już zwykle w domu i spała, więc musiał zachowywać się cicho; na ogół, nie wiedząc co robić, siadał przed telewizorem.

- Chyba nie podoba jej się, że jesteście rozwiedzeni - stwierdził Ben.

-Mówi, że któregoś dnia zbierze się i pogada z tobą.

- Jeszcze tego nie zrobiła.

- Mam tu zostać?

- Na razie tak. Ale przyjedziesz do mnie na Święto Dziękczynienia.

- I dziadek i babcia też będą?

Dziadkowie bardzo się o niego troszczyli, więc Ben ogromnie ich lubił.

282

Był tym wnuczkiem, którego mieli najbliżej, i tak to geografia sprawiła, że bardzo na tym korzystał.

- Pewnie tak. Pojedziemy do nich na kolację.

Ben skinął głową. Najpierw on zakaszłał, a zaraz potem Tim i obaj się

roześmieli.

- Nie będzie jak w domu.

- Musimy na razie się z tym pogodzić i w pełni wykorzystać każdą chwilę.

Nash pomyślał o ojcu; Ben wciąż podziwiał swego dziadka. Ale tym razem Święto Dziękczynienia będzie inne niż w ubiegłych latach. Jack Nash okazał się nie tym człowiekiem, za którego Tim miał go rok temu. Zaczęli rozmawiać o szkole. Ben mówił, że stara się być miły, ale dzieci są tu jakieś inne.

- Zmienisz zdanie, jak jeszcze tu trochę pobędziesz - pocieszał go.

-Ludzie wszędzie są tacy sami.

Słońce świeciło wysoko na niebie i miło grzało. Nawet z wiszącym w powietrzu smogiem był to jeden z najpiękniejszych dni października, jakie pamiętał.

Ben skinął głową, ale bez przekonania. Timowi ulżyło, gdy zorientował się, że Kim nie opowiadała chłopcu żadnych historii, które mogłyby wypaczyć jego obraz w wyobraźni dziecka. Ale za późno już było na to, by pomyśleć o ponownym związaniu się z Kim. Operacja Stracone Zaufanie i Janice uczyniły to niemożliwym.

- Wiesz, Niedźwiedziu, że może niedługo będę sławny - powiedział, wstając. Nel zaczęła już na nich machać.

- W jaki sposób? - zainteresował się Ben, marszcząc brwi.

- Na razie nie mogę ci powiedzieć. Ale prawdopodobnie usłyszysz o mnie w szkole.

Ben uśmiechnął się.

- Poważnie? O tobie?

- Jasne. Możesz opowiadać dzieciakom, jak przychodziłeś do mnie do sądu, rozmawiałeś z Vi i jak Scotty dawał ci potrzymać broń.
- Już im o tym mówiłem - odrzekł chłopiec, gdy powoli szli w stronę Nel.
- Ale będziesz w telewizji, prawda?
- Tak. I w telewizji, i w gazetach.
- Fantastycznie. Żaden dzieciak nie ma taty, który by był w telewizji. Ben promieniał zadowoleniem, że jego tata zostanie sławny, więc Tim nie żałował tego drobnego pogwałcenia przepisów bezpieczeństwa. Bo i komu Ben mógłby zaszkodzić albo kogo uratować?
- Mój tata będzie sławny - pochwalił się chłopiec przed Nel.
- O co chodzi, Tim? - spytała, otwierając dziecku drzwi do samochodu.
- Tylko o proces.
- Och. Bardzo cię przepraszam za ten pośpiech. Naprawdę nie mogłam zabrać go na dłużej.

283

- Rozumiem - stwierdził Nash. Zamknął drzwi, kiedy Ben wsiadł już do środka. Nel zajęła miejsce za kierownicą. - W zasadzie nie należy okłamywać mamy, Niedźwiedziu, ale to spotkanie musimy zachować w tajemnicy, dobrze?
- Nie mam zamiaru jej o tym opowiadać - zapewnił zdziwiony chłopiec.
- Dobrze.
- Nie pozwoliłaby mi pojechać do ciebie na Święto Dziękczynienia -dodał.

Nel uruchomiła silnik. Tim miał ochotę jeszcze raz przytulić syna do siebie, ale już w następnej sekundzie Nel ruszyła z miejsca i zdążyli z Benem tylko pomachać do siebie, zanim samochód włączył się w strumień

innych.

Tim poczuł w piersiach jakiś ogromny ciężar. Albo był to skutek silnego stresu, albo powietrza, do którego nie był przyzwyczajony. Nie mógł zaczerpnąć głębokiego oddechu. Próbował kilka razy, aż w końcu wsiadł do swego wynajętego auta. Wszystko w porządku, powtarzał sobie co chwila. Zobaczę go za parę tygodni.

Pojechał z powrotem na lotnisko. Do odlotu zostało mu jeszcze cztery godziny. Trochę czytał, ale większość czasu spędził w świecącym chromem barze i patrzył na odpływające wciąż nowe fale ludzi i wreszcie same samoloty, kiedy jeszcze były maleńkimi punkcikami daleko na niebie. Ucisk w piersi trochę zmalął.

O wpół do szóstej przyłożył głowę do oparcia lotniczego fotela i poleciał na północ.

Rozdział czterdziesty.

Następnego dnia Nash przespał prawie całe przedpołudnie i ominęło go przemówienie powitalne na corocznej konferencji Kalifornijskiego Stowarzyszenia Sędziów. Sędzia Czwartego Okręgowego Sądu Apelacyjnego powitał trzystu delegatów oraz ich współmałżonków i obiecał im kolejne przemówienia, dobre jedzenie i mnóstwo drinków. Nash zarezerwował dwuosobowy pokój w hotelu La Playa, który mieścił się około mili od centrum konferencyjnego i jeszcze większego chyba skupiska prawników przybyłych na doroczną stanową konwencję adwokatów. Jedząc skromne śniadanie w swoim pokoju, wyglądał przez

okno i nie widział właściwie nic poza prawnikami i sędziami przechadzającymi się po ulicach z aparatami fotograficznymi w dłoniach i turystami przepychającymi się w drzwiach do każdego budynku.

Janice przyjechała wczesnym popołudniem. Przywiozła ze sobą dwie spore walizeczki dokumentów i raportów FBI, które Tim miał przejrzeć.

- Czy kiedykolwiek zeznawałeś przed sądem federalnym? - spytała, rozpakowując się od razu.

- Żartujesz? Kierowałem wprowadzić sprawy do sądu okręgowego, ale to było dawno temu.

- A więc popracujemy nad tym w przerwach pomiędzy sesjami i ewentualnie innymi zajęciami, jakie przypadną ci w czasie tej konferencji.

- Jakimi sesjami? - zdziwił się.

Sesje wyznaczone były na najbliższe trzy dni i omawiano na nich najnowsze zmiany w prawie kalifornijskim, nowe sposoby postępowania sądowego, a także organizowano praktyczne seminaria na temat efektywnego prowadzenia procesów i wciąż raczono zebranych przemówieniami. Ale Tim i Janice, jakby dopiero co się poznali, spędzali całe dni na wycieczkach. Pojechali do Akwarium w Zatoce Monterey przy zachodnim krańcu ulicy Cannery Row i obserwowali bawiące się w wodzie wydry. Inni sędziowie też

285

wagarowali i bardzo wielu z nich razem z żonami przybyło w to samo miejsce.

Nash spotkał znajomych z poprzednich konferencji i z college'u, w którym szkolono przyszłych sędziów. Janice także natknęła się na starych przyjaciół z Biura Prokuratora Generalnego, którzy zostali sędziami. Z

niektórymi z nich poszli na drinka albo umówili się na kolację. Pogoda była parna, bo od strony morza wiatr przynosił mnóstwo wilgoci.

Wieczorem lekka mgiełka przekształcała się w gęstą mgłę, która przykrywała swym ciężkim płaszczem cały półwysep i ciasno spowijała hotel. Kiedy w nocy Tim i Janice leżeli już w łóżku, słyszeli dobiegające z daleka warkliwe głosy uchatek.

- Zupełnie przypominają psy - zauważyła Janice.
- I wprowadzają nas w błąd - odrzekł Tim.

Któregoś dnia wybrali się do Stanowego Rezerwatu na Point Lobos i do wieczora spacerowali po plaży, gdzie powietrze przesycala mgiełka wody z rozbijających się o skały fal morza.

Sprawozdania ze spotkań z Frankiem Wisotem oraz Ruth Frenkel ogromnie przygnębiły Nasha. Raz natknęli się na Wisotów, kiedy razem z Janice poszli na bankiet do sali recepcyjnej centrum konferencyjnego.

- Dotrzymacie nam towarzystwa? - spytał Frank wesoło. Najwyraźniej w barze czuł się tak, jakby to on był w nim gospodarzem i postawił sobie za cel nawiązanie kontaktu ze wszystkimi.

- Chętnie - odparła Janice.
- Jasne, Frank - zgodził się Tim.

Przewodniczącym konferencji był główny sędzia Sądu Najwyższego Kalifornii. Wysoki, siwy, o niskim głosie, zupełnie jak Jack Nash, stał wśród otaczających go i pełnych podziwu sędziów i prawników z drinkami w rękach.

- Najprzyjemniejsze w tych wszystkich przemowach jest to, że każdy znaczy nikt - stwierdził Wisot.
- On chce powiedzieć, że wszyscy sędziowie powinni zachowywać się



jednakowo, niezależnie od tego, czy pracują w sądzie miejskim czy w apelacyjnym, czy nawet najwyższym - wyjaśniła Lenore. Ona również sporo już wypila i stała, opierając się na ramieniu męża.

Zabawa trwała, kelnerzy błyskawicznie przemieszczali się pomiędzy ciasno ustawionymi stolikami, a w świetle przyćmionych lamp widać było wielką wagę sprawiedliwości i godło Kalifornii, umieszczone na ścianie, tuż za nakrytym niebieskim obrusem stołem honorowym.

- Jutro jest kolacja w Świecie Wody - powiedział Frank, gdy kelnerzy sprzątnęli talerze po głównym daniu. - Będzie pokaz ryb.

- Darujemy to sobie - odrzekł Nash, a Janice potaknęła na zgodę. Wisot zerknął na bok, obrzucając spojrzeniem innych rozbawionych i zajętych jedzeniem sędziów.

- Boże, cieszę się, że już niedługo będzie to poza mną.

- Masz na myśli przejście na emeryturę? - spytała Janice.

- Niech Tim opowie ci o naszych planach - odrzekł Wisot, mrugając na Nasha.

Wiem, co ci się marzy, pomyślał Tim, odsuwając od siebie talerz z pozbawioną smaku pierśią kurczaka w białym sosie, którą od pewnego czasu ledwie dłubał widelcem, podczas gdy inni się zajadali.

Janice wdała się w rozmowę z siedzącym po jej prawej stronie niskim sędzią z Shasta.

- Naprawdę robi się prawdziwy zamęt, jeśli w takim sądzie jak mój nie przyspiesza się przebiegu rozpraw, w których występuje kilku oskarżonych -oznajmił mężczyzna.

Zanim przewodniczący konferencji, na którego skierowane było światło reflektora, wstał, by wygłosić przemowę, rozmowy przy stole Nasha

przerodziły się w obgadywanie tych sędziów, którzy przyjechali na konferencję z „nowymi osobami towarzyszącymi”. Lenore Wisot wskazywała poszczególne osoby i komentowała ich zachowanie.

Wisot ćmił kolejnego papierosa. Nie zwracał najmniejszej uwagi na swego sąsiada, łysego sędziego z San Bernardino, który uparcie machał ręką, by odgonić od siebie dym.

- O, jest Fred. Przyłączmy się do niego, Tim - zaproponował.

Nash podniósł się, aczkolwiek niechętnie, i przeszedł z Frankiem przez pogrążoną w półmroku salę, by pożartować z Fredem Mivazumi i jego żoną.

- Z tego faceta zrobił się straszny wesołek - stwierdził Fred, patrząc na Franka.

- Co masz na myśli? - zainteresował się Nash.

- Ktoś mi doniósł, że ten oto osobnik przyszedł dwa dni temu do mojego gabinetu w czasie przerwy na lunch i opuścił mi krzesło niemal do samej ziemi - wyjaśnił niski sędzia.

Wisot zachichotał.

- Prawie uderzył tyłkiem o podłogę, gdy siadał.

- Zamierzam wyrównać rachunki.

Przewodniczący zaczął już swoją przemowę i kilkoro poirytowanych słuchaczy zaczęło ich uciszać.

- Nie chcą nas tutaj - zauważył Nash.

Wisot pociągnął go w stronę wyjścia z sali i udali się do męskiej toalety tuż przy holu. Donośny głos sędziego słyhać było nawet przez ścianę.

- Naprawdę bardzo mi przykro poruszać ten temat, Tim - zaczął Wisot, zapalając kolejnego papierosa. - Nie przyszłoby mi to do głowy, gdyby

chodziło o ciebie, możesz mi wierzyć. Ale ten handlarz nic mnie nie obchodzi.

- Chcesz podnieść stawkę, Frank? Wisot skinął twierdząco głową.
- Pewnie.
- Nie sądzę, żeby on na to poszedł.
- Wiem, że jego sprawa jest już w toku. I że oskarżenie o naruszenie

286

287

zasad zwolnienia warunkowego zostało oddalone. A ten gość nie chce chyba, żeby ktoś z powrotem wywlókł tę sprawę na światło dzienne?

- Jasne, że nie chce.

Wisot uśmiechnął się i stanął tyłem do szeregu marmurowych umywalek.

- Myślę, że jakoś przeżyłby przyzwoitą zapłatę. A dla mnie sprawa byłaby już całkowicie zamknięta.

- Nie musisz mnie w to angażować, Frank - burknął Nash. - Możesz sam pogadać z Vismarą.

- Nie chciałem brać wszystkiego dla siebie, Tim. Sądziłem, że moglibyśmy się podzielić.

Nash słuchał przez chwilę niewyraźnego wprawdzie, ale zdecydowanie przenikającego przez ścianę głosu sędziego i bijących mu brawa gości.

- A niech to jasna cholera, Frank - wybuchnął nagle Tim.

Drzwi toalety otworzyły się i jakiś ubrany w smoking mężczyzna sztywnym krokiem podszedł do pisuaru. Wisot wrzucił papierosa do umywalki.

- O co ci chodzi?

- No dobrze już, dobrze. Podzielimy się. To tylko mamy handlarz  
-warknął Nash.

- Chryste Panie! - wyrwało się Wisotowi, gdy popatrzył w stronę  
stojącego przy pisuarze mężczyzny.

- Wynośmy się stąd. Wyszli z toalety.

- Muszę trochę więcej odłożyć na emeryturę, Tim - oznajmił Wisot  
kajającym się niemal tonem. - Nie udało mi się jak twojemu ojcu. Nie  
udzielałem prywatnych porad i nie dorobiłem się majątku.

Nash nic nie odpowiedział. Gdy tylko doszli do stolika, przeprosił Franka.  
A Wisot, który przywołał już na twarz wyraz wesołości, chwycił go za  
ramiona i poklepał po klatce piersiowej.

- Co ty wyprawiasz? - zdziwił się Tim.

- Jesteś czysty. Sprawdziłem tylko, czy nie masz mikrofonu - odrzekł  
Wisot, uśmiechając się.

- Odpieprz się, Frank - rzucił Tim ostro.

Oblał go zimny pot. Czyżby Frank naprawdę podejrzewał, że może mieć  
mikrofon? Ale przecież gdyby tak było, nie wystąpiłby z taką propozycją.

- Nie przejmuj się - szepnął mu Wisot; Lenore i Janice przyglądały im się.

- To taki żart. W całym sądzie wszyscy to robią.

- Nie zauważyłem tego.

- Cóż, może z powodu tych plotek, które o tobie opowiadają.

- Pewnie nie chcieli wprawiać mnie w zakłopotanie - skonkludował Nash.

Pomyślał, że skoro wszyscy mieli go za nieuczciwego, to dowcipkowanie  
na temat łapówkarstwa i donoszenia przestawało być przy nim zabawne.

Tymczasem wyglądający na tle wielkiej wagi sprawiedliwości jak karzeł  
sędzia sądu najwyższego przemawiał dalej:

- Udało mi się uzyskać od głównych komitetów w legislaturze zapewnienie o przyznaniu funduszy na zatrudnienie dodatkowych pięćdziesięciu sędziów.

Gromkie brawa długo nie słabły.

Nash jechał Lighthouse Avenue, mając Janice i ocean po swojej prawej stronie. Minał Pacific Grove, gdzie stały zniszczone już i otulone mgłą wiktoriańskie domki, które wyglądały jak duchy nowoangielskiej wioski rybackiej.

Tim skierował samochód w stronę oceanu. Wyszli i zaczęli iść, wdychając zimne i słone powietrze.

- Nie chcę rozmawiać o sądzie, o zeznawaniu ani o tych, którzy zaliczą wpadkę - oznajmił. - Pragnę o tym wszystkim zapomnieć.

Nieliczne wokół nich światła lamp ulicznych i domów jarzyły się rozmytym w gęstej mgle żółtym blaskiem. Janice wsunęła mu rękę pod ramię.

- To się już niedługo skończy, Tim.

- Wszystko?

- Po tym, jak złożysz zeznania nie będzie wielkiego szumu, dopóki nie zacznie się proces.

Tim przytulił ją mocniej do siebie.

- Nie chcę o tym rozmawiać. Nie odzywała się przez chwilę.

- Nikogo tu nie ma - powiedziała potem. - Jesteśmy sami.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżała z Santa Maria - oświadczył. Zabrzmiało to nieco bardziej niezręcznie, niż sobie tego życzył.

- Nie będę tam miała żadnego zajęcia.

- Chciałbym, żebyśmy byli razem.

Janice popatrzyła mu w oczy; rysy jej twarzy były niewyraźne, rozmyte nieco we mgle, lecz tkwiąca w jego ręce jej dłoń była ciepła.

- Bardzo mi na tobie zależy. I obchodzi mnie twój los.

- Z mojej strony to coś znacznie więcej - wyznał Tim. - Kocham cię.

Myślę, że nie uświadamiałem sobie tego w pełni, dopóki nie spotkałem się z moim synem.

- A w jaki sposób on dał ci to do zrozumienia?

Zatrzymali się na chodniku. Mgła tłumiała ich słowa i zacierała obraz tego, co ich otaczało. Wrażenie dojmującej samotności pośród nocy łagodził fakt, że są razem.

- Kiedy byłem z Benem, nagle dotarło do mnie, że tak naprawdę zależy mi jedynie na tobie i na nim - powiedział Tim. - Widzisz, Janice, człowiek rozpamiętuje różne rzeczy, zastanawia się nad znaczeniem ludzi, których spotyka, ale mnie ciągle nurtowała jedna myśl. Że tylko was dwoje kocham i chcę mieć blisko siebie.

- Przez ostatnie parę tygodni starałam się, żeby nasze kontakty miały charakter bardziej oficjalny - odparła. - Wtedy, kiedy jesteśmy w pracy.

288

289

- Zauważyłem to.

- Ale niezupełnie mi się to udało.

- I bardzo się z tego cieszę. Uśmiechnął się.

- Dotąd wystarczało mi to co robiliśmy, Neil i ja. Wreszcie Tim musiał zadać to pytanie.

- Byliście kochankami?

- Niezbyt długo.

- I z tego też się cieszę.

Przeszli jeszcze kawałek, aż do ogrodzonego drewnianym płotkiem małego białego domu. W nikłym świetle ulicznej lampy i szarej mgły wyglądał jak brudny.

- Kiedy cię spotkałam, poczułam się zmęczona tym ciągłym przenoszeniem się z miejsca na miejsce - powiedziała, patrząc na Tima. - Chciałabym mieć poczucie, że gdzieś przynależę i że tam zostanę.

- A co z nami?

- Przecież właśnie o nas mówię - odparła. - Ty i to miasto jesteście tym, czego pragnę.

Tim miał wrażenie, że niesmak, który pozostał mu po rozmowie z Wisotem, gdzieś się rozplynął. Przytulił Janice i zaczęli się całować słonawymi od morskiego powietrza ustami. Potem wrócili do samochodu błądząc nieco po drodze, i bez troski, spokojni o przyszłość, rozmawiali o tym, co Janice mogłaby robić po odejściu z Biura Prokuratora Generalnego.

- Znam wszystkich w mieście - zapewnił Tim. - Z twoimi kwalifikacjami dostaniesz pracę, gdzie tylko zechcesz.

- Zobaczymy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Tim, kiedy wyjdzie na jaw, że prowadziłeś tajną operację, wiele rzeczy ulegnie zmianie.

- Wiem. Ale to nie znaczy, że nie będę mógł ci pomóc w znalezieniu pracy. Janice ściągnęła pasek płaszcza i mocniej go zawiązała. Jakiś samochód

przemknął obok nich, zbyt szybko jak na te nocne ciemności, ciągnąc za

sobą cieniutkie pasemka mgły.

- Okaże się, że masz przyjaciół tam, gdzie się ich nie spodziewałeś. I stracisz przyjaciół, których dotąd miałeś.

- Nie będzie aż tak źle.

- Nie będzie, jeśli będziemy razem i jeśli będziesz wierzył w moje uczucia do ciebie.

Poruszyła więc temat tabu i Tim wiedział, że dłużej nie można go unikać.

Skoro tej nocy mieli zacząć nowe życie, to kwestia zaufania była jak najbardziej istotna.

Jechali wolno, bo gdzieś tam mgła była wyjątkowo gęsta, a w Monterey zatrzymali się na kawę w małej, jasno oświetlonej jadłodajni na Pacific Street. Tim cieszył się, że nie zastali tu żadnych sędziów.

- Ciągle próbuję się zebrać na odwagę, żeby powiedzieć z ojcem - powiedział, gdy już odchodzili od stolika.

- Nie chciałam trzymać tej sprawy w tajemnicy przed tobą, Tim.

- Ale trzymałaś.

- Przepraszam. Popełniłam błąd. To był głupi pomysł.

- Zupełnie nie wiem, jak mam to zrobić, Janice - wyznał szczerze. - A przecież nie mogę tego zignorować.

- Nadejdzie kiedyś właściwa chwila - odrzekła. - Przykro mi.

- Dzisiaj zaczynamy nowe życie - oznajmił.

Kiedy wrócili do hotelu, kochali się pośród rozłożonych wokół dokumentów i teczek, niemych towarzyszy ich przyszłości. Po raz pierwszy, tak bliski Janice fizycznie i duchowo, Tim poczuł, że ogarnia go uczucie spełnienia. Odkąd jego małżeństwo rozpadło się i odebrano mu Bena, przeżył aż zbyt wiele rozstań, a próby zbliżenia się do Janice tylko



rozdrapywały rany. Ale od dzisiaj mieli już być razem.

Gdy pierwsze walczące z ciemnością promienie słońca wpadły przez okno, Tim usiadł na łóżku owinięty prześcieradłem i rozkoszował się widokiem śpiącej obok niego Janice.

A więc to jest właśnie to, pomyślał. I dzisiaj, i jutro. Był szczęśliwy.

290

Rozdział czterdziesty pierwszy.

Nash stał za biurkiem. Po prawej stronie miał Beniska, który wyglądał na zaskoczonego i poprawiał sobie okulary na nosie. Escobar wpatrywał się w sędziego. Było parę minut przed dziesiątą i ławnicy siedzieli już na sali rozpraw, a po dobiegającym stamtąd cichym brzęku łańcuchów można było sądzić, że Soika również jest na miejscu.

- Pan Escobar uważa, że jest w stanie unieważnić proces - oznajmił Nash. Po powrocie z Monterey, gdzie Janice zapewniła go o swojej miłości, czuł się tak odważny, że aż lekkomyślny.
- Niczego takiego nie powiedziałem - odrzekł Escobar.
- Nie bardzo rozumiem, panie sędzio - przyznał Benisek.
- W ubiegłym tygodniu pan Escobar mi groził. Oświadczył, że wykorzysta pewne informacje, by zmusić mnie do unieważnienia procesu.
- Moim zdaniem, biorąc pod uwagę jawny wyraz twojego do mnie uprzedzenia, mam prawo tego żądać - odparł Escobar, cofając się o krok, jak ktoś mocno zszokowany.
- Nie dostaniesz mojej zgody na unieważnienie, Vince. Co więcej

zamierzam złożyć na ciebie skargę w komsji dyscyplinarnej Stanowego Związku Prawników. Doprowadzę do tego, by odebrano ci prawo wykonywania zawodu.

Benisek chrząknął.

- Panie sędzio, czy coś komplikuje przebieg procesu? Muszę to wiedzieć.

- Teraz już nie. Pójdziemy na salę i rozpoczniemy posiedzenie. - Nash włożył na siebie togę. - Vince mówił, że miał zamiar powoływać nic nie znaczących świadków dotąd, aż unieważnię proces. Spróbuj to zrobić, Vince. Udowodnisz w ten sposób, że, twoim zdaniem, nie musisz się w ogóle starać.

Escobar był wściekły, twarz mu poczerwieniała i zażądał, by Nash wycofał się z procesu. Ale sędzia postanowił, że sprawa będzie kontynuowana

292

bez wiszącej nad nią groźby Escobara. Po kilkudniowym odpoczynku poczuł się odważniejszy.

Nic nie wskórawszy, Escobar gwałtownie popchnął drzwi i opuścił gabinet. Do środka zajrzała przejęta Vi. Nash i Benisek stali chwilę w milczeniu.

- Nie wiem o co chodzi, panie sędzio, ale nie podoba mi się to - stwierdził Benisek.

- Po prostu nie lubię, kiedy ktoś chce mi narzucić sposób prowadzenia procesu i to wszystko - odparł Nash. - Chodźmy zobaczyć, z czym Vince teraz wyskoczy.

Shea obwieścił wejście sędziego i wszyscy zgromadzeni na sali wstali.

Nash skinął głową w stronę przysięgłych. Siedzący na swoim miejscu Escobar rzucał mu wściekłe spojrzenia, a Cindy Duryea uspokajała i

pocieszała skutego Soikę.

To ja prowadzę ten proces, pomyślał Nash. I tajna operacja Roemera nie będzie miała na niego żadnego wpływu.

Escobar bezskutecznie starał się mówić cicho.

- Nie możesz zeznawać - zwrócił się do Soiki.
- Cholera. Powiedział pan, że wszystko jest załatwione. I że on jest urobiony.
- Podjął pewne kroki. Zostaw sprawę w moich rękach.
- Cholera jasna. Muszę zeznawać. Usadzi mnie, jak nie będę zeznawał.

Escobar zauważył, że przysięgli wpatrują się w zawziętą twarz Soiki.

Pomyślał, że właśnie przegrywa przez niego sprawę. Że tu, na jego oczach Soika zaprzepaszcza wszystko, co do tej pory zrobił.

- Mam kilku świadków na przedpołudniową sesję. Powołam faceta od balistyki i kryminologa, którego sam wynająłem - powiedział.
- Muszę mówić.
- Ułożymy plan w czasie przerwy na lunch. Do tej pory dam radę zapanować nad sytuacją.
- Będę zeznawał - oświadczył krótko Soika. - O.K.?
- Zrzuńujesz całą sprawę.
- Ten pieprzony proces jest mój, tak czy nie?
- Jak chcesz.

Escobar wstał, nie mogąc opanować wściekłości i czując, jak koszula pod pachami przesiąka mu potem. Nash spoglądał na niego chłodnym wzrokiem. Prawnikowi przyszło do głowy, że sędzia wygląda jak anioł zemsty. I obiecał sobie w myślach, że wykorzysta każdy haczyk, jaki tylko ma na Nasha i zeznania każdego więziennego kapusia, który będzie mógł

powiedzieć cokolwiek o powiązaniach szanowanego sędziego z Vismarą. Tym jednak, co najbardziej zabolalo Escobara, nie była wcale bezkompromisowość Soiki czy nawet nieoczekiwane zachowanie Nasha. Był to

293

natomiast fakt, że nagle poczuł się zupełnie bezradny. Nie wiedział już zupełnie, co się dzieje i nie miał pojęcia, jak zapanować nad sytuacją.

- Obrona powołuje na świadka Evana Soikę - oznajmił. Na ułamek sekundy na twarzy Nasha błysnęło zdziwienie.

Strażnik przyprowadził Soikę na miejsce dla świadków, rozkuł mu ręce i stanął za nim, gotowy w każdej chwili interweniować.

Escobar bardzo musiał się starać, ale opanował ogarniającą go wściekłość. Zadając krótkie pytania, pokierował zeznaniami podenerwowanego Soiki, który opowiedział, co zdarzyło się na stacji benzynowej Best Buy. Nash widział, że ławnicy uważnie obserwują oskarżonego. Zawsze zresztą lubili wysłuchać wersji podsądnego. To, że oskarżony nie ma obowiązku przedstawiać dowodów, było niepisaną regułą w sądzie, ale wszyscy wiedzieli, że sprawę, w której podsądny nie zeznaje, przysięgli uważali za niepełną.

Benisek wniósł sprzeciw - oddalony zresztą - ponieważ Soika udzielał bardzo chaotycznych odpowiedzi. Na twarzy Escobara niezmiennie widniał uśmiech. Równym krokiem chodził pomiędzy swoim stołem, biurkiem Vi, na którym leżały dowody rzeczowe, a krzesłem Soiki. Nash patrzył na to niechętnie, lecz z uznaniem. Escobar był dobrym prawnikiem.

Powtarzając co chwila, że jest niewinny, Soika skończył zeznawać około wpół do dwunastej. Ale mając w pamięci uwagi Atchleya, Nash pomyślał, że nikt nie jest niewinny.

- Czy Wysoki Sąd życzy sobie, żebym zaczął przesłuchanie dopiero po lunchu? - zapytał wciąż łagodnym głosem Benisek.

- Proszę zacząć od razu.

- Oczywiście, Wysoki Sądzie.

Nash wyprostował się na krześle. Benisek wstał, opierając się dłońmi o dokumenty na stole. Popatrzył na Soikę, który już się rozluźnił i ostentacyjnie to demonstrował.

- Udał się pan na stację Best Buy z naładowaną bronią, by dokonać rabunku, tak?

Soika przez chwilę nie odpowiadał.

- Potrzebowałem pieniędzy - odparł w końcu. - Mój brat był chory.

- Proszę odpowiedzieć tak lub nie - wtrącił się Nash.

- Nie, bo przypieracie mnie do muru - odrzekł Soika, wierząc się na krześle.

- Ostrzegałem pana, panie Soika, by nie okazywać sądowi braku szacunku

- przypomniał mu Nash spokojnie.

- Koniecznie chcecie wpakować mnie do ciupy i prześladowacie mojego adwokata - oświadczył butnie Soika.

- Czy naprawdę chce pan pozostać na sali, panie Soika? Bo mogę kazać pana wyprowadzić.

- Jasne. Pewnie.

Soika momentalnie się uspokoił. Escobar oparł łokcie na stole i nic nie powiedział. Posłał tylko gniewne spojrzenie, nie wiadomo jednak czy

sędziemu, czy swemu klientowi. A Cindy Duryea przyłożyła rękę do czoła.

294

- Proszę kontynuować, panie Benisek - polecił Nash.

Czuł teraz, że sprawuje pełną kontrolę i nad Wydziałem 14., i nad procesem. Kierował nim, bo i swoje życie wziął znów we własne ręce. I to dzięki Janice.

- Kiedy przyłożył pan naładowaną dubeltówkę do głowy pana Prentice'a, był pan gotów go zastrzelić, prawda? - podjął Benisek.

- Ja chciałem tylko pieniędzy. Nie miałem zamiaru robić mu krzywdy. To gliny go zastrzeliły.

- Proszę odpowiedzieć tak albo nie - pouczył go ponownie Nash. Soika wbił w niego wzrok.

- A więc nie.

- Mógł pan przecież oddać się w ręce policji, gdy tylko przyjechała, prawda?

- Nie.

- Ponieważ chciał pan uciec, zgadza się?

Soika skinął głową i drwiącym tonem powiedział:

- A cóż pan sobie myśli?

- Wykorzystał pan pana Prentice'a w charakterze żywej tarczy, prawda?

- Robiłem to, co było najlepsze i dla niego, i dla mnie.

Nash zastanawiał się, jakie też myśli chodzą po głowie ławnikom, którzy na kolanach trzymali gazety, książki albo i robótki ręczne. Wpatrywali się w Soikę.

- A więc przyłożenie mu lufy do głowy było dla niego najlepszym wyjściem?

- Nie miałem zamiaru nikogo zastrzelić.
- Ale broń była naładowana. Mogła wypalić.
- I wypaliła.
- Zabijając pana Prentice'a - rzucił Benisek.
- To nie moja wina - oznajmił Soika, podnosząc się nieco, przez co łańcuchy na jego nogach zabrzęczały. Strażnik podszedł bliżej, wyciągając rękę, gotów popchnąć Soikę z powrotem na miejsce. Oskarżony popatrzył na Escobara, ale ten odwrócił wzrok.

Nash zastanawiał się, czy intencje Soiki należy traktować tak samo, a może przypisać im większe znaczenie niż czynom? Nie można wymagać, by każdy czyn osądzany był za skutki, które przynosi. Tego Nash nauczył się w ciągu paru ostatnich tygodni dzięki operacji Stracone Zaufanie. Sędzia pozwolił Beniskowi przeciągnąć przesłuchanie poza godzinę dwunastą, ale w końcu zorientował się, że przysięgli niecierpliwie wyglądają przerwy, więc ją ogłosił. Soika pozostał jeszcze na miejscu dla świadków i wszyscy, patrząc na przytrzymującego drzwi Sheę, czekali, aż ławnicy wyjdą, wtapiając się w tłum wylewających się z innych sal ludzi. Kiedy Scotty zamknął drzwi, strażnik pomógł Soice opuścić miejsce dla świadków. Nash wstał i ruszył w stronę wyjścia. Vi również się podniosła i skierowała do sekretariatu, bo zaczął właśnie dzwonić telefon.

295

Wszystko stało się tak szybko, że zanim Nash zdążył się zorientować, co się dzieje, zobaczył na podłodze walczących ze sobą ludzi, usłyszał wrzaski i pełne wściekłości głosy, odbijające się echem po sali.

Dwukrotnie rozległ się krzyk Vi.

Nash rzucił się z powrotem w stronę swego miejsca, drżącymi palcami odnalazł przycisk alarmowy, wcisnął go i w całym gmachu natychmiast zaczęły wyc syreny. Shea dopadł do wrzeszczącego Soiki, który dusił Vi. Przez głowę Nasha przebiegła jedna myśl - Soika jest znacznie potężniejszy od Vi; w jego rękach kobieta wydawała się bardzo drobna. Shea wreszcie oderwał od Vi Soikę i wciąż wierzgającego skutymi nogami rzucił plecami na podłogę. Nash tymczasem podbiegł do Vi i odciągnął ją w bezpieczne miejsce, z dala od Soiki.

Nagle drzwi sali otworzyły się i do środka wpadło dwunastu umundurowanych ludzi z pałkami w rękach. Shea wbił palce w szyję Soiki i Nash usłyszał wrzask Cindy Duryei, że strażnik udusi Evana.

W końcu, poszarpując go, strażnicy wyprowadzili Soikę z sali. Nash pochylił się nad Vi.

- Postąpiłam bezmyślnie - powiedziała. - Normalnie nigdy nie zbliżam się do oskarżonego. Takiego, który jest pod strażą.

Wyglądało na to, że przede wszystkim jest podenerwowana. Gdzieś z korytarza dobiegały wrzaski Soiki i głosy klnących strażników.

- Dobrze się czujesz? Nic ci się nie stało? - spytał szybko Nash.

- Tak. Chyba wszystko w porządku. Tak mi głupio.

Tim uspokoił ją, że to zupełnie nieważne, że liczy się tylko jej bezpieczeństwo. Czuł, że kręci mu się w głowie, a toga krępowała mu ruchy, gdy pomagał Vi usiąść na krześle. Odkąd na pierwszym piętrze zainstalowano wykrywacze metalu i ustawiono wartowników, czyli od trzech lat, nie było w sądzie ani jednego przypadku aktu przemocy.

- Ale się wystraszyłem - przyznał Nash. - Bałem się, że zrobił ci krzywdę. Ze stojącej na stole dla prawników karafki nalał jej szklankę wody. Nagle



uświadomił sobie, że na sali zostali tylko oni dwoje i Escobar. Cindy Duryea pobiegła za zwartym tłumem, w środku którego był Soika. W kierunku sali zewsząd zbiegali się ludzie.

- To twoja wina - zwrócił się Escobar do Nasha. - Ty go do tego doprowadziłeś. Robisz, co możesz, żeby jak najszybciej zakończyć tę sprawę.

- Zamknij się - odrzekł Nash, podając Vi wodę.

- Na wszystko mam dowody - groził Escobar, kierując się powoli w stronę korytarza na tyłach sali. - Unieważnię ten pieprzony proces i zniszczę cię, panie sędzio.

Rozdział czterdziesty drugi.

Przysięgli wyszli już z sali, więc niczego nie widzieli - opowiadał Nash Roemerowi.

- Całe szczęście.

- Dlatego mogę uratować tę sprawę, nie muszę jej unieważniać.

Ze zmęczenia zaczął trzeć oczy. Naprzeciw niego, przy znajdującym się w apartamencie barku, Vismara w zamyśleniu sączył wodę sodową. Mieli za sobą przesłuchiwanie taśmy z nagraniem rozmowy z Ruth Frenkel i porównywanie jej z przygotowanym przez FBI zapisem pisemnym. Nash był zupełnie wyczerpany.

- Ten facet dalej szykuje panu jakieś kłopoty? - spytał Vismara. Tim wzruszył ramionami.

- Nie wiem, Lou. Grozi, że pójdzie do głównego sędziego. Ale nie zrobi

tego. Góra zbyt wiele mi zawdzięcza.

- Skończymy, zanim ten pomylenieć zdąży ci w czymkolwiek zaszkodzić

- obiecał Roemer. - Ława przysięgłych w Sacramento zbiera się za niecałe dwa dni. W nocy złożysz zeznanie, a rano będziesz już mógł zacząć rozprawę.

- Dzięki - odparł sarkastycznym tonem Nash.

Z sypialni wyszła Janice. Pokój nie przypominał już studia telewizyjnego; zostały tylko dwa magnetofony i magnetowid do przejrzenia taśmy, którą Roemer zamierzał przedstawić przysięgłym. Nash zdążył zobojętnieć na fakt, że to właśnie on dostarczy dowody obciążające Franka Wisota, Dwighta Peatlinga, Ruth Frenkel i dwóch skorumpowanych policjantów. Wnioski przeciwko pozostałym osobom miały być rozpatrywane później.

- Chcę już mieć to z głowy, żeby sprawa nabrała rozgłosu i zaczęło się śledztwo - powiedział Roemer, gdy tylko zebrali się tego wieczoru. Bardzo się starał, żeby jego głos brzmiał pogodnie, ale w jego oczach malowała się surowość. Przesunął kciukami po szelkach.

297

- Ale ten facet ciągle może narobić panu kłopotów, panie sędzio?

-dopytywał się Vismara, wychodząc zza baru. - Będzie próbował panu przypierdolić?

- Dam sobie z nim radę.

- On ma nieczyste zagrywki.

Roemer wstał z miejsca i przyniósł jeszcze jeden segregator. Nie spojrzał nawet na Janice. Nash pomyślał, że pewnie mu powiedziała. Dawna sympatia najwyraźniej nie wygasła. Roemer nie należał do ludzi, którzy umieją przegrywać.

- Gdy tylko dokonamy aresztowań, Escobar nie będzie mógł podskakiwać
- stwierdził Nash. - Nie jestem skorumpowanym sędzią.
- Ale on i tak panu nie daruje. Wiem to. Znałem w więzieniu facetów takich jak on - ciągnął Vismara, dotykając czoła chusteczką. - Ciągłe będzie za panem chodził. A jak tylko odwróci się pan do niego plecami, dostanie pan cios między łopatki - stwierdził, wykonując ruch jak przy pchnięciu nożem.
- A co z twoją sekretarką? - spytała Janice. Wzięła maszynopis, który Roemer podał jej obojętnym gestem.
- Jest w domu - odrzekł Nash, ziewając. - Chciała zostać, ale uznałem, że przyda jej się trochę odpoczynku.
- Nic jej się nie stało? - zainteresował się Roemer, czytając dokumenty.
- Była oszołomiona. Podobnie jak ja. To naprawdę szokujące, kiedy ktoś człowieka zaatakuje.

Vismara pokiwał głową. Usiadł przy stole, na którym stał jeden z magnetofonów i podłączone do niego głośniki.

- Musi pan się zachowywać jak uliczny zabijaka i ciągle oglądać się za siebie.
- Nie jestem ulicznym zabijaką - odparł, uśmiechając się Nash. Vismara ponownie pokiwał głową i starannie złożył chusteczkę.
- No dobra. Mamy tu jeszcze coś do roboty? Bo robi się późno.

Z powrotem zajęli się taśmami. Gdy już kończyli, Roemer objaśnił Nashowi i Vismarze, jak zamierza przedstawić przysięgłym materiały dowodowe. Najpierw agenci FBI, głównie Jacobs i Sanchez, oraz jakiś technik, prawdopodobnie Testa, mieli opowiedzieć, w jaki sposób powstały nagrania i co właściwie przysięgli usłyszą. Potem miał zeznawać

Nash, a po nim Vismara. Powołując Louisa po Nashu, Roemer chciał rozproszyć ewentualną niechęć czy brak zaufania do świadka, którego opłacono, czy z którym zawarto jakąś umowę. Słyszając to, Vismara uśmiechnął się szeroko.

- Doprowadzę do tego, że będą mnie uwielbiać - wtrącił wesoło.  
- Ale ty jesteś głównym świadkiem, Tim - ciągnął Roemer. - Będę chciał, żebyś opowiedział o spotkaniach z Ruth Frenkel, a także z Wisotem i Peatlingiem. Omówimy, jak przebiegały rozmowy wstępne i same transakcje. Potem ja zaprezentuję nagrania. I pokażę wyciągi bankowe z konta Wisota.

298

- Zamierzasz wchodzić w szczegóły?

Stojąc z rękoma w kieszeniach, Roemer potrząsnął głową, a w jego oczach znów odmalowała się wojowniczość, zupełnie jakby miał przed sobą nieprzyjaznych sobie reporterów czy krytyków.

- Omówię sprawę tylko z grubsza. Trzymając się ściśle sedna. Szczegóły zostawimy na rozprawę.

Janice spojrzała na Vismarę.

- Pamiętaj o podstawowych zasadach, Louis. Mów tylko wtedy, gdy Neil zada ci pytanie. I udzielaj ścisłej odpowiedzi, niczego nie dodając. Jeśli będziesz musiał, zastanów się, zanim odpowiesz. I powiedz, jeśli czegoś nie zrozumiesz.

Nash lubił słuchać Janice. Posłał jej uśmiech, a ona pochyliła nieco głowę.

- Na sali nie będzie obrońcy, ale może się zdarzyć, że przysięgli będą zadawać pytania.

- Nie przy moim sposobie przedstawienia tej sprawy - burknął Roemer. -

Usłyszą tylko to, co ja będę chciał im przekazać.

- Krótko i zwięźle - podsumował Vismara.
- Potem dostaniemy zapieczętowany akt oskarżenia i od razu zaaresztujemy tych skurwieli.

Nash rzucił Roemerowi zdziwione spojrzenie.

- Czy Ruth i Frank nie mogliby zgłosić się sami? Na pewno się przyznają. Chryste Panie, publiczne aresztowanie byłoby straszne.

Peatling i policjanci nic go nie obchodzili.

- Jasne. I mam nadzieję, że tak będzie.
- Ale w ten sposób zadasz ludziom dużo bólu, Neil, a to zbyt wysoka cena za rozgłos - stwierdził zagniewany Tim.
- Decyzja w tej sprawie nie należy do ciebie - uciął Roemer.

Na myśl, że Frank Wisot albo Ruth zostaną zakuci w kajdanki, bo tak pewnie będzie, i wyprowadzeni ze swoich domów wprost w tłum wrzeszczących i bezlitośnie nacierających na nich reporterów, Nashowi ścisnęło się serce. Jednakże publiczne ich poniżenie było częścią operacji, częścią kary za prostytuowanie sprawiedliwości. Tim uświadomił sobie, że to, co ma się stać, powinien postrzegać właśnie w ten sposób, o ile ma dalej żyć w zgodzie z samym sobą.

Nie był w stanie czegokolwiek zmienić. Roemer miał już ustalony plan działania. Jediną formą ucieczki od tego wszystkiego było odmówienie złożenia zeznań przed sądem. Tylko że Frank i Ruth nie byli niewinni. Sami zgotowali sobie taki los.

Dochodziła jedenasta, kiedy Vismara wstał, przeciągnął się i odłożył swój egzemplarz zapisu spotkania z Wisotem, które zresztą odbyło się w jego własnym mieszkaniu i w czasie którego, jak przypomniał sobie z

zażenowaniem Nash, Frank przyjął kopertę z pieniędzmi i schował ją do biurka niczym paczkę gumy do żucia.

299

- Jutro wieczorem też się spotykamy? - spytał Vismara.

- Tak, Lou. O tej samej porze. Zrobimy próbę generalną twojego wystąpienia przed ławą przysięgłych.

Roemer odprowadził go do drzwi. Vismara poprawił jeszcze na sobie płaszcz i obwieścił:

- Idę spać.

Roemer powrócił do stołu.

- Muszę to powiedzieć - zaczął, przerzucając jakieś dokumenty. - Nie podoba mi się, że mamy przerwać tak dobrą współpracę, Janice.

- Wszystko ma swój koniec, Neil.

Nash nalał sobie szklanek wody i dodał do niej lód.

- Gdyby nie ty, to prawdopodobnie nigdy byśmy się nie poznali - wtrącił.

- To było jedno z moich lepszych posunięć - stwierdził Roemer.

- Masz przecież rodzinę - powiedziała Janice. - I wspaniałe dzieci.

- Każdy coś zyskał.

Nash ponownie ziewnął. Był tak potwornie zmęczony, że ogarnęło go już zubożenie i senność. Chciał jeszcze zadzwonić do Vi, o ile nie było na to za późno, żeby upewnić się, iż czuje się lepiej. Przyszło mu do głowy, że jest jeszcze jeden powód, dla którego Roemer nie ugnie się w kwestii publicznego zaarrestowania Wisota i Ruth. Chodziło mianowicie o niego i Janice. Osobista uraza znajduje zwykle swój wyraz w zachowaniu wobec innych ludzi.

- No cóż, mam nadzieję, Tim, że wszystko pójdzie jak należy - stwierdził

Roemer, rozglądając się za płaszczem, który parę godzin temu rzucił niedbale na sofę. - Ludzie tacy jak ty zawsze znajdują właściwe rozwiązanie. Kroczą przez życie w zgodzie z prawem.

Nash wyczuł gorzki podtekst, ale Roemer tylko się uśmiechnął.

- Wielkoduszny z ciebie człowiek, Neil - stwierdziła chłodno Janice.

Dzwonek telefonu rozbudził i Tima, i Janice. Na suficie majaczyły odbicia drobniutkich fal z basenu.

Tim odłożył słuchawkę i przez chwilę siedział bez ruchu, pogrążony w myślach. W końcu odezwał się do Janice:

- Ubierz się. I zadzwoń do Roemera.
- Ale co się stało, Tim? Nie zorientowałam się po twoich odpowiedziach.
- Zapamiętaj ten adres - powiedział i podał jej numer na South Augusta Avenue, po czym wyskoczył z łóżka. - Powiedz Roemerowi, że tam się spotkamy.

Była już prawie czwarta nad ranem, a policja znajdowała się na miejscu od dwóch godzin. Noc była zimna, niemal tak lodowata jak w Monterey.

Wzdłuż oddalonego nieco od miejsca zdarzenia krańca blokady stało sześć 300

policyjnych radiowozów, i jak policzył Nash, kręciło się tam dwunastu funkcjonariuszy.

Do Tima i Janice podszedł Benisek.

- Zadzwoił do mnie Carriger z Wydziału Zabójstw, jak tylko zidentyfikował zwłoki. Pomyślałem, że powinienem dać panu znać, panie sędzio.

- Gdzie on jest?

Benisek poprowadził ich w stronę alejki, mijając po drodze salon masażu

Seoul Man i zasłonięte żaluzjami okno biura nieruchomości. Ubrani po cywilnemu detektywi rozmawiali właśnie z dwiema Koreankami, które, trzęsąc się z zimna, obejmowały się ramionami i przestępowały z nogi na nogę na swych wysokich obcasach. Nash zauważył, że Benisek, odziany w zimowy płaszcz, ma przypiętą odznakę.

Kiedy weszli w alejkę, Janice została nieco w tyle. Pod ścianą budynku zobaczyła policyjną furgonetkę i pięciu czy sześciu ludzi, którzy krzatali się nad czymś, co leżało za dwoma wielkimi pojemnikami na śmieci. Nash stał nieruchomo. Ciało wciśnięte było pomiędzy pojemniki tuż przy ceglany murze; w tych ciemnych, bezkształtnych zwłokach odcinała się jedna śnieżnobiała ręka.

- To dopiero drugi trup w mojej karierze - stwierdził spokojnie Nash.

-Nigdy nie jeździłem na miejsca zbrodni ani na autopsję.

Dwóch policjantów popatrzyło na niego. Na dłoniach mieli rękawiczki i zbierali próbki krwi z ciemnych plam wokół ciała. Janice wciąż nie podchodziła

- Popatrz - zwrócił się do niej Nash.

- No dobrze - odparła i szybko zerknęła na trupa. Z jej ust wyrwało się westchnienie.

- Escobar przychodził tu regularnie - oznajmił Benisek tym samym łagodnym głosem, który Nash tak dobrze znał z sali rozpraw.

- Dzisiaj też tu był i robił to co zwykle. - Jeden z policjantów wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Wyszedł około pierwszej.

- Jak zginął? - zapytała Janice.

- Ugodzone go sztyletem sześć, siedem, osiem... - liczył stojący najbliżej ciemnego kształtu policjant. - Myślę, że dziewięć razy.



Benisek zniżył głos.

- Sprzeczą się co do ilości pchnięć i porobili już zakłady - poinformował Nasha.

- Ten facet potrafił załatwić bilety na każdy mecz - powiedział jeden z policjantów. - Naprawdę. Można było dostać u niego dobre miejsca na każdy pieprzony mecz. Niech to jasna cholera. - Żal po stracie był szczery. Po chwili Nash, Janice i Benisek wyszli z alejki. Po drugiej stronie ulicy Nash dostrzegł tylko trzy osoby, które z zaciekawieniem obserwowały, co się dzieje. Przy ciele Escobara nie znaleziono portfela ani zegarka; nie było też obrączki, którą zdejmowano z taką siłą, że palec przecięty był aż do kości. Benisek dodał też, że nie znaleziono żadnych śladów walki z napastnikiem.

- Pewnie go zaskoczono, gdy tylko wyszedł - powiedział Nash.

301

- Nie sędzę. To pewnie jakiś alfons nagabujący klientów i na nieszczęście trafiło na Escobara.

- Skoro nie ma żadnych śladów walki, to Escobar może widział człowieka, który go zasztyletował - przypuszczał dalej Nash.

Benisek potrząsnął przecząco głową.

- To mogła być jedna z dziewczyn.

- Albo ktoś znajomy.

Pojawił się Roemer, pomachał im i przez nikogo nie zatrzymywany przeszedł pod barierką.

- Słyszałem, że twój obrońca zszedł z tego świata. - Miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy. Najwyraźniej nie zamierzał przedstawiać się Beniskowi.

- To był napad rabunkowy, Neil - oznajmiła Janice.
- Niedobrze. Macie mi coś jeszcze do powiedzenia? - spytał wprost. -Noc wprawdzie jest ładna, ale wolałbym być teraz w domu.
- Janice ma lepszą teorię niż napad rabunkowy - stwierdził Nash.
- Wcale nie - odparła dziewczyna.

Benisek odszedł na bok porozmawiać z policjantami. Ekipa z kamerą wideo już skierowała się w stronę alejki. Nashowi przemknęła przez głowę myśl, że każdy ich ruch utrwała się na taśmie filmowej.

- Niech policja zajmie się teraz tym, co do niej należy - stwierdziła Janice.
- My nie mamy tu nic do roboty, Tim.
- Co tu się właściwie dzieje? - pytał Roemer. - Nie zajmuję się takimi sprawami.
- To robota Vismary - oznajmił Nash. - To on zabił Escobara. Roemer wsunął ręce głęboko do kieszeni. Mógł patrzeć, jak ktoś ginie na jego oczach, jak pada z wylewającymi się z brzucha wnętrznościami, a i tak nie było po nim widać żadnych emocji. Chyba że chciał jakieś okazać, pomyślał Nash pełen nienawiści do tego bezlitosnego człowieka.
- Louie? - powtórzył Roemer. - Gówno prawda.
- Zrobił to dla mnie.
- Bzdury.
- Przekonajmy się - powiedział Nash.

Siedzieli w salonie wynajętego domu Vismary. Louis miał na sobie pasiaste spodnie od pizamy, a jego dziewczyna, siedząca na stołku przed nie używanym kominkiem, ubrana była w szlafrok. Oboje mieli twarze ludzi wyrwanych ze snu.

- Czy Louis był z panią przez całą noc? - dopytywał się Nash.

- Odkąd wrócił do domu. O północy czy coś koło tego. - Dziewczyna wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową, próbując się rozbudzić.

Nash, Janice i Roemer stali w półkołu.

- Nawet trochę wcześniej. Z hotelu wyszedłem około jedenastej, prawda?

- Vismara spojrzał na Roemera.

302

- Zgadza się, Louie.

- Znałeś Escobara i wiedziałeś, jakie ma zwyczaje - upierał się Nash.

-Byłeś jego klientem.

Vismara podrapał się po klatce piersiowej i odparł ostrym głosem:

- Wcale nie jest mi przykro, że ktoś go ukatrupił, panie sędzio. Ani mi się śni. Wreszcie go to spotkało.

- Nie prosiłem, żeby go zabijać.

- Szczęściarz z pana. Ktoś wyrządził panu przysługę. Pamięta pan, jak opowiadałem panu o przysługach? - mówił Vismara. - Czasami spotyka cię coś dobrego i człowiek nawet nie wie, komu to zawdzięcza.

- Ja wiem - odparł Nash wzburzony, bo miał już pewność.

Vismara był człowiekiem lojalnym i bezwzględny. Nash pomyślał, że go podziwia. I dlatego usunął to, co zagrażało jemu i losowi operacji.

- Prześpij się, Louis - powiedział Roemer. - Jutro znów czeka nas sprawdzanie tekstów. I nie zawracaj sobie tym głowy.

- Policja prowadzi dochodzenie - wtrąciła Janice. - Znajdą wszelkie istniejące dowody.

- Pewnie. - Vismara ziewnął, po czym wstał i troskliwie otoczył ramieniem swoją dziewczynę. - Dowiedzą się co zaszło. I złapią winnego.

- Dobranoc - powiedział Roemer, a Vismara zamknął za nimi drzwi. Przez

chwilę wszyscy troje stali na ładnie utrzymanym trawniku przed domem Louisa, który wynajmował dla niego rząd w zamian za świadczone usługi. Roemerowi podobało się, że wszystko wokół wygląda tu tak zwyczajnie. W okolicznych domach nie paliło się ani jedno światło.

- On to zrobił, Neil - stwierdził Nash.
- Nie sądzę. Moim zdaniem ma murowane alibi.
- Policja przedstawi jakieś dowody - wtrąciła Janice.

Nash pomyślał, że jeśli uznajemy za pewnik fakt, który nie ma potwierdzenia, nie zadreżamy swego sumienia rozmaitymi ewentualnościami. Przyszłość może przecież przynieść spełnienie naszych życzeń. A przeszłość jest za nami. Jeśli Janice i Roemer koniecznie chcą wierzyć w niewinność Vismara, to nawet nie muszą się do tego zmuszać. Dla nich wszystkich niewinność była pojęciem jedynie teoretycznym. I robili już niejedno, i widzieli zbyt wiele.

Ale ja wiem, myślał Nash.

- Trzymajcie go ode mnie z daleka - powiedział. - Nie chcę, żeby kręcił się koło mnie.

Roemer popatrzył na spiętego, zdenerwowanego Tima.

- Zrobię wszystko, byle tylko ułatwić ci składanie zeznań.
- To morderstwo - powiedział do Janice, gdy weszli do mieszkania.

Spojrzał na lampę, którą razem kupili i która przypominała im o łączącej ich od niedawna więzi.

303

- Jeśli okaże się, że to Vismara, to podejmiemy odpowiednie kroki
- oznajmiła Janice, siadając na łóżku.
- A dopóki nie będzie dowodów, idziemy do przodu pełną parą? I

morderca ma oskarżać ludzi przed sądem?

- Przecież nie wiesz, czy to on zrobił. Nikt tego nie wie.
- Naprawdę w to wierzysz, Janice?
- Przejrzymy dokładnie raporty. Nash milczał.
- Boże Wszechmogący, Tim. Chcesz zaprzepaścić bardzo kosztowną i bardzo delikatną operację i to tylko z powodu podejrzeń?
- Ja mam pewność. I ty też. I Neil także.
- Nie. Jesteś jedynym, który w to wierzy.
- Roemer dobrze wie, ale nic go to nie obchodzi. Zależy mu wyłącznie na tym, żeby policja znalazła jakieś wiarygodne wyjaśnienie tego morderstwa.
- Wtedy sprawa załatwiona - stwierdziła Janice. - Vismara będzie oczyszczony z podejrzeń.

Tim położył się na łóżku. W całym mieszkaniu paliło się światło. A on sam wciąż miał na sobie płaszcz i buty włożone na gołe stopy.

- Mógłbyś zdobyć się choć na tyle szczerości, żeby wyjaśnić, dlaczego zachowujesz się w taki właśnie sposób - powiedziała Janice.
- Bo widzę, jaka jest prawda. Janice zniecierpliwiła się.
- Jesteś wściekły, bo nie wiesz, jak potoczą się losy procesu. Potrzebny ci kozioł ofiarny.
- Nie oskarżam Vismary o morderstwo tylko dlatego, że proces trzeba będzie zacząć od początku.

Tim usiadł i popatrzył na nią zdziwiony. Janice była zmęczona i poirytowana.

- Prawdę mówi się każdemu z wyjątkiem siebie samego. Właśnie w ten sposób idzie się przez życie.

- Wiesz, co on zrobił.

Janice zakłęła i chociaż męczyła go świadomość tego co się stało, Tim przestraszył się, że zostawi go samego. Jednak dziewczyna poszła tylko do łazienki, skąd dobiegł go odgłos rozpryskiwanej w umywalce wody.

Chciała się umyć, zmyć z siebie wszystko, cały ten brud z alejki i miała nadzieję, że w ten sposób zamknie sprawę.

Gdy wyszła z łazienki, Tim zdążył już powyłączać światła i zdjąć buty, rzucając je koło łóżka. Janice położyła się obok niego. Jej twarz pachniała mydłem.

- Znaleźliśmy się na krawędzi, prawda, Tim? - spytała w ciemności.

- Tak - szepnął.

Rozdział czterdziesty trzeci.

Valles odniósł wrażenie, że ten ślamazarny psycholog lubi słuchać swojego własnego głosu.

- Widzę tylko gniew. I urazę. I frustrację - powiedział mężczyzna, przechadzając się po pełnym paproci gabinecie i wymachując rękami nad głowami Vallesa i Arlene. Harry siedział z boku. - Nie zauważyłem, żeby państwo pomagali chłopcu.

- Ależ my kochamy nasze dzieci - odrzekła Arlene. - Zrobiliśmy dla nich wszystko, co tylko można.

Valles zagłębił się w za miękkim jak dla niego fotelu. Był wściekły, że żona usprawiedliwia się przed tym dupkiem. Ulegając presji, zgodził się przyjść na zaoferowane mu przez policję bezpłatne spotkanie z

psychologiem. Fakt, że miał rację co do jego przydatności, sprawił mu pewną satysfakcję. Rzeczywiście była to strata czasu.

- Kochamy - powtórzył mężczyzna, jakby usłyszał obce słowo. - Kochasz swoich rodziców, Harry?

- Jasne - odparł chłopak. - Ubrany w dżinsową kurtkę, na wpół siedział, a na wpół leżał na krześle.

Valles miał ochotę nim potrząsnąć. Wprawiał w duże zakłopotanie zarówno jego, jak i Arlene.

- Proszę pana - burknął Valles. - Mamy dwoje dzieci i tylko Harry sprawia nam problemy.

- Co myślisz o swoim tacie, Harry? - Psycholog wymachiwał piórem.

-Czy siedząc tu teraz, czujesz, że go lubisz? O czym w tej chwili myślisz?

Valles czekał w napięciu. Jak to możliwe, żeby dzieciak zmienił się tak bardzo i to w tak krótkim czasie? Harry obrzucił wzrokiem rodziców.

- Niech pan na niego popatrzy - powiedział. - Nie widzi pan, jak wygląda? Na twarzy Harry'ego pojawił się szeroki głupkowaty uśmiech.

305

- Tą pracą zarabiam na życie! - ryknął Valles, zrywając się na nogi.

-Dzięki niej możemy się utrzymać. Możesz mieć swój pokój, ubrania i wykształcenie.

- Znow słyszę w pańskim głosie gniew - westchnął psycholog.

- To przez Harry'ego - zwróciła mu uwagę Arlene.

- Zgadza się - przyznał Harry, uśmiechając się.

Dla Vallesa tego było już za wiele. Oczekiwano od niego, że będzie się wstydził tego, że jest policjantem i działa w utajeniu. Miał przepraszać za to, że stara się chronić dzieciaki takie jak Harry przed narkotykami? Z

pewnością nie zamierzał płaszczyć się i bić czołem przed tym idiotą i swoim nastoletnim synem.

- Proszę pana, jestem dumny z mojej pracy. I robię kawał dobrej roboty. Obecnie zajmuję się sprawą, która wstrząśnie wkrótce całym miastem. I to właśnie ja. Wspólnie z moim partnerem. Robię wszystko, na co mnie stać, dla dobra mojej rodziny i dla ludzi, z którymi pracuję. Już niedługo usłyszysz pan o tym i zrobi się panu potwornie głupio, że tak mnie pan krytykował.

Był wściekły i wyrzucił to z siebie jednym tchem. Ale, pomyślał, przynajmniej będą wiedzieć, kiedy sędzia zostanie aresztowany, a zaraz po nim zastępcy szeryfa za handel narkotykami.

Valles zauważył, że Harry z politowaniem kręcił głową. Szkoda, pomyślał, sięgając po dłoń Arlene, że znów nie ma ośmiu lat.

Nash odczekał, aż sędziowie przysięgli się uciszą. Wszyscy już dowiedzieli się z gazet albo z telewizji. Poznał to po ich spojrzeniach, które coraz to padały na puste krzesło obok Soiki. Jak obwieściłby im to mój ojciec? -zastanawiał się, spoglądając na nich z podwyższenia.

Cieszący się szacunkiem Jack Nash potrafiłby może sprawić, by zrozumieli.

- Panie i panowie - zaczął - wszyscy słyszeliście zapewne, że wczoraj w nocy zamordowano adwokata prowadzącego obronę w tej sprawie. Archie Marleau pokiwał głową. Pani Spirlock spuściła wzrok. Twarze pozostałych ławników nie wyrażały niczego szczególnego. Benisek siedział z opuszczonymi luźno rękami. A Soika, tak dokładnie skutą, że ledwie mógł się ruszać, szeptał coś do Cindy Duryei, której oczy czerwone były od płaczu. A więc jednak ktoś przejął się śmiercią Vince'a Escobara,



pomyślał Nash.

- Chciałbym mieć pewność, że ani teraz, ani później nikt z państwa nie będzie łączył śmierci pana Escobara z niniejszym procesem. Możliwe, że niektórzy z was ponownie zasiądą na ławie przysięgłych. Dlatego powinniście państwo traktować oba te smutne wydarzenia jako całkowicie od siebie niezależne.

Chciałbym móc tak o nich myśleć, powiedział sobie Nash. Tego ranka on i Janice prawie się do siebie nie odzywali i starali nie wchodzić sobie w drogę. W nocy Janice powiedziała, że stoją nad przepaścią. Ale Nash wiedział, że żadne z nich nie chce do niej zlecieć.

306

- Przykro mi, że po zapoznaniu się z tak szerokim materiałem dowodowym nie będziecie państwo mieli okazji rozważyć tej sprawy - ciągnął oficjalnym tonem. - Zostajecie zwolnieni z obowiązku sprawowania funkcji przysięgłego. W imieniu naszego hrabstwa dziękuję państwu za uwagę i czas poświęcone tej sprawie. Na was opiera się nasz system wymiaru sprawiedliwości. Proszę, aby po opuszczeniu sali zgłosili się państwo do urzędnika w administracji, bo być może zostaną państwu przydzielone inne sprawy.

Nash spojrział na Cindy Duryeę i zmieszanego, zdenerwowanego Soikę.

- Czy obrona chce coś powiedzieć?
- Nie, Wysoki Sądzie - odrzekła powoli Duryea.
- A oskarżenie?
- Nie, Wysoki Sądzie.

Nash ponownie popatrzył na ławników.

- A więc ogłaszam zerwanie sprawy z przyczyn proceduralnych. Sąd

zbierze się ponownie w poniedziałek o ósmej czterdzieści pięć w celu wyznaczenia terminu nowego procesu.

- Czy sąd wysłucha wniosku o wyznaczenie kaucji za pana Soikę?

- spytała Cindy Duryea i wydmuchała nos w papierową chusteczkę.

- Nie - odrzekł Nash. - Kaucja zostanie bez zmian.

Przyszło mu do głowy, że Escobarowi podobałoby się, że Duryea wykorzystuje nawet jego śmierć, byle przyjść z pomocą swemu klientowi.

Kiedy na sali został już tylko Benisek, Nash, nie wstając z fotela, zapytał:

- Dowiedziałeś się może czegoś nowego, Craig?

Benisek zaczął się powoli podnosić. Przytłaczał go ciężar

wielotygodniowych przesłuchań, które poszły na marne i świadomość, że świadkowie będą pewnie wystraszeni albo poirytowani, gdy poprosi ich o ponowne stawienie się w sądzie.

- Nie. Gliny mówią, że nie wygląda to najlepiej.

- Jest jeszcze wczesnie. Wiele może się zmienić.

- Znosi się na to, że będziemy mieć już dwudziesty szósty w tym roku wypadek morderstwa, w którym nie znaleziono winnego - dodał Benisek.

Na jego twarzy pojawił się sztuczny uśmiech. - Jak na razie przynajmniej.

Jazda do Sacramento trwała dłużej, niż się spodziewał i często zastanawiał się w tym czasie, w jaki sposób powinien przeprowadzić rozmowę z

ojcem. Jak dotąd nie nadarzyła się ku temu żadna stosowna okazja. Wciąż się wahał, a nie mógł o tym pomówić ani ze swoim bratem, ani z matką,

ani w ogóle z nikim. Była to kwestia, którą przede wszystkim musiał rozstrzygnąć z ojcem.

Budynek sądu federalnego wyglądał w nocy jak szara i zimna bryła betonu podświetlona od dołu ustawionymi na trawniku reflektorami. Funkcję

strażników pełnili tu emerytowani policjanci, ubrani w źle dopasowane niebieskie kurtki, i to oni pomogli Nashowi trafić na salę rozpraw. Roemer 307

i Janice czekali już w korytarzu. W głowie kłębiły się Nashowi fakty i słowa, które wypowiedzieli Ruth i Frank. W tej ostatniej chwili przed złożeniem zeznań ogarnęło go silne zdenerwowanie.

- Odpręż się - powiedział jowialnie Roemer. Miał na sobie niebieski, prążkowany garnitur, a pod pachą zwinięty w długi rulon karton, na którym spisał wszelkie oskarżenia i wypadki naruszenia prawa, jakie chciał przedstawić sądowi. - Ci ludzie chcą cię wysłuchać. Są żywo zainteresowani tą sprawą. Wygłosiłem im już świetną mowę wstępną i teraz czekają, żeby zanurzyć się w tej sprawie po uszy.

W słabym nocnym oświetleniu korytarza Janice wyglądała bardzo blado. Przyjechała z Roemerem wcześniej, bo pojawili się inni świadkowie.

- Sędzia ogłosił dziesięciominutową przerwę - powiedziała. - Świetnie wyglądasz.

- Wejdźmy - powiedział Nash.

Sala rozpraw była bardzo duża, wyłożona grubym, drogim dywanem, sufit miała zdobiony ślimacznicą. Stając w tym wnętrzu, na miejscu dla świadków, Nash poczuł się nieswojo. Sędziego nie było. A na ławach dla przysięgłych siedziało osiemnaście osób, kobiet i mężczyzn. Roemer wtoczył specjalne tablice na kółkach, do których przypięto duże zdjęcia, kolorowe i czarno-białe, przedstawiające Nasha i Franka Wisota w sądzie w Santa Maria oraz stojącą w apartamencie hotelu Cypress Ruth Frenkel z kopertą w ręku. Poprzez powiększenie fotografie zrobiły się ziarniste, ale twarze widać było wyraźnie. Listę oskarżonych ze stawianymi im

zarzutami Roemer umieścił na wprost tablicy, tak by przysięgli mogli ją przeczytać. Nash zauważył, że wymienione jest na niej łapówkarstwo, niewłaściwe wykorzystywanie uprawnień związanych z zajmowanym stanowiskiem, uchylanie się od płacenia podatków i wszystkie te wypadki nadużycia prawa, które Janice wymieniła mu przy pierwszym spotkaniu. Teraz były one faktem.

Jako oskarżyciel Roemer był metodyczny, ale mówił zadziwiająco bezbarwnie. Nash tymczasem siedział na miejscu dla świadków i starał się myśleć jedynie o tym, by udzielić jasnych odpowiedzi na stawiane mu pytania. Ale nie mógł się zupełnie skupić. Co chwila przypominał mu się Escobar i Vismara, a także ojciec. I wciąż powracało nie dające mu spokoju uczucie, że zdradził Franka Wisota. Próbował je w sobie zdusić.

- Czy sędzia Wisot przyjął oferowane mu przez pana pieniądze? - spytał Roemer.

- Tak.

- Co przy tym powiedział?

- Że zasili nimi swój fundusz emerytalny.

- Czy agenci FBI zrewidowali pana po tym, jak sędzia Wisot opuścił pokój?

- Tak.

308

- Czy znaleźli przy panu oznakowane służbowe pieniądze?

- Nie. Całą sumę otrzymał sędzia Wisot.

- To tyle odnośnie do spotkania, które miało miejsce dwunastego października. Przedstawimy teraz wydarzenia z dnia piętnastego października, dotyczące sędziny Ruth Frenkel.

Relacjonowanie spotkań z sędziami w sposób zwięzły i pozbawiony emocji było dla niego źródłem ogromnego stresu. Natychmiast oblał go pot, a po chwili miał wrażenie, że cały się od niego lepi. Kiedy wreszcie skończył, Roemer miał zamiar odtworzyć nagrania magnetofonowe i filmy wideo. Przysięgli robili jakieś zapiski w swoich notatnikach. Nash zastanawiał się, czy kiedy mówił o Franku, Ruth i pozostałych, oni oceniali w myślach także i jego osobę.

Nash skończył zeznawać tuż przed północą, a gdy wyszedł z sali, natknął się na Vismarę, który siedział na ławeczce obok Janice.

- Wygląda na to, że ci się upieczę, Lou - powiedział do niego, mając nadzieję, że widzi go po raz ostatni.

Vismara, ubrany jak przystało na okoliczności, sprawiał wrażenie smutnego, czym zaskoczył Nasha.

- Nie ma mi się co upiec, panie sędzio. Chciałem, żebyśmy byli przyjaciółmi.

- Popełniłeś duży błąd - stwierdził Nash.

Janice zerknęła w stronę drzwi sali rozpraw, które akurat się otworzyły i pokazał się w nich Roemer, kiwając palcem. Dotknęła ramienia Vismary i oboje wstali.

- Często robię błędy - odparł Vismara, wygładzając garnitur, po czym ruszył w kierunku drzwi, przy których niecierpliwiał się Roemer.

Było już bardzo późno, kiedy Janice wyszła z sądu. Znalazła Tima siedzącego samotnie przy basenie. Szczelnie owinał się płaszczem, a spod spodni wystawały mu kalesony.

- Masz zamiar popływać? - spytała, sadowiać się obok niego.

- Tak sobie myślę.

- Dobrze się spisałeś. Bardzo dobrze. Przysięgli przysłali dzisiaj pięć zalakowanych kopert, zawierających oskarżenia.

- Kiedy policja ich aresztuje?

Janice przysunęła się do niego bliżej, ale Tim nawet nie drgnął. Na ich twarzach i ścianach sąsiednich budynków odbijało się migotanie podświetlonej niebieskiej wody, zamkniętej w zimnym prostokątnym basenie pod rozgwieżdżonym niebem.

- Neil już zajął się organizacją tych aresztowań. Odbędą się bardzo szybko.

309

- A wiesz?

- Co?

- Tak właściwie to nie chcę tego wiedzieć.

- Czujesz się zawiedziony? To normalne, zeznawałeś bardzo długo, a i cała operacja była ogromnie pracochłonna.

- Chyba rzeczywiście czuję się zawiedziony - przyznał. - Przez całe życie robiłem to co należy i było to proste. Nie czułem takiego zamętu. Ani bólu.

- Mówiłam ci, że to nie jest łatwe, Tim. Nie tego rodzaju operacja.

- Myślałem, że dobra motywacja bardziej się liczy - odrzekł. Potem spojrział na nią i dodał: - Spróbuję przyskrzynić Vismarę, Janice. Muszę to zrobić.

Odsunęła się i popatrzyła na niego ostro.

- Masz jakąś obsesję na tym punkcie.

- Jeśli zignoruję tę sprawę, to jakbym brał w niej udział. - Nie chciał wdawać się z nią w kłótnię, a z jej milczenia wywnioskował, że i ona nie

ma na to ochoty. Przez chwilę wpatrywali się w basen. - Moglibyśmy popływać.

- Oszalałaś! Woda jest lodowato zimna.

- Kąpiel w zimnej wodzie hartuje.

I tym razem poszukali ratunku w żartach. Ale trudno było powiedzieć, na jak długo ta metoda okaże się skuteczna.

- Nie jestem aż tak wytrzymała - odparła Janice.

- Frank Wisot chce się spotkać ze mną jutro. Coś ma dla mnie, jakiś interes, w każdym razie chce mi coś pokazać.

- Nie musisz iść. Nakaz jest już gotowy.

- Ale on wciąż jest moim przyjacielem.

- Aresztowania nastąpią już wkrótce i niedobrze by było zepsuć teraz wszystko, nie przestrzegając zasad bezpieczeństwa.

- Będę ostrożny. I nie muszę chyba mieć przy sobie mikrofonu, prawda?

Chłód znów wkradł się pomiędzy nich.

- Nie, już nie.

- I Jacobs też nie będzie za mną jechał, prawda?

- Będziesz sam. Ale sądzę, że powinieneś go jakoś zbyć.

- Nie - odrzekł z rezygnacją w głosie. - Nie mogę mu tego zrobić. Po prostu spotkam się ze starym przyjacielem, jak zawsze.

Rozdział czterdziesty czwarty.

Nash i Frank Wisot weszli w głąb pustego warsztatu mechanicznego. Na betonową podłogę kapiała woda z zepsutej rury.

- Nie musieliśmy przyjeżdżać aż tutaj - zauważył Tim. - To jakiś wygwizdów.

Stali oddaleni od siebie o jakiś jard. Obaj mieli na sobie płaszcze, bo był już ostatni tydzień października i zrobiło się zimno. Na nosie Wisota tkwiły okulary przeciwsłoneczne, równie ciemne jak jego grube okrycie. Ręce trzymał w kieszeniach.

- To miejsce należy do mojego zięcia. Przydało się do odpisu podatkowego. Chciałem pomówić z tobą gdzieś, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał.

- Przeszkadzał?

- Dotychczas spotykaliśmy się tylko w miejscach, które ty wybrałeś. Jakoś nie zwróciłem na to wcześniej uwagi.

Wisot popatrzył na szare okno, za którym słońce już zachodziło i widać było pomarańczowe niebo.

- Na bankiecie w Monterey to ty chciałeś rozmawiać - zauważył Nash. Nie bardzo rozumiał, dlaczego Wisot tak dziwnie się zachowuje i dlaczego wybrał takie miejsce. Czyżby próbował sprzedać mu stary magazyn? Kiedy do niego wchodził, Nash dostrzegł, że w pobliżu znajduje się tylko zamknięta chińska restauracja i popękany, porośnięty chwastami asfaltowy plac.

- Jestem głodny - dodał Nash. - Obiad na mnie czeka. Na twarzy Wisota pojawił się blady uśmiech.

- Czyżbyś kręcił dalej, Tim? Z tą samą? Z tą, którą przyprowadziłeś na kwestę na rzecz Harolda i na piknik, i na bankiet?

- Owszem. To właśnie ona na mnie czeka.

- Dziewczyna z Biura Prokuratora Generalnego - powiedział Wisot



do samego siebie, tak jakby Nash w jednej chwili się ulotnił. - Władza federalna.

- Sama ci o tym powiedziała. Pracuje tam od jakiegoś czasu.

Nash nie orientował się, do czego zmierza Wisot. Nie podobały mu się jednak nie trzymające się kupy komentarze Wisota na temat Janice i jej pracy. Zachowanie kolegi wzbudziło w nim niepokój.

- Przemyślałem sobie to wszystko - oznajmił Frank, spoglądając w końcu na Tima.

- Vismara nie zgodzi się na wyższą stawkę.

- Ani grosza więcej. - Wisot zadrżał. - Szkoda, że w ogóle je dostałem.

- O co chodzi? Czego jeszcze chcesz?

Z kieszeni swego grubego płaszcza Frank wyjął rewolwer i wycelował go w Nasha.

- Żarty się skończyły. Co się właściwie dzieje, Tim? Co ty chcesz mi zrobić?

- Odłóż broń - odrzekł Nash zdenerwowany i zaskoczony. - Na miłość boską, nie jest ci potrzebna. Przecież to tylko ja.

- Dlaczego zaproponowałeś mi te pieniądze, Tim? O co chodzi?

- Chryste Panie, chciałem po prostu pomóc ci trochę. Przecież znamy się od dziecka. Ty i mój ojciec jesteście starymi przyjaciółmi. Sądziłem, że przyda ci się coś ekstra, tak jak i mnie.

- Bzdura - powiedział Wisot głośno, aż dźwięk tego słowa odbił się echem o blaszane ściany pustego magazynu. - Same bzdury. Cały czas mnie tym karmiłeś. Teraz wyraźnie to widzę.

- Ależ Frank, przysięgam, że Vismara poprosił mnie o pomoc, a ja

pomyślałem, że ty też możesz na tym skorzystać. Odłóż ten rewolwer.

Na twarzy Franka igrał smutny uśmiech.

- Każdego, kto się do ciebie zbliży, spotyka pech. Vince Escobar. To już najgorsze ze wszystkiego. Dopiero co podpisałem pismo w związku ze sprawą o morderstwo, którą u mnie prowadził.

- Proszę cię, Frank, odłóż broń. No, daj spokój.

- Ja też miałem pecha. Vismara był podstawiony. Przejrzałem jego akta.

Wszystkie, i te stare. Wszędzie powtarzało się nazwisko Escobara. - Wisot zmarszczył brwi. - Mój Boże. O co właściwie chodzi? Powinienem od razu zapoznać się z tymi dokumentami. Ale ufałem ci.

- Przysięgam, że nic o tym nie wiedziałem. Vismara przedstawił mi sprawę po swojemu - odrzekł pośpiesznie.

Gotów był powiedzieć wszystko, byle tylko Frank odłożył ten czarny rewolwer. Przecież nie miał przy sobie mikrofonu, a w pobliżu nie czekała furgonetka z nasłuchującymi agentami FBI. Był zdany tylko na siebie. Tymczasem za oknem robiło się coraz ciemniej, a cisza wokół pogłębiała się.

- Jak wygląda ta sprawa? - zażądał odpowiedzi Wisot.

312

- Mówiłem ci; Vismara przyszedł do mnie - odparł Nash. Lufa rewolweru wciąż wycelowana była w niego.

- Nie opowiadaj mi bzdur. Teraz to i tak nie ma już znaczenia. Co się naprawdę dzieje?

- No dobrze. Biorę udział w tajnej operacji - wyznał Nash szybko i z grubsza wyjaśnił mu, o co chodzi. - Ale nie jesteś jedyny, Frank. Jest jeszcze kilka innych osób.

- Kto? Czy ktoś z sądu? Przyłapałeś innych sędziów?
- Tak. I gliniarzy. Także paru urzędników i ludzi z rady nadzorczej.
- O Jezu. O Jezu - powiedział Wisot złamanym głosem.
- Możesz się uratować - pocieszył go Nash. - Podaj Roemerowi jakieś nazwiska. Zaoferuj mu współpracę, ubij z nim interes. Pomogę ci.
- Interesy. Mój Boże. Jak mogłeś mi to zrobić?
- Wszystko jest nagrane, Frank. Są filmy wideo, kasety magnetofonowe, raporty. Twój telefon jest na podsłuchu zarówno w biurze, jak i w domu. Masz już u Roemera swoją teczkę. Nie da się niczego odkręcić.
- Chciałbym, żeby było jak przedtem. Zwrócę te pieniądze - rzekł Wisot ostrym tonem.
- To niemożliwe. Dlatego musimy wyjść stąd, wrócić do samochodu i dojść do jakiegoś porozumienia.
- Nie obchodzi cię już moja reputacja? I mojej rodziny?

Nash zauważył, że Wisot znów nie słucha i przeraził się jeszcze bardziej. Rewolwer w dłoni Franka nawet nie drgnął. Nash miał go przed sobą tak blisko, że mógł dotknąć czarnej, metalowej lufy. Mógłby ją chwycić. Ale Wisot pociągnąłby wtedy za spust. Tak jak to było w przypadku Soiki i tego zakładnika, przemknęło przez myśl Nashowi. Wiedział teraz, jak czuł się Prentice w tych straszliwych ostatnich chwilach swego życia.

- Odłóż broń. Znam cię całe moje życie, Frank. Razem ubijemy jakiś interes z Roemerem.

Twarz Wisota wykrzywiła się.

- Pamiętam dzień, w którym po raz pierwszy przyszedłeś do mojego gabinetu w sądzie. Pamiętasz? Ojciec cię przyprowadził i zjadłeś wtedy wszystkie dropsy na kaszel, jakie miałem w biurku.

- Jasne, że pamiętam. Lubiłem odwiedzać cię w sądzie.

Nash nie miał ochoty bawić się we wspominki. Był przerażony, a Wisot winny był przyjmowania łapówek. Zaczął powoli się wycofywać, a Frank nie przestawał mówić i wyglądało na to, że przemawia do samego siebie.

- I po tym wszystkim co było, będą opowiadać o mnie takie rzeczy - ciągnął. - I o mojej rodzinie. Wszystkie te lata, które spędziłem w sądzie. Wszystko, czego dokonałem - akcje charytatywne, zbiórki funduszy, budowa szkoły. Wszystko to obróci się w popiół... - urwał.

313

Nash postanowił wykorzystać jego nastrój.

- Frank, daj spokój. Pomogę ci. Obiecuję.

Rewolwer drgnął lekko, po czym opadł w dół, a Wisot stał płacząc i drżał w otaczającym go zimnym mroku.

- Nikt nie może mi pomóc - powiedział, przystawiając sobie rewolwer do głowy. Wystrzelił.

Rozdział czterdziesty piąty.

Dwa dni po śmierci Franka Wisota Nash wrócił do Sądu Okręgowego w Santa Maria. Z wielu względów miejsce to wydało mu się inne, niż je zapamiętał. Ludzie wciąż kręcili się po skąpanym w blasku słońca dziedzińcu. W samym budynku panował chaos. Razem z Janice udał się do Wydziału 14., a gdy tam szedł zauważył, że na każdym piętrze strażnicy stoją w grupkach i zewsząd dobiegał go przytłumiony jak na pogrzebie szept prawników, którzy rzucali mu ciągle nerwowe spojrzenia. Nie

oglądał się na nich.

W pewnym sensie sytuacja wydawała mu się równie nierealna jak tej nocy, kiedy pocieszał żonę Wisota w salonie w jej domu. Lenore to płakała, to znów chodziła po pokoju. Przyszli sędziowie z żonami, pojawiło się jakieś jedzenie i wytworzyła się dziwaczna atmosfera. Lenore z twarzą czerwoną od płaczu wciąż powtarzała to samo.

- Tim, on mówił o tobie wtedy przez cały dzień. O tobie. O was obojgu. Coś było nie w porządku, ale on nie chciał mi powiedzieć. Prosiłam go. Ale niczego nie zdradził. Znasz Franka, więc wiesz, jak się uśmiecha, kiedy coś wie, a nie chce o tym powiedzieć.

- Tak, wiem.

- Uśmiechnął się tylko do mnie. Powiedział, że porozmawia z tobą i wszystko będzie w porządku, ale martwił się. Nie miałam pojęcia, że jest aż tak zmartwiony. O co chodziło, Tim? O te pieniądze?

- Nie mogę o tym mówić, Lenore.

Wziął jej dłoń w rękę, a ona ciężko oparła mu głowę na ramieniu.

- Wiesz tak dużo o tym, co mu się przytrafiło i nie chcesz mi powiedzieć, Tim. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

Właśnie wtedy, w domu Wisotów, w otoczeniu innych sędziów, przy Janice, na której twarzy tak jak i u innych malowała się powaga, właśnie wtedy Nash podjął decyzję. Nie był w stanie odwrócić tego, co już się stało. -Ani śmierci Escobara, ani samobójstwa Franka. Nie potrafił nawet myśleć

315

o tych ostatnich sekundach życia Franka, żeby nie ogarniało go straszliwe przerażenie, wypierające wszelkie inne myśli. Dlatego odepchnął od siebie

to wspomnienie daleko w zakamarki swej duszy i spróbował spojrzeć na sytuację, w jakiej się znalazł, jak na zwykły problem prawniczy, pozbawiony jakiegokolwiek moralnego znaczenia.

Przyszedł do sądu z Janice, chciał, żeby była przy tym, gdy będzie oznajmiał swoją decyzję.

Bezlitośnie dręczyła go myśl, że Lenore dowie się prawdy o Franku, gdy inni sędziowie zostaną zaarrestowani. Wprawdzie Janice powiedziała, że Roemer wstrzymał jeszcze trochę aresztowania, ale w sądzie aż kipiało od plotek.

- Słuchaj, Tim, w całym budynku krążą jakieś dziwaczne brudne plotki - powiedział mu przez telefon Shea poprzedniego dnia. - Sędziowie urządzają jakieś zebrania, zamykają się. Ludzie z ochrony mówią, że szykują się aresztowania. Że będą przymykać sędziów.

- Co jeszcze słyszałeś? - dopytywał się Nash.

Próbował odepchnąć od siebie wspomnienie martwego ciała Franka, padającego u jego stóp niczym zwałony budynek.

- A niech to cholera. Chodzą słuchy o jakiejś tajnej operacji. I że ty pełniłeś w niej rolę informatora.

- Przecież znasz mnie, Scotty.

- Jasne. I to im właśnie powiedziałem.

- Znasz mnie - powtórzył. - Prawdopodobnie będę w sądzie jutro.

- Człowieku, nie przejmuj się. Wiem, że zabrzmiało to trochę nieprzyjemnie.

Ale nie tak nieprzyjemnie, jak musiało wyglądać dla biednego Franka w ostatnich godzinach jego życia albo dla Vince'a Escobara, gdy zobaczył błyskający w ciemnej alei nóż. Musi być jakiś sposób, myślał spokojnie

Nash, żeby naprawić to całe zło.

Kiedy wykręcał numer, Janice stała po drugiej stronie biurka. A Vi wniosła akurat kawę, rzucając mu pełne niepokoju spojrzenie. Uśmiechnął się do niej.

- Wszystko w porządku, Vi. Dziękuję - powiedział, by uspokoić jej milczące obawy.

- O co chodzi, Tim? - spytała Janice.

- Dzwonię do Neila.

- Ale po co?

- Rzucam to - odparł.

Po chwili usłyszał w słuchawce gruby głos Roemera siedzącego właśnie w sądzie federalnym w Biurze Prokuratora Generalnego, którego pilnowali strażnicy i kamery telewizyjne. Nieraz już padały groźby pod adresem pracujących tam ludzi.

- Cześć, Neil - przywitał się Nash. Tu w swoim gabinecie czuł się całkiem swobodnie. Janice obserwowała go zdumiona. Tim pomyślał, że i ona będzie wkrótce musiała podjąć decyzję.

316

- Co się stało, Tim? Jestem zajęty. Mam mnóstwo spraw do załatwienia.

- Pewnie szykują się już aresztowania.

- Jutro. W tej kwestii będę twardy jak skała. W zasadzie nie mogę rozmawiać, chyba że to coś ważnego.

Nash mocniej ścisnął słuchawkę. Teraz nie było już odwrotu.

- Nie będę więcej zeznawał, Neil. Nie wystąpię przed sądem przysięgłych.

I nie przyjdę na rozprawę. Wycofuję się z operacji.

Janice potrząsnęła głową i sięgnęła po słuchawkę.

- Żarty sobie stroisz? - spytał Roemer.
- Nie. Skończyłem z tym. Rzucam to.
- Tim, doskonale rozumiem, co czujesz po tym incydencie.
- Wisot odebrał sobie życie, Neil.
- Dobrze, nie będę cię na razie naciskał w tej sprawie. Jesteś przygnębiony. Ale musisz przedstawić wszystko z kryształową jasnością. - Roemer najwyraźniej delectował się wywieraniem presji. - Jesteś najważniejszym świadkiem. Wprawdzie wiele mogę zdziałać przy pomocy Vismary i agentów FBI, ale ty musisz zeznawać.
- Nie - odrzekł Nash.
- Wrócimy do tej rozmowy za dzień lub dwa. Mam już wyznaczone terminy rozpatrywania kolejnych wniosków o oskarżenie.
- To nie ma znaczenia - odparł Nash stuprocentowo pewien swej decyzji, co było widać również po jego swobodnej postawie. - I tak więcej nie przyjdę.
- Słuchaj, Tim, mogę wezwać cię do sądu pod groźbą kary.
- Zignoruję wezwanie.
- Domyślasz się, jakie będzie moje następne posunięcie, prawda? Wiesz, co będę musiał zrobić?
- Jedyne, co możesz zrobić, żeby postawić mnie przed sądem, to mnie aresztować - powiedział Nash. Spojrzał na poważną twarz Janice.
- Czy to twoja nieodwołalna decyzja?
- Ale i tak nie będę zeznawał.
- Powiedz dlaczego. Gdybym wiedział, o co ci chodzi, to może mógłbym coś zrobić.

Na pewno, pomyślał Nash. Jednak i tak chciał wyjaśnić Roemerowi swój



punkt widzenia, choćby tylko dlatego, żeby poznała go Janice. Może dzięki temu łatwiej będzie jej podjąć decyzję.

- Nie ma w tym nic skomplikowanego - zaczął Tim. - Sądzę, że gdybyśmy nie sprowokowali Franka, to po prostu odszedłby spokojnie na emeryturę i nic by się nie wydarzyło. Nie wiem, skąd miałeś informacje na temat tych wszystkich ludzi. W każdym razie nie były wystarczające, by na ich podstawie kogoś oskarżyć, czy aresztować. To dopiero my musieliśmy je wykorzystać, posłużyć się nimi tak, by przyniosły oczekiwany efekt. Neil, gdyby nie my, ja, Vismara i ty, Frank Wisot pewnie nie wzięłby żadnej łapówki. I ci gliniarze też by chyba tego nie zrobili. Znam przecież większość

317

tych osób. Nie mogę na pewno powiedzieć, że sami doprowadziliśmy do popełnienia tych przestępstw, ale nie mam wątpliwości, że bardzo je ułatwiliśmy.

- To byli łapówkarze - odrzekł Roemer. - Już wcześniej byli przekupni.  
- Oferując im pieniądze, popchnęliśmy ich do tego, by je wzięli.  
- Dam ci trochę czasu, żebyś spokojnie to sobie przemyślał - oświadczył Roemer.

Nash odłożył słuchawkę. Przypomniawszy sobie, ileż to razy przez te wszystkie lata ludzie prosili go tutaj o łagodny wyrok. „Ten chłopak wcale nie jest taki zły, panie sędzio, mówili. Niech pan się zastanowi, co on właściwie zrobił. To naprawdę nie jest jakieś ciężkie przestępstwo, a przez trzy lata był zupełnie czysty”. Pamiętał, jak wyniośle wówczas przemawiał i jakie ferował wyroki. Pomyślał, że życie i tak wystarczająco często wystawia człowieka na próbę i nie ma potrzeby zwiększać pokusy.

- Nie rozumiem cię - oznajmiła Janice.
- Roemer też nie. Powiedział, że mnie zaaresztuje.
- Nie zostawiłeś mu wyboru, Tim. Zbuntowałeś się przeciwko rządowi.

Nash wstał i ujął jej ręce w swoje dłonie.

- Nieprawda. Wystąpiłem tylko przeciw Roemerowi. Po prostu zrezygnowałem z udziału w operacji Stracone Zaufanie.
- Neil nie ma zwyczaju blefować. Zrobi to, co uzna za konieczne.
- Wcale w to nie wątpię.

Krok w stronę zachowania moralności byłby bez znaczenia, gdyby nie wiązał się z ryzykiem, a Nash potrzebował czegoś, co pomogłoby mu przezwyciężyć ból, który go dręczył. I jedynie bardzo silne lekarstwo mogło uleczyć jego poczucie winy.

- Wydaje ci się, że coś zmienisz? Zdziałaliśmy przecież sporo dobrego w Santa Maria.
  - Nie. Za to zraniliśmy mnóstwo ludzi. Nie zasłużyli sobie na to.
  - A teraz chcesz, żebym ja też wybrała, tak? - spytała przytulając go do siebie.
  - Tak - odparł, żałując, że żadne z nich nie może zająć w tej sprawie jakiegoś niezdecydowanego stanowiska. - Po czyjej jesteś stronie, Janice, mojej czy Roemera?
  - Trudno mi się opowiedzieć. Kocham cię, więc to nie takie proste.
- Odwróciła się od niego i Tim wiedział, że już dokonała wyboru.
- Chcę, żebyś stanęła po mojej stronie.
  - Twoje argumenty są puste i głupie, Tim. Nie zgadzam się z nimi. Nie mogę cię poprzeć - odparła ze smutkiem.

Tim powiedział coś jeszcze, ale nie słyszał nawet własnego głosu.

Wiedział, że Janice odchodzi, odbierając mu tę nowo poznaną radość, którą przy niej czuł. Chciał jej powiedzieć, że śmierć Franka Wisota nie ma znaczenia i że Roemer ma rację, a burza, którą wywołała tajna operacja, to drobiazg w porównaniu z istotną prawdą, którą wykazała. I może właśnie o to

318

chodzi, pomyślał. Wiele jest w tej operacji prawdy, ale bardzo mało sprawiedliwości.

- Nie przychodź do domu przez parę godzin - poprosiła Janice. - Muszę się spakować. I tak większość czasu będę spędzać w Sacramento.
- Nieprędko wrócę - odrzekł Tim. - Mam tu parę spraw do załatwienia.
- Tim. Usiądź spokojnie i przemyśl to.
- Już to zrobiłem.

Janice wyszła z jego gabinetu i jeszcze przez jakiś czas Tim słyszał jej kroki, jak szła najpierw po twardej posadzce, potem po cienkim dywanie, a w końcu drzwi sali sądowej skrzypnęły cichutko i zapadła cisza. Nie miał tego dnia żadnych zajęć w sądzie. Ruth Frenkel zatroszczyła się o niego i przekazała wszystkie jego sprawy Henshawowi.

Wkrótce miała zostać aresztowana, a Tim, siedząc samotnie w swoim gabinecie, czuł się hipokrytą.

W poczekalni firmy prawniczej, w której pracował jego ojciec, Tim dostrzegł stos gazet ze zdjęciem Franka Wisota, na którym ubrany był w togę. Nagłówek nad nim był równie czarny jak toga.

Wszedł do pokoju konferencyjnego. Na stole zarzuconym papierami stały puste filiżanki i dzbanki po kawie. W swetrze i z papierosem w ustach Jack Nash wyglądał, jakby był u siebie w domu. Obydwie strony w sprawie o

podział gruntu stanowiącego majątek dziedziczny postanowiły zapłacić cieszącemu się szacunkiem emerytowanemu sędziemu, by zapoznał się z materiałem dowodowym i wydał korzystny dla nich wyrok.

Pozostali prawnicy z wyrazem zmęczenia i podenerwowania na twarzach opuścili salę, rozmawiając ze sobą półgłosem. Sprawa najwyraźniej budziła rozgoryczenie.

Tim usiadł.

- Martwiliśmy się z matką o ciebie, Timmy. Nie odpowiadałeś na nasze telefony. Chcieliśmy ci pomóc.

Jack zajął miejsca obok syna.

- Przepraszam, tato. Musiałem sobie przemyśleć parę spraw.

- O tak, Jezu kochany. O tak. Stary Frank. Boże, aż trudno mi w to uwierzyć.

- Przyłapałem go na tym, że wziął łapówkę, tato. Miał być aresztowany dzisiaj albo jutro. To przez tę tajną operację, w której brałem udział.

Jack Nash odłożył papierosa i zmarszczył brwi. Jego siwe włosy były starannie przyczesane, a palce poplamione atramentem, bo wciąż używał wiecznego pióra. Tim wyczuł, że nagle wyrósł między nimi niewidzialny mur.

- Frank brał pieniądze, Timmy?

- Mieliśmy to wszystko zarejestrowane na taśmie. Mam nadzieję, że teraz ją spalą, ale tak rzeczywiście było.

- Opowiedz mi o tej operacji.

319

- Przecież słyszałeś o niej, tato. Przyszli najpierw do ciebie, a ty poszedłeś z tym do Terhune'a, który wciągnął w to mnie. I dowiedziałem się o

McKayach. Męczy mnie to. Wiem, co zrobiłeś. - Tim zgarbił się trochę. -  
Wiem wszystko.

- Nic nie wiesz, Timmy. Poznałeś kilka drobnych faktów z mojego życia, które miały miejsce tak dawno, że już o nich zapomniałem. A skoro ja nie pamiętam, kto podsunął mi ten interes, czy raczej pokazał, jak mam pomóc swojej rodzinie i partnerom w firmie, to dlaczego miałby to wspominać ktoś inny? Na przykład mój syn. To już dawno minęło, tamtą sprawę przykryła gruba warstwa kurzu. Wszystko to, czym zapracowałem sobie na taką opinię, jaką mam obecnie, miało miejsce później i wierzę, że potrafisz wymazać z pamięci tamte bzdury. - Jack głośno bębnił palcami po stole konferencyjnym. - Ale ten facet z Waszyngtonu uważał, że ćwierć wieku mojej pracy zupełnie się nie liczy. Że to, co osiągnąłem jako sędzia; opinia, jaką mają o mnie ludzie, że to wszystko nie ma znaczenia. On widział tylko tamten stary brud. I z powodu czegoś, co zrobiłem lata temu, moje życie przestało być takie, jakim je ukształtowałem.

Głos ojca zabrzmiał nieskazitelnie czysto i Tim poczuł, że napętniający go strachem ból gdzieś się ulotnił. Sens prawa kryminalnego krył się w tym, że niektóre przestępstwa, a właściwie większość, można odpokutować. Nikt nie był skazany raz na zawsze.

- Nie chciałem sam w tym grzebać - odezwał się Tim. - To było trochę tak jak wtedy, gdy się nagle dowiesz, że jesteś adoptowanym dzieckiem. Powinieneś mi o tym powiedzieć.

- Wstydzilem się. Wciąż jest mi wstyd.

Ale na jego twarzy nie było widać przygnębienia. Zapalił kolejnego papierosa i pozwolił, by sam się spalał. Wyciągnął do Tima rękę.

- Przepraszam cię, Timmy.

Tim podał mu rękę. Raz już ściskali sobie dłonie, gdy on i Dick jechali na obóz letni. Kiedy zakładali plecaki, Hilary pomachała im, a Jack kolejno podał synom rękę. Nagle Tim pojął, że ojciec był człowiekiem nieśmiałym.

Siedząc obok niego, Tim opowiedział mu o wszystkim, co zdarzyło się od dnia, w którym Terhune przyprowadził go do hotelowego apartamentu.

Rozdział czterdziesty szósty.

Dwight Peatling siedział w łóżku oparty o poduszki, mając tuż obok siebie pudełko chusteczek higienicznych, a w nogach termofor. Na ekranie głośno nastawionego telewizora toczyła się właśnie jakaś ożywiona gra, a od strony serwantki dolatywała wilgotna mgiełka ze stojącego tam nawilżacza, bo żona Peatlinga nalegała, by mąż go używał. Brakowało jeszcze paru minut do dziesiątej, a Dwight leżał złożony ciężkim przeziębieniem.

Męczyło go bardzo kichanie i co chwila ocierał chusteczką czerwony nos. Dokoła niego leżały porzrzucone gazety z artykułami o Wisocie. Cieszył się, że nie musiał być dzisiaj w sądzie. Śmierć, przemoc, wszystko to przerażało go, a poza tym nie miał ochoty słuchać tych brudnych plotek, krążących na temat Wisota i Nasha.

Najbardziej martwiły go pogłoski na temat Nasha. Zmagając się z uczuciem ociężałości w głowie, jakie doskwierało mu na skutek przeziębienia, i z nie dającym mu spokoju strachem, przez cały ranek starał się zrozumieć, co mogą znaczyć te szeptane opowieści, ale na

próżno. Właściwie powinien był wspomnieć o tym żonie. Dziś to zrobi. Gdy tylko wróci ze sklepu. Ona także nie poszła do pracy, żeby się nim opiekować.

Uszu Peatlinga dobiegł odgłos zamykanych drzwiczek samochodu i psa szczekającego na dole, ale próbował skupić się na programie telewizyjnym. Ponownie kichnął i mruknął coś podenerwowany, wycierając nos.

Drzwi do sypialni otworzyły się. Stanęli w nich dwaj mężczyźni ubrani w podobne płaszcze - najwyraźniej policjanci w służbowych okryciach. Za nimi podążała żona Peatlinga. A na dole pies szczekał jak oszalały.

- Mam dziś wolny dzień - powiedział niecierpliwie Peatling. - Nie będę rozpatrywał żadnych nakazów. Idźcie do innego sędziego.

Policjanci zaczęli coś do niego mówić, ale początkowo ich nie zrozumiał, bo i telewizor grał głośno, i pies szczekał, i nawilżacz hałasował. W każdym

321

razie nie chodziło im o to, by podpisał jakieś nakazy. Ale cóż oni właściwie powiedzieli? To niemożliwe. To nie mogło być prawdą.

Żona Peatlinga przepchnęła się pomiędzy policjantami, usiadła na łóżku obok męża i objąwszy go mocno zaczęła kołysać. Sędzia usłyszał, że na zewnątrz trzasnęły drzwi jeszcze kilku innych samochodów, bardzo wielu, i rozległy się jakieś głosy.

Ruth Frenkel siedziała w swoim gabinecie, popijając herbatę, zajęta pisaniem mowy na pogrzeb Franka Wisota, który miał się odbyć pod koniec tygodnia w godzinach porannych. Wprawdzie miało to całkowicie zburzyć harmonogram rozpraw, ale przez szacunek dla zmarłego kolegi

wszyscy byli gotowi się dostosować.

Na sofie leżały pluszowe psy, a na biurku stała fotografia jej własnego psa. Cheryl, sekretarka, ciągle opowiadała o plotkach, które krążyły po sądzie, to przycichając, to znów przybierając na sile niczym podmuchy wiatru.

Coraz to przekazywała Ruth pytania różnych stacji telewizyjnych, redakcji gazet i radia domagających się komentarza nowego sędziego głównego na temat samobójstwa Franka Wisota, zamieszanego, jak sugerowali, w jakieś brudne sprawy. Ruth odpowiadała krótko i zwięźle: „Frank Wisot był najbardziej uczciwym i godnym szacunku człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałam”.

Niebo, widoczne za wysokimi oknami jej nowego gabinetu, było zachmurzone. Przyszło jej do głowy, że Tim mógłby powiedzieć kilka słów na uroczystości pogrzebowej i szybko to zanotowała, powtarzając sobie w myślach, że musi wkrótce pomówić z nim na ten temat. Chociaż zaczęła się zastanawiać, czy nie byłby to dla niego zbyt duży wstrząs. W końcu nie odpowiadał nawet na jej telefony. Ale gdyby jednak, to mottem jego wypowiedzi mogłoby być zdanie, które słyszała na pogrzebie, będąc jeszcze dzieckiem: „Panie Boże, twoich łask nikt nie zliczy”. Bardzo odpowiednie.

Chwilę później Ruth przeszedł dreszcz niepokoju, bo pomyślała, że układ, który zawarła z Timem, mógłby wyjść na jaw. Ale jeśli chodzi o biednego Franka, to zbliżał się już do emerytury i po prostu nie chciał się pogodzić z tym, że jego kariera dobiegła końca. Tak, to było najbardziej sensowne wyjaśnienie.

W pewnym momencie Ruth Frenkel podniosła wzrok znad papierów. Z pokoju, w którym urzędowała Cheryl, dobiegł jej uszu podniesiony głos.



Po chwili dziewczyna wbiegła do gabinetu sędziny; twarz miała napiętą, oczy rozszerzone zdenerwowaniem. Trudno było zrozumieć, co mówi. A i telefony akurat się rozdzwoniły. Za sekretarką stało dwóch mężczyzn.

- Oni przyszli panią aresztować! - krzyczała Cheryl. - Chcą panią aresztować!

Przez ułamek sekundy Ruth pomyślała o zajęciach z hiszpańskiego w czasie studiów, kiedy rozhisteryzowana, zapłakana studentka wbiegła na 322

salę krzycząc: „Zastrzelili prezydenta!", a wkrótce potem potwierdziła się niewyobrażalna wprost prawda o śmierci Kennedy'ego.

- Czy pani nazywa się Ruth Carol Frenkel? - zapytał wysoki, sztywno wyprostowany mężczyzna z jakimś dokumentem w dłoni.

Ruth miała wrażenie, że ogląda film.

- Tak. A o co chodzi?

Cheryl płakała głośno, zakrywając przerażoną twarz dłońmi. Sędzina musiała aż podnieść głos.

- Nazywam się Lawrence Jacobs - przedstawił się mężczyzna. - Jestem agentem Federalnego Biura Śledczego i mam rozkaz aresztować panią.

Ruth Frenkel mimowolnie wciągnęła głęboki oddech i przewróciła filiżankę z herbatą, która zalała notatki na temat pogrzebu Wisota. Nagle stanęły jej przed oczyma telewizyjne furgonetki i tłoczący się przed gmachem sądu reporterzy, których widziała, przyjechawszy rano do pracy. Teraz już wiedziała, że nie zebrali się tam, by wysłuchać komentarza o Franku Wisocie.

Valles i Witwer, ubrani jak opryszki z gangu motocyklowego, stali przed kalifornijskim bazarem azjatyckim przy Exeter Avenue i prowadzili

poważną rozmowę z trzema młodymi Wietnamczykami w czarnych dżinsach. Już od kilku minut sprzeczali się o cenę kilograma heroiny, którą ci młodzi mężczyźni chcieli kupić. Tuż przy nich stały na ziemi kosze kapusty i owoców.

Pochłonięty omawianiem transakcji Valles nie zauważył niebieskiego sedana należącego niewątpliwie do władz rządowych, który podjechał do krawężnika i zatrzymał się przy nim, i dopiero Witwer zwrócił na niego jego uwagę, gdy zakaszłał, zerkając w tamtą stronę.

Wietnamczycy również nie dostrzegli samochodu. Zażarcie i głośno się kłócili, bo Valles zażądał niebotycznej ceny. A ich ambicją było zaistnieć jako dystrybutorzy heroiny na rynku w południowej części hrabstwa Santa Maria.

- Jesteśmy obserwowani, Rog - szepnął Witwer. Valles głośno wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Nie, pewnie rozglądają się za jakimś zaginionym głupkiem.

- Idą tutaj.

- Idą na bazar.

Jednakże Valles nie był tego pewien. Dwaj mężczyźni, którzy wysiedli z samochodu, reprezentowali władze federalne; wskazywała na to znana Vallesowi z doświadczenia postawa i pełna swobody wyniosłość, z jaką się zachowywali. Jeden z nich podszedł do Vallesa i Witwera.

- Spieprzą nam ten interes - szepnął zdesperowany Witwer.

- Roger Valles i Jerry Witwer? - zwrócił się do nich nieznajomy.

Towarzyszący mu kolega obrzucił Wietnamczyków zimnym spojrzeniem.

Natychmiast umilkli, zrobili w tył zwrot i pobiegli wzdłuż ulicy.

- Człowieku, schrzaniłeś nam interes - powiedział wściekły Valles, podnosząc do góry pięść.

- Jesteście aresztowani - oświadczył nieznajomy mężczyzna.

Zerknąwszy na zegarek, Valles stwierdził, że w pokoju przesłuchań w Okręgowym Biurze Szeryfa siedzi już od czterdziestu minut. Miał jednak uczucie, że trwa to znacznie dłużej. Dopóki nie został aresztowany, nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wlecze się czas komuś, kto siedzi sam jak palec w takim miejscu. Co chwila zaciskał dłoń w pięść, to znów ją otwierał, byle tylko coś robić.

Nagle drzwi się otworzyły i do środka wszedł Witwer. Drzwi zaraz się za nim zamknęły.

- Siadaj, Jerry - powiedział Valles.

W pokoju znajdował się tylko niewielki drewniany stolik i jeszcze jedno metalowe krzesło.

- Jasna cholera. Powiedziałem im, że muszę się wysikać, a oni przyprowadzili mnie tutaj.

- Wysikać się?

- Tak. Wiesz, Rog, być aresztowanym to dziwaczne uczucie - stwierdził cicho Witwer. - I jeszcze te wszystkie kamery, i ci pieprzeni reporterzy przed budynkiem.

Valles wstał, uderzając krzesłem o ścianę.

- Właśnie to mnie doprowadza do szału. Dochrzanili się do nas podstępem. Nie wiem, jak nas podeszli, ale wszędzie są nasze zdjęcia. Całe miasto o nas wie.

- Przekupne gliny - powiedział cicho Witwer. Podrapał się w brodę.

-Každy pieprzony reporter krzyczał, że jesteśmy przekupne gliny i pytali,

co to za uczucie być przyskrzynionym.

- To ci z federalnej to wszystko zmajstrowali - stwierdził pewnym siebie głosem Valles. - Posłuchaj, Jerry, jak tylko dogadają się z tymi z Sacramento, będziemy wolni. W końcu pracujemy dla prokuratora stanu Kalifornia. Nic nam nie mogą zrobić.

- Mam taką nadzieję - odparł przygnębiony Witwer. - Czuję się strasznie osamotniony.

- Dzwoniłeś do Maggie?

- Nie było jej. Ale zostawiłem wiadomość. A ty dałeś znać Arlene? Valles roześmiał się sardonicznie.

- Rozmawiałem z Harrym. Powiedziałem mu: „Cześć, chłopie, przyjedź tu i wpłać kaucję za swego starego, bo siedzi w pace”.

Zaczęli się śmiać. Po chwili Witwer spojrzał na kolegę z dziwną miną na twarzy.

- Wiesz, przez tę ostatnią godzinę byłem tak przygnębiony, że nawet nie zastanawiałem się, dlaczego te skurwysyny trzymają nas tu razem.

324

Valles wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Przesłuchiwali cię?

Witwer pokręcił przecząco głową. Valles usiadł obok niego.

- Mnie też nie - oznajmił.

- A więc posadzili nas tu razem, żebyśmy zaczęli gadać o tych brudnych sprawkach, w których maczaliśmy palce - dodał.

- Jakbyśmy byli parą tępych handlarzy.

Valles wybuchnął śmiechem, wyobrażając sobie, że detektywi szeryfa i agenci federalni nawet w tej chwili wyteżają słuch, by pomimo kiepskiego

sprzętu, jakim dysponowały władze okręgowe, wyłapać każde ich słowo. Obydwaj śmiali się przez dłuższą chwilę.

Rozdział czterdziesty siódmy.

Nash wraz z rodzicami siedział przed dużym telewizorem w salonie ich domu. Na stoliku stały napoczęte drinki. Wieczorny wiatr sprawiał, że gałęzie drzew uderzały i ocierały się o dom.

- Nie zniosę dłużej widoku tej biednej kobiety - powiedziała zmartwiona Hilary Nash.

Na ekranie znów ukazała się Ruth Frenkel, wyprowadzana w kajdankach z gmachu sądu. Twarz miała białą jak płótno i bez wyrazu. Rozglądała się na boki, jakby w poszukiwaniu pomocy. Liczne wyciągnięte w jej kierunku mikrofony chwiały się i falowały, jakby popychane podmuchami wiatru. Następnie telewizja pokazała Peatlinga w chwili, kiedy w płaszczu przeciwdeszczowym, zarzuconym na coś, co wyglądało na pizamę, wychodzi z domu i zostaje wepchnięty na tylne siedzenie nie oznakowanego rządowego samochodu, a jego zszokowana żona odpowiada na jakieś pytania, stojąc w drzwiach domu, do którego parę minut wcześniej wtargnęli agenci.

Tim zastanawiał się, co też ojciec powiedział matce. Był pewien, że nie miała pojęcia ani o groźbach wobec Jacka, którym jednak udało się zaradzić, ani o pieniądzach, które regularnie wypłacał Terhune. Z tego, co widział, jej stosunek do męża nie zmienił się ani trochę. A może zostałby taki sam bez względu na okoliczności, pomyślał. Szmat spędzonego

wspólnie życia w pewnym sensie utrudniał jakąkolwiek zmianę.

Wystraszona żona Peatlinga zniknęła już z ekranu, a pojawili się na nim dwaj policjanci w kajdankach, którzy mówili coś do kamery. Valles rzucał przekleństwami. Tim sięgnął po napoczętą szklaneczkę wódki z tonikiem. W czasie obiadu wypił już wystarczająco dużo alkoholu, by złagodzić nieco szok. Ojciec siedział na fotelu daleko od niego i palił papierosa, kiwając głową.

- Dziś rano zaczepił mnie w windzie Harold Atchley - zaczął Tim.

- Powiedział, że już nie chce, żebym popierał jego kandydaturę.

326

- Ale i tak go poprzyj - odrzekł Jack Nash. - Ta sprawa będzie pewnie go kosztować parę głosów.

- Przynajmniej odzywa się do mnie - stwierdził Tim.

- A poza nim nikt? - spytała Hilary. Jej szczupłe palce zacisnęły się na poręczy sofy.

- Traktują mnie jak powietrze. Kiedy wchodzę na salę, zapada cisza.

Wsiadam do windy i momentalnie urywają się wszelkie rozmowy. Odkąd zaczęły się aresztowania, przestałem istnieć.

- To się zmieni - pocieszała go matka. Popatrzyła na Jacka. - Taka sytuacja nie może przecież trwać wiecznie. W końcu nie robisz niczego złego.

- Wszyscy się boją - dodał Jack. - Zastanawiają się, kogo jeszcze aresztują. Nie jesteś dla nich powietrzem, Timmy. Jesteś radioaktywny.

Matka z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Nigdy by mi przez myśl nie przeszło, że tyle osób będzie do nas wydzwaniać. Z groźbami. Z kłamstwami. Z plugawymi wyzwiskami.

- Przykro mi - powiedział Tim.

- Kazałam zastrzec numer - ciągnęła Hilary, sięgając po swego drinka. -I kim są ci ludzie? Trudno mi uwierzyć, żeby mogli coś takiego robić sędziowie. Nie rozpoznałam żadnego głosu.

- To mógł być ktokolwiek, Hills. Policjanci albo ich znajomi. Jacyś oszołomi.

Ale Janice nie zadzwoniła ani razu, pomyślał Tim. Gdyby to zrobiła, nie byłoby mu tak przykro, że inni sędziowie, Croncota, Henshaw, nawet Jardine, odsuwali się na bok, gdy on szedł korytarzem albo wchodził do kawiarni. A wczoraj na zebraniu sędziów wszyscy wyszli, zostawiając go samego w sali.

Wystarczyłby chociaż jej głos w słuchawce.

- O, jest nasz stary znajomy - odezwał się Jack, zrywając się z fotela, by pogłodzić telewizor.

Ubrany w ciemny garnitur, spod którego wystawały niebieskie szelki, Neil Roemer stał na podium na schodach sądu federalnego. Timowi serce zamarło. W tłumie za Roemerem dostrzegł Janice. Nie potrafił niczego wyczytać z wyrazu jej twarzy. Roemer przemawiał do kłębowniska dwudziestu mikrofonów.

- Pierwszy etap operacji Stracone Zaufanie mamy już za sobą. Dokonane już aresztowania ujawniły szeroko rozpowszechnioną korupcję w Sądzie Okręgowym Santa Maria. Oskarżenia wysunięto przeciwko trzem sędziom.

Tim rzucał przekleństwa pod adresem telewizji.

- Nawet nie pozwolą Frankowi spokojnie spocząć w grobie - zauważył zimno Jack.

Roemer kontynuował swoje wystąpienie, a w blasku reflektorów

pomieszany ze światłem dziennym jego twarz o ostrych rysach i minie wojownika wyglądała tępo i brutalnie.

- Wkrótce nastąpią dalsze aresztowania. I wciąż prowadzone jest docho-  
327

dzenie. Operacja Stracone Zaufanie pokazała, że amerykańskie społeczeństwo nie będzie tolerować wykorzystywania stanowiska w celu odniesienia osobistych korzyści. Nieważne, czy ktoś jest złodziejem czy przekupnym sędzią. -Zrobił krótką przerwę. - Dostaniemy go.

Zgromadzeni wokół niego reporterzy zasypywali go pytaniami, chcieli poznać nazwiska kolejnych podejrzanych - sędziów, policjantów i prawników - którzy mieli być pociągnięci do odpowiedzialności.

Roemer uśmiechnął się.

- Nie mogę podawać konkretnych nazwisk. Sąd jeszcze obraduje i, jak już wspomniałem, śledztwo wciąż trwa.

Hilary podniosła się i jednym szybkim ruchem wyłączyła telewizor.

- Dosyć - oznajmiła. - To niebezpieczny pozer.

Tim dokończył swego drinka. Wiatr przybrał na sile i konary drzew mocniej uderzały o dom.

- Odmówiłem stawienia się w sądzie, mimo iż przysłał mi formalny nakaz. Przyniósł go szeryf federalny.

- Kazałeś mu iść do diabła? - zainteresował się Jack. Tim skinął głową.

- Powiedziałem, by przekazał ode mnie Roemerowi, żeby się wypchał.

Hilary stanęła przy Timie, a on wyraźnie dostrzegł na jej twarzy ból i zmęczenie życiem.

- Co teraz będzie, Tim?

- Cóż, zwróci się do sądu z prośbą o przyznanie mi immunitetu. A to



oznacza, że nie mogę odmówić składania zeznań. Nikt nie będzie mógł mnie zaskarżyć, więc nie będę miał prawa odmawiać odpowiedzi na pytania.

- A odmówisz odpowiedzi? Tim uniósł szklanę.

- Chyba wypiję jeszcze jednego. I tak odmówię stawienia się w sądzie.

- Wtedy władze federalne zarzucą mu obrazę sądu i będą mogli go aresztować - dokończył Jack. - Pozwól, Timmy, że znajdę ci prawnika. I jeśli nie masz nic przeciwko, to zlecę, żeby zajął się tą sprawą od razu, jeszcze zanim oskarżą cię o obrazę sądu.

Tim szedł właśnie do kuchni, ale zatrzymał się.

- Dlaczego? - spytał.

- Żeby powstrzymać Roemera - odparł Jack zdziwiony.

Tim odstawił szklanę, niepewnym krokiem podszedł do matki i położył jej rękę na ramieniu.

- Tato, mam bardzo wiele do powiedzenia na temat Roemera i tej jego operacji. I muszę mieć to czym uzasadnić.

Hilary spojrzała w górę na twarz syna. Jack mruknął coś, nie bardzo rozumiejąc.

- Nie pojmuję, w jaki sposób zarzut o obrazę sądu może okazać ci się w tym pomocny - odezwała się Hilary.

Tim zastanawiał się przez chwilę. Istniały bardzo praktyczne powody, dla  
328

których informacje o organizacji i prowadzeniu operacji Stracone Zaufanie nabrałyby pełniejszego znaczenia w sytuacji, gdyby i on także stał się ofiarą nadużyć i wyrachowania Roemera. W końcu przede wszystkim był narzędziem wymiaru sprawiedliwości, a dopiero potem ofiarą osobistych

ambicji.

Ale najważniejsze było to, że nie chciał dłużej ciągnąć sprawy operacji. Nie zamierzał zeznawać, bez względu na konsekwencje, z uwagi na Franka, a nawet Escobara, i tego pożałowania godnego handlarza narkotyków, pragnącego wykorzystać życiową szansę. Myślał też o innych, których skusił pieniędzmi i oszukał. Czuł, że tym drobnym gestem odkupi grzechy, którymi wobec nich zawinił.

Mocniej ścisnął ramię matki.

- Chcę zostać aresztowany - powiedział.

Tymczasem trzy tysiące mil dalej siedzący w swoim gabinecie w Waszyngtonie Paul Cleary oglądał konferencję prasową Roemera za pośrednictwem telewizji kablowej. Na biurku w zasięgu ręki miał butelkę wody mineralnej i tabletki regulujące ciśnienie krwi. Nalał sobie wody do szklanki, odliczył trzy bladeżółte pastylki, połknął je i dopiero potem podniósł słuchawkę telefonu.

Jako zastępca prokuratora generalnego miał do dyspozycji telefonistkę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Urzędniczka zgłosiła się po drugim dzwonku.

- Chciałbym rozmawiać z Neilem Roemerem z Sacramento w Kalifornii - powiedział powoli, bo o tej porze nawet najlepsze telefonistki czasami przysypiały i nie słyszały dokładnie jego słów.

Rozdział czterdziesty ósmy.

Z uśmiechem zadowolenia na twarzy Roemer zasłonił ręką swój talerz, a

ubrany na biało czarny kelner skinął głową i podszedł do Paula Cleary'ego. Cleary uśmiechnął się leciutko i kelner zręcznie dołożył mu jeszcze jeden kotlet jagnięcy. Potem się odwrócił, a chwilę później z małej srebrnej miseczki nałożył na oba talerze miętową galaretkę.

- Wiesz, że chociaż pracuję w departamencie już tyle lat, jadłem tutaj najwyżej ze dwa razy - powiedział Roemer, zabierając się do krojenia kotletów. - Podoba mi się tutejsza atmosfera.

Cleary wyprostował się na krześle. Stołówka w Departamencie Sprawiedliwości była na tyle duża, że mogło w niej siedzieć kilkanaście osób i rozmawiać, nie słysząc się wzajemnie. Cleary'emu przypomniały się czasy młodości i pokój na wydziale w Bostonie, który zajmował, zanim przedzielono go na pół i urządzono całe wnętrze w plastiku. Tutaj ciemne ścienne panele połyskiwały od pasty, złoczone ramy obrazów błyszcząły, a i srebrne sztuce lśniły. Atmosfera nastrojała do wypoczynku. Jedzenie posiłku w takim otoczeniu to jak zasłużony przywilej, podtrzymywany tradycją.

- Zawsze miałem wrażenie, że w tym miejscu można lepiej omówić każdą sprawę - stwierdził Cleary.

- Doceniam twój gest, Paul - powiedział Roemer z zadowoleniem zajadając swoją porcję. - To bardzo ładnie z twojej strony. Ale trochę się pospieszyłeś.

- Jak to?

- Operacja Stracone Zaufanie jeszcze się nie skończyła. Dopiero za parę miesięcy będzie można uczcić jej zakończenie.

Cleary skinął głową i podniósł widelec, ale zaraz odłożył go z delikatnym brzękiem na talerz.

- Raporty, które przeglądałem, świadczą o bardzo wyteżonej pracy.
- O tak, mieliśmy huk roboty - przyznał Roemer. Z trudem przełknął

330

zbyt duży kęs. - Ale warto było. Mogę wysunąć szereg oskarżeń, opierając się na bardzo silnych podstawach.

Cleary dyplomatycznie pokiwał głową. Skinął na kelnera, by dolał Roemerowi wina do kieliszka, po czym powiedział:

- Ale i napotkałeś chyba kilka problemów.
- Jak zawsze. Zdarza się w każdej operacji. Ale to nic poważnego. Wszystko się ułożyło, nawet sprawa z tym sędzią, który zwrócił się przeciwko mnie.

- Nie bardzo to rozumiem, Neil.

Roemer upił bardzo duży łyk, a potem przez chwilę wpatrywał się w kieliszek z widocznym w oczach zadowoleniem.

- Nie był oddany naszej operacji w stu procentach. Już na początku wystrychnął mnie na dudka.

- A może to z powodu tego samobójstwa?

- Nie wiem. Nie był nam w pełni oddany. Mógłbym dostać jeszcze jeden kieliszek? Bardzo jestem spragniony - poprosił i Cleary ponownie skinął na kelnera, który napełnił kryształowy kieliszek czerwonym winem.

Cleary miał niemiłe wrażenie, że w jego żyłach krew krąży bardzo wolno.

- A potem jeszcze wynikło nieporozumienie z władzami stanowymi w sprawie tych dwóch policjantów - przypomniał Cleary, przygryzając lekko wargę. - Zaczęliście gonić w kółko za własnym tropem. Niczym pies ścigający swój ogon - dokończył z uśmiechem.

Roemer obrócił się nieco na krześle, by zobaczyć, czy na tej zastrzeżonej

dla niewielu sali spotka kogoś znajomego.

- Ta sprawa też nie nastęca specjalnych problemów. Ci gliniarze i tak są winni dostarczania narkotyków pewnej narkomance, która jest ich informatorką.

- Chodzi mi o to, Neil, że doszło do tego, iż każdy podsłuchiwał każdego. To bardzo nieprofesjonalne.

Roemer zwolnił nieco tempo jedzenia.

- Żaden kłopot. Postaram się obrócić to na naszą korzyść. Ci gliniarze i tak byli skorumpowani.

- Jestem pewien, że masz rację, ale przeprowadzimy jeszcze wewnętrzną kontrolę przebiegu tej operacji, od początku do końca.

- Co takiego?

- Kontrolę. Sami dokładnie przebadamy całą operację, żeby zorientować się, czy nie popełniliśmy gdzieś błędów, czy nie wciągnęliśmy do niej niewinnych ludzi albo czy nie naraziliśmy Departamentu Sprawiedliwości i administracji na jakieś ryzyko.

Roemer wyprostował się na krześle, utkwivszy w Clearym srogie spojrzenie.

- To ja dowodzę operacją.

- Dlatego wiem, że chętnie udostępnisz naszym kontrolerom wszelkie swoje notatki, zapiski i nagrania rozmów telefonicznych - oznajmił Cleary z lodowatym uśmiechem, którym obdarzał często swych biednych studentów.

- Chcesz uczynić mnie celem operacji - zauważył Roemer.

- Będiesz jej głównym elementem składowym.

Roemer odsunął krzesło. Ciężko przesuwano się po grubym dywanie, więc kelner rzucił się mu na pomoc. Przez chwilę Roemer wpatrywał się w Cleary'ego.

- Nie możesz obarczać mnie winą za ewentualne błędy, Paul. Na wszystko, co robiłem, miałem pozwolenie.
- Jednym z celów kontroli będzie zbadanie, czy takie tajne operacje, prowadzone przez pojedynczą osobę, powinny być jeszcze kiedykolwiek organizowane. I jest to osobista decyzja prokuratora generalnego.
- A więc jestem skorumpowaną częścią tajnych agentów i chcesz mnie usunąć?

Cleary pokręcił przecząco głową.

- Chcemy tylko dokładnie zbadać przyczyny, z powodu których w kierowanej przez jednostkę tajnej operacji zostało popełnione morderstwo i samobójstwo. Może się okazać, że w przyszłości nad tego typu akcją powinien cały czas czuwać specjalny komitet.

Roemer wstał. Krzesło przewróciło się i choć kelner zdążył je chwycić i postawić, to pozostali goście zwrócili na ten fakt uwagę i przerwawszy jedzenie, spoglądali zdziwieni.

- Nie mam zamiaru być kozłem ofiarnym. Potrafię się bronić. Cleary westchnął tak, jakby odczuwał szczery smutek.
- Wiem, że potrafisz. A może chciałbyś, żeby przeanalizowano twoje życie prywatne na forum publicznym, Neil.
- Moje życie prywatne? - warknął. Rzucił na podłogę zwiniętą serwetkę.
- Doszły mnie słuchy, że pewien wyższy rangą pracownik departamentu dopuścił się cudzołóstwa. Z innym pracownikiem departamentu.
- To, co teraz robisz, Cleary, to zwyczajny szantaż. Nie pójdę na to.

Wszystko sam podam do wiadomości publicznej.

- To twój przywilej - odparł łagodnie Cleary.
- A niech ją jasna cholera! - zaklął gwałtownie, komentując w ten sposób własne myśli.

Cleary czuł się ogromnie zażenowany tą sceną. Chciał, żeby ta rozmowa przebiegała spokojnie, w atmosferze uprzejmości i wzajemnego szacunku. Teraz przyszło mu do głowy, że historyjki, które słyszał o prymitywnym wychowaniu Roemera, mogły być prawdziwe.

Kelnerzy znieruchomieli, zaskoczeni niecodziennym zajściem, a pozostali goście obserwowali tę scenę z zakłopotaniem.

Cleary próbował uspokoić wściekłego Roemera.

- Neil, może łatwiej ci będzie to znieść, gdy przypomnisz sobie, że nawet Edgar J. Hoover musiał się ugiąć w obliczu nowej administracji.
- Chcesz mnie zepchnąć na boczne tory, żeby twoi starzy kolesie mogli dobrać się do władzy? - Roemer wymachiwał przed Clearym pięścią tak mocno zaciśniętą, że wyraźnie odznaczały się w niej jego nierówne kostki.
- Ja nie jestem Edgarem Hooverem.
- Nie - odparł Cleary chłodno, tonem doświadczonego pedagoga.
- Właśnie w tym rzecz.

332

Rozdział czterdziesty dziewiąty.

Jeszcze przed południem Nash zdążył uporać się z większością wyznaczonych na ten dzień spraw, ale ogłoszenie wyroków zostawił sobie

na koniec. Sala Wydziału 14. była zatłoczona - prawnicy siedzieli z przodu, krewni w grupkach, dzieci kręciły się niespokojnie, a jedno lub dwoje zaczęło nawet płakać. Shea kolejno wprowadzał oskarżonych, w miarę jak Nash wywoływał tytuł i numer sprawy. Vi siedziała przy swoim biurku poniżej stołu sędziego. Wszystko wyglądało zupełnie normalnie, tak przynajmniej pomyślał Nash.

Tyle że po załatwieniu tych spraw nie czekał go żaden proces. Zanosilo się na to, że, podobnie jak przez ostatnie dwa dni, wróci po prostu do swego gabinetu i będzie czekał. Rada Sądowa sprowadziła z innych hrabstw trzech sędziów i przydzieliła ich do różnych spraw, by zastąpili kolegów, którzy już nie pracowali.

Nash czuł, że coś się wydarzy i to już wkrótce. Ale nie wiedział kiedy.

- Sprawa Arthura Waynea Mansfielda, numer 47891 - ogłosił. Następnie przekazał Vi akta skazanego przed chwilą złodzieja samochodów.

Na sali dało się zauważyć poruszenie i za pulpitem dla więźniów tuż obok Shei stanął mały, szary człowieczek z założonymi do tyłu rękoma. Nash podjął rutynową procedurę.

- Czy obrońca z urzędu chce coś powiedzieć, zanim ogłoszę wyrok? K.O. Conway wstał powoli zza zawałonego papierami i teczkami stołu.

- Tak, Wysoki Sądzie. Pan Mansfield ma pięćdziesiąt dwa lata i był kiedyś hydraulikiem. Jego akta nie wyglądają wcale tak źle. - K.O. potrząsnął głową. - A popełnione przez niego przestępstwa - włamania do punktów fotograficznych i wykradanie wywołanych zdjęć - trudno przecież uznać za zbrodnię stulecia.

Przez chwilę Nash nie słyszał głosu K.O. Z korytarza dobiegały czyjeś krzyki. Zdenerwowany Shea podniósł wzrok.



Scotty i Vi zachowywali się, jakby nic się nie zmieniło i Nash był im za to wdzięczny.

- Słucham pana, panie Conway - powiedział Nash.

Nagle wysokie, podwójne drzwi prowadzące na salę otworzyły się i błysnęły w nich reflektory, a do środka wepchnęło się dwóch mężczyzn w garniturach, którzy przysiedli na tylnej ławce, wpatrując się w Nasha.

Nash gestem przywołał Sheę.

- Dowiedz się co to za jedni i powiedz tym osłom na zewnątrz, żeby się uciszyli, bo oskarżę ich o obrazę sądu.

Shea odszedł od stołu, a w ślad za nim podążyły spojrzenia wszystkich na sali; normalny rytm sprawy został już zakłócony. Nash poczuł, że serce zaczyna bić mu szybciej. Nad strachem jeszcze panował.

- Przepraszam, panie Conway. Czy chciałby pan powiedzieć coś jeszcze, by wpłynąć na łagodniejszy wymiar kary dla oskarżonego?

Conway zmarszczył brwi, świadomy zamieszania za swoimi plecami.

Nash natomiast, starając się słuchać Conwaya, pomyślał, że oto po niego przyszli.

- Panie Mansfield - zaczął, otwierając notatnik na stronie zawierającej sformułowania przewidziane w Kalifornii na okoliczność wydania ostatecznego wyroku. Raport o sprawowaniu się oskarżonego w czasie zawieszenia kary miał tuż pod ręką - czy chciałby pan coś dodać?

- Nigdy więcej tego nie zrobię - wymamrotał szary człowieczek.

- Czy oskarżenie chce coś powiedzieć? Zastępca prokuratora okręgowego pokręcił głową.

- Wniosek został poparty przez wydział do spraw zwolnień warunkowych.

- Dobrze.

Nash zerknął na Sheę, który szedł w stronę stołu sędziowskiego.

- Arthurze Wayne Mansfield, przyznał się pan do dwukrotnego popełnienia czynu z paragrafu czterysta pięćdziesiąt dziewięć Kodeksu Karnego oraz do obrazy moralności publicznej... - Nash przerwał, bo zdenerwowany Shea pochylił się w jego stronę.

- To szeryfowie federalni, Tim. Chcą z tobą rozmawiać.

- A co się dzieje na korytarzu?

- Jest tam ze dwudziestu dziennikarzy z kamerami - odparł oburzony. - O co tu chodzi?

- Mam być aresztowany.

Shea zaklął i to dosyć głośno, bo słyszeli go siedzący w pierwszym rzędzie prawnicy. Zaraz też zaczęli szeptać między sobą i oglądać się do tyłu.

- Mogę ich wyrzucić, Tim. Przywołam tu paru facetów i zamkniemy salę.

- To szeryfowie federalni, Scotty.

- Pieprzę ich - odparł Shea.

- Dzięki za troskę - powiedział Nash. A zebrany na sali ogłosił: -

334

Przepraszam państwa na chwilę. - Następnie zwrócił się do Vi, która stała tuż poniżej podium i słyszała, co mówił Shea. - Vi, zadzwoń do Dennisa Terhune'a i powiedz, że potrzebuję jego pomocy i żeby od razu tu przyszedł. Jeśli nie będzie mógł zaraz tu się zjawić, to niech przyjdzie do więzienia okręgowego.

- Czy nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić? - spytała szeptem.

- Wystarczy ten telefon. I zadzwoń jeszcze do mojego ojca.

Vi ruszyła do sekretariatu, zerkając po drodze na siedzących w tyle

mężczyzn. Rozpłakała się i Nashowi zrobiło się przykro, że sprawił jej ból. Złość dodała Shei odwagi. Wpatrywał się uporczywie w szeryfów, jakby miał nadzieję wypędzić ich z sali samą tylko siłą swej woli. Nash zerknął w stronę drzwi i Shea wrócił na swoje miejsce, aczkolwiek bardzo niechętnie. Z sekretariatu dochodził, wprawdzie bardzo słabo, miękki głos Vi rozmawiającej przez telefon. Nash pomyślał o Benie, który dowie się o wszystkim z telewizji, od kolegów i od Kim. Wiedział, że będzie musiał mu to wyjaśnić.

Otarł spocone dłonie o togę i wyprostował się na krześle. Zostało mu jeszcze pięć spraw. Pomyślał, że dopóki siedzi za stołem sędziowskim, tamci dwaj nic mu nie zrobią.

- Przepraszam, panie Mansfield, sąd musiał zająć się pewną prywatną sprawą - powiedział do małego człowieczka, który wciąż stał za pulpitem dla oskarżonych i wciąż miał na twarzy wymalowaną obojętność.

- Mnie to nie przeszkadza - odparł Mansfield.

Nash zaczął odczytywać wyrok, mając nadzieję, że głos mu nie zadrży. Skazał oskarżonego na trzy lata więzienia w więzieniu stanowym za obydwa przestępstwa, do odsiedzenia, równolegle, i dodatkowo jeszcze rok za poprzednie przestępstwo, również do odsiedzenia równolegle.

Spiętym i może zbyt surowym głosem zaczął wyjaśniać zasady zwolnienia warunkowego, gdy drzwi sali rozpraw otworzyły się powtórnie i do środka wdarli się reporterzy. Kierując światła na publiczność, ruszyli w stronę stołu sędziowskiego. W przejściu między ławkami Nash widział przez moment Janice, ale dziewczyna zaraz usiadła obok jakiejś latynoskiej rodziny, z dala od cierpliwie oczekujących szeryfów. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

W tej akurat chwili blask jaskrawego reflektora oślepił go na moment i Nash zamrugał, starając się dojrzeć jeszcze Janice i w ogóle kogokolwiek, a ponieważ skończył już odczytywanie wyroku dla małego człowieczka, wezwał następnego oskarżonego.

Koniec

Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Warszawa 1996. Wydanie I. Druk: Opolskie Zakłady Graficzne.